

Na podstawie tej powieści powstał słynny serial telewizyjny  
z Richardem Chamberlainem.

# Colleen McCullough



## PTAKI CIERNISTYCH KRZEWÓW

Świat Książki

Colleen McCullough

# Ptaki ciernistych krzewów

Pewna legenda opowiada o ptaku, który śpiewa jedynie raz w życiu, piękniej niż jakiegokolwiek stworzenie na Ziemi. Z chwilą gdy opuści rodzinne gniazdo, zaczyna szukać ciernistego drzewa i nie spocznie, dopóki go nie znajdzie. A wtedy, wyśpiewując pośród okrutnych gałęzi, nadziewa się na najdłuższy, najostrzejszy cierni. Konając wznosi się ponad swój ból, żeby prześcignąć w radosnym trelu słowika i skowronka. Jedyną najświetniejszą pieśnią, za cenę życia. Cały świat zamiera, aby go wysłuchać, uśmiecha się nawet Bóg w Niebie. Bo to, co najlepsze, trzeba okupić ogromnym cierpieniem...

Przynajmniej tak głosi legenda.

**Część pierwsza:**

**Meggie 1915-1917**

## Rozdział pierwszy

Ósmego grudnia 1915 roku Meggie Cleary skończyła cztery lata. Po śniadaniu matka, odłożywszy na miejsce pozmywane naczynia, bez słowa podała jej duży pakunek i wysłała na dwór. Meggie przykucnęła za ostrokrzewem koło bramy i zaczęła niecierpliwie szarpać opakowanie. Gruby papier nie poddawał się łatwo niezdatnym palcom. Pachniał trochę sklepem w Wahine, więc zorientowała się, że cokolwiek mieści się w środku, jakimś cudem zostało kupione, a nie podarowane przez kogoś ani zrobione w domu.

Przez rozdarcie w rogu wyłoniła się jakaś złota mgielka. Meggie rzuciła się na papier, pośpiesznie oddzierając długie, nierówne kawałki.

– Agnes! Och, Agnes! – powiedziała z zachwytem, mrugając oczami na widok lalki leżącej w postrzępionym papierowym gniazdku.

Zdarzył się cud. Tylko raz w życiu Maggie pojechała do Wahine. Dawno temu, w maju, w nagrodę za to, że była bardzo grzeczna. Usadowiona w bryczce koło matki, sprawując się najlepiej, jak umiała, z przejęcia prawie nic nie zobaczyła ani nie zapamiętała. Z wyjątkiem Agnes, pięknej lalki siedzącej na ladzie sklepowej w krynolinie z różowej satyny obszytej falbankami z kremowej koronki. Tam w sklepie od razu nadała jej imię Agnes, nie znając innego, odpowiednio eleganckiego i godnego tak niezrównanej istoty. Jednak w ciągu następnych miesięcy tęskniła za Agnes bez krzty nadziei. Nie miała takiej zabawki w domu i nie przypuszczała, że lalki są przeznaczone dla dziewczynek. Z przyjemnością bawiła się fujarkami, procami i poobijanymi żołnierzami, które rzucili w kąt bracia, brudziła sobie ręce i buciki.

Nawet na myśl jej nie przyszło, że Agnes służy do zabawy. Poglądziła lśniące różowe fałdy sukienki, wspanialszej od wszystkich, jakie widziała kiedykolwiek na żywej kobiecie, i delikatnie podniosła lalkę. Agnes miała ręce i nogi przyłączone do tułowia tak, że można było nimi swobodnie ruszać. Nawet szyję i wąską kibić też miała ruchome. Złote włosy przybrane perełkami piętrzyły się wysoko nad czołem, a spod zwiewnej chusteczki na szyi, spiętej perłową spinką, wycierał jasny dekolt. Starannie pomalowana porcelanowa twarz nie była pokryta szkliwem, dzięki temu subtelny odcień cery zachował naturalną matowość. Zdziwiająco żywe niebieskie oczy jaśniały między prawdziwymi rzęsami, a prążkowane tęczówki okalała ciemniejsza błękitna obwódka. Zafascynowana Meggie odkryła, że Agnes, jeśli ją odpowiednio odchylić do tyłu, zamyka oczy. Na zaróżowionym policzku miała czarną muszkę, a lekko rozchylone pąsowe usta odsłaniały małe białe ząbki. Meggie usadowiła się wygodnie i trzymając lalkę przed sobą patrzyła na nią jak urzeczona.

Wciąż jeszcze siedziała za ostrokrzewem, gdy trawa, rosnąca zbyt blisko płotu, by dosięgła ją kosa, zaszeleściła i zjawił się Jack i Hughie. Włosy Meggie z daleka przyciągały wzrok, gdyż wszystkie dzieci w rodzinie Clearych, oprócz Franka, cierpiały z powodu mniej lub bardziej ognistorudej czupryny. Jack trącił łokciem brata i rozradowany wskazał ręką. Posyłając sobie porozumiewawcze uśmiechy rozdzielili się i zamienili w żandarmów na tropie maoryskiego odszczepieńca. Ale nucąca sobie cichutko Meggie tak była pochłonięta Agnes, że ich nie usłyszała.

– Co tam masz, Meggie? – krzyknął Jack, doskakując do niej. – Pokaż!

– Tak, pokaż! – zawtórował mu z chichotem Hughie, zachodząc z drugiej strony.

Przycisnęła lalkę do piersi i potrząsnęła głową.

– Nie, ona jest moja! Dostałam ją na urodziny!

– Pokaż nam, no! Chcemy ją tylko obejrzeć.

Duma i radość wzięły górę. Meggie uniosła lalkę tak, żeby bracia dobrze ją widzieli.

– Zobaczcie, prawda, że piękna? Nazywa się Agnes.

– Agnes? Agnes!? – Jack realistycznie udał, że zbiera mu się na mdłości. – Co za głupie

imię! Dlaczego nie nazwiesz jej Margaret albo Betty?

– Dlatego, że to jest Agnes!

Hughie spostrzegł ruchomy staw przy nadgarstku lalki i gwizdnął.

– Ej, Jack, zobacz! Ona rusza ręką!

– Gdzie? Chcę zobaczyć.

– Nie! – Meggie ze łzami w oczach znów mocno przytuliła lalkę. – Nie, zepsujecie ją! Jack, nie zabieraj mi jej... zepsujecie ją!

– Phi! – Brudne opalone dłonie brata chwyciły ją za nadgarstki i zacisnęły się. – Zrobić ci chińskie oparzenie? I nie bądź taka płaksa, bo powiem Bobowi. – Wykręcił jej rękę, aż pobielała naprężona skóra, a Hughie chwycił lalkę za sukienkę i ciągnął. – Dawaj, bo naprawdę będzie bolało!

– Nie! Nie, Jack, proszę cię! Zepsujecie ją, na pewno zepsujecie! Och, proszę, zostawcie ją! Nie zabierajcie mi jej, proszę was!

Trzymała lalkę pomimo okrutnych kleszczy zaciskających się na jej przegubach, łkając i wierzgając nogami.

– Mam ją! – zatriumfował Hughie, kiedy lalka wysunęła się ze skrzyżowanych rąk Meggie.

Jacka i Hughiego zafascynowała ona nie mniej niż siostrę. Lalka straciła sukienkę, halki i długie majtki z falbankami. Leżała naga, podczas gdy chłopcy popychali i ciągnęli jej członki, zakładając jej na siłę nogę za głowę, zmuszając do oglądania własnych pleców, wykręcając ją na wszystkie możliwe strony. Nie zwracali najmniejszej uwagi na płaczącą Meggie. A jej nie przyszło do głowy szukać pomocy, bo w rodzinie Clearych nawet dziewczynka, jeśli nie potrafiła walczyć sama, nie mogła zbyt liczyć na współczucie.

Kunsztowna fryzura Agnes rozpadła się, spadające perły zamigotały i rozsypały się w wysokiej trawie. Zakurzony but obojętnie zdeptał porzuconą sukienkę i powalał satynę smarem z kuźni. Meggie padła na kolana, gorączkowo wyszukując i zbierając miniaturowe części garderoby, żeby uchronić je przed uszkodzeniem, a potem zaczęła rozcierać trawę tam, gdzie spadły perły. Oślepiały ją łzy, nieznana żalność ścisnęła serce, ponieważ nigdy dotąd nie miała rzeczy na tyle cennej, żeby z jej powodu rozpaczać.

Podkowa wpadła z sykiem do zimnej wody i Frank wyprostował plecy; teraz już go nie bolały, więc widocznie przywykł do kowalstwa. Najwyższy czas, powiedziała by ojciec, po sześciu miesiącach pracy w kuźni. Frank doskonale wiedział, ile czasu minęło, odkąd stanął po raz pierwszy przy kowadle; mierzył ten czas goryczą i nienawiścią. Cisnął młot do skrzyni, drżącą ręką odgarnął z czoła pozlepiane kosmyki i ściągnął przez głowę stary skórzany fartuch. Koszula leżała w kącie na stercie słomy. Powłócząc nogami podszedł tam i stał przez chwilę wpatrując się znieruchomiałymi oczami w popękana drewnianą ścianę stodoły.

Był bardzo niski i nadal szczupły jak wyrostek, ale od pracy z młotem zawęźliły mu się mięśnie na rękach i ramionach. Jasna, gładka skóra lśniła od potu. Ciemne włosy i oczy nadawały twarzy egzotyczny posmak, pełne usta i szeroki nos odbiegały kształtem od typowych dla rodziny rysów: to właśnie dała o sobie znać domieszka krwi maoryskiej ze strony matki. Miał już prawie szesnaście lat, podczas gdy Bob zaledwie jedenaście, Jack dziesięć, Hughie dziewięć, Stuart pięć, a mała Meggie trzy. Wtem przypomniał sobie, że dziś, ósmego grudnia, Meggie kończy cztery. Włożył koszulę i wyszedł ze stodoły.

Dom stał na szczycie niewielkiego pagórka, nieco powyżej stodoły i stajni. Podobnie jak wszystkie domy w Nowej Zelandii był drewniany, parterowy i rozbudowany nieregularnie, zgodnie z założeniem, że w razie trzęsienia ziemi jakaś jego część może się ostać. Wszędzie dokoła rosły ostrokrzewy, właśnie teraz oblepione dorodnym żółtym kwieciem, ścieliła się trawa, bujna jak w całej Nowej Zelandii. Trawa nie rudziła nawet w samym środku zimy, kiedy w cieniu szron nie topniał czasem przez cały dzień, a długie, łagodne lato tylko

przydawało jej soczystości. Deszcze delikatnie zraszały ziemię, nie pozbawiając niczego, co rośnie, słodkiej świeżości, nie padał śnieg, a słońce grzało z ożywczą siłą, nigdy nie wysysając soków. Plagi nawiedzające Nową Zelandię nie spadały z nieba, lecz zbierały we wnętrzościach ziemi i stamtąd uderzały. Wyczuwało się tu zawsze jakieś dławione wyczekiwanie, ledwie uchwytny drżenie i dudnienie pod stopami. Bo pod powierzchnią ziemi czaiła się przerażająca moc, moc tak potężna, że przed trzydziestoma laty zmiotła całą wyniosłą górę. Para buchała z wyciem i świstem przez szczeliny na zboczach niewinnych wzgórz, wulkany i świstem przez szczeliny na zboczach niewinnych wzgórz, wulkany pluły dymem w niebo, w wysokogórskich strumieniach płynęła ciepła woda. W rozlewiskach wrzała tłusta maź, morze niepewnie oblewało skały, które mogły nie dotrzeć do następnego przypływu. A jednak była to łagodna, łaskawa kraina. Za domem rozpościerała się pofałdowana równina, zielona jak szmaragd w pierścionku zaręczynowym Fiony Cleary, usiana tysiącami kremowych kłębków – z bliska widać było, że to owce. Tam gdzie łuk wzgórz ozdabiał krawędź jasnego nieba, niknęła w chmurach strzelista góra Egmont, na której zboczach biała jeszcze śnieg. Jej symetryczna sylwetka zachwycała wciąż na nowo nawet tych, którzy, jak Frank, widzieli ją codziennie od urodzenia.

Choć od stodoły do domu szło się niezły kawałek pod górę, Frank przyśpieszył kroku wiedząc, że nie powinien tam iść: polecenia ojca nie pozostawiały wątpliwości. Po chwili, wychodząc zza rogu domu, zobaczył trójkę rodzeństwa koło ostrokrzewu.

To Frank zawiózł matkę do Wahine, żeby kupiła tam lalkę dla Meggie, i do tej pory dziwił się, co ją do tego skłoniło. Nie miała zwyczaju obdarowywać ich niepraktycznymi prezentami urodzinowymi, nie starczało na nie pieniędzy, i jeszcze nigdy żadnemu z dzieci nie dała zabawki. Wszyscy dostawali ubrania. Urodziny i święta Bożego Narodzenia stanowiły okazję do uzupełnienia skąpej garderoby. Ale widocznie Meggie zobaczyła lalkę w czasie swojej jedynej wyprawy do miasta i Fiona nie zapomniała o tym. Kiedy Frank spytał ją o to, bąknęła, że dziewczynce potrzebna jest lalka, i szybko zmieniła temat.

Na dróźnie od frontu Jack i Hughie trzymali lalkę, bezlitośnie manipulując jej członkami. Frank widział tylko plecy stojącej Meggie, która patrzyła, jak jej bracia bezczeszczą Agnes. Białe skarpetki opadały nieporządnie nad czarnymi bucikami, odsłaniając różowe nóżki widoczne spod rąbka niedzielnej sukienki z brązowego aksamitu. Na plecy bujną kaskadą spływały starannie uczesane loki, połyskując w słońcu czerwonożłoto. Kokarda z białej tafty, przytrzymująca loki z przodu, żeby nie opadały na twarz, oklapła i zwisała smętnie; sukienka była uwalona ziemią. W jednej ręce Meggie ścisnęła ubranka lalki, drugą na próżno popychała Hughiego. – Cholerne szczyle!

Jack i Hughie zerwali się na równe nogi i rzucili do ucieczki, zapominając o lalce; kiedy Frank kłął, rozsądek nakazywał zniknąć mu z oczu.

– Jeżeli jeszcze raz ją dotkniecie swoimi brudnymi łapami, to skórę wam z tyłków pozdzieram, zasańce! – wrzasnął za nimi Frank.

Pochylił się i ujął Meggie za ramiona, potrząsając nią lekko.

– No, no, nie trzeba płakać! Uspokój się, już ich nie ma i nigdy nie dotknął twojej lalki, przyrzekam. A teraz uśmiechnij się do mnie, bo dziś twoje urodziny, tak?

Z opuchniętej, zalanej łzami twarzyczki wielkie szare oczy patrzyły na Franka z takim bezmiarem rozpacz, że aż ścisnęło go w gardle. Wyciągnął z kieszeni spodni brudną chustkę, niezdarnie otarł jej twarz, a potem chwycił przez materiał za nos.

– Dmuchnij!

Usłuchała go, szlochając głośno, ale już bez łez.

– Och, Fra-Fra-Frank, oni mi za-za-zabrali Agnes! – wykrztusiła pociągając nosem. – Włowołosy jej się rozleciały i zgu-gu-gubiła wszystkie te śliśne pe-pe-perełki! Spadły na tra-tra-trawę i nie mogę ich znaleźć.

Łzy znów wezbrały, kapiąc na rękę Franka; przyglądała się przez chwilę wilgotnej dłoni, a

potem zlizął słońce krople.

– Więc poszukamy ich razem, dobrze? Ale nie będziesz mogła nic znaleźć, jeżeli będziesz płakać, wiesz, no i po co mówisz jak dzidzius? Już od pół roku nie słyszałem, żebyś mówiła „śliśny” zamiast „śliczny”! Proszę, wytrzymaj jeszcze raz nos, a potem weź biedną... Agnes? Jeżeli jej nie ubierzesz, słońce ją popatrzy.

Posadził Meggie koło dróżki, ostrożnie podał lalkę, a potem na kolanach zaczął przeczesywać trawę, aż wreszcie z triumfalnym okrzykiem podniósł z ziemi jedną perłę.

– Proszę! Pierwsza! Znajdziemy wszystkie, zobaczysz.

Meggie z uwielbieniem patrzyła na swojego najstarszego brata, który rozgarniał żółtą trawę i pokazywał jej każdą znaną perłę. Potem przypomniała sobie, że Agnes ma przecież taką delikatną skórę i łatwo może ją oparzyć słońce, więc zajęła się ubieraniem lalki. Wyglądało na to, że Agnes jest cała. Włosy miała wprawdzie rozrzucone w nieładzie, a wykręcane przez chłopców ręce i nogi brudne, ale nic nie zostało uszkodzone. We włosach Meggie tkwiły szylkretowe grzebienie. Jeden z nich udało jej się wyjąć i zaczęła nim czesać Agnes, która miała wprawdzie ludzkie włosy, z ręcznie poprzywiązywane do cienkiej siateczki i rozjaśnione na złoto.

Meggie niewprawnie szarpała grzebieniem duży kłak włosów, gdy wtem stała się rzecz straszna. Włosy odpadły, wszystkie naraz, przyczepiły się zmierzwioną kępą do zębów grzebienia. Nad wysokim czołem Agnes nie było nic, ani głowy ani nagiej czaszki, tylko okropną, ziejącą dziurę. Przejęta trwogą Meggie pochyliła się, żeby zajrzeć do środka. Majaczyły tam wklęsłe policzki i broda, między rozchyłonymi ustami migotało światło uwydatniając ciemny, zwierzęcy zarys zębów, a nad tym wszystkim wisiały oczy Agnes dwie przerażające kule kołyszące się z cichym trzaskiem na drucie, który w okrutny sposób przebijał głowę lalki.

Meggie wydała przeszywający krzyk, całkiem nie jak dziecko. Cisnęła Agnes precz i drżąc na całym ciele krzyczała dalej, z twarzą zakrytą dłońmi. Potem poczuła, że Frank ciągnie ją za palce i bierze w ramiona przyciskając jej głowę do swojej szyi. Oplotła go ramionami, czerpiąc pociechę z jego bliskości, aż wreszcie uspokoiła się na tyle, że dotarło do niej jak Frank przyjemnie pachnie – końmi, potem i żelazem.

Kiedy ucichła, kazał jej powiedzieć, co się stało. Podniósł lalkę i zadziwiony wpatrywał się w puste wnętrze jej głowy, usiłując przypomnieć sobie, czy jego też w dzieciństwie osaczało tyle dziwnych strachów... Nie, jego dręczyły przykre wizje innych ludzi, ich szepty i zimne spojrzenia. Wychudzona, zapadła twarz matki, drżenie jej ręki, obejmującej jego rękę, pochylenie ramion.

Co zobaczyła Meggie, że tak się przejęła? Pomyślał, że mniej by się zdenerwowała, gdyby biedna Agnes straciwszy włosy zaczęła krwawić. Krew to coś naturalnego; przynajmniej raz na tydzień, któryś z członków rodziny Clearych krwawił obficie.

– Jej oczy, oczy! – szepnęła Meggie, za nic nie chcąc spojrzeć na lalkę.

– Ależ to prawdziwe чудо, Meggie – mamrotał, wtulając twarz w jej włosy. Jakież były piękne, gęste, jaki miały kolor!

Przez całe pół godziny musiał ją zachęcać, żeby wreszcie spojrzeła na Agnes, a drugie pół godziny minęło, zanim udało mu się ją namówić, żeby zerknęła w oskalpowaną dziurę. Pokazał jej, w jaki sposób ruszają się oczy, jak precyzyjnie zostały umocowane, jak dokładnie pasują do otworów, a mimo to łatwo się obracają – otwierają i zamykają.

– A teraz chodź już, pora iść do domu – powiedział biorąc Meggie na ręce, a lalkę wciskając między siebie a siostrę. – Poprosimy mamę, żeby się nią zajęła, dobrze? Upierzemy i uprasujemy ubranka, przykleimy jej włosy. A z tych perełek zrobię ci prawdziwe spinki, które nie będą wypadać, i będziesz mogła ją czesać, jak tylko zechcesz. Fiona Cleary obierała ziemniaki w kuchni. Była bardzo przystojną, jasną blondynką wzrostu nieco mniej niż średniego, o surowych, dość ostrych rysach. Mimo sześciokrotnej ciąży zachowała świetną



figurę, ani trochę nie pogrubiała. Sukienkę z szarego perkalu, zamiatającą idealnie czystą podłogę, ochraniał z przodu wielki, nakrochmalony fartuch, włożony na szyję i zawiązany z tyłu na równą kokardę. Od świtu do nocy pracowała w kuchni i w ogrodzie na tyłach domu, solidnymi czarnymi trzewikami wydeptując ścieżkę od kuchennego pieca do pralni, potem do grządek z warzywami, potem do sznura na bieliznę i z powrotem do pieca.

Fee odłożyła nóż na stół i popatrzyła na Franka i Meggie z nieprzyjemnym grymasem pięknych ust.

– Meggie, pozwoliłam ci włożyć dziś najlepszą sukienkę pod jednym warunkiem, że jej nie pobrudzisz. A teraz spójrz! Jaki z ciebie mały niechluj!

– Mamo, to nie jej wina – ujął się za siostrą Frank. – Jack i Hughie zabrali jej lalkę, żeby zobaczyć, jak rusza rękami i nogami. Obiecałem Meggie, że zajmiemy się lalką i znów będzie jak nowa. Zajmiemy się, prawda?

– Pokaż – powiedziała Fee wyciągając rękę.

Była małomówna, nigdy nie odzywała się bez powodu. Nikt nie wiedział, o czym myśli, nawet jej mąż. Jemu pozostawiała utrzymanie dzieci w karności i sama była mu całkowicie posłuszna, wyrażając swoje zdanie tylko w nadzwyczaj wyjątkowych okolicznościach. Meggie słyszała kiedyś, jak chłopcy szeptali między sobą, że mama boi się taty tak samo jak oni; jeżeli rzeczywiście tak było, ukrywała to pod nieprzeniknioną maską ponurawego spokoju. Nigdy się nie śmiała, nigdy też nie wybuchnęła gniewem.

Po skończonych oględzinach Fee położyła Agnes na kredensie koło pieca i spojrzała na Meggie.

– Jutro rano uczeszę ją i upiorę ubranka. Dziś wieczorem po kolacji Frank będzie chyba mógł ją wykapać i przykleić jej włosy.

Zabrzmiało to bardziej jak rzeczowe stwierdzenie niż słowa pocieszenia. Meggie kiwnęła głową uśmiechając się niepewnie. Nieraz tak bardzo pragnęła usłyszeć, jak mama się śmieje, ale ona nie śmiała się nigdy. Wyczuwała, że łączy je obie coś szczególnego, co odróżnia je od taty i chłopców, ale onieśmiały ją sztywno wyprostowane plecy i drepczące nieustannie stopy. Mama z roztargnieniem kiwała głową, zgarniała szerokie spódnice i krążyła między piecem i stołem, ani na chwilę nie przestając pracować.

Spśród wszystkich dzieci jedynie Frank zdawał sobie sprawę z tego, że Fee jest wiecznie zmęczona. Tyle było wciąż do zrobienia, pieniędzy c kot napłakał, za mało czasu i tylko jedna para rąk. Fee z utęsknieniem czekała dnia, kiedy Meggie zacznie jej pomagać. Dziewczynka już wykonywała proste czynności, ale w żaden sposób nie mogła zmniejszyć ciężaru obowiązków. Sześcioro dzieci i z tego tylko jedno, w dodatku najmłodsze, było dziewczynką. Wszystkie znajome Fee okazywały jej współczucie przemieszane z zazdrością, ale od tego pracy nie ubywało. W koszyku piętrzył się stos skarpet do zacerowania, na drutach tkwiła kolejna dziergana przez nią skarpetka. Hughie wyrastał ze swetrów, a Jack nie urósł jeszcze tyle, żeby oddać mu swoje.

Padraic Cleary przez czysty przypadek znalazł się w domu w czasie, kiedy wypadały urodziny Meggie. Ponieważ sezon strzyży jeszcze się nie rozpoczął, miał pracę w okolicy przy orce i sadzeniu. Z zawodu był postrzygaczem owiec, ale to sezonowe zajęcie trwało od połowy lata do końca zimy, po czym przychodziła pora kocenia się owiec. Zwykle udawało mu się znaleźć dość pracy, żeby przetrwać wiosnę i pierwsze miesiące lata; pomagał przy jagniętach, orce i wyręczał miejscowego hodowcę krów w dojeniu – świątek, piątek, dwa razy dziennie. Szedł tam, gdzie czekała na niego praca, zostawiając rodzinę bez opieki w dużym starym domu, co tylko z pozoru świadczyło o nieczułym sercu. Ktoś, kogo los nie uszczęśliwił własną ziemią, tak właśnie musiał postępować.

Kiedy przyszedł niedługo po zachodzie słońca, w domu zapalono już lampy i na wysokim suficie igrały cienie. Chłopcy, zbici w gromadkę na werandzie, bawili się ropuchą – wszyscy

oprócz Franka. Padraic wiedział, gdzie jest jego najstarszy syn, ponieważ słyszał miarowe stukanie siekiery. Przystanął na werandzie, żeby obdarzyć kopniakiem Jacka i trzepnąć w ucho Boba.

– Idźcie pomóc Frankowi, leniuchy. I macie skończyć, zanim mama postawi kolację na stole, bo inaczej złoję wam skórę.

Skinął głową krzątającej się koło pieca Fionie. Nie pocałował jej ani nie przytulił, gdyż uważał, że jedynym właściwym miejscem dla okazywania uczuć łączących męża i żonę jest sypialnia. Kiedy zżuł oblepione błotem buty, Meggie podbiegła w podskokach niosąc mu kapcie, a wtedy uśmiechnął się spoglądając na nią z uczuciem zadziwienia, które widok tej małej dziewczynki zawsze w nim wywoływał. Była taka ładna, miała takie piękne włosy; ujął w palce jeden lok, rozciągnął go na całą długość, a potem puścił, żeby zobaczyć, jak sprężyste zwija się z powrotem. Uniósł córkę do góry i podszedł do jedynego w kuchni wygodnego krzesła z oparciem i poduszką przywiązaną w kuchni wygodnego krzesła z oparciem i poduszką przywiązaną do siedziska. Z cichym westchnieniem usiadł, wyciągnął fajkę i niedbale wystukał tytoniowe resztki prosto na podłogę. Meggie usadowiła się ojcu na kolanach zaplatając mu rączki na szyi i z ufną twarzyczką obróconą ku jego twarzy oddawała się ulubionej wieczornej zabawie polegającej na patrzeniu, jak światło przesiewa się przez krótki zarost.

– Jak się czujesz, Fee? – spytał żonę Padraic Cleary.

– Dobrze, Paddy. Uporałeś się z dolnym polem?

– Tak, skończyłem z dolnym. Jutro z samego rana mogę zaczynać na górnym. Boże, ależ jestem zmęczony!

– Wierzę! Czy MacPherson dał ci znów tę starą kobyłę?

– A jakże! Nie myślisz chyba, że sam by ją wziął, a mnie dał deresza? Czuję się tak, jakby mi kto ręce ze stawów powyrywał. Gotów jestem przysiąc, że to najtwardsza w pysku kobyła w całej Nowej Zelandii.

– Nie martw się. Niedługo pojedziesz do starego Robertsona, a on ma same dobre konie.

– Nie mogę się doczekać.

Nabił fajkę grubym tytoniem i z dużego dzbanka przy piecu wyciągnął knot do zapalania. Szybkim ruchem wetknął go za drzewczki paleniska, gdzie natychmiast zajął się od żaru; potem rozparł się w krzesło i ssał fajkę, aż bulgotała.

– Jak się czuje nasza czterolatka? – spytał córkę.

– Dobrze, tato.

– Czy mama dała ci prezent?

– Och, tato, skąd wiedzieliście, że chciałam mieć Agnes?

– Agnes? – powtórzył z uśmiechem i rzucił pytające spojrzenie w stronę Fee? – Tak ma na imię, Agnes?

– Tak. Jest piękna, tato. Chciałabym na nią patrzeć od rana do wieczora.

– Całe szczęście, że w ogóle ma jeszcze na co patrzeć – powiedziała ponuro Fee. – Jack i Hughie złapali lalkę, zanim biedna Meggie zdążyła ją dobrze obejrzeć.

– No tak, jak to chłopcy. Mocno ją uszkodzili?

– Nie na tyle, żeby nie dało się naprawić. Frank ich w porę przyłapał.

– Frank? A co on tu robił? Miał przez cały dzień pracować w kuźni. Hunter czeka na bramy.

– Pracował przez cały dzień w kuźni. Przyszedł tylko po jakieś narzędzie – odpowiedziała prędko Fee; Padraic zbyt ostro traktował Franka.

– Och, tato, Frank to najlepszy brat! Uratował moją Agnes przed śmiercią, a po kolacji przyklei jej włosy.

– To dobrze – sennym głosem powiedział ojciec, odchyłając głowę do tyłu i zamykając oczy.

Od pieca buchał żar, ale jemu jakby to nie przeszkadzało; połyskliwe kropelki potu zrosiły mu czoło. Założył ręce za głowę i zapadł w drzemkę.

To właśnie po nim dzieci odziedziczyły gęste wijące się rude włosy w różnych odcieniach, chociaż żadne nie miało równie płomiennej czupryny. Padraic Cleary był niski, ale silny, jakby zbudowany ze sprężystej stali, a ponieważ od dziecka dosiadał koni, wykrzywiły mu się nogi, ręce zaś wydłużyły po latach spędzonych na strzyżeniu owiec. Klatkę piersiową i ręce pokrywał mu matowy złoty meszek, który byłby brzydki przy ciemnej cerze. Zmarszczki wokół jasnoniebieskich oczu, które mrużył stale jak marynarz, zastygły od ciągłego wpatrywania się w dal, a na twarzy o przyjemnym wyrazie gościł płochliwy uśmiech, który sprawiał, że inni mężczyźni lubili go od pierwszego wejrzenia. Wspaniały nos o prawdziwie rzymskim kształcie musiał dziwić irlandzkich pobratymców – ale któż zliczy statki, jakie rozbiły się u brzegów Irlandii. Był człowiekiem szczęśliwym, który znosił ciężką dolę wyrobnika lepiej niż wielu innych, i choć trzymał dzieci bardzo krótko, nie żałując, kiedy trzeba, kopniaka, uwielbiały go wszystkie, prócz jednego. Jeżeli nie starczało chleba, obywatel się bez, jeżeli trzeba było wybierać między nowym ubraniem dla niego a nowym ubraniem dla kogoś z potomków, obywatel się bez. Można powiedzieć, że to pewniejszy dowód miłości niż milion łatwych pocałunków. Miał bardzo wybuchowy temperament i kiedyś nawet zabił człowieka. Dopisało mu szczęście: człowiek ten był Anglikiem, a w zatoce Dun Laoghaire czekał na falę odpływu statek do Nowej Zelandii.

Fiona podeszła do drzwi wychodzących na podwórko i zawołała:

– Kolacja!

Chłopcy zjawili się jeden po drugim, a na samym końcu przyszedł Frank obładowany drewnem, które wrzucił do dużej skrzyni koło pieca. Padraic zestawił Meggie na podłogę, podszedł do stołu dla domowników i zajął miejsce u jego szczytu, podczas gdy chłopcy usadowili się po jego bokach, a Meggie wdrapała się na drewnianą skrzynkę, którą ojciec położył na stojącym najbliżej krześle.

Przy swoim stole podręcznym Fee nakładała jedzenie od razu na talerze, szybciej i sprawniej niż kelner; nosiła po dwa, najpierw dla Paddy'ego i Franka, a na końcu dla Meggie i dla siebie.

– Kchrr! Znowu stew! – powiedział Stuart robiąc miny i biorąc do ręki nóż i widelec. – Dlaczego daliście mi tak na imię?

– Jedz – warknął ojciec.

Na dużych talerzach jedzenie dosłownie się piętrzyło: ziemniaki z wody, gulasz z jagnięcia i fasolka, zerwana w ogródku tego samego dnia, wszystko w dużych ilościach. Mimo tłumionych jęków i stęknień wyrażających obrzydzenie, wszyscy, także Stu, wyczyścili talerze do czysta chlebem, a potem jeszcze zjedli kilka pająd posmarowanych grubo masłem i domowej roboty dżemem z agrestu. Fee usiadła i zjadła w pośpiechu, po czym znów się zerwała, podeszła do podręcznego stołu i tam nałożyła do dużych głębokich talerzy wielkie kawały zwijanego ciasta, które przygotowywała nie żałując cukru i smarując je całe dżemem. Każda porcja została obficie polana gorącym sosem budyniowym i Fee znów nosiła talerze do stołu po dwa naraz. Wreszcie z westchnieniem usiadła; to danie mogła zjeść w spokoju.

– O, pycha! Ciasto z dżemem! – wykrzyknęła Meggie i zaczęła ugniatać łyżeczką żółty budyń, aż zabarwiły go różowe smugi dżemu sączącego się ze środka.

– Tak, Meggie. dziś twoje urodziny, więc mama przygotowała twoją ulubioną leguminę – powiedział ojciec z uśmiechem.

Tym razem nikt nie narzekał. Deser, jaki bądź, konsumowano zawsze z zapalem. Cała rodzina Clearych miała słabość do słodczy.

Nikt nie miał ani funta nadwagi, mimo dużych ilości pożywienia zawierającego skrobię. Wszystko co jedli, spalali do ostatka w czasie pracy i zabawy. Warzywa i owoce jedzono dla zdrowia, ale to chleb, ziemniaki, mięso i gorące mączne leguminy broniły ich przed

wyczerpaniem.

Kiedy Fee z olbrzymiego czajnika naląła wszystkim po filiżance herbaty, siedzieli jeszcze rozmawiając i czytając przez ponad godzinę. Paddy pykał z fajki z nosem w wypożyczonej z biblioteki książce, Fee wciąż komuś dolewała herbaty, Bob pogrążył się w lekturze innej książki z biblioteki, a młodsze dzieci snuły plany na jutro. Szkoła została zamknięta na długie letnie wakacje i chłopcy odzyskawszy swobodę palili się do tego, żeby rozpocząć przydzielone im prace w domu i w ogrodzie. Bob musiał odmalować zewnętrzne ściany domu tam, gdzie złuszczyła się farba, Jack i Hughie mieli zająć się składem drewna, budynkami gospodarczymi i dojeniem, a Stuartowi powierzono pieczę nad warzywami; igraszka w porównaniu z okropieństwami szkoły. Od czasu do czasu Paddy unosił głowę znad książki i dodawał jakieś zajęcie do tej listy, Fee nie odzywała się, a Frank siedział przygarbiony ze zmęczenia i pił herbatę filiżanka za filiżanką.

Wreszcie Fee skinęła na Meggie, żeby usiadła na wysokim stołku, nawinęła jej loki na gałganki, a potem odesłała do łóżka razem ze Stu i Hughiem. Jack i Bob spytali, czy mogą wstać od stołu, i wyszli nakarmić psy. Frank zaniósł lalkę Meggie do drugiego stołu i zabrał się za przyklejanie oderwanych włosów. Przeciągając się Paddy zamknął książkę i odłożył fajkę do wielkiej, mieniącej się tęczowo muszli paua, która służyła mu za popielniczkę.

– No, matko, idę spać.

– Dobranoc, Paddy.

Fee zebrała naczynia ze stołu, przy którym jedli, i zdjęła z haka wiszącą na ścianie ocynkowaną balię. Postawiła ją na drugim końcu stołu, przy którym pracował Frank, dźwignęła z pieca żeliwny czajnik i napełniła balię gorącą wodą. Ostudziła zimną wodę ze starej puszki po nafcie. Pławiąc w kąpieli mydło zamknięte w drucianym koszyku, Fee zaczęła myć i płukać naczynia.

Frank pochylał się pracowicie nad lalką, ale kiedy urósł stos talerzy, wstał bez słowa, przyniósł ścierkę i zaczął je wycierać. Krążył między stołem a kredensem z wprawą świadcząca, że zajęcie to od dawna nie jest mu obce. Obydwoje ukradkiem, pełni lęku grali w tę grę, gdyż najsurowsza zasada w domu rządzonym przez Paddy'ego dotyczyła właściwego podziału obowiązków. Prowadzenie domu należało do kobiety, koniec, kropka. Żadnemu członkowi rodziny płci męskiej nie wolno było przyłożyć ręki do kobiecego zajęcia. Ale co wieczór, kiedy Paddy szedł spać, Frank pomagał matce, a Fee działała z nim w cichej zmowie, odkładając zmywanie aż do chwili, kiedy usłyszeli stuk spadających na podłogę kapti. Kiedy Paddy zrzucił kaptie, nie przychodził już potem do kuchni.

Fee popatrzyła łagodnie na Franka.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Frank – powiedziała. – Nie powinieś mi pomagać. Będziesz rano zmęczony.

– Drobiazg, mamó. Nie umrę od tego, że powycieram parę talerzy. A tobie będzie choć trochę lżej.

– To mój obowiązek, Frank. Przywykłam.

– Tak bym chciał, żebyśmy się kiedyś wzbogacili i żebyś miała służącą.

– To dopiero czcze marzenia! – Wytarła w ścierkę czerwone, ociekające mydlaną wodą ręce i z westchnieniem wzięła się pod boki. Spojrzała na syna z troską, wyczuwała bowiem w jego głosie gorycz i niezadowolenie silniejsze niż to, z jakim parobek zwykle narzeka na swój los. – Lepiej odpędź te wielkopańskie myśli, Frank. Z tego mogą być tylko kłopoty. Jesteśmy robotnikami rolnymi, a to znaczy, że się nie bogacimy ani nie trzymamy służących. Bądź zadowolony z tego, kim jesteś i co masz. Kiedy mówisz takie rzeczy, obrażasz tatę, a on na to nie zasługuje. Wiesz o tym. Nie pije, nie hazarduje się i strasznie ciężko na nas pracuje. Ani grosza z tego co zarobi, nie chowa do własnej kieszeni. Wszystko oddaje dla nas.

Smągła twarz matki nabrała zaciętego, ponurego wyrazu, ramiona pochyliły się do przodu w geście zniecierpliwienia.

– Ale dlaczego życie ma być tylko harówką? Nie rozumiem, co w tym złego, że wyraziłem życzenie, żebyś miała służącą.

– To jest złe, bo niemożliwe do spełnienia! Wiesz, że nie mamy pieniędzy na twoją naukę, a jeżeli nie możesz się uczyć, to jakim sposobem mógłbyś zostać kimś więcej niż parobkiem? Twoja mowa, twoje ubranie, twoje ręce wreszcie świadczą o tym, że utrzymujesz się z pracy fizycznej. To nie hańba mieć ręce zgrubiałe od pracy. Jak mówi tata, kiedy człowiek ma spracowane ręce, wiadomo, że jest uczciwy.

Frank wzruszył ramionami i nie powiedział nic więcej. Naczynia zostały odłożone na miejsce; Fee wyjęła koszyk z przyborami do szycia i usiadła na krześle Paddy’ego koło pieca, a Frank zajął się znów reperacją lalki.

– Biedna Meggie! – odezwał się raptem.

– Czemu biedna?

– Kiedy ci dwaj smarkacze szarpali jej lalkę, ona stała obok i płakała tak, jakby cały świat rozpadł się na kawałki. – Spojrzał na lalkę, ustrojoną na powrót we włosy. – Agnes! Skąd, u licha wytrzasnęła takie imię?

– Słyszała pewno, jak mówiłam o Agnes Fortescue-Smythe.

– Kiedy zwróciłem jej lalkę, zajrzała do głowy i omal nie umarła ze strachu. Przeraziły ją chyba jej oczy, sam nie wiem dlaczego.

– Ciągle ma jakieś przywidzenia.

– Szkoda, że nie ma dość pieniędzy, żeby młodsze dzieci mogły się uczyć dalej. Są takie inteligentne.

– Och, Frank! Gdyby gruszki rosły na wierzbie... – powiedziała znużonym głosem matka. Przesunęła po oczach drżącą ręką i wetknęła igłę do cerowania głęboko w kłębek szarej włóczki. – Już więcej nie mogę. Taka jestem zmęczona, że nie widzę dobrze.

– Idź spać mamó. Ja zgaszę lampy.

– Tylko jeszcze podłóżę do pieca.

– Ja to zrobię.

Wstał od stołu i ostrożnie położył delikatną porcelanową lalkę na kredensie za blaszanym pudełkiem na ciastka, gdzie była bezpieczna. Nie martwił się o to, że chłopcy mogliby znów ją porwać; bardziej się bali jego zemsty niż ojcowskiej kary, gdyż Frank potrafił być mściwy. Przy matce czy siostrze nigdy tego nie okazywał, ale wszyscy bracia ucierpieli z tego powodu.

Fee patrzyła na niego z bólem serca. Frank miał w sobie coś nieokiełzanego, coś, co zapowiadało kłopoty. Gdyż tylko on i Paddy lepiej się rozumieli! Ale oni nigdy się ze sobą nie zgadzali i stale kłócili. Może Frank za bardzo się o nią troszczył, zanadto był do niej przywiązany. Jeśli tak, to z jej winy. A przecież świadczyło to o jego kochającym sercu, jego dobroci. Chciał tylko trochę jej ulżyć. I znów ogarnęła ją tęsknota za dniem, kiedy Meggie dorosła na tyle, żeby zdjąć ten ciężar z barków Franka.

Wzięła ze stołu małą lampę, a potem odstawiła ją i podeszła do przykucniętego przed piecem Franka, który ładował szczapy do dużego paleniska i poruszał zasuwą w kominie. Sznury żył uwydatniały się na białym przedramieniu, a brud na szczupłych dłoniach wżarł się tak głęboko, że nie dawał się już zmyć. Fee nieśmiało wyciągnęła rękę i leciutko odgarnęła proste, ciemne włosy opadające mu na oczy; na większą pieśczość nie potrafiła się zdobyć.

– Dobranoc, Frank. Dziękuję ci.

Cienie przetaczały się i odskakiwały przed zbliżającym się światłem, kiedy Fee po cichu wychodziła przez drzwi prowadzące do frontowej części domu.

Frank i Bob zajmowali pierwszą sypialnię. Bezszelestnie pchnęła drzwi i uniosła lampę, oświetlając stojące w kącie podwójne łóżko. Bob leżał na plechach z rozchyłonymi ustami, wzdrygając się i drżąc jak pies. Podeszła do łóżka i przekręciła go na prawy bok, zanim senny

koszmar zawładnął nim całkowicie, a potem przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. Jakiż był podobny do Paddy'ego!

W sąsiednim pokoju Jack i Hughie leżeli niemal spleceni ze sobą. Okropne łobuziaki! Nie przestawali psocić ani na chwilę, ale nie mieli w sobie złośliwości. Na próżno usiłowała ich rozdzielić i jako tako uporządkować pościel, dwaj kędzierzawi rudzielcy nie pozwolili na to. Z cichym westchnieniem dała im spokój. Nie mogła pojąć, jakim cudem odzyskiwali siły po takim nocnym wypoczynku, niemniej służył im znakomicie.

Pokój, w którym spała Meggie ze Stuartem, był za ciemny i za smutny jak dla małych dzieci; cały pomalowany na nieciekawą brązową kolor, z brązowym linoleum na podłodze i bez choćby jednego obrazka na ścianie. Dokładnie taki sam jak pozostałe sypialnie. Stuart przekręcił się na brzuch i widać było tylko jego małą, okrytą nocną koszulą pupę, która wystawała spod okrycia tam, gdzie powinien mieć głowę. Okazało się, że głowę ma przy kolanach i Fee jak zwykle dziwiła się w duchu, że się nie udusił. Ostrożnie przesunęła ręką po prześcieradle i znieruchomiła. Znów mokro! Trudno, poczeka z tym do rana, kiedy z pewnością mokra będzie również poduszka. Zawsze to robił, odwracał się i siusiał jeszcze raz. Trudno, jeden na pięciu moczający się chłopiec to nie tak źle.

Zwinięta w kłębek Meggie ssała palec, loki nawinięte na gałganki rozsypały się wkoło. Jedyna córka. Przed odejściem Fee obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem; Meggie nie kryła w sobie żadnej tajemnicy, była dziewczynką. Wiedziała, jaki czeka ją los, nie zazdrościła jej ani nie współczuła. Co innego chłopcy; cuda alchemii, mali mężczyźni wyczarowani z jej kobiecego ciała. Ciężko jej było bez pomocy w domu, ale opłacało się sownicie. W męskim gronie, fakt, że Paddy posiadał synów, stanowił najlepszą rękojmię jego charakteru. Mężczyzna, który płodzi synów, to prawdziwy mężczyzna.

Fee cicho zamknęła drzwi do swojej sypialni i odstawiła lampę ma komodę. Zwinne palce sfrunęły wzdłuż kilkudziesięciu guziczków od wysokiego kołnierzyka aż do bioder sukni, którą następnie ściągnęła z rąk. Fee zsunęła też z ramion koszulkę i przytrzymując ją starannie przy piersiach narzuciła na siebie długą flanelową koszulę nocną. Dopiero wówczas, przyzwyczajona okryta, uwolniła się od koszulki, reform i luźno zasnuwanego gorsetu. Ciasno upięte złote włosy opadły na dół, kiedy wyjęła przytrzymujące je szpilki i położyła je na komodę. Lecz nawet one, choć tak piękne, gęste błyszczące i zupełnie proste, nie zaznały wolności. Fee uniosła łokcie w górę, sięgając dłońmi na kark, i zaczęła szybko splatać warkocz. Potem obróciła się w stronę łóżka, odruchowo wstrzymując oddech; Paddy spał, więc westchnęła głęboko z ulgą. Owszem, odczuwała przyjemność, gdy Paddy w miłosnym nastroju obdarzał ją nieśmiałościami i czułymi pieścizkami troskliwego kochanka, ale zanim Meggie trochę nie podrośnie, byłoby naprawdę ciężko mieć jeszcze jedno dziecko.

## Rozdział drugi

Kiedy rodzina Clearych szła w niedzielę do kościoła, Meggie zostawała w domu z któryś z starszych chłopców, z utęsknieniem wyczekując dnia, kiedy będzie na tyle duża, żeby pójść razem ze wszystkimi. Pdraic Cleary uważał, że małe dzieci nie powinny przebywać w żadnym domu oprócz swojego, i zasada ta rozciągała się nawet na dom boży. Wszyscy wiedzieli, że Meggie pójdzie do kościoła dopiero wtedy, kiedy zacznie chodzić do szkoły i będzie się po niej można spodziewać, że usiedzi w miejscu. Nie wcześniej. Dlatego co niedziela Meggie stała rano niepokieszona przy bramie koło ostrokrzewu, podczas gdy rodzina ładowała się na starą dwukołówkę, a brat pozostawiony do przypilnowania jej udawał zachwyconego tym, że ominie go msza. Jedynym wśród Clearych, który rozstawał się z radością z resztą rodziny, był Frank.

Religia stanowiła nieodłączny składnik życia Paddy'ego. Zanim wziął katolicki ślub z Fee, musiał zabiegać o zgodę, gdyż Fee należała do kościoła anglikańskiego. Porzuciła wprawdzie swoją wiarę dla Paddy'ego, ale odmówiła przejścia na katolicyzm. Trudno powiedzieć dlaczego, może dlatego, że stary pionierski ród Armstrongów wywodził się z nieskazitelnie anglikańskiego pnia, podczas gdy Paddy był ubogim imigrantem z gorszej części Irlandii, po drugiej stronie rzeki Pale. Armstrongowie żyli w Nowej Zelandii na długo przed przybyciem pierwszych „oficjalnych” osadników, a to stanowiło przepustkę do kolonialnej arystokracji. Z punktu widzenia Armstrongów można było stwierdzić tylko tyle, że Fee popełniła szokujący mezalians.

Roderick Armstrong założył nowozelandzki klan w przedziwnych okolicznościach.

Wszystko zaczęło się od pewnego wydarzenia, które miało pociągnąć za sobą nieprzewidziane skutki dla osiemnastowiecznej Anglii, mianowicie od amerykańskiej wojny o niepodległość. Do 1776 rokrocznie ponad tysiąc brytyjskich przestępców skazanych za drobne przewinienia ładowało w Wirginii i obu Karolinach, gdzie sprzedawano ich na służbę niewiele różniącą się od niewolniczej, co potwierdzała umowa. Brytyjski wymiar sprawiedliwości był w owych czasach surowy i nieugięty: morderstwo, podpalenie, przestępstwo tajemniczo określane jako „cygaństwo” oraz kradzieże na sumę powyżej szylinga podlegały karze szubienicy. Lżejsze przewinienia karano wywiezieniem skazańca do Ameryki Północnej albo Południowej, gdzie miał pozostać do końca życia.

Ale kiedy w 1776 roku obie Ameryki zamknęły granice, Anglia została obarczona szybko rosnącą popularnością kryminalistów, z którą nie miała co począć. Więzienia przepełniły się ponad wszelką miarę, a tych, którzy się w nich nie pomieścili, upychano do butwiejących statków zacumowanych w ujściach rzek. Należało coś z tym fantem zrobić, więc zrobiono. Bardzo niechętnie, gdyż oznaczało to wydatek kilku tysięcy funtów, rozkazano kapitanowi Arthurowi Phillipowi, by wyruszył w podróż do Wielkiego Południowego Lądu. Był rok 1787. Flotyła składająca się z jedenastu statków wiozła ponad tysiąc skazańców, a prócz tego marynarzy, oficerów marynarki i kontyngent piechoty morskiej. W niczym nie przypominało to wspaniałej wyprawy w poszukiwaniu wolności. Pod koniec stycznia 1788 roku, osiem miesięcy po opuszczeniu brzegów Anglii, flota wpłynęła do zatoki Botany. Jego Obląkana Wysokość Jerzy Trzeci mógł się odtąd pozbywać przestępców odsyłając ich na nowe ziemie, do kolonii o nazwie Nowa Walia.

W 1801, w wieku zaledwie dwudziestu lat, Roderick Armstrong został skazany na dożywotnie zesłanie. Potomkowie Armstronga utrzymywali, że pochodził z rodziny szlacheckiej w Somerset, która straciła majątek na skutek rewolucji amerykańskiej, oraz że nie popełnił żadnego przestępstwa, jednak nikt z nich nie dołożył starań, żeby wyjaśnić pochodzenie znakomitego przodka. Cieszyli się odbitym blaskiem jego chwały i trochę fantazjowali. Niezależnie od tego, skąd się wywodził i w jakich obracał się sferach w Anglii,

młody Roderick Armstrong był człowiekiem dzikim i nieokiełznanym. Przez całe osiem miesięcy odbywającej się w warunkach nie do opisania podróży do Nowej Południowej Walii dał się poznać jako uparty, trudny więzień, zaskarbiając sobie względy oficerów statku dodatkowo tym, że za nic nie chciał umrzeć. Kiedy przybył do Sydney w 1803 roku, jego zachowanie jeszcze się pogorszyło, więc wyekspediowano go na wyspę Norfolk, do więzienia dla zatwardziałych przestępców. Nie sprawował się ani trochę lepiej mimo różnych zabiegów, jakim go poddawano. Głodzono go; więziono w ciasnej celi, w której nie mógł ani siedzieć ani stać, ani leżeć; chłostano do żywego mięsa; przykuto do skały w morzu, gdzie omal nie utonął. Ale on śmiał się w nos swoim prześladowcom, choć wyglądał jak bezzębny szkielet obleczony w skórę i brudne łachmany, od stóp do głów pokryty bliznami, ożywiany wewnętrznym ogniem goryczy i buntu, którego nic nie mogło ugasić. Z początkiem każdego dnia postanawiał, że nie umrze, a pod koniec dnia śmiał się triumfalnie z tego, że żyje.

W 1810 odesłano go do Kraju Van Diemena, gdzie połączony łańcuchem z grupą innych więźniów miał wykuwać drogę w twardym jak żelazo piaskowcu za osadą Hobart. Przy pierwszej okazji użył kilofa po to, żeby zrobić nim dziurę w piersiach podoficera pilnującego robót. Wraz z dziesięcioma innymi skazańcami zmasakrowali dalszych pięciu strażników, po kawałeczku odcinając im ciało od kości, dopóki z przeraźliwym krzykiem i wijąc się z bólu nie wyzionęli ducha. Albowiem zarówno skazańcy, jak ich strażnicy stali się potworami, istotami prymitywnymi, w których obumarły wszelkie ludzkie uczucia. Roderick Armstrong jak nigdy nie mógł pogodzić się z dołą skazańca, tak nie mógł rzucić się do ucieczki pozostawiając swych oprawców bez uszczerbku czy też zadając im szybką śmierć.

Z zapasem rumu, chleba i suszonego mięsa, zabranym strażnikom, jedenastu więźniów przedzierało się wiele mil przez lodowatą dżunglę. Kiedy uciekinierzy dotarli do przystani wielorybników Hobart, ukradli tam szalupę i wyruszyli na Morze Tasmanskie bez jedzenia, bez wody i żagli. Kiedy łódź dobiła do dzikiego zachodniego wybrzeża nowozelandzkiej Wyspy Południowej, przy życiu pozostało trzech zbiegów, wśród nich Roderick Armstrong. Nigdy nie opowiadał o tej nieprawdopodobnej podróży, ale krążyły pogłoski, że ci, którzy przeżyli, zabili i zjedli słabszych współtowarzyszy.

Stało się to zaledwie w dziesięć lat po wyekspediowaniu Armstronga z Anglii. Był jeszcze młodym człowiekiem, choć wyglądał na sześćdziesiąt lat. Do roku 1840, kiedy przybyli do Nowej Zelandii pierwsi pełnoprawni osadnicy, wykarczował dla siebie pola na bogatej nizinie Cantenbury na Wyspie Południowej, „ożenił się” z Maoryską i spłodził trzynaścioro ładnych dzieci, półkrwi Polinezyjczyków. Zaś w roku 1860 Armstrongowie należeli już do kolonialnej arystokracji, wysyłali synów do ekskluzywnych szkół w Anglii, a swoim sprytem i stale powiększanym majątkiem przekonywująco dowiedli, że są rzeczywiście potomkami wyjątkowego, budzącego respekt człowieka. Wnuk Rodericka, James, w 1880 roku został ojcem Fiony, jedynej córki wśród jego piętnaściora dzieci.

Jeżeli Fee brakowało surowszych protestanckich obrzędów jakie pamiętała z dzieciństwa, to nigdy o tym nie mówiła. Tolerowała religijne przekonania Paddy'ego i chodziła z nim do kościoła, a także pilnowała, żeby jej dzieci wielbiły wyłącznie katolickiego Boga. Ponieważ jednak nie zmieniła wyznania, zabrakło w ich domu drobnych akcentów, takich jak modlitwa przed posiłkami, wieczorne pacierze, pobożność na co dzień.

Jeśli nie liczyć tej jednej wyprawy do Wahine przed półtora rokiem, Meggie nie oddaliła się nigdy od domu dalej niż do stodoły i kuźni w kotlinie. W dniu, kiedy miała po raz pierwszy iść do szkoły, była tak podekscytowana, że po śniadaniu zwymiotowała i Fee musiała ją szybko zabrać do sypialni, umyć i przebrać. Ściągnęła z niej śliczny, nowy granatowy mundur, z dużym białym marynarskim kołnierzem i zamiast niego założyła okropną brązową sukienkę, która zapinała się tak wysoko na małej szyi Meggie, że gruby materiał zawsze ją dusił.



– Na litość boską, Meggie, kiedy znów poczujesz, że ci niedobrze, powiedz mi o tym! Nie siedź i nie czekaj, aż będzie za późno, a na mnie spadnie dodatkowe sprzątanie! Teraz będziecie się musieli pośpieszyć, bo jak przyjdziecie po dzwonek, siostra Agata na pewno sprawi ci lanie. Bądź grzeczna i słuchaj braci.

Kiedy Fee wypchnęła wreszcie Meggie przez drzwi razem ze starym tornistrem, w którym były kanapki z dżemem na drugie śniadanie, Bob, Jack, Hughie i Stu podskakiwali koło bramy od frontu.

– Chodź, Meggie, bo się spóźnimy! – krzyknął Bob, ruszając naprzód drogą.

Meggie puściła się biegiem za oddalającymi się braćmi.

Było nieco po siódmej, a łagodne poranne słońce świeciło już od kilku godzin; tylko w głębokim cieniu trawa nie obeschła jeszcze z rosy. Drogę do Wahine tworzyły wyciśnięte w glinianej ziemi koleiny, dwie czerwono-brunatne wstęgi rozdzielone szerokim pasmem jasnozielonej trawy. Po obu stronach traktu, gdzie porządne drewniane ogrodzenia okolicznych posiadłości broniły wstępu na teren prywatny, w wysokiej trawie kwitły obficie lilie i pomarańczowe nasturcje.

Bob szedł zawsze do szkoły po płotach z prawej strony, balansując skórzanym tornistrem na głowie, zamiast zarzucić go na plecy. Płot po lewej stronie należał do Jacka, co pozostawiało środek drogi we władaniu trojga najmłodszych z rodzeństwa. Szli długo pod górę, od kotliny z kuźnią aż do miejsca, gdzie droga do posiadłości Robertsona łączyła się z drogą do Wahine, a tam, u szczytu stromego wzniesienia, zatrzymali się na chwilę zdyszani – pięć głów w rudych aureolach na tle pokrytego obłokami nieba. Najprzyjemniej schodziło się ze wzgórza. Żałując, że nie mają czasu, żeby przekraść się pod płotem pana Chapmana i sturlać się w dół, wzięli się za ręce i pogalopowali trawiastym poboczem niknącym w gęstwinie kwiatów.

Dom Clearych dzieliła od Wahine odległość pięciu mil, nic więc dziwnego, że kiedy Meggie zobaczyła w oddali słupy telegraficzne, nogi, z których opadły skarpetki, drżały pod nią z wysiłku. Bob, wyciągając słuch w oczekiwaniu na dzwonek wzywający do zbiórki, zerkał ze zniecierpliwieniem na Meggie, która z trudem szła naprzód podciągając majtki i od czasu do czasu rozpaczliwie chwytając powietrze otwartymi ustami. Wyzierająca spod puszystych włosów twarz była zaróżowiona, a zarazem dziwnie blada. Bob z westchnieniem podał swój tornister Jackowi i otarł ręce o spodnie.

– Chodź, Meggie, poniosę cię dalej na barana – powiedział szorstko, obrzucając braci groźnym spojrzeniem, żeby przypadkiem nie pomyśleli, że zmiękło mu serce.

Meggie wdrapała się na plecy, podciągnęła tak, żeby ująć go w pasie nogami, i z błogą ulgą wsparła głowę na jego chudym ramieniu. Teraz mogła wygodnie przyglądać się miasteczku.

Nie było wiele do oglądania. Miasteczko Wahine, trochę większe od dużej wsi, ciągnęło się po obu stronach drogi utwardzonej pośrodku żużlem. Największy budynek, miejscowy hotel, wyrastał na wysokości pierwszego piętra, a przed nim ocieniał chodnik daszek wsparty na słupach ustawionych wzdłuż rynsztoka. Drugie miejsce pod względem wielkości zajmował wielobranżowy sklep, również z daszkiem; pod zawalonymi towarami oknami stały dwie długie ławy dla utrudzonych przechodniów. Przed siedzibą łoży masońskiej wznosił się słup, a na jego szczycie łopotiała na ostrym wietrze postrzępiona i wypłowiała flaga brytyjska. Jak dotąd miasteczko nie posiadało jeszcze stacji benzynowej ani warsztatu samochodowego, a to z powodu ograniczonej liczby bezkonnych powozów, ale w pobliżu łoży masońskiej znajdowała się kuźnia, za nią zaś stodoła, gdzie przy siodle dla koni tkwiła wyniosłe pompa do benzyny. Uwagę przykuwał dziwny, nieangielski budynek pomalowany na jasnoniebiesko; poza tym jednym wyjątkiem cała miejscina i kościół anglikański sąsiadowały ze sobą, usytuowane dokładnie naprzeciw kościoła katolickiego pod wezwaniem Serca Jezusowego i szkoły parafialnej.

Kiedy rodzeństwo Clearych mijalo w pośpiechu sklep, zadźwięczał dzwonek parafialny, a po nim potężniejszym głosem rozbrzmiał dzwon na słupie przed szkołą prywatną. Bob ruszył truchtem, a kiedy wbiegli na zwirowany dziedziniec, zebrane tam dzieci ustawiały się właśnie w szeregu przed niziutką siostrą dzierżącą w ręku długi giętki kij wystający jej ponad głowę. Wiedząc, co należy zrobić, Bob skierował młodsze rodzeństwo na bok, z dala od około pięćdziesięciorga dzieci, i stanął ze wzrokiem utkwionym w różgę.

Piętrowy klasztor Serca Jezusowego stał za płotem, odsunięty od drogi, dlatego nie rzucał się w oczy. Trzy szarytki mające tu swoją siedzibę mieszkały na piętrze wraz z czwartą zakonnicą, która prowadziła gospodarstwo i nigdy się nie pokazywała. Na parterze mieściły się trzy duże sale, w których odbywały się lekcje. Prostokątny budynek okalała szeroka, cienista weranda, gdzie w dżdżyste dni pozwalano dzieciom siedzieć grzecznie w czasie przerw, natomiast w czasie pogody zabraniano wstępu. Kilka rozrośniętych drzew figowych ocieniało część przyległego terenu, który za szkołą opadał łagodnie do okrągłego trawnika ochrzczonego dumnym mianem „boiska do krykieta”, zgodnie z głównym celem, jakiemu służył.

Nie zwracając uwagi na tłumione chichoty ustawionych w szeregu dzieci, Bob i jego bracia stali jak wrośnięci w ziemię nawet wtedy, gdy uczniowie pomaszerowali do szkoły w takt marszu „Wiara ojców naszych”, wybębnionego przez siostrę Katarzynę na szkolnym pianinie. Dopiero kiedy ostatnie dziecko zniknęło za drzwiami, nieruchoma jak posąg siostra Agata poruszyła się; szurając habitem po żwirze, aż odskakiwał na boki, zamaszystym krokiem podeszła do czekających Clearych.

Meggie, która nigdy jeszcze nie widziała zakonnicy, rozdziawiła usta. Widok był rzeczywiście niezwykły: trzy fragmenty ludzkiej postaci, czyli twarz i dłonie, nakrochmalony czepiec odcinający się jaskrawą bielą od kruczocznego habitu oraz gruby drewniany różaniec zwisający przy szerokim skórzanym pasie, który obejmował korpulentną postać. Siostra Agata miała stale zaczerwienioną cerę z powodu nadmiaru czystości oraz ucisku ostrych krawędzi czepca, który obramowywał przednią część głowy i oddzielał ją od reszty ciała tak, że trudno ją było nazwać twarzą. Na brodzie, bezlitośnie podwojonej przez przezgniotący czepiec, rosły kępki małych włosków. Zaciśnięte w kreskę usta świadczyły o trudzie, jakiego wymagało od niej wcielanie się w Oblubienicę Chrystusa w kolonialnej dziurze z pozamienianymi porami roku, od niej, która śluby zakonne składała ponad pięćdziesiąt lat temu w łagodnym klimacie opactwa Killarney. Dwa małe szkarłatne wgłębienia widniały po obu stronach nosa, tam gdzie wpijały się weń okrągłe okulary w stalowej oprawce, spoza których spoglądały bladoniebieskie oczy, zgorzkniałe i podejrzliwe.

– No, Robercie Cleary, dlaczego się spóźniłeś? – spytała oschle siostra Agata głosem, w którym zatarł się irlandzki akcent.

– Przepraszam, sostro – odparł Bob tępo, a jego zielononiebieskie oczy utkwione były cały czas w drżącym koniuszku kołyszącej się różgi.

– Dlaczego się spóźniłeś? – powtórzyła.

– Przepraszam, sostro.

– Dziś jest pierwszy dzień nowego roku szkolnego, Robercie Cleary i spodziewałam się, że tego właśnie dnia, jeżeli nie kiedy indziej, dołożysz starań, żeby zjawić się na czas.

Meggie zadrzała, ale zebrawszy całą odwagę pisnęła:

– Proszę siostry, to moja wina!

Wyblakłe niebieskie oczy odwróciły się od Boba i przeszyły na wskroś duszę Meggie, która stała z zadartą głową i szczerością wypisaną na twarzy, nie zdawając sobie sprawy, że łamie podstawową zasadę obowiązującą w odwiecznych zaciętych zmaganiach między nauczycielami a uczniami, mianowicie: nie odzywaj się nigdy bez pytania. Bob kopnął w nogę Meggie, która spojrzała na niego z ukosa, bezgranicznie zdumiona.

– Czemu twoja wina? – spytała zakonnica tak lodowatym tonem, jakiego Meggie w życiu

jeszcze nie słyszała.

– Bo ja zwymiotowałam na stół i na siebie, aż miałam mokre majtki, więc mama musiała mnie umyć i przebrać i dlatego wszyscy się spóźniliśmy – wyjaśniła po prostu Meggie.

Twarz siostry Agaty pozostała niewzruszona, tylko usta naprężyły się, a koniuszek różgi opuścił trochę niżej.

– A kto to? – zażądała wyjaśnienia od Boba tak, jakby pytała o jakiś nowy i szczególnie niemiły gatunek owada.

– To moja siostra Meghann, proszę siostry.

– Wobec tego wytłumacz jej na przyszłość, Robercie, że są takie tematy, o których prawdziwe damy i dżentelmeni nigdy nie wspominają. W żadnym razie, nigdy, przenigdy nie wymieniamy z nazwy jakiegokolwiek części naszej bielizny, o czym wiedzą od razu dzieci z porządnego domu. Wyciągnijcie ręce, wszyscy pięcioro.

– Ale siostrze, to była moja wina! – jęknęła Meggie wyciągając ręce wewnętrzną stroną do góry, w geście oglądanym setki razy w domu w wykonaniu braci.

– Milczeć! – syknęła siostra Agata, obracając się do niej. – Jest mi najzupełniej obojętne, które z was ponosi za to odpowiedzialność. Wszyscy się spóźniliście, a zatem wszyscy zostaniecie ukarani. Sześć różg – wydała wyrok z monotonnym zadowoleniem.

Patrząc z przerażeniem na nieruchome ręce Boba, Meggie zobaczyła, jak długa różga opada ze świstem tak szybko, że ledwie nadążyła za nią spojrzeniem, i uderza z trzaskiem przez środek dłoni, gdzie ciało jest miękkie i delikatne. Na dłoni natychmiast wystąpiła purpurowa pręga. Kolejny cios spadł na jeszcze czulsze miejsce, gdzie palce łączą się z dłonią, a ostatni na opuszki palców, gdzie mózg wyposażył skórę w taką wrażliwość, jaką mają u człowieka jedynie wargi. Siostra Agata celowała z idealną precyzją. Trzy dalsze razy spadły na drugą rękę Boba, po czym siostra zajęła się stojącym obok Jackiem. Bob zbladł, ale nie krzyknął ani nie poruszył się, podobnie jak jego bracia, kiedy przyszła na nich kolej; nawet cichy i łagodny Stu.

Śledząc różgę unoszącą się nad własnymi dłońmi Meggie mimo woli zamknęła oczy, więc nie widziała, jak opada. Ból wybuchł z wielką gwałtownością, piekąc i paląc jej ciało aż do kości; kłująca fala płynęła w górę ręki, gdy spadł następny cios, który poczuła aż w ramieniu; ostatnie uderzenie szarpnęło czubki palców i strzeliło tą samą drogą, do samego serca. Zacisnęła zęby na dolnej wardze i przygryzła ją, bo wstyd i duma nie pozwalały jej płakać, a złość i oburzenie z powodu doznanej niesprawiedliwości sprawiły, że nie śmiała otworzyć oczu i spojrzeć na siostrę Agatę; nauka zapadała w pamięć, choć jej sens nie pokrywał się z intencjami zakonniczy.

Ból rąk zaczął ustawać dopiero w czasie przerwy śniadaniowej. Cały ranek Meggie przeżyła otumaniona lękiem i zdumieniem, nie rozumiejąc nic z tego, co inni przy niej mówili i robili. Wepchnięta do dwuosobowej ławki w ostatnim rzędzie w klasie dla najmłodszych dzieci, nie zauważyła nawet, kto razem z nią siedzi, a godziną przerwę spędziła skulona żałością za plecami Boba i Jacka w odosobnionym zakątku dziedzińca. Dopiero surowe polecenie Boba nakłoniło ją do zjedzenia naszykowanych przez Fee kanapek z dżemem agrestowym.

Kiedy rozległ się dzwonek wzywający na popołudniowe lekcje, Meggie znalazła sobie miejsce w szeregu i wreszcie zaczęła spostrzegać, co się wokół niej dzieje. Wspomnienie hańbiącej chłosty paliło ją tak jak przedtem, ale głowę trzymała uniesioną wysoko i udawała, że nie zauważa trącających się i szepczących koło niej dziewczynek.

Siostra Agata stała z różgą z przodu; siostra Declan krążyła w tę i z powrotem z tyłu, za szeregami; siostra Katarzyna zasiadła przy pianinie tuż za drzwiami prowadzącymi do klasy dla najmłodszych i zaczęła grać: „Naprzód, żołnierze Chrystusa”, mocno wybijając rytm na dwie czwarte. Ścisłe rzecz biorąc, był to hymn protestancki, ale wojna sprawiła, że uznali go za swój różne wyznania. Drogie dziatki maszerują w jego takt jak mali żołnierze – myślała z

dumą siostra Katarzyna.

Spśród trzech sióstr siostra Declan stanowiła wierną kopię siostry Agaty, tyle, że o piętnaście lat młodszą, natomiast siostra Katarzyna, też oczywiście Irlandka, zachowywała jeszcze resztki ludzkich uczuć. Miała niewiele ponad trzydzieści lat i nadal ożywia ją płomień żarliwości; wciąż znajdowała radość w nauczaniu, wciąż dostrzegała nieśmiertelny wizerunek Chrystusa w zwróconych do niej z takim uwielbieniem twarzyczkach. Ale uczyła najstarsze dzieci, które siostra Agata uznała za przygotowane różgą do dobrego zachowania przy młodej i łagodnej opiekunce. Siostra Agata osobiście zajmowała się urabianiem umysłów i serce najmłodszych dzieci, pozostawiając środkowe klasy w rękach siostry Declan.

Bezpiecznie ukryta w ostatnim rzędzie, Meggie ośmieliła się zerknąć z ukosa na dziewczynkę siedzącą obok w ławce. Jej bojaźliwe spojrzenie napotkało otwartą w uśmiechu szczerbatą buzię, twarz o ciemnej, lekko lśniącej cerze i wielkie okrągłe oczy, przyglądające się jej ciekawie. Dziewczynka urzekła Meggie; przyzwyczajona do jasnej cery i piegów, bo nawet ciemnowłosa i ciemnooki Frank miał białą cerę, Meggie uznała, że jej sąsiadka to najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziała.

– Jak ci na imię? – wymamrotała półgębkiem ciemna piękność, żując koniec ołówka i wypływając odgryzione kawałeczki do pustej dziury na kałamarz.

– Meggie Cleary – szepnęła w odpowiedzi.

– Ty tam! – dobiegł z przodu klasy oschłym szorstki głos.

Meggie podskoczyła, rozglądając się ze zdumieniem. Rozległ się głuchy stukot ołówków odkładanych pośpiesznie przez wszystkie dwadzieścioro dzieci i cichy szelest cennych kartek papieru odsuwanych na bok, żeby ukradkiem oprzeć łokieć na ławce. Z sercem ściśniętym i uciekającą gdzieś do pięt Meggie spostrzegła, że wszyscy na nią patrzą. Siostra Agata szła szybko przejściem między ławkami, co tak przeraziło Meggie, że gdyby tylko miała dokąd, rzuciłaby się na łeb na szyję do ucieczki. Ale za jej plecami znajdowało się przepierzenie oddzielające salę dla oddziału średniego, po obu stronach drogę zagrażdzały ławki, a od przodu zbliżała się siostra Agata. Oczy jej zogromniały wypełniając ściągniętą twarzą, kiedy zdławiona strachem wbiła wzrok w zakonnicę, zaciskając i rozwierając dłonie oparte na blacie ławki.

– Mówiłaś coś, Meghann Cleary?

– Tak, siostrze.

– I co powiedziałaś?

– Jak się nazywam, siostrze.

– Jak się nazywasz! – powtórzyła szyderczo siostra Agata, oglądając się na pozostałe dzieci, jakby i one powinny bezwzględnie odczuwać taką samą wzdętość. – No, dzieci, czyż nie jesteśmy zaszczyceni? Jeszcze jedna Cleary w naszej szkole nie może się powstrzymać od tego, żeby ogłosić, jak się nazywa! – Zwróciła się z powrotem do Meggie: – Wstań, kiedy do ciebie mówię, głupia dzikusko! I wyciągnij ręce, proszę.

Meggie wysunęła się z ławki, długie loki opadły jej na twarz, a potem sprężyście odskoczyły. Splotła ręce i załamała je rozpaczliwie, ale siostra Agata nie drgnęła, tylko czekała, czekała, czekała... Wreszcie jakimś cudem Meggie zmusiła się do tego, żeby wyciągnąć ręce, ledwie jednak różga świsnęła, cofnęła je szybko z jękiem przerażenia. Siostra Agata zatopiła palce w upiętych na szczycie głowy Meggie i pociągnęła do siebie, aż jej twarz znalazła się na wprost tych okropnych okularów.

– Wyciągnij ręce, Meghann Cleary – zabrzmiało to uprzejmem, zimno, nieubłagane.

Meggie otworzyła usta i zwymiotowała prosto na habit siostry Agaty. Wszystkie dzieci w klasie ze zgrozą wstrzymały oddech, siostra Agata stała z twarzą purpurową z wściekłości i zdumienia, a obrzydliwa maź skapywała po czarnych fałdach na podłogę. Potem poszła w ruch różga, pod gradem ciosów Meggie wyrzuciła ręce w górę osłaniając twarz i skuliła się w kącie wstrząsana mdłościami. Kiedy zmęczona wymierzaniem kary ręka nie mogła już unieść

różgi, siostra Agata wskazała drzwi.

– Marsz do domu, ty odrażająca filistynko – powiedziała, obróciła się na pięcie i wyszła do klasy siostry Declan.

Rozgorączkowanym wzrokiem Meggie odnalazła Stu; kiwnął głową na znak, że musi zrobić, co jej każą, a jego łagodne zielononiebieskie oczy wyrażały współczucie i zrozumienie. Ocierając usta chusteczką i potykając się, wyszła przez drzwi, a potem na dziedziniec. Dzieci miały rozejść się do domów dopiero za dwie godziny. Meggie ruszyła więc ulicą, nieciekawą niczego, przekonana, że chłopcy jej nie dogonią, a zbyt wylękniona, żeby znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby na nich zaczekać. Wiedziała, że musi iść do domu sama i przyznać się do wszystkiego mamie.

Fee, uginająca się pod ciężarem kosza z mokrą bielizną, omal się o nią nie potknęła wychodząc przez drzwi kuchenne. Meggie siedziała na najwyższym stopniu werandy ze spuszczoną głową, z jasnymi lokami pozlepianymi na końcach i pobrudzoną z przodu sukienką. Odstawiwszy ciężący ku ziemi kosz, Fee westchnęła i odgarnęła sprzed oczu niesforne pasmo włosów.

– No, co się stało? – spytała zmęczonym głosem.

– Zwymiotowałam na siostrę Agatę.

– O, Boże! – jęknęła Fee podpierając się pod boki.

– I dostałam lanie – szepnęła Meggie z niewypłakаныmi łzami w oczach.

– Ładna historia, nie ma co. – Fee dźwignęła koszyk balansując ciałem, aż zrównoważyła jego ciężar. – Nie wiem, Meggie, co z tobą zrobić. Musimy poczekać na tatę. Zobaczmy, co powie. – Po tych słowach odeszła przez podwórko do sznurów w części obwieszonych już łopoczącą bielizną.

Z rezygnacją pocierając twarz dłońmi, Meggie patrzyła przez chwilę za matką, potem wstała i ruszyła ścieżką w dół, do kuźni.

Frank skończył właśnie podkuwać gniadą kobyłę pana Robertsona i wprowadził ją do boksu, kiedy w progu stanęła Meggie. Odwrócił się, ujrzał ją i w okamgnieniu opadły go wspomnienia strasznych cierpień, których sam doznał w szkole. Meggie była taka mała, po dziecinnemu pulchna, niewinna i słodka, ale blask jej oczu został brutalnie zgaszony i tliło się w nich coś, co obudziło w nim chęć zamordowania siostry Agaty. Chciał ją udusić, naprawdę udusić, chwycić za podwójny podbródek i ścisnąć... Odłożył narzędzia, zrzucił fartuch i szybko do niej podszedł.

– Co się stało, kochanie? – spytał pochylając się, aż ich twarze znalazły się na wprost siebie. Woń wymiocin biła od niej jak niezdrowe wyziewy, ale zdusił w sobie odruch, żeby się odwrócić.

– Och, Fra-Fra-Frank! – zaszlochała, wykrzywiła twarz i z jej oczu popłynęły wreszcie długo wstrzymywane łzy. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się gorąco, popłakując dziwnie cicho i boleśnie, jak wszyscy w tej rodzinie, kiedy rozstawali się z dzieciństwem. Okropny widok – taka rozpacz, której nie ukoją czułe słowa ani pocałunki.

Kiedy Meggie uspokoiła się, Frank wziął ją na ręce i zaniósł na stertę pachnącego siana przy kobyłę pana Robertsona; usiedli tam razem, ukryci przed całym światem, pozwalając, żeby koń skubał po brzegach ich wonne posłanie. Głowa Meggie spoczywała na nagim, gładkim torsie Franka, kosmyki jej włosów unosił w powietrzu oddech prychającego z zadowolenia konia.

– Dlaczego ona zabiła nas wszystkich, Frank? – spytała Meggie.

– Powiedziałam jej, że to moja wina.

Frank przyzwyczaił się już do otaczającego ją zapachu i nie zwracał nań uwagi; wyciągnął rękę i w zamyśleniu pogładził kobyłę po pysku, odpychając ją, kiedy z ciekawości zanadto się zbliżała.

– Jesteśmy biedni, Meggie, to główna przyczyna. Zakonnice nienawidzą biednych

uczniów. Kiedy pobędziesz tam kilka dni w tej parszywej szkole, przekonasz się, że siostra Agata wyładowuje się nie tylko na Clearych, ale też na Marshallach i MacDonaldach. Wszyscy jesteśmy biedni. Gdybyśmy byli bogaci i jeździli do szkoły dużym powozem jak O'Brienowie, wtedy by koło nas skakały. Ale nas nie stać na ofiarowywanie organów do kościoła, złotych szat do zachrystii ani nowego konia z bryczką dla sióstr. Dlatego my się nie liczymy. Mogą z nami robić, co chcą. Pamiętam, jak kiedyś siostra Agata była na mnie taka wściekła, że bez przerwy krzyczała: „Płacz, na miłość boską! Wydaj z siebie jakiś dźwięk, Francisie Cleary! Gdybyś dał mi tę satysfakcję i ryknął, tobym cię nie biła tak mocno i tak często!” To jeszcze jeden powód, dla którego nas nienawidzi; pod tym względem jesteśmy lepsi od Marshallów i MacDonaldów. Nie może zmusić Clearych do płaczu. Chciałaby, żebyśmy się przed nią płaszczyli. No więc powiedziałem chłopakom, co zrobię, jeśli któryś z Clearych choć raz jęknie przy chłóście, a to się odnosi również do ciebie, Meggie. Choćby nie wiem jak mocno cię biła, nie wolno nawet pisać. Płakałaś dzisiaj?

– Nie, Frank – odparła ziewając. Powieki jej opadały, a kciuk na ślepo macał po twarzy szukając ust. Frank położył Meggie na sianie i z uśmiechem, nucąc pod nosem, wziął się za swoją robotę.

Meggie wciąż jeszcze spała, kiedy do kuźni wszedł Paddy. Kapelusz o szerokim rondzie miał nasunięty głęboko na oczy, a ręce ubrudzone po łokcie, bo wyrzucał dziś gnój z obory pana Jarmana. Popatrzył na Franka, który z wirującym wokół głowy wieńcem iskier wykuwał na kowadle ośkę, a potem przeniósł wzrok na zwiniętą w kłębek na sianie córkę, nad której uśpioną twarzyczką zwiesiła łeb gniada kobyła pana Robertsona.

– Właśnie myślałem, że tu ją znajdę – powiedział Paddy rzucając na ziemię krótki bat i prowadząc starego deresza do tej części stodoły, która służyła za stajnię.

Frank kiwnął głową obrzucając ojca mrocznym, niepewnym spojrzeniem, które zawsze tak złościło Paddy'ego, i na powrót zajął się rozgrzaną do białości osią, a nie osłonięte ciało lśniło mu od potu.

Zdjąwszy siodło Paddy wprowadził deresza do boks, napełnił wodą poidło, a potem mieszając otręby i owies z odrobiną wody przygotował paszę. Koń prychał przyjaźnie, kiedy Paddy napełniał mu żłób, a potem patrzył za nim, kiedy wyszedł przed kuźnię do dużego koryta i zdjął koszulę. Paddy umył się do pasa, ochlapując sobie wodą spodnie i włosy. Wycierając się starym workiem spojrzał pytająco na syna.

– Mama mówiła, że Meggie została ukarana i odesłana do domu. Wiesz, co się właściwie stało?

Frank przestał kuć oś, w której ostygł żar.

– Zwymiotowała na siostrę Agatę, biedactwo.

Paddy szybko przetarł ręką twarz ukrywając uśmiech, przez chwilę gapił się w ścianę, żeby się opanować, a potem spojrzał na Meggie.

– Tak się przejęła tym, że idzie do szkoły, hm?

– Nie wiem. Zrobiło jej się niedobrze rano, zanim wyszli, a to zatrzymało ich na tyle długo, że spóźnili się na dzwonek. Wszyscy dostali po sześć razy różgą, a Meggie strasznie się zdenerwowała, bo uważała, że tylko ją się powinno ukarać. Po przerwie śniadaniowej siostra Aga znów się na nią rzuciła i Meggie obryzgała jej czysty czarny habit chlebem z dżemem.

– I co potem?

– Siostra Aga sprawiła jej porządne lanie i odesłała do domu.

– No tak, myślę, że już dostatecznie została ukarana. Mam dużo szacunku do sióstr i wiem, że nie nasza to rzecz krytykować, co robią, ale wolałbym, żeby mniej skwapliwie chwytaly za różgę. Rozumiem, że muszą wbić w tępe irlandzkie głowy trochę rachunków, nauczyć nas czytania i pisanie, ale to był przecież pierwszy dzień w szkole dla małej Meggie.

Frank przyglądał się ojcu ze zdumieniem. Nigdy dotąd Paddy nie rozmawiał z najstarszym

synem jak mężczyzna z mężczyzną. Zaskoczony, zapominając o ustawicznej niechęci do ojca, Frank pojął, że Paddy z dumą chwali się swoimi synami, to najbardziej kocha Meggie. W tej chwili omal nie polubił ojca, więc uśmiechnął się bez nieufności, którą zwykle okazywał.

– Rozkoszna kruszyna, prawda? – powiedział.

Paddy z roztargnieniem skinął głową, zapatrzony w córkę. Koń parsknął, aż załopotwały mu wargi; Meggie poruszyła się, przewróciła na bok i otworzyła oczy. Na widok ojca stojącego koło Franka raptownie usiadła, blednąc ze strachu.

– No, Meggie, masz za sobą ciężki dzień, co? – powiedział Paddy. Podszedł i wziął ją na ręce zachłystując się powietrzem, kiedy poczuł, jak cuchnie. Potem wruszył ramionami i mocno ją uściśnął.

– Dostałam lanie, tato – wyznała.

– Nie po raz ostatni, znając siostrę Agatę – odparł ze śmiechem, sadzając ją sobie na ramieniu.

– Chodź, zobaczymy, czy w kociołku znajdzie się trochę gorącej wody, żeby mama mogła cię wykąpać. Śmierdzisz gorzej niż obora Jarmana.

Frank podszedł do wrót, odprowadził wzrokiem dwie płomiennorude głowy poruszające się w rytm kroków idącego pod górę ścieżką Paddy’ego, potem odwrócił się i napotkał łagodne spojrzenie kobyły.

– Chodź, starucho. Pora do domu – powiedział do niej, sięgając po kantar.

Nudności Meggie, jak się z czasem okazało, miały również dobrą stronę. Agata nadal regularnie wymierzała jej chłostę, ale trzymała się zawsze w takiej odległości, żeby uniknąć przykrych konsekwencji, co zmniejszyło siłę i celność uderzeń.

Siedząca obok ciemnowłosa dziewczynka była najmłodszą córką Włocha, właściciela i gospodarza pomalowanej na niebiesko traktierni w Wahine. Nazywała się Teresa Annuzio i była dostatecznie tępą, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi siostry Agaty, ale nie na tyle tępą, żeby stać się jej ofiarą. Kiedy wyrosły jej zęby, uderzająco wypiękniała, a zachwyty Meggie przeszedł w uwielbienie. W czasie przerwy chodziły obejmując się wpół, co było widowym znakiem, że są przyjaciółkami „od serca”, do którego nikt inny nie ma przystępu. I rozmawiały, rozmawiały, rozmawiały.

Którego dnia w czasie przerwy śniadaniowej Teresa zaprowadziła Meggie do traktierni, żeby poznała jej matkę, ojca, dorosłych braci i siostry. Zachwyciła ich płomienna złocistość włosów Meggie, podobnie jak ją zachwycił ciemny koloryt włoskiej urody, porównali ją do anioła, kiedy spojrzała na nich ogromnymi, ślicznie centkowanymi szarymi oczyma. Odziedziczyła po matce trudny do określenia rys szlachetnego pochodzenia, który wszyscy natychmiast wyczuwali, także rodzina Annuziów. Równie gorąca jak Teresa zabiegając o jej względy, poczęstowali ją dużymi frytkami smażonymi w skwierczącym w kotłach jagnięcym łoju i przepyszny filetem z ryby, który po zanurzeniu w rzadkim cieście smażył się w dymiącym koszyku. Meggie jeszcze nigdy nie jadła takich pyszności i marzyła o tym, żeby częściej przychodzić do traktierni na drugie śniadanie. Ale taką wizytę złożyła wyjątkowo, wymagała ona specjalnego zezwolenia zarówno matki, jak zakonnicy.

W domu z jej ust padały wciąż słowa: „Teresa mówi, że” albo „Wiecie, co Teresa zrobiła?”, aż w końcu Paddy huknął, że ma już tej Teresy powyżej uszu.

– Nie powiem, żeby to był dobry pomysł spoufalać się z makaroniarzami – mruknął, wyrażając wspólną dla społeczności brytyjskiej instynktowną nieufność wobec ludzi smagłych bądź pochodzących z nad Morza Śródziemnego. – Makaroniarze są brudni, Meggie, nie myją się wystarczająco często – wyjaśnił niezdecydowanie, kuląc się pod pełnym bolesnego wyrzutu spojrzeniem, jakim obdarzyła go Meggie.

Frank, okrutnie zazdrosny, poparł ojca. Od tej pory Meggie znacznie rzadziej opowiadała w domu o przyjaciółce. Ale domowa dezaprobata nie miała wpływu na przyjaźń, ograniczoną

z powodu odległości do dni i nauki szkolnej. Bobowi i młodszym braciom było w to graj, że Teresa pochłania całą jej uwagę. Dzięki temu mogli do woli uganiać się po dziedzińcu, zapominając o istnieniu siostry.

Niezrozumiałe rzeczy, które siostra Agata wypisywała na tablicy stopniowo zaczęły nabierać sensu i Meggie nauczyła się, że „krzyżyk” oznacza, iż wszystkie liczby daje się do siebie, natomiast „kreseczka”, że odejmuje się liczbę dopisaną pod spodem od liczby zapisanej na górze i na koniec ma się mniej niż na początku. Ze swoją inteligencją byłaby świetną albo nawet wyróżniającą się uczennicą, gdyby tylko udało jej się pokonać lęk przed siostrą Agatą. Ledwie jednak padło na nią świdrujące spojrzenie i suchy starczy głos rzucił krótkie pytanie, zaczynała się jąkać i zacinać gubiąc wątek myśli. Arytmetyka nie sprawiała jej trudności, ale wywołana do ustnej odpowiedzi nie pamiętała, ile jest dwa razy dwa. Umiejętność czytania dała wstęp do świata tak fascynującego, że nigdy nie miała go dość, ale kiedy siostra Agata kazała jej wstać i przeczytać na głos jakiś fragment, nie mogła wymówić słowa „kot” a tym bardziej „miau”. Wydawało jej się, że nieustannie drży słuchając sarkastycznych komentarzy siostry Agaty albo oblewa się rumieńcem, ponieważ reszta klasy śmieje się z niej. Zawsze jej tabliczkę siostra Agata wystawiała na pośmiewisko, zawsze też brała zapisane przez nią pracowicie kartki, żeby zademonstrować, jak brzydko wygląda niechlujne pismo. Zamożniejsze dzieci były szczęśliwymi posiadaczami gumek, ale Meggie mógł posłużyć za gumkę tylko pośliniony czubek palca, którym pocierała popełnione w zdenerwowaniu błędy, aż litery zamazywały się, a papier schodził miniaturowymi kiełbaskami. Było to surowo zakazane i robiły się dziury, ale przywieziona do ostateczności Meggie gotowa była na wszystko, byle uniknąć krytycznych uwag siostry Agaty.

Zanim Meggie zaczęła chodzić do szkoły, głównym obiektem chłosty i złośliwości siostry Agaty był Stuart. Jednak Meggie stanowiła o wiele lepszy cel ataku, gdyż nawet siostrze Agacie trudno było złamać pełen rozmarzenia spokój i godną świętego powściągliwość Stuarta. Natomiast Meggie drżała na całym ciele i robiła się czerwona jak burak, mimo męźnych wysiłków, żeby zachowywać się zgodnie z określonymi przez Franka zasadami Clearych. Stuart głęboko współczuł Meggie i starał się jej ulżyć, umyślnie na swoją głowę ściągając gniew zakonniczy. Ale siostra Agata szybko przejrzała jego fortele i zapalała nowym gniewem z powodu rodowej solidarności okazywanej młodszej siostrze w równym stopniu co braciom. Gdyby ktoś ją spytał, czemu właściwie tak gnębi Clearych, nie potrafiłaby udzielić odpowiedzi. Życie wlało siostrze Agacie do serca tyle gorczy, że trudno jej było pogodzić się z dumą i wrażliwością tej rodziny.

Największym grzechem Meggie była leworęczność. Kiedy ostrożnie wzięła do ręki rysik, rozpoczynając naukę pisania, siostra Agata rzuciła się na nią jak Cezar na Gallów.

– Meghann Cleary, odłóż ten rysik! – zagrzmiała.

I tak zaczęła się wielka bitwa. Meggie była nieuleczalnie, beznadziejnie leworęczna. Kiedy siostra Agata siłą pozaginała jej palce prawej ręki układając je prawidłowo na rysik, Meggie siedząc z ręką uniesioną nad tabliczką czuła zawroty głowy i nie miała najmniejszego pojęcia, jak zmusić utrapioną kończynę do wykonania czegoś, co według siostry Agaty na pewno umiała. Jej umysł jakby ogłuchł, oniemiał i ośleplł; bezużyteczny dodatek w postaci prawej ręki miał tyle wspólnego z jej procesami myślowymi, co palce u nóg. Poprowadziła przerywaną linię do końca tabliczki i poza jej brzeg, bo w żaden sposób nie mogła skrócić, i upuściła rysik jak sparaliżowana. Żadne starania siostry Agaty nie mogły jej nakłonić, żeby prawą ręką napisała „A”. Meggie ukradkiem przekładała rysik do lewej ręki i w niewygodnej pozycji, osłaniając z trzech stron tabliczkę, wypisywała cały rząd pięknych kaligraficznych liter „A”.

Siostra Agata odniosła zwycięstwo. Na porannej zbiórce przywiązała sznurem lewą rękę Meggie do boku i nie uwolniła jej aż do trzeciej po południu, kiedy rozbrzmiał dzwonek kończący lekcje. Nawet w czasie dużej przerwy musiała jeść, chodzić i bawić się z



unieruchomioną lewą stroną ciała. Trwało to trzy miesiące, aż wreszcie nauczyła się pisać prawidłowo, zgodnie z wymogami siostry Agaty, choć kształt liter pozostawiał wiele do życzenia. Na wszelki wypadek, żeby Meggie nie wróciła do dawnego zwyczaju, jeszcze przez dwa miesiące przywiązywano jej lewą rękę do boku. Potem siostra Agata zwołała wszystkich uczniów i kazała im odmówić różaniec w podzięcie Bogu Wszchemogącemu za Jego mądrość, dzięki której Meggie zrozumiała, że źle czyni i musi się poprawić. Wszystkie dzieci boże są praworęczne; leworęczne, zwłaszcza rudowłose, to czarci pomiot.

W ciągu pierwszego roku szkolnego Meggie straciła pulchną sylwetkę małej dziewczynki i bardzo wychudła, choć niewiele urosła. Zaczęła obgryzać paznokcie aż do krwi i z polecenia siostry Agaty musiała obchodzić wszystkie ławki w szkole pokazując ręce, żeby dzieci zobaczyły, jak brzydko wyglądają. I robiła tak, choć połowa dzieci w wieku od pięciu do piętnastu lat obgryzały paznokcie równie zapamiętane.

Fee wyciągnęła butelkę z lekarstwem na przeczyszczenie i posmarowała końce palców Meggie okropnie gorzkim aloesem. Cała rodzina miała pilnować Meggie, żeby nie zmyła aloesu. W szkole dziewczynki spostrzegły wymowne brązowe plamy i Meggie poczuła się upokorzona i zgnębiona. Kiedy włożyła palce do ust, ich smak okazał się nieopisanie przykry, paskudny jak płyn do odkażania owiec. Zrozpaczona, napłuła na chusteczkę i tarła palce tak długo, aż najgorsze zeszło razem z naskórkiem. Paddy wziął trzcinkę, instrument nie tak groźny jak różga siostry Agaty, i sprawił jej lanie, aż skakała po kuchni. Uważał, że nie należy bić dzieci po rękach, twarzy ani pośladkach, tylko po nogach. Po nogach boli tak samo, mówił, a krzywdy się nie robi. Jednakże mimo gorzkiego aloesu, kpin rówieśników, siostry Agaty i trzcinki Paddy'ego Meggie nadal obgryzała paznokcie.

Radością jej życia była przyjaźń z Teresą Annunzio, tylko dzięki temu mogła jakoś wytrzymać w szkole. Podczas lekcji czekała z utęsknieniem na przerwę, żeby móc usiąść razem z Teresą pod drzewem figowym, objąć ją wpół, pozwolić jej się też objąć i rozmawiać, rozmawiać. Teresa snuła opowieści o nadzwyczajnej cudzoziemskiej rodzinie, o różnych lalkach i komplecie naczyń stołowych z niebieskim wzorem jak na prawdziwej porcelanie.

Kiedy Meggie zobaczyła komplet do podwieczorku, ogarnął ją zachwyt. Na komplet składało się sto osiem sztuk – miniaturowe filiżanki, spodki i talerzyki, czajniczek, cukiernica, dzbanuszek na mleko, dzbanuszek na śmietankę, a do tego nożyki, łyżeczki i widelczyki w sam raz dla lalek. Teresa miała mnóstwo zabawek; kochano ją gorąco i otwarcie i spełniano tyle życzeń, na ile pozwalały zasoby finansowe ojca. Obie dziewczynki odnosiły się do siebie z podziwem i zazdrością, choć Teresa nigdy nie pragnęła być tak wychowywana jak Meggie, w surowym kalwińskim duchu. Współczuła jej z tego powodu. Żeby nie wolno było podbiec do matki, uściskać jej i wycałować? Biedna Meggie!

Ze swej strony Meggie w żaden sposób nie potrafiła utożsamić rozpromienionej, korpulentnej i niedużej matki Teresy ze swoją – szczupłą, nigdy się nie uśmiechającą, dlatego nie przyszła jej do głowy myśl: „Chciałabym, żeby mama mnie przytuliła i całowała”. Myślała natomiast: „Chciałabym, żeby mama Teresy przytuliła mnie i pocałowała”. Choć przyznać trzeba, że pocałunki i uściski zajmowały o wiele mniej miejsca w jej wyobraźni niż porcelanowy komplet dla lalek. Taki delikatny, cienki jak płatek, taki piękny! Ach, żeby mieć taki komplet i podawać Agnes herbatę w białej filiżance z ciemnoniebieskim wzorem, stojącej na takim samym wzorzystym spodku!

Podczas piątkowego Błogosławieństwa Przenajświętszego Sakramentu, które odbywało się w starym kościele ozdobionym groteskowymi maoryskimi rzeźbami i malowidłami na suficie, Meggie uklekła, żeby pomodlić się o niebieski komplet dla lalek. Ksiądz Hayes uniósł monstrancję z hostią, która wyczierała przez szklane okienko wśród wysadzanych drogocennymi kamieniami promieni, błogosławiąc schylone głowy wiernych. Wszystkich wiernych prócz Meggie, która nawet nie zobaczyła hostii, tak pochłoneń ją przypomnienie sobie, ile talerzyków ma niebieski komplet Teresy. A kiedy stojący przy organach na galerii

Maorys zaintonował wspaniałą pieśń, myśli Meggie rozpląnęły się w ultramarynowym błękitcie nie mającym nic wspólnego ani z katolicyzmem ani z Polinezją.

Rok szkolny zbliżał się ku końcowi, grudzień i urodziny Meggie zapowiadały nadejście pełni lata i wtedy właśnie Meggie przekonała się na własnej skórze, jak wysoką cenę trzeba czasem zapłacić za spełnienie marzenia. Jak zwykle przed pójściem do szkoły siedziała na wysokim stołku, a Fee czesała ją, co nie było wcale proste. Matka uważała za prawdziwy uśmiech losu, że włosy Meggie, sięgające niemal kolan, kręcały się same. Dziewczynki z prostymi włosami musiały się niezłe namęczyć, kiedy – już jako podlotki – próbowały wyczarować bujną, falującą fryzurę z cienkich, opadających kosmyków. Meggie sypiała z lokami pozawijanymi ciasno na kawałki starego białego prześcieradła podartego na długie pasy a każdego ranka musiała wdrapywać się na stołek, żeby Fee odplątała jej włosy ze szmatek i wyszczotkowała.

Fee brała do lewej ręki jeden długi nierówny lok i posługując się starą szczotką firmy Mason Pearson zręcznie nawijała włosy na palec wskazujący, aż całe pasemko utworzyło lśniący gruby zwój. Potem ostrożnie wyciągała palec ze środka i potrząsała włosami, które rozciągały się w długi, wspaniale gęsty pukiel. Cały ten zabieg powtarzała kilkanaście razy, potem zbierała loki znad czoła i przewiązywała je na czubku głowy świeżo wyprasowaną wstążką z białej tafty: Meggie była gotowa do wyjścia. Inne dziewczynki przychodziły do szkoły uczesane w warkocze, zachowując loki na specjalne okazje, ale w tej kwestii Fee nieugięcie obstawała przy swoim; Meggie powinna cały czas nosić loki i nie jest ważne, że tak trudno co rano znaleźć kilka minut na ten cel. Fee nie zdawała sobie sprawy, że jej troskliwe starania są chybione, gdyż jej córka i tak miała zdecydowanie najpiękniejsze włosy w całej szkole. Przypominając o tym dzień w dzień swoimi lokami, Meggie budziła zazdrość i niechęć.

Czesanie sprawiało ból, ale Meggie tak się przyzwyczaiła, że już tego nie zauważała; nie pamiętała dnia, w którym by ją to ominęło. Silną ręką, w której trzymała szczotkę, Fee szarpała bezlitośnie splątane kępki włosów, aż łzy stawały Meggie w oczach i musiała oburącz przytrzymać się stołka, żeby nie spaść. Był poniedziałek, ostatni tydzień nauki, a do jej urodzin pozostały już tylko dwa dni. Trzymając się kurczowo stołka, myślała o niebieskim komplecie dla lalek, wiedząc, że jest to marzenie, które się nie ziści. Jeden taki komplet znajdował się w sklepie w Wahine, ale zdawała sobie sprawę, że jego koszt znacznie przekracza skromne możliwości ojca.

Raptem Fee wydała dźwięk tak szczególny, że wyrwało to Meggie z zadumy, a siedzący przy stole ojciec i bracia podwracali z zaciekawieniem głowy.

– Chryste Panie! – powiedziała Fee.

Paddy zerwał się na równe nogi, osłupiał; jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Fee wzywała imienia bożego nadaremno. Trzymając w ręku jeden lok Meggie, Fee stała z uniesioną szczotką i malującym się na twarzy przerażeniem i obrzydzeniem. Paddy razem z chłopcami zgromadzili się wokół. Meggie chciała zobaczyć, co się dzieje, i została ukarana policzkiem zadany najeżoną stroną szczotki, aż oczy stanęły jej w łzach.

– Spójrz! – szepnęła Fee, przytrzymując pukiel w słońcu, żeby Paddy mógł lepiej widzieć.

W promieniach słońca włosy błyszcząły tak, że w pierwszej chwili Paddy nic nie zobaczył. Potem zorientował się, że wierzchem dłoni Fee „coś” maszeruje. Wziął do ręki drugi pukiel i wśród refleksów dostrzegł mnóstwo stworzeń ruchliwych i pracowitych. Do pojedynczych pasemek włosów przyklejane były na całej długości kupki białych jajeczek, a małe stworzenia energicznie produkowały następne białe zlepki. We włosach Meggie wrzała praca jak w ulu.

– Ona ma wszy! – oznajmił Paddy.

Bob, Jack, Hughie i Stu spojrzeli raz, po czym podobnie jak ojciec wycofali się na

bezpieczną odległość. Tylko Frank i Fee nie ruszyli się z miejsca, jak urzeczeni wpatrywali się we włosy Meggie, która siedziała żałośnie skulona zastanawiając się, co też takiego zrobiła. Paddy usiadł ciężko na swoim krześle z okrągłym oparciem, wpatrując się w ogień i mrugając oczami.

– To ta cholerna mała Włoszka! – powiedział wreszcie przenosząc spojrzenie na Fee. – Cholerni makaroniarze, brudne zawszone świnię!

– Paddy! – zawołała zgorziona Fee.

– Przepraszam, że przeklinam, matko, ale kiedy pomyślę, że przez tę zatraconą Włoszkę nasza Meggie ma wszy, to mógłbym w tej chwili jechać do Wahine i zburzyć tę ich brudną, śmierdzącą budę! – wykrzyknął uderzając pięścią w kolano.

– Mamo, co to jest? – wykrztusiła Meggie odzyskując głos.

– Patrz, ty brudasio utrapiony! – odparła matka podtykając rękę pod nos. – Masz to na całych włosach, a złapałaś od tej Włoszki, z którą tak się spoufalałaś! I co ja mam teraz z tobą zrobić?

Meggie przez chwilę gapiła się na maleńkiego pasożyta miotającego się na ślepo po ręce Fee w poszukiwaniu gęsciej owłosionego terytorium, a potem zaczęła płakać.

Nie czekając na niczyje polecenie Frank nastawił kocioł, podczas gdy Paddy chodził w tę i z powrotem po kuchni wydając gniewne okrzyki, a jego wściekłość rosła za każdym razem, kiedy spojrzał na Meggie. Wreszcie podszedł do tkwiących w ścianie koło drzwi haczyków, nacisnął na głowę kapelusza i zdjął z gwoźdźca bat.

– Jadę do Wahine, Fee, i powiem temu przekłętemu makaroniarzowi, co może zrobić ze swoimi śmierdzącymi rybami i frytkami. Potem pójdę do siostry Agaty i powiem jej, co myślę o tym, że wpuszcza do szkoły zawszone dzieci!

– Paddy, uważaj! – poprosiła Fee. – A jeżeli to nie była Włoszka? Nawet jeśli ma wszy, to całkiem możliwe, że złapała je razem z Meggie od kogoś innego.

– Bzdura! – uciął pogardliwie Paddy.

Ciężko stąpając zszedł ze schodów i w kilka minut później załomotały kopyta oddalającego się drogą deresza. Fee westchnęła spoglądając z rezygnacją na Franka.

– Zdaje się, że będziemy mieli szczęście, jeśli nie wyląduje w więzieniu. Frank, przyprowadź chłopców. Nie idziecie dziś do szkoły.

Fee dokładnie obejrzała włosy synów, jednego po drugim, potem sprawdziła głowę Franka i kazała mu zrobić to samo ze swoją. Nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek cierpiał na tę samą dolegliwość co biedna Meggie, ale Fee nie zamierzała ryzykować. Kiedy woda w dużym kotle zaczęła wrzeć, Frank zdjął z wieszaka balię do zmywania naczyń i napełnił ją gorącą i zimną wodą pół na pół. Potem przyniósł z szopy pięciogalonową puszkę nafty, wziął z pralni kostkę dziegciowego mydła i zabrał się za Boba. Zanurzył mu głowę w balii, oblał kilkoma łyżkami czystej nafty, po czym namydlił paskudnie tłustą, lepiałą się czuprynę. Temu samemu zabiegowi poddał po kolei wszystkich braci. Nafta i dziegciowe mydło paliły, chłopcy wydzierali się w niebogłosość, tarli oczy i drapali poczerwieniałą, swędzącą skórę na głowie, poprzysięgając straszliwą zemstę wszystkim makaroniarzom.

Fee podeszła do koszyka z przyborami do szycia i wyjęła duże nożyczki. Wróciła do Meggie, która nie śmiała ruszyć się ze stołka, choć siedziała już ponad godzinę, i stanęła nad nią z nożyczkami w ręku, wpatrując się w piękną kaskadę włosów. Potem zaczęła je ścinać – ciach! ciach! – aż wszystkie długie loki legły w połyskliwych kupkach na podłodze, a na głowie Meggie tu i ówdzie zaczęły przeświecać placki białej skóry. Ze wzrokiem wyrażającym powątpiewanie Fee obróciła się do Franka.

– Czy mam je zgolić? – spytała i zacisnęła usta.

Frank wyciągnął rękę w geście protestu.

– Och mamo, nie! Nie! Jeżeli porządnie zmoczymy je naftą, powinno wystarczyć. Proszę cię, nie zgalaj ich!

Tak więc doprowadzono Meggie do drugiego stołu i przytrzymano nad balią, gdzie wylano na jej głowę jedną po drugiej wiele filizanek nafty i natarto żrącym mydłem resztki włosów. Kiedy wynik operacji został uznany za zadawalający. Meggie omalże oślepla, a cała twarz i głowa pokryły się drobnymi pęcherzami. Frank zmiótł obcięte loki na papier i wrzucił je do ognia pod kotłem, a potem wstawił szczotkę do naczynia wypełnionego naftą. Następnie oboje z Fee umyli sobie głowy, chwytając ustami powietrze, tak bardzo dziegiowe mydło drażniło skórę, po czym Frank wziął wiadro i wyszorował podłogę w kuchni płynem do odkażania owiec.

Kiedy kuchnia była sterylna jak szpital, przeszli dalej, do pokoi, pozdejmowali ze wszystkich łóżek koce i prześcieradła i przez resztę dnia gotowali, wykręcali i rozwieszali pościel. Materace i poduszki zarzucili na płot na tyłach domu i spryskali naftą, a dywaniki z bawialni wytrzepali tak, że leciały z nich strzępy. Wszyscy chłopcy zostali zagonieni do pomocy, zwolniono tylko pogrążoną w niełasce Meggie. Powlokła się za stodołę i tam płakała. Głowa pulsowała jej z bólu od szorowania i piekących pęcherzy. Przepelniała ją taka gorycz i wstyd, że nie chciała nawet spojrzeć na Franka, kiedy po nią przyszedł, i nie dała się namówić na powrót do domu.

Skończyło się na tym, że musiał ją zawlec siłą, bo wierzgała nogami i wrywała się, a kiedy późnym popołudniem Paddy wrócił z Wahine, zastał ją wciśniętą w kąt. Spojrzał na jej ostrzyżoną głowę i rozplakał się, potem usiadł na krześle i kołysał się zakrywając twarz rękoma, a zebrani wokół chłopcy przestępowali z nogi na nogę pragnąc znaleźć się jak najdalej stąd. Fee zaparzyła herbaty i nalala filizankę Paddy'emu, kiedy zaczął dochodzić do siebie.

– Co się stało w Wahine? – spytała. – Okropnie długo cię nie było.

– Przyłożyłem batem cholernemu makaroniarzowi i wrzuciłem go do końskiego koryta na podwórzu, to po pierwsze. Potem zauważyłem, że MacLeod stoi przed sklepem i przygląda się, więc powiedziałem mu, co się stało. MacLeod zebrał kilku ludzi w gospodzie i razem wrzuciliśmy do koryta całą rodzinę łącznie z kobietami, a na koniec dolaliśmy parę galonów płynu do odkażania. Potem poszedłem do szkoły i widziałem się z siostrą Agatą. Mówię ci, myślałem, że pęknie z wściekłości, że tego wcześniej nie zauważyła. Wyciągnęła tamtą małą z ławki, żeby obejrzeć jej włosy, no i jakżeby inaczej, pełno wszy. Więc odesłała dziewczynkę do domu i zabroniła jej przyjść, dopóki nie będzie miała czystej głowy. Kiedy stamtąd wychodziłem, siostra Agata razem z siostrą Declan i siostrą Katarzyną sprawdzały wszystkie dzieci w szkole i okazało się, że wiele jest zawszonych. A same siostry drapały się jak szalone, kiedy myślały, że nikt nie patrzy. – Uśmiechnął się na to wspomnienie, ale kiedy znów spojrział na Meggie, spoważniał. Popatrzył na nią surowo. – A co do ciebie, panienko, nie będziesz się więcej zadawała z żadnymi Włochami ani nikim innym oprócz swoich braci. Jeżeli nie odpowiada ci ich towarzystwo, tym gorzej dla ciebie. Przykazuję ci, Bob, masz dopilnować, żeby Meggie nie stykała się w szkole z nikim prócz was, słyszysz?

– Tak, tato – odparł Bob kiwając głową.

Nazajutrz rano Meggie z przerażeniem przyjęła wiadomość, że ma jak zwykle iść do szkoły.

– Nie, nie, nie mogę iść! – jęknęła, chwytając się rękoma za głowę. – Mamo, mam, nie mogę tak iść do szkoły i pokazać siostrze Agacie!

– Owszem, możesz – odparła matka ignorując błagalne spojrzenie Franka. – Będziesz miała nauczkę.

Tak więc Meggie obwiązana chustką ruszyła do szkoły powłócząc nogami. Siostra Agata nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, ale w czasie przerwy dziewczynki doskoczyły do niej i zdarły z niej chustkę, żeby zobaczyć, jak wygląda. Twarz miała tylko trochę zniekształconą, ale odsłonięta głowa wyglądała okropnie, podrażnioną skórę oblepiała gęsta wydzielina. Widząc, co się dzieje, Bob natychmiast podszedł i zabrał siostrę do ustronnego zakątka na

boisku do krykieta.

– Nie zwracaj na nie uwagi, Meggie – powiedział szorstko, niezręcznie zawiązując jej chustkę na głowie i klepiąc po sztywnym ramieniu. – Złośliwe kotki! Żałuję, że nie pomyślałem o tym, żeby złapać parę tych świństw na twojej głowie. Na pewno by się przechowały. A kiedy wszyscy zapomnieliby o tej awanturze, posypałbym parę głów na nowo.

Pozostali bracia zebrali się wokół i wszyscy razem siedzieli pilnując Meggie aż do dzwonka.

Teresa Annunzio zjawiła się w szkole na krótko, w czasie przerwy śniadaniowej, ze zgoloną głową. Usiłowała zaatakować Meggie, ale chłopcy bez trudu ją powstrzymali. Cofając się wyrzuciła prawą pięść do góry i klepnęła naprężony biceps lewą ręką, a choć ten fascynujący i tajemniczy gest nie został przez nikogo zrozumiany, chłopcy gorliwie zapamiętali go na przyszłość.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła Teresa. – Przez to, co twój ojciec zrobił mojemu ojcu, musimy się stąd wyprowadzić do innego okręgu! – Odwróciła się i z krzykiem wybiegła z dziedzińca.

Meggie trzymała głowę uniesioną wysoko i nie uroniła ani jednej łzy. Uczyła się. Nieważne, co myślą inni, powtarzała sobie w duchu, nieważne, nieważne!

Pozostałe dziewczynki unikały jej, po części z obawy przed Bobem i Jackiem, a po części dlatego, że rodzice nakazali im trzymać się od niej z daleka: przyjaźń z którymś z rodu Clearych oznaczała zwykle jakieś kłopoty. Tak więc przez kilka ostatnich dni nauki poddano Meggie totalnemu ostracyzmowi, inaczej mówiąc, traktowano ją jak powietrze. Nawet siostra Agata dostosowała się do nowej taktyki i zamiast na Meggie wyżywała się na Stuarcie.

Uroczystość urodzinową Meggie z dnia powszedniego przełożono na sobotę, kiedy to dostała w prezencie upragniony serwis dla lalek. Ustawiono go na pięknie wykonanym stoliku w kolorze ultramaryny. Stolik ten, wraz z dwoma krzeselkami, Frank zrobił w wolnym czasie, którego nie miał. Na jednym z krzesełek posadzono Agnes w nowej niebieskiej sukience uszytej przez Fee w wolnym czasie, którego także nie miała. Przygnębiona Meggie patrzyła na biało-niebieskie desenie tańczące na każdej sztuce kompletu. Widziała fantastyczne drzewa ze śmiesznymi, puchatymi kwiatami, małą pagodę ozdobioną ornamentami, dziwnie znieruchomiałe dwa ptaki i maleńkie postacie w wiecznej ucieczce przez krzywy mostek. Wszystko to straciło cały swój urok. Meggie pojęła jednak mgliście, dlaczego rodzina wysupłała ostatni grosz, żeby zdobyć coś, co w ich przekonaniu miało dla niej wielką wartość. Zatem posłusznie zaparzyła herbatę dla Agnes w maleńkim kanciastym czajniczku i udając zachwyt odegrała rytuał podawania herbaty. Od tamtej pory przez wiele lat z uporem posługiwała się naczyniami i żadnego z nich nie zbiła ani nawet nie nadtłukła. Nikomu nie przyszło nawet na myśl, że szczerze nienawidzi porcelanowego kompletu dla lalek, niebieskiego stolika z krzeselkami i niebieskiej sukienki Agnes.

Na dwa dni przed tamtym Bożym Narodzeniem w 1917 roku Paddy przyniósł do domu cotygodniową gazetę i nowy stosik książek z biblioteki. Tym razem wyjątkowo tygodnik miał pierwszeństwo przed książkami. Jego redaktorzy wzorując się na ilustrowanych amerykańskich magazynach, które z rzadka docierały do Nowej Zelandii, poświęcili cały środek toczącej się wojnie. Niewyraźne fotografie przedstawiały żołnierzy korpusu ANZAC szturmujących bezlitosne wzgórza na półwyspie Gallipoli, w długich artykułach wysławiano dzielność żołnierza z antypodów, zaprezentowano też wszystkich Australijczyków i Nowozelandczyków, którzy zdobyli Krzyż Wiktorii od czasu jego ustanowienia, a jedną stronę w całości zdołała wspaniałą rycina, na której australijski kawalerzysta dosiadał rumaka z wyciągniętym pałaszem i w kapeluszu o miękkim, podwiniętym z boku rondzie, spod którego spływał pióropusz.

Przy pierwszej okazji Frank chwycił gazetę i zaczął łapczywie czytać środkowe strony upajając się hurrapatriotycznym stylem artykułów. Jego ciemne oczy błyszczą niesamowicie.

– Tato, chcę iść do wojska! – oświadczył odkładając gazetę z szacunkiem na stół.

Fee tak gwałtownie odwróciła głowę, aż gulasz chlupnął na piec, a Paddy zeszytywniał na krześle, zapominając o książce, którą właśnie czytał.

– Jesteś jeszcze za młody, Frank – powiedział.

– Nie jestem za młody! Mam siedemnaście lat, tato, jestem mężczyzną! Kiedy Niemcy i Turcy zarzynają naszych jak świnie, dlaczego ja mam siedzieć tutaj nie narażając się na szwank? Najwyższy czas, żeby któryś z Clearych odsłużył, co się należy.

– Jesteś niepełnoletni, Frank, nie przyjmą cię do wojska.

– Przyjmą, jeżeli wyrazisz zgodę – odparł szybko Frank nie spuszczać oczu z twarzy ojca.

– Ale ja nie wyrażam zgody. Na razie tylko ty jeden pracujesz, a pieniądze, które zarabiasz, są nam potrzebne, wiesz o tym.

– Ale w wojsku będą mi płacić!

Paddy roześmiał się.

– Żołnierski grosz, co? Będąc kowalem w Wahine zarobisz o wiele więcej niż jako żołnierz w Europie.

– Ale pojedę tam, może będę miał szansę zostać kimś więcej niż kowalem! To dla mnie jedyne wyjście, tato.

– Bzdura! Mój Boże, sam nie wiesz, chłopcze, co mówisz. Wojna jest straszna. Pochodzę z kraju, który prowadzi wojnę od tysiąca lat, więc wiem, co mówię. Nie słyszałeś rozmów weteranów wojny burskiej? Jeździsz dość często do Wahine, więc przy najbliższej okazji posłuchaj. A zresztą wygląda mi na to, że ci przekłęci Anglicy wykorzystują naszych żołnierzy jako mięso armatnie wysyłając ich tam, gdzie sami nie chcą tracić swoich cennych oddziałów. Pomyśl tylko, ten potrzęsający szabelką Churchill posłał naszych na bezsensowną walkę na Gallipoli! Dziesięć tysięcy zabitych na pięćdziesiąt tysięcy żołnierza! Zdziękowani to mało! Dlaczego miałbyś walczyć w wojnie, w której bierze udział stara ojczyzna Anglia? Co ona takiego dla ciebie zrobiła? Wysysa z kolonii wszystkie żywotne soki! Gdybyś pojechał do Anglii, patrzyliby na ciebie z góry, bo jesteś mieszkańcem kolonii. Nowej Zelandii nie grozi żadne niebezpieczeństwo, podobnie Australii. A starej Anglii bardzo dobrze by zrobiło, gdyby poniosła porażkę. Najwyższy czas, żeby ktoś ukarał ją za to, co zrobiła Irlandii. Możesz być pewien, że nie uroniłbym ani jednej łzy, gdyby kajzer dotarł do Londynu i przemaszerował StranDEM.

– Ale tato, ja chcę się zaciągnąć!

– Chcieć możesz do woli, Frank, ale nigdzie nie pojedziesz, więc lepiej wybij to sobie z głowy. Nie dorosłeś jeszcze do tego, żeby zostać żołnierzem.

Frank poczerwieniał, zacisnął usta; był bardzo uczulony na punkcie swego wzrostu. W szkole, zawsze najniższy w klasie, stoczył z tego powodu dwa razy więcej walk niż którykolwiek z rówieśników. Ostatnio zaczęła prześladować go straszna wątpliwość, gdyż mając lat siedemnaście mierzył dokładnie tyle samo – pięć stóp i trzy cale – co jako czternastolatek: czy przypadkiem nie przestał rosnąć? Tylko on wiedział, jakie przeżywa cierpienia na ciele i duszy, wyciągając się, wykonując różne ćwiczenia, żywiąc nie spełnioną nadzieję.

Jednakże kowalstwo wyrobiło w nim siłę nieproporcjonalną do wzrostu. Gdyby Paddy z rozmysłem wybierał zawód dla kogoś z temperamentem Franka, nie mógłby wybrać lepiej. Mimo drobnej budowy w ciele Franka skupiło się tyle siły, że w wieku siedemnastu lat nie miał za sobą ani jednej przegranej walki i zyskał sławę na całym półwyspie Taranaki. Wraz z nim do walki stawały gniew, frustracja i poczucie niższości, którym nie mógł sprostać

największy miejscowy osiłek, zwłaszcza że sprzymierzone były ze znakomicie wyćwiczonym ciałem, sprytnym umysłem, zawziętością i nieugiętą wolą.

Im przeciwnik większy i groźniejszy, tym bardziej Frank chciał go powalić na ziemię i upokorzyć. Rówieśnicy obchodzili go z daleka, gdyż znany był z agresywności. Ostatnio opuścił szeregi młodzieży w poszukiwaniu trudniejszych przeciwników. Miejscowi wciąż wspominali dzień, w którym sprął na kwaśne jabłko Jima Collinsa, choć ten liczył sobie dwadzieścia dwa lata, mierzył równe sześć stóp cztery cale i był tak silny, że podnosił konie. Ze złamaną lewą ręką i żebrami Frank walczył tak długo, aż śliniący się, zakrwawiony Jim Collins legł bezwładnie u jego stóp, i trzeba go było siłą powstrzymywać, żeby nie kopnął leżącego w nieprzytomną twarz. Ledwie wydobrzała mu ręka i zdjęto opatrunek z żeber, Frank pojechał do miasta i podniósł konia, żeby pokazać, że nie tylko Jim to potrafi i że nie zależy to wcale od wzrostu.

Paddy, jako ojciec tego fenomenu, wiedział doskonale, jaką sławą cieszy się Frank, i rozumiał jego walkę o szacunek. Nie przeszkadzało mu to gniewać się, kiedy staczane potyczki opóźniały pracę w kuźni. Sam niskiego wzrostu, Paddy nieraz bił się, żeby wykazać się odwagą, ale w tej części Irlandii, z której pochodził, nie wyróżniał się nikłą posturą, kiedy zaś dotarł do Nowej Zelandii, gdzie mężczyźni byli wyżsi, zdążył wydorosnąć. Dlatego nigdy nie miał takiej obsesji na punkcie wzrostu jak Frank.

Obserwował teraz uważnie syna, starając się go zrozumieć, ale bezskutecznie. Do tego chłopaka miał zawsze najmniej serca, choć ze wszystkich sił starał się nie dyskryminować żadnego z dzieci. Wiedział, że zasmuca tym Fee, że boleje ona nad dzielącym ich dwu cichym antagonizmem, ale nawet miłość do żony nie mogła pokonać rozgoryczenia, jakie budził w nim Frank.

Frank obronnym gestem rozcapierzył krótkie szczupłe palce na rozłożonej gazecie i utkwiał w Paddym dziwne spojrzenie, w którym mieszała się prośba i duma. Był zbyt hardy, by tę prośbę wypowiedzieć. Jakże obca wydała się Paddy'emu ta twarz! Nie było w niej nic z Clearych ani Amstrongów, może pewne podobieństwo do Fee w okolicy oczu – gdyby Fee miała ciemne oczy i rzucała nimi gniewne błyski, jak z byle powodu robił to Frank. Jednego chłopakowi nie brakowało – odwagi.

Wymiana zdań urwała się raptem po ostatniej uwadze Padde'ego na temat Franka. Cała rodzina jadła duszonego królika w niecodziennym milczeniu, nawet Hughie i Jack ostrożnie i półgębkiem prowadzili nieśmiałą rozmowę, wybuchając co i raz piskliwym chichotem. Meggie w ogóle nie chciała jeść i wpatrywała się w Franka tak, jakby lada chwila miał zniknąć jej z oczu. Frank grzebiąc w talerzu odczekał dla przyzwoitości jakiś czas, a kiedy poczuł, że może odejść, podziękował i wstał od stołu. W chwilę potem usłyszeli głuchy łomot siekiery – Frank zabrał się za twarde, wolno spalające się kłody, które Paddy zgromadził na zimę.

Kiedy wszyscy myśleli, że leży już w łóżku, Meggie wymknęła się przez okno sypialni i przekradła do składu drewna. Dla toczącego się nieprzerwanie życia domu było to niesłychanie ważne miejsce po jednej stronie placyku, pokrytego grubą warstwą drzazg i kory, leżały wysokie sterty kłód czekających na porąbanie, a naprzeciw wznosiła się mozaika starannie ułożonych szczap. Pośrodku trzy pniaki, które nadal tkwiły korzeniami w ziemi, służyły do rąbania polan o różnej długości.

Frank nie pracował przy pniaku, tylko przy masywnym eukaliptusie, który ciął tak, żeby zmieścił mu się na najniższym, najszerszym pniaku. Drzewo o średnicy dwóch stóp leżało na ziemi, unieruchomione po obu końcach żelaznymi hakami, a Frank stał na nim w rozkroku rozłupując je na pół. Siekiera poruszała się tak szybko, aż furczało, a jednocześnie świszczało stylisko przesuwając się w tę i z powrotem w śliskich dłoniach. Siekiera to migąła mu nad głową to spadała srebrzącym łukiem, wycinając kliny z twardego drewna z taką łatwością, jakby to była sosna. Odrąbane drzazgi fruwały na wszystkie strony, po nagim torsie Franka

spływały strugi potu. Chustka przewiązana na czole chroniła mu oczy. Zacinanie pnia to niebezpieczna praca; pracował bez rękawiczek, delikatnymi dłońmi trzymając stylisko lekko i z niezwykłą wprawą.

Meggie przycupnęła przy rzuconej z boku koszuli i podkoszuli i przyglądała się w zdumieniu. W pobliżu leżały trzy zapasowe siekiery, gdyż drewno eukaliptusa szybko tępiło najostrejsze narzędzie. Meggie chwyciła za trzonek jedną siekierę i wyciągnęła sobie na kolana – bardzo chciała umieć tak rąbać drwa jak Frank. Ledwie dźwignęła ciężkie narzędzie. Kolonialne siekiery miały tylko jedno ostrze, wyostrzone jak brzytwa, gdyż dwustronne siekiery były za lekkie do eukaliptusa. Szerszy koniec główki miał grubość jednego cala i był obciążony, a przechodzący przezeń trzonek unieruchamiały dodatkowe drewnienka. Luźna główka mogłaby zsunąć się przy zamachu i leć na kogoś zabić.

W zapadającym szybko zmierzchu Frank ciosał niemal instynktownie. Meggie uchylała się przed fruującymi drzazgami ze zręcznością nabytą w czasie długiej praktyki i czekała cierpliwie, aż brat ją zauważy. Kłoda została przerąbana do połowy i Frank obrócił się łapiąc ustami powietrze; znów uniósł siekierę nad głowę i zabrał się do rąbania z przeciwnej strony. Nacięcie było wąskie, głębokie, żeby zaoszczędzić na drewnie i jak najszybciej przeciąć pień. Zbliżywszy się do środka kłody główka siekiery niknęła całkowicie w wyciętej szparze; spore drzazgi fruwały coraz bliżej Franka. Nie zwracał na nie uwagi, rąbiąc jeszcze szybciej. Pień rozpadł się nagle i w tym samym momencie Frank zwinnie podskoczył wyczuwając, że drewno ustępuje, zanim siekiera zadała mu ostatni cios. Kiedy pień przełamał się na pół, Frank spadł z boku na ziemię; uśmiechał się, ale bez szczerego zadowolenia.

Obrócił się, żeby wziąć następną siekierę, i zobaczył siostrę siedzącą cierpliwie w skromnej nocnej koszuli zapiętej na wszystkie guziczki. Wciąż wydawały mu się dziwne te włosy w krótkich kędziorkach, ale uznał, że do twarzy jej w chłopięcym uczesaniu, i chciał, żeby tak zostało. Podszedł do niej i przykucnął z siekierą na kolanach.

– Jak wy dostałaś się z domu, mały szkrabie?

– Przez okno, kiedy Stu zasnął.

– Uważaj, bo wyrośniesz na takiego urwipolcia jak twoi bracia.

– A niech tam. Wolę bawić się z chłopcami niż sama ze sobą.

– Słusznie. – Usiadł opierając się plecami o kłodę drewna i znużonym ruchem obrócił ku niej głowę. – Co się stało, Meggie?

– Frank, ty nie wyjedziesz stąd tak naprawdę, co? – spytała opierając ręce z pokiereszowanymi paznokciami na jego nodze i patrząc na niego z niepokojem. Usta miała otwarte, bo nie mogła oddychać przez nos zatkany przez powstrzymywane łzy.

– Może tak się zdarzyć, Meggie – powiedział łagodnie.

– Och, Frank, nie możesz wyjechać! Mama i ja tak cię potrzebujemy! Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły, daję słowo! Zmusiła go do uśmiechu, mimo bólu, to nieświadome powtórzenie słów Fee.

– Meggie, czasami różne rzeczy nie układają się tak, jak byśmy tego chcieli. Powinnaś o tym wiedzieć. W naszej rodzinie uczono nas, że mamy pracować dla dobra wszystkich, nigdy nie stawiać siebie na pierwszym miejscu. Ale ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że każdy powinien mieć szansę pomyśleć najpierw o sobie. Chcę odejść, bo mam już siedemnaście lat i pora, żebym sam zaczął sobie układać życie. Ale tata mi nie pozwala, jestem potrzebny w domu, dla dobra całej rodziny. A ponieważ nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat, muszę robić to, co każe mi tata.

Meggie skwapliwie pokiwała głową, usiłując zrozumieć objaśnienie Franka.

– Wiesz, Meggie, zastanawiałem się nad tym długo i głęboko. Odchodzę z domu, tak postanowiłem. Wiem, że ty i mama będziecie za mną tęskniły, ale Bob szybko rośnie, poza tym ani tata ani chłopcy wcale nie będą za mną tęsknić. Tatę interesują tylko pieniądze, które zarabiam.



– Czy ty już wcale nas nie lubisz, Frank?

Obrócił się i pochwycił ją w ramiona, tuląc i głaszcząc z przyjemnością pełną udręki, na którą składały się żal, ból i dominująca tęsknota.

– Och, Meggie! – wykrzyknął. – Kocham ciebie i mamę bardziej niż wszystkich innych razem wziętych!. Boże, czemu nie jesteś starsza, żebym mógł z tobą porozmawiać! A może to i lepiej, że jesteś taka mała, może to i lepiej...

Wypuścił ją raptem z objęć i kręcił głową opartą o kłodę poruszając ustami i przełykając ślinę, z całych sił starając się opanować. Potem spojrział na nią.

– Meggie, kiedy będziesz starsza, lepiej to wszystko zrozumiesz.

– Proszę cię, Frank, nie odchodź – powtórzyła.

Roześmiał się tak, że zabrzmiało to jak szloch.

– Och, Meggie! Nie usłyszałaś nic z tego, co mówiłem? Właściwie to bez znaczenia. Najważniejsze, żebyś nikomu nie powiedziała, że widziałaś mnie dziś wieczorem, słyszysz? Nie chcę, żeby myśleli, że jesteś w to wtajemniczona.

– Ale ja słyszałam, Frank, wszystko słyszałam – powiedziała Meggie. – Ale nie powiem nikomu ani słowa, przyrzekam. Tylko bardzo bym chciała, żebyś nie musiał odchodzić!

Była jeszcze za mała, żeby móc wyrazić to, co niewytłumaczalnie ścisnęło jej serce, co jej pozostanie, jeśli zabraknie Franka? On jeden otwarcie okazywał jej uczucie, on jeden brał ją w ramiona i przytulał. Kiedy była młodsza, tata często brał ją na ręce, odkąd jednak zaczęła chodzić do szkoły, nie pozwalał już jej siadać sobie na kolanach, nie pozwalał też, żeby zarzucała mu ręce na szyję; mówił: „Jesteś już dużą dziewczynką, Meggie”. A mama była zawsze taka zajęta, zmęczona, tak zaabsorbowana chłopcami i domem. To właśnie Frank zajmował najwięcej miejsca w jej sercu, to on jaśniał jako jedyna gwiazda na jej maleńkim niebie. On jeden lubił z nią siedzieć i rozmawiać, tłumacząc różne rzeczy w sposób dla niej przystępny. Od dnia, w którym Agnes straciła włosy, Frank stał się jej sprzymierzeńcem i mimo wielu bolesnych przeżyć nic od tamtej pory nie zraniło jej naprawdę głęboko. Ani różgi, ani siostra Agata, ani wszy, ponieważ miała Franka zawsze gotowego ją pocieszyć.

Mimo to wstała i uśmiechając się z trudem, powiedziała:

– Jeżeli musisz odejść, Frank, to niech tak będzie.

– Meggie, powinnaś już spać, więc lepiej wracaj do łóżka, zanim mama zobaczy. Raz, dwa, zmykaj!

To przypomnienie wyparło wszystkie inne myśli. Spuściła głowę, sięgnęła po przydługi tył nocnej koszuli, przeciągnęła go między nogami i trzymając przed sobą niczym ogon puściła się pędem na bosaka, nie zważając na ostre drewniane ułamki i drzazgi.

Rano okazało się, że Frank znikł. Fee przyszła wyciągnąć Meggie z łóżka ponura i napięta. Meggie wyskoczyła z pościeli jak oparzona i ubrała się sama, nie prosząc nawet o pomoc przy zapinaniu małych guziczków.

W kuchni chłopcy siedzieli przy stole zasępieni, a krzesło Paddy’ego stało puste. Krzesło Franka również. Meggie wsunęła się na swoje miejsce i siedziała szcękając zębami ze strachu. Po śniadaniu Fee wygoniła dzieci za drzwi i dopiero za stodołą Bob podzielił się nowiną z Meggie.

– Frank – uciekł – powiedział szeptem.

– Może wybrał się tylko do Wahine? – wyraziła przypuszczenie.

– Głuptas jesteś! Poszedł zgłosić się do wojska. Ach, żebym ja był większy i mógł iść razem z nim! Szczęściarz!

– A ja bym wolała, żeby został w domu.

Bob wzruszył ramionami.

– Ty jesteś tylko dziewczyną, a dziewczyny tak właśnie mówią.

Ta zaczepka, która w normalnych okolicznościach wywołałaby kłótnię, tym razem została puszczona mimo uszu. Meggie poszła do matki, żeby zobaczyć, czy mogłaby w czymś

pomóc.

– Gdzie jest tata? – spytała, kiedy Fee zagoniła ją do prasowania chusteczek.

– Pojechał do Wahine.

– Czy przyprowadzi ze sobą Franka?

Fee prychnęła.

– Nie sposób utrzymać żadnego sekretu w tej rodzinie. Nie, nie złapie Franka w Wahine, to pewne. Pojechał nadać telegram do policji i wojska w Wanganiu. Oni go przyprowadzą do domu.

– Och, mamó, żeby go tylko znaleźli! Nie chcę, żeby Frank od nas odszedł.

Fee wyrzuciła na stół zawartość maślnicy i zaatakowała ociekający żółty kopczyk dwiema drewnianymi kopystkami.

– Nikt z nas nie chce, żeby Frank odszedł. Dlatego właśnie tata dopilnuje, żeby przyprowadzono go z powrotem do domu. – Zadrzały jej usta; jeszcze mocniej plasnęła w masło. – Biedny Frank! Biedny, biedny Frank! – powiedziała z westchnieniem nie tyle do Meggie, ile do siebie. – Nie wiem, czemu dzieci muszą płacić za nasze grzechy. Mój biedny Frank, taki niedopasowany... – Spostrzegłszy, że Meggie przestała prasować, zacisnęła usta i już nic więcej nie powiedziała.

Trzy dni później policjanci przyprowadzili Franka do domu. Dowodzący eskortą sierżant z Wanganiu powiedział Paddy'emu:

– Ależ ma pan bojowego syna! Kiedy zobaczył, że chłopcy z wojska czekają na niego, w okamgnieniu rzucił się do ucieczki po schodach na ulicę, a za nim dwóch żołnierzy. Gdyby pechowo nie wpadł prosto na policjanta, pewnie by mu się udało uciec. Walczył jak lew. Trzeba było pięciu chłopca, żeby go zakuć w kajdanki.

Mówiąc to, rozkuł Franka z ciężkich łańcuchów i pchnął bezceremonialnie przez bramę. Frank zatoczył się, potracił Paddy'ego i odskoczył, jakby go coś użądliło.

Dzieci zbite w gromadkę koło domu, kilka kroków z tyłu za dorosłymi, przyglądały się i czekały. Bob, Jack i Hughie stali wyprostowani, po cichu żywiąc nadzieję, że Frank znów rzuci się do walki; Stuart, poczciwa, współczująca dusza, po prostu spokojnie patrzył; Meggie trzymała ręce przy twarzy i miętosiła policzki przerażona obawą, że ktoś mógłby zrobić Frankowi krzywdę.

Frank obrócił się najpierw do matki, czarne i szare oczy porozumiały się jak zwykle bez słów, wyrażając tę samą ponurą gorycz. Paddy smagnął syna potępiającym spojrzeniem bezlitosnych niebieskich oczu, jakby chciał powiedzieć, że tego się właśnie po nim spodziewał, a Frank opuszczając powieki uznał prawo ojca do gniewu. Od tego dnia Paddy nie odzywał się do syna, chyba że wymagała tego uprzejmość na co dzień. Jednak najtrudniej było Frankowi spojrzeć w oczy rodzeństwu, czuł się zawstydzony i zakłopotany, niczym promienisty ptak, któremu nie było dane wznieść się w przestworza, sprowadzony do gniazda z podciętymi skrzydłami, pieśnią zduszoną w gardle.

Meggie odczekała, aż Fee skończy wieczorny obchód, po czym wydostała się przez otwarte okno i pobiegła przez podwórze. Wiedziała, gdzie znajdzie Franka: na sianie w stodole, bezpiecznie ukrytego przed ojcem i ciekawskimi spojrzeniami.

– Frank, Frank, gdzie jesteś? – zapytała głośnym szeptem, wsuwając się do stodoły pograżonej w zastygłym mroku, czujnie jak zwierzę wymacując przed sobą drogę palcami stóp.

– Tutaj, Meggie – odpowiedział jej zmęczony głos całkiem niepodobny do głosu Franka, bezbarwny, martwy.

Po omacku doszła tam, gdzie leżał wyciągnięty na sianie, i przytuliła się do niego, obejmując go rączkami.

– Och, Frank, tak się cieszę, że wróciłeś – powiedziała.

Jęknął, zsunął się z siana, aż znalazł się niżej od niej, i przyłożył głowę do jej drobnego

ciała. Meggie mruczając pocieszająco, wbiła palce w jego gęste proste włosy. Nie widział jej w ciemnościach, ale wyczuwał płynące od niej współczucie tak silne, że zupełnie się rozkleił. Zaczął płakać wijąc się z bólu i mocząc łzami jej nocną koszulę. Meggie nie płakała. W młodziutkiej duszy znalazła dość kobiecej dojrzałości, żeby poczuć nieodpartą, przesywającą radość, że jest komuś potrzebna. Siedziała kołysząc głową Franka w przód i w tył, w przód i w tył, aż jego smutek rozplynał się w pustce.

**Część druga:**

**Ralph 1921-1928**

## Rozdział trzeci

Droga do Droghedy nie budzi we mnie żadnych wspomnień z czasów młodości – myślał ksiądz Ralph de Bricassart przymykając oczy rażone blaskiem. Prowadził nowego daimlera, który podskakiwał na wyżłobionych wśród wysokiej srebrzystej trawy koleinach. To nie Irlandia, piękna, zielona, zasnutą mgłą. A Drogheda? Ani to pole walki, ani wysokie stanowisko i władza. Czy aby na pewno? Z właściwym sobie poczuciem humoru wyczarował obraz Cromwella w spódnicy, czyli Mary Carson okazującej w sobie tylko właściwy sposób władczą złośliwość. Porównanie bynajmniej nie przesadzone; pani Carson dysponowała taką władzą i sprawowała rządy nad tyloma ludźmi co możny władca za dawnych czasów.

W bukszpanowo-eukaliptusowym lasku wyrosła ostatnia brama. Samochód zadygotał i stanął. Wciskając na głowę dla osłony przed słońcem wyświechtany szary kapelusz, ksiądz Ralph wysiadł, podszedł do rygla, odsunął go i znużonym, a zarazem zniecierpliwionym gestem otworzył szeroko bramę.

Między plebanią w Gallanbone a dworem w Droghedzie znajdowało się dwadzieścia siedem bram i tyleż razy trzeba było się zatrzymywać, wysiąść z samochodu, otworzyć bramę, wsiąść do samochodu, przejechać na drugą stronę, zatrzymać się, wysiąść, potem zamknąć bramę, potem znów wsiąść do samochodu i jechać do następnej. Wielokrotnie kusiło go, żeby zaniedbać przynajmniej połowę rytuału, popędzić drogą zostawiając za sobą otwarte bramy jak rozdziawione gęby – ale nawet budzący nabożną cześć stan duchowny nie powstrzymałby właścicieli bram przed wysmarowaniem go smołą i wytarzeniem w pieprzu za taki czyn. Żałował, że konie nie są równie szybkie i sprawne jak samochody, bo dosiadając konia można było z siodła otwierać i zamykać bramy.

– Nic na tym świecie nie jest bez wady – powiedział poklepując deskę rozdzielczą nowego daimlera i ruszył w drogę, zostawiając za sobą porządnie zaryglowaną bramę. Miał jeszcze do pokonania ostatnią milę trawiastego, nie urozmaiconego drzewami pola domowego.

Nawet na Irlandczyku, który widział niejednego zamek i pałac, ten australijski dwór robił duże wrażenie. Drogheda, najstarszy i największy majątek w okolicy, została wyposażona przez ostatniego, zwariowanego na jej punkcie właściciela w odpowiednią rezydencję. Piętrowy dom, zbudowany z bloków jasnożółtego piaskowca wykutych ręcznie w kamieniołomach pięćset mil na wschód od Droghedy, utrzymany był w surowym neoklasycyźnym stylu. Cały parter okalała szeroka weranda z metalowymi słupkami. Czarne drewniane okiennice nie tylko dodawały urody dużym witrażowym oknom, ale służyły również do celów praktycznych: w czasie letnich upałów zamykano je, żeby utrzymać chłód we wnętrzach.

Wprawdzie o tej porze roku, jesienią, zieleniły się cienkie pnącza, ale na wiosnę glicynia, którą zasadzono przed pięćdziesięciu laty, w dniu skończenia budowy rezydencji, obsypywała się fioletowymi kiściami kwiecia, zarastając ściany domu i dach werandy. Wokół rozpościerało się kilka akrów francuskiego ogrodu, w którym kwitły jeszcze róże, laki, dalie i nagietki. Kępa wspaniałych eukaliptusów o białawych pniach i wąskich liściach kołyszących się z wiatrem na wysokości przeszło dwudziestu jardów nad ziemią, osłaniała dom przed bezlitosnym słońcem; na ich gałęziach oplecionych przez pnącza bugenwilli, czerwieniły się krwiste girlandy. Nawet niezbędne na prowincji monstrealne zbiorniki na wodę okrywał gruby płaszcz tutejszych odpornych winorośli, róż i glicynii, dzięki czemu nabierały one dekoracyjnego charakteru. Nieżyjący Michael Carson darzył Droghedę tak wielką miłością, że nie żałował pieniędzy na zbiorniki wodne. Krążyła pogłoska, że Drogheda mogłaby sobie pozwolić na utrzymanie zielonych trawników i kwitnących rabatek nawet przez dziesięć bezdeszczowych lat.

Przybysz zbliżający się przez pole domowe kierował wzrok najpierw na rezydencję wraz z

eukaliptusami, ale potem dostrzegął inne parterowe budynki z żółtego piaskowca w głębi i po bokach, połączone z centralną budowlą krytymi chodnikami, które niknęło pod gęstwiną pnączy. Polna droga przechodziła w szeroki, wysypany żwirem podjazd, który prowadził łukiem do placu z boku dużego domu, a stamtąd dalej, niknąc z oczu, na jego tyły, gdzie mieściło się właściwe gospodarstwo: zagrody dla bydła, szopa do strzyżenia owiec, stodoły. Ksiądz Ralph, choć nie przyznawał się do tego wołał sumaki oceniające zabudowania gospodarskie i w to wszystko, co się wokół nich działo, iż gładkopienne eukaliptusy koło rezydencji. Sumaki i ich liście, nieruchawe jasnozielone parasole, pod którymi huczały pszczoły, stanowiły odpowiednie roślinne uzupełnienie farmy na prowincji.

Kiedy ksiądz Ralph parkował samochód, a potem szedł przez trawnik, na werandzie od frontu czekała, tonąc w uśmiechach, piegowata pokojówka.

– Dzień dobry, Minnie – przywitał ją.

– Ach, to prawdziwe szczęście widzieć księdza w tak cudny poranek – powiedziała z silnym irlandzkim akcentem, jedną ręką przytrzymując drzwi, a drugą wyciągając po wysłużony, nie pasujący do duchownego kapelusz.

W słabo oświetlonym holu o marmurowej posadzce, w którym znajdowały się szerokie schody o mosiężnych poręczach, ksiądz Ralph przystanął i dopiero kiedy Minnie skinęła głową, wszedł do salonu.

Mary Carson siedziała w fotelu przy otwartym oknie wysokim na pięć jardów od podłogi do sufitu, nie zwracając uwagi na napływające do środka zimne powietrze. Bujne rude włosy nie straciły prawie wcale żywego odcienia z czasów młodości. Wprawdzie z wiekiem jej piegowatą cerę zabarwiły plamy, ale jak na kobietę sześćdziesięcioletnią miała niewiele zmarszczek, raczej delikatną siateczkę uwydatniającą skośne poduszczyki, co przypominało pikowaną narzutę na łóżko. Na jej krnąbrny charakter wskazywały jedynie dwie głębokie bruzdy, które biegły po obu stronach rzymskiego nosa i ściągały w dół kąci ust, oraz zimne spojrzenie bladoniebieskich oczu.

Ksiądz Ralph bezszelestnie przemierzył dywan z Aubusson i ucałował jej rękę. Gest ten pasował do tak wysokiego i pełnego wdzięku mężczyzny, zwłaszcza że czarna gładka sutanna, którą miał na sobie, przydawała mu dworskiego szyku. Pozbawione wyrazu oczy błysnęły zalotnie, niewiele brakowało, a Mary Carson uśmiechnęłaby się jak gąska.

– Czy zechce ksiądz zjeść podwieczorek?

– To zależy od tego, czy życzysz sobie pani wysłuchać mszy – odparł siadając naprzeciw niej na krzesło i zakładając nogę na nogę tak, że spod sutanny ukazały się spodnie do konnej jazdy i wysokie buty, ustępstwo na rzecz lokalizacji parafii. – Przywiozłem dla pani komunię świętą, ale jeśli zechciałaby pani wysłuchać mszy, będę gotów za kilka minut, żeby ją odprawić. Chętnie przedłużę jeszcze trochę mój post.

– Ksiądz jest dla mnie zbyt łaskaw – powiedziała z satysfakcją, wiedząc doskonale, że podobnie jak wszyscy inni składa hołd nie jej samej, lecz jej pieniądзом. – Ależ proszę, niechże ksiądz zje podwieczorek – ciągnęła. – Komunia wystarczy mim w zupełności.

Postarał się nie okazać po sobie urazy; ta parafia nadawała się wyśmienicie do ćwiczeń w panowaniu nad sobą. Gdyby tylko dano mu szansę wyrwać się z zapomnienia, gdzie zepchnął go nieposkromiony temperament, nie popełniłby po raz drugi tego samego błędu. Przewidywał też, że jeśli dobrze rozegra partię, ta leciwa dama może urzeczywistnić to, o co się modlił.

– Muszę księdzu wyznać, że zeszły rok był bardzo nieprzyjemny – powiedziała. – Ksiądz jest nieporównanie lepszym pasterzem niż ksiądz Kelly, oby nie spoczywał w spokoju. – Przy ostatnich słowach jej głos zabrzmiał raptem ostro, mściwie.

Podniósł na nią roziskrzone spojrzenie.

– Ależ droga pani Carson! To nie po chrześcijańsku tak komuś życzyć.

– Ale ja mówię prawdę. Był z niego wielki pijanica i jestem pewna, że Bóg nie pozwoli

mu spoczywać w pokoju i zatraci jego duszę, tak jak alkohol zniszczył mu ciało. – Pochyliła się do przodu. – Zdążyłam już księdza dość dobrze poznać. Wydaje mi się, że mam prawo zadać parę pytań, zgodzi się ksiądz ze mną? W końcu może ksiądz traktować Droghedę jak prywatny teren wypoczynkowy, uczyć się hodowli, doskonalić w jeździe konnej, szukać wytchnienia od blasków i cieni życia w Gilly. Wszystko to oczywiście na moje zaproszenie, ale uważam, że mam prawo usłyszeć odpowiedzi, prawda?

Nie lubił, kiedy przypomniano mu, że powinien być za coś wdzięczny, niemniej od dość dawna czekał, kiedy pani Carson uzna, iż dostatecznie dużo dla niego zrobiła, żeby zacząć domagać się czegoś w zamian.

– Ma pani pełne prawo, pani Carson. Nie wiem, jak mam pani dziękować za to, że mogę korzystać do woli z Droghedy, i za wszystkie dary – konie i samochód.

– Ile ksiądz ma lat? – spytała prosto z mostu.

– Dwadzieścia osiem – odparł.

– To mniej, niż myślałam. Ale takiego kapłana nie wysyła się do takiego miejsca jak Gilly. Co ksiądz przeszkrobał, że trafił na to odludzie?

– Obraziłem biskupa – odparł spokojnie, z uśmiechem.

– Na to wygląda! Ale nie wyobrażam sobie, żeby ksiądz obdarzony tak wyjątkowymi zdolnościami mógł czuć się szczęśliwy w Gillanbone.

– Wola boża.

– Brednie! Znalazł się ksiądz tutaj z powodu innych ułomności, własnych i biskupa. Tylko papież jest nieomylny. W Gill przypomina ksiądz rybę wrzuconą na piasek, wszyscy to widzą, co nie znaczy, że nie jesteśmy wdzięczni mając dla odmiany takiego kapłana zamiast wyświęconych wydrwigroszy, jakich nam tu zwykle przysyłają. Właściwym otoczeniem dla księdza byłby jakiś korytarz kościelnej władzy, a nie tutejsze konie i owce. Wyglądałby ksiądz wspaniale w kardynalskim kapturze.

– Na to, niestety, nie mam szans. Przypuszczam, że Gillanbone nie stanowi epicentrum na mapie legata papieskiego. Poza tym mogło być gorzej. A tak mam panią i mam Droghedę.

Przyjęła umyślnie wyzywające pochlebstwo w duchu, w jakim było zamierzone, zachwycając się urodą księdza, jego uprzejmością, wyostrzonym i subtelnym umysłem. Doprawdy – pomyślała – byłby z niego wspaniały kardynał. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek w życiu widziała równie przystojnego mężczyznę, albo takiego, który by w podobny sposób eksponował swoją urodę. Musiał być przecież świadom swojego wyglądu, na który składały się: wzrost, idealne proporcje ciała, piękne arystokratyczne rysy, sposób, w jaki wszystkie fizyczne elementy zostały ze sobą skomponowane z taką troską o końcowy rezultat, jaką Bóg poświęca niewielu swoim dziełom. Poczawszy od czarnych kędziarów na głowie i uderzającym błękitnych oczu aż po drobne szczupłe dłonie i stopy – stanowił idealną całość. Tak, musiał sobie z tego zdawać sprawę. A mimo to wyczuwała w nim jakąś rezerwę, jakby dawał do zrozumienia, że nigdy nie był ani nie będzie niewolnikiem swojej urody. Gotów był ją wykorzystać bez skrupułów dla osiągnięcia upragnionego celu, jeśli miała mu w tym pomóc, ale to wcale nie znaczyło, że był w sobie rozkochany; uważał raczej za godnych najwyższej pogardy ludzi, którzy pozwalali się nią oczarowywać. Dałaby wiele za to, żeby się dowiedzieć, co w jego minionym życiu o tym zadecydowało.

Dziwne – myślała – ilu księży jest przystojnych jak Adonis i emanuje magnetyzmem Don Juana. Czyżby ślubowali celibat żeby uciec przed konsekwencjami?

– Dlaczego godzi się ksiądz na Gillanbone? – spytała. – Czy nie lepiej zdjąć sutannę, niż godzić się na takie życie? Ze swoimi zdolnościami mógłby ksiądz być bogaty i zająć wysoko w którejś z wielu dziedzin. Nie zaprzeczy ksiądz, że myśl o posiadaniu władzy nie jest księdzu niemiła.

Ksiądz de Bricassart uniósł lewą brew.

– Droga pani Carson, jest pani katoliczką. Wie pani, że moje śluby są święte. Do samej

śmierci pozostaną księdzem. Nie mogę się tego wyprzeć.

Pani Carson prychnęła śmiechem.

– Ależ da ksiądz spokój! Naprawdę wierzy ksiądz, że gdy wyrzekł się ślubów, ktoś rzuci się w pogoń za księdzem z psami, błyskawicami i czym tam jeszcze?

– Skądże znowu. Nie wierzę też, że jest pani na tyle naiwna, by przypuszczać, że to lęk przed karą nie pozwala mi opuścić stanu duchownego.

– Oho! Ksiądz de Bricassart zły jak osa! Co zatem księdza trzyma? Co zmusza do tego, żeby znosić ten pył, ten upał i muchy w Gilly? Nie wiadomo przecież, czy to przypadkiem nie dożywocie.

Przelotny cień zasunął błękitne oczy, ale po chwili ksiądz Bricassart uśmiechnął się litując się nad nią w duchu.

– Prawdziwa z pani pocieszycielka, nie ma co. – Z półotwartymi ustami spojrział w sufit i westchnął. – Od kołyski wychowywano mnie na księdza, ale to coś więcej. Jak mógłbym to wytłumaczyć kobiecie? Jestem naczyniem, pani Carson, i czasami jestem pełen Boga. Gdybym był lepszym księdzem, nie zdarzałyby się wcale okresy pustki. A to napełnienie, zjednoczenie z Bogiem, nie ma związku z miejscem. Zdarza się niezależnie od tego, czy jestem w Gillanbone czy w pałacu biskupim. Trudno to jednak bliżej określić, bo nawet dla księży to wielka tajemnica. Posiadanie Boga to stan, którego inni ludzie nigdy nie doświadczą. Może właśnie w tym mieści się odpowiedź. Porzucić coś takiego? Nie mógłbym tego zrobić.

– Więc jednak to jakaś moc. Ale dlaczego udzielana kapłanom? Co każe księdzu przypuszczać, że namaszczenie krzyżem podczas wyczerpującej długiej uroczystości może nią obdarzyć jakiegoś człowieka?

Ksiądz de Bricassart potrząsnął głową.

– Proszę zrozumieć, trzeba lat życia, żeby w ogóle dojść do momentu wyświęcenia. Dopiero staranny rozwój duchowny umożliwia otwarcie się na Boga. Na to trzeba zasłużyć! Co dzień od nowa. I taki jest właśnie cel ślubów, rozumie pani? Żeby żadne ziemskie przeszkody nie stały między księdzem a stanem jego ducha – ani miłość do kobiety, ani miłość do pieniędzy, ani nieposłuszeństwo wobec przełożonych. Ubóstwo to dla mnie nic nowego, nie pochodzę z bogatej rodziny. Uznaję czystość o nie mam trudności z jej zachowaniem. A posłuszeństwo? Dla mnie to właśnie jest najtrudniejsze. Ale jestem posłuszny, bo gdybym uznał siebie za coś ważniejszego niż moja rola jako naczynie dla Boga, byłbym zgubiony. Jestem posłuszny. A jeśli to konieczne, chętnie zniosę dożywocie w Gillanbone.

– W takim razie ksiądz jest głupcem – powiedziała. – Ja też uważam, że są rzeczy ważniejsze niż miłość do kobiety czy mężczyzny, ale nie należy do nich służenie Bogu za naczynie. Dziwne. Nigdy nie sądziłam, że ksiądz tak żarliwie wierzy w Boga. Zdawało mi się, że ksiądz jest raczej z tych, co wątpią.

– Owszem, wątpię. Czy pośród myślących ludzi znalazłby się ktoś, kto nie wątpi? Dlatego właśnie jestem czasem pusty. – Nie patrzył na nią, tylko gdzieś dalej, na coś, czego nie widziała. – Czy pani wie, że chyba wyrzekłbym się wszystkich ambicji, wszystkich pragnień, gdybym mógł w zamian za to zostać doskonałym księdzem?

– Doskonałość w jakiejkolwiek dziedzinie jest nieznośnie nudna – rzekła. – Bardziej mi odpowiada krztyna doskonałości.

Roześmiał się spoglądając na nią z podziwem zabarwionym zazdrością. Niezwykła kobieta – pomyślał.

Jej wdowieństwo trwało już trzydzieści trzy lata, a jedyny syn zmarł jako małe dziecko. Z powodu szczególnej pozycji, jaką zajmowała w społeczności Gillanbone, nie skorzystała z żadnej z ofert złożonych jej przez co ambitniejszych znajomych; będąc wdową po Michaelu Carsonie panowała bezdyskusyjnie jak królowa, natomiast zostając czyjąś żoną przekazałaby



komuś innemu kontrolę nad wszystkim, co posiadała. A Mary Carson nie chciała grać drugich skrzypiec. Wyrzekła się cielesnych przyjemności wybierając sprawowanie rządów; kochanek w ogóle nie wchodził w grę, gdyż plotki rozchodziły się po Gillanbone jak prąd elektryczny po drucie. Nie miała zamiaru pokazywać, że jest słabą ludzką istotą.

Teraz osiągnęła wiek uznawany za taki, w którym pozostawia się za sobą popędy ciała. Jeżeli nowy, młody ksiądz nader pilnie wypełniał swe obowiązki, ona zaś nagradzała go drobnymi upominkami w rodzaju samochodu, nie było w tym nic niestosownego. Będąc przez całe życie niewzruszoną podporą Kościoła – łożyła na swoją parafię i jej duchownego przewodnika w stosowny sposób – nawet kiedy ksiądz Kelly czekał odprawiając mszę. Nie ona jedna spoglądała łaskawym okiem na jego następcę; ksiądz Ralph de Bricassart cieszył się zasłużoną popularnością w całej swojej trzódce, zarówno wśród bogatych, jak i biednych wiernych. Jeżeli mieszkający daleko parafianie nie mogli dotrzeć do niego do Gilly, wówczas sam ich odwiedzał, a dopóki Mary Carson nie dała mu samochodu, jeździł konno. Za cierpliwość i dobroć wszyscy darzyli go sympatią. Martin King z Bugeli hojnie wyposażył plebanię, a Dominic O'Rourke z Dibban-Dibban łożył na pensję dobrej gospodyni.

Dlatego z piedestału wieku i pozycji Mary Carson czuła, że nie może bezpiecznie cieszyć się towarzystwem księdza Ralpa. Lubiła ćwiczyć umysł w rozmowie z kimś dorównującym jej inteligencją, lubiła brać nad nim górę w tych słownych utarczkach, choć nigdy nie była pewna, czy rzeczywiście jej się to udaje.

– Wracając do tego, co mówił ksiądz o Gilly, że nie jest epicentrum na mapie legata papieskiego – zaczęła sadowiąc się głębiej w fotelu. – Jak ksiądz myśli, co mogłoby wstrząsnąć tym szacownym dżentelmenem na tyle, żeby zrobić z Gilly centrum jego świata?

Ksiądz uśmiechnął się z żalem.

– Nie potrafię powiedzieć. Jakiś wspaniały wyczyn? Niespodziewane uratowanie tysiąca dusz raptem ujawniona zdolność leczenia ślepców i kalek... Ale era cudów już minęła.

– Da ksiądz spokój nie wierzę! Tyle tylko, że Bóg zmienił sposób działania. W dzisiejszych czasach używa się pieniędzy.

– Co za cynizm! Może właśnie dlatego tak panią lubię.

– Na imię mi Mary. Proszę mi mówić po imieniu.

Minnie weszła do salonu pchając stolik na kółkach w momencie, kiedy ksiądz de Bricassart mówił: – Dziękuję ci, Mary.

Jedząc świeże placki owsiane i sardele na grzance Mary Carson westchnęła.

– Drogi księże, chcę, żeby ksiądz pomodlił się dziś za mnie szczególnie gorąca.

– Proszę mi mówić Ralph – rzekł i dodał figlarnie: – Wątpię, czy mógłbyś się za ciebie modlić goręcej niż zwykle, ale spróbuję.

– Ach, jak ty umiesz czarować! A może to miał być przytyk? Nie jestem pewna, czy pod pokrywą banału nie kryje się jakaś głębsza myśl. Coś jak marchewka przed osiołkiem. Co ty właściwie o mnie myślisz, księże de Bricassart? Nigdy się nie dowiem, bo nigdy nie będziesz na tyle nietaktowny, żeby mi o tym powiedzieć, prawda? Fascynujące, fascynujące... Ale koniecznie musisz się za mnie pomodlić. Jestem stara i dużo nagrzeszyłam.

– Każdemu z nas przybysza lat i ja też nagrzeszyłam.

Nie zwróciła uwagi na ironiczny uśmiezek.

– Dałabym wiele, żeby się dowiedzieć, jak zgrzeszyłeś! Naprawdę, naprawdę dałabym wiele. – Umilkła na chwilę, a potem zmieniła temat. – Właśnie odszedł zarządca.

– Znowu?

– Pięciu w ciągu zeszłego roku. Coraz trudniej znaleźć uczciwego pracownika.

– Krąż pogłoski, że nie jesteś ani hojnym ani troskliwym pracodawcą.

– To bezczelność! – oburzyła się ze śmiechem. – A kto ci kupił nowiutkiego daimlera, żebyś nie musiał jeździć konno?

– Tak, ale weź pod uwagę, jak gorąco się za ciebie modlę!

– Gdybyż Michael był choć w połowie obdarzony twoim dowcipem i charakterem, może bym go pokochała – powiedziała raptem. Twarz jej się zmieniła, nabierając złośliwości. – Myślisz, że nie mam na tym świecie ani jednego krewnego i muszę zapisać ziemię i pieniądze Kościołowi, czy tak?

– Nic o tym nie wiem – odparł ze spokojem, nalewając sobie jeszcze herbaty.

– Prawdę mówiąc mam brata, który doczekał się kilku dorodnych synów.

– To miło – rzekł z powagą.

– Wychodząc za mąż byłam biedna jak mysz kościelna. Wiedziałam, że nigdy nie zrobię dobrej partii w Irlandii, gdzie kobieta musi mieć odpowiednie pochodzenie i wykształcenie, żeby złapać bogatego męża. Więc urabiałam sobie ręce po łokcie, żeby złapać pieniądze na bilet do kraju, gdzie bogaci mężczyźni nie są tak wybredni. Całym moim majątkiem kiedy tu przyjechałam, były uroda, figura i umysł sprawniejszy niż się tego oczekuje od kobiety, w sumie wystarczająco dużo, żeby złapać takiego bogatego głupca jak Michael Carson. Ubóstwiał mnie do samej śmierci.

– A twój brat? – podsunął, bo wydało mu się, że odbiega od tematu.

– Mój brat jest młodszy ode mnie o jedenaście lat, czyli ma teraz pięćdziesiąt cztery. Tylko nas dwoje zostało przy życiu. Właściwie go nie znam; był jeszcze dzieckiem, kiedy opuściłam Galway. Teraz mieszka w Nowej Zelandii, a jeżeli emigrował po to, żeby się dorobić, to mu się to nie udało. Ale wczoraj wieczorem, kiedy parobek przyszedł z wiadomością, że Artur Teviot spakował manatki i ruszył w świat, przypomniał mi się raptem Pdraic. Bądź co bądź lat mi nie ubywa, a nie mam koło siebie nikogo z rodziny. Przyszło mi na myśl, że Paddy ma doświadczenie w pracy na farmie, a nie ma za co sobie tej farmy kupić. Czemu nie miałabym, pomyślałam sobie, napisać do niego i prosić, żeby sprowadził się tu ze swoimi synami? Po mojej śmierci, jako mój jedyny żyjący krewny, bliższy od jakiegoś nieznajomego kuzyna w dalekiej Irlandii odziedziczy Droghedę i Michar Limited. – Uśmiechnęła się. – Głupio z tym zwlekać, prawda? Równie dobrze może przyjechać już teraz, przyzwyczać się do hodowli owiec na tutejszych czarnoziemach, bo z pewnością w Nowej Zelandii wygląda to zupełnie inaczej. Kiedy mnie już nie stanie, bez trudu przejmie ster rządów. – Z pochyloną głową uważnie obserwowała księdza Ralpa.

– Dziwię się, że wcześniej o tym nie pomyślałaś – powiedział.

– Ależ pomyślałam. Ale do niedawna wydawało mi się, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, to gromada sępów czekających niespokojnie, aż wydam ostatnie tchnienie. Dopiero ostatnio dzień mojego pożegnania z tym światem zaczął wydawać mi się o wiele bliższy niż dawniej i czuję... Ach, sama nie wiem. Może byłoby przyjemnie mieć wokół siebie ludzi, w których żyłach płynie ta sama krew.

– Co się stało? Czy jesteś chora? – spytał szybko, patrząc na nią ze szczerym zatroskaniem.

Wzruszyła ramionami. Natomiast złowróżbne wydają mi się sześćdziesiąte piąte urodziny. Raptem starość przestaje być stanem, który nadejdzie; ona po prostu już nadeszła.

– Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, i masz słuszność. Będzie ci bardzo miło słyszeć rozlegające się w domu młode głosy.

– O, nie będą mieszkać tutaj – wyjaśniła. – Mogą zamieszkać w domu zarządcy nad strumieniem, z dala ode mnie. Nie przepadam za głosami dzieci ani samymi dziećmi.

– Czy godzi się tak traktować jedynego brata, Mary? Nawet jeśli dzieli was taka różnica wieku?

– Będzie dziedziczył, niech zapracuje – odparła szorstko.

Fiona Cleary powiła jeszcze jednego syna w sześć dni przed dziewiętnymi urodzinami Meggie, poczytując sobie za szczęście fakt, że w ciągu tych dziewięciu lat przydarzyło jej się tylko parę poronień. Meggie była wreszcie dostatecznie duża, żeby naprawdę jej pomóc. Fee

miała już czterdzieści lat, a poród w tym wieku nie mógł się odbyć bez wycieńczającego bólu. Niemowlę, któremu nadano imię Harold, było słabowite; nikt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem w ich domu regularnie przychodził doktor.

A kłopoty w rodzinie Clearych, jak to bywa z kłopotami, mnożyły się. Zakończenie wojny zamiast prosperity wywołało trudności gospodarcze na wsi. Coraz trudniej było o pracę.

Pewnego dnia, kiedy właśnie kończyli podwieczorek, Angus MacWhriter przyniósł telegram, który Paddy rozdarł drżącymi rękoma: telegramy nie przynosiły nigdy dobrych wieści. Wszyscy chłopcy z wyjątkiem Franka, który odszedł od stołu ze swoją filiżanką, zgromadzili się wokół ojca. Fee odprowadziła wzrokiem najstarszego syna, a potem spojrzała na Paddy'ego, który jęknął głośno.

– Co się stało? – spytała.

Paddy wpatrywał się w kartkę papieru, jakby zawiadamiała o czyjejś śmierci.

– Archibald nas nie potrzebuje – powiedział.

Bob trzasnął pięścią w stół. Nie mógł się doczekać, kiedy pójdzie razem z ojcem przyrzuczać się na postrzygacza; szopa Archibalda miała być pierwszym miejscem jego pracy.

– Dlaczego zrobił nam takie świństwo, tato? – spytał. – Jutro mieliśmy u niego zacząć.

– Nie pisze dlaczego, Bob. Przypuszczam, że jakiś łapserdak najął się za niższą stawkę.

– Och, Paddy – westchnęła Fee.

W dużym koszu koło pieca rozpląkał się maleńki Hal, ale zanim Fee się ruszyła, podniosła się Meggie.

Frank stał koło drzwi z filiżanką w ręce nie spuszczać z oczu ojca.

– Wygląda na to, że muszę iść i porozmawiać z Archibaldem – odezwał się wreszcie Paddy. – Za późno, żeby szukać innej szopy. Uważam, że należy mi się z jego strony jakieś wyjaśnienie. Zostaje nam tylko nadzieja, że znajdziemy pracę przy dojeniu do czasu, kiedy w lipcu ruszy szopa Willoughby'ego.

Z ogromnego stosu grzejącego się koło pieca Meggie wzięła kwadratowy biały ręcznik, rozłożyła go starannie na stole, a potem wyjęła płaczące niemowlę z wiklinowego łóżeczka. Na małej główce połyskiwały rzadkie rude włoski. Meggie szybko zmieniła pieluszkę, co szło jej nie mniej zręcznie niż matce.

– Mateczka Meggie – zażartował Frank.

– Wcale nie! – oburzyła się. – Po prostu pomagam mamie.

– Wiem – rzekł łagodnie. – Jesteś dobrą dziewczynką, mała Meggie. – Pociągnął za kokardę z białej tafty zawiązaną z tyłu głowy, aż przekrzywiła się na bok.

Wielkie szare oczy zwróciły się na brata z uwielbieniem. Nad kiwającą się główką niemowlęcia Meggie wyglądała jak jego rówieśnica, jeśli nie poważniej, Frank poczuł ból w piersiach. Że też to spadło na nią w takim wieku, kiedy powinna się zajmować najwyżej Agnes, która teraz poszła w zapomnienie, odłożona w sypialni – pomyślał. Gdyby nie Meggie i matka, dawno by odszedł. Patrzył kwaśno na ojca, przyczynę nowego życia, które wywołało taki chaos w domu. I dobrze mu tak, że stracił pracę w swojej szopie.

Nie wiadomo czemu inni chłopcy ani nawet Meggie nie zaprzęтали mu myśli tak natrętnie jak Hal. Kiedy tym razem Fee zaczęła zaokręgać się w talii, osiągnął wiek, w którym sam mógłby się ożenić i zostać ojcem. Wszyscy prócz małej Meggie czuli się zakłopotani, zwłaszcza matka. Obrzucana ukradkowymi spojrzeniami chłopców, kulila się jak wystraszony królik. Nie mogła spojrzeć Frankowi w oczy ani zgasić wstydu płonącego w jej własnych oczach. Żadna kobieta nie powinna przez coś takiego przechodzić – pomyślał z przekonaniem Frank po raz tysięczny, przypominając sobie przerażające jęki i krzyki, które dobiegały z sypialni matki tej nocy, której urodził się Hal – nie odesłano go wtedy z domu razem z innymi, ponieważ był pełnoletni. Dobrze tak tacie, że stracił pracę. Porządny człowiek zostawiłby żonę w spokoju.

W świetle nowej elektrycznej lampy włosy matki lśniły jak czyste złoto, a jej szlachetny

profil, kiedy spoglądała na Paddy'ego ponad długim stołem, zapierał dech. Jak to się stało, że taka śliczna i subtelna kobieta wyszła za mąż za wędrownego postrzygacza owiec, przybysza z bagien Galway? Zmarnowała siebie, porcelanę Spode'a adamaszkowe obrusy i serwety, i perskie dywany w salonie, których nikt nigdy nie oglądał, ponieważ nie pasowała do żon kolegów Paddy'ego. Jej obecność zbyt mocno uwidaczniała ich prostackie, głośnie zachowanie, ich zdumienie na widok nakrycia z więcej niż jednym widelcem.

Czasem w niedzielę matka wchodziła do salonu, siadała przy szpince pod oknem i grała najłatwiejsze melodie, z którymi mogła się jeszcze uprać, bo z braku czasu na ćwiczenie już dawno straciła wprawę. Siadał wtedy za oknem, wśród bzów i lilii, i słuchał z zamkniętymi oczami. Zdawało mu się w takich chwilach, że widzi matkę w długiej, bladoróżowej, koronkowej sukni z turniurą: siedzi przy szpince w wielkiej sali w tonacji kości słoniowej pośród świec płonących w wielkich kandelabrach. Wizja ta sprawiała, że chciało mu się płakać, ale nie zdarzało mu się to nigdy; od tamtego wieczoru w stodole, kiedy przyprowadziła go do domu policja, nie uronił ani jednej łzy.

Meggie odłożyła Hala z powrotem do koszyka i stanęła koło matki. Jeszcze jedna zmarnowana istota. Ten sam dumny, delikatny profil; ręce, cała dziecięca sylwetka przypominała trochę Fionę. Zapowiedź, że będzie bardzo podobna do matki, kiedy sama stanie się kobietą. I kto się z nią ożeni? Też jakiś postrzygacz owiec, irlandzki prostak, albo gamoniowaty chłop z którejś z mleczarskich farm w Wahine? Zasługiwała na lepszy los, ale tu, gdzie się urodziła nic lepszego jej nie czekało. Nie ma na to rady, tak mówili wszyscy, a każdy kolejny rok jego życia zdawał się to potwierdzać.

Wyczuwając raptem nieruchome spojrzenie Franka, Fee i Meggie obróciły się i uśmiechnęły do niego z tą szczególną czułością, którą kobiety obdarzają najdroższego, najukochańszego mężczyznę. Frank odstawił filiżankę na stół i wyszedł, żeby nakarmić psy; miał ochotę albo zapłakać, albo zamordować kogoś. Wszystko jedno, byleby rozproszyć trawiący go ból.

Trzy dni potem, jak Paddy stracił pracę w szopie Archibalda nadszedł list od Mary Carson. Otworzył go od razu na poczcie w Wahine i wrócił do domu w podskokach, ciesząc się jak dziecko.

– Jedziemy do Australii! – wykrzyknął wymachując kartkami drogiego welinu przed nosami zdumionych członków rodziny.

Zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się w niego z napięciem. Fee była wstrząśnięta, podobnie Meggie, ale oczy braci rozblęskły radością. Oczy Franka płonęły.

– Ależ Paddy, dlaczego raptem po tylu latach przypomniała sobie o tobie? – spytała pytająco Fee po przeczytaniu listu. – Nie od dziś jest bogata i nie od dziś żyje sama. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zwróciła się do nas z propozycją pomocy.

– Wygląda na to, że boi się umierać w samotności – odparł dodając otuchy zarówno sobie, jak i Fee. – Widziałaś, co napisała: „Nie jestem już młoda, a Ty i Twoi synowie jesteście moimi spadkobiercami. Uważam, że powinniśmy się zobaczyć zanim umrę, a czas najwyższy, żebyś się nauczył prowadzić swoje przyszłe gospodarstwo. Zamierzam mianować cię moim zarządcą – to będzie świetne przygotowanie, a ci z Twoich synów, którzy dorośli już do pracy, znajdą u mnie zatrudnienie jako pastuchowie. Drogheda stanie się rodzinnym przedsięwzięciem, prowadzonym bez pomocy obcych”. – Ale nie pisze o wysłaniu nam pieniędzy na podróż do Australii – rzekła trzeźwo Fee.

Paddy zeszytniał.

– Do głowy by mi nie przyszło, żeby z czymś takim się do niej zwracać! – odparł ostro. – Możemy pojechać do Australii nie żebrając o pieniądze. Wystarczy z tego, co odłożyłem.

– Uważam, że powinna opłacić nam podróż – Fee obstawała przy swoim ku zdumieniu dzieci. Nieczęsto wyrażała swoje zdanie. – Czemu miałbyś zrezygnować z życia, jakie masz

tutaj, i jechać do pracy do niej tylko na podstawie obietnicy danej w liście? Nigdy dotąd nawet palcem nie kiwnęła, żeby nam pomóc, i ja jej nie ufam ani trochę. Pamiętam, jak mówiłaś, że w życiu nie widziałeś drugiej takiej sknery, to wszystko. Bądź co bądź, Paddy, prawie jej nie znasz. Dzielila was taka duża różnica wieku, a poza tym, kiedy twoja siostra wyjechała do Australii, ty nie chodziłeś nawet jeszcze do szkoły.

– Nie widzę, żeby to cokolwiek w tej chwili zmieniało, a jeśli jest skąpa, tym więcej odziedziczymy. Nie, Fee, jedziemy do Australii i opłacimy podróż z własnej kieszeni.

Fee więcej się nie odezwała. Nie sposób było wyczytać z jej twarzy, czy poczuła się urażona tak lekceważącym potraktowaniem.

– Hura! Jedziemy do Australii! – zawołał Bob, chwytając ojca za ramię.

Jack, Hughie i Stuart zaczęli podskakiwać, a Frank uśmiechał się wpatrzony nieobecny wzrokiem w jakąś odległą wizję. Tylko Fee i Meggie pełne wątpliwości i niepokoju, chwytaly się kurczowo nadziei, że ten zamiar spełnie na niczym, gdyż nie spodziewaly się lżejszego życia w Australii, raczej takiego samego, tyle, że w obcym otoczeniu.

– Gdzie leży Gillanbone? – spytał Stuart.

Wyciągnięto stary atlas; mimo że byli biedni, za stołem, przy którym jedli posiłki, znajdowało się kilka półek z książkami. Chłopcy pochyliłi się nad pożółkłyymi stronicami, aż w końcu znaleźli Nową Południową Walię. Przyzwyczajeni do niewielkich odległości w Nowej Zelandii, nie pomyśleli o tym, żeby zajrzeć do legendy ze skalą w dolnym lewym rogu mapy. Bez zastanowienia przyjęli, że Nowa Południowa Walia odpowiada wielkością Wyspie Północnej Nowej Zelandii. I rzeczywiście znaleźli Gillanbone, u góry w lewym rogu mapy; dzieliła go od Sydney taka sama odległość jak Wanganui od Auckland, tak się przynajmniej zdawało, choć punkty oznaczające miejscowości rozsiane były znacznie rzadziej niż na mapie Wyspy Północnej.

– To bardzo stary atlas – powiedział Paddy. – Australia jest jak Ameryka, rozrasta się błyskawicznie. Na pewno jest tam teraz o wiele więcej miast.

Czekała ich podróż statkiem najtańszą klasą, ale ponieważ miała trwać zaledwie trzy dni, było to do wytrzymania. Całkiem co innego niż długie tygodnie podróży między Anglią a antypodami. Mogli sobie pozwolić na zabranie ze sobą tylko ubrań, naczyń stołowych i sztucców, pościeli i obrusów, garnków i tych paru półek ukochanych książek; meble musieli sprzedać, żeby pokryć koszt przewozu rzeczy z salonu Fee, jej szpinetu, dywanów i krzeseł.

– Nie ma mowy, żebyś to wszystko zostawiła – oznajmił stanowczo Paddy.

– Jesteś pewien, że stać nas na taki wydatek? – spytała Fee.

– Najzupełniej. A co do reszty mebli, Mary pisze, że przygotowała dla nas dom zarządcy, w którym powinniśmy znaleźć wszystko, co będzie nam potrzebne. Cieszę się, że nie musimy mieszkać w tym samym domu, co Mary.

– Ja też – powiedziała Fee.

Paddy udał się do Wanganui, żeby zarezerwować najtańszą, ośmioosobową kabinę na statku „Wahine”. Dziwne – pomyślał – że statek nosi tę samą nazwę co najbliższe miasteczko. Mieli wypłynąć w morze pod koniec sierpnia, a na początku tego miesiąca wszyscy poczuli, że wielka przygoda zdarzy się naprawdę. Trzeba było oddać psy, sprzedać konie i bryczkę, załadować meble na platformę Angusa Mac Whriterai zabrać je na aukcję do Wanganui, a rzeczy Fee popakować do skrzyń razem z naczyniami, garnkami, pościelą i książkami.

Frank natknął się na matkę w chwili, gdy stojąc przy pięknym starym szpinecie gładziła różową, poznaczoną smugami obudowę instrumentu i spoglądała nieprzytomnie na przypudrowane złotym kurczem czubki palców.

Czy zawsze go miałaś, mamó? – spytał.

– Tak. Kiedy wyszłam za mąż, nie mogli mi zabrać tego, co należało tylko do mnie. Szpinet, perskie dywany, kanapa i krzesła w stylu Ludwika XV, sekretarzyka z okresu

regencji. Niewiele, ale w świetle prawa były moją własnością. – Rozmarzone spojrzenie przeniosła ponad jego ramieniem na olejny obraz wiszący na ścianie, lekko pociemniały ze starości ale nadal wyraźnie przedstawiając złotowłosą kobietę w różowej koronkowej krynolinie przybranej stu siedmioma falbankami.

– Kto to jest? – spytał z zaciekawieniem, obracając głowę. – Zawsze chciałem się dowiedzieć.

– Wielka dama.

– Ale musi być z tobą spokrewniona. Jesteś trochę do niej podobna.

– Ona? Moją krewną? – Fee oderwała wzrok od obrazu i spojrzała z ironią na syna. – Czy ja naprawdę wyglądam na taką krewną?

– Tak.

– Coś ci się majaczy, synu, otrząśnij się.

– Tak bym chciał, żebyś mi powiedziała, mamo.

Fee westchnęła, zamknęła szpinet i strzepnęła z palców złocisty pył.

– Nie ma nic do powiedzenia, zupełnie nic. Chodź, pomożesz mi przesunąć te rzeczy na środek pokoju, żeby tata mógł je zapakować.

Przeprawa przez morze okazała się koszmarem. Zanim jeszcze „Wahine” wypłynął z zatoki Wellington, dopadła wszystkich choroba morska i nie opuszczała przez całe tysiąc dwieście mil podróży po wzburzonym przez zimowe sztormy morzu. Paddy zabierał chłopców na pokład i trzymał ich tam mimo silnego wiatru i bryzgającej wody. Mógł zejść na dół, żeby zobaczyć się z Fee, Meggie i maleństwem, kiedy jakaś dobra dusza wyraziła chęć przypilnowania czterech nieszczęsnych, wymiotujących synów. Frank, choć z utęsknieniem myślał o świeżym powietrzu, postanowił zostać na dole i strzec kobiet. Ciasna, duszna kabina cuchnęła olejem napędowym, bo znajdowała się poniżej linii zanurzenia, blisko dziobu, gdzie najsilniej dawało się we znaki kołysanie statku.

W kilka godzin po opuszczeniu Wellington Frank i Meggie nabrali przekonania, że ich matka lada chwila umrze. Lekarz sprowadzony z pokładu pierwszej klasy przez bardzo zmartwionego stewarda, potrząsnął pesymistycznie głową.

– Całe szczęście, że to taka krótka podróż – powiedział i odesłał pielęgniarkę po mleko dla niemowlęcia.

W przerwach między atakami nudności Frank i Meggie z pewnym trudem karmili z butelki Hala, któremu niezbyt to odpowiadało. Fee przestała cierpieć z powodu nudności i zapadła jakby w omdlenie, z którego nie można jej było dobudzić. Steward pomógł ułożyć Frankowi matkę na górnej koi, gdzie powietrze było nieco mniej stęchłe i Frank przytrzymując przy ustach ręcznik, żeby tamować wodnistą żółć, którą wciąż zwracał, przysiadł na brzegu odgarniając jej z czoła zmierzwiłone żółte włosy. Godzina za godziną trwał posterunek, mimo że sam chorował. Ilekroć Paddy wchodził do kajuty, zastawał Franka przy matce, podczas gdy Meggie z ręcznikiem przy ustach leżała skulona na dolnej koi razem z Halem.

Trzy godziny przed Sydney fale opadły i na spokojną taflę morza zaczęła nieśmiało zakradać się mgła znad dalekiej Antarktyki, otulając stary statek. Meggie ożywiła się trochę i zdawało jej się, że teraz, kiedy przestało tak strasznie huśtać, statek ryczy z bólu w regularnych odstępach. Powolutku, ostrożnie jak trapiione zwierzę, posuwali się przez lepką szarość, a gdzieś z góry rozlegało się co jakiś czas monotonne wycie, nieopisanie smutny głos, zagubiony i samotny. A kiedy wśród niesamowitych oparów wpłynęli na wody zatoki, powietrze dokoła wypełniło się posepnymi rykami. Meggie na zawsze zapamiętała dźwięk syren mgłowych, jakimi powitała ich Australia.

Schodząc z pokładu „Wahine” Paddy niósł Fee na rękach, za nimi szedł Frank z niemowlęciem, Meggie z walizką i chłopcy, każdy z jakimś bagażem, chwiejąc się i potykając. Przybyli do Pyrmont, – nazwa ta nic im nie mówiła – w mglisty zimowy poranek

pod koniec sierpnia 1921 roku. Przed blaszanym barakiem na przystani ciągnął się sznur czekających aut. Meggie wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, bo nigdy nie widziała tylu samochodów naraz. Jakimś cudem Paddy załadował wszystkich do jednej taksówki, której kierowca sam zaproponował, że zawiezie ich do Pałacu Ludowego.

– To coś w sam raz dla ciebie, bracie – powiedział do Paddy’ego. – Hotel dla robotników prowadzony przez Armię Zbawienia.

Gdzie spojrzeć, we wszystkich kierunkach pędziły ulicami samochody; koni jak na lekarstwo. Dzieci z zachwytem oglądały przez okna taksówki wysokie murowane domy, kręte uliczki, tłumy ludzi gęstniejące i rzednące zdumiewająco szybko w jakimś dziwnym, wielkomijskim rytuale. Wellington, które napełniało ich podziwem, w porównaniu z Sydney okazało się małym, prowincjonalnym miasteczkiem.

Podczas gdy Fee odpoczywała w jednym z niezliczonych pokoi pękającego w szwach schroniska, które Armia Zbawienia ochrzciła dumnie Pałacem Ludowym, Paddy poszedł na dworzec główny dowiedzieć się, kiedy odchodzi pociąg do Gillanbone. Całkiem ozdrowiali chłopcy domagali się głośno, żeby zabrał ich ze sobą, gdyż usłyszeli, że nie jest to daleko, a po drodze cały czas są sklepy, również jeden, w którym sprzedają karmelki ślazowe. Zazdroszcząc im młodości Paddy uległ prośbom, bo sam nie był pewien, ile ma siły w nogach po trzech dniach choroby morskiej. Frank i Meggie zostali z Fee i z Halem, choć też bardzo chcieli iść, ale przeważyła troska o samopoczucie matki. Przyznać trzeba, że z chwilą opuszczenia statku szybko dochodziła do siebie. Wypiła miseczkę zupy i zjadła grzanekę przyniesioną przez anioła w czepku, jedną z opiekunek robotników.

– Jeżeli nie pojedziemy dziś wieczorem Fee, następny bezpośredni pociąg będzie dopiero za tydzień – oznajmił Paddy po powrocie. – Myślisz, że dałabyś radę jechać dzisiaj?

Fee usiadła na łóżku, drżąc na całym ciele.

– Dam radę – powiedziała.

– Uważam, że powinniśmy poczekać – wtrącił hardo Frank. – Według mnie mama jeszcze nie wydobrzała na tyle, żeby jechać pociągiem.

– Nie rozumiesz jednego, Frank. Jeżeli przepuścimy dzisiejszy pociąg, będziemy musieli czekać cały tydzień, a ja po prostu nie mam tyle pieniędzy, żeby opłacić tygodniowy pobyt w Sydney. To wielki kraj, a z miejscowością, do której jedziemy, nie ma codziennie połączenia. Moglibyśmy dojechać do Dubbo którymś z trzech jutrzejszych pociągów, ale potem musielibyśmy czekać na miejscowe połączenie. Powiedziano mi, że taka podróż byłaby o wiele dłuższa i bardziej męcząca niż dzisiejszym ekspresem.

– Dam radę, Paddy – powtórzyła Fee. – Mam przy sobie Franka i Meggie. Nic mi nie będzie. – Mówiąc to, błagała wzrokiem syna o milczenie.

– W takim razie wyślę telegram do Mary, żeby spodziewała się nas jutro wieczorem.

Dworzec główny był największym budynkiem, w jakim rodzina Clearych kiedykolwiek się znalazła. Przypominał olbrzymi szklany cylinder, którym jednocześnie odbijał echem i wchłaniał hałas kilkutyśięczonej cizby czekającej przy wysłużonych, obwiązanych paskami walizach i wpatrzonych zachłannie w ogromną tablicę informacyjną, na której pracownicy kolei, wyposażeni w długie tyczki, ręcznie zmieniali napisy. W zapadającym zmierzchu Cleary’owie stopili się z tłumem i nie odrywali oczu od harmonijkowej bramy przed peronem piątym; na jej zasuniętych skrzydłach wisiał duży, odręcznie namalowany napis: Pociąg pocztowy do Gillanbone. Na peronach pierwszym i drugim tłoczyli się między barierkami pasażerowie, gorączkowy ruch zwiastował zbliżający się odjazd nocnych ekspresów do Brisbane i Melbourne. Wkrótce nadeszła ich kolej, harmonijkowe skrzydła złożyły się i przez otwartą bramę na peron piąty ruszyła skwapliwie gromada ludzi.

Paddy znalazł pusty przedział drugiej klasy, posadził starszych chłopców przy oknach, zaś Fee, Meggie i Hala przy rozsuwanych drzwiach prowadzących na długi korytarz łączący przedziały. Co chwila pojawiały się pełne nadziei twarze wypatrujące wolnego miejsca, by na

widok tyłu dzieci zniknąć z przerażeniem. Posiadanie dużej rodziny miewa czasem dobre strony.

Zimny wieczór usprawiedliwiał wyciągnięcie dużych pledów w szkocką kratę, przymocowanych paskami do wszystkich walizek, wprawdzie wagon nie był ogrzewany, ale od podłogi promieniowały ciepłem metalowe skrzynki wypełnione gorącym popiołem. Zresztą, nikt nie spodziewał się ogrzewania, bo zarówno w Australii jak i Nowej Zelandii nigdy go nie stosowano.

– Czy to daleko, tato? – spytała Meggie, kiedy pociąg ruszył postukując i kołysząc się łagodnie na niezliczonych zwrotnicach.

– O wiele dalej, niż to wyglądało w atlasie, Meggie. Sześćset dziesięć mil. Dojedziemy na miejsce jutro późnym popołudniem.

Chłopcy aż westchnęli ze zdumienia, ale ich uwagę odwróciła bajeczna panorama światła za oknami; przyglęli do nich wszyscy i patrzyli, a domów wcale nie ubywało jeszcze przez kilka minut. Pociąg przyśpieszył, rozsiane coraz rzadziej światła wreszcie pogasty, ustępując miejsca rojom iskier pędzonych nieprzerwanie przez wyjący wiatr. Kiedy Paddy wyprowadził chłopców z przedziału, żeby Fee mogła nakarmić Hala, Meggie popatrzyła tęsknie za nimi. Ostatnimi czasy czuła, że nie przynależy już do chłopców: niemowlę wywróciło jej życie do góry nogami i przykuło do domu tak mocno jak matkę. Nie, nie miała o to żalu, powtarzała sobie lojalnie. Kochany malec był promykiem rozjaśniającym jej życie, a sprawiało jej też przyjemność, że mama traktuje ją jak dorosłą. Nie miała pojęcia, co sprawia, że mama ma dzieci, ale rezultat ją zachwycał. Oddała Hala Fee; niedługo potem pociąg zatrzymał się z hukiem i piskiem i całymi godzinami, jak się zdawało, stał łapiąc oddech. Marzyła o tym, żeby otworzyć okno i wyrzucić, ale w przedziale robiło się coraz zimniej mimo skrzynek z gorącym popiołem na podłodze.

Paddy wszedł niosąc filiżankę herbaty dla Fee, która odłożyła Hala, najedzonego i zasnętego, na ławkę.

– Co to za miejscowość? – spytała.

– Valley Heights. Doczepiają nam drugą lokomotywę, bo będziemy jechać do Lithgow pod górę, tak powiedziała dziewczyna w bufecie.

– Ile mamy czasu, żeby to wypić?

– Kwadrans. Frank bierze dla ciebie kanapki, a ja dopilnuję, żeby chłopcy coś zjedli. Następną stacja z bufetem nazywa się Blayney, ale będziemy tam o wiele później, w nocy.

Meggie ogarnęło nagłe, szalone podniecenie, napiła się gorącej, dobrze osłodzonej herbaty z filiżanki matki i pochłonęła kanapkę, którą przyniósł dla niej Frank. Potem Frank ułożył ją za Halem na długim siedzeniu i opatulił starannie pledem; to samo zrobił z Fee, wyciągniętą na ławce po drugiej stronie. Stuart i Hughie mieli posłanie na podłodze między siedzeniami; Boba, Franka i Jacka Paddy zabrał kilka przedziałów dalej, żeby pogadać z postrzygaczami owiec, i tam mieli spędzić noc. Pociągiem podróżowało się o wiele przyjemniej niż statkiem. Stukotaniu kół towarzyszyło rytmiczne posapywanie dwóch lokomotyw, wiatr świstał w drutach telegraficznych, a kiedy stalowe koła poślizgnęły się czasem na pochyłych szynach, gorączkowo szukający zaczepienia pociąg prychnął wściekle; Meggie zasnęła.

Rano wpatrywali się, zdumieni i strwożeni, w krajobraz tak obcy, że nigdy by nie przypuszczali, iż coś takiego istnieje na tej samej planecie co Nowa Zelandia. Wzgórza, owszem, wznosiły się i opadały, ale nic poza tym ani trochę nie przypominało rodzinnych stron. Wszystko było brązowo szare, nawet drzewa! Pod jaskrawym słońcem ozima pszenica zdążyła już nabrać brunatnosrebrzystego odcienia, falujące i uginające się pod naporem wiatru łany ciągnęły się całymi milami, urozmaicone grupkami tyczkowatych drzew o niebieskich liściach i kępami pokrytych pyłem, zmęczonych szarych krzewów. Fee oglądała te widoki ze stoickim spokojem, ale biedna Meggie miała oczy pełne łez. Rozległy, pozbawiony płotów pejzaż bez śladu zieleni wydał jej się okropny.



Po mroźnej nocy wschodzące do zenitu słońce przyniosło upalny dzień. Pociąg pędził z turkotem coraz dalej i dalej, zatrzymując się od czasu do czasu w jakiejś mieścinie pełnej rowerów i pojazdów konnych; samochody należały tu widać do rzadkości. Paddy otworzył do końca oba okna nie zważając na sadze, które wirując wlatywały i osiadały wszędzie; wszyscy aż dyszeli z gorąca, a grube zimowe ubranie z Nowej Zelandii kleiło im się do ciała wywołując swędzenie. Zdawało się, że nigdzie nie może być tak gorąco w ziemie, chyba w piekle.

O zachodzie słońca ukazało się Gillanbone, małe skupisko tandetnych budynków z drewna i blachy falistej, usytuowanych po obu stronach szerokiej ulicy, zapyłonej, zmęczonej, pozbawionej drzew. Roztapiające się słońce powlekło wszystko złotą glazurą nadając miasteczku przelotną godność, która na ich oczach, kiedy stali jeszcze na peronie, zaczęła tracić blask. Gillanbone stało się na powrót typową osadą australijskiego pogranicza, ostatnią placówką w malejącej strefie opadów; niedaleko na zachód zaczynała się Ziemia Niczyja, pustynny obszar, gdzie nie padały deszcze, ciągnący się przez dwa tysiące mil.

Na placyku przy stacji stał błyszczący czarny samochód, a w ich stronę szedł miarowym krokiem, zapadając się w pył, ksiądz w długiej sutannie. Wyglądał jak postać z dalekiej przeszłości, ktoś, kto nie opiera się stopami na ziemi jak zwykli śmiertelnicy, tylko sunie jak we śnie; kurz wzbijał się i kłębił za jego plecami czerwieniąc w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

– Witajcie, nazywam się de Bricassart – powiedział, wyciągając rękę do Paddy’ego. – Pan to na pewno brat Mary. Jest pan bliźniaczko do niej podobny. – Następnie zwrócił się do Fee i uniósł jej omdlewającą dłoń do ust, uśmiechem wyrażając szczerze zdumienie, nikt szybciej niż ksiądz Ralph nie potrafił rozpoznać szlachetnie urodzonej kobiety. – Ależ pani jest piękna! – rzekł jakby taki komplement brzmiał najnaturalniej na świecie w ustach księdza, po czym przeniósł spojrzenie na zbitych w gromadkę chłopców. Przez chwilę zatrzymał zdziwiony wzrok na dźwigającym niemowlę Franku, a potem kolejno odnotował obecność chłopców, aż do najmniejszego.

Z tyłu samotnie stała Meggie z rozdziawioną buzią, jakby patrzyła na samego Boga. Nie zwracając uwagi na pył, w którym zanurzyła się sutanna, wyminął chłopców i przykucnął przed Meggie. Kiedy zamknął jej ręce w swoich dłoniach, poczuła, jakie są mocne, delikatne, dobre.

– No proszę! A to kto? – spytał z uśmiechem.

– Meggie – odparła.

– Na imię ma Meghann – dorzucił Frank z kwaśną miną, nienawidząc tego pięknego mężczyzny, jego oszalamiającej postury.

– Meghann, moje ulubione imię – powiedział prostując się, ale trzymając Meggie za rękę.

– Najlepiej będzie, jeśli przenocujecie na plebanii – oznajmił, prowadząc Meggie do samochodu. – Zawiozę was do Droghedy rano. To za daleko, żeby jechać od razu po podróży pociągiem z Sydney.

Jedynymi murowanymi budynkami w Gillanbone były hotel „Imperial”, kościół katolicki, szkoła, klasztor i plebania. Nawet duża szkoła państwowa musiała zadowolić się drewnianą konstrukcją. Po zapadnięciu zmroku powietrze bardzo się oziębiło, ale w saloniku na plebanii płonął w kominku wielki ogień i dolatywały skądś drażniące podniebienie zapachy. Gospodyni, zasuszona Szkotka o zdumiewającej energii, pokazała i pokoje, w których mieli nocować, paplając bez ustanku z silnym akcentem z zachodniego pogórza szkockiego.

Przywykli do wyniosłej rezerwy księży w Wahine, Cleary’owie nie umieli dostosować się do beztroskiej dobroduszości księdza Ralpa. Tylko Paddy uległ jej czarowi, bo pamiętał jeszcze serdeczność okazywaną przez księży w rodzinnym Galway, ich nachylenie się nad małuczkami. Pozostali członkowie rodziny zjedli kolację w solennym milczeniu i czym prędzej uciekli na górę, więc Paddy, choć niechętnie, poszedł w ich ślady. Jemu wiara niosła

ciepło i pocieszenie, ale dla reszty rodziny tkwiła korzeniami w lęku, przymusie, który można by streścić zdaniem: „Bądź posłuszny, w przeciwnym razie zostaniesz potępiony”.

Kiedy wszyscy wyszli, ksiądz Ralph zapalił papierosa i wyciągnął się na ulubionym krześle patrząc z uśmiechem w ogień. Oczywiście duszy ponownie oglądał Clearych tak, jak zobaczył ich po raz pierwszy na placu przed stacją. Ojciec, jakże podobny do Mary, ale przygarbiony od ciężkiej pracy i bez jej złośliwego usposobienia; wymęczona, piękna żona, która wyglądała, jakby wysiadła z małego landa zaprzęzonego w białe konie; posepny Frank o śniadej cerze i czarnych – czarnych! – oczach; pozostali synowie na ogół podobni do ojca, z wyjątkiem najmłodszego, Stuarta, uderzająco podobnego do matki, ten powinien wyrosnąć na przystojnego mężczyznę; nie sposób powiedzieć czegośkolwiek na temat niemowlęcia; no i Meggie. Najśłodsza, najrozkoszniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek widział. Włosy nieopisanego koloru, ani rude, ani złote. Podniesione na niego srebrzystoszare oczy połyskujące szlachetnym blaskiem jak klejnoty. Wzruszył ramionami, cisnął niedopałek papierosa w ogień i wstał. Pomyślał, że zaczyna dziwaczeć na stare lata; klejnoty, też coś! Raczej poraziła mu oczy słoneczna łuna bijąca od piasku.

Rano wyruszył do Droghedy wioząc przygarbiętych na noc gości, był na tyle już oswojony z okolicą, że ich komentarze budziły w nim wielką wesołość. Ostatnie wzgórza leżały dwieście mil na wschód; wyjaśnił, że znajdują się na bogatych w czarnoziem równinach. Jak okiem sięgnąć, wokół rozpościerała się płaska jak stół kraina porośnięta trawą i z rzadka drzewami. Dzień był tak samo upalny jak poprzedni, ale daimlerem podróżowało się o wiele wygodniej niż pociągiem. Poza tym wyruszyli w drogę wcześniej, na czczo, z czarną walizką, w której ksiądz Ralph wiózł starannie zapakowane szaty i najświętszy sakrament.

– Owce są brudne! – powiedziała Meggie żałośnie, przyglądając się setkom rdzawoczerwonych kłębuszków z zagłębionymi w trawie pyszczkami.

– Widzę, że powinienem być wybrać Nową Zelandię – powiedział ksiądz. – Musi tam być podobnie jak w Irlandii. I owce są ładne, kremowe.

– Tak, Nowa Zelandia pod wieloma względami przypomina Irlandię. Rośnie tam taka sama piękna, zielona trawa. Ale przyroda jest bardziej dzika, o wiele mniej okiełznana – odpowiedział Paddy. Bardzo mu się podobał ksiądz.

W tym momencie poderwało się stadko strusi emu, które, chyże jak wiatr, rzuciły się do ucieczki wyciągając długie szyje i przebierając niezgrabnymi nogami tak, że ledwie je było widać. Dzieci łapały oddech i parskały śmiechem, urzeczone widokiem ogromnych ptaków, które biegają zamiast lecieć.

– Jak to przyjemnie, kiedy nie trzeba wciąż wysiadać i otwierać tych utrapionych bram – powiedział ksiądz Ralph, kiedy ostatnia brama została zamknięta i Bob, wyręczający go w tym obowiązku, wsiadł z powrotem do auta.

Po wstrząsających wrażeniach, jakimi częstowała ich raz po raz Australia, Drogheda – z wdzięczną, neoklasyczną fasadą, pączkującymi pędami glicynii, tysiącami różanych krzewów – sprawiła, że poczuli się trochę jak w domu.

– Tutaj będziemy mieszkać? – pisała Meggie.

– Niezupełnie – odparł szybko ksiądz. – Dom, w którym zamieszkacie, znajduje się milę stąd, nad strumieniem.

Mary Carson czekała na nich w wielkim salonie i nie wstała z fotela na powitanie brata, zmuszając go, żeby do niej podszedł.

– No, Paddy – powiedziała dość uprzejmie, omijając go wzrokiem i wpatrując się w księdza Ralpha trzymającego w ramionach Meggie, która zarzuciła mu rączki na szyję i tuliła się do niego. Mary Carson podniosła się ciężko, nie witając się z Fee ani z dziećmi.

– Wysłuchajmy od razu mszy – zarządziła. – Ksiądz de Bricassart na pewno śpieszy się i zechce jechać w dalszą drogę.

– Ależ nie, droga Mary. – Roześmiał się, aż błysnęły mu niebieskie oczy. – Odprawię

mszę, zjemy wszyscy przy twoim stole porządne, gorące śniadanie, a potem, jak obiecałem, pokażę Meggie, gdzie będzie mieszkać.

– Meggie – powtórzyła Mary Carson.

– Tak, to jest właśnie Meggie. Trochę jakbyśmy zaczęli przedstawiać się od końca, prawda? Pozwolisz, Mary, że zacznę od początku. To jest Fiona – zaczął Paddy.

Mary Carson skinęła lekko głową, a kiedy prezentował jej po kolei chłopców, prawie go nie słuchała, pochłonięta widokiem Meggie i księdza.

## Rozdział czwarty

Dom zarządcy wznosił się na palach około dziesięciu jardów nad wąskim parowem, porośłym po obu stronach wysokimi, rozczapierzonymi eukaliptusami i licznymi płaczącymi wierzbami. Po wspinałościach rezydencji było tu raczej skromnie, ale praktycznie, wyposażenie przypominało im trochę dom pozostawiony w Nowej Zelandii. W pokojach stały solidne wiktoriańskie meble pokryte grubą warstwą czerwonego pyłu.

– Macie szczęście, że jest tu łazienka – powiedział ksiądz Ralph wprowadzając ich na werandę po schodach z desek, ta wspinaczka kosztowała trochę wysiłku, bo podpierające dom pale miały pięć jardów wysokości. – Na wypadek, gdyby strumień wezbrał – wyjaśnił ksiądz Ralph. – Mieszkacie tuż nad nim, a słyszałem, że poziom wody potrafi się podnieść o dwadzieścia jardów w ciągu nocy.

Rzeczywiście mieli łazienkę: na końcu werandy z tyłu domu we wnęcie stała stara blaszana wanna i grzejnik do wody na drewno. Ale za ubikację służyła, jak z obrzydzeniem przekonały się kobiety, zwykła dziura w ziemi dwieście jardów od domu, w dodatku śmierdząca. Po Nowej Zelandii to urządzenie wydało się im prymitywne.

– Ten ktoś, kto tu mieszkał, niezbyt dbał o czystość – powiedziała Fee przeciągając palcem po zakurzonej kredensie.

Ksiądz Ralph roześmiał się.

– Nie wygra pani z pyłem, wciska się wszędzie – rzekł. – Tu na prowincji są trzy rzeczy, których nie uda się pani nigdy pokonać: upał, kurz i muchy. Może pani nie wiem co robić, nie da się przed nimi uciec.

Fee popatrzyła na niego.

– Ksiądz jest dla nas bardzo dobry.

– Czemu miałbym być inny? Jesteście jedynymi krewnymi Mary Carson, z którą jestem bardzo zaprzyjaźniony.

Fee, na której to oświadczenie nie zrobiło większego wrażenia, wzruszyła ramionami.

– Nie przywykłam do utrzymywania przyjaznych stosunków z księdzem. W Nowej Zelandii księża nie okazują takiej serdeczności.

– Pani nie jest katoliczką, prawda?

– Nie, to Paddy jest katolikiem. Oczywiście wszystkie dzieci, co do jednego, zostały wychowane w wierze katolickiej, jeżeli ma ksiądz wątpliwości.

– W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. A czy panią to boli?

– Jest mi to najzupełniej obojętne.

– Nie przeszła pani na katolicyzm?

– Nie jestem hipokrytką, proszę księdza. Dawno temu straciłam wiarę i nie życzyłam sobie, żeby mnie nawracano na inne, równie nic nie znaczące wyznanie.

– Rozumiem – odparł patrząc na Meggie, która stała na werandzie od frontu i patrzyła na drogę prowadzącą do dworu w Droghedzie. – Pani córka jest taka ładna. Wie pani, mam słabość do tycjanowskich włosów. Na widok takich włosów malarz rzuciłby się do pędzla. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z takim odcieniem. Czy to jedyna pani córka?

– Tak. W rodzinie Paddy’ego i mojej rodzą się chłopcy, dziewczynki są rzadkością.

– Biedactwo – rzekł ni to do siebie, ni do Fee.

Kiedy przyjechały skrzynie z Sydney i dom nabrał swojskości dzięki książkom, porcelanie, bibelotom i wypełniającym bawialnię meblom. Fee, życie toczyło się normalnym trybem. Paddy i starsi od Stu chłopcy spędzali niemal całe dnie w towarzystwie dwóch parobków, których Mary Carson zatrudniała nadal, żeby nauczyci nowych gospodarzy wszystkiego, czym hodowla owiec na północnym zachodzie Nowej Południowej Walii różniły się od

hodowli nowozelandzkiej. Tymczasem Fee, Meggie i Stu odkrywali różnice między prowadzeniem domu w Nowej Zelandii a tu, w Droghedzie. Rozumiało się samo przez się, że nie będą nigdy zakłócać spokoju samej Mary Carson, ale jej gospodyni i pokojówki równie chętnie pomagały nowo przybyłym kobietom jak parobcy mężczyznom. Drogheda, jak się wszyscy o tym przekonali, stanowiła odrębny świat, tak odcięty od cywilizacji, że po niedługim czasie nawet Gillanbone stało się niczym więcej jak tylko nazwą wywołującą mgliste wspomnienia. W obrębie wielkiego obejścia znajdowały się stajnia, kuźnia, garaże, niezliczone szopy, w których przechowywano wszystko: od karmy do maszyn, budy i wybiegi dla psów, istny labirynt zagród dla owiec i bydła, gigantyczna szopa do strzyżenia owiec z oszalałymi liczbą dwudziestu sześciu stanowisk, a za nią dalsze zagrody. Były tam również kurniki, chlewy, obory i mleczarnia, chaty dla dwudziestu sześciu postrzygaczy, szalasy dla wyrobników, dwa mniejsze domy dla pastuchów, barak dla fryców, rzeźnia i składy drewna.

Wszystko to mieściło się mniej więcej pośrodku pola o średnicy trzech mil, zwanego domowym, czyli obejścia. Tylko w jednym miejscu, w pobliżu domu zarządcy, skupisko zabudowań niemal stykało się z rozpościerającymi się dalej lasami. Wokół szop, zagród i wybiegów rosło sporo drzew, które dawały upragniony i niezbędny cień: głównie wielkie sumaki, wytrzymałe, gęste i sennie piękne. Dalej, w bujnych trawach obejścia, pasły się ospale konie i dojne krowy.

Na dnie głębokiego parowu koło domu zarządcy płynął leniwie mulisty strumyk. Nikt nie uwierzył w opowieść księdza Ralpha, że jego poziom może w ciągu nocy podnieść się o dwadzieścia jardów, nie wydawało się to możliwe. Wodę do łazienki i kuchni pompowało się ręcznie ze strumyka i kobiety przez dłuższy czas przyzwyczajały się do jej zielonkawobrunatnego zabarwienia przy myciu, zmywaniu i praniu. Wody pitnej dostarczało szereg potężnych zbiorników z blachy falistej łapiących deszczówkę z dachu, umieszczonych na drewnianych wieżyczkach przypominających wieże wiertnicze. Trzeba było jednak korzystać z niej bardzo oszczędnie, a w żadnym razie nie używać jej do mycia. Nikt nie mógł bowiem przewidzieć, kiedy znów spadnie deszcz i napełni zbiorniki.

Owce i bydło piły wodę artezyjską, ale nie czerpaną z łatwo dostępnego poziomu wód gruntowych, tylko prawdziwą wodą artezyjską, pochodzącą z głębokości ponad tysiąc jardów. Tryskała ona z umieszczonej w odwiercie rury w temperaturze wrzenia a potem rowami porośniętymi po brzegach jadownicą zieloną trawą, płynęła na wszystkie pola posiadłości. Woda w całym tym systemie odpływowym była tak zasiarczona i nasycona minerałami, że nie nadawała się dla ludzi.

Z początku oszołomiły ich odległości: Drogheda zajmowała powierzchnię dwustu pięćdziesięciu tysięcy akrów. Najdłuższy odcinek graniczny ciągnął się osiemdziesiąt mil. Czterdzieści mil i dwadzieścia siedem bram dzieliło dwór od Gillanbone, jedynej osady położonej bliżej niż sto sześć mil. Krótką granicę wschodnią tworzyła rzeka Barwon, jak miejscowi nazywali północny odcinek rzeki Darling, będącej tysiąc milowym mulistym dopływem rzeki Murray, która wlewa swoje wody do oceanu tysiąc pięćset mil dalej, w Australii Południowej. Strumień Gillan, płynący parowem koło domu zarządcy, wpadał do Barwon dwie mile za obejściem.

Paddy i chłopcy zakochali się w Droghedzie. Zdarzało się, że spędzali całe dnie w siodle, z dala od domu, nocując pod niebem tak ogromnym i pełnym gwiazd, że czuli się zjednoczeni z Bogiem.

Szarobrunatna kraina roiła się od żywych stworzeń. Liczące tysiące sztuk stada kangurów przedzierały się w podskokach przez zarośla, pokonywały susami płoty, urzekając gracją ruchów i swobodą. Strusie emu budowały gniazda na środku trawiastej równiny i obchodziły swoje terytoria sztywnym krokiem gigantów, a ilekroć je coś spłoszyło, wystraszone umykały tak szybko, że koń by ich nie dogonił, jak najdalej od swoich ciemnozielonych jaj wielkości

piłki futbolowej. Termyty stawiały rdzawe wieże niczym miniaturowe drapacze chmur. Ogromne, wściekle gryzące mrówki wlewały się strumieniami do dziur w naziemnych kopcach.

Ptasi świat był tak bogaty i zróżnicowany, że liczba gatunków wydawała się nie mieć końca; zresztą ptaki nie żyły pojedynczo ani parami, tylko w wielotysięcznych gromadach: małe zielono-żółte papużki, które Fee nazywała nierozłączkami, zaś tubylcy po swojemu: *budżerigary*; purpurowo-niebieskie nieduże papugi o dźwięcznej nazwie *rosella*; duże perłowszare papugi, różowe na piersiach, wewnętrznej stronie skrzydeł i na łebkach, zwane *galah*; wielkie śnieżnobiałe kakadu o uderzająco żółtych czubach. Cieszyło oko drobne ptactwo kołujące i furkoczące skrzydłami, także wróble i szpaki, a silne brązowe zimorodki *kookaburra* śmiały się i chichotały wesoło albo nurkowały polując na węże, ulubiony przysmak. Wszystkie te ptaki miały w sobie tyle cech ludzkich! Nie okazywały najmniejszego lęku, setkami siedziały na drzewach, rozglądając się bystrymi, inteligentnymi oczkami, wrzeszczały, gadały, śmiały się i naśladowały każdy dźwięk.

Straszne jaszczurki długości pięciu, sześciu stóp kroczyły po ziemi lub skakały zręcznie po wysokich gałęziach, gdzie czuły się równie swobodnie jak na twardym gruncie; były to *goanny*. Żyło tu wiele mniejszych, choć nierzadko równie przerażających jaszczurek – ich szyje ozdabiały zrogowaciałe kołnierze, upodabniając je do dinozaurów z rodzaju *Triceratops*, inne miały nabrzmiące, jaskrawoniebieskie języki. Rozmaitość węży zdumiewała – węże australijskie, żmije miedzianki, węże drzewne, czarne węże o czerwonym podbrzuszu, brązowe węże, śmiercionośne węże tygrysy – ale Cleary'owie nauczyli się, że największe i z wyglądu najgroźniejsze należały często do najłagodniejszych, podczas gdy kikutowate stworzenie długości jednej stopy mogło okazać się jadowite.

A owady! Koniki polne, szarańcze, świerszcze, pszczoły, muchy, najróżniejszych rozmiarów i gatunków, cykady, komary, ważki, olbrzymie ćmy i tyle, tyle motyli! Pająki zdarzały się okropne, włochate, o rozpiętości odnóży wynoszącej kilka cali, albo zwodniczo małe, czarne, zaczajone w wychodku, śmiertelnie niebezpieczne, niektóre mieszkaly w zawieszonych między drzewami ogromnych pajęczynach w kształcie koła, inne huśtały się między źdźbłami trawy w kołyskach uplecionych gęsto najcieńszą nicią, jeszcze inne nurkowały do dziurek w ziemi wyposażonych w pokrywki zasłaniające otwór.

Były też drapieżniki: agresywne i mięsożerne dzikie świnie, czarne, włochate i wyrosnięte do rozmiarów krowy; dzikie australijskie psy dingo, które przemykały z brzuchem przy ziemi niknąc w trawie; setki wron obsiadające białe szkielety martwych drzew i kraczące posępnie; jastrzębie i orły unoszące się z rozpostartymi nieruchomo skrzydłami na powietrznych prądach.

Przed niektórymi z tych zwierząt trzeba było chronić owce i bydło, zwłaszcza w porze przychodzenia na świat młodych. Kangury i króliki wyjadały cenną trawę; dzikie świnie i psy dingo zjadały jagnięta, cielęta i chore sztuki, wrony wydziobywały oczy. Cleary'owie nauczyli się posługiwać bronią palną i teraz ruszając w drogę konno zabierali ze sobą strzelby, żeby w razie potrzeby skrócić cierpienia jakiegoś zwierzęcia albo powalić odyńca czy dingo. Chłopcy myśleli uradowani: to dopiero jest życie. Żaden z nich nie tęsknił za Nową Zelandią. Kiedy muchy lepiły się do kącików oczu, do nozdrzy, uszu i ust, poradzili sobie z tym po australijsku, przywiązując wokół ronda kapelusza dyndające na sznurku korki. A żeby jakieś pełzające stworzenia nie dostały się do szerokich nogawek spodni, nogi poniżej kolan obwiązywali kawałkami kangurzej skóry, nazywanymi *bowyang*. Idiotycznie brzmiąca nazwa pobudzała ich do śmiechu, ale odnosili się z respektem do tego niezbędnego zabezpieczenia. Nowa Zelandia wydawała się teraz bezpieczną, łagodną krainą, ale dopiero tutaj żyło się naprawdę.

Kobietom, uwięzonym w domu i przy jego najbliższym otoczeniu, o wiele mniej odpowiadało tutejsze życie, bo nie miały wolnej chwili ani pretekstu, żeby jeździć konno, i

brakowało im dobroczyнного urozmaicenia w zajęciach. Było im po prostu ciężiej wykonywać swoje odwieczne obowiązki – gotować, sprzątać, prać, prasować, chować dzieci. Zmagaly się z upałem, kurzem, muchami, schodami, mulistą wodą, ustawiczną nieobecnością mężczyzn, którzy mogliby przynieść i porąbać drzewo, napompować wody, zarznąć kilka sztuk drobiu. Szczególnie dawała im się we znaki spiekota, a przeciez nadeszła dopiero wczesna wiosna, mimo to dzień w dzień termometr na cienistej werandzie wskazywał blisko czterdzieści stopni. W kuchni przy palenisku temperatura dochodziła do pięćdziesięciu.

Wielowarstwowe, dopasowane ubranie nadawało się do noszenia w Nowej Zelandii, gdzie w domu niemal zawsze panował przyjemny chłód. Mary Carson, która dla gimnastyki wybrała się do szwagierki, uniosła brwi na widok zapiętej pod brodę i sięgającej ziemi perkalowej sukienki Fee. Ona sama ubrana była według najnowszej mody – kremowa, jedwabna sukienka z dużym dekoltem i bez znaczonyj talii sięgała zaledwie do pół łydki i miała luźne rękawy bez łokci.

– Doprawdy, Fiono, jesteś beznadziejnie staroświecka – powiedziała omiatając spojrzeniem świeżo pomalowaną na kremowo bawialnię, perskie dywany i cenne meble na wysokich nóżkach.

– Nie mam czasu, żeby być inna – odparła Fee dość obcesowo jak na gospodynię.

– Teraz, kiedy mężczyźni przebywają najczęściej poza domem i nie trzeba przygotowywać tyłu posiłków, będziesz miała więcej czasu. Poskracaj spódnice i przestań nosić halki i gorset, bo umrzesz z gorąca, kiedy nadejdzie lato. Tu potrafi być jeszcze o kilkanaście stopni cieplej.

– Jej wzrok zatrzymał się na portrecie pięknej blondynki w krynolinie a la cesarzowa Eugenia. – A kto to? – spytała wskazując na obraz.

– Moja babka.

– Naprawdę? A meble, dywany?

– Moje, po babce.

– Naprawdę? Moja droga Fiono, to znaczy, że twoja pozycja towarzyska jest o wiele niższa niż przedtem.

Fee nigdy nie traciła panowania nad sobą, więc i teraz zachowała spokój, ale jej wąskie usta jeszcze bardziej się zwężyły.

– Wcale tak nie uważam, Mary. Mam dobrego męża. Sama powinnaś najlepiej o tym wiedzieć.

– Ale to biedak. A jak brzmi twoje panieńskie nazwisko?

– Armstrong.

– Naprawdę? Ale nie z tych Armstrongów co Roderick Armstrong?

– To mój najstarszy brat. Jego imiennik był moim pradziadkiem.

Mary Carson wstała odganiając muchy, które nikogo nie uszanowały, dużym kapeluszem ozdobionym kwiatami.

– A więc pochodzisz z lepszej rodziny niż Cleary'owie, sama to muszę przyznać. Rzuciłaś to wszystko z miłości do Paddy'ego?

– Powody, dla których postępuję tak, a nie inaczej, to moja sprawa, nie twoja, Mary – powiedziała Fee spokojnie. – Nie rozmawiam na temat mojego męża, nawet z jego siostrą.

Bruzdy po obu stronach nosa Mary Carson pogłębiły się, oczy wyszły lekko na wierzch.

– Wielkopańskie fochy!

Nie przyszła już więcej z wizytą, ale jej gospodyni, pani Smith, odwiedzała często Fee i powtórzyła radę Mary Carson dotyczącą ubioru.

– Wie pani co – powiedziała – mam u siebie maszynę do szycia, której nigdy nie używam. Zawołam dwóch wyrobników, żeby ja tu przynieśli. A gdyby mi była potrzebna, to po prostu tu przyjdę. – Jej błędzące spojrzenie zatrzymało się na Halu, który z uciechy turlał się po podłodze. – Cieszę się, kiedy słyszę głosy dzieci, pani Cleary.

Raz na sześć tygodni z Gillanbone przyjeżdżał konny wóz z pocztą – jedyny kontakt ze

światem zewnętrznym. W posiadaniu Droghedy znajdowały się dwa ciężarowe fordy, w tym jeden o specjalnej konstrukcji, ze zbiornikiem na wodę na platformie, ford model T i rolls-royce, ale jakoś nikt nie jeździł nimi do Gilly, oprócz Mary Carson, i to nieczęsto. Odległość czterdziestu mil wydawał się ogromna.

Umowę na rozwożenie poczty po okręgu miał Bluey Williams, któremu objechanie całego terytorium zajmowało właśnie sześć tygodni. Jego platformę z wielkimi kołami ciągnął wspaniały zaprzęg złożony z dwunastu koni pociągowych, zaś ładunek składał się z najprzeróżniejszych rzeczy zamówionych przez najdalej położone farmy. Prócz poczty wiozł benzynę w czterdziestoczwierogalonowych baryłkach, naftę w kanciastych pięciogalonowych puszkach, siano, ziemiaki, perkalowe worki z cukrem i mąką, drewniane skrzynki z herbatą i inne artykuły spożywcze, maszyny rolnicze, zamawiane z katalogów zabawki i ubrania ze sklepu Anthony'ego Hordera w Sydney, a poza tym wszystko inne, co trzeba było kupić i sprowadzić z Gilly albo z dalekiego świata. Przemieszczał się w szybkim tempie dwudziestu mil dziennie, a wszędzie, gdzie się zatrzymał, witano go serdecznie, zlecano zakup towarów w Gilly, wręczano pieniądze owinięte starannie w skrawki papieru z zamówieniem, oraz powstałe w żmudnym trudzie listy, które wędrowały do płóciennego worka z napisem: „Poczta Rządu JKM”.

Na trasie pocztowej na zachód d Gilly leżały tylko dwie farmy, najpierw Drogheda, potem Bugela; za Bugelą rozciągało się terytorium, które dostawało pocztę jedynie dwa razy do roku. Platforma Blueya zataczała wielki łuk przez wszystkie farmy na południowym zachodzie, zachodzie i północnym zachodzie, następnie wracała do Gilly, aby potem ruszyć w krótszą, bo zaledwie sześćdziesięciomilową podróż na wschód, gdzie zaczynał się rejon miasta Booroo. Czasem Bluey przywoził gości lub ludzi szukających pracy, którzy siedzieli koło niego na nie osłoniętym skórzanym siedzeniu; innym razem zabierał kogoś ze sobą – gości, niezadowolonych pastuchów, pokojówki, wyrobników, bardzo rzadko guwernantkę. Osadnicy poruszali się własnymi samochodami, ale ich pracowników woził Bluey, który dostarczał wszystkim towary i pocztę.

Kiedy nadeszły zamówione bele materiału, Fee zasiadła do podarowanej maszyny i zaczęła szyc luźne sukienki z cienkiej bawełny dla siebie i Meggie, lekkie spodnie i kombinezony dla mężczyzn, koszulki dla Hala, zasłony do okien.

Z całą pewnością było chłodniej bez kilku warstw bielizny i dopasowanego ubrania.

Meggie czuła się samotna, bo spośród chłopców tylko Stuart zostawał w domu. Jack i Hughie jeździli razem z ojcem przyuczać się na pastuchów – nazywani, jak wszyscy młodzi nowicjusze frycami. Spokojny Stuart nie był takim towarzyszem zabaw jak niegdyś Jack i Hughie. Żył we własnym świecie, wolał godzinami obserwować życie mrówek niż wdrapywać się na drzewa, tymczasem Meggie uwielbiała łązić po drzewach, uważając, że australijskie eukaliptusy są cudowne, o różnym stopniu trudności i nieskończenie urozmaicone. Przy czym ani na łązenie po drzewach, ani na obserwowanie mrówek nie zostawało wiele czasu. Oboje ciężko pracowali. Rąbali i nosili drzewo, kopali doły na odpadki, uprawiali ogródek warzywny, chodzili koło ptactwa i świń, nauczyli się też zabijać węże i pająki, chociaż nigdy nie pozbyli się lęku przed nimi.

Od kilku lat deszcz padał w miarę obficie. W strumieniu utrzymywał się niski stan wody, ale zbiorniki były wypełnione mniej więcej do połowy. Trawa nadal rosła całkiem dobrze, chociaż nie tak bujnie jak kiedyś.

– Pewnie się pogorszy – przepowiadała ponuro Mary Carson.

Zanim jednak zaznali prawdziwej suszy, przyszło im doświadczyć powodzi. W połowie stycznia kraj zaatakowało południowe skrzydło północno-zachodnich monsunów. Podstępne wiatry wiały w różnych kierunkach. Skutki ulewnych deszczów na ogół odczuwały jedynie wyschnięte najdalej na północ skrawki kontynentu, ale czasem opady docierały daleko na południe, sprowadzając na nieszczęsnych mieszkańców Sydney dżdżyste lato. Tego stycznia



niebo pociemniało od pędzących postrzępionych chmur i lunął deszcz; nie jakaś przelotna ulewa, tylko nieprzerwany potop lał się z hukiem z nieba.

Ostrzeżono ich przed tym. Bluey Williams nadjechał z górą towarów na wozie, z za którym prowadził tuzin zapasowych koni, że spieszył się, żeby skończyć objazd, zanim deszcze uniemożliwią mu dalsze dostawy.

– Nadchodzą monsuny – oznajmił, zwijając papierosa i wskazując batem sterty dodatkowej żywności. – Cooper, Barcoo i Diamantina już wylały, a Overflow występuję z brzegów. Queensland znalazł się pod dwoma stopami wody i ludziska na gwałt szukają pagórków, żeby zapędzić na nie owce.

W panice rzucono się do gorączkowych przygotowań. Paddy razem z chłopcami pracowali jak szaleni przeganiając owce z niżej położonych pól i możliwie jak najdalej od strumienia i rzeki Barwon. Przybył ksiądz Ralph, osiodłał konia i wyruszył z Frankiem i najlepszą sforą psów na dwa ostatnie pola nad Barwon, podczas gdy Paddy i dwóch pastuchów zabrali po jednym chłopcu i rozjechali się każdy w inną stronę.

Ksiądz Ralph sam był wyśmienitym pastuchem. Dosiadał ofiarowanej mu przez Mary Carson kasztanowej klaczy pełnej krwi ubrany w nienagannie skrojone, ciemnożółte długie bryczesy, lśniące jasnobrązowe buty do kolan i nieskazitelnie białą koszulę, której podwinęte rękawy odsłaniały muskularne ręce, a rozpięty kołnierzyk ukazywał gładki opalony tors. Frank, w workowatych, starych szarych spodniach przewiązanych ochraniaczami i szarej flanelowej koszuli – pomyślał z goryczą podążając za wyprostowanym jeźdźcem na zgrabnej klaczy przez bukszpanowo-sosnowy zagajnik za strumieniem. On sam dosiadał twardego w pysku, srokatego konia roboczego, złośliwej i upartej bestii, która do innych koni odnosiła się z dziką nienawiścią. Podniecone psy szczekały i skakały, warcząc rzucały się na siebie i rozdzielało je dopiero śmignięcie bata, którym ostro zacinał ksiądz Ralph. Wydawało się, że nie ma takiej rzeczy, której ten człowiek by nie potrafił; umiał odpowiednimi gwizdami wydawać polecenia psom i posługiwał się batem o wiele zręczniejszym niż Frank, który nadal uczył się tej egzotycznej australijskiej sztuki.

Przewodzący sforze pies o stalowoszarej sierści, wielki queenslandzkie bydlę, niewolniczo podporządkowujący się księdzu i podążał za nim bez namysłu, dając do zrozumienia, że Frank gra tutaj drugie skrzypce. Po trosze odpowiadało to Frankowi; on jeden spośród synów Paddy'ego nie polubił życia w Droghedzie. Kiedyś pragnął jednego: wyjechać z Nowej Zelandii – ale nie po to, żeby trafić na to odludzie. Nienawidził nieustannego patrolowania pól, twardej ziemi służącej za łóżko niemal co noc, ostrych psów, z którymi nie można się było przyjaźnić i które trzeba było zastrzelić, jeżeli nie wykonały należycie swojej pracy.

Ale jazda konno naprzeciw zwałom chmur – to miało posmak przygody; nawet gnące się z trzaskiem drzewa zdawały się tańczyć w radosnym zapamiętaniu. Ksiądz Ralph pracował jak opętany, posyłając psy na niczego nie spodziewające się gromadki owiec, podrywając z miejsca głupie wełniaste stworzenia, które podskakiwały i beczały przerażone, aż śmigające przez trawę cienie zbiły je w gęste, pędzące stado. Tylko dzięki psom garstka ludzi mogła uporać się z prowadzeniem tak ogromnego majątku jak Drogheda, hodowane do pracy z owcami i bydłem psy wykazywały zdumiewającą inteligencję i nie potrzebowały wielu wskazówek.

Przed zapadnięciem zmroku ksiądz Ralph w asyście Franka, który bezskutecznie starał mu się dorównać, z pomocą psów wypędził wszystkie owce z jednego pola, co normalnie zajmowało kilka dni. Koło kępy drzew przy bramie na drugie pole rozkulbaczył klacz wyrażając na głos nadzieję, że zanim zacznie padać, uda im się również stamtąd przegonić owce. Psy porozkładały się na trawie z wywalonymi jęzorami, a duży queenslandzki owczarek łąsił się i przypadał do ziemi u stóp księdza Ralpa. Z torby przy siodle Frank wygrzebał odrażające kawałki kangurzego mięsa i cisnął psom, które rzuciły się na nie kłapiąc zębami i gryząc się w zazdrosnej rywalizacji.

– Cholerne bydlaki – powiedział. – Nie zachowują się wcale jak psy. To szakale.

– Zapewne znacznie bardziej przypominają psy, które stworzył Pan Bóg – rzekł łagodnie ksiądz Ralph. – Są czujne, inteligentne, agresywne i prawie nieoswojone. Jeśli mam być szczerzy, wolę je od tych wszystkich udomowionych ras. – Uśmiechnął się. – Koty też. Zauważyłeś, jak kręcą się koło szop? Dzikie i złe jak pantery, nie pozwolą człowiekowi zbliżyć się do siebie. Są znakomitymi myśliwymi i żadnego człowieka nie uznają za swojego pana albo żywiciela.

Wyciągnął z torby przy siodle baraninę na zimno i paczkę chleba z masłem, uciął dla siebie kawałek mięsa, a resztę podał Frankowi. Położywszy chleb z masłem na kłocu drzewa służącym m obu za stół, z wyraźną przyjemnością wbił białe zęby w mięso. Pragnienie ugasił wodą z płóciennego bukłaka, a potem skręcili papierosy.

Nie opodal rosło samotne drzewo wilga. Ksiądz Ralph wskazał je papierosem.

– Tam będziemy spali – powiedział rozpinając pasy przytrzymując koc i podnosząc z ziemi siodło.

Frank ruszył za nim do drzewa, powszechnie uważanego za najpiękniejsze w tej części Australii. W kształcie niemal idealnie okrągłe, miało gęste żółtawozielone liście. Gałązki rosły tak nisko, że owce sięgały do nich z łatwością, dlatego też wszystkie wilgi były od dołu równo przystrzyżone jak ozdobny żywopłot. W razie deszczu dawały lepsze schronienie niż inne australijskie drzewa, które miały z reguły rzadsze listowie niż drzewa wilgotniejszych krain.

– Nie jesteś szczęśliwy, Frank, prawda? – spytał ksiądz Ralph kładąc się z westchnieniem i zwijając następnego papierosa.

Leżący opodal Frank obrócił się i spojrzał na niego podejrzliwie.

– Co to znaczy: szczęśliwy?

– W tej chwili szczęśliwy jest twój ojciec i twoi bracia. Ale ty nie, podobnie jak twoja matka i siostra. Nie podoba ci się Australia?

– Nie podobają mi się te strony. Chcę jechać do Sydney. Może tam miałbym szansę do czegoś dojść.

– Sydney? To jaskinia nieprawości – rzekł ksiądz Ralph z uśmiechem.

– Nie dbam o to! Tutaj jestem tak samo spętany jak w Nowej Zelandii. Nie mogę się od niego uwolnić.

– Od niego?

Ale te słowa wymknęły się Frankowi mimo woli i nie chciał nic więcej powiedzieć. Leżał wpatrując się w liście nad głową.

– Ile masz lat, Frank?

– Dwadzieścia dwa.

– Tak?! Czy byłeś kiedyś z dala od rodziny?

– Nie.

– Nie byłeś nigdy na potańcówce, nie miałeś dziewczyny?

– Nie. – Frank uparcie nie używał należnego księdzu tytułu.

– Więc nie będzie cię już doży dłużej trzymał.

– Będzie mnie trzymał aż do śmierci.

Ksiądz Ralph ziewnął i ułożył się do snu.

– Dobranoc – powiedział.

Rankiem chmury wisały niżej, ale nie padało przez cały dzień i zdążyli opróżnić drugie pole. Przez całą Droghedę z północnego wschodu na południowy zachód przebiegało pasmo pagórków; na znajdujących się tam pastwiskach zebrano wszystkie owce i bydło, żeby zwierzęta mogły schronić się wyżej, gdyby woda przelała się przez skarpy parowu i wystąpiła z brzegów Barwon.

Deszcz zaczął padać z zapadnięciem zmroku, w momencie kiedy Frank razem z księdzem

szybkim kłusem zmierzali do brodu w strumieniu za domem zarządcy.

– Teraz nie ma co żałować koni! – krzyknął ksiądz Ralph. – Popędź dobrze swojego, chłopcze, bo utoniesz w błocie!

W ciągu kilkadziesiąt sekund przemokli do suchej nitki, a spieczoną ziemię pokryła woda. Zbita gleba z trudem wchłaniająca wilgoć zamieniła się w morze błota spowolniając konie, które grzęzły w nim po pęciny. Na trawiastym gruncie udawało im się przyśpieszyć, ale w pobliżu strumienia, gdzie na wydeptanej ziemi nic nie rosło, musieli zsiąść z koni. Teraz konie bez trudu posuwały się naprzód, natomiast Frank w żaden sposób nie mógł utrzymać równowagi. To było gorsze niż lodowisko. Na czworaka doczołgali się do skraju pochyłości i ześlizgnęli na dół jak pociski. Kamienisty bród, w którym leniwa woda sięgała zwykle do pół łydki, skrył się pod spienioną kipiela głęboką na cztery stopy. Frank usłyszał śmiech księdza. Konie, popędzane okrzykami i chłaśnięciami przemokłych kapeluszy, wdrapały się szczęśliwie na przeciwległy brzeg, ale Frank i ksiądz bezskutecznie usiłowali pójść w ich ślady. Za każdym razem ześlizgiwali się z powrotem na dół. Kiedy ksiądz wpadł na pomysł, żeby wdrapać się na wierzbę, zjawił się Paddy, zaalarmowany przybyciem koni bez jeźdźców, i wyciągnął ich z pomocą liny.

Potrząsając głową z uśmiechem ksiądz Ralph podziękował Paddy’emu za zaproszenie do domu.

– Oczekują mnie w rezydencji – wyjaśnił.

Mary Carson wcześniej niż ktoś ze służby usłyszała jego wołanie, ponieważ obszedł dom od frontu w przeświadczeniu, że łatwiej stamtąd dotrze do swojego pokoju.

– W takim stanie nie wejdiesz do środka – oznajmiła stojąc na werandzie.

– Więc bądź tak miła i przynieś mi parę ręczników i moją walizkę.

Bez żenady przyglądała się, jak ściąga koszulę, buty i spodnie, potem oparty o uchylone okno do jej salonu z grubszą wyciera się z błota ręcznikiem.

– Jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam, Ralphie de Bricassart – powiedziała. – Dlaczego jest tylu przystojnych księży? Irlandzkie pochodzenie? Trzeba przyznać, że Irlandczycy to urodziwy naród. A może dla przystojnego mężczyzny stan duchowny jest ucieczką od konsekwencji własnej urody? Głowę daję, że dziewczęta w Gilly cierpią z twojego powodu.

– Dawno temu nauczyłem się nie zwracać uwagi na romansowe panienki. – Roześmiał się.

– Każdy ksiądz poniżej pięćdziesiątki jest dla niektórych obiektem westchnień, a dopóki nie skończy trzydziestu pięciu lat, zwykle wszystkie do niego wzdychają. Ale tylko protestantki otwarcie próbują mnie uwieść.

– Nigdy nie odpowiadasz wprost na moje pytania, prawda?

– Wyprostowała się i położyła mu dłoń na piersi. – Jesteś sybarytą, Ralphie, wylegujesz się na słońcu. Cały jesteś taki opalony?

Pochylił głowę i zaśmiał się prosto w jej włosy, równocześnie rozpinając bawełniane kalessony. Kiedy spadły na ziemię, odrzucił je nogą i stanął niczym posąg Praksytelesa, podczas gdy ona obchodziła go i oglądała ze wszystkich stron.

Ostatnie dwa dni wprawiły go w wyśmienity humor, podobnie jak nagła myśl, że Mary ma być może więcej słabych punktów, niż to sobie wyobrażał. Znał ją jednak dobrze i czuł, że bezpiecznie może zapytać:

– Czy chcesz, żebym się z tobą kochał, Mary?

Spojrzała na jego wiotki członek i parsknęła śmiechem.

– Na myśl by mi nie przyszło narażać cię na tyle kłopotu! Czy potrzebne są ci kobiety, Ralphie?

Z pogardą odrzucił głowę do tyłu.

– Nie!

– Mężczyźni?

- Są gorsi od kobiet. Nie, nie są mi potrzebni.
- A sam sobie jesteś?
- To już najmniej.

– Ciekawe. – Podsunęła do góry spuszczone okno i weszła do salonu. – Ralph, kardynał de Bricassart! – zadrwiła. Ale znalazła się poza zasięgiem jego przenikliwych oczu, opadła na fotel i zacisnęła pięści, wyrażając kapryśnemu losowi.

Ksiądz Ralph, nagi, zszedł z werandy i stanął na przyszczyżonym trawniku. Wyciągnął ręce nad głowę i zamknął oczy. Deszcz oblewał go ciepłymi strużkami, które torowały sobie drogę po gołej skórze. Niepowtarzalne uczucie. Było bardzo ciemno. Wciąż był wiotki.

Strumień wystąpił z brzegów i woda pięła się coraz wyżej po słupach, na których stał dom Paddy’ego i dalej przez obejście w stronę dworu.

– Jutro opadnie – powiedziała Mary Carson, kiedy zmartwiony Paddy przyszedł ją o tym zawiadomić.

Jak zwykle miała rację: przez następny tydzień woda stopniowo cofała się, aż wreszcie powróciła do normalnego koryta. Wyjrzało słońce, temperatura skoczyła do czterdziesty czterech stopni w cieniu, czysta trawa wyrosła powyżej kolan i zdawała się frunąć do nieba i lśniła białym blaskiem jak pozłacana, aż bolały oczy. Drzewa błyszczwały, odkurzone i umyte, hordy papug, które pochowały się gdzieś przed deszczem znów łyskały tęczo między pniami i gałęziami, rozgadane jak nigdy.

Ksiądz Ralph wrócił do swoich zaniedbanych parafian, by nieść im pociechę, spokojny, że nie dostał bury: pod śnieżnobiałą koszulą, tuż koło serca, spoczywał czek na tysiąc funtów. Wiedział, że biskup będzie zachwycony.

Przepędzono owce na ich zwykłe pastwisko i Cleary’owie musieli ulec panującemu na prowincji zwyczajowi sjesty. Wstawali o piątej rano, żeby ze swoimi zajęciami uporać się do południa, następnie padali jak kłody i do piątej po południu leżeli złani potem, wzdrygając się niespokojnie. Dotyczyło to zarówno kobiet w domu jak i mężczyzn na polach. Do pracy wracano po piątej, a wieczerzę spożywano po zachodzie słońca na werandzie przed dom, gdyż upał trzymał przez całą noc. Zdawało się, że przed długie tygodnie, dzień i noc słupek rtęci nie opada poniżej trzydziestu ośmiu stopni. Zapomniano jak smakuje wołowina, gdyż wyłącznie jadano baraninę z tak małych sztuk, żeby nie zdążyła się nadpsuć. Podniebienia tęskniły do odmiany od wiecznie powtarzających się dań, takich jak kotlety baranie, gulasz barani, mielona zapiekana baranina z ziemniakami, baranina curry, pieczony udziec barani, peklowana baranina, baranina casserole.

Ale z początkiem lutego życie Meggie i Stuarta raptownie się odmieniło. Wysłano ich oboje na naukę do zakonnic w Gillanbone, gdyż bliżej szkoły nie było. Paddy zapowiedział, że Hal, kiedy dorośnie, będzie się mógł uczyć korespondencyjnie w szkole dominikanów w Sydney, a ponieważ Meggie i Stuart przywykli do nauczycieli, Mary Carson uczyniła hojny gest i opłaciła im pobyt i naukę w klasztorze Świętego Krzyża. Zresztą zajęta Halem Fee nie miałaby czasu czuwać nad nauką korespondencyjną. Od początku panowała milcząca umowa, że Jack i Hughie nie będą uczyć się dalej; Drogheda potrzebowała ich na swojej ziemi, a ziemia była tym, czego pragnęli.

W porównaniu z Droghedą, a zwłaszcza z Najświętszym Sercem w Wahine, życie w Święty Krzyżu wydawało się Meggie i Stuartowi dziwne i bardzo spokojne. Ksiądz Ralph dał siostrzom delikatnie do zrozumienia, że ta dwójka dzieci to jego protegowani, a ich ciotka jest najbogatszą mieszkanką Nowej Południowej Walii. Tak więc nieśmiałość Meggie z wady przekształciła się w zaletę, a zamknięty w sobie Stuart, który miał zwyczaj wpatrywania się godzinami w niezmiernie dale, zyskał sobie miano „świętego chłopczyka”.

Istotnie panował tam wielki spokój, gdyż niewielu uczniów mieszkało w internacie; ci spośród okolicznych mieszkańców, których stać było na wysłanie dzieci do szkoły z

internatem, z reguły wybierali Sydney. W klasztorze unosił się zapach pasty do podłóg i kwiatów, wysokie ciemne korytarze wypełniała cisza i namacalna wręcz świątobliwość. Odzywano się tu stłumionymi głosami, życie toczyło się jakby za cienkim czarnym welonem. Nikt nie bił ich różgą, nikt na niech nie krzyczał i zawsze mieli blisko do księdza Ralpha.

Odwiedzał ich często i zapraszał na nocleg do plebanii tak regularnie, że sypialnię, z której korzystała Meggie, postanowił przemalować na delikatny jasnozielony kolor, kupić nowe zasłony do okien i nową kołdrę na łóżko. Stuart spał w pokoju, który po dwukrotnym odnawianiu zachował kremowo-brązowy kolor; po prostu księdzu Ralphowi nie przyszło do głowy, żeby zadać sobie pytanie, czy Stuart jest szczęśliwy. Stuart był dodatkiem, kimś, kogo należało zaprosić przez grzeczność.

Ksiądz Ralph nie wiedział, dlaczego tak bardzo lubił Meggie, ale też specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Zaczęło się to od współczucia w dniu, kiedy zobaczył ją zagubioną z tyłu za braćmi na pylistym dziedzińcu stacji; odstawała od nich z powodu płci, jak się słusznie domyślał. Natomiast powód, dla którego Frank również trzymał się na uboczu, wcale go nie interesował, nie budziło w nim współczucie dla niego. Było we Franku coś takiego, co mroziło tkliwsze uczucia – mroczny duch pozbawiony wewnętrznego światła. Ale Meggie? Wzruszyła go do głębi, choć właściwie nie wiedział czemu. Ten urzekający kolor włosów; barwa i wykrój oczu podobnych do oczu matki, zatem pięknych, a przy tym o ileż słodszych, bardziej wyrazistych; jej charakter, który uważał za idealny u kobiety, łączący bierność z ogromną siłą. Natura bez krzty buntowniczości, wręcz przeciwnie. Przewidywać, że przez całe życie Meggie będzie posłuszna, będzie się poruszać w obrębie kobiecego losu.

Jednakże wszystko to razem wzięte nie dawało pełnej odpowiedzi. Może gdyby zajrzał głębiej w siebie, zrozumiałby, że to, co do niej czuje, jest dziwną wypadkową czasu, miejsca i osoby. Nikt nie traktował Meggie jak kogoś ważnego, dzięki czemu mógł znaleźć dla siebie miejsce w jej życiu i być pewnym jej miłości; była dzieckiem, a zatem nie stanowiła zagrożenia dla jego sposobu życia ani dobrego imienia; była piękna, a piękno sprawiało mu radość; a także, chociaż najmniej się do tego przyznawał, wypełniała w jego życiu puste miejsce, którego Bóg nie mógł wypełnić, gdyż miała ludzką postać i promieniowała ciepłem. Ponieważ nie mógł obdarowywać ją prezentami, żeby nie wprawiać w zażenowanie rodziny, ofiarowywał jej w zamian swoje towarzystwo, poświęcił też sporo czasu i namysłu w urządzaniu pokoiku Meggie na plebanii; nie tyle po to, żeby sprawić jej przyjemność, ile po to, żeby stworzyć odpowiednią oprawę dla swojego klejnotu. Żadnej tandety dla Meggie.

]Na początku maja do Droghedy przybyli postrzygacze. Mary Carson orientowała się we wszystkim, co działo się z Droghedzie, poczynszy od pędzenia owiec, a skończywszy na strzelaniu z bata. Kilka dni przed przybyciem postrzygaczy wezwała Paddy'ego do rezydencji i nie ruszając się z fotela wyjaśniła mu dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami, co należy zrobić. Paddy, przyzwyczajony do strzyży w Nowej Zelandii, już na początku poczuł się oszołomiony rozmiarami szopy do strzyżenia o dwudziestu sześciu stanowiskach; teraz, po rozmowie z siostrą, fakty i liczby kotłowały mu się w głowie. W Droghedzie miały być strzyżone owce nie tylko z Droghedy, ale również z Bugeli, Dibban-Dibban i Beel-Beel. Oznaczało to nawał pracy dla każdego bez wyjątku, tak kobiet, jak i mężczyzn. Wspólna strzyżka przyjęła się jako zwyczaj i farmy korzystające z udogodnień w Droghedzie śpieszyły z pomocą, ale główny ciężar dodatkowych zajęć nieuchronnie spadał na barki zatrudnionych w Droghedzie.

Postrzygacze przywozili ze sobą własnego kucharza i kupowali żywność na farmie, ale te olbrzymie zapasy prowiantu należało przedtem zgromadzić; trzeba też było wyszorować, sprzątnąć i wyposażyć w koce i materace obskurne baraki z przyległą do nich kuchnią i prymitywną łazienką. Nie wszystkie farmy witały postrzygaczy z takim gestem, ale Drogheda z dumą podtrzymywała tradycję gościnności i sławę „choleśnie dobrej szopy”. Z tej jednej okazji, kiedy współdziałała z sąsiadami, Mary Carson nie skąpiła grosza. Szopa w Droghedzie

nie należała do największych w Nowej Południowej Walii, ale wymagała pracy najlepszych, ludzi kalibru Jackowego Howe'a. Dopiero po ostrzyżeniu ponad trzystu tysięcy owiec postrzygacze mogli wrzucić tobołki na starą ciężarówkę należącą do pośrednika i ruszyć w drogę do następnej szopy.

Franka nie było w domu przez dwa tygodnie. Wraz ze starym pastuchem Peterem Antalkiem, kilkoma psami, dwoma końmi i lekką dwukółką, z rzeczami zaspokajającymi ich skromne potrzeby, wyruszył na pola położone najdalej na zachód, żeby sprowadzić stamtąd owce. Pędzili je coraz bliżej, segregując stado i oddzielając mniej wartościowe sztuki. Ta powolna i żmudna praca ani trochę nie przypominała dzikiego spędu przed powodzią. Każde pole miało swoje zagrody, w których przeprowadzano wstępne sortowanie i znakowanie i trzymano stado, dopóki nie przyszła na nie kolej. W zagrodach przy szopie do strzyżenia mieściło się naraz tylko dziesięć tysięcy owiec, dlatego przy postrzegaczach trzeba się było mocno napić; ich obecność wymagała nieustannego pośpiechu, ciągłej wymiany stad nie ostrzyżonych na strzyżone.

Kiedy Frank wszedł do kuchni, matka stała koło zlewu zajęta czynnością, która nie ma końca, obieraniem ziemniaków.

– Mamo, wróciłem! – przywitał ją z radością w głosie.

Odwracając się pokazała brzuch, a dwutygodniowa nieobecność wyostrzyła jego spostrzegawcze spojrzenie.

– O Boże! – jęknął.

W jej oczach zgasło zadowolenie, jakie wywołał jego widok, twarz oblała się szkarłatnym rumieńcem wstydu. Rozłożyła ręce na wzdętym fartuchu, jakby one mogły ukryć to, czego nie ukrywało ubranie.

Frank aż się zatrząsł.

– Wstrętny stary kozioł!

– Frank, nie mogę pozwolić, żebyś mówił takie rzeczy. Jesteś mężczyzną, powinieneś zrozumieć. Ty przyszedłeś na świat w taki sam sposób i to zasługuje na taki sam szacunek. To nie jest wstrętne. A kiedy obrażasz tatę, obrażasz mnie.

– Nie miał prawa! Powinien zostawić cię w spokoju! – wyszczał Frank, obcierając płatek piany z kącika drżących ust.

– To nie jest wstrętne – powtórzyła z rezygnacją i spojrzała na niego jasnymi zmęczonymi oczami, jakby raptem raz na zawsze postanowiła pozbyć się wstydu. – To naprawdę nie jest wstrętne, Frank, podobnie jak akt, który to stworzył.

Tym razem to on poczerwieniał na twarzy. Nie mógł wytrzymać jej spojrzenia, więc odwrócił się i poszedł do pokoju, w którym mieszkał wraz z Bobem, Jackiem i Hughiem. Nagie ściany i małe, wąskie łóżka kpiły z niego, kpiły w żywe oczy, razila ich sterylność, nijakość, brak śladów niosącej ciepło troski, jakiegoś uświęcającego celu. I jej twarz, jej piękna zmęczona twarz z aureolą złotych włosów, rozpromieniona tym, co ona i ten owłosiony, stary kozioł zrobili w strasznym skwarze lata.

Nie mógł od tego uciec, nie mógł uciec od niej, od natrętnych myśli, od pragnień naturalnych, dla jego wieku i męskości. Zwykle udawało mu się zepchnąć to wszystko do podświadomości, ale kiedy podsunęła mu pod nos namacalny dowód swojej żądzy, cisnęła w twarz swoje tajemnicze konszachty z tym chutliwym zwierzem... Jak o tym myśleć? Jak się na to zgodzić? Jak go znieść? Chciałaby o niej myśleć jak o istocie świętej, czystej i nieskazitelnej Matka Przenajświętsza, istocie, która wyrasta ponad te rzeczy, choć wszystkie kobiety na całym świecie mają je na sumieniu. Pokazane przez nią dowody, nie mylił się wyobrażając ją sobie taką, doprowadzały go do szaleństwa. Żeby pozostać przy zdrowych zmysłach, musiał koniecznie myśleć, że matka leży z tym brzydkim, starym mężczyzną zachowując zupełną czystość, ma przy nim miejsce do spania, ale w nocy nigdy się ku niemu nie obraca, nie dotyka. O Boże!

Słyszając zgrzyt i brzęk, spojrział w dół i zobaczył, że mosiężny pręt łóżka wygiął się w kształcie litery S.

– Czemu nie jesteś tatą – spytał patrząc na pręt.

– Frank – powiedziała matka od progu.

Podniósł głowę, czarne oczy lśniły wilgotnym blaskiem jak węgiel zmoczony przez deszcz.

– W końcu go zabiję – rzekł.

– Jeśli to zrobisz, zabijesz mnie – powiedziała Fee podchodząc do łóżka.

– Nie, uwolniłbym cię! – odparł dziko, z nadzieją w głosie.

– Frank, ja nie mogę być wolna i nie chcę być wolna. Nie wiem, skąd się bierze twoje zaślepienie, choć chciałabym wiedzieć. Nie ze mnie ani z twojego ojca. Wiem, że nie jesteś szczęśliwy, ale czy musisz wyzywać się na mnie albo na tacie? Czemu z takim uporem wszystko utrudniasz? Czemu? – Popatrzyła na swoje ręce, a potem znów podniosła wzrok. – Nie chcę tego mówić, ale wydaje mi się, że muszę. Pora, żebyś znalazł sobie dziewczynę, ożenił się i założył własną rodzinę. W Droghedzie jest dość miejsca. Nigdy tak nie martwiłam się o pozostałych chłopców. Oni nie mają takiego usposobienia jak ty. Tobie jest potrzebna żona, Frank. Gdybyś miał żonę, nie miałbyś czasu myśleć o mnie.

Odwrócił się do niej tyłem i tak trwał. Jeszcze z pięć minut Fee siedziała na łóżku w nadziei, że się do niej odezwie, potem westchnęła, wstała i wyszła.

## Rozdział piąty

Kiedy odjechali postrzygacze i okolica zapadła w stan zimowego półuśpienia, jak co roku urządzono w Gillanbone festyn i Wyścigi Piknikowe. Ta najważniejsza w kalendarzu towarzyskim impreza, trwała dwa dni. Fee nie czuła się dostatecznie dobrze, żeby jechać, więc sam Paddy zawiózł Mary Carson rolls-royce'em do miasta. Żona – gdyby z nim była – podtrzymałaby go na duchu, a i Mary przy niej trzymałaby język za zębami. Zauważył bowiem, że z jakiegoś tajemniczego powodu sama obecność Fee sprawiała, iż siostra niemiała i traciła rezon.

Poza tym wybrali się wszyscy. Chłopcy, najsurowiej upomnieni, żeby się dobrze sprawowali, pojechali ciężarówką razem z Peterem Antalkiem. Jimem, Tomem, panią Smith i pokojówkami, a Frank sam wyruszył wcześniej fordem. Wszyscy dorośli zamierzali zostać w Gillanbone na następny tydzień wyścigów. Mary Carson, z sobie tylko znanych powodów, nie przyjęła zaproszenia księdza Ralpa na nocleg w plebanii, ale namówiła Paddy'ego, żeby zatrzymał się tam z Frankiem. Gdzie zamierzali nocować obydwaj pastuchowie i ogrodnik Tom, tego nie wiedział nikt, pani Smith, Minnie i Cat miały przyjaciółki w Gilly, które przyjęły je w gościnę.

O dziesiątej rano Paddy umieścił siostrę w najlepszym pokoju, jakim dysponował hotel „Imperial” a potem zszedł na dół do baru, przy którym zobaczył Franka z kuflem piwa w ręku.

– Pozwól, stary, że postawię ci kolejkę – powiedział serdecznie do syna. – Muszę zabrać ciocię Mary na obiad z okazji Wyścigów Piknikowych i przyda mi się coś dla kurażu, jeśli mam bez mamy wytrzymać ten dopust boży.

Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak trudno jest przezwyciężyć nawyki i lęk, dopóki sam nie spróbuje odejść od utrwalonych przez lata zachowań. Frank przekonał się, że nie może zrobić tego, na co miał ochotę, nie może chlusnąć ojcu w twarz zawartością kufła, zwłaszcza w obecności ludzi w barze. Dlatego dopił jednym haustem resztkę piwa, uśmiechnął się słabo i powiedział:

– Przykro mi, tato, ale umówiłem się z kolegami na festynie.

– Dobrze, wobec tego idź. Ale proszę, weź to i wydaj na siebie. Baw się dobrze, a jeśli się upijesz, pilnuj, żeby mama się o tym nie dowiedziała.

Frank wlepił wzrok w nowiuieńki niebieski banknot pięćofuntowy, który trzymał w ręku, marząc o tym, żeby go podrzeć i cisnąć strzępki Paddy'emu w twarz, ale znów przyzwyczajenie wzięło górę; złożył banknot, wsunął do kieszonki przy pasku i podziękował. Wyszedł z baru, jakby grunt palił mu się pod stopami.

Paddy, ubrany w najlepszy, niebieski garnitur, ze starannie zapiętą kamizelką, złotym zegarkiem na złotej dewizce, przy której wisiał złoty samorodek z kopalni w Lawrence, poprawił celuloidowy kołnierzyk, szukając spojrzeniem jakiejś znajomej twarzy przy barze. Od dziewięciu miesięcy, od kiedy sprowadził się do Droghedy, rzadko tu przyjeżdżał, ale fakt, że był bratem Mary Carson i jej przyszłym spadkobiercą, sprawiał, że ilekroć zjawiał się w mieście, podejmowano go bardzo gościnnie i dobrze pamiętano jego twarz. Kilku mężczyzn posłało mu promienne uśmiechy, ten i ów zaproponował piwo i po chwili Paddy znalazł się w środku przyjaznej gromadki; o Franku zapomniał.

Ponieważ żadna zakonnica, mimo pieniędzy Mary Carson, nie chciała nakręcać loków Meggie, jej włosy leżały na ramionach splecione w dwa grube warkocze, przewiązane granatowymi wstążkami. Jedna z siostr odprowadziła Meggie, ubraną w poważny granatowy mundurek uczennicy od Świętego Krzyża, z klasztoru przez trawnik na plebanię, gdzie oddała ją w ręce zakochanej w niej gospodyni księdza Ralpa.

– Och, to tej dziewczuszki pinkne, szkockie włosy – wyjaśniła księdzu, kiedy rozbawiony



zaczął ją wypytywać. Wiedział, że Annie nie przepada za małymi dziewczynkami i zawsze narzekała na bliskość szkoły.

– Ależ Annie! Włosy nie są żywą istotą. Nie można kogoś lubić tylko z powodu koloru włosów – odparł drocząc się z nią.

– Nu tak, to złota dziewczuszka, „skeggy”, co znaczy słowo „skeggy”, nie wypowiedział też na głos uwagi, że rymuje się ono z Meggie.

Czasami lepiej było nie wiedzieć, co Annie ma na myśli, i nie zachęcać do wynurzeń przez uważne przysłuchiwanie się temu, co mówi. Annie, by posłużyć się jej językiem, była „fey”, nawiedzona, a jeżeli litowała się nad małą, wolał nie usłyszeć, że bardziej z powodu jej przyszłości niż przeszłości.

Zjawił się Frank, roztrzęsiony po spotkaniu z ojcem przy barze nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Chodź, Meggie, zabiorę cię na festyn – powiedział wyciągając rękę.

– A może ja zabiorę was oboje? – zaproponował ksiądz Ralph, również wyciągając rękę.

Mając po bokach dwóch uwielbianych przez siebie mężczyzn, których z całych sił ścisnęła za ręce, Meggie poczuła się w siódmym niebie.

Teren, na którym odbywał się festyn w Gillanbone, rozpościerał się nad rzeką Barwon, tuż obok toru wyścigowego. Chociaż już minęło pół roku od ostatniej powodzi, mulista ziemia jeszcze całkiem nie obeschła i drepzczący z zapalem pierwsi goście wymiesili ją na błoto. Za ogrodzeniami dla owiec, bydła, świń i kóz, gdzie dorodne okazy hodowlane rywalizowały między sobą o nagrody, stały namioty z wyrobami rękodzieła i przysmakami. Oglądali zwierzęta hodowlane, ciasta, robione szydełkiem chusty, dziergane ubranka dla niemowląt, haftowane obrusy, koty, psy i kanarki.

Na przeciwnym krańcu tego jarmarku znajdował się plac do ujeżdżania koni, gdzie młodszy jeźdźcy i amazonki puszczały się galopem przed sędziami, którzy sami wyglądali trochę jak konie a przynajmniej tak się wydawało rozchichotanej Meggie. Damskie wspaniałych gabardynowych strojach dosiadali bokiem wysokich koni z kurtyzowanymi ogonami, a na ich cylindrach do końskiej jazdy powiewały prowokująco wiotkie woalki. Jak ktoś w tak niebezpiecznej pozycji i w takim nakryciu głowy mógł się utrzymać swobodnie i z fasonem na klusującym wierzchowcu, tego Meggie nie mogła pojąć, póki nie ujrzała pięknej panny, która poprowadziła skoczego rumaka przez szereg trudnych przeszkód i po zakończeniu popisu wyglądała tak samo nienagannie jak przed jego rozpoczęciem. Następnie owa dama dzwignęła wierzchowca ostrogą, pogalopowała po rozmiękłej ziemi i ściągawszy cugle zatrzymała się przed Meggie, Frankiem i księdzem Ralphem zagradzając im drogę. Noga w wyglansowanym czarnym buciku, założona za przedni łęk siodła, została odcepiona i dama siedziała rzeczywiście bokiem na siodle, władczy gestem wyciągając osłonięte rękawiczkami ręce.

– Proszę łaskawie pomóc mi zsiąść! – zwróciła się do księdza. Sięgnął w górę, ujął ją wpół, a kiedy oparła dłonie na jego ramionach, zsadził ją lekko. Ledwie zaś dotknęła stopami ziemi, puścił, chwycił jedną ręką za cugle i ruszył naprzód, mając u boku damę, która bez trudu dotrzymywała mu kroku.

– Czy wygra pani bieg przełajowy, panno Carmichael? – spytał tonem całkowitej obojętności.

Panna Carmichael wydeła wargi; była młoda i bardzo piękna, a ta dziwna rezerwa, okazywana przez księdza Ralpha, drażniła ją.

– Liczę na to, ale pewności nie mam. Zarówno panna Hopeton, jak i pani King biorą udział w konkursie. Ujeżdżanie natomiast wygram na pewno, więc jeśli nie powiedzie mi się w biegu przełajowym, będę usatysfakcjonowana.

Mówiła z piękną dykcją, dziwnie napuszonym stylem, charakterystycznym dla młodej damy tak starannie wychowanej i wykształconej, że jej głosu nie ożywiała nawet odrobina

ciepłą czy indywidualności. Kiedy ksiądz Ralph z nią rozmawiał, również w jego ustach słowa nabierały krągłości i znikał czarujący, ledwie słyszalny irlandzki akcent; zupełnie jakby przypominała mu czasy, kiedy i on był taki. Meggie ściągnęła brwi zdumiona i poruszona lekką, lecz powściągliwą wymianą zdań, nie rozumiejąc, jaka w księdzu Ralphie zaszła zmiana, wiedząc tylko, że coś się zmieniło i że jej się to nie podoba. Puściła rękę Franka, gdyż coraz trudniej było iść razem w jednym szeregu.

Kiedy doszli do szerokiej rozlanej kałuży, Frank został nieco z tyłu. Ksiądz Ralph ogarnął uważnym spojrzeniem rozlewisko, które można by niemal nazwać płytkim stawem, po czym obrócił się do dziewczynki, której rączkę trzymał cały czas w mocnym uścisku, pochylił się nad nią ze szczególną czułością, która nie mogła ująć uwagi młodej damy, gdyż w uprzejmej rozmowie z nią nie zabrzmiała ani jedna serdeczna nuta.

– Nie noszę rozłożystej peleryny, kochana Meggie, więc nie mogę zachować się wobec ciebie jak sir Walter Raleigh. Jestem pewien, że wybaczy mi pani, droga panno Carmichael – z tymi słowami podał jej cugle – ale czyż mógłbym pozwolić, żeby moja ulubienica zabłocila sobie buciki?

Wziął Meggie na rękę, sadowiąc ją sobie na biodrze, i opuścił pannę Carmichael, której nie pozostało nic innego, jak zebrać w garść ciężką, sięgającą ziemi spódnicę i dzierżąc w drugiej ręce cugle pomaszerować przez ogromną kałużę bez niczyjej pomocy. Gromki śmiech Franka, jaki rozległ się za ich plecami, bynajmniej nie poprawił jej humoru; po drugiej stronie kałuży bez słowa ruszyła w swoją stronę.

– Gdyby tylko mogła, na pewno by księdza udusiła – powiedział Frank, kiedy ksiądz Ralph postawił Meggie na ziemi.

Zafascynowało go to spotkanie i umyślne okrucieństwo duchownego. Panna Carmichael wydawała mu się tak urodziwa i dumna, że nikt, nawet ksiądz, nie mógłby jej się przeciwstawić, a mimo to ksiądz Ralph pozwolił sobie na złośliwość, aby zdruzgotać jej zadufanie i wiarę w ekscytującą kobiecość, którą władała niczym niezwykłą i niezgłębioną tajemnicę, wydawało się, że ksiądz nienawidzi panny Carmichael i tego, co ona sobą reprezentuje. Wciąż jeszcze piekły go słowa matki i pragnął, żeby panna Carmichael go zauważyła, był przecież najstarszym synem spadkobiercy Mary Carson, lecz ona nie raczyła nawet spostrzec jego obecności. Całą uwagę skupiła na księdzu, istocie bezpłciowej i zniewieściałej, ale wysokiej i przystojnej.

– Nie martw się, wróci po następną porcję tego samego – rzekł cynicznie ksiądz Ralph. – Jest bogata, więc w najbliższą niedzielę ostentacyjnie położy na tacy dziesięciofuntowy banknot. – Roześmiał się, widząc minę Franka. – Nie jestem wiele starszy od ciebie, synu, ale mimo mego powołania sprawy doczesne nie są mi obce. Złóż to na karb doświadczenia życiowego i nie miej mi tego za złe.

Zostawili z tyłu plac do ujeżdżania koni i weszli na teren wesołego miasteczka. Zarówno Frank, jak Meggie wpadli zachwyt. Ksiądz Ralph już wcześniej dał Meggie całe pięć szylingów, a Frank miał swoje pięć funtów; czuli się cudownie, mając pieniądze na wstęp do tych wszystkich kuszących budek. Dookoła przewalały się tłumy, dzieci biegały wszędzie i z wybałuszonymi oczami oglądały krzykliwe malowidła przed postrzępionymi namiotami, reklamujące takie atrakcje jak: najgrubsza kobieta świata, nieulekłą hurysa w tańcu z wściekłą kobrą, człowiek-guma z Indii, Goliat – najsilniejszy człowiek świata, boginka morska Tetyda. Przy każdym wejściu opłacali wstęp i przyglądali się zachwyceni, nie bacząc na smętnie zmatowiałe łuski Tetydy czy bezzębny uśmiech kobry.

Dalej, zajmując całą szerokość wesołego miasteczka, stał olbrzymi namiot, wzdłuż którego biegł od frontu wysoki drewniany pomost, a za nimi wisiał malowany na materiale fryz z postaciami górującymi groźnie nad tłumem. Jakiś człowiek z tubą w ręku wykrzykiwał do gromadzących się gapiów:

– Oto przed wami, panowie, słynna trupa bokserska Jimmy’ego Sharmana! Ośmiu

najlepszych na świecie zawodników i sakiewka, który może wygrać każdy chętny do walki!

Kobiety i dziewczęta wymykały się ze zbiegowiska, ale równie szybko powiększali je nadchodzący ze wszystkich stron mężczyźni i chłopcy, tworząc tuż przed pomostem zbitą gromadę. Z powagą gladiatorów, paradujących w Circus Maximus, na mostek wkroczyło ośmiu bokserów; stanęli w rozkroku i podparli się pod boki obandażowanymi dłońmi, a tłum wydawał pełne zachwyty „ochy” i „achy”. Meggie myślała, że pokazują się w bieliźnie, bo mieli na sobie długie czarne trykoty i obcisłe szare spodnie sięgające do połowy ud. Biały napis na podkoszulkach głosił dużymi drukowanymi literami: TRUPA JIMMY’EGO SHARMANA. Różnili się wzrostem, ale wszyscy prezentowali wspaniałą budowę ciała. Gawędząc i śmiejąc się z beztróską swobodą, jakby to był ich chleb powszedni, napinali mięśnie i udawali, że popisują się bez szczególnej przyjemności.

– No, dalej, chłopcy, kto podejmie rękawicę? – ryczał naganiacz. – Kto zechce spróbować swoich sił? Kto podejmie rękawicę i wygra piątką? – wykrzykiwał w kółko w przerwach między dudnieniami bębna.

– Ja! – wrzasnął Frank. – Ja, ja!

Strząsnął z siebie powstrzymującą go rękę księdza Ralpha, a stojący najbliżej gapie na widok drobnej postury Franka zaczęli się podśmiewywać i dobrotliwie wypychać go naprzód.

Naganiacz zachował całkowitą powagę, kiedy jeden z członków trupy wyciągnął przyjazną dłoń i pomógł Frankowi wspiąć się po drabince na mostek i zająć miejsce obok stojącej tam ósemki zawodników.

– Nie śmiecie się, panowie. Nie jest wprawdzie bardzo duży, ale zgłosił się pierwszy! Nieważne czy duży, czy mały, ważne, czy ma dużo ognia do walki! Proszę bardzo, mamy tu małego gościa, chętnego spróbować swoich sił, co wy na to, wielkie chłopcy, he? Kto podejmie rękawicę i wygra piątką, kto zmierzy się z bokserem z trupy Jimmy’ego Shermana?

Stopniowo szeregi ochotników powiększały się, młodzi ludzie mnąc w rękach kapelusze, zerkali nieśmiało na stojących obok zawodowców, wybrańców losu. Ksiądz Ralph, choć gorąco pragnął zostać, by zobaczyć, co będzie dalej, zdecydował, że czas najwyższy zabrać Meggie spod namiotu. Wziął ją na rękę i obrócił się z zamiarem odejścia. Meggie podniosła wrzask i tym głośniej krzyczała, im dalej odchodzili. Ludzie zaczęli się za nimi oglądać. Ksiądz Ralph był osobą na tyle znaną, że poczuł się bardzo zażenowany, uwłaczało to jego godności.

– Zrozum, Meggie, nie mogę cię zabrać do środka! Twój ojciec żywcem obdarłby mnie ze skóry, i słusznie!

– Chcę zostać z Frankiem, chcę zostać z Frankiem! – krzyczała ile sił w płucach, kopiąc i próbując gryźć.

– O, cholera! – zaklął ksiądz Ralph.

– Pod przymusem okoliczności sięgnął do kieszeni po drobne i podszedł do uchylonej klapy w namiocie, czujnym okiem wypatrując kogoś z Clearych. Nie dojrzawszy żadnego, uznał, że znajdują się bezpiecznie daleko próbując szczęścia w rzucaniu podkowami do celu bądź zjadając się pasztecikami z mięsem lub lodami.

– Nie może ksiądz wprowadzić jej do środka! – zaprotestował bileter, nie posiadając się ze zdumienia.

Ksiądz Ralph uniósł wzrok ku niebu.

– Chętnie sobie pójdę, jeżeli tylko powie mi pan, jak mogę ją stąd zabrać, żeby cała policja w Gilly nie zbiegła się aresztować mnie za napastowanie dziecka! Jej brat zgłosił się na ochotnika, a ona nie ma zamiaru opuścić go bez walki, przy której wy, chłopcy, wyglądacie jak amatorzy!

Bileter wzruszył ramionami.

– Trudno, żebyśmy się z księdzem kłócił, prawda? Proszę wejść, ale jak pragnę... jak pragnę

zdrowia, niech ksiądz trzyma ją z daleka. Nie, nie, proszę schować pieniądze. Jimmy'emu by to się nie podobało. Namiot był pełen mężczyzn i chłopców tłoczących się wokół ringu. Ksiądz Ralph znalazł miejsce za plecami tłumu, pod płócienną ścianą, ani na chwilę nie wypuszczając z objęć Meggie. W powietrzu, jak mgłą zasnuty dymem tytoniowym, unosił się mocny zapach trocin. Frank, już w rękawicach, miał jako pierwszy ochotnik stanąć do walki z zawodowym bokserem.

Zdarzały się przypadki, choć niezwykle rzadko, że ochotnik z tłumu walczył jak równy z równym z zawodowym bokserem. Przyznać trzeba, że nie byli to najlepsi bokserzy świata, ale znajdowało się wśród nich kilku świetnych zawodowców Australii. Ze względu na wzrost Frank dostał przeciwnika wagi muszej, którego powalił za trzecim ciosem, po czym zadeklarował chęć zmierzenia się z następnym. Kiedy walczył z trzecim bokserem, wieść o jego wyczynie już się rozeszła i do namiotu napchało się tyłu widzów, że nie można było szpilki wetknąć.

Rękawice przeciwników ledwie go muskały, a nieliczne celne ciosy, jakie na niego spadły, jedynie podsycaly w nim niegasnącą wściekłość. Oczy płonęły mu dziko, omalże pluł w zapamiętaniu, a każdy przeciwnik miał twarz Paddy'ego. Wrzaski i wiwaty tłumu pulsowały mu w głowie, zlewając się w jeden potężny głos: Naprzód! Naprzód! Och, jakże tęsknił za okazją do walki, której nie miał, odkąd przyjechał do Droghedy! Nie znał innego sposobu na uwolnienie się od gniewu i bólu jak tylko w walce, a kiedy zadawał powalający cios, wydawało mu się, że huczące w uszach wołanie brzmi: Zabij! Zabij! Zabij!

Potem wystawiono na ring jednego z prawdziwych czempionów, boksera wagi lekkiej, któremu nakazano trzymać Franka na dystans, żeby przekonać się, czy umie boksować równie dobrze, jak walić pięścią. Jimmy'emu Sharmanowi błyszczały oczy. Nigdy nie przestawał rozglądać się za przyszłymi mistrzami, a kilku objawiło się na takich właśnie małych festynach na prowincji. Czempion wagi lekkiej stosował się do polecenia, przypierany do muru mimo dłuższych rąk, a Frank rzucał się na niego tak opętany żądzą zabicia tańczącej przed nim i umykającej postaci, że oślepl na wszystko inne. Uczył się przy każdym zwarciu i gwałtownej wymianie ciosów – był jednym z tych osobliwych ludzi, którzy nawet w porwywie największego szału nie tracą zdolności myślenia. Wytrwał do końca walki mimo bolesnej nauki, jakiej udzieliły mu pięści doświadczonych rywali; miał zapuchnięte jedno oko, przecięty łuk brwiowy i wargę. Ale wygrał dwadzieścia funtów i zdobył szacunek wszystkich obecnych.

Meggie wykręciła się z osłabłego uścisku księdza Ralpha i czmychnęła z namiotu, zanim zdołał ją złapać. Kiedy ją odnalazł okazało się, że zwymiotowała i usiłowała właśnie oczyścić zachlapane buciki małą chusteczką. Bez słowa podał jej swoją chustkę i pogłaskał po wstrząsanej szlochom jasnej główce. Atmosfera w namiocie też przyprawiła go o mdłości i gdyby tylko pozwoliła mu na to godność kapłana, chętnie ulżyłby swojemu żołądkowi w miejscu publicznym.

– Chcesz zaczekać na Franka czy wolisz, żebyśmy od razu poszli?

– Zaczekam na Franka – szepnęła opierając się o niego, przepehiona wdzięcznością za okazywany spokój i współczucie.

– Zastanawiam się, czemu tak chwytasz mnie za serce, którego nie mam dla nikogo? – zadał sobie pytanie uznając, że Meggie zbyt źle się czuje i jest zbyt nieszczęśliwa, żeby go słyszeć. Odczuwał potrzebę wypowiedzenia swych myśli, jak to się zdarza wielu żyjącym samotnie ludziom. – Nie przypominasz mi mojej matki, nie miałem siostry... Naprawdę chciałbym wiedzieć, co takiego jest w tobie i twojej nieszczęsnej rodzinie... Czy miałaś ciężkie życie, moja mała Meggie?

Frank wyszedł z namiotu z okiem zalepionym plastrem, przykładając chusteczkę do skaleczonej wargi. Po raz pierwszy, odkąd go ksiądz Ralph poznał, miał szczęśliwą minę. Wygląda tak, pomyślał ksiądz, jak zwykle wyglądają mężczyźni po dobrej nocy spędzonej w

łóżku z kobietą.

– Co tu robi Meggie? – warknął Frank, wciąż jeszcze rozemocjonowany walką na ringu.

– Nie było sposobu, żeby ją stąd zabrać. Musiałbym jej związać ręce i nogi, nie mówiąc o kneblowaniu – odparł cierpko ksiądz Ralph, niezadowolony z konieczności usprawiedliwiania się, ale też niepewny, czy przypadkiem i na niego Frank się nie rzuci. Nie bał się go ani trochę, natomiast obawiał się awantury przy świadkach. – Była przerażona, że coś ci się stanie, Frank. Chciała być blisko ciebie, żeby na własne oczy zobaczyć, czy ci nic nie jest. Nie gniewaj się na nią, miała dziś dość przykrych przeżyć.

– Ani się waż pisnąć tacie, że widziałaś ten namiot, choćby z daleka – powiedział Frank do Meggie.

– Czy macie coś przeciwko temu, żebyśmy zrezygnowali z dalszych atrakcji? – spytał ksiądz. – Dobrze nam wszystkim zrobi, jeżeli wrócimy na plebanię odpocząc i napić się herbaty. – Lekko uszczyptała czubek nosa Meggie. – A tobie, moja panno, przyda się porządna kąpiel.

Paddy przeżył u boku siostry dzień pełen udręki, gotowy na każde jej skinienie, czego nigdy nie wymagała od niego Fee, zmuszony szukać drogi dla tej marudzącej i kipiącej złością kobiety, wędrującej przez błoto Gilly w zagranicznych gipiurowych pantofelkach, zmuszony uśmiechać się i gawędzić z ludźmi, których pozdrawiała jak królowa, stać przy niej, kiedy wręczała szmaragdową bransoletkę, Wielką nagrodę Gillanbone, zwycięzcy głównej gonitwy. Nie mógł pojąć, czemu wydaje się wszystkie przeznaczone na nagrodę pieniądze na jakieś świece i zamiast wręczyć złoty puchar i plik żywej gotówki. Nie rozumiał, że ludzie zgłaszający konie do gonitwy nie potrzebują czegoś tak pospolitego jak pieniądze, natomiast stać ich na beztrudne przeznaczenie wygranej dla kruchej kobiety. Horry Hopeton, którego gniady wałach Król Edward zdobył szmaragdową bransoletkę, stał się przez ostatnie lata właścicielem bransoletki rubinowej, brylantowej i szafirowej. Miał żonę i pięć córek, mówił więc, że nie może przestać wygrywać, dopóki nie zdobędzie sześciu bransoletek.

Nakrochmalona koszula i celulooidowy kołnierzyk uwierały Paddy'ego, a w niebieskim garniturze było mu za gorąco. Sprowadzone z Sydney i podane na obiad z szampanem egzotyczne potrawy z morskich ryb i skorupiaków nie działały też dobrze na jego nawykły na baranię żołądek. Czuł się głupio i wydawało mu się, że głupio wygląda. Garnitur, choć najlepszy, jaki miał, trącił tanim krawcem i wiejskim brakiem dbałości o modny krój. Ci nadęci hodowcy w tweedowych garniturach, wyniosłe matrony, kanciaste pannice o dużych zębach, śmietanka „dzikokracji”, jak ich nazywał „Bulletin”, to nie było towarzystwo dla niego.

Wszyscy usilnie starali się zapomnieć o tych czasach w ubiegłym stuleciu, kiedy zajmowali bezprawnie ziemię, traktując ogromne jej połacie jak swoją własność, a po nastaniu autonomii załatwili po cichu jej uwłaszczenie z władzami federalnymi. Ci ludzie, którym zazdrozczono bardziej niż jakimkolwiek innym mieszkańcom kontynentu, mieli własną partię polityczną, posyłali dzieci do ekskluzywnych szkół w Sydney, kumali się z przybyłym z wizytą księciem Walii. Natomiast on, Paddy Cleary, był prostym człowiekiem i żył z pracy rąk. Nie miał absolutnie nic wspólnego z tą kolonialną arystokracją, która, jak na jego gust, nazbyt przypominała mu rodzinę żony.

Dlatego kiedy wszedł do saloniku na plebanii i zobaczył, że Frank, Meggie i ksiądz Ralph odpoczywają przy kominku, jakby dzień minął im cudownie i beztrudnie, ogarnęła go irytacja. Nieznośnie brakowało mu duchownego wsparcia Fee, a swojej siostry nie lubił tak samo jak dawno temu w Irlandii, kiedy był jeszcze dzieckiem. Potem spostrzegł plaster na oku Franka, jego opuchniętą twarz – jak z nieba zesłana do wymówek.

– A ty jak zamierzasz pokazać się matce w takim stanie?! – wrzasnął. – Ledwie cię z oka

spuszczę, znów to samo, skaczesz do gardła każdemu, kto krzywo na ciebie spojrzy!

Zaskoczony ksiądz Ralph zerwał się na równe nogi i już miał na ustach pojednawcze słowa, lecz Frank go uprzedził.

– Zarobiłem na tym pieniądze! – powiedział bardzo cicho, pokazując plaster. – Dwadzieścia funtów za kilka minut pracy, lepszy zarobek od tego, co ciocia Mary płaci nam obu raz na miesiąc! Dziś po południu znokoutowałem trzech bardzo dobrych bokserów i stoczyłem równą walkę z mistrzem wagi lekkiej w namiocie Jimmy’ego Shermana. I zarobiłem dwadzieścia funtów. Może to nie pasuje do twoich poglądów na to, co powinienem robić, ale dziś po południu zdobyłem uznanie wszystkich, którzy mnie oglądali!

– Paru znużonych, poturbowanych ringowych emerytów na prowincjonalnym jarmarku, a tobie tak uderzyło do głowy. Dorośnij trochę, Frank! Wiem, że już nie możesz urosnąć na ciebie, ale przynajmniej, ze względu na matkę, mógłbyś się postarać urosnąć trochę na umyśle!

Jakże zblębiała twarz Franka! Jak wypalone przez słońce kości. Usłyszał najgorszą obelgę, jaka mogła paść z ust drugiego mężczyzny, i to własnego ojca; nie mógł mu oddać ciosu za cios. Oddychał bardzo głęboko, z wysiłkiem trzymając ręce przy sobie.

– To nie są emerytowani pięściarze, tato. Wiesz równie dobrze jak ja, kim jest Jimmy Sherman. A sam Jimmy Sherman powiedział, że mam przed sobą wspaniałą przyszłość jako bokser. Chce mnie przyjąć do swojej trupy i trenować. I chce mi za to płacić! Może większy nie urosnę, ale jestem wystarczająco duży, żeby sprawić lanie każdemu bez wyjątku, także tobie, ty stary, śmierzący capie!

Paddy uświadomił sobie pełny sens tego epitetu i pobladł tak samo jak syn.

– Jak śmiesz mnie tak nazywać!

– A kim ty jesteś? Obrzydliwy, gorszy niż baran w rui! Nie mogłeś zostawić jej w spokoju, nie mogłeś trzymać się od niej z daleka?

– Nie, nie, nie! – krzyknęła rozzłościwie Meggie.

Ksiądz Ralph zacisnął dłonie, wbijając palce jak szpony w jej ramiona, i przytulił ją do siebie mocno, aż do bólu. Łzy spływały jej po policzkach, szarpała się jak szalona, żeby się uwolnić, ale na próżno.

– Nie, tato, nie! Och, Frank, proszę cię! Proszę, proszę! – zawodziła.

Ale jedyną osobą, która ją słyszała, był ksiądz Ralph. Frank i Paddy stali naprzeciw siebie, twarzą w twarz, wreszcie otwarcie się przyznając do wzajemnego lęku i niechęci. Runęła tama miłości, jaką obaj darzyli Fee, i objawiła się zawzięta rywalizacja o jej względy.

– Jestem jej mężem. To Bóg nam błogosławi i dzięki jego łasce mamy nasze dzieci – powiedział nieco spokojniej Paddy, z trudem się opanowując.

– Jesteś nie lepszy niż parszywy pies wążący na pierwszą lepszą sukę!

– A ty nie jesteś lepszy niż ten parszywy pies, który ciebie spłodził, kimkolwiek był! Bogu dzięki, że ja w tym nie miałem żadnego udziału! – wykrzyknął Paddy i urwał. – O, słodki Jezu! – Wściekłość odleciała jak rycząca wichura, Paddy przygarbił się, skulił i chwycił rękoma za usta, jakby chciał wyrwać język, który wymówił rzecz nie do wymówienia. – Nie chciałem tego powiedzieć, nie chciałem! Nie chciałem tego powiedzieć!

Ledwie zakazane słowa zawisły w powietrzu, ksiądz Ralph puścił Meggie i złapał Franka. Trzymał go za wykręconą do tyłu prawą rękę, a swoją lewą zarzucił mu na szyję i przyciskał. Był silny, a jego uścisk paraliżował ruchy. Frank wyrwał się przez chwilę, po czym raptem przestał stawiać opór i potrząsnął głową z rezygnacją. Meggie upadła na podłogę i klęczała płacząc i przenosząc bezradne, błagalne, pełne bólu spojrzenie to na brata, to na ojca. Nie rozumiała, co się stało, ale wiedziała jedno: nie zdoła ich obu zatrzymać przy sobie.

– Chciałeś to powiedzieć – wycharczał Frank. – A ja chyba zawsze o tym wiedziałem! Zawsze o tym wiedziałem. – Spróbował wykręcić głowę w stronę księdza Ralphi. – Niech mnie ksiądz puści. Nie tknę go, jak mi miły Bóg, nie tknę go.

– Jak ci Bóg miły? Oby was Bóg pokarał, jednego za drugim! Jeżeli skrzywdziliście

dziecko, to was pozabijam! – ryknął ksiądz, on jeden naprawdę rozgniewany. – Czy zdajecie sobie sprawę, że musiała tego wszystkiego wysłuchiwać, bo bałem się ją stąd wyprowadzić, żebyście się pod moją nieobecnością nie pozabijali? Powinienem był wam na to pozwolić, wy nędzni, samolubni kretyni!

– Już dobrze, idę sobie – powiedział Frank głucho. – Przyłączę się do trupy Jimmy’ego Shermana i już nigdy nie wrócę.

– Musisz wrócić! – wyszeptał Paddy. – Co ja powiem twojej matce? Znaczysz dla niej więcej niż my wszyscy razem wzięci. Nigdy mi nie wybaczy!

– Powiedz jej, że przystałem do trupy Jimmy’ego Shermana, bo chcę zostać kimś. Tak jest naprawdę.

– To, co powiedziałem, Frank, to nie jest prawda.

Pogardliwy błysk zapalił się w obcych, czarnych oczach Franka, oczach, które zastanowiły księdza w chwili, kiedy ujrzał je po raz pierwszy; skąd u szarookiej Fee i niebieskookiego Paddy’ego czarnooki syn? Ksiądz Ralph znał prawa Mendla i powątpiewał, czy wystarczyłaby szarość oczu Fee, żeby powstał taki rezultat.

Frank wziął kurtkę i kapelusz.

– Ależ tak, to prawda! Zawsze o tym wiedziałem. Wspomnienie mamy grającej na szpinecie w pokoju, który nie mógł być twoją własnością! Uczucie, że nie byłeś od niej od początku, że nastałeś po mnie. Że należała najpierw do mnie. – Zaśmiał się bezdźwięcznie. – I pomyśleć, że przez te wszystkie lata uważałem, że to ty skazałeś ją na zły los, podczas gdy to ja byłem winien. Ja!

– To nie była niczyja wina, Frank, niczyja! – wykrzyknął ksiądz, próbując go zawrócić. – To część wielkiego, niezgłębionego planu bożego. Pomyśl o tym w ten sposób!

Frank strząsnął z siebie powstrzymującą dłoń i podszedł do drzwi stąpając lekko jak skradający się drapieznik. To urodzony bokser – odpowiedziała księdzu Ralphowi jakaś beznamietna cząstka jego kardynalskiego umysłu.

– Wielki, niezgłębiony plan boży! – szyderczo powtórzył od drzwi Frank. – Ksiądz w swojej roli nie jest lepszy od papugi! Niech Bóg ma księdza w opiece, bo ksiądz jeden spośród nas nie ma pojęcia, kim On jest naprawdę!

Paddy siedział na krześle spopielały na twarzy i patrzył przerażony na Meggie, która klęczała skulona przy kominku i płacząc kołysała się w przód i w tył. Wstał chcąc do niej podejść, ale ksiądz Ralph bezceremonialnie odepchnął go.

– Zostaw ją w spokoju. Już dość jej zaszkodziłeś! W szafce jest whisky, poczęstuj się. Pójdę położyć ją do łóżka, ale wrócę, ale wrócę, żeby z tobą porozmawiać, więc nie odchodź. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Będę czekał. Niech ją ksiądz położy do łóżka.

W uroczym jasnozielonym pokoiku na piętrze ksiądz rozpiął Meggie sukienkę, posadził na brzegu łóżka, żeby móc ściągnąć buciki i pończochy. Koszula nocna leżała na poduszce, zostawiona tam przez Annie; przełożył ją Meggie przez głowę i najpierw przywoicie obciągnął, a dopiero potem zdjął majtki. Przez cały ten czas zagadywał ją plotąc trzy po trzy o guziczkach, które nie chcą dać się odpiąć, o bucikach, które z uporem zostają związane, o nie dających się ściągnąć kokardach. Nie sposób było stwierdzić, czy go słyszy. Oczywiście, w których odbijały się niewypowiedziane dziecięce tragedie, troski i cierpienia, przerastające dziewczynkę w tym wieku, spoglądały nieruchomo i posepnie w jakiś odległy punkt.

– A teraz połóż się, maleńka, i spróbuj zasnąć. Zajrzę tu jeszcze do ciebie za małą chwilkę, więc nie martw się, słyszysz? Wtedy sobie porozmawiamy.

– Dobrze się czuje? – spytał Paddy, kiedy ksiądz wrócił do saloniku.

Ksiądz Ralph sięgnął po butelkę whisky i nalał sobie pół szklaneczki.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Boże święty, Paddy, sam nie wiem, co jest większym

przekleństwem Irlandczyka, alkohol czy zapalczliwość. Co cię opętało, że powiedziałaś na głos coś takiego! Nie, nie próbuj nawet odpowiadać! Gniew. Naturalnie powiedziałaś prawdę. Wiedziałem, że nie jest twoim synem, jak go tylko zobaczyłem.

– Zdaje się, że niewiele uchodzi uwagi księdza.

– Chyba tak. Aczkolwiek uważam, że nie trzeba wiele więcej prócz zwykłej umiejętności obserwacji; żeby spostrzec, kiedy moi parafianie czymś się kłopotczą albo cierpią z jakiegoś powodu. A kiedy to dostrzegę, moim obowiązkiem jest zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby im pomóc.

– Ksiądz jest bardzo lubiany w Gilly.

– Za co z pewnością powinienem być wdzięczny swojej twarzy i figurze – odrzekł z goryczą ksiądz, nie umiejąc nadać tym słowom tak niefrasobliwego tonu, jak zamierzał.

– Naprawdę tak ksiądz myśli? Nie mogę się z tym zgodzić. Lubimy księdza za to, że jest dobrym duszpasterzem.

– W każdym razie, jak się zdaje, siedzę po uszy w waszych kłopotach – odparł ksiądz Ralph z lekkim zażenowaniem. – Ulżyj sobie, chłopie, i wyznaj mi wszystko, tak będzie najlepiej.

Paddy wpatrywał się w ogień, który buzował na kominku jak w piecu, bo dokładał do niego, dręczony wyrzutami sumienia i na gwałt szukając jakiegoś zajęcia, kiedy ksiądz kładł Meggie do łóżka. Pusta szklaneczka podskakiwała w trzęsącej się ręce. Ksiądz Ralph wstał, żeby sięgnąć po butelkę whisky, i nalał mu. Pociągnąwszy duży łyk, Paddy westchnął i otarł z twarzy zapomniane łzy.

– Nie wiem, kto jest ojcem Franka. To się zdarzyło, zanim poznałem Fee. Jej rodzina jest uważana za najlepszą w Nowej Zelandii, jej ojciec miał dużą posiadłość koło Ashburton na Wyspie Południowej, gdzie uprawiał pszenicę i hodował owce. Pieniądze nie stanowiły problemu, a Fee była jedyną córką. Jak rozumiem, zaplanował dla niej życie – wyjazd do starego kraju, przedstawienie królowi, odpowiedniego męża. Oczywiście w domu nigdy nawet palcem nie kiwnęła. Mieli pokojówki, kamerdynerów, konie i wielkie powozy. Żyli jak lordowie. Ja pracowałem jako parobek przy krowach i czasami widywałem Fee z daleka, jak spacerowała z małym, mniej więcej półtorarocznym chłopczykiem. Ni stąd ni zowąd przyszedł do mnie stary James Armstrong. Oznajmił, że jego córka zhańbiła rodzinę, nie wyszła za mąż, a ma dziecko. Oczywiście, zostało to zatuszowane, ale kiedy chcieli jej się pozbyć z domu, babka tak ostro się temu sprzeciwiła, że nie mieli innego wyjścia, jak tylko ją zostawić, mimo niezręczności sytuacji. Aż tu nagle babka ciężko zachorowała i nic nie mogło ich powstrzymać od pozbycia się Fee z dzieckiem. „Jesteś kawalerem – powiedział do mnie James. – Jeżeli się z nią ożenisz i dasz słowo, że wywieziesz ją z Wyspy Południowej, to opłacimy wam podróż i dołożymy jeszcze pięćset funtów”. Dla mnie to była fortuna, a i samotne życie już mi trochę obrzydło. Byłem zawsze taki nieśmiały, że nie miałem powodzenia u dziewcząt. Plan wydawał mi się dobry, a szczerze mówiąc, dziecko nic a nic mi nie przeszkadzało. Babka jakoś się o tym zwiedziała i posłała po mnie, choć była umierająca. Dawniej musiała być z niej niezłą wiedźma, ale nie zdradziła, kto jest ojcem dziecka, a ja nie chciałem pytać. Kazała mi przysiąc, że będę dobry dla Fee. Wiedziała, że pozbędą się z domu wnuczki z chwilą, kiedy ona przeniesie się na tamten świat, dlatego nakłoniła Jamesa, żeby znalazł dla niej męża. Było mi szczerze żal biednej staruszki, bo tak strasznie kochała Fee. Czy ksiądz uwierzy, że po raz pierwszy znalazłem się na tyle blisko Fee, żeby się z nią przywitać, dopiero w dniu naszego ślubu?

– O tak, wierzę w to jak najbardziej – odparł szeptem ksiądz. Spojrzał na swoją whisky, wychylił ją do dna i sięgnął po butelkę, żeby napęlić obie szklaneczki. – A więc ożeniłeś się ponad stan, Paddy.

– Tak. Z początku śmiertelnie mnie przerażała. Taka była wtedy piękna i taka... nieobecna duchem, że się tak wyrażę. Jakby wcale jej nie było, jakby to nie ona brała w tym wszystkim



udział.

– Nadal jest piękna, Paddy – rzekł łagodnie ksiądz Ralph. – Widzę po Meggie, jak musiała wyglądać, zanim zaczęła się starzeć.

– Nie miała łatwego życia, proszę księdza, ale nie wiem, jak inaczej mógłbym postąpić. U mego boku przynajmniej była bezpieczna, nikt jej nie ubliżał. Dwa lata trwało, zanim zebrałem się na odwagę, żeby... żeby zostać jej prawdziwym mężem. Musiałem nauczyć ją gotować, zamiatać podłogę, prać i prasować. Nie potrafiła niczego. I przez tyle lat, odkąd jesteśmy małżeństwem, nigdy ani razu nie narzekała, nie śmiała się ani nie płakała. Jeżeli okazuje czasem jakieś uczucia, to w najbardziej intymnych chwilach naszego wspólnego życia, ale i wtedy nigdy się nie odzywa. Mam nadzieję, że kiedyś coś powie, a jednocześnie wcale tego nie pragnę, bo zawsze mi się zdaje, że wypowiedziałyby na głos imię tamtego człowieka. Och, nie chcę przez to powiedzieć, że nie lubi mnie albo naszych dzieci. Ale ja tak bardzo ją kocham, a ona jakby nie potrafi już rozpaść w sobie takiego uczucia. Ma je tylko dla Franka. Zawsze wiedziałem, że kocha Franka bardziej niż nas wszystkich razem wziętych. Widocznie kochała jego ojca. Ale ja nic o tym człowieku nie wiem, ani kim był, ani dlaczego nie mogła wyjść za niego za mąż.

Ksiądz Ralph, mrugając oczami, oglądał swoje ręce.

– Och, Paddy, jakim piekłem jest życie! Bogu dzięki, że brak mi odwagi, żeby przekroczyć jego obrzeże.

Paddy wstał chwiejąc się na nogach.

– Więc teraz będę miał za swoje, prawda, proszę księdza? Przepędziłem Franka i Fee nigdy mi tego nie wybaczy.

– Nie możesz jej tego powiedzieć, Paddy. Nie, nie wolno ci o tym mówić, pod żadnym pozorem. Powiedz tylko, że Frank uciekł z bokserami, nic więcej. Ona wie, jak Frank wyrzywał się z domu, uwierz ci.

– Nie mogę tak postąpić! – zaprotestował Paddy, osłupiały.

– Musisz. Czy twoja żona nie zaznała dość bólu i cierpienia? Nie dodawaj jej nowych udreń – rzekł ksiądz Ralph, dopowiadając w duchu: kto wie? Może Fee nauczy się wreszcie obdarzać miłością, którą ma dla Franka, ciebie i to małe stworzenie śpiące na górze.

– Naprawdę tak ksiądz uważa?

– Tak. To, co tu dziś zaszło, nie może wyjść poza ściany tego pokoju.

– Ale co zrobić z Meggie? Ona wszystko słyszała.

– Nie martw się o Meggie, ja się tym zajmę. Nie sądzę, by zrozumiała więcej niż to, że się pokłóciliście. Wyłumaczę jej, że skoro Frank odszedł, to opowiadając matce o kłótni, pogłębiałaby tylko jej smutek. Zresztą odniosłem wrażenie, że Meggie niewiele mówi swojej matce. – Wstał. – Połóż się spać, Paddy. Nie zapominaj, że jutro musisz być znowu na usługach Mary.

Meggie nie spała. Leżała z szeroko otworzonymi oczami w półmroku rozpraszonym przez małą lampkę koło łóżka. Ksiądz usiadł przy niej i spostrzegł, że włosy ma nadal zaplecione w warkocze. Ostrożnie rozwiązał granatowe wstążki i delikatnie rozplótł włosy, które przykryły poduszkę sfalowaną, metalicznie lśniąca powłoką.

– Frank odszedł, Meggie – powiedział.

– Wiem, proszę księdza.

– A czy wiesz dlaczego, kochanie?

– Pokłócili się bardzo z tatą.

– I co chcesz teraz zrobić?

– Chcę iść razem z Frankiem. On mnie potrzebuje.

– Nie możesz tego zrobić, Meggie.

– Mogę. Miałam jeszcze dziś go poszukać, ale nie dałam rady stanąć na nogi i nie lubię ciemności. Ale rano pójdę go poszukać.

– Nie, Meggie, nie wolno ci tego zrobić. Zrozum, Frank powinien sam pokierować swoim życiem i pora, żeby odszedł z domu. Wiem, że nie chcesz, żeby sobie poszedł, ale on już od dawna tego pragnął. Nie możesz być samolubna, musisz mu pozwolić żyć własnym życiem. – Powtarzać aż do znudzenia, myślał, wbić jej to do głowy. – Kiedy dorastamy, staje się rzeczą naturalną i słuszną, że chcemy zacząć życie z dala od domu, w którym się wychowaliśmy, a Frank jest już dorosłym mężczyzną. Powinien mieć teraz własny dom, żonę i rodzinę. Rozumiesz, Meggie? Kłótnia pomiędzy twoim tatą a Frankiem to był tylko sygnał, że Frank chce odejść. Doszło do niej nie dlatego, że oni się nie lubią. Doszło do niej dlatego, że wielu młodych ludzi w ten właśnie sposób opuszcza dom rodzinny. I zawsze znajdują jakiś powód. Ta kłótnia dała Frankowi powód, żeby zrobić to, o czym marzył od dawna stałą się przyczyną jego odejścia. Rozumiesz to, moja Meggie?

Przeniosła spojrzenie na jego twarz. W znieruchomiałych oczach wyczytał takie wyczerpanie i ogrom bólu, jakby miał przed sobą staruszkę.

– Wiem – powiedziała. – Wiem. Frank chciał już odejść, kiedy byłam małą dziewczynką, ale nie odszedł. Tata sprowadził go z powrotem do domu i kazał zostać.

– Ale tym razem tata już go nie sprowadzi, bo nie może mu kazać zostać. Frank odszedł na dobre, Meggi. Już nie wróci.

– Już nigdy go nie zobaczę?

– Nie wiem – odparł szczerze. – Chciałbym oczywiście powiedzieć, że go zobaczysz, Meggie, ale nikt nie potrafi przewidywać przyszłości, nawet księża. – Wziął głęboki oddech. – Nie wolno ci powiedzieć o tej kłótni mamie, słyszysz Meggie? Bardzo by ją to zmartwiło, a nie czuje się najlepiej.

– Dlatego, że będzie miała nowe dziecko?

– A co o tym wiesz?

– Mama lubi mieć dzieci. Często je ma. A te dzieci wychodzą jej takie milutkie, nawet, kiedy nie czuje się dobrze. Ja też sobie wyhoduję takiego malucha, jak Hal i wtedy nie będę tęsknić tak bardzo za Frankiem, prawda?

– Partogeneza – mruknął. – Życzę ci powodzenia, Meggie. Ale co będzie, jeżeli nie uda ci się wyhodować malucha?

– Mam jeszcze Hala – odparła sennym głosem, przytulając się do poduszki. A potem spytała: – Czy ksiądz też odejdzie? Też odejdzie?

– Kiedyś tak, Meggie. Ale raczej nie nastąpi to szybko, więc się nie martw. mam przeczucie, że utknąłem w Gilly na bardzo, bardzo długo – odpowiedział ksiądz z goryczą w oczach.

## Rozdział szósty

Nie było rady, Meggie musiała wrócić do domu. Fee nie mogła się obejść bez jej pomocy. Po wyjeździe Meggie Stuart, pozostawiony w klasztorze w Gilly, rozpoczął natychmiast głodówkę, więc on także powrócił do Droghedy.

Był sierpień, przenikliwie zimny. Mieszkali w Australii już od roku, ale tegoroczna zima bardziej dawała się we znaki niż poprzednia. Nie padał deszcz, zimne suche powietrze drażniło płuca. Trzysta mil na wschód szczyty Gór Wododziałowych pokrywała gruba warstwa śniegu, jakiej od lat nie widziano, a na zachód od Burren Junction nie spadła kropla deszczu od czasu monsunowej ulewy zeszłego lata. Mieszkańcy Gilly mówili o kolejnej suszy: spóźnia się, musi w końcu nadejść, może właśnie teraz.

Kiedy Meggie zobaczyła matkę, poczuła na sobie okropny ciężar, może to było pożegnanie z dzieciństwem, a może ogarnęło ją przeczucie, co to znaczy być kobietą. W samym wyglądzie, poza wyrosniętym brzuchem, nie zaszła żadna zmiana, ale od środka Fee spowolniała, jak zmęczony stary zegar, który późni się coraz bardziej, aż w końcu nieruchomieje na zawsze. Zniknęła żwawość, która za pamięci Meggie nigdy nie opuszczała matki. Fee odrywała stopy i stawiała je z powrotem tak, jakby straciła pewność, w jaki sposób należy to robić, jakaś duchowa opieszałość odznaczała się w jej chodzie. Nie miała w sobie radości ze zbliżających się narodzin dziecka, nawet tego ściśle kontrolowanego zadowolenia, jakie okazywała spodziewając się Hala.

Rudowłosy brzdąc dreptał po całym domu, wciąż gdzieś wlaził, ale Fee nie próbowała poddać go jakiegokolwiek dyscyplinie czy choćby śledzić jego poczynań. Dreptała w kółko nie kończącym szlakiem między piecem, stołem i zlewem, jakby nic więcej nie istniało. Dlatego też Meggie nie miała innego wyjścia, jak tylko wypełnić puste miejsce w życiu małego dziecka, zastępując mu matkę. Nie odczuwała tego zresztą jako poświęcenie, bo kochała go szczerze i znalazła w tym bezradnym maluchu wdzięczny obiekt miłości, którą coraz silniej pragnęła obdarzyć jakąś ludzką istotą. Hal płakał za nią, wymawiał jej imię przed wszystkimi innymi, podnosił rączki, prosząc tym gestem, żeby go wzięła na ręce; płynąca stąd satysfakcja napępiała ją radością. Mimo ciągłej harówki, szycia, cerowania, robótek na drutach, prania, prasowania, zajmowania się kurami i innych prac Meggie była bardzo zadowolona ze swego życia.

Nikt nie wspominał nigdy o Franku, ale co sześć tygodni Fee unosiła głowę słysząc wóz pocztowy i ożywiała się na chwilę. Potem pani Smith przynosiła to, co do nich nadeszło, a kiedy okazywało się, że nie ma listu od Franka, nagle bolesne zainteresowanie gaśło.

W domu pojawiło się nowe życie – bliźnięta. Fee wydała na świat następnych dwóch maleńkich, rudowłosych Clearych, którzy otrzymali na chrzcie imiona James i Patrick. Kochane maluchy, mając po ojcu łagodne usposobienie i miłą naturę, zaraz po urodzeniu stały się własnością wszystkich, gdyż Fee poza karmieniem wcale się nimi nie interesowała. Wkrótce ich imiona skrócono na Jims i Patsy; stali się oczkiem w głowie kobiet z rezydencji – dwóch niezamężnych pokojówek i owdowiałej bezdzietnej gospodyni – spragnionych obecności niemowląt. Z cudowną łatwością Fee mogła o nich zapomnieć, miały wszak zapewnioną gorliwą opiekę trzech troskliwych matek, a z biegiem czasu przyjęło się, że jeśli nie spali, większość czasu spędzali w dużym domu na górze. Meggie po prostu nie zdołałaby wziąć ich pod swoje skrzydła i zajmować się jednocześnie bardzo zaborczym Halem. Niezdarne nadskakiwanie pani Smith, Minnie i Cat to nie dla niego. W świecie Hala źródłem miłości była Meggie; nie chciał, nie zgadzał się na nikogo innego oprócz Meggie.

Bluey Williams zamienił piękne pociągowe konie i ogromny wóz na ciężarówkę, dzięki temu poczta zamiast co sześć, przychodziła co cztery tygodnie, ale Frank nadal nie odzywał

się ani słowem. Stopniowo wspomnienie o nim straciło na ostrości, jak to się zwykle dzieje ze wspomnieniami, nawet o kimś tak bardzo ukochanym, tak jakby bez naszej wiedzy przebiegał w umyśle uzdrawiający proces, na przekór rozpaczliwym staraniom, żeby nie zapomnieć. W pamięci Meggie twarz Franka, boleśnie wyblakła, bliskie sercu rysy zatarły się i rozmyły do tego stopnia, że powstał wyidealizowany wizerunek, który z prawdziwym Frankiem miał nie więcej wspólnego niż Chrystus na świętym obrazie z chodzącym po ziemi Człowiekiem. W przypadku Fee z milczących głębin, w jakich zastygła jej dusza, wypłynęło uczucie zastępcze.

Nastąpiło to tak dyskretnie, że nikt tego nie zauważył. Fee bowiem zasłaniała się swoim spokojem, niczego po sobie nie okazując; zastępcze uczucie pozostawało nie uzewnętrznione i nikt nie miał czasu go spostrzec, oprócz nowego obiektu jej miłości, który nie odpowiedział żadnym dostrzegalnym znakiem. Ta więź między nimi, pozwalająca odeprzeć osaczającą samotność, zadzierzgnęła się ukradkiem, bez słów.

Może nie mogła stać się inaczej, bo spośród wszystkich dzieci tylko Stuart był podobny do Fee. Gdy miał czternaście lat, stanowił dla ojca i braci taką samą zagadkę jak niegdyś Frank, tyle że w przeciwieństwie do niego nie wywoływał irytacji ani wrogości. Robił to, co mu kazano, bez słowa sprzeciwu, pracował tak samo ciężko jak wszyscy i nie wywoływał najmniejszego zawirowania w spokojnym nurcie życia Clearych. Miał wprawdzie rude włosy, ale najciemniejsze ze wszystkich chłopców, bardziej mahoniowe, a jego oczy były przejrzyste jak jasna woda, na którą pada cień, i zdawały się sięgać daleko w przeszłość, aż do samego początku i widzieć wszystko takim, jakim było naprawdę. Jako jedyny z synów zapowiadał się na przystojnego mężczyznę, choć Meggie w głębi duszy uważała, że jej Hal, kiedy dorośnie, przyćmi go urodą. Nikt nigdy nie wiedział, co Stuart myśli. Podobnie jak Fee rzadko się odzywał i nie wyrażał swojej opinii na żaden temat. Posiadał też zdumiewającą umiejętność trwania w całkowitym bezruchu, wyciszenia zarówno duszy, jak i ciała, a najbliższej mu wiekiem Meggie zdawało się, że wędruje gdzieś, gdzie nikt poza nim nie ma wstępu. Ksiądz Ralph wyraził to inaczej.

– To chłopak nie z tego świata! – wykrzyknął tego dnia, kiedy odwiózł do Droghedy Stuarta odmawiając jedzenia do czasu, kiedy został w klasztorze bez Meggie. – Czy powiedział, że chce jechać do domu? Czy powiedział, że tęskni za Meggie? Nie! Po prostu przestał jeść i cierpliwie czekał, aż powód, dla którego to zrobił, dotrze do naszych tępych głów. Nie wydał z siebie słowa skargi, a kiedy podszedłem do niego i krzyknąłem, czy chce jechać do domu, uśmiechnął się i kiwnął głową!

Z biegiem czasu przyjęło się, że Stuart, choć dorósł do pracy na pastwiskach, nie jeździł z Paddym i resztą chłopców. Zostawał w domu na straży, rąbał drzewo, uprawiał ogródek warzywny, zajmował się dojeniem, słowem, wykonywał niezliczone prace, na które brakowało czasu kobietom obarczonym trójką malców. Rozsądek nakazywał, żeby koło domu przebywał jakiś mężczyzna, choćby niedorostek; świadczyło to o obecności innych mężczyzn w pobliżu. Zdarzali się bowiem nieproszeni goście – czasem znienacka zastukały obce buty na drewnianych schodach werandy z tyłu domu i obcy głos pytał:

– Halo! Psze pani, znajdzie się tu dla mnie coś na ząb?

Na prowincji krążyło całe mnóstwo włóczęgów. Z zarzuconym na plecy tobołkiem wędrowali od farmy do farmy, z Queensland na południu i z Wiktorii na północy. Niektórym się nie powiodło, inni obawiali się podjąć stałą pracę i woleli przemierzać pieszo tysiące mil w poszukiwaniu sobie tylko wiadomego celu. Z reguły byli to porządni ludzie, którzy pojawiali się, spożywali obfity posiłek, pakowali podarowaną herbatę, cukier i mąkę do tobołka, po czym znikali na szlaku wiodącym do Barcoola albo Narrenang, obwieszeni wysłużonymi blaszanymi puszkami, które podskakiwały w marszu. Australijski wędrowiec rzadko dosiadał wierzchowca, chodził na piechotę, a za nim, z brzuchem przy ziemi, pomykał wychudzony pies.

Czasami przychodził zły człowiek. Szukał kobiet, których mężczyźni przebywali z dala od

domu, ale nie po to, żeby gwałcić, lecz żeby rabować. Dlatego Fee trzymała w kącie kuchni, poza zasięgiem dzieci, naładowaną strzelbę i stawała koło niej, bliżej niż niespodziewany gość, dopóki wprawnym okiem nie oceniła charakteru. Kiedy pieczę nad domem powierzono formalnie Stuartowi, Fee chętnie przekazała mu strzelbę.

Nie wszyscy przybysze byli włóczęgami, chociaż ci stanowili większość, czasami przyjeżdżał starym ffordem handlarz Watkins. Przywoził ze sobą wszystko – od płynu do nacierania koni po pachnące mydło, w niczym nie przypominające twardej jak skała substancji wytwarzanej przez Fee w miedzianym kotle z tłuszczu i sody. Miał wodę lawendową i kolońską, pudry i kremy do wysuszonych na słońcu twarzy. Nikomu nie przyszłoby do głowy, zaopatrywać się w niektóre artykuły gdzie indziej niż tylko u Watkina. Na przykład jego maść, o wiele lepsza od tych, które można było dostać gotowe lub zrobić według recepty w aptece sprawiała, że goiło się wszystko: i rozdarta na boku skóra psa, i wrzód na goleni człowieka. W każdej kuchni, do której zawitał, obstępowały go kobiety oczekując niecierpliwie chwili, kiedy otworzy wielką walizę pełną towarów.

Równie serdecznie witano innych handlarzy, mniej regularnie od Watkina objeżdżających odludne kresy, a oferujących na sprzedaż najrozmaitsze rzeczy: papierosy, ozdobne fajki, bele materiału a czasem nawet wyzywającą bieliznę i suto zdobione wstążkami gorsety. Jakże spragnione tych wizyt były kobiety na prowincji, które ledwie raz czy dwa razy na rok wyprawiały się do najbliższego miasta, mieszkając tak daleko od wspaniałych sklepów w Sydney, tak daleko od nowinek mody i fatałaszków!

Zdawało się, że życie to muchy i kurz. Od dłuższego czasu nie spadła kropla deszczu, który by osadził kurz na ziemi i potopił muchy: gdyż im mniej deszczu, tym więcej much, tym więcej kurzu.

Pod każdym sufitem wisiały festony z długich, obracających się przyklejonych owadów. Nic ani na chwilę nie mogło pozostać odkryte, w przeciwnym razie stawało się miejscem orgii lub cmentarzyskiem much; upstrzone przez muchy były meble, ściany, kalendarz ze sklepu w Gillanbone.

I ten kurz! Nie sposób było przed nim uciec, drobniuteńki, brązowy pył wciskał się nawet pod ściśle przylegające pokrywki, odbierał połysk świeżo umyтым włosom, nadawał skórze szorstkość, kładł się na fałdach ubrań i zasłon, pokrywał matowym nalotem politurowane stoły, a ledwie strzepnięty, osiadał na nowo. Ścielił się grubo na podłogach, наносzony przez niestarannie wytarte buty i gorący suchy wiatr wpadający przez otwarte drzwi i okna. Fee musiała zwinąć perskie dywany w bawialni i poleciała Stuartowi, żeby przybił gwoździami linoleum, które kupiła bez oglądania w sklepie w Gilly.

Kuchnia, do której najczęściej wchodziło się z zewnątrz, miała podłogę z drewna tekowego, wyblakłego jak stare kości od nieustannego szorowania drucianą szczotką i mydłem dziegciowym. Fee i Meggie posypywały ją trocinami, które Stuart starannie zbierał w składzie drewna, kropiły trociny odrobiną cennej wody i wymiatały wilgotną masę o odrażającej woni za drzwi, na werandę, a potem do ogródka warzywnego, żeby rozłożyła się tam na próchnicę.

Ale nic na długo nie chroniło przed kurzem. Po jakimś czasie strumień wysechł, zamieniając się w kałużę, i nie można już było pompować z niego wody do kuchni i łazienki. Stuart pojechał beczkowozem do studni artezyjskiej, napełnił go i po powrocie przelał wodę do jednego z zapasowych zbiorników na deszczówkę. Kobiety musiały przyzwyczaić się do nowej, okropnej wody, gorszej od tej mulistej ze strumienia. Śmierdziała siarką, trzeba ją było skrupulatnie wycierać z naczyń, a włosy robiły się od niej sztywne jak słoma. Wody deszczowej, której im jeszcze trochę zostało, używali wyłącznie do picia i gotowania.

Ksiądz Ralph z rozczuleniem przyglądał się Meggie. Szczotkowała właśnie kędzierzawą, rudą czuprynkę Patsy'ego, obok stał posłusznie, chwiejąc się trochę na nóżkach, Jims, który czekał na swoją kolej, a obie pary błękitnych oczu wpatrywały się w nią z uwielbieniem.

Wyglądała jak mała mateczka. Widocznie kobiety z tym się rodzą, myślał ksiądz, z tą szczególną obsesją na punkcie dzieci, w przeciwnym razie Meggie uważałaby tę czynność za obowiązek, a nie czystą przyjemność, i czy pręcej wyszukałaby sobie jakiejś atrakcyjniejszej zajęcie. A Meggie na odwrót, przedłużała czesanie, zbierała między palce niesforne kosmyki i układała je w fale. Przez chwilę ksiądz spoglądał na to oczarowany, a potem trzepną szpicrutą po okurzonej wysokim bucie i skierował posępne spojrzenie w stronę ukrytej za eukaliptusami i pnączami rezydencji, odizolowanej przez liczne budynki gospodarcze i sumaki od domu zarządcy, prawdziwego ośrodka życia na farmie. Co ona knuje? Jaką intrygę snuje ta stara pajęczycza przycupnięta pośrodku swojej ogromnej sieci?

– Ksiądz wcale nie patrzy! – wypominała mu Meggie.

– Przepraszam cię, Meggie. Zamyśliłem się. – Kiedy znów na nią popatrzył, kończyła właśnie czesać Jimsa, a potem cała trójka spojrziała na niego wyczekująco, więc pochylił się, zgarnął bliźniaki i usadził sobie na biodrach, po jednym z każdej strony. – Chodźmy odwiedzić ciocię Mary, dobrze? – zaproponował.

Meggie ze szpicrutą podążyła za nim polną drogą, prowadząc kasztankę; ksiądz Ralph niósł malców z taką swobodą, jakby co dzień z tym podwójnym ciężarem pokonywał prawie milę dzielącą parów od dworu. W kuchni, mieszczącej się w osobnym budynku, oddał bliźniaki w ręce wniebowziętej pani Smith, po czym razem z Meggie ruszył chodnikiem do rezydencji.

Mary Carson siedziała w fotelu. Ostatnimi czasy prawie się z niego nie ruszała; przestało to być konieczne, odkąd Paddy okazał się tak dobrym zarządcą. Kiedy wszedł ksiądz Ralph, trzymając Meggie za ręce, przytłoczyła ją niezycziwym spojrzeniem; duchowny wyczuł przyspieszony puls Meggie i pocieszająco uściśnął jej rękę w przegubie. Dziewczynka niezręcznie dygnęła przed ciotką, mamrocząc pod nosem niedosłyszalne słowa powitania.

– Idź do kuchni, moja mała, zjedz podwieczorek z panią Smith – poleciła Mary Carson.

– Dlaczego jej nie lubisz? – spytał ksiądz Ralph zagłębiając się w krzesło, które przywykł uważać za swoje.

– Ponieważ ty ją lubisz – odparła.

– Ależ daj spokój! – Jak nigdy, wprawiła go w zakłopotanie. – To przecież tylko dziecko, o które nie ma kto dbać.

– Ale ty widzisz w niej co innego, dobrze o tym wiesz.

Piękne błękitne oczy popatrzyły na nią z kpina, ksiądz Ralph poczuł się pewniej.

– Myślisz, że napastuję dzieci? Przecież jestem księdzem.

– Przede wszystkim jesteś mężczyzną, Ralphie de Bricassart. Fakt, że jesteś księdzem, pozwala ci jedynie czuć się bezpiecznie, to wszystko.

Zaskoczony, wybuchnął śmiechem. Jakoś nie mógł się z nią dzisiaj spierać. Zupełnie jakby znalazła szczelinę w jego zbroi i wślizgnęła się do środka ze swoją pajęczą trucizną. A on się zmieniał, może zaczynał się starzeć, godzić z pozostawieniem na uboczu w Gillanbone. Ambicje wygaszały; a może rozpały się w nim inne pragnienia?

– Nie jestem mężczyzną – odparł. – Jestem duchownym... To ten upał, kurz i te muchy... Ale ja nie jestem mężczyzną, Mary, jestem duchownym.

– Och, Ralphie, jak ty się zmieniłeś! – powiedziała drwiąco. – Czyż tak przemawia kardynał de Bricassart?

– To niemożliwe – odrzekł, a jego oczy na chwilę posmutniały. – Wydaje mi się, że już tego nie pragnę.

Zaczęła się śmiać, kołysząc się w fotelu w przód i w tył, i nie spuszczała z niego wzroku.

– Czyżby, Ralphie? Czyżby? Chcę, żebyś się jeszcze trochę pomęczył, ale dzień obrachunku nadchodzi, możesz być pewien. Jeszcze nie teraz, jeszcze ze dwa, trzy lata, ale nadejdzie niechybnie. Będę istnym wcieleniem diabła i zaproponuję ci... ale dość o tym! Możesz być pewien, że będziesz przeze mnie wił się jak na mękach. Nigdy w życiu nie

spotkałam równie fascynującego mężczyzny. Obnosisz się z tą swoją urodą, gardząc naszą głupotą. Ale ja cię jeszcze przypnę do muru swoją własną słabością, zmuszę cię do tego, żebyś się sprzedał jak pierwsza lepsza uszmiękowana dziwka. Nie wierzysz mi?

Poprawił się w fotelu i uśmiechnął.

– Wierzę, że spróbujesz. Ale uważam, że nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się zdaje.

– Czyżby? Czas to pokaże, Ralphie, tylko czas. Jestem stara. Nic mi już więcej nie zostało, tylko czas.

– A co ja mam według ciebie? – spytał. – Też tylko czas, Mary, nic więcej. Czas, kurz i muchy.

Na niebie gromadziły się chmury i Paddy z nadzieją wyglądał deszczu.

– Suche burze – wyjaśniła Mary Carson. – Z tych chmur deszczu nie będzie. Nie będzie padało jeszcze bardzo długo.

Jeżeli Clearym wydawało się, że poznali najgorszą pogodę w surowym klimacie Australii, to dlatego, że nie doświadczyli jeszcze suchych burz na spieczonych równinach. Pozbawione kojącej wilgoci powietrze ocierało się o wysuszoną ziemię, aż trzeszczało, a drażniąca suchość i tarcie powodowały gromadzenie się takich ilości energii, że musiała się to skończyć przepotężnym wyładowaniem. Zwieszające się coraz niżej niebo pociemniało tak bardzo, że Fee musiała zapalać w domu lampy. W zagrodach konie dygotały i płoszyły się przy najlżejszym szmerze; kury obsiadały grzędy i przerażone chowały głowy pod skrzydła; psy warczały i staczały między sobą walki; oswojone świny ryjące na śmietniku zagrzebywały pyski w kurzu, łuskając niespokojnie oczami. Piętrzące się pod nieboskłonem groźne moce wprawiały w przerażenie wszystkie żywe istoty, ogromne, przepastne chmury połknęły słońce w całości, żeby lada dzień zacząć pluć słonecznym ogniem na ziemię.

Grzmoty nadciągały z daleka: im bliżej, tym szybciej. Małe błyski na horyzoncie zarysowały ostro kontury kłębiących się w powietrzu mas, zdumiewająco białe grzywy pieniły się i zawijały nad sinoczarnymi otchłaniami. Potem, z hukiem wichury, która wsysała kurz i ciskała nim w oczy, uszy i usta, rozszalał się kataklizm. Nikt już nie musiał wyobrażać sobie biblijnego gniewu bożego, doświadczali go na własnej skórze. Żaden mężczyzna nie potrafił opanować wzdrygnięcia, kiedy ze wściekłym traskiem rozpadającego się świata rozlegał się grom, ale po pewnym czasie cała rodzina oswoiła się z tymi wybuchami na tyle, że wszyscy wyślizgnęli się na werandę i patrzyli na ciągnące się daleko za parowem pola. Jak okiem sięgnąć, wielkie rozwidlone błyskawice rozorywały niebo żyłami ognia, dziesiątki piorunów waliły raz po raz – czerwone błyski przesywały chmury, to ginąc, to pojawiając się wśród kłębow w fantastycznej zabawie w chowanego. Pojedyncze drzewa, górujące nad trawami, dymiły i wreszcie stało się zrozumiałe, dlaczego obumarli ci samotni stróże pól.

Dziwna, nieziemska poświata nasyciała powietrze. Powietrze straciło przejrzystość i trawione wewnętrznym ogniem fluoryzowało na różowo, liliowo, żółto, wydzielając jakąś niesamowicie słodką, ulotną woń, nie dającą się z niczym porównać. Drzewa migotały, płomienne języki otaczały rude głowy Clearych, krótkie włoski na rękach jeżyły się na sztorc. Burza trwała przez całe popołudnie, ale powoli ustępowała i przesuwała się na wschód. O zachodzie budzące grozę zjawiska zanikły, ale ludzie, którzy znaleźli się pod ich wpływem, nadal czuli niepokój, zdenerwowanie, podekscytowanie. Przeżywszy bez szwanku furię powietrznego żywiołu, mieli poczucie, że otarli się o śmierć, a potem wrócili do życia. Przez cały tydzień nikt nie mówił o niczym innym.

– Jeszcze nie jedno nas czeka – przewidywała znudzona Mary Carson.

I rzeczywiście. Druga sucha zima przyniosła takie chłody, jakich się nigdy nie spodziewali przy braku śniegu. W nocy pokrywała ziemię kilkucalowa warstwa szronu, psy drząc kulili się w budach, utrzymując ciepło dzięki temu, że pożerały duże ilości kangurzego mięsa i góry tłuszczu z bitego bydła. W taką pogodę jadało się wołowinę i wieprzowinę zamiast wiecznej

baraniny. W domu rozpalono potężny ogień, aż huczało, a mężczyźni starali się wracać na noc, bo w polu marzli. Za to postrzygacze przybyli w radosnym nastroju: mogli szybciej uporać się z robotą i mniej przy niej napsocić. Na każdym stanowisku w wielkiej szopie odznaczał się jaśniejszy krąg podłogi, gdzie od pięćdziesięciu lat postrzygacze ociekali potem, który wybielił drewniane deski.

Choć tyle czasu upłynęło od powodzi, trawa, która po niej wyrosła, złowróźnie rzedła. Dzień po dniu niebo było zaciągnięte chmurami, przez które sączyło się mdłe światło, ale nigdy nie padał deszcz. Wiatr hulał po polach z żalosnym wyciem, podrywał płachty brązowego pyłu i kręcił nimi w powietrzu, dręcząc umysły pozornymi widokami wody. Ten szarpany wiatrem pył tak łudzaco przypominał deszcz.

Dzieci podmrażały sobie palce, starały się nie uśmiechać popękanyimi wargami, musiały ostrożnie ściągać skarpetki z krwawiących pięt i nóg. Nie sposób było utrzymać ciepło przy tak silnym, mroźnym wietrze, zwłaszcza że domy tak zbudowano, żeby łapały każdy zabłąkany podmuch, a nie chroniły przed wichurą. Dzieci spały w zimnych pokojach, wstawały rano w zimnych pokojach, czekały cierpliwie, aż mama da im trochę gorącej wody z dużego czajnika stojącego na piecu, żeby uniknąć męki mycia w lodowatej wodzie, od której szczykały zęby.

Któregoś dnia mały Hal zaczął kaszleć i oddychać ze świstem. Jego stan szybko się pogarszał. Fee przygotowała gorący okład z węgla drzewnego i rozprowdziła go na unoszących się z trudem piersiach dziecka, ale nie przyniosło mu to żadnej widocznej ulgi. Z początku Fee nie martwiła się zbytnio, ale kiedy nadszedł wieczór, a z Halem było wciąż gorzej i gorzej, nie wiedziała już sama, co robić. Meggie siedziała u jego boku, załamując ręce i odmawiając bezgłośnie zdrowaśki i Ojczy nasz. Kiedy o szóstej przyszedł Paddy, chrapliwy oddech słycać było aż na werandzie, a usta dziecka posiniały.

Paddy natychmiast ruszył do rezydencji, do telefonu, ale mieszkając w odległości czterdziestu mil doktor wyjechał właśnie na inne wezwanie. Paddy i Fee podpalili w rondlu siarkę i przytrzymali nad nią Hala, żeby wykrztusił błonę, która stopniowo zatykała mu gardło i dusiła, ale on nie był w stanie naprężyć płuc tak, żeby ją oderwać. Twarz siniała mu coraz bardziej, oddychał konwulsyjnie. Meggie siedziała trzymając go i modląc się z sercem ściśniętym aż do bólu, bo biedny malec z takim trudem chwycił każdy oddech. Nigdy przedtem tak rozpaczliwie nie pragnęła być dorosła, uważając, że gdyby była kobietą, udałoby jej się jakimś sposobem uzdrowić Hala. Fee nie mogła uzdrowić Hala, bo Fee nie czuła się jego matką. Zagubiona i przerażona, tuliła do siebie drżące z wysiłku ciało, usiłując pomóc mu oddychać.

Ani razu nie przyszło jej na myśl, że mógłby umrzeć, nawet wtedy, kiedy rodzice uklękli przy łóżku i zaczęli się modlić nie wiedząc, co jeszcze można zrobić. O północy Paddy uwolnił znieruchomiłe dziecko z objęć Meggie i ułożył je delikatnie na poduszkach.

Meggie natychmiast otworzyła oczy. Zapadła w drzemkę, uśpiona tym, że Hal przestał szarpać.

– Och, tato, polepszyło mu się! – powiedziała.

Paddy pokręcił głową. Wyglądał tak, jakby skurczył się i zestarzał, w świetle lampy błyszcząły we włosach i w tygodniowym zarostcie srebrne nitki.

– Nie, Meggie – odparł. – Hallowi nie polepszyło się, jak sobie myślisz, ale odnalazł spokój. Odszedł do Boga i przestał cierpieć.

– Tata mówi, że Hal umarł – wyjaśniła beznamiętnie Fee.

– Och, tato, nie! On nie mógł umrzeć!

Ale małą istotą w gnieździe z poduszek była martwa. Meggie wiedziała o tym, ledwie spojrzęła, choć nigdy przedtem nie zetknęła się ze śmiercią. Hal wyglądał jak lalka, nie jak dziecko. Wstała i wyszła do braci, którzy, zmęczeni czuwaniem, obsiedli przygarbieni kuchenny piec. Tuż obok, nie ruszając się z twardego krzesła, pani Smith pilnowała



bliźniaków, których łóżeczko przestawiono do kuchni.

– Hal właśnie umarł – oznajmiła Meggie.

Stuart ocknął się z głębokiej zadumy.

– Tak jest dla niego lepiej – powiedział. – Pomyśl, jaki ma teraz spokój. – Kiedy Fee weszła z korytarza, wstał i podszedł do niej, zatrzymując się jednak w pewnej odległości. – Mamo, musisz być zmęczona. Chodź się położyć. Rozpalę ogień w twoim pokoju. No chodź, połów się.

Fee obróciła się i ruszyła za nim bez słowa. Bob podniósł się i wyszedł na werandę. Pozostali chłopcy siedzieli przez chwilę, szurając nogami, po czym dołączyli do niego. Paddy nie pokazał się wcale. Pani Smith bez słowa zabrała stojący w kącie werandy wózek i ostrożnie ułożyła w nim śpiące bliźniaki. Z twarzą zalaną łzami popatrzyła na Meggie.

– Meggie, wracam do rezydencji i zabieram ze sobą Jimsa i Patsy’ego. Przyjdę rano, ale najlepiej będzie, jeżeli na jakiś czas dzieci zamieszkają z Minnie, Cat i ze mną. Powiedz to matce.

Meggie usiadła na wolnym krześle i splotła ręce. Och, on był jej i umarł! Mały Hal, którego hołubiła, kochała, otaczała matczyną troską. Miejsce które zajmował w jej sercu i umyśle, jeszcze nie opustoszało. Nadal czuła na piersiach jego ciepły ciężar. Przerażeniem napelniała ją myśl, że ten ciężar już nigdy się na niej nie oprze, tak jak opierał się przez cztery długie lata. Nie, to nie było coś, nad czym się płacze: łyż można ronić nad Agnes, nad uszczerbkiem w delikatnej powłoce szacunku dla samej siebie i nad dzieciństwem, które bezpowrotnie odeszło. To było brzemię, które musiała dźwigać do końca swoich dni i żyć z nim mimo wszystko. Wola życia jest u niektórych bardzo silna, u innych trochę mniejsza. U Meggie przypominała wytrzymałą linię okrętową z najlepszej stali.

W takim stanie zastał ją ksiądz Ralph, kiedy przyjechał z doktorem. Wskazała bez słowa korytarz, ale nie ruszyła się z miejsca, żeby podążyć za nimi. W rezultacie upłynęło dużo czasu, zanim ksiądz mógł wreszcie zrobić to, czego pragnął od chwili, kiedy Mary Carson zadzwoniła na plebanię; podejść do Meggie, być przy niej, dać tej małej istotce pozostawionej na uboczu coś z siebie, przeznaczonego tylko dla niej. Wątpił, czy ktokolwiek inny zdawał sobie w pełni sprawę z tego, co znaczył dla niej Hal.

Przedtem musiał jednak udzielić ostatniego namaszczenia, na wypadek gdyby dusza nie opuściła jeszcze ciała; musiał zobaczyć się z Fee, z Paddym, udzielić mu praktycznych rad. Doktor odjechał przygnębiony, choć od dawna przywykł do tragedii nieuniknionych przy tak wielkich odległościach, które musiał pokonywać. Z tego, co mu powiedziano, wynikało, że i tak niewiele by zrobił z dala od szpitala i kwalifikowanych pielęgniarek. W świadectwie zgonu postanowił napisać: „krup”. Wygodna nazwa.

Wreszcie nie pozostało już nic, czego ksiądz Ralph musiałby dopilnować. Paddy poszedł do Fee, a Bob i chłopcy do stolarni zbić trumienkę. Stuart siedział na podłodze w pokoju Fee, a jego szlachetny profil, jakże podobny do jej profilu, rysował się na tle nocnego nieba za oknem. Leżąc na poduszce i trzymając Paddy’ego za rękę, Fee ani na chwilę nie odrywała wzroku od ciemnej sylwetki przycupniętej na zimnej podłodze. Była piąta rano i senne koguty otrząsały pióra, ale mrok jeszcze nie ustępował.

Ksiądz Ralph z fioletową stułą na szyi, którą zapomniał zdjąć, nachylił się nad kuchennym paleniskiem i na niewygodnym żarze rozpalil nowy ogień, przykręcił lampę na stole i usiadł na drewnianej ławie naprzeciw Meggie, żeby się jej przyjrzeć. Zupełnie jakby włożyła siedmiomilowe buty – pomyślał. – Wyprzedzi mnie, zostawi w tyle. Patrząc teraz na nią odczuwał swoją nieudolność ostrzej niż kiedykolwiek przedtem, choć przez całe życie gnębiło go obsesyjne powątpiewanie we własną odwagę. Czego właściwie się bał? Czemu nie umiałby stawić czoła? Potrafił okazywać siłę innym, nie bał się ludzi, a w głębi duszy lękał się czegoś nie nazwanego, co wślizgnie się do jego świadomości, kiedy najmniej będzie się tego spodziewał. Tymczasem urodzona osiemnaście lat po nim Meggie zaczynała go

przerastać.

Wcale nie była święta, nie wyróżniała się pod żadnym względem, ale nigdy się nie skarżyła, miała dar – a może ciążyło na niej przekleństwo? – godzenia się ze swoim losem. Wszystko, co odeszło i miało nadejść, przyjmowała ze spokojem, gromadziła w sobie, podsycając swój wewnętrzny płomień. Jak się tego nauczyła? Czy można się tego nauczyć? A może to wyobrażenie o niej było wytworem fantazji? Zresztą co za różnica? I co ważniejsze: to, jaka była naprawdę, czy to, jaką on ją widział?

– Och, Meggie – westchnął bezradnie.

Zwróciła na niego spojrzenie i z głębi swego bólu obdarzyła uśmiechem zupełnej, bezbrzeżnej miłości, nie ukrywającej niczego, bo nie krępowały jej jeszcze przypisane kobietom ograniczenia i zakazy. Ta miłość wstrząsnęła nim, zawładnęła, wzbudziła pragnienie, żeby, w imię Boga, w którego istnienie czasem wątpił, być kimś innym, kimkolwiek, byle nie Ralphem de Bricassart. Czy to było to nieznanne? O Boże, czemu ją tak kochał? Ale jak zwykle nikt mu nie odpowiedział, a Meggie siedziała, wciąż się do niego uśmiechając.

O świcie Fee wstała, żeby naszykować śniadanie, w czym pomógł jej Stuart, potem przysłała pani Smith z Minnie i Cat. Wszystkie cztery kobiety stanęły razem koło pieca, rozmawiając ściszonymi głosami, zjednoczone wspólnotą żalu niepojętą ani dla Meggie, ani dla księdza.

Po posiłku Meggie poszła wymościć małą drewnianą skrzynkę, którą chłopcy zbili, wygładzili i zapokostowali. Fee bez słowa dała jej wieczorową suknię z białej satyny, która dawno już zżółkła ze starości, i Meggie dopasowała kawałki materiału do twardych konturów wnętrza skrzynki. Przy pomocy księdza, który materiałem na ręczniki wypychał odpowiednie kształty, pozszywała satynę na maszynie, potem razem wymościłi trumienkę, mocując materiał pinezkami. Fee ubrała Hala w najlepszy aksamitny garniturek, uczesała go i położyła w miękkim gnieździe, które pachniało jak ona, a nie jak Meggie, która była mu matką. Płacząc Paddy zamknął wieko nad pierwszym dzieckiem, które stracił.

Od lat duża sala w Droghedzie służyła za kaplicę. W jednym jej końcu zbudowano ołtarz ozdobiony złotą draperią; za jej wyhaftowanie Mary Carson zapłaciła siostrze od Matki Boskiej z Urso tysiąc funtów. Pani Smith przystroiła salę i ołtarz zimowymi kwiatami z ogrodów Droghedy – lakami, wczesnymi lewkoniami i późnymi różami, które zastygły w rdzawo-różowych bukietach niczym magiczne malowidła obdarzone zapachem. Ksiądz Ralph, w białej albie bez koronek i niczym nie ozdobionym czarnym ornacie, odprawił mszę żałobną.

Drogheda, tak jak inne duże farmy na dalekiej prowincji, grzebała zmarłych na własnej ziemi. Cmentarz, okolony pomalowaną na biało żelazną balustradą, znajdował się za ogrodami, nad porośniętym wierzbami brzegiem strumienia, zielony pomimo suszy, bo podlewany wodą z tutejszych zbiorników. Michael Carson i jego maleńki synek spoczywali tu w imponującym, marmurowym grobowcu, zwieńczonym wielką postacią anioła, który z obnażonym mieczem strzegł ich spokoju. Wokół, na kilkunastu mniej pretensjonalnych, równych grobach, oznaczonych wbitymi w ziemię białymi pałkami, stały zwykłe, białe, drewniane krzyże. Na niektórych brakowało nawet nazwiska. Leżał tu postrzygacz, który zginął podczas awantury w barakach, a nie wiedziano o żadnych jego krewnych. Paru włóczęgów, dla których Drogheda stała się ostatnim postojem w ziemskiej wędrówce. Jakieś znalezione na polu całkowicie anonimowe kości, którym nie można było przypisać nawet płci. Chiński kucharz Michaela Carsona, nad którego szczątkami rozpościerała się dziwaczna czerwona parasolka, a wiszące na niej dzwoneczki dźwięczały smutno, jakby wydzwanając bez końca imię Hi Sing, Hi Sing, Hi Sing. Poganiacz, na którego krzyżu widniał napis: TANKSTAND CHARLIE DOBRY BYŁ Z NIEGO CZŁEK. I jeszcze inni, wśród nich kobiety. Ale ta prostota nie należała się Halowi, bratankowi właściciela; trumienkę własnej

roboty ułożono na półce w grobowcu, po czym zamknięto kunsztowne drzwi z brązu.

Po jakimś czasie przestano mówić o Halu, chyba że ktoś wspomniał go mimochodem. Meggie zachowała swój smutek wyłącznie dla siebie. Pozostawała niepokieszona w bólu, spotężniałym i tajemniczym, nie poddającym się, jak to bywa u dzieci. rozsądkowi, ale kipiąca w niej młodość zepchnęła go pod nurt bieżących zdarzeń, pomniejszając jego znaczenie. Z wyjątkiem Boba, na tyle dużego, że zdążył polubić małego braciszka, chłopcy wiele nie przeżywali. Paddy szczerze rozpaczał, ale nikt nie wiedział, czy żałoba dotknęła Fee. Sprawiała wrażenie, jakby coraz bardziej oddalała się od męża i od dzieci, od wszelkich uczuć. Dlatego Paddy był pełen wdzięczności dla Stu za to, że chodził koło matki, okazując jej pełną powagi troskę. Tylko Paddy wiedział jak wyglądała Fee w dniu, w którym wrócił z Gilly bez Franka. W łagodnych szarych oczach nie zabłysła żadna iskierka, spojrzenie nie zaostrzyło się, nie wyraziło wyrzutu, nienawiści czy smutku. Zupełnie jakby znała swoje przeznaczenie i nie mogąc go uniknąć czekała, aż ten cios ją dosięgnie, niczym skazany na odstrzał pies na śmiercionośną kulę.

– Wiedziałam, że nie wróci – powiedziała.

– Może wróci, Fee, jeżeli szybko do niego napiszesz – odparł Paddy.

Potrząsnęła głową i, jak to ona, nie udzieliła żadnych wyjaśnień. Lepiej było dla Franka, żeby ułożył sobie nowe życie z dala od niej i od Droghedy. Znała syna na tyle dobrze, żeby mieć pewność, że jedno słowo z jej strony sprowadziłoby go z powrotem, dlatego nigdy, przenigdy nie wolno jej było go wypowiedzieć. Jeżeli dłużące się dni miało wypełnić gorzkie poczucie klęski, musiała znieść je w milczeniu. Nie wyszła za Paddy'ego z wyboru, ale też lepszego męża niż Paddy ze świecą szukać. Należała do tych ludzi, którzy żywią tak intensywne uczucia, że stają się one nie do zniesienia, nie można z nimi żyć, a ona dostała surową lekcję. Przez blisko dwadzieścia pięć lat dławiła w sobie uczucia, by je zniszczyć, przekonana, że w końcu wytrwałość zostanie uwieńczona sukcesem.

Życie płynęło zgodnie z powtarzającym się bez końca rytmem ziemi. Następnego lata przyszyły deszcze, pochodne monsunów, zapełniły strumień i zbiorniki, ożywiły spragnione wody korzenie traw, zmyły wszędobyłski kurz. Mężczyźni, niemal płacząc z radości, wykonywali sezonowe prace, spokojni i pewni, że nie będą zmuszeni własnoręcznie karmić owiec. Trawa zachowała się dostatecznie długo, uzupełniana soczystymi pędami wycinanymi w zaroślach, ale nie wszystkie farmy wokół Gilly tak sobie poradziły. Liczba zwierząt hodowanych na farmie zależała wyłącznie od gospodarującego na niej hodowcy. Olbrzymia Drogheda miała stosunkowo małe stada, dzięki czemu starczało trawy na trochę dłużej.

Pora kocenia się owiec i gorączkowe tygodnie, które potem następowały, stanowiły najbardziej wypełniony pracą okres w całym pasterskim kalendarzu. Każde urodzone jagnię trzeba było łapać, zaobrączkować mu ogon, oznakować ucho, a samców niepotrzebnych do dalszej hodowli również wykastrować. Przy tej brudnej i obrzydliwej pracy mężczyźni ociekali krwią, gdyż tylko w jeden sposób mogli uporać się z tysiącami baranków w krótkim czasie, jaki mieli do dyspozycji. Jądra wyciskali palcami i odgryzali, wypluwając na ziemię. Ogony jagniąt, zarówno owieczek i baranków, na które zakładano blaszane pierścienie, stopniowo traciły dopływ życiodajnej krwi, puchły, usychały i odpadały.

Hodowano tu najlepsze na świecie wełnodajne owce, na nie spotykaną w żadnym innym kraju skalę, przy niewielkiej liczbie pracowników. Wszystko było nastawione na jak najlepszą produkcję jak najlepszej wełny. Owce należało podglądać, gdyż wełna rosnąca w okolicy krocza, uwalana ekskrementami i obsiadana przez muchy, które składały tam jajka, była czarna i pozbijana w kudły. Za to małe postrzyganie, o wiele mniej przyjemne, wymagające pracy w brudzie i wśród much, były wyższe stawki. Następnie przeprowadzano odkażanie: tysiące beczących, skaczących stworzeń przepędzano przez labirynt wybiegów i pojemniki z fenolową kąpielą, która uwalniała je od kleszczy i innego robactwa. Pojono też owce

lekarstwami: przez wielką strzykawkę, wciśniętą do pyska, podawano płyn przeciw pasożytom przewodu pokarmowego.

Praca przy owcach nigdy nie miała końca – po wykonaniu jednej czynności nadchodziła pora na następną. Owce poddawano przeglądowi i klasyfikacji, przeganiano z jednego pola na drugie, odkażano i odrobaczano, zabijano i wysyłano na sprzedaż. Drogheda miała oprócz owiec około tysiąca sztuk doborowego bydła, hodowanego na mięso, ale owce przynosiły o wiele większy zysk, dlatego w sprzyjających czasach na każde dwa akry ziemi przypadała w Droghedzie jedna owca, co dawało w sumie około stu dwudziestu pięciu tysięcy sztuk. A ponieważ były to merynosy, nigdy nie sprzedawano ich na mięso. Kiedy upłynęły lata, w których dawały wełnę, wysyłano je do przerobienia na skóry, lanolinę, łój i klej.

Klasyczne dzieła literatury buszu stopniowo nabierały sensu. Dla Clearych, odciętych w Droghedzie od świata, czytanie stało się jeszcze ważniejsze niż przedtem; jedyny z nim kontakt mieli poprzez magiczne słowo pisane. Niestety, w pobliżu nie było biblioteki, tak jak niegdyś w Wahine, nie jeżdżono też raz na tydzień do miasta po pocztę, gazety i nowe książki z biblioteki. Ksiądz Ralph wypełniał tę lukę plądrując półki biblioteki w Gillanbone, u siebie i w klasztorze, aż ku swojemu zdumieniu stwierdził, że mimo woli zorganizował objazdową wypożyczalnię w pocztowej ciężarówce Blueya Williamsa. Podniszczone, zaczytane książki wędrowały szlakami między Droghedą i Bugelą, DibbanDibban i Braich y Pwll, Cunnamuttą i Each-Uisge, przyjmowane wszędzie z zachłanną wdzięcznością przez umysły spragnione strawy duchowej i ucieczki od rzeczywistości. Ulubione powieści zwracano zawsze z wielkim ociąganiem, ale ksiądz Ralph i zakonnice notowali skrzętnie, które książki gdzie najdłużej trzymano, po czym zamawiali odpowiednie tytuły za pośrednictwem agencji telegraficznej w Gilly, bez żenady obciążając kosztami Mary Carson jako ofiarodawczynię na rzecz Świętokrzyskiego Towarzystwa Miłośników Książek.

W owych czasach do rzadkości należały książki opisujące niewinny pocałunek czy zawierające sceny erotyczne, dlatego nie rozróżniano tak wyraźnie książek dla dorosłych i dla starszych dzieci. Nie przynosiło więc żadnej ujmę człowiekowi w wieku Paddy'ego, jeżeli najbardziej podobały mu się ulubione książki jego dzieci: „Dorcja i kangur”, seria pod tytułem „Billanbong”, której bohaterami byli Jim, Norah i Wally, nieśmiertelne dzieło pani Aeneas Gunn „My z Ziemi Niczyjej”. Wieczorami zebrani w kuchni członkowie rodziny na zmianę czytali na głos wiersze Banjo Patersona i C.J. Dennisa, przeżywali perypetie „Człowieka znad rzeki Snowy”, śmiali się „Sentymentalnego chłopca” i jego Doreen, lub ukradkiem ocierali łzy przy „Roześmianej Mary” Jonna O'Hary.

*Chciałam napisać list do niego, nie miałam adresu żadnego,  
Kiedyś strzygł owce w Lachlan, kto wie, skąd tam się wziął.  
Przed laty tam go poznałam, więc długo się nie wahałam,  
List dotrze, gdy adres dam: „Clancy znad Overflow”.  
Kiedy odpowiedź dostaję, pisma jego nie poznaję.  
(A przy tym widzę, że ktoś tu palec w smole umoczył).  
To pisze kolega jego, verbatim przytoczę którego:  
„Clancy do Queensland ruszył i całkiem zniknął nam z oczu”.  
Dziki nawiedza widok mnie, Clancy zachodnim szlakiem mknie  
Nad rzeką Cooper idą woły, gdzie poganiacze trasę mają,  
Wesoły Clancy kiwa się w siodle, w mieście czułby się podle,  
Więc chwali pieśnią swój los, mieszcuchy jej nie znają.  
Dochodzi do jego uszu głos wielu przyjaciół w buszu,  
Wiatr szumi i mruczy rzeka, co w dole płynie leniwie.  
W dzień na równiny nieogarnione, blaskiem słońca rozjaśnione,  
A nocą na gwiazdy wieczne mój Clancy patrzy w podziw.*

Wszystkim najbardziej podobał się wiersz „Clancy znad Overflow”, a Banjo był ulubionym poetą. Nawet jeżeli te wiersze były nieco kulawe, to nie pisano ich z myślą o wyrafinowanych znawcach poezji: powstały one dla takich ludzi, o jakich mówiły, i w owych czasach wielu Australijczyków potrafiło recytować je z pamięci, podczas gdy nieliczni znali tradycyjne przerabiane w szkole utwory Tennysona i Wordswortha, gdyż tamtym wierszokletom za natchnienie służyła Anglia. Koblance narcyzów i łąki złotogłowiu nic nie znaczyły dla Clearych, żyjących w klimacie, w którym żaden z tych kwiatów nie mógłby zakwitnąć.

Cleary'owie rozumieli poetów buszu jak mało kto, gdyż rzeka Overflow płynęła w najbliższym sąsiedztwie, wiedzieli też, jak wygląda spęd owiec na trasie. W pobliżu wijącej się rzeki Barwon przebiegała oficjalna trasa spędu owiec i bydła. Ziemia należała do korony, ale służyła każdemu, kto chciał przemieścić żywy towar z jednego krańca wschodniej części kontynentu na drugi. W dawnych czasach nie witano otwartymi ramionami poganiaczy i ich wygłodniałych stad, niszczących trawę, a szczególną niechęć budzili wolarze, którzy powoli przeprowadzali wielkie grupy, od dwudziestu do osiemdziesięciu wołów, przez sam środek najlepszych pastwisk osadników. Tera, kiedy oficjalne trasy spędu dla poganiaczy owiec i wołów przeszły do legendy, stosunki między wagabundami i ludźmi osiadłymi nabrały przyjaźniejszego charakteru.

Pojawiających się rzadka poganiaczy witano serdecznie, kiedy zajeżdżali na pogawędkę przy piwie i posiłek z domowej kuchni. Czasami przyprowadzali ze sobą wesołe lub posępne kobiety, które powoziły wysłużonymi dwukółkami, zaprzężonymi w stare robocze konie z poobcieraną skórą, obwieszonymi dookoła garnkami, puszkami i butelkami stukającymi o siebie z brzękiem. Wędrowali tak z Kynuna do Paroo, z Goondiwindi do Gundagai, z Katherine do Curry. Były to dziwne kobiety, nie wiedziały, co to dach nad głową, a ich twarde plecy nie czuły nigdy pod sobą materaca. Żaden mężczyzna nie dałby im rady. Były twarde i wytrzymałe jak ziemia, która przesuwiała się pod ich nieznającymi spoczynku stopami. Ich dzieci, dzikie niczym ptaki na osłonecznionych drzewach, chowały się nieśmiało za dwukółką albo stertą drewna, podczas gdy rodzice gawędzili przy herbacie, przerzucali się nieprawdopodobnymi dla Hoopirona Collinsa albo Brumby'ego Watersa i opowiadali fantastyczną historię o angielskim frycu w Gnarlundze. Wiadomo też było, że każdy z tych bezdomnych wędrowców ma pod jakimś pamiętnym drzewem wykopany grób dziecka, żony, męża czy kumpla. W oczach obcych ludzi niczym się ono nie wyróżniało, ale dla nich to jedno jedyne drzewo było najbliższe sercu.

Meggie nie zetknęła się nawet z tak prostym zwrotem jak „sprawy płci”, gdyż okoliczności życia zablokowały wszelki dostęp do wiadomości na ten temat. W rodzinie ojciec ściśle rozgraniczał świat mężczyzn od świata kobiet; przy kobietach mężczyźni nie pokazywali się nie ubrani, nigdy też nie rozmawiali o hodowli i kryciu. Książki, z których mogłaby się czegoś dowiedzieć, nie pojawiały się nigdy w Droghedzie, a nie miała też koleżanek w swoim wieku, które uzupełniłyby jej wiedzę. Absorbował ją bez reszty codzienny kariat prac domowych, a koło domu nie działo się nic, co miałoby związek z aktywnością seksualną. Zwierzęta w obejściu nie dostarczały okazji do obserwacji. Mary Carson nie hodowała koni, kupowała je od hodowcy, Martina Kinga z Bugeli. Dla kogoś, kto nie hodował koni, ogiery stanowiły nie lada kłopot, dlatego w Droghedzie nie trzymano ogierów. Hodowano tylko jednego byka, dziką i nieokiełznaną bestię, ale obowiązywał bezwzględny zakaz wstępu do jego zagrody, a Meggie tak się go bała, że zawsze omijała z daleka. Psy trzymano w budach na łańcuchu, a krycie suk przypominało doświadczenie naukowe, odbywające się pod czujnym okiem Paddy'ego albo Boba, zatem także objęte było zakazem wstępu. Meggie nie miała też czasu obserwować świń, których nie lubiła karmić i których nie znosiła. Prawdę mówiąc, Meggie nie miała czasu, żeby zajmować się kimkolwiek poza dwoma małymi

braciszkami. A niewiedza rodzi dalszą niewiedzę. Nie rozbudzone ciało i umysł przesypia wydarzenia, które pełna świadomości rejestruje automatycznie.

Tuż przed swoimi piętnastymi urodzinami, kiedy letnie upały nasiliły się odurzająco, Meggie zauważyła brunatne smugi na majtkach. Po paru dniach zniknęły, ale kiedy sześć tygodni później pojawiły się znowu, jej wstyd zamienił się w przerażenie. Za pierwszym razem myślała, że to z brudu, dlatego tak strasznie się zawstydziła, ale za drugim razem wyraźnie pokazywała się krew. Nie miała pojęcia, skąd wypłynęła, ale uznała, że z pupy. Niewielki krwotok po trzech dniach ustąpił i nie powtórzył się przez dwa miesiące. Nikt nie zauważył, jak ukradkiem zapierała majtki, bo pranie bielizny należało do jej obowiązków. Następnemu atakowi towarzyszył ból, pierwsze w życiu bóle nie spowodowane niestrawnością. I krwawiła mocniej, znacznie mocniej. Wykradła kilka porzuconych pieluch bliźniaków i usiłowała się nimi owiązać pod majtkami, przerażona tym, że krew mogłaby przesiąknąć.

Śmierć, która zabrała Hala, była niczym gwałtowne i niespodziewane najście jakiegoś upióra, ale doświadczane na sobie rozciągnięte w czasie wygasanie napełniało ją przerażeniem. Nie potrafiła zdobyć się na to, żeby podejść do Fee albo do Paddy'ego i oznajmić, że umiera na jakąś hańbiącą, zakazaną chorobę. Tylko z Frankiem mogłaby się podzielić swoją udręką, ale Frank był tak daleko że nie wiedziała, gdzie go szukać. Nieraz słyszała, jak kobiety rozmawiały przy herbacie o guzach i rakach, o tym, jak długo i okropnie umierała czyjaś przyjaciółka, matka, siostra, i dlatego nabrała przekonania, że to jakaś narośl wyżera jej wnętrze, posuwając się po cichu do jej wystraszonego serca. Tak bardzo nie chciała umierać!

Miała niejasne pojęcie o tym, czym jest śmierć. Nie miała nawet wyraźnych wyobrażeń o tym, co ją czeka na tamym niepojętym drugim świecie. Wiara była dla Meggie raczej zbiorem przepisów niż przeżyciem duchowym, nie mogła więc jej przynieść żadnego pocieszenia. W jej spłoszonym umyśle ścierały się ze sobą słowa i strzępki zdań wypowiedzianych przez rodziców, ich przyjaciół, siostry zakonne, księży w kazaniach, złych ludzi grożących zemstą na kartach ksiąg. W żaden sposób Meggie nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią. Zagubiona i przerażona, co noc wyobrażała sobie, że śmierć to wieczna noc albo płonąca otchłań, przez którą trzeba przeskoczyć, żeby dostać się na złote pola po drugiej stronie albo w kuliste wnętrze jakiegoś gigantycznego balona, w którym unoszą się w powietrzu chóry angielskie, a łagodne światło sączy się przez niezliczone witraże.

Meggie zrobiła się bardzo cicha, ale w sposób całkiem odmienny od Stuarta, spokojnego, rozmarzonego i odizolowanego od świata. Jej spokój przypominał bezruch zwierzęcia skamieniałego pod bazyliszkowym spojrzeniem węża. Wzdrygała się, kiedy ktoś ją raptem zagadnął, a kiedy zapłakały bliźniaki, chodziła koło nich tak, jakby chciała odpokutować ciężką winę zaniedbania. Ilekroć miała wolną chwilę dla siebie, choć zdarzało się to rzadko, biegła na cmentarz do Hala, jedynej zmarłej osoby, którą znała.

Wszyscy zauważyli, jaka w niej zaszła zmiana, ale uznając to za oznakę dojrzewania, nie zastanawiali się ani przez chwilę, co towarzyszy temu dojrzewaniu, tak dobrze kryła się ze swoją niedolą. Dawne doświadczenia utrwaliły się głęboko, panowała nad sobą wyśmienicie, z niezłomną dumą. Postanowiła, że nikt się nigdy nie dowie, co się z nią dzieje, że do końca zachowa się bez zarzutu. Miała przed sobą przykład Fee, Franka, Stuarta, płynęła w niej przecież ta sama krew, działalność leżała w jej charakterze.

Odwiedzający często Droghedę ksiądz Ralph spostrzegł, że zmiana zachodząca w Meggie zamiast prowadzić do dalszej, uroczej, dziewczęcej metamorfozy powoduje wygaśnięcie jej sił witalnych i wówczas jego zatroskanie przerodziło się w niepokój, a potem lęk. Na jego oczach Meggie marniała fizycznie i duchowo, po prostu gasła, a nie mógł patrzeć na to, jak upodabniała się do Fee. Uderzająco wielkie oczy w małej trójkątnej twarzączce wpatrywały się w jakieś straszne widziadła, mleczna cera, która nigdy nie pokrywała się piegami ani nie

brązowiwała od opalenizny, stawała się coraz bardziej przezroczysta. Jeżeli tak dalej pójdzie – myślał – to pewnego dnia zniknie we własnych oczach, niczym wąż połykający własny ogon, i uleci w przestrzeń jako prawie niewidoczny świetlistoszary promień.

Postanowił, że dojdzie przyczyny, choćby musiał ją z niej wydobyć siłą. Mary Carson domagała się ostatnio ciągłej uwagi, zazdrosna o każdą chwilę, którą spędzał w domu zarządcy, i tylko bezmierna cierpliwość sprytnego dyplomaty pozwalała mu ukryć bunt przeciw jej zaborczości. Nawet zainteresowanie Meggie nie zawsze brało górę nad wyrachowaniem, nad cichym zadowoleniem płynącym z patrzenia, jak jego urok osobisty działa na kogoś tak kłótniowego i krnąbrnego jak Mary Carson. Z jednej strony od dawna uszpona troska o dobro drugiej istoty ożyła w nim i nie dawała spokoju, z drugiej zaś przyznawał się w duchu przed samym sobą, że jednocześnie odczuwa coś całkiem odmiennego: złośliwą chęć, żeby pognać, wystrychnąć na dudka tę zarozumiałą, władczą kobietę. O tak, zawsze tego pragnął! Nigdy ta czarna wdowa go nie pognębi!

Udało mu się w końcu uwolnić od Mary Carson i wytropić Meggie na cmentarzyku, w cieniu bladego, nie wyglądającego wojowniczo anioła mściciela. Wpatrywała się w jego pozbawione wyrazu spokojne oblicze z twarzą ściągniętą strachem. Wyborny kontrast między uczuciem i jego brakiem – pomyślał. – Ale co ja tu właściwie robię, uganiając się za nią jak rozgłaskana kwoka, kiedy zainteresowanie się tą sprawą winno należeć do matki lub ojca? To oni powinni dociec, co się stało. Ale oni nie spostrzegli, że dzieje się coś złego, nie zwracali na nią takiej uwagi jak on. Z jednej strony mógł patrzeć na to, że jest nieszczęśliwa, a z drugiej wzdragał się przez uzależnieniem uczuciowym, do którego prowadził szereg następujących po sobie zdarzeń. Gromadził cały arsenał wspomnień z nią związanych i napełniało go to obawami. Miłość, jaką żywił do niej, oraz instynkt duchownego, niosącego pocieszenie, walczyły z obsesyjnym lękiem przed tym, że mogłoby stać się absolutnie niezbędny dla jakiejś ludzkiej istoty, że jakaś ludzka istota mogłaby stać się absolutnie istotna dla niego.

Kiedy usłyszała kroki, obróciła się ku niemu splatając ręce na podołku i spuszczać wzrok. Usiadł koło niej, obejmując rękoma kolana. Uznał, że nie ma sensu owijać rzeczy w bawełnę; gdyby chciała, wymknęłaby mu się.

– Co się z tobą dzieje, Meggie?

– Nic, proszę księdza.

– Nie wierzę ci.

– Błagam, niech ksiądz nie pyta! Nie mogę powiedzieć!

– Och, Meggie! Istota małej wiary! Możesz mi powiedzieć wszystko, wszystko pod słońcem. Po to tu jestem, dlatego jestem księdzem. Jestem wybranym przedstawicielem naszego Pana na ziemi, słucham w Jego Imieniu, nawet przebaczam w Jego Imieniu. A na całym Bożym świecie, moja Meggie, nie ma nic, czego Bóg i ja nie moglibyśmy przebaczyć. Musisz mi powiedzieć, co się stało, kochanie, bo jeżeli ktoś ci może pomóc, to właśnie ja. Póki żyję, będę się starał ci pomagać, opiekować się tobą. Jeżeli chcesz, będę kimś w rodzaju anioła stróża, o wiele lepszego niż ta bryła marmuru nad twoją głową. – Odetchnął głęboko i nachylił się. – Meggie, jeżeli mnie kochasz, powiedz!

Zacisnęła splecione ręce.

– Proszę księdza, ja umieram! Mam raka!

W pierwszej chwili miał dziką ochotę wybuchnąć śmiechem, gromkim głosem rozładować napięcie; potem jednak spojrzął na jej sinawą cerę, wychudzone ręce i ogarnęło go straszne pragnienie, żeby szlochać, płakać, wykrzyknąć tę niesprawiedliwość nad niebiosami. Nie, Meggie nie wymyśliłaby sobie tego ni stąd, ni zowąd, musiała istnieć jakaś ważna przyczyna.

– Skąd wiesz, moje serce?

Długo trwało, zanim zdobyła się na odpowiedź, a wtedy musiał nachylić głowę do jej ust w nieświadomej parodii konfesjonalnej pozy, osłaniając twarz ręką przed jej wzrokiem,

nadstawiając do zbrukania kształtne ucho.

– To już sześć miesięcy, odkąd się zaczęło. Mam okropne bóle brzucha, ale nie takie jak przy niestrawności, i... Tyle krwi wypływa mi z pupy!

Głowa sama skoczyła mu do tyłu, co nie zdarzało się nigdy w konfesjonale. Spoglądał na jej pochyloną w zawstydzeniu głowę owładnięty tyloma uczuciami naraz, że nie mógł zebrać myśli. Odczuwał absurdalną, rozkoszną ulgę. Gniew na Fee tak wielki, że miał ochotę ją zabić. Głęboki podziw i szacunek dla tej młodziutkiej istoty, że tyle zniosła tak dzielnie. Na koniec – straszliwe, dominujące zakłopotanie.

Tak samo jak ona, był więźniem swoich czasów. Wulgarnie dziewczęta w dużym mieście, jakie znał, od Dublina do Gillanbone, umyślnie przychodziły do konfesjonału, żeby snuć szeptem fantazje, przedstawiane jako rzeczywiste wydarzenia, zainteresowane jedynie jego męskością, niechętnie przyznające, że rozbudzenie jej nie leży w ich mocy. Szeptaly o mężczyznach, którzy nie uszanowali żadnego otworu w ich ciele, o niedozwolonych zabawach z innymi dziewczętami, o żądzy i cudzołóstwie, a parę z nich, obdarzonych bujniejszą wyobraźnią, posunęło się do opisywania szczegółów intymnych związków z księdzem. Wysłuchiwał tego z niewzruszonym spokojem, czując tylko obrzydzenie i pogardę, gdyż przeszedł rygory seminarium i ta lekcja okazała się łatwa do przyswojenia dla mężczyzny jego pokroju. Dziewczęta te jednak nigdy nie wspominały o tej sekretnej przypadłości, która je wyróżnia i zarazem poniża.

Choć bardzo się starał, nie mógł zahamować piekającej fali rozchodzącej się pod skórą. Ksiądz Ralph de Bricassart siedział osłaniając twarz dłonią, skrywając się ze wstydu wywołanego pierwszym w życiu rumieńcem.

To jednak nie pomagało Meggie. Kiedy miał pewność, że czerwień spelzła, wstał, podniósł ją i posadził przed sobą twarzą w twarz na płaskim marmurowym piedestale.

– Meggie, spójrz na mnie. Nie, spójrz mi w oczy!

Udręczone spojrzenie Meggie napotkało uśmiech. W jednej chwili bezmierna ulga wypełniła jej duszę. Nie uśmiechałaby się tak, gdyby umierała, dobrze wiedziała, ile dla niego znaczy, bo nigdy tego nie ukrywał.

– Meggie, nie umierasz i nie masz raka. Nie do mnie należy wyjaśnienie, co się z tobą dzieje, ale zdaje się, że muszę to zrobić. Twoja matka powinna była powiedzieć ci parę lat temu, przygotować cię, nie pojmuję, dlaczego tego nie zrobiła.

Podniósł wzrok na marmurowego anioła o niezglębionym obliczu i parsknął zduszonym śmiechem. Słodki Jezu! – pomyślał. – Stawiasz przede mną takie zadania! Potem zwrócił się do Meggie:

– Za parę lat, kiedy będziesz starsza i dowiesz się więcej o sprawach tego świata, wspomnienie dzisiejszego dnia wywoła być może w tobie zakłopotanie, nawet wstyd. Nie myśl jednak tak o dzisiejszym dniu, Meggie. Nie ma najmniejszego powodu do wstydu czy zakłopotania. Kiedy mówię do ciebie, podobnie jak we wszystkim, co robię, jestem narzędziem w rękach Pana. To jedyna moja rola na tym świecie. Żadnej innej nie wolno mi się podjąć. Byłaś wystraszona, potrzebowałaś pomocy, a nasz Pan przysłał ci na pomoc właśnie mnie. Zapamiętaj tylko to, Meggie. Jestem sługą Pana i przemawiam w jego imieniu. Dzieje się z tobą to, co dzieje się ze wszystkimi kobietami, Meggie. Raz na miesiąc przez kilka dni będziesz wydalala krew. Zaczyna się to zwykle koło dwunastego, trzynastego roku życia... Ile masz lat? Już tyle?

– Mam piętnaście lat, proszę księdza.

– Piętnaście lat?! – Potrząsnął głową, niezupełnie jej dowierając. – Skoro mówisz, że masz tyle, muszę uwierzyć ci na słowo. W takim razie jesteś opóźniona w stosunku do większości dziewcząt. Powtarza się to co miesiąc, mniej więcej do pięćdziesiątego roku życia, u niektórych kobiet regularnie jak fazy księżyca, u innych w nie dających się tak dokładnie przewidzieć odstępach. Niektóre kobiety nie czują przy tym bólu, inne cierpią. Nikt nie wie,



dlatego tak różnie to przebiega. W każdym razie wydalanie krwi raz na miesiąc to znak, że jesteś już dojrzała. Czy wiesz, co to znaczy „dojrzała”?

– Oczywiście, proszę księdza! Czytam książki! To znaczy dorosła.

– No dobrze, niech będzie. Dopóki krwawienie się powtarza, możesz mieć dzieci. Krwawienie jest częścią cyklu rozrodczego. Mówi się, że przed upadkiem człowieka Ewa nie miesiączkowała. Bo prawidłowo nazywa się to miesiączką albo menstruacją. Ale kiedy Adam i Ewa zgrzeszyli, Bóg bardziej ukarał kobietę niż mężczyznę, bo to właściwie była jej wina, że zgrzeszyli. To kobieta kusiła mężczyznę. Pamiętasz te słowa ze szkolnej Biblii? „I rodzić będziesz w bólu”. Bóg chciał przez to powiedzieć, że we wszystkim, co ma związek z dziećmi, towarzyszy kobiecie ból. Wielka radość, ale i wielki ból. To twój los, Meggie, i musisz się z nim pogodzić.

Nie wiedziała o tym, że w ten sam sposób, choć może z mniejszym zaangażowaniem, pocieszały każdego ze swoich parafian; równie serdecznie, ale nigdy nie utożsamiając się z cudzą troską. I dzięki temu, co może nie powinno dziwić, tym większą niósł pociechę i pomoc. Tak jakby wyrastał ponad te wszystkie drobne kłopoty, które musiały w końcu minąć. Nie robił tego z rozmysłem. Nikt, kto się zwrócił do niego o pomoc, nie czuł nigdy, że ksiądz spogląda na niego z góry albo obarcza winą za uleganie słabościom. Wielu księży wyzwało w swoim podopiecznych poczucie, że są winni, niewiele warci, zbydlęceni, ale nie on. Przy nim ludzie myśleli, że on ma też swoje zmartwienia, że czymś się zmagają; nawet jeżeli to były nieznane zmartwienia, niezrozumiałe zmagania, niemniej istniały naprawdę. Nie wiedział ani nie potrafiłby pojąć, że to, co przyciąga do niego innych, po większej części płynie z jego osoby, ale z tej niemal boskiej, a zarazem bardzo ludzkiej powściągliwości.

Meggie zdawało się, że rozmawia z nią podobnie jak niegdyś Frank: traktując ją jak równą sobie. Był przy tym od Franka starszy, mądrzejszy, o wiele bardziej wykształcony, zatem lepiej nadawał się na powiernika. I jaki miał piękny głos, którym przepędził strach i udrękę. A ona była młoda, pełna ciekawości, chęci poznania wszystkiego, co było do poznania, i nie nękały jej pokrętne filozoficzne dociekania tych, którzy stale sobie zadają pytanie, nie kim są, ale dlaczego. Był jej przyjacielem, umiłowanym i uwielbianym, nowym słońcem na jej firmamencie.

– Dlaczego ksiądz nie powinien mi tego mówić? Dlaczego powinna to zrobić mama?

– To temat, który kobiety zachowują dla siebie. O menstruacji, miesiączce nigdy się nie mówi przy mężczyznach czy chłopcach, Meggie. To coś, o czym kobiety wspominają wyłącznie między sobą.

– Dlaczego?

Potrząsnął głową ze śmiechem.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia dlaczego. Nawet chciałbym, żeby tak nie było. Ale musisz mi uwierzyć na słowo, że tak właśnie jest. Nikomu nigdy o tym nie wspominaj poza swoją matką i nie mów jej, że rozmawiałaś o tym ze mną.

– Dobrze, nie powiem.

Jakie to okropnie trudne być matką – pomyślała. – Trzeba pamiętać o tylu praktycznych rzeczach!

– Meggie, idź do domu i powiedz matce o tej krwi i poproś ją, żeby ci pokazała, jak sobie z tym radzić.

– To mama też to robi?

– Każda zdrowa kobieta miesiączkuje. Ale przestaje, kiedy spodziewa się dziecka, do czasu, aż ono się urodzi. Stąd wie, że spodziewa się dziecka.

– Dlaczego przestaje, kiedy spodziewa się dziecka?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Przepraszam, Meggie.

– A dlaczego krew wypływa z mojej pupy?

Groźnym spojrzeniem obrzucił anioła, który popatrzył na niego z góry ze spokojem,

obojętny na kłopoty kobiet. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Zdziwiał, że zwykle powściągliwa, teraz uporczywie go wypytywała! Zdając jednak sobie sprawę z tego, że stał się dla niej źródłem wiedzy o wszystkim, czego nie mogła dowiedzieć się z ksiązek, wiedział aż nadto dobrze, że nie może okazać jej śladu zażenowania czy skrępowania. W przeciwnym razie zamknie się w sobie i już nigdy go o nic nie zapyta. Dlatego cierpliwie odpowiadał dalej.

– Krew nie wypływa z pupy, Meggie. Nieco w przodzie znajduje się ukryty kanał, który ma związek z rodzeniem dzieci.

– Ach! To tamtędy się wydostają – powiedziała. – Zawsze się zastanawiałam, jak się wydostają.

Uśmiechnął się i postawił ją z powrotem na ziemi.

– Teraz już wiesz. A czy wiesz, skąd się biorą dzieci, Meggie?

– O, tak – odparła z powagą, zadowolona, że coś jednak wie. – Rosną w brzuchu.

– A co sprawia, że zaczynają rosnać?

– Trzeba chcieć, żeby urosły.

– Kto ci to powiedział?

– Nikt. Sama do tego doszłam.

Ksiądz Ralph zamknął oczy i powiedział sobie, że w żadnym razie nie można go uznać za tchórza, nawet jeśli zrezygnuje z dalszych wyjaśnień. Współczuł Meggie, ale w tej chwili nie potrafił jej już więcej pomóc. Wszystko ma swoje granice.

## Rozdział siódmy

Mary Carson miała wkrótce skończyć siedemdziesiąt dwa lata i planowała z tej okazji wydać największe przyjęcie, jakie w ciągu ostatniego półwiecza widziała Drogheda. Urodziny wypadły na początku listopada, kiedy było gorąco, ale jeszcze znośnie – przynajmniej dla rodowitych mieszkańców Gilly.

– Pani patrzy, pani Smith! – szepnęła Minnie. – Niech no tylko pani patrzy! Trzeciego listopada urodzona!

– Co ty tam znowu pleciesz, Min? – spytała gospodyni.

Celtycka tajemniczość Minnie działała na jej zrównoważone angielskie nerwy.

– Jak to co? Od razu wiadomo, że to kobieta spod znaku skorpiona. Kobieta skorpion i tyle!

– Nie mam pojęcia, co ty wygadujesz, Min!

– Najgorszy znak, pod jakim może się urodzić kobieta, kochana pani Smith. Och, to pomiot diabła, nie inaczej! – powiedziała Cat, żegnając się z przejęciem.

– Słowo daję, Minnie i ty, Cat jesteście niemożliwe – oznajmiła niewzruszona pani Smith.

Gorączka przygotowań udzielała się wszystkim i rosła z dnia na dzień. Ze swojego fotela, stanowiącego ośrodek misternej sieci, stara pajęczycza wydawała nie kończący się ciąg poleceń: zrobić to, zrobić tamto, jedne rzeczy powyciągać, inne schować. Dwie irlandzkie pokojówki pośpiesznie czyściły srebro i myły porcelanę Havilanda, przemeblowywały kaplicę na salę balową i szykowały sąsiadujące z nią sale jadalne.

Stuart i wyrobnicy kosili trawniki, pielili rabatki, posypywali werandy wilgotnymi trocinami, żeby usunąć kurz spomiędzy hiszpańskich kafelków, a podłogę w sali balowej suchą kredą, żeby przysposobić ją do tańców. Z daleka, bo aż z Sydney, miała przyjechać orkiestra Clarence’a O’Toole’a. Stamtąd też miały nadejść ostrygi, krewetki, kraby i homary. Do pomocy wynajęto kilka kobiet z Gilly. Cały okręg od Rudna Hunish do Inishmurray, Bugeli i Narrengang ogarnęło podniecenie.

Kiedy w wykładanych marmurem korytarzach rozlegało się niecodzienne echo przesuwanym przedmiotów i okrzyków, Mary Carson przeniosła się z fotela na krzesło przy biurku, przysunęła sobie pergamin, umoczyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać. Bez najmniejszego wahania, nie przerywając choćby po to, żeby zastanowić się, gdzie postawić przecinek. Przez ostatnie pięć lat obracała w myślach każdy zawiły zwrot tak długo, aż osiągnęła całkowicie zadawalający rezultat. Nie trwało długo, zanim skończyła; zapisała dwie kartki, po czym druga w jednej czwartej pozostała pusta. Przez chwilę, postawiwszy kropkę po ostatnim zdaniu, siedziała nieruchomo na krześle. Biurko stało przy jednym z dużych okien, więc wystarczyło obrócić głowę, żeby popatrzeć na rozpościerające się a oknem trawniki. Dobiegający stamtąd śmiech skłonił ją do tego. W pierwszej chwili spojrzała od niechcienia, potem zeszytniała z wściekłości. Niech go piekło pochłonie razem z tą jego obsesją!

Ksiądz Ralph nauczył Meggie jeździć konno; wychowana na wsi nigdy nie dosiadła konia, póki ksiądz nie naprawił tego zaniedbania. Bo choć może się to wydać dziwne, dziewczęta w biednych rodzinach nieczęsto jeździły konno. Jazda konna należała do rozrywek bogatych panien ze wsi i z miasta. Owszem, dziewczęta z takich rodzin jak rodzina Meggie umiały powozić bryczką i zaprzęgiem ciężkich koni, nawet jeździć traktorem, czasem również samochodem, ale rzadko dosiadały konia. Wierzchowiec dla córki był zbyt dużym wydatkiem.

Któregoś dnia ksiądz Ralph przywiózł z Gilly buty do konnej jazdy i bryczesy i położył to wszystko na stole w kuchni Clearych. Paddy, lekko zdziwiony, oderwał wzrok od poobiedniej lektury.

- Cóż to takiego ksiądz przywiózł? – spytał.
- Strój dla Meggie do konnej jazdy.
- Co?! – ryknął Paddy.
- Co? – pisnęła Meggie.

– Strój dla Meggie do konnej jazdy. Słowo daję, Paddy, jesteś pierwszorzędnym idiotą! Spadkobierca największej, najbogatszej farmy w Nowej Południowej Walli do tej pory nie pozwolił swojej jedynej córce dosiąść konia! Jak twoim zdaniem Meggie ma zająć należne jej miejsce obok takich amazonek jak panna Carmichael, panna Hopeton i pani King? Musi nauczyć się jeździć konno, i to zarówno na męskim siodle, jak i na damskim, słyszysz? Wiem, że nie masz na to czasu, dlatego sam ją nauczę, czy ci się to podoba czy, nie. Jeżeli przypadkiem wypadną jej w tym czasie jakieś domowe obowiązki, trudno, kilka godzin tygodniowo Fee po prostu będzie się musiała obejść bez Meggie. Koniec, kropka.

Kłócić się z księdzem to coś, do czego Paddy nie był zdolny. Meggie bezzwłocznie rozpoczęła naukę. Marzyła o tym od lat, kiedyś nawet zdobyła się na śmiałość i spytała ojca, czy mogłaby się nauczyć jeździć konno, ale jemu to pytanie wleciało jednym uchem i wyleciało drugim, a ona już nigdy więcej nie spytała, uznając milczenie za odmowę. Nauka pod kierunkiem księdza Ralpha wprowadziła ją w radość, której jednak nie okazywała, gdyż jej uwielbienie dla niego ustąpiło miejsca żarliwemu i bardzo dziewczęcemu zauroczeniu. Wiedząc, że to się nie ziści, pozwalała sobie na luksus marzenia, wyobrażania sobie, jak to by było, gdyby wziął ją w ramiona i pocałował. Nic więcej nie potrafiła sobie wyobrazić, bo nie miała pojęcia, co następuje dalej ani nawet że w ogóle coś następuje. A jeżeli zadawała sobie sprawę, że nie wolno snuć takich marzeń o księdzu, to nie widziała sposobu, żeby samej sobie tego zabronić. Jedyne, co jej się udawało, to pilnować, żeby ksiądz Ralph nie miał najmniejszych podstaw do podejrzeń, jak samowolnie toczą się jej myśli.

Kiedy Mary Carson spoglądała przez okno w salonie, ksiądz Ralph i Meggie właśnie nadchodzili od strony stajni. Pastuchowie i parobcy jeździli na kościstych koniach roboczych, które przez całe swoje życie nie oglądały stajni od środka, człapały tylko po zagrodzie, kiedy były potrzebne do pracy, albo hasały po domowym polu wypuszczone na popas. W Droghedzie były też stajnie, z których korzystał jedynie ksiądz Ralph. Mary Carson trzymała ta dwa czystej krwi konie spacerowe do wyłącznego użytku księdza. Kiedy spytał ją, czy Meggie też mogłaby korzystać z jego wierzchowców, nie miała podstawy, żeby zaproponować. Dziewczyna była jej bratanicą, zatem słusznie uważał, że powinna umieć dobrze jeździć konno.

Nieustępliwa i zawzięta, Mary Carson żałowała, że nie może odmówić albo jeździć razem z nimi. Nie mogła jednak ani odmówić, ni wyciągnąć swojego starego ciała na koński grzbiet. Z goryczą patrzyła, jak idą oboje przez trawnik – mężczyzna w wysokich butach, spodniach do konnej jazdy i białej koszuli, zręczny jak tancerz, dziewczyna w bryczesach, szczupła i po chłopięcemu urodziwa. Promieniowali wzajemną sympatią. Po raz któryś Mary Carson zadawała sobie pytanie, dlaczego nikogo nie gorszy ta bliska, niemal intymna więź. Paddy uważał ją za coś cudownego, Fee – ta kłoda! – jak zwykle nic nie mówiła, podczas gdy chłopcy traktowali tych dwoje jak brata i siostrę. Czy wiedziała to, czego nikt inny nie dostrzegał, dlatego że kochała Ralpha de Bricassart? A może to wytwór jej wyobraźni i tak naprawdę nic prócz przyjaźni nie łączy mężczyzny po trzydziestce z dziewczyną, która nie osiągnęła jeszcze pełni kobiecości? Akurat! Żaden mężczyzna po trzydziestce, nawet Ralph de Bricassart, nie mógłby nie zauważyć rozkwitającej róży. Nawet Ralph de Bricassart? Ha! Zwłaszcza Ralph de Bricassart. Nic nie uchodziło uwagi tego człowieka.

Drżały jej ręce. Ciemnoniebieskie kropelki spadły z pióra i upstrzyły pergamin. Sękatymi palcami wyskubała drugą kartę z przegródki, zanurzyła pióro w kałamarzu i zapisała te same co przedtem słowa, z równym zdecydowaniem. Potem uniosła się z trudem i zbliżyła do

drzwi.

– Minnie! Minnie! – zawołała.

– Boże, miej nas w swojej opiece, to ona! – dał się słyszeć głos pokojówki z sali balowej naprzeciwko. Piegowata twarz wychynęła zza drzwi. – Czym mogłabym pani służyć, kochana pani Carson? – spytała, zastanawiając się, czemu starsza pani nie zadzwoniła na panią Smith, jak to miała w zwyczaju.

– Idź poszukać druciarza i Toma. Przyślij ich do mnie natychmiast.

– Czy nie powinnam najpierw zgłosić się do pani Smith?

– Nie! Rób, jak ci każe, dziewczyno!

Tom, stary i zasuszony ogrodnik, niegdyś wędrował szlakiem z tobołkiem i blaszanką, ale przed siedemnastu laty podjął sezonową pracę w posiadłości. Tak się zakochał w ogrodach Droghedy, że nie mógł się z nimi rozstać. Druciarz, wagabunda jak wszyscy w tym fachu, reperował na przyjęcie gości białe paliki koło dworu, sprowadzony z pól, gdzie wykonywał nie kończącą się pracę, która polegała na przeciąganiu drutu między słupami ogrodzenia. Zdumieni wezwaniem, zjawili się obaj w kilka minut potem i stanęli przed panią Carson, nerwowo mnąc w rękach kapelusze.

– Czy obaj umiecie pisać? – spytała.

Kiwnęli głowami, przełykając ślinę.

– Dobrze. Chcę, żebyście patrzyli, jak podpisuję ten dokument, a potem umieścili swoje nazwisko i adres tuż pod moim podpisem. Rozumiecie?

Kiwnęli głowami.

– Uważajcie, żeby podpisać się tak samo, jak to zawsze robicie, a stały adres wypiszcie wyraźnie, drukowanymi literami. Wszystko mi jedno, czy to będzie adres urzędu pocztowego czy jakiś inny, byleby można było za jego pośrednictwem do was dotrzeć.

Przyglądali się obaj, jak Mary Carson składa swój podpis; tylko wówczas jej ścieśnione pismo się rozluźniało. Podeszedł Tom, zaskrzypiał piórem po pergaminie, po czym druciarz dużymi okrągłymi literami napisał „Chas. Hawkins” i adres w Sydney. Mary Carson uważnie się przypatrywała. Kiedy skończyli dała każdemu banknot dziesięciofuntowy i kazała odejść, ostro upominając, żeby trzymali język za zębami.

Meggie i ksiądz dawno już zniknęli. Mary Carson usiadła ciężko przy biurku, przysunęła sobie jeszcze jedną kartkę papieru i znów zaczęła pisać. Tym razem nie szło jej tak gładko jak poprzednio. Co chwila przerywała, żeby się zastanowić, po czym podejmowała pisanie, odsłaniając zęby w nienaturalnym uśmiechu. Miała widać dużo do powiedzenia, bo słowa tłoczyły się ciasno jedno koło drugiego, linijka tuż za linijką, a mimo to niezbędną okazała się druga kartka. Na koniec przeczytała, co napisała, wzięła wszystkie kartki, złożyła je i wsunęła do koperty, którą następnie zapieczętowała czerwonym woskiem.

Tylko Paddy, Fee, Bob, Jack i Meggie wybierali się na przyjęcie. Hughie i Stuart zostali z maluchami, co przyjęli w głębi ducha z dużą ulgą. Pierwszy raz w życiu Mary Carson rozwiązała pończochę, żeby wypuścić z niej mole, i wszyscy sprawili sobie nowe ubrania, najlepsze, jakie można było dostać w Gilly.

Paddy, Bob i Jack nie potrafili swobodnie się poruszać, ubrani w wykrochmalone gorsy, wysokie kołnierzyki, białe muchy i kamizelki, czarne fraki i spodnie. Na tę uroczystość obowiązywały stroje wieczorowe, białą mucha i frak dla panów, długie suknie dla pań.

Suknia Fee, podkreślająca jej urodę, uszyta z niebieskoszarej krepy o soczystym odcieniu, z dużym dekoltem, obcisłymi długimi rękawami, obficie wyszywana perełkami, w stylu królowej Marii Szkockiej, opadała do ziemi miękkimi fałdami. Podobnie jak owa władca dama, Fee miała włosy ułożone w miękkie pukle, zaczesane do tyłu i upięte, a w sklepie w Gilly znalazł się dla niej naszyjnik i kolczyki ze sztucznych pereł, które z daleka mogły z powodzeniem uchodzić za prawdziwe. Wspaniały wachlarz ze strusich piór, ufarbowany na

ten sam kolor, dopełniał całości, wcale nie ostentacyjnej, jak by się na pierwszy rzut oka zdawało.

Kiedy Fee i Paddy wyłonili się ze swego pokoju, chłopcy wybałuszyli oczy. W całym swoim życiu nie widzieli, żeby rodzice prezentowali się tak po królewsku urodzynie, tak obco. Paddy wyglądał na swoje sześćdziesiąt jeden lat, ale tak dystygowanie, że mógłby uchodzić za męża stanu. Czterdziestoosmioletnia Fee, niespodziewanie wydawała się o dziesięć lat młodsza, piękna, pełna życia, cudownie uśmiechnięta. Jims i Patsy wybuchnęli rozzłością, nie chcąc patrzeć na mamę i tatę, póki nie odzyskają normalnego wyglądu. Wśród konsternacji i zamieszania zapomniano o dostojności; mama i tata zachowywali się tak samo jak zawsze i po chwili bliźniacy rozpromienili się pełnymi podziwu uśmiechami.

Ale najdłużej przyglądano się Meggie. Krawcowa w Gilly, może wspominając swoje dziewczęce lata, a przy tym zagniewana, że wszystkie inne zaproszone panny pozamawiały suknie w Sydney, włożyła dużo serca w suknię Meggie. Suknia była bez rękawów, z głęboko wyciętym, marszczonym dekoltem. Fee miała wątpliwości, ale Meggie błagała ją o zgodę, a krawcowa zapewniała, że wszystkie dziewczęta będą podobnie ubrane – czy chciałaby, żeby śmiano się z jej córki, że jest niemodną prowincjonalną gąską? Tak więc Fee dała się przekonać. Suknia, uszyta z jedwabnej żorżety, z lekka tylko zaznaczoną talią, w biodrach była opasana szarfą z tego samego materiału. Jej kolor jasnoszary, o różowawym odcieniu, nazywano popielatym różem. Razem z krawcową Meggie wyhaftowała całą suknię w drobniutki, różowe pączki róż. Przycięła też włosy na krótką fryzurkę która zdobyła sobie zwolenniczki nawet pośród dziewcząt w Gilly. Kręciły się wprawdzie za mocno jak na obowiązującą modę, ale w krótszych było jej bardziej do twarzy niż w długich.

Paddy otworzył usta, żeby ryknąć, gdy zobaczył Meggie, która już nie była jego małą dziewczynką, ale zamknął je z powrotem, nie wypowiedziawszy ani słowa. Nauczyła go czegoś tamta scena przed laty z Frankiem na plebanii. Nie, nie mogła przecież pozostać na zawsze jego małą córeczką. Była młodą kobietą, którą onieśmiałą przemiana, jaką zobaczyła w lustrze. Czemu miałyby biedactwu utrudniać życie?

Wyciągnął do niej rękę, czule się uśmiechając.

– Och, Meggie, jakaś ty śliczna! – powiedział. – Chodź, poprowadzę cię, a Bob i Jack będą towarzyszyć mamie.

Brakowało jej zaledwie miesiąca do pełnych siedemnastu lat i Paddy po raz pierwszy w życiu poczuł się naprawdę staro. Meggie była jego skarbem, żrenicą oka, nic nie powinno zepsuć jej pierwszego prawdziwego balu.

Szli powoli w stronę dworu, o wiele wcześniej niż spodziewani pierwsi goście. Mieli zjeść obiad z Mary Carson, a potem asystować jej przy powitaniach. Nikt nie chciał ubrudzić sobie butów, ale milowy spacer przez kurz Droghedy sprawił, że musieli przystanąć w budynku kuchennym, żeby oczyścić buty, otrzepać spodnie i powłóczyć suknie.

Ksiądz Ralph jak zwykle ubrany był w sutannę. Żaden wieczorowy męski strój nie wyglądałby na nim lepiej niż ta prosto skrojona, lekko rozszerzająca się szata z niezliczonymi guziczkami z czarnego materiału i z przynależną prałatowi stułą.

Mary Carson przywdziała strój z białej satyny, białej koronki i białych strusich piór. Fee wybałuszyła na nią oczy, tracąc swą zwykłą obojętność. Tak uderzająco nieodpowiednia, niedorzeczna suknia, jak do ślubu! Co jej przyszło do głowy, żeby wystroić się jak stara panna, uróżowana i udająca, że wychodzi za mąż? Ostatnio bardzo utyla, co pogłębiało fatalne wrażenie.

Paddy jakby nie spostrzegł niczego niestosowanego. Rozpromieniony, ruszył naprzód i ujął siostrę za rękę. Jaki miły człowiek – pomyślał ksiądz Ralph przyglądając się tej małej scenie po trosze z dystansem, po trosze z rozbawieniem.

– Mary! Pięknie wyglądasz! Jak młoda dziewczyna!

W rzeczywistości wyglądała niemal jak królowa Wiktoria na słynnym zdjęciu wykonanym niedługo przed śmiercią. Po obu stronach władczego nosa biegły wyraźne bruzdy, uparte usta zacięły się w nieugiętym wyrazie, lekko wypukłe, zimne oczy wpatrywały się bez jednego mrugnienia w Meggie. Spojrzenie pięknych oczu księdza Ralpa wędrowało z bratanicy na ciotkę i z powrotem.

Mary Carson uśmiechnęła się do brata i wsparła na jego ramieniu.

– Możesz poprowadzić mnie do stołu, Padraicu. Ksiądz De Bricassart zaopiekuje się Fioną, a chłopcom pozostanie Meghann. – Oglądając się za siebie spytała: – Tańczysz dziś, Meghann?

– Jest a młoda, Mary, nie skończyła jeszcze siedemnastu lat – odparł szybko Paddy, uprzymiśniając sobie jeszcze jedno rodzicielskie zaniechanie: żadne z jego dzieci nie umiało tańczyć.

– Jaka szkoda – powiedziała Mary Carson.

Bal był wspaniały, wystawny, zachwycający, niezapomniany – takimi określeniami goście posługiwali się najczęściej. Royal O'Mara przybył z Inshmurray oddalonego o dwieście mil, razem z żoną, synami i jedyną córką pokonał największą odległość, niewiele jednak wyprzedzając pod tym względem innych. Ludzie bez namysłu jechali dwieście mil na mecz krykieta, a co dopiero na bal. Był tam Duncan Gordon z Each-Uisge; nikomu jeszcze nie udało się nakłonić go do wyjaśnienia, dlaczego swojej tak oddalonej od oceanu farmie nadał nazwę, która po szkocku znaczy koń morski. Martin King z żoną, synem Anthonym i synową; uznawany za najstarszego osadnika w Gilly, gdyż Mary Carson, jako kobieta, nie mogła tak zostać nazwana. Evan Pugh z Braich y Pwll, co mieszkańcy okręgu wymawiali „brejkipul”. Dominic O'Rourke z Dibban-Dibban, Horry Hopeton z Beel-Beel i dziesiątki innych.

Niemal wszystkie bez wyjątku rodziny były katolickie, nieliczni nosili anglosaksońskie nazwiska. Wypadało mniej więcej po równo Irlandczyków, Szkotów i Walijszyków. Nie, nie mieli nadziei na samorząd w starym kraju ani też, będąc katolikami w Szkocji lub Walii, nie mogli liczyć na przychylność ze strony autochtonów protestanckich. Ale tutaj, na obszarze tysięcy mil kwadratowych wokół Gillanbone, byli panami rozległych włości i mogli grać na nosie brytyjskim panom. Drogheda, największa posiadłość, miała powierzchnię większą niż kilka europejskich księstw. Biada wam, księżęta Monako i Liechtensteinu! Mary Carson była potężniejsza. Wirowali więc w walcu przy akompaniamencie wymuskaney orkiestry z Sydney, pobłażliwie patrzyli, jak ich dzieci tańczą charlestona, jedli paszteciki z homara i ziębione surowe ostrygi, pili piętnastoletni francuski szampan i dwunastoletnią szkocką whisky z czystego słoju. Prawdę mówiąc, woleliby pieczony udziec barani i peklowaną wołowinę, a do picia zwykli, mocny rum – bundaberg albo porter grafton prosto z beczki. Mimo to przyjemnie było wiedzieć, że mogą mieć na zawołanie to, co najlepsze.

Owszem, przychodziły nieraz chude lata, wiele chudych lat. W dobrych latach pieczołowicie gromadzili kwity za wełnę, przygotowując się do nadejścia złych, gdyż nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy spadnie deszcz. Ale ostatnio trwała dobra passa, w Gilly nie było specjalnie na co wydawać pieniędzy. Dla kogoś, kto urodził się na czarnych równinach Wielkiego Północnego Zachodu, nie było drugiego takiego miejsca na ziemi. Ci ludzie nie odbywali nostalgicznych pielgrzymek do starego kraju; nie dał on im nic, tylko szykany za przekonania religijne, podczas gdy w katolickiej większości Australii nic takiego im nie groziło. Wielki Północny Zachód był prawdziwym domem.

Dziś rachunki płać Mary Carson. Mogła sobie na to swobodnie pozwolić. Plotka głosiła, że byłaby w stanie kupić i sprzedać angielskiego króla. Miała pieniądze ulokowane w stali, w srebrze, ołowiu i cynku, miała pieniądze zainwestowane w miedź i złoto, w sto różnych przedsięwzięć, głównie takich, które dosłownie lub w przenośni produkowały pieniądze. Drogheda od dawna utraciła swoje znaczenie jako główne źródło dochodów, była niczym więcej jak przynoszącym zyski hobby.

Ksiądz Ralph nie odezwał się do Meggie ani przy kolacji, ani potem. Przez cały wieczór starannie jej unikał. Zraniona tym wyszukiwała go wzrokiem wśród gości, gdziekolwiek się obrócił. Zdawał sobie sprawę z tego i dręczyła go chęć, żeby przystanąć koło niej i wyjaśnić, że zaszkodziłoby to jej albo jego opinii, gdyby poświęcał jej więcej uwagi niż na przykład pannie Carmichael, pannie Gordon czy pannie O'Mara. Podobnie jak Meggie, nie tańczył, tak jak i ona ściągał na siebie wiele spojrzeń; bez trudu dawało się zauważyć, że to dwoje najprzystojniejszych ludzi na sali.

Z jednej strony, nie mógł znieść jej dzisiejszego wyglądu, krótkich włosów, ślicznej sukienki, różowopopielatych jedwabnych pantofelków na obcasie. Wyrosła, nabierała kobiecych kształtów. A z drugiej strony, rozpieła go straszliwa дума, że Meggie przyćmiewa urodą wszystkie pozostałe młode damy. Panna Carmichael miała wprawdzie arystokratyczne rysy, ale brakowało jej tego szczególnego przepychu rudozłotych włosów. Panna King Mackail miała nadzwyczajną figurę, ale z twarzy przypominała konia jedzącego jabłko przez ogrodzenie z siatki. Dominującym jednak uczuciem było rozczarowanie, boleśnie doskwierające pragnienie, żeby cofnąć czas. Nie chciał, żeby Meggie wydorosła, chciał, żeby pozostała małą dziewczynką, jego najdroższym skarbem. Na twarzy Paddy'ego dostrzegł minę wyrażającą takie same myśli i uśmiechnął się blade. Jakaż to byłaby rozkosz, gdyby choć raz w życiu mógł okazać swoje uczucia! Ale głęboko zakorzenione przyzwyczajenie, wychowanie i rozważa nie pozwalały mu na to.

Wraz z upływem czasu tańczono z coraz większą swobodą, zamiast szampana i whisky łąły się rum i piwo i bal upodobił się trochę do zabawy w szopie na wełnę. O drugiej nad ranem rozbawione towarzystwo tylko nieobecnością parobków i dziewczek kuchennych różniło się od zwykłych tego typu zgromadzeń w okręgu Gilly, odbywających się na zasadzie absolutnej równości.

Bob i Jack wyszli razem z Meggie równo o północy. Ani Fee, ani Paddy tego nie zauważyli, bawiąc się znakomicie. Wprawdzie ich dzieci nie umiały tańczyć, ale im ta umiejętność nie była obca. Tańczyli ze sobą jak dobrana para, co nieoczekiwanie spostrzegł przyglądający im się ksiądz Ralph, może dlatego że rzadko mieli okazję do wspólnej, beztroskiej zabawy. Nie pamiętał, żeby widział ich kiedykolwiek bez kręcącego się w pobliżu przynajmniej jednego dziecka, i pomyślał, jakie to musi być trudne dla rodziców dużych rodzin, że nie mają wyłącznie dla siebie ani chwili poza sypialnią, gdzie ze zrozumiałych względów może zaprzętać im myśli co innego niż rozmowa. Paddy zawsze okazywał pogodę ducha i wesołość, ale Fee tego wieczoru wręcz promieniała i kiedy Paddy z obowiązku poszedł poprosić do tańca żonę jednego z osadników, nie zabrakło jej chętnych partnerów; niejedna o wiele młodsza od niej siała pietruszkę na krzesła pod ścianą.

Jednakże obserwacje małżeństwa Clearych trwały bardzo krótko. Kiedy Meggie opuściła salę, ksiądz Ralph poczuł się, jakby mu ubyło dziesięć lat, ożywił się znacznie i wprawił w najwyższe zdumienie panny Hapeton, Mackail, Gordon i O'Mara tańcząc – na dokładkę znakomicie – modny taniec amerykański black bottom z panną Carmichael. Potem prosił po kolei wszystkie wolne panny, nawet brzydką pannę Pugh. W panującej atmosferze zupełnej swobody i wzajemnej życzliwości nikt nie miał tego księdzu ani trochę za złe. Przeciwnie, wszyscy podziwiali jego zapał i grzeczność i dawali temu wyraz. Nikt z rodziców nie mógł powiedzieć, że ich córka nie miała okazji zatańczyć z księdzem de Bricassart. Naturalnie w innych okolicznościach nie mógłby zrobić kroku w stronę parkietu, ale dziś bawił się na całego, aż miło było popatrzeć.

O trzeciej nad ranem Mary Carson wstała i ziewnęła.

– Nie, nie przerywajcie sobie zabawy. Uważam, że mam prawo się położyć, jeżeli poczuje się zmęczona, a właśnie się poczułam i zamierzam udać się do swego pokoju. Jedzenia i picia nie zabraknie, orkiestra będzie grała tak długo, jak znajdą się chętni do tańca. Zresztą trochę hałasu tylko mi pomoże zapaść w sen. Zechce ksiądz, z łaski swojej towarzyszyć mi na górę.



Kiedy wyszli z sali balowej, Mary Carson zamiast skrócić w stronę imponujących schodów skierowała księdza do salonu, opierając się ciężko na jego ramieniu. Drzwi były zamknięte. Odczekała, aż przekreśli klucz, który mu podała, a potem pierwsza weszła do środka.

– Udane przyjęcie, Mary – powiedział.

– Ostatnie.

– Nie mów tak, moja droga.

– A to dlaczego? Jestem zmęczona życiem i niedługo je zakończę. – Surowe oczy spoglądały kpiąco. – Nie wierzysz mi? Przez ponad siedemdziesiąt lat robiła dokładnie to, co chciałam, i wtedy, kiedy chciałam, jeżeli więc śmierć myśli, że to ona naznaczy porę mojego odejścia, to bardzo się myli. Umrę wtedy, kiedy ja o tym zadecyduję, ale bynajmniej nie przez samobójstwo. To nasza wola podsyca w nas iskrę żywotności, Ralphie. Nietrudno przestać żyć, jeżeli naprawdę się tego chce. Jestem zmęczona i chcę, żeby moje życie dobiegło kresu. To bardzo proste.

W ciemnym salonie paliła się jedynie wysoka lampa naftowa z drogiego rubinowego szkła, rzucając szkarłatne cienie na kościstą twarz Mary Carson i wydobywając z jej nieustępliwych rysów coś diabelskiego. Bolały go nogi i krzyż, dawno tak dużo nie tańczył, choć szczylił się tym, że dotrzymuje kroku najświeższym nowinkom. Wiek: trzydzieści pięć lat – myślał – prowincjonalny prałat, a kariera w Kościele? Skończyła się, zanim naprawdę się zaczęła. Och, marzenia młodości! Nieostrożny młodzieńczy język, gorący młodzieńczy temperament. Nie starczyło mu sił, żeby pomyślnie przejść sprawdzian. Wiedział, że nigdy więcej nie popełni tego samego błędu. Nigdy, nigdy...

Poruszył się niespokojnie, westchnął. I co mu z tego przyjdzie? Taka okazja już się więcej nie powtórzy. Pora spojrzeć prawdzie w oczy, pora przestać żywić nadzieje i snuć marzenia.

– Pamiętasz, Ralphie, jak mówiłam, że cię pokonam twoją bronią?

Suchy, starczy głos wyrwał go z zadumy, którą wywołało zmęczenie. Popatrzył na Mary Carson z uśmiechem.

– Droga Mary, nie zapominam tego, co do mnie mówisz. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił przez te ostatnie siedem lat. Twoja inteligencja, złośliwość, spostrzegawczość...

– Gdybym była młodsza, dobrałabym się do ciebie inaczej Ralphie. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo chciałam zrzucić z siebie trzydzieści lat życia. Gdyby stanął przede mną Szatan i chciał kupić moją duszę w zamian za odzyskanie młodości, nie zastanawiałabym się ani sekundy i nie żałowałabym głupio takiej umowy jak ten stary idiota Faust. Ale Szatana nie ma. Wiesz, nie potrafię samej siebie przekonać, że Bóg i Szatan istnieją. Nigdy nie widziałam najdrobniejszego dowodu na to. A ty?

– Też nie. Ale religia nie opiera się na dowodach istnienia, Mary. Opiera się wyłącznie na wierze, wiara to probierz Kościoła. Bez wiary nie ma nic.

– Bardzo efemeryczna zasada.

– Być może. Wydaje mi się, że wiara to coś, z czym człowiek się rodzi. Dla mnie to ciągła walka, przyznaję, ale nigdy z niej nie zrezygnuję.

– Chciałabym cię zniszczyć.

W niebieskich oczach, poszarzałych w słabym świetle, zamigotał uśmiech.

– Och, moja droga Mary! Dobrze o tym wiem.

– Ale czy wiesz dlaczego?

Przeraził go przypływ tkliwości, która już-już miała nim zawładnąć, ale zdusił ją gwałtownie.

– Wiem dlaczego, Mary, i wierz mi, że ci współczuję.

– Nie licząc twojej matki, ile kobiet cię kochało?

– Zastanawiam się, czy kochała mnie moja matka. Bo w końcu mnie znienawidziła. Tak postępuje większość kobiet. Powinienem był dostać na imię Hipolit.

– Ooooo! To wiele wyjaśnia!

– A co do innych kobiet, to chyba tylko Meggie... Ale to jeszcze dziecko. Przypuszczam, że nie byłoby przesadą stwierdzenie, że pragnęły mnie setki kobiet, ale żeby mnie kochały, bardzo w to wątpię.

– Ja ciebie kochałam – wyznała żałośnie.

– Nie, nie kochałaś. Jestem cierniem twojej starości, to wszystko. Kiedy na mnie patrzysz, przypominam ci o tym, czego nie możesz zrobić z powodu swojego wieku.

– Mylisz się. Kochałam cię. Mój Boże, jak ja cię kochałam! Uważasz, że mój wiek wyklucza taką możliwość? Pozwól, że coś ci powiem, Ralphie de Bricassart. W środku tego głupiego ciała wciąż jestem młoda, wciąż czuję, pragnę, marzę, wciąż się niecierpliwie i gorączkuję z powodu ograniczeń, jakie narzuca mi to moje ciało. Starość to najokrutniejsza zemsta, którą ten mściwy Bóg na nas zsyła. Czemu nie sprawi, żeby starzał się w nas także duch? – Opadła na oparcie fotela i zamknęła oczy, odsłaniając zęby w cierpkim grymasie ust. – Oczywiście, pójdę do piekła. Ale zanim to się stanie, mam nadzieję, że będę miała okazję powiedzieć Bogu, jaka z niego nędzna, złośliwa kreatura!

– Zbyt długo byłaś wdową. Bóg dał ci wolność wyboru, Maty. Mogłaś powtórnie wyjść za mąż. Jeżeli nie zdecydowałaś się na ten krok i pozwoliłaś, by nieznośnie doskwierała ci samotność, to sama jesteś sobie winna, nie Bóg.

Przez chwilę nie odpowiadała, zaciskając palce na poręczach fotela. Potem rozluźniła uchwyt i otworzyła oczy. Lśniły czerwono w świetle lampy, ale nie od łez; to był twardszy błysk. Wstrzymała oddech, ogarnięty lękiem. Wyglądała jak pajak.

– Ralphie, na moim biurku leży koperta. Bądź łaskaw podać i ją.

Wstał, podszedł do biurka, wziął do ręki list i przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Z wierzchu nie miał żadnej inskrypcji, z tyłu był porządnie zalakowany, z odcisniętą w czerwonym wosku pieczęcią przedstawiającą łeb barana i dużą literę D. Podszedł do Mary Carson i podał jej list, ale ona nie biorąc koperty do ręki wskazała mu krzesło.

– To dla ciebie – wyjaśniła i zachichotała. – Narzędzie twojego losu, Ralphie, ni mniej ni więcej. Moje ostatnie, najskuteczniejsze pchnięcie w naszej długiej walce. Jaka szkoda, że nie będę mogła zobaczyć, co się stanie, bo znam ciebie, znam ciebie o wiele lepiej niż ci się zdaje. Nieznośna próżność! W tej kopercie spoczywa twój los i twoja dusza. Meggie im ciebie odebrała, ale ja się postarałam, żeby i ona ciebie straciła.

– Dlaczego tak nienawidzisz Meggie?

– Już raz ci powiedziałam. Ponieważ ją kochasz.

– Ależ nie w taki sposób! Jest dzieckiem, którego nie mogę mieć, jest różą mojego życia. Meggie to abstrakcja, Mary, to abstrakcja.

Starucha uśmiechnęła się szyderczo.

– Nie chcę rozmawiać o twojej najdroższej Meggie! Już nigdy więcej cię nie zobaczę, więc nie chcę tracić tych kilku ostatnich chwil na rozmowę o niej. Chcę, żebyś przysięgł na swoje śluby kapłańskie, że nie otworzysz listu, dopóki nie zobaczysz na własne oczy, że umarłam, a wtedy otwórz go natychmiast, zanim mnie pochowasz. Przysięgnij!

– Nie ma potrzeby, żebym przysięgał, Mary. Zrobię to, o co mnie prosisz.

– Przysięgnij, bo zabiorę list!

Wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie. Przysięgam na swoje śluby kapłańskie, że nie otworzę listu, dopóki nie zobaczę, że umarłaś, a wtedy otworzę go, zanim zostaniesz pochowana.

– Dobrze, dobrze!

– Mary, nie martw się, proszę. To jakaś twoja fantazja, ot i tyle. Rano będziesz się z tego śmiać.

– Nie doczekam rana. Umrę dziś w nocy. Nie jestem taka słaba, żeby czekać na przyjemność ponownego widzenia się z tobą. Jakie marne zakończenie! Teraz idę się położyć. Pomożesz im wejść na górę?

Nie wierzył w to, co mówi, ale widział, że nie ma sensu się z nią spierać, bo nie była w nastroju, w którym żartami można by jej cokolwiek wyperswadować. Jedynie Bóg decyduje o tym, kiedy człowiek ma umrzeć, chyba że, korzystając z danej przez Niego wolnej chwili, sam odbierze sobie życie. A powiedziała przecież, że tego nie zrobi. Pomógł jej wejść po schodach, a kiedy zasapana zatrzymała się na górze, ujął obie jej dłonie, żeby je ucałować. Cofnęła ręce.

– Nie, nie dzisiaj. Pocałuj mnie w usta, Ralphie! Pocałuj mnie w usta, jakbyśmy byli kochankami!

W jasnym świetle żyrandola, na którym z okazji przyjęcia płonęło czterysta woskowych świec, dostrzegła na jego twarzy obrzydzenie, instynktowne wzdrygnięcie się. Chciała umrzeć w tej chwili, tak bardzo chciała umrzeć.

– Mary, jestem księdzem! Nie mogę!

Wybuchnęła piskliwym, niesamowitym śmiechem.

– Och, Ralphie, ależ z ciebie łgarz! Załgany mężczyzna, załgany ksiądz! I pomyśleć, że kiedyś zaproponowałeś mi lekkomyślnie, że będziesz się ze mną kochał! Taki byłeś pewien, że odmówię? Jakże żałuję, że to zrobiłam! Oddałabym duszę za to, żeby popatrzeć, jak się wykręcasz, gdyby wróciła tamta noc. Łgarz, blagier, oszust! Oto kim jesteś, Ralphie! Impotentem, bezużytecznym łgarzem! Bezużytecznym mężczyzną, bezużytecznym księdzem! Nie sądzę, żeby ci się podniósł i stał nawet dla samej Najświętszej Panny! Udała ci się kiedyś taka sztuka, Ralphie de Bricassart? Łgarz!

Daleko jeszcze było do świtu, niebo nawet nie pojaśniało. Miękkie, gęste i upalne ciemności okrywały Droghedę. Rozbawieni goście hałasowali na potęgę; gdyby mieszkali w pobliżu jacyś sąsiedzi, już dawno by wezwali policję. Na werandzie ktoś obficie i obrzydliwie wymiotował, a pod strzępiastym mirtem zwały się w uścisku jakieś dwie postacie. Ksiądz Ralph ominął wymiotującego i zakochaną parę i szedł bezszelestnie po sprężystym trawniku z taką udręką w sercu, że nie wiedział ani nie dbał o to, dokąd zmierza. Chciał jedynie znaleźć się jak najdalej od niej, od tej straszliwej pajęczycy, przekonanej, że snuje swój śmiertelny kokon w tę czarowną noc. O tak wczesnej godzinie skwar nie męczył; powietrze drgało ledwie wyczuwalnie, boronia i róże wydzielaly omdlewające wonie, panował niebiański spokój, nie znany nigdzie poza strefą podzwrotnikową i zwrotnikową. O Boże, czuć, że się żyje, czuć, że się naprawdę żyje! Wziąć w objęcia tę noc i wszystko, co żyje, być wolnym!

Zatrzymał się na końcu trawnika i spojrzał w niebo, jakby instynktownie szukał Boga między mrugającymi punkcikami czystego, nieziemskiego świata. Co znaczy niebo nocą? – zapytał sam siebie. – Czy spod uniesionej niebieskiej pokrywy dnia widać wieczność? Nic oprócz widoku rozszianych na niebie gwiazd nie może przekonać człowieka o istnieniu Boga i nieskończoności.

Oczywiście Mary ma rację. Jestem łgarzem, oszustem. Ani księdzem, ani mężczyzną. Jedynie kimś, kto pragnąłby wiedzieć, jak być jednym i drugim. Nie! Nie jednym i drugim! Ksiądz i mężczyzna nie mogą współistnieć – być mężczyzną znaczy nie być księdzem. Czemuż uwiązałem w jej sieci? Jej trucizna ma wielką moc, może większą, niż mi się wydaje. Co jest w tym liście? Mary, jak zwykle, gra ze mną! Ile ona wie, czego się domyśla? Co tu można wiedzieć, czego się domyślać? Jest tylko pustka i samotność. Wątpliwości i ból. Nieodłączny ból. A jednak mylisz się, Mary. Stanie i, jeśli zechcę. Tylko że ja nie chcę, całymi latami udowaadniałem sobie, że mogę nad tym zapanować, ujarzmić, podporządkować sobie. Bo jeśli staje, to mężczyźnie, a ja jestem księdzem.

Ktoś płakał na cmentarzu. Meggie, bo któż inny. Nikomu prócz niej do głowy by to nie przyszło. Uniósł sutannę i zrobił krok przez żelazne ogrodzenie, czując, że spotkanie z Meggie tej nocy jest nieuchronne. Jeżeli stawiał czoło jednej kobiecie swojego życia, musi też zająć się drugą. Powracał żartobliwy dystans, nie mogła go na dłużej tego pozbawić, stara jędza. Złośliwa stara jędza! Niech Bóg ją skarże!

– Kochana Meggie, nie płacz! – powiedział siadając koło niej na wilgotnej od rosy trawie.  
– Założę się, że nie masz nawet porządnej chusteczki. Tak to jest z kobietami. Proszę, we  
moją i osusz łzy jak grzeczna dziewczynka.

Posłusznie wzięła chusteczkę.

– Nie przebrałaś się nawet. Siedzisz tu w swojej ślicznej sukni od północy?

– Tak.

– Czy Bob i Jack wiedzą, gdzie jesteś?

– Powiedziałam im, że idę spać.

– Co się stało, Meggie?

– Nie rozmawiałaś dziś wcale ze mną!

– A! Tak właśnie myślałem. Meggie, spójrz na mnie!

Daleko na wschodzie niebo połyskiwało perłowo, pierzchał głęboki mrok i koguty  
wydzierały się witając pierwszy brzask. Widział więc, że nawet długi płacz nie zatarł blasku  
jej pięknych oczu.

– Meggie, byłaś dziś zdecydowanie najładniejszą panną na balu, a wszyscy wiedzą, że  
przyjeżdżam do Droghedy częściej, niż potrzeba. Jestem kapłanem, a zatem powinienem być  
poza wszelkimi podejrzewaniem, trochę jak żona Cezara, ale niestety ludzie snują różne  
domysły. Jak na księdza, jestem jeszcze młody i niebrzydki. – Urwał wyobrażając sobie, jak  
zareagowałyby na to oględne sformułowanie Mary Carson, i zaśmiał się bezdźwięcznie. –  
Gdybym poświęcił ci choć krztynę uwagi, rozniosłoby się to po Gilly lotem błyskawicy.  
Rozdzwoniłyby się wszystkie telefony w okolicy. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Potrząsnęła głową, krótkie loki jaśniały coraz mocniej w świetle zbliżającego się poranka.

– Jesteś jeszcze młoda i nie masz doświadczenia, ale musisz zdobywać wiedzę o życiu, a  
tak się zawsze składa, że to ja jestem twoim nauczycielem, prawda? Chciałem powiedzieć, że  
ludzie mówiliby, że interesuję się tobą jako mężczyzna.

– Ależ to okropne!

– Prawda? – Uśmiechnął się. – Ale tak właśnie ludzie by mówili, zapewniam cię. Widzisz,  
Meggie, nie jesteś już dzieckiem, jesteś młodą panną. Nie nauczyłaś się jeszcze ukrywać  
uczuć, jakimi mnie darzysz, dlatego gdybym zaczął z tobą rozmawiać na oczach wszystkich  
ludzi, patrzyłabyś na mnie w sposób, który zostałby opacznie zrozumiany.

Spoglądała na niego dziwnym wzrokiem, raptem tak zmroczniałym, jakby ktoś zatrzasnął  
okiennice, a potem odwróciła szybko głowę.

– Tak, rozumiem. Byłam niemądra, że tego nie pojęłam.

– Nie uważasz, że pora iść do domu? Na pewno wszyscy będą dłużej spać, a jeżeli ktoś się  
obudzi o zwykłej porze, będzie z tobą krucho. I nie możesz nikomu powiedzieć, że byłaś ze  
mną, Meggie, nawet komuś z rodziny.

Wstała i popatrzyła na niego z góry.

– Idę. Chciałabym, żeby lepiej księdza znali, nie myśleliby wtedy takich rzeczy. Bo ksiądz  
nie ma w sobie tego, prawda?

To go zabolalo, zraniło tak dotkliwie, jak nie zraniło okrutne uraganie Mary Carson.

– Tak, Meggie, masz rację. Nie mam tego w sobie. – Poderwał się z ziemi gorzkim  
uśmiechem. – Zdziwiłabyś się, gdybym powiedział, że chciałbym to mieć w sobie? –  
Przyłożył dłoń do czoła. – Nie, wcale tego nie pragnę! Idź do domu, Meggie, idź do domu.

– Dobranoc – powiedziała ze smutkiem.

Ujął ją za rękę, nachylił się i pocałował.

– Dobranoc, najdroższa Meggie.

Odprowadził ją wzrokiem, kiedy szła między grobami i przestępowała ogrodzenie;  
oddalająca się postać w sukni w różyczki wyglądała wdzięcznie, kobieco i trochę nierealnie.  
Popielaty róż.

– Nad wyraz stosowne określenie – rzekł do anioła.

Kiedy szedł nieśpiesznie przez trawnik, z rykiem silników wyjeżdżały z Droghedy samochody, wreszcie bal dobiegł końca. Muzycy pakowali instrumenty, zataczając się po wypitym rumie i z wyczerpania, a zmęczone pokojówki wraz z pomocnicami usiłowały zaprowadzić jaki taki porządek. Ksiądz Ralph pokręcił głową, zwracając się do pani Smith:

– Niech pani każe wszystkim iść spać, moja droga. O wiele łatwiej się z tym uporacie, jak będziecie wypoczęci. Dopilnuję, żeby pani Carson się nie gniewała.

– Czy chciałby ksiądz coś zjeść?

– Dobry Boże, w żadnym razie! Idę spać!

Późnym popołudniem czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Sięgnął po omacku, nie mając siły otworzyć oczu, i chciał przytulić ją do policzka.

– Meggie – wymamrotał.

– Proszę księdza, proszę księdza! Błagam, niech się ksiądz obudzi.

Na dźwięk głosu pani Smith ocknęła się i otworzyła szeroko oczy.

– Co się stało, pani Smith?

– Pani Carson nie żyje.

Sprawdził godzinę na zegarku: po szóstej. Kręciło mu się w głowie i czuł się oszołomiony po ciężkim śnie w strasznej spiekocie dnia. Zdjął piżamę, ubrał się w sutannę, zarzucił srebrny krucyfik i hebanowy różaniec. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że pani Smith może się mylić, wiedział, że jędrza nie żyje.

Czyżby coś zażyła? Jeżeli tak, to daj Boże, żeby nie było po tym śladów w pokoju ani nic nie rzuciło się w oczy lekarzowi. Jaki pożytek może płynąć z udzielenia ostatniego namaszczenia, tego nie wiedział. Należało jednak dopełnić obrzędu. Niechby odmówił, od razu autopsja i mnóstwo komplikacji. Myślał tak nie dlatego, że raptem zaczął podejrzewać samobójstwo, ale po prostu wydało mu się, że nakładanie świętych olejów na ciało Mary Carson jest nieprzystojne.

Leżała martwa, i to od dawna; musiała umrzeć wkrótce potem, jak się położyła, a więc dobre piętnaście godzin temu. Przy szczelnie zamkniętych oknach było parno z powodu naczyń z wodą, które kazała rozstawiać po kątach w trosce o cerę. W powietrzu rozległ się osobliwy dźwięk. Po chwili otepiałego zdziwienia uprzytomnił sobie, że to muchy, hordy brzęczących much, które podnosiły wścieklą wrzawę ucztując, patrząc się i składając jajka na trupie.

– Na litość boską, pani Smith, niechże pani otworzy okna! – wykrztusił podchodząc do łóżka z pobladłą twarzą.

Ustąpiło zeszytywnienie pośmiertne i widok wiotkiego ciała był odrażający. Nieruchome oczy matowiły, wąskie usta zrobiły się czarne; wszędzie, dosłownie wszędzie siedziały muchy. Pani Smith musiała je stale odganiać, kiedy udzielał ostatniego namaszczenia, mamrocząc odwieczne łacińskie formułki. Przeklęta Mary Carson, co za farsa! I ten smród! O Boże! Śmierdzi gorzej niż koński trup w trawie na polu. Wzdragał się przed dotknięciem jej po śmierci tak samo jak za życia, zwłaszcza splugawionych przez muchy ust. Wiedział, że za kilka godzin powylęga się robactwo.

Wreszcie skończył. Wyprostował się.

– Niech pani natychmiast zawiadomi pana Cleary, pani Smith, i proszę mu powiedzieć, na miłość boską, żeby zagonił chłopców do zbijania trumny. Nie ma czasu sprowadzać trumny z Gilly. Ona się rozkłada na naszych oczach. Boże święty! Robi mi się niedobrze. Idę wziąć kąpiel, ubranie zostawię przed drzwiami. Proszę je spalić. Nigdy bym się nie pozbył tej woni.

Kiedy przebrany w koszulę i spodnie do konnej jazdy – bo nie zabrał ze sobą drugiej sutanny – znalazł się znów w swoim pokoju, przypomniał sobie o liście i złożonej obietnicy. Wybiła siódma. Odgłosy chaotycznej krzątaniny wskazywały, że pokojówki wraz z najętymi pomocnicami rzuciły się do porządków, na powrót urządzają w dużej sali kaplicę i przygotowują dom na jutrzejszy pogrzeb. Nie było rady, musiał jeszcze dziś pojechać do

Gilly po nową sutannę i szaty liturgiczne do mszy żałobnej. Nie wyjeżdżał do położonej daleko farmy, bez odpowiednich na daną porę roku szat oraz czarnej walizeczki, w której wiozł, starannie umocowane w przegródkach, wszystkie akcesoria potrzebne do chrztu, ostatniego namaszczenia, mszy i błogosławieństwa. Jednak jako Irlandczyk uważał, że kusiłby los podróżując z żałobnym ekwipunkiem. W oddali rozbrzmiewał echem głos Paddy'ego, ale nie czuł się na siłach, żeby stanąć z nim teraz twarzą w twarz, a wiedział, że pani Smith wszystkiego dopilnuje.

Siedząc przy oknie i ogarniając spojrzeniem Droghedę w świetle zachodzącego słońca, pozłoczone eukaliptusy, czerwone, różowe i białe róże w ogrodzie, wyjął z walizki list Mary Carson i nie otwierając przytrzymał między złożonymi dłońmi. Nalegała, żeby go przeczytał, zanim ją pochowa, ale coś mu podszeptywało, że musi go przeczytać koniecznie teraz, zanim zobaczy się z Paddym i Meggi.

Koperta zawierała cztery arkusze papieru. Rozłożył je i od razu spostrzegł, że ostatnie dwa to testament. Na pierwszych dwóch Mary Carson zwracała się wprost do niego, jak w liście.

*Najdroższy Ralphie!*

*Spostrzegłeś już zapewne, że oprócz listu koperta zawiera drugi dokument, mój testament. Sporządzony przeze mnie wcześniej testament, podpisany i opieczętowany jak należy, spoczywa u Harry'ego Gougha w Gilly; testament dołączony do tego listu jest znacznie późniejszy i siłą rzeczy unieważnia tamten.*

*Prawdę mówiąc, sporządziłam go dopiero przed kilkoma dniami i podpisałam biorąc za świadków Toma i druciarza, gdyż jak wiem, prawo nie zezwala powoływać na świadka któregokolwiek ze spadkobierców. Jest najzupełniej prawomocny, mimo że nie sporządził go Harry. Zapewniam cię, że żaden sąd w kraju nie podważy jego ważności.*

*Dlaczego poleciłam Harry'emu, żeby spisał testament, skoro zamierzałam inaczej rozporządzić moim majątkiem? To bardzo proste, drogi Ralphie. Chciałam, żeby absolutnie nikt poza tobą i mną nie wiedział o istnieniu tego dokumentu. To jedyny egzemplarz i ty go trzymasz w ręku. Nikt na świecie o tym nie wie. Na tym polega mój plan.*

*Pamiętasz ten fragment Ewangelii, w którym Szatan porywa Chrystusa na szczyt góry, pokazuje Mu cały świat i kusi Go? Jak to przyjemnie wiedzieć, że ma trochę szatańskiej mocy i mogę kusić całym światem kogoś, kogo kocham. (Czy wątpisz w to, że Szatan kochał Chrystusa? Bo ja nie.) Rozważanie dylematu, przed jakim staniesz, wydatnie ożywiało moje myśli w ciągu ostatnich kilku lat, a im bliższa jestem śmierci, tym rozkoszniejsze roztaczają się przede mną wizje.*

*Po odczytaniu testamentu zrozumiesz moje słowa. Kiedy będę się smażyć w piekle, przekroczywszy granicę życia, jakie znam, ty będziesz nadal żył tym życiem, smażąc się w tak gorących płomieniach, jakich sam Bóg nie zdołałby wzniecić. Och, mój Ralphie, przejrzałam cię na wylot! Jeżeli nie umiałam nic innego, to przynajmniej zawsze wiedziałam, co zrobić, żeby cierpieli ci, których kocham. A ty się o wiele lepiej nadajesz do tej gry niż mój drogi nieobecny Michael.*

*Kiedy cię poznałam, chciałeś zdobyć Droghedę i moje pieniądze, prawda, Ralphie? Uzmysłowiłeś sobie, że mógłbyś dzięki nim odzyskać pozycję, do której jesteś stworzony. Potem zjawiała się Meggie i poniechałeś pierwotnego celu, jaki było kultywowanie znajomości ze mną, prawda? Stałam się pretekstem do odwiedzania Droghedy, żebyś mógł się widywać z Meggie. Ciekawa jestem, czy tak łatwo zmieniłbyś obiekt swoich zainteresowań, gdybyś wiedział, jakim majątkiem dysponuję. Nie wydaje mi się, żebyś miał jakiegokolwiek pojęcie. Przypuszczam, że niezbyt przystoi damie podawać dokładną wartość majątku w testamencie, dlatego pozwolę sobie podać tę sumę tutaj, żeby mieć pewność, że będziesz dysponował tą niezbędną informacją, kiedy nadejdzie pora podjęcia decyzji. Obliczam moją fortunę, z dokładnością do kilkuset tysięcy, na trzystaście milionów funtów.*

*Dochodzę już do końca pierwszej strony i nie mam ochoty dalej się rozpisywać. Przeczytaj mój testament, Ralphie, a potem zdecyduj, co z nim zrobisz. Czy oddasz go Harry'emu Goughowi, żeby go urzędowo zatwierdził, czy też spalisz nie wspominając nikomu słowem o jego istnieniu? Oto decyzja, którą musisz podjąć. Wypada mi dodać, że testament u Harry'ego sporządziłam w rok po przyjeździe Paddy'ego, któremu zapisuję wszystko, co posiadam. Żebyś wiedział, co leży na drugiej szali.*

*Ralph, kocham cię tak bardzo, że zabiłabym cię za to, że mnie nie chcesz, gdyby nie ta o wiele lepsza okazja do odwetu. Nie mam szlachetnego serca. Kocham cię, ale chcę, żebyś wił się w mękach. Bo, widzisz, ja wiem, jaką podejmiesz decyzję. Wiem to z całą pewnością, jakbym przy tym była i patrzyła na ciebie. Będziesz wił się w mękach, Ralphie, poznasz, co to udreka. Więc czytaj dalej, mój piękny, ambitny książę! Odczytaj mój testament i zdecyduj o swoim losie.*

Brakowało podpisu czy choćby inicjałów. Pot wystąpił mu na czoło, spłynął strużką po karku. W pierwszym odruchu miał ochotę natychmiast wstać i spalić oba dokumenty, ale ta obleśna stara starucha trafnie oceniła swoją ofiarę, oczywiście, że będzie czytał dalej, nie mógł oprzeć się ciekawości. Boże! Co on takiego zrobił, że tak się na niego uwzięła? Dlaczego kobiety skazywały go na cierpienia? Czemu nie urodził się mały, brzydki, koślawy? Gdyby taki był, może byłby szczęśliwy.

Takie samo wypracowane, drobne pismo, równie chciwe i złośliwe jak jej dusza, pokrywało ostatnie dwie stronicę.

*Ja, Mary Elisabeth, będąc zdrowa na ciele i umyśle, oświadczam niniejszym, że dokument ten stanowi moją ostatnią wolę, a tym samym unieważnia wszelkie uprzednio przeze mnie sporządzone testamenty.*

*Przekazuję wszelkie moje dobra doczesne, sumy pieniężne i nieruchomości na rzecz Świętego Kościoła Rzymskokatolickiego, z uwzględnieniem wyliczonych niżej specjalnych postanowień oraz następujących warunków zapisu:*

*Po pierwsze, wymieniony wyżej Święty Kościół Rzymskokatolicki, nazywany dalej Kościołem, dowie się, jakim szacunkiem i uznaniem darzę jego kapłana, księdza Ralpha de Bricassart. Jedynie za przyczyną jego dobroci, duchowego przewodnictwa i niezawodnego wsparcia rozporządzam w ten sposób swoim majątkiem.*

*Po drugie, zapis na rzecz Kościoła zostanie utrzymany w mocy jedynie jeżeli Kościół należycie doceni talent i umiejętności wymienionego wyżej księdza Ralpha de Bricassart.*

*Po trzecie, wymieniony wyżej ksiądz Ralph de Bricassart będzie odpowiedzialny za administrowanie i dysponowanie moimi dobrami doczesnymi, sumami pieniężnymi i nieruchomościami, jako osoba pełnomocna zawiadująca moim majątkiem.*

*Po czwarte, z chwilą zgonu wyżej wymienionego księdza Ralpha de Bricassart dalsze administrowanie majątkiem zostanie wypełnione zgodnie z jego testamentem. Inaczej mówiąc, Kościół będzie nadal pełnoprawnym właścicielem, ale ksiądz Ralph de Bricassart osobiście wyznaczy następnego administratora; nie będzie przy tym obowiązany wybrać następcy spośród wyświęconych bądź świeckich członków Kościoła.*

*Po piąte, posiadłość Drogheda nie zostanie nigdy sprzedana ani podzielona.*

*Po szóste, mój brat, Padraic Cleary, pozostanie zarządcą posiadłości Drogheda z prawem zamieszkania w moim domu i będzie mu wypłacana pensja w wysokości ustalonej wyłącznie przez księdza Ralpha de Bricassart.*

*Po siódme, w przypadku śmierci mojego brata, wyżej wymienionego Padraica Cleary, wdowa po nim i dzieci będą mogły pozostać nadal w posiadłości Drogheda, a funkcja zarządcy przechodzić będzie na poszczególnych synów w kolejności: Robert, Jack, Hugh, Stuart, James i Patrick, z wyłączeniem Francisa.*

*Po ósme, po śmierci Patricka lub innego ostatniego syna, z wyłączeniem Francisa, te same*

*prawa przejdą na wnuków wyżej wymienionego Padraica Cleary.*

*Postanowienia specjalne:*

*Padraic Cleary otrzyma wszystko, co znajduje się w moich domach na terenie posiadłości Drogheda.*

*Eunice Smith, moja gospodyni, będzie otrzymywać należyłą pensję tak długo, jak sobie tego zażyczy, ponadto zostanie jej bezzwłocznie wypłacona kwota w wysokości pięciu tysięcy funtów, a także będzie miała zapewnioną odpowiednią emeryturę.*

*Minerva O'Brien i Catherine Donnelly będą otrzymywać należyte pensje tak długo, jak sobie tego zażyczą, ponadto każdej z nich zostanie bezzwłocznie wypłacona kwota w wysokości jednego tysiąca funtów, a także każda z nich będzie miała zapewnioną odpowiednią emeryturę.*

*Ksiądz Ralph de Bricassart będzie otrzymywał dziesięć tysięcy funtów rocznie do końca życia na swoje własne potrzeby.*

Dokument, należycie podpisany i opatrzony datą, poświadczyli świadkowie.

Przez okno widać było zachód słońca. W cichym powietrzu, jak każdego lata, wisiły drobne cząsteczki kurzu, a słońce przeganiało palcami pylisty całun, zabarwiając cały świat na złoto i purpurowo. Smugi chmur o rozognionych brzegach przeciągały srebrzyste pióropusze przez wielką krwistą kulę zawieszoną tuż nad drzewami odległych pól.

– Brawo! – powiedział. – Pokonałeś mnie, Mary, przyznaję. Mistrzowskie posunięcie. To ja byłem głupcem, a nie ty.

Oczy zaszczyły mu łzami, aż przestał widzieć arkusze pergaminu, które trzymał w ręku, więc odsunął je od siebie, żeby nie poplamieć. Trzyście milionów funtów! Trzyście milionów funtów! Rzeczywiście taki cel sobie upatrył, zanim pojawiła się Meggie. A wraz z jej przybyciem porzuciła go, ponieważ nie mógł z zimną krwią prowadzić dalej swojej kampanii, żeby pozbawić ją spadku. A gdyby wiedział, jaką fortunę zgromadziła stara wiedźma? Co wtedy? Nie przypuszczał, że to będzie choćby dziesiąta część tego. Trzyście milionów funtów!

Przez siedem lat Paddy i jego rodzina mieszkali w domu zarządcy i harowali od świtu do nocy dla Mary Carson. I za co? Za tę wydzielaną skąpą ręką zapłatę? Ksiądz Ralph ani razu nie słyszał, żeby Paddy narzekał na podłe traktowanie, gdyż zapewne spodziewał się odpowiedniego wynagrodzenia po śmierci siostry. Znosił to z godnością i pokochał Droghedę, jakby już do niego należała, słusznie przypuszczając, że kiedyś zostanie jej właścicielem.

– Brawo, Mary! – powtórzył ksiądz Ralph i pierwsze łzy, jakie uronił od czasów, kiedy był małym chłopcem, kapnęły mu na wierzch dłoni, nie mocząc papieru.

Trzyście milionów funtów i szansa zostania kardynałem! Kosztem Paddy'ego Cleary, jego żony, jego synów... no i Meggie. Z jaką diabelską przenikliwością go przejrzała! Gdyby wyzuła Paddy'ego ze wszystkiego, nie miałyby wątpliwości, jak postąpić: poszedłby do kuchni i wrzucił testament do pieca nie oglądając się na nic. Ale ona postarała się o to, żeby Paddy'emu niczego nie brakowało, żeby po jej śmierci żyło mu się wygodniej niż za jej życia i żeby nikt nie mógł mu odebrać Droghedy. Owszem, pozbawiła go zysków i tytułu, ale nie samej ziemi. Nie, nie byłby właścicielem owych bajecznych trzynastu milionów funtów, ale byłby szanowany, miałyby zapewniony dostatni byt. Meggie nie chodziłaby głodna ani nie musiałaby iść boso w świat. A zarazem nie byłaby panną Cleary, dorównującą pozycją pannie Carmichael i jej podobnym. Owszem, szanowano by ją i przyjmowano w towarzystwie, ale nie należałaby do najlepszej sfery. Nigdy nie należałaby do najlepszej sfery.

Trzyście milionów funtów. Szansa, żeby wyrwać się z Gillanbone i dożywotniego zapomnienia, szansa, żeby zająć odpowiednie miejsce w kościelnej hierarchii, zapewniając sobie przychyłność kolegów i przełożonych. A wszystko to w momencie, kiedy był jeszcze na



tyle młody, żeby nadrobić stracony czas. Mary Carson uczyniła z Gillanbone epicentrum na mapie legata papieskiego w pełnym tego słowa znaczeniu; wstrząsy powinny dotrzeć do samego Watykanu. Nawet dla bogatego Kościoła trzysta milionów funtów to trzysta milionów funtów. Fortuna, której nawet Kościół nie może znieważać. A czyje ręce składają tę fortunę u stóp Kościoła? Jego własne ręce, co Mary Carson potwierdza czarno na białym. Był pewien, że Paddy nie będzie kwestionował ważności testamentu, wiedziała to też Mary Carson, niech ją Bóg skarże. O, z pewnością Paddy będzie wściekły nie zechce się z nim więcej widzieć ani rozmawiać, ale mimo rozżalenia nie posunie się do tego, żeby wytoczyć u sprawę w sądzie.

Czy musiał podejmować decyzję? Czyż nie wiedział od razu, jak postąpi? Łzy obeschły. Jak zwykle z gracją wstał, poprawił koszulę. Musiał jechać do Gilly po sutannę i ornat, ale przedtem chciał jeszcze raz popatrzeć na Mary Carson.

Mimo otwartych okien smród zamienił się w obrzydliwy fetor. Najłżejszy podmuch nie poruszał zwisających ciężko zasłon. Równym krokiem podszedł do łóżka i stanął przed nią. Z muszych jajeczek złożonych w wilgotnych zagłębieniach twarzy zaczynały wychodzić czerwie, gazy wydymały baloniasto grube, pozieleniałe ręce, skóra rozpadała się. O Boże! Ty obrzydliwa żmijo! Wygrałaś, ale cóż to za zwycięstwo. Triumf jednej rozkładającej się karykatury człowieka nad drugą. Nie możesz pokonać mojej Meggie ani odebrać jej tego, czego ty nie miałaś. Może będę się smażył w piekle razem z tobą, ale za to wiem, jakie piekło przygotowano dla ciebie, będziesz doświadczać mojej obojętności przez całą wieczność...

Paddy czekał na niego w holu na dole, błądy i oszołomiony.

– Och, proszę księdza! – zawołał podchodząc. – To okropne. Tak nagle! Zupełnie się tego nie spodziewałem. Jeszcze wczoraj tak dobrze wyglądała! Dobry Boże, co ja teraz zrobię?

– Widziałeś już ją?

– Boże, zmiłuj się, tak!

– A więc wiesz, co należy zrobić. Jeszcze nie widziałem tak szybko rozkładającego się ciała. Jeżeli w ciągu najbliższych kilku godzin nie zamkniecie jej w jakiejś skrzyni, to trzeba ją będzie wlewać do bańki po benzynie. Pogrzeb musi odbyć się samego rana. Nie traćcie czasu na ozdabianie trumny. Obłożycie ją różami z ogrodu, czymkolwiek. Człowieku, tylko uwiń się z tym prędko. Jadę do Gilly po sutannę i ornat.

– Niech ksiądz wraca jak najszybciej! – poprosił Paddy.

Ksiądz Ralph spędził w miasteczku więcej czasu, niż wymagała tego krótka wizyta na plebanii. Najpierw pojechał jedną bogatszych bocznych ulic Gillanbone przez dość pretensjonalny dom, otoczony starannie zaprojektowanym ogrodem.

Harry Gough zasiadał właśnie do kolacji, ale pośpieszył do bawialni, kiedy pokojówka zaanonsowała gościa.

– Czy ksiądz zje z nami? Jest peklowana wołowina, choć raz nie przesolona, kapusta i ziemniaki z sosem pietruszkowym.

– Nie, Harry, nie mogę zostać. Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że Mary Carson zmarła dziś rano.

– Chryste panie! Widziałem ją wczoraj! Trzymała się świetnie!

– Wiem. Czują się zupełnie dobrze, kiedy odprowadzałem ją na górę koło trzeciej nad ranem, ale musiała umrzeć, ledwie się położyła. Pani Smith znalazła ją dziś o szóstej wieczorem. Nie żyła już tyle godzin, że wyglądała odrażająco. Przez cały dzień przy tym upale leżała w zamkniętym pokoju jak w inkubatorze. Dobry Boże, modlę się, żeby zapomnieć ten widok! Powiadam ci, Harry, straszny, potworny.

– Czy będzie pochowana jutro?

– To konieczne!

– Która to godzina? Dziesiąta? W tym upale musimy jadać kolację tak późno jak Hiszpanie, ale przynajmniej nie trzeba się martwić, że jest za późno, by dzwonić do ludzi.

Życzy sobie ksiądz, żebym to zrobił?

– Dziękuję, to wielka uprzejmość z twojej strony. Przyjechałem do Gilly tylko po sutannę i ornat. Kiedy wyjeżdżałem, do głowy mi nie przyszło, że będę odprawiać mszę żałobną. Muszę jak najszybciej wrócić do Droghedy. Potrzebują mnie tam. Msza będzie o dziewiątej rano.

– Niech ksiądz powie Paddy’emu, że przywiozę ze sobą testament, żeby zaraz po pogrzebie przystąpić do rzeczy. Ksiądz też jest jednym ze spadkobierców, więc proszę łaskawie być obecnym przy odczytywaniu ostatniej woli.

– Niestety, jest z tym mały kłopot, Harry. Otóż Mary sporządziła drugi testament. Kiedy pożegnała gości, dała mi zapieczętowaną kopertę i kazała przysiąc, że jej nie otworzę do czasu, aż ujrzę ją martwą. Kiedy to się stało, rozpieczętowałem kopertę i znalazłem w niej nowy testament.

– Mary sporządziła nowy testament? Beze mnie?

– Na to wygląda. Wydaje mi się, że długo nad tym rozmyślała, ale dlaczego okryła to tajemnicą, tego nie wiem.

– Czy ma go ksiądz przy sobie?

– Tak.

Ksiądz Ralph wsunął rękę pod koszulę i podał złożone na czworo arkusze pergaminu.

Adwokat od razu przeczytał dokument. Kiedy skończył, spojrzął na duchownego. Ksiądz Ralph wolałby nie zobaczyć w jego oczach tego, co zobaczył. Wyrażały one podziw i gniew zabarwione pogardą.

– No cóż, gratuluję! A więc jednak zgarnął ksiądz wszystko. – Mógł tak się wyrazić nie będąc katolikiem.

– Wierz mi, Harry, że była to większa niespodzianka dla mnie, niż dla ciebie.

– Czy to jedyny egzemplarz?

– O ile wiem, tak.

– I dała to księdzu dopiero dziś nad ranem?

– Tak.

– Więc dlaczego ksiądz nie zniszczył tego, żeby Paddy biedaczysko dostał, co mu się należy? Kościół nie ma żadnego prawa do majątku Mary Carson.

Piękne oczy księdza nie zdradzały niczego.

– Czy nie sądzisz, Harry, że to nie byłoby właściwe? To majątek Mary i mogła nim dowolnie rozporządzić.

– Poradzę Pady’emu, żeby oddał sprawę do sądu.

– Uważam, że powinienes to zrobić.

I na tym się rozstali. Do rana – myślał ksiądz Ralph – kiedy wszyscy zjadą się na pogrzeb Mary Carson, całe Gillanbone i okolica dowiedzą się, komu przypadły pieniądze. Kości zostały rzucone, nie ma odwrotu.

Dopiero o czwartej nad ranem ksiądz Ralph przejechał ostatnią bramę, gdyż wracał do Droghedy bez pośpiechu. Przez całą drogę nie dopuszczał do siebie żadnych myśli. Ani o Paddym, ani o Fee, ani o Meggie, ani o tej cuchnącej masie, którą, miał szczerą nadzieję, umieszczono już w trumnie. Natomiast w skupieniu, szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w noc, posrebrzone martwe drzewa, tkwiące samotnie jak duchy wśród połyskliwej trawy, głębokie cienie rzucane przez zagajniki, księżyc w pełni płynące po niebie jak mydlana bańka. Raz zatrzymał samochód, wysiadł, podszedł do ogrodzenia i oparł się o napięty drut wdychając zapach eukaliptusów i czarowny aromat dzikich kwiatów. Ta ziemia była taka piękna, nieskalana, obojętna na losy istot, które ośmielały się nią rządzić. Chociaż ludzie ujarzmili ją własnymi rękoma, na dłuższą metę ona nimi rządziła. Była górą, dopóki nie potrafili regulować pogody i sprowadzać deszczu.

Zaparkował samochód w pewnym oddaleniu od rezydencji i ruszył powoli w jej stronę. Ze wszystkich okien lało się światło. Z mieszkania gospodyni dobiegł go głos odmawiającej różaniec pani Smith, której wtórowały dwie irlandzkie pokojówki, pod czarną gęstwiną glicynii poruszył się jakiś cień. Stał jak wryty, czując ciarki na grzbiecie. Dała mu się we znaki, stara jędra. Okazało się, że to tylko Meggie, która cierpliwie czekała na jego powrót. W stroju do konnej jazdy, rozbudzona i rześka.

– Przestraszyłaś mnie – rzekł szorstko.

– Przepraszam, to niechcący. Nie chciałam siedzieć z tatą i chłopcami, a mama jest na dole z maluchami. Zdaje się, że powinnam modlić się razem z panią Smith, Minnie i Cat, ale nie mam na to najmniejszej ochoty. To chyba grzech, prawda?

Wcale nie był skłonny czcić pamięci Mary Carson.

– Nie uważam tego za grzech, Meggie, natomiast grzechem jest hipokryzja. Ja też nie mam ochoty za nią się modlić. Nie była... szczególnie dobrym człowiekiem. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Jeśli więc zgrzeszyłaś, mówiąc takie słowa, to i ja zgrzeszyłem, bardziej niż ty. Powinienem kochać wszystkich bez wyjątku, a na tobie nie spoczywa takie brzemie.

– Dobrze się ksiądz czuje?

– Tak, nic mi nie jest. – Popatrzył na wielki dom i westchnął.

– Nie chcę tam siedzieć w zamknięciu, to wszystko. Nie chcę przebywać z nią pod jednym dachem, dopóki światło dnia nie przegoni demonów ciemności. Jeżeli osiodłam konie, pojedziesz ze mną do świtu?

Dotknęła czarnego rękawa sutanny i opuściła rękę.

– Ja też nie chcę wchodzić do środka.

– Zaczekaj na mnie, zostawię tylko sutannę w samochodzie.

– Pójdę do stajni.

Po raz pierwszy próbowała spotkać się z nim na gruncie dorosłości. Wyczuwał różnicę w jej zachowaniu równie silnie, jak czuł zapach róż w pięknych ogrodach Mary Carson. Róże, popielate róże. Róże, wszędzie róże. Płatki w trawie. Letnie róże, czerwone, białe, żółte. Woń róż, słodka i odurzająca nocną porą.

Różowe róże, spopielale w księżycowej poświacie. Popielate róże, popielate róże. moja Meggie, wyrzekłem się ciebie. Ale czy nie pojmujesz, że stałaś się dla mnie zagrożeniem? Zmiażdżyłem cię obcasem mojej ambicji. Nie znacysz dla mnie więcej niż zdeptana róża w trawie. Woń róż. Woń Mary Carson. Róże i popiół, popielate róże.

– Popielate róże – mruknął dosiadając konia. – Ucieknijmy od zapachu róż na koniec świata. Jutro cały dom się nimi wypełni.

Dźwignął ostro kasztankę i pogalopował przodem drogą do strumienia, z gardłem ściśniętym jak do płaczu, bo dopiero teraz, kiedy poczuł zapach przyszłych ozdób trumny Mary Carson, uprzytomnił sobie z całą wyrazistością to, co miało nieuchronnie nastąpić. Że wkrótce stąd wyjedzie. Tyle myśli, tyle uczuć nie do opanowania. Wiedział, że nie pozwoli mu zostać w Gilly. Kiedy poznają warunki zawarte w tym nieprawdopodobnym testamencie, wezwą go natychmiast do Sydney. Natychmiast! Uciekał od bólu, jakiego jeszcze w życiu nie zaznał, ale ten ból bez trudu za nim nadązał. Miało to nastąpić kiedyś, w nieokreślonej przyszłości, ale już, zaraz. Stała mu przed oczami twarz Paddy'ego, wyrażająca oburzenie i odrazę. Czuł, że nie będzie potem mile witany gościem w Droghedzie i już nigdy nie zobaczy Meggie.

Zaczął ujmować myśli w karby, w takt walących kopyt, z uczuciem, że leci w powietrzu. Tak będzie lepiej, lepiej, lepiej! Galopem naprzód, naprzód! Tak, na pewno ból się zmniejszy, kiedy przycupnie w jakiejś bezpiecznej celi w pałacu biskupim. Będzie coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu nawet wspomnienie o mnie się zatrze. Tak na pewno będzie. Lepiej, niż gdyby został w Gilly i patrzył, jak Meggie przeistacza się w istotę, jakiej nie chciał widzieć, i gdyby musiał pewnego dnia udzielić jej ślubu z jakimś nieznanym mężczyzną. Co z oczu,

to z serca.

W takim razie, co on tu robi razem z nią, w zagajniku bukszpanów i kulib po drugiej stronie parowu? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, czuł tylko ból. Nie ból zdrady, na to nie było miejsca, jedynie ból wywołany czekającą go rozłąką.

– Proszę księdza! Nie mogę nadażyć! Proszę wolniej!

To było wezwanie do obowiązku i rzeczywistości. Poruszając się w zwolnionym tempie, zawrócił klacz i siedział, aż wytańczyła swoje podniecenie. Czekał, żeby Meggie go dogoniła. W tym właśnie sęk. Meggie go doganiała.

W pobliżu huczała studnia artezyjska, cuchnęła siarką parująca duża sadzawka, a przez rurę, szeroką jak wentylator, tryskała wprost do jej głębin wrząca woda. Od jeziora położonego na wzniesieniu terenu rozchodziły się na wszystkie strony, jak szprychy od piasty koła, rowy rozprowadzające wodę po równinie, najeżone szmaragdową trawą. W szarym mule na brzegu sadzawki żyły małe rzeczne raki.

Ksiądz Ralph parsknął śmiechem.

– Prawda, że cudnie tu jak w piekle? Siarczane wyziewy w jej własnej posiadłości, na jej podwórku. Powinna rozpoznać piekielny smród, kiedy dotrze na miejsce przystrojona w kwiaty... Och, Meggie...

Konie, odpowiednio przyuczone, stały w miejscu z puszczonej luźno cugłami. W pobliżu nie było płotów, a najbliższe drzewa rosły w odległości pół mili. Na przeciwległym od studni krańcu sadzawki, gdzie woda była chłodniejsza, leżała na brzegu kłoda. Służyła za siedzisko tym, którzy kąpiąc się w zimie, wycierali tu sobie nogi.

Ksiądz Ralph usiadł, a Meggie zajęła miejsce w pewnej odległości, obrócona tak, żeby móc na niego patrzeć.

– Co się stało?

Dziwnie zabrzmiało w jej ustach to pytanie, które sam tak często zadawał. Uśmiechnął się.

– Sprzedałem cię, moja droga Meggie, sprzedałem cię za trzysta milionów srebrników.

– Sprzedał mnie ksiądz?

– To metafora. Nieważne. Przysiądź się do mnie bliżej. Może nie będziemy już mieli więcej okazji porozmawiać ze sobą.

– Dopóki będzie trwała żałoba po cioci? – Nie wstając przysunęła się tak, że siedziała tuż bok. – A co za różnica, że będziemy w żałobie?

– Nie to mam na myśli, Meggie.

– Dlatego, że dorastam i ludzie mogliby o nas plotkować?

– Niezupełnie. Po prostu wyjeżdżam.

No i proszę: głowa podniesiona na przekór zmartwieniu, jeszcze jeden ciężar przyjęty godnie. Bez krzyku, bez łez, bez spazmów protestu. Jedynie troszeczka się skuliła, jakby brzemie źle leżało, nierówno rozłożone, i westchnęła bezgłośnie.

– Kiedy?

– W najbliższych dniach.

– Och! Będzie mi ciężiej, niż kiedy odszedł Frank.

– A mnie ciężiej niż kiedykolwiek w życiu. Nie mam żadnego pocieszenia. Ty przynajmniej masz rodzinę.

– Ksiądz ma Boga.

– Dobrze powiedziane, Meggie! Ależ ty doroślejesz!

Z kobiecym uporem sięgnęła pamięcią do pytania, którego nie mogła zadać goniąc go konno przez trzy mile. Wiedziała, że wyjeżdża i jak ciężko jej będzie bez niego, ale to pytanie miało odrębną wagę i znaczenie.

– Powiedział ksiądz w stajni „popielate róże”. Czy chodziło o kolor mojej sukni?

– W pewnym sensie, ale miałem na myśli co innego.

– Co?

– Nie zrozumiałabyś tego, Meggie. Obumaracie pewnej myśli, która nie miała prawa się narodzić, a tym bardziej nie wolno jej było pielęgnować.

– Nie ma takiej myśli, co nie miałyby prawa się narodzić.

Obrócił głowę, żeby się jej przypatrzeć.

– Zdaje się, że wiesz, o czym mówię.

– Chyba tak.

– Nie wszystko, co się rodzi, jest dobre Meggie.

– Nie. Ale jeżeli się urodziło, to znaczy, że tak miało być.

– Argumentujesz jak jezuita. Ile ty właściwie masz lat?

– Za miesiąc skończę siedemnaście.

– Przez całe życie ciężko pracowałaś. Cóż, trud, i znój dodają człowiekowi lat. O czym ty myślisz, Meggie, kiedy masz czas na myślenie?

– Och, o Jimsie i Patsym, i o pozostałych chłopcach, o tacie i mamie, o Halu i cioci Mary. Czasem myślę o małych dzieciach. Bardzo bym chciała je mieć. O koniach i owcach. O tym wszystkim, o czym rozmawiają mężczyźni. O pogodzie, deszczu, ogródku warzywnym, kurach, o tym, co będę robić następnego dnia.

– Czy marzysz o tym, żeby wyjść za mąż?

– Nie, ale pewnie będę musiała wyjść za mąż, jeżeli chcę mieć dzieci. To nie jest dobrze dla dziecka, jeżeli nie ma ojca.

Mimo przeszywającego bólu uśmiechnął się. Zadziwiła go ta osobliwa mieszanina ignorancji i zasad moralnych. Obrócił się do niej, ujął pod brodę i popatrzył prosto w oczy. Jak to zrobić, jak z tego wybrnąć?

– Meggie, uzmysłowiłem sobie niedawno coś, co powinienem był spostrzec wcześniej. Nie byłaś całkiem szczerą, mówiąc mi, o czym myślisz, prawda?

Już-już miała odpowiedzieć, ale umilkła.

– Nie powiedziałaś, że myślisz o mnie. Gdyby nie wiązało się to z poczuciem winy, wymieniałabyś mnie jednym tchem ze swoim ojcem. Dlatego dobrze, że wyjeżdżam, nie uważasz? Jesteś trochę za duża na to, żeby podkochiwać się jak pensjonarka, ale z drugiej strony jesteś niezbyt dorosłą, niespełna siedemnastoletnią panną. Podoba mi się twój brak doświadczenia, ale wiem, jak bolesne bywają pensjonarskie zauroczenia. Dostatecznie wiele z nich odczułem na swojej skórze.

Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale w końcu zamknęła błyszczące od łez oczy i potrząsnęła głową, uwalniając się od jego ręki.

– Posłuchaj, Meggie, to przejściowa faza, kamień milowy na drodze do kobiecości. Kiedy staniesz się kobietą, poznasz mężczyznę, który jest ci przeznaczony na męża, i będziesz zanadto zajęta swoim życiem, żeby myśleć o mnie, najwyżej wspomnisz kilka burz towarzyszących dojrzewaniu. Musisz się ustrzec przed jednym – przed snuciem romantycznych marzeń związanych z moją osobą. Nigdy nie będę mógł patrzeć na ciebie tak, jak patrzyłby mąż. Nie myślę o tobie w ten sposób, Meggie, rozumiesz? Kiedy mówię, że cię kocham, to nie znaczy, że kocham cię jak mężczyzna. Jestem kapłanem, nie mężczyzną. Więc nie nabijaj sobie głowy marzeniami o mnie. Wyjeżdżam i bardzo wątpię, czy będę miał czas, żeby tu znów zawitać, choćby w odwiedzinie.

Pochylone ramiona przygniatał wielki ciężar, ale uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Nie nabiję sobie głowy marzeniami. Wiem, że ksiądz jest kapłanem.

– Nie sądzę, żeby źle wybrał drogę życiową. To, co robię, spełnia we mnie potrzebę, jakiej nie zaspokoiłaby żadna ludzka istota, nawet ty.

– Wiem. Widzę to podczas mszy. Ksiądz ma jakąś moc. Chyba czuje się ksiądz wtedy jak Chrystus.

– Czuję wstrzymane oddechy w kościele, Meggie! Z upływem każdego dnia umieram, a co rano odradzam się odprawiając mszę. Ale czy tak jest dlatego, że jestem wybrany przez Boga

kapłanem, czy dlatego, że słyszę te nabożne westchnienia i wiem, jaką mam moc nad wszystkimi obecnymi?

– Czy to ważne? Po prostu tak jest.

– Dla ciebie nie miałyby to pewnie znaczenia, ale dla mnie ma. Wciąż wątpię, wciąż wątpię.

– Nie wiem, jak będę dalej żyć. Najpierw Frank, teraz ksiądz. Z Halem jest jakoś inaczej. Wiem, że nie żyje i nigdy nie wróci. Ale wy obaj z Frankiem żyjecie! Będę stale rozmyślać, co ksiądz porabia, czy jest zdrow, czy mogłabym w czymś pomóc. Będę nawet musiała zadawać sobie pytanie, czy ksiądz jeszcze żyje.

– Ja będę czuł to samo, Meggie, i jestem pewien, że Frank też to czuje.

– Nie. Frank o nas zapomniał... I ksiądz też zapomni.

– Nie mógłbym ciebie zapomnieć, Meggie, do końca życia nie zapomnę. I za karę będę żył długo, bardzo długo. – Wstał, pomógł jej wstać i objął ją delikatnie, serdecznie. – Myślę, że to nasze pożegnanie, Meggie. Nie będziemy już nigdy sami.

– Czy gdyby ksiądz nie był księdzem, ożeniłby się ze mną?

Tytuł zazgrzytał w uszach.

– Nie nazywaj mnie tak przez cały czas! Na imię mi Ralph – rzekł. Ale nie odpowiedział na jej pytanie.

Chociaż trzymał ją w ramionach, nie miał najmniejszego zamiaru jej pocałować. Uniesiona ku niemu twarz była ledwie widoczna, bo księżyc zaszedł i zrobiło się ciemno. Czuł jej drobne stożkowate piersi, oparte nisko o jego pierś; niezwykle uczucie, niepokojące. O wiele bardziej niepokojąca wydała mu się naturalność, z jaką zarzuciła mu ręce na szyję i splotła je, jakby codziennie brał ją w objęcia mężczyzna.

Nigdy nie całował jak kochanek i nie chciał tego robić teraz. Meggie też, jak przypuszczał, nie chciała. Ciepłe muśnięcie policzka, krótki uścisk, jakiego oczekiwałyby na odjeźdźnym od własnego ojca. Była wrażliwa i dumna, na pewno mocno ją zranił, poddając beznamyślnym oględzinom jej najskrytsze marzenia. Tak samo jak on chciała mieć to pożegnanie jak najszybciej za sobą. Czy pocieszyłoby ją, gdyby wiedziała, że czuje o wiele większy ból od niej? Kiedy pochylił głowę do jej policzka, uniosła się na palcach i bardziej przez przypadek niż z rozmysłem dotknęła ustami jego ust. Wzdrygnął się, jakby poczuł smak trucizny, a potem znów pochylił się ku niej, żeby mu nie umknęła, i chciał coś powiedzieć tuż koło słodkich zamkniętych ust, a ona, chcąc mu odpowiedzieć, rozchyliła wargi. Jej ciało, omdlewające, przelewało mu się przez ręce jak ciepła, topniejąca ciemność. Jedną ręką chwycił ją wpół, drugą podtrzymywał głowę. Z dłonią we włosach, przysunął jej twarz do swojej, jakby w obawie, że w tej chwili mogłaby zniknąć, zanim zdołałby pojąć i odnotować w pamięci to niewiarygodne zjawisko, któremu było na imię Meggie. Meggie i nie Meggie, tak obca, że nie mogła stać się bliska, bo jego Meggie nie była kobietą, nie czuł, że trzyma w ramionach kobietę, nie mogła nigdy być dla niego kobietą. Tak jak on nie mógł być dla niej mężczyzną.

Ta myśl pokonała zmysły, rozerwał splecione na szyi ręce, odsunął ją od siebie i usiłował dojrzeć w ciemnościach jej twarz. Ale spuściła głowę i nie chciała na niego patrzeć.

– Pora na nas, Meggie – powiedział.

Bez słowa podeszła do konia, wsiadła i czekała na niego, choć zwykle to on na nią czekał.

O tej porze roku w Droghedzie było zatrzęsienie róż, dlatego dom tonął w kwiatach. Do ósmej rano ogród został niemal doszczętnie ogołocony. Pierwsi żałobnicy przybyli niedługo po tym, kiedy zerwano z krzaka ostatnią różę. W małej jadalni przygotowano lekkie śniadanie, kawę i świeżo upieczone bułeczki z masłem. Po złożeniu w grobowcu zwłok Mary Carson miała odbyć się stypa w dużej jadalni dla pokrzepienia przyjezdnych przed czekającą każdego z nich długą drogą do domu. Wieść rozeszła się; nie sposób wątpić w skuteczność

poczty pantoflowej w Gilly. Podczas gdy z ust padały konwencjonalne zwroty, oczy uśmiechały się złośliwie, snuto ciche domysły, spekulacje.

– Podobno mamy księdza utracić – dogryzła Ralphowi panna Carmichael.

Jeszcze nigdy nie wyglądał na tak zubożniałego, tak wyczerpanego z ludzkich uczuć jak tego ranka, w albie bez koronek i czarnym ornacie ze srebrnym krzyżem. Zupełnie jakby obecny był jedynie ciałem, a jego duch, uleciał gdzieś daleko. Spojrzał z roztargnieniem na pannę Carmichael, przez chwilę zbierał myśli, a potem uśmiechnął się z nie udawaną wesołością.

– Niezbadane są wyroki Opatrzności, panno Carmichael! – rzekł i odszedł, żeby porozmawiać z kimś innym.

Nikt nie domyśliłby się, co go zaprzęta; zbliżająca się konfrontacja z Paddym podczas czytania testamentu, lęk przed jego gniewem, pragnienie, żeby ujrzeć gniew i pogardę.

Przed rozpoczęciem mszy żałobnej obrócił się do zgromadzonych, w wypełnionej po brzegi kaplicy unosiła się tak silna i mdląca woń róż, że nie pomogły otwarte okna, żeby ją rozproszyć.

– Nie zamierzam wygłaszać długiej mowy pochwalnej – powiedział wyraźnie, niemal z oksfordzką dykcją, lekko zabarwioną irlandzkim akcentem. – Wszyscy znaliście Mary Carson. Była filarem tej społeczności, filarem Kościoła, który umiłowała bardziej niż kogokolwiek z żywych.

Niektórzy w tym momencie gotowi byli przysiąc, że dostrzegli w jego oczach błysk drwiny, natomiast inni utrzymywali potem równie stanowczo, że przyćmił te oczy szczerzy smutek i żal.

– Filarem Kościoła, który umiłowała bardziej niż kogokolwiek z żywych – powtórzył jeszcze wyraźniej, nie należał bowiem do tych, którzy lękliwie się wycofują. – Samotna w swojej ostatniej godzinie, nie była przecież sama. Bo w godzinie śmierci Jezus Chrystus, nasz Pan, jest z nami, jest w nas, dźwigając brzemień naszej agonii. Ani największe, ani najmniejsze stworzenie nie umiera samotnie, a śmierć staje się błoga. Zebraliśmy się tutaj, żeby pomodlić się za jej nieśmiertelną duszę, żeby ta, którą kochaliśmy za życia, otrzymała sprawiedliwą nagrodę w życiu wiecznym. Módlmy się.

Prowizoryczna trumna, obsypana różami tak, że ledwie ją było widać, spoczywała na niewielkim wózku, naprędce skleconym przez chłopców. Mimo otwartych na oścież okien i obezwładniającego zapachu róż czuć było trupi odór. Nawet doktor nie powstrzymywał się od komentarza.

– Kiedy dotarłem do Droghedy, była w stanie takiego rozkładu, że nie mogłem zapanować nad żołądkiem – powiedział przez telefon do Martina Kinga. – Jeszcze nigdy nikomu tak nie współczułem, jak Paddy’emu Cleary, i to nie tylko dlatego, że sprzątnięto mu sprzed nosa Droghedę, ale że musiał przełożyć tę straszliwą kipiącą stertę do trumny.

– Wobec tego nie zgłaszam się na ochotnika do niesienia trumny – odparł Martin tak cicho z powodu innych podniesionych na linii słuchawek, że doktor musiał trzy razy prosić go o powtórzenie, zanim zrozumiał, co mówi.

Potrzebny więc był wózek – nikt nie wyraził chęci niesienia ciała Mary Carson do grobowca. Nikomu też nie było przykro, kiedy ciężkie drzwi zamknęły się za nią i można było wreszcie normalnie oddychać.

Gdy żałobnicy zebrani w dużej sali posilali się bądź udawali, że się posilają, Harry Gough poprowadził Paddy’emu z rodziną, księdza Ralphi, panią Smith i dwie służące do salonu. Żaden z gości nie wybierał się jeszcze w drogę powrotną do domu, stąd pozorowane zainteresowanie jedzeniem. Wszyscy chcieli zobaczyć na własne oczy, jaką minę będzie miał Paddy, kiedy pokaże się po odczytaniu testamentu. Trzeba przyznać, że podczas pogrzebu rodzina Clearych nie dawała po sobie poznać, że zajmuje wyższą niż dotychczas pozycję. Paddy, człowiek gołębiego serca, opłakiwał siostrę, a Fee wyglądała zupełnie tak samo jak zawsze, jakby nie dbała o to, co się z nią stanie.

– Paddy, chciałbym, żebyś wystąpił o unieważnienie testamentu – powiedział Harry Gough odczytawszy zdumiewający dokument z oburzeniem.

– Podła stara baba! – powiedziała pani Smith, lubiła wprawdzie księdza, ale o wiele większą sympatią darzyła Clearych. To dzięki nim pojawiły się w jej życiu dzieci.

Paddy potrząsnął głową.

– Nie, Harry! Nie mógłbym tego zrobić. Majątek należał do niej. Miała pełne prawo zrobić z nim, co chciała. Jeżeli postanowiła oddać go Kościołowi, to znaczy, że chciała oddać go Kościołowi. Nie przeczę, że trochę mnie to rozczarowało, ale jestem prostym człowiekiem, więc może tak będzie lepiej. Wolałbym nie dźwigać odpowiedzialności za tak wielki majątek, jakim jest Drogheda.

– Nie rozumiesz, Paddy! – zaczął adwokat powoli i wyraźnie, jakby tłumaczył dziecku. – Ja nie mówię tylko o Droghedzie. Wierz mi, Drogheda to najmniejsza część fortuny pozostawionej przez twoją siostrę. Twoja siostra była głównym udziałowcem w stu pierwszorzędnymi spółkach, właścicielką stalowni i kopalni złota, wyłącznie do niej należał Michar Limited z dziesięciopiętrowym biurowcem w Sydney. Była najbogatsza w całej Australii! Dziwne, ale jakieś cztery tygodnie temu poleciła mi skontaktować się z dyrekcją Michar Limited w Sydney i dowiedzieć się, ile dokładnie wynoszą jej aktywa. W chwili śmierci wartość jej majątku przekraczała trzysta milionów funtów.

– Trzysta milionów funtów! – powtórzył Paddy takim tonem, jakby mówił o odległości dzielącej Ziemię od Słońca, o czymś przekraczającym ludzkie pojęcie. – To przesądza sprawę, Harry. Nie chcę brać odpowiedzialności za takie pieniądze.

– Ależ to żadna odpowiedzialność, Paddy! Nie rozumiesz? Takie pieniądze same o siebie dbają! Nie potrzebowałbyś się w ogóle nimi zajmować, setki ludzi pracuje wyłącznie nad tym, żeby te pieniądze przynosiły zyski. Wystąp o unieważnienie testamentu, Paddy, proszę cię! Wystaram się o najlepszych adwokatów i będę walczył o twoją sprawę.

Upamiętniając sobie raptem, że dotyczy to w równym stopniu jego rodziny, Paddy zwrócił się do Boba i Jacka, którzy siedzieli oszołomieni na ławie z florenckiego marmuru.

– Co wy na to, chłopcy? Zależy wam na zdobyciu tych trzynastu milionów ciotki Mary? Pójdę do sądu pod warunkiem., że tego chcecie.

– Ale możemy mieszkać w Droghedzie, testament to potwierdza, prawda? – spytał Bob.

– Nikt nie może was wyrzucić z Droghedy, dopóki będzie żyć choćby jeden wnuk Paddy’ego – pośpieszył z odpowiedzią Harry.

– Będziemy mieszkać w rezydencji, razem z panią Smith i z dziewczętami do pomocy, i będziemy otrzymywać godziwą zapłatę – powiedział Paddy tak, jakby trudniej mu było uwierzyć w swój dobry los niż zły.

– Więc czego nam więcej trzeba, Jack? – spytał Bob brata. – Zgodzisz się ze mną?

– Mnie to odpowiada – odparł Jack.

Ksiądz Ralph poruszył się niespokojnie. Nie zatrzymał się, żeby zdjąć żałobne szaty ani nie przysiadł na krześle. Niczym piękny czarodziej stał samotnie w głębi mrocznego salonu, z rękoma ukrytymi pod czarnym ornatem, znieruchomiała twarzą, czającym się w chłodnych oczach przerażeniem i gorzką niechęcią. Nie miał nawet zaznać upragnionej kary – wściekłości i wzgardy. Paddy zamierzał wręczyć mu całą fortunę na złotej tacy dobrej woli i w dodatku podziękować za to, że uwolnił rodzinę od kłopotu.

– A co z Fee i Meggie? – spytał ostro ksiądz. – Czy nie liczysz się ze swoimi kobietami na tyle, żeby je też spytać o zdanie?

– Fee? – spytał z niepokojem Paddy.

– Będzie tak, jak postanowisz, Paddy. Mnie to obojętne.

– Meggie?

– Nie chcę jej trzynastu milionów srebrników – odparła Meggie ze wzrokiem utkwionym w księdza Ralpa.



Paddy odwrócił się do adwokata.

– A więc postanowione, Harry. Nie chcemy występować o unieważnienie testamentu. Niech kościół weźmie pieniądze Mary i zrobi z nich dobry użytek.

Harry klasnął w dłonie.

– A niech to diabli, nie mogę ścierpieć, że cię oszukano!

– Dziękuję losowi za Mary – odparł łagodnie Paddy. – Gdyby nie ona, nadal z trudem wiązałbym koniec z końcem w Nowej Zelandii.

Wychodząc z salonu, Paddy zatrzymał księdza Ralpa i wyciągnął rękę tak, żeby widzieli to zaintrygowani żałobnicy tłoczący się w drzwiach jadalni.

– Proszę, niech ksiądz nie myśli, że żywimy jakąkolwiek urazę. Przez całe swoje życie Mary nie słuchała nikogo, ani księdza, ani brata, ani męża. Może ksiądz wierzyć, że robiła zawsze to, co chciała. Ksiądz okazał jej wiele serca, tak jak i nam. Nigdy tego księdzu nie zapomnimy.

Poczucie winy... Straszliwe brzemie... Niewiele brakowało, a ksiądz Ralph nie odpowiedziałby na ten pojednawczy gest, ale kardynalski umysł zwyciężył, gorączkowo pochwyił sękatą, brązową dłoń i uśmiechnął się pełen udzięki.

– Dziękuję ci, Paddy. Możesz być spokojny, że dopilnuję, by nigdy wam niczego nie brakowało.

Po tygodniu wyjechał, nie odwiedzwszy już Droghedy. Ostatnie dni zajęło mu pakowanie skromnego dobytku i objazd wszystkich okolicznych farm zamieszkałych przez rodziny katolików, wszystkich oprócz Droghedy.

Przybył ksiądz Watkin Thomas z Walii, żeby przejąć obowiązki duszpasterza okręgu Gillanbone, podczas gdy ksiądz Ralph de Bricassart został sekretarzem osobistym arcybiskupa Cluny'ego Darka. Nie był przeciążony pracą, miał do pomocy dwóch podsekretarzy. Główne jego zajęcie polegało na dokładnym ustaleniu, co posiadała Mary Carson, i przejęciu kontroli nad jej majątkiem w imieniu Kościoła.

Część trzecia:

Paddy 1929-1932

## Rozdział ósmy

Nadszedł Nowy Rok, powitany na balu sylwestrowym wydawanym co roku przez Angusa MacQueena w Rudna Hunish, a przeprowadzka do rezydencji wciąż jeszcze trwała. Nie sposób było dokonać tego z dnia na dzień, bo nie dość, że trzeba było pakować dobytek nagromadzony przez ostatnie siedem lat, to jeszcze Fee oświadczyła, że najpierw chce urządzić salon. Nikomu ani trochę się nie śpieszyło, choć wszyscy cieszyli się na nowy dom. Pod pewnym względem niewiele się miało zmienić w rezydencji też nie było elektryczności i tak samo naprzykrzały się muchy, ale latem, dzięki grubym kamiennym murom i ocieniającym dach eukaliptusom, temperatura w środku była o dziesięć stopni niższa niż na zewnątrz. Prawdziwym luksusem był dom kąpielowy, zaopatrywany przez całą zimę w gorącą wodę, i to czystą deszczówkę, która płynęła rurami przebiegającymi na tyłach ogromnego pieca w sąsiednim budynku kuchennym.

Kąpiel czy prysznic można było brać w tej wielkiej łaźni o dziesięciu kabinach, a poza tym rezydencja i wszystkie mniejsze domy mieszkalne były hojnie wyposażone we własne toalety ze spuszczaną wodą, co uchodziło za niesłychaną rozrzutność, którą zazdrośni mieszkańcy Gilly ukradkiem nazywali sybarytyzmem. Nie licząc hotelu „Imperial”, dwóch gospód, plebanii i klasztoru okręg Gillanbone zadawała się wychodkami. Tylko Drogheda korzystała z licznych zbiorników i dachów łapiących deszczówkę. Obowiązywały jednak surowe zasady: nie wolno było spuszczać wody bez potrzeby, a należało w dużej ilości używać odkażalnika. W porównaniu z dziurami w ziemi był to ósmy cud świata.

W początkach grudnia ksiądz Ralph przysłał Paddy'emu pięć tysięcy funtów na bieżące wydatki, jak napisał w liście. Paddy z okrzykiem wręczył czek żonie.

– Wątpię, czy przez całe swoje życie tyle bym zarobił – powiedział oszołomiony.

– Co mam z tym zrobić? – spytała Fee, spoglądając płonącymi oczyma najpierw na czek, potem na męża. – Pieniądze, Paddy! Wreszcie mamy pieniądze! Rozumiesz, co to znaczy? Ach, nie dbam o trzystaście milionów ciotki Mary, tak wielka suma wydaje się nierealna, ale tego można dotknąć! Co ja mam z tym zrobić?

– Wydaj – odparł po prostu Paddy. – Może sprawisz sobie i dzieciom nowe ubrania? A może chciałabyś kupić coś do domu? Nie przychodzi mi na myśl, czego jeszcze potrzebujemy.

– Mnie też, aż dziw bierze. – Fee wstała od stołu, przy którym jedli śniadanie, i skinęła władczo na Meggie. – Rusz się, dziewczyno, idziemy rozejrzeć się po rezydencji.

Kiedy minął gorączkowy tydzień po pogrzebie Mary Carson, przez następne trzy tygodnie nikt z rodziny Clearych nie kwapił się z wizytą w rezydencji. Dopiero Fee nadrobiła tę opieszałość z nawiązką. W asyście Meggie, pani Smith, Minnie i Cat maszerowała z pokoju do pokoju z takim ożywieniem, że zdumiona Meggie nie mogła jej poznać. Przez cały czas mamrotała pod nosem: to paskudne, tamto szkaradne, czy ta Mary była daltonistką, nie miała za grosz gustu.

W salonie Fee zatrzymała się najdłużej, oceniając go fachowym okiem. Rozmiarami ustępował tylko sali balowej, miał trzystaście jardów długości, dziesięć szerokości i pięć wysokości. Kosztowne wyposażenie dawało w sumie nieciekawą efekt, a kremowa farba, którą pomalowano kiedyś całe wnętrze, poźółkła, tłumiąc urodę wspaniałych sztukaterii na suficie i rzeźbionych panneau na ścianach. Ogromne okna od podłogi do sufitu, ciągnące się nieprzerwanym szeregiem przez całą długość ściany od strony werandy, przesłonięte były sutymi kotarami z brązowego aksamitu, rzucającymi głęboki cień na brudnobrązowe krzesła, dwie zachwycające malachitowe ławy, dwie równie piękne ławy z florenckiego marmuru oraz masywny kominek z kremowego marmuru ciemnoróżowymi żyłkami. Na błyszczącej podłodze z drewna tekowego leżały, przylegając dokładnie do siebie, trzy dywany z

Aubusson, a pod samym sufitem, oplątany łańcuchem, wisiał dwujardowej długości żyrandol z Waterford.

– Należą się pani wyrazy uznania, pani Smith – orzekła Fee. – Jest tu wprawdzie wyjątkowo okropnie, ale nieskazitelnie czysto. Postaram się teraz, żeby pani troska nie poszła na marne. Te przepiękne ławy bez odpowiedniego tła, to wstyd! Odkąd ujrzałam ten salon, marzyłam o takim jego urządzeniu, żeby każdy, kto tu wejdzie, wpadł w zachwyt, a jednocześnie czuł się dobrze i chciał jak najdłużej w nim pozostać.

Biurko Mary Carson było wiktoriańskim brzydactwem. Fee podeszła i trzepnęła pogardliwie ręką nieładny ciemny blat, na którym stał telefon.

– Mój sekretarzyk wspaniale się tu nada – oznajmiła. – Najpierw urządzę salon i dopiero wtedy przeprowadzę się do tego domu, ani dnia wcześniej. Musimy mieć przynajmniej jedno miejsce nie wywołujące przygnębienia. – Usiadła i zdjęła słuchawkę z aparatu telefonicznego.

Gdy córka i służące stały zbite w zdumioną gromadkę, Fee wzięła w obroty Harry'ego Gougha. Poleciała, żeby zamówił u Marka Foya próbki materiału, u Nocka i Kirby'ego próbki farb, a u braci Grace próbki tapet; inne sklepy w Sydney miały także przysłać ułożone specjalnie dla niej katalogi wyposażenia wnętrza. Niemal ze śmiechem Harry przyrzekł wystarać się o solidnego tapicera i malarzy, którzy potrafiliby sprostać wymaganiom Fee. Brawo, pani Cleary! Trzeba raz na zawsze pozbyć się Mary Carson!

Po skończonej rozmowie telefonicznej zabrano się natychmiast do zdejmowania brązowych aksamitnych kotar. Wylądowały na wysypisku śmieci w szale marnotrawstwa spowodowanym przez Fee, która nawet osobiście je podpaliła.

– Nam są niepotrzebne – rzekła. – A nie mam zamiaru unieszczęśliwiać nimi biednych w Gillanbone.

– Tak, mam – odparła Meggie jak sparaliżowana.

– Obejdziemy się bez kotar – oznajmiła Fee ani trochę nie speszona tym, że narusza współczesne kanony estetyki wnętrza. – Weranda jest tak szeroka, że słońce nigdy bezpośrednio tu nie zagląda, więc po co kotary? Chcę, żeby ten pokój był widoczny.

Przyjechały zamówione materiały, zjawili się malarze i tapicer. Meggie i Cat stojąc na drabinach myły górne okna, pani Smith i Minnie pucowały dolne, a Fee czujnym okiem doglądała wszystkiego.

Z końcem pierwszego tygodnia stycznia odnawianie zakończono i wieść o tym rozeszła się nie wiedzieć kiedy po okolicy. Pani Cleary zrobiła z salonu w Droghedzie pałacową komnatę, sama więc grzeczność nakazywała, żeby pani Hopeton wraz z panią King i Panią o'Rourke złożyły uszanowanie nowej pani domu.

Wszyscy zgodnie uznali, że efekt starań Fee był olśniewający. Kremowe dywany z Aubusson w różany wzór leżały nieregularnie na lśniącej jak lustro podłodze. Świeża kremowa farba pokryła ściany i sufit, sztukaterie i rzeźbienia starannie wyzłocono, natomiast wielkie owale na panneau wyklejono grafitowoczarным jedwabiem, drukowanym w takie same różowo-czerwone pęki róż jak na trzech dywanach, co przypominało stylizowane japońskie malowidła w kremowo-złotyach ramach. Żyrandol z Waterford obniżono, tak że dolny wisior pobrzękiwał niewiele ponad dwa jardy nad podłogą. Zwinięty uprzednio mosiężny łańcuch umocowano do ściany i wyczyszczono tysiące kryształków, które rzucały tęcze błyski. Na kremowo-złotyach stołach o cienkich nogach stały pochodzące z tej samej irlandzkiej wytwórni w Waterford lampy, popielniczki i wazony pełne kremowych i różowych róż. Duże, wygodne krzesła, obite kremową jedwabną morą, tworzyły przytulne zakątki wraz z otomanami przysuniętymi do siebie zapraszająco. W słonecznym kącie stał piękny szpinet, a na nim ogromny wazon z bukietem róż. Nad kominkiem wisiał portret babki Fee w bladuróżowej krynolinie, a naprzeciw, w drugim końcu salonu, jeszcze większy portret rudowłosej Mary Carson z czasów młodości, podobnej do młodej królowej Wiktorii, w sztywnej czarnej sukni z modną turniurą.

– Dobrze – powiedziała Fee. – Teraz możemy się przeprowadzić. Resztą pokoi zajmę się w wolnych chwilach. Prawda, jak to cudownie mieć pieniądze i porządny dom, na który można je wydać?

Jakieś trzy dni przed przeprowadzką wczesnym świtem dały o sobie znać radosnym pianiem koguty.

– Utrapione ptaszyska – rzekła Fee owijając serwis w stare gazety. – Myślą, że czegoś dokonały, i pieją bez opamiętania. Nie mamy nawet jednego jajka na śniadanie, a mężczyźni są w domu do końca przeprowadzki. Meggie, musisz mi pomóc i pójść do kur. – Rzuciła okiem na pożółkłą stronicę „Sydney Morning Herald”, prychając nad reklamą wciętych w talii gorsetów. – Nie wiem, czemu Paddy z uporem prenumeruje tyle gazet, przecież nikt nie ma czasu ich czytać. Rosną takie sterty, że nie nadażam palić nimi w piecu. Spójrz na tę! Jeszcze z czasów, zanim tu przyjechaliśmy. Dobrze chociaż, że przydają się do pakowania.

Jak to przyjemnie, kiedy mama jest taka wesoła – pomyślała Meggie zbiegając po schodach na tyłach domu i śpiesząc przez pyliste podwórko. Naturalnie, wszyscy się cieszyli, że będą mieszkać w rezydencji, ale mama tak się do tego paliła, jakby pamiętała, jak wygląda życie w takim wielkim domu. Jaka ona mądra, jaki ma wyrobiony gust! Nikt sobie dotąd nie zdawał z tego sprawy, bo nie było ani czasu, ani pieniędzy, żeby mogła pokazać, co umie. Podekscytowana Meggie skrzyżowała ręce tuląc je do siebie; tata wziął trochę z tych pięciu tysięcy funtów, żeby u jubilera w Gilly kupić dla mamy prawdziwy perłowy naszyjnik i prawdziwe perłowe kolczyki z małymi diamentkami. Zamierzał ofiarować jej ten prezent przy pierwszej kolacji w nowym domu. Oglądając twarz matki, uwolnioną od wiecznej surowości, Meggie nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć jej minę, kiedy dostanie perły. Wszystkie dzieci, od Boba do bliźniąt, cieszyły się na tę chwilę, ponieważ tata otworzył płaskie skórzane etui i pokazał im mleczne, opalizujące kulki na czarnym aksamicie. Rozkwitające szczęście matki wywarło na nich głębokie wrażenie: zupełnie jakby patrzyli na początek życiodajnej ulewy. dopiero teraz naprawdę zrozumieli, jak bardzo była nieszczęśliwa przez te wszystkie lata.

W wielkim wybiegu dla drobiu hodowano cztery koguty i przeszło czterdzieści kur. Na noc ptactwo chroniło się w lichym, ale często zamiatanym kurniku, gdzie stały wokoło wymoszczone słomą skrzynki po pomarańczach, a w głębi, na różnych wysokościach, ciągnęły się grzędy. W dzień kury przechadzały się z gdakaniem po dużym, ogrodzonym siatką wybiegu. Kiedy Meggie uchyliła furtkę i wślizgnęła się do środka, kury zbiegły się do niej łakomie, ponieważ karmiła je wieczorem, więc zaśmiała się z ich zabawnych umizgów i rozgarniając ptactwo nogą weszła do kurnika.

– Wstydziliście się, kokoszki, naprawdę! – upominała surowo, przeszukując gniazda. – Jest was czterdzieści, a jajek ledwie piętnaście! Za mało na śniadanie, nie mówiąc już o pieczeniu ciasta. Macie mi się zaraz postarać, bo inaczej ostrzegam: traficie wszystkie na pień, a to dotyczy również szanownych jegomościów, więc nie rozkładajcie ogonów i nie stroszcie piórek, mili panowie, jakby to nie o was była mowa.

Z jajkami, ułożonymi ostrożnie w fartuchu, Meggie nucąc pobiegła z powrotem do kuchni.

Na krześle Paddy’ego siedziała pobladła Fee wpatrując się w stronicę „Smith’s Weekly” i poruszając bezgłośnie wargami. Meggie słyszała, że ojciec i starsi bracia już wstali, a sześćcioletni Jim i Patsy śmieją się w łóżku – nie pozwalano im wstawać, dopóki mężczyźni nie wyjdą z domu.

– Co się stało, mamó? – spytała.

Fee milczała, siedząc sztywno ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Nad górną wargą perlił się pot, a w znieruchomiałych oczach malował rozpaczliwy, bolesny wysiłek, jakby całą swoją energię skupiła na tym, żeby nie krzyczeć.

– Tato, tato! – zawołała przestraszona Meggie.

Jej głos zabrzmiał tak, że zjawił się natychmiast, zapinając flanelowy podkoszulek, tuż za

nim wbiegli Bob, Jack, Hughie i Stu. Meggie bez słowa wskazała na matkę.

Paddy'emu serce skoczyło do gardła. Nachylił się nad Fee i wziął ją za rękę, która zwisała bezwładnie.

– Co ci jest, kochanie? – spytał łagodnie. Nigdy tak nie mówił w obecności dzieci, ale one wyczuły, że tak właśnie zwraca się do matki, kiedy jest z nią sama na sam.

Fee rozpoznała ten szczególny ton na tyle, żeby otrząsnąć się z półprzytomnego odrętwienia, i wielkimi szarymi oczyma popatrzyła na jego twarz, taką dobrą, zmęczoną i już niemłodą.

– Tutaj – powiedziała wskazując niewielką notatkę u dołu.

Stuart stanął za matką, opierając lekko rękę na jej ramieniu.

Paddy, nim zaczął czytać, spojrzął na syna, w oczy jakże podobne do oczu Fee, i skinął głową. O ile Frank wzniecał w nim zazdrość, to Stuart nigdy nie wywołał takiego uczucia: zupełnie jakby miłość do Fee zamiast rozdzielać wiązała ich jeszcze silniej.

Paddy czytał na głos, powoli, coraz smutniejszym głosem. Drobnym nagłówkiem obwieszczał: **BOKSER SKAZANY NA DOŻYWCIE.**

– Francis Armstrong Cleary, lat dwadzieścia sześć, zawodowy bokser, został dziś skazany na dożywocie przez sąd okręgowy w Goulburn za zamordowanie w lipcu tego roku Ronalda Alberta Cumminga, robotnika, lat trzydzieści dwa. Sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt po zaledwie dziesięciominutowej naradzie, zalecając wymierzenie najsurowszej kary przewidzianej prawem. Jak wyraził się sędzia FitzHugh-Cunneally, była to sprawa na jedno krótkie posiedzenie. Dwudziestego trzeciego lipca doszło do ostrej wymiany zdań między Cummingiem i Clearym w barze w hotelu „Harbor”. Późnym wieczorem tego samego dnia sierżant Tom Beardsmore, wraz z dwoma policjantami, został wezwany przez właściciela hotelu „Harbor”, pana Jamesa Oglivie. W alejce na tyłach hotelu policja natrafiła na Cleary'ego, który kopał nieprzytomnego Cumminga w głowę. Miał zakrwawione pięści, w których zaciskał kępki włosów ofiary. W chwili aresztowania Cleary był pijany, ale zachowywał świadomość. Oskarżono go o napad z zamiarem spowodowania ciężkich obrażeń ciała, ale nazajutrz, kiedy Cumming zmarł w szpitalu okręgowym na skutek urazów głowy, treść oskarżenia zmieniono na „zabójstwo”.

Pan Arthur Whyte, obrońca oskarżonego, wystąpił z wnioskiem o uniewinnienie z powodu niepoczytalności, ale czterech biegłych sądowych stwierdziło jednoznacznie, że w świetle zasad M'Naghtena nie można uznać Cleary'ego za niepoczytalnego.

Zwracając się do ławy przysięgłych sędzia FitzHugh-Cunneally nie prosił o orzeczenie: winny czy niewinny, gdyż spodziewał się orzeczenia winy, natomiast prosił, żeby przysięgli starannie rozważyli złagodzenie lub zaostrzenie kary, gdyż ich opinia miała posłużyć mu za wskazówkę. Ogłaszając wyrok, sędzia FitzHugh-Cunneally nazwał czyn oskarżonego nieludzkim bestialstwem i wyraził żal, że nie może skazać go na powieszenie, skoro dopuścił się zbrodni w stanie nietrzeźwym i bez premedytacji, uważał bowiem pięści skazanego za broń równie groźną jak nóż bądź rewolwer. Cleary został skazany na dożywotnie ciężkie roboty w okręgowym zakładzie karnym przeznaczonym dla więźniów o gwałtownym charakterze. Na pytanie, czy ma coś do powiedzenia, Cleary odparł: „Tylko nic nie mówcie mojej matce”.

Paddy spojrzął na datę u góry strony: szósty grudnia 1925 roku.

– Przeszło trzy lata temu – rzekł bezradnie.

Nikt się nie odezwał ani nie ruszył z miejsca, gdyż nikt nie wiedział, co robić. Z izby frontu dobiegał radosny śmiech rozświergotanych bliźniąt.

– Tylko nic... nie mówcie... mojej matce – powtórzyła tępo Fee. – I nikt nic nie powiedział! O Boże! Mój biedny, biedny Frank!

Paddy otarł łzy wierzchem dłoni, przykucnął przed Fee i pogłaskał ją po spódnicy.

– Fee, moje serce, zapakuj się. Pojedziemy do niego.

Uniosła się trochę, ale zaraz znów opadła na krzesło. W drobnej bladej twarzy oczy patrzyły szklisko, martwo, rozszerzone źrenice zasnuła złota mgiełka.

– Nie mogę jechać – powiedziała bez śladu bólu, lecz wszyscy odczuli jej udrękę. – Mój widok by go zabił. Och, Paddy, to by go zabiło! Tak dobrze go znam, jego dumę, ambicję, pragnienie, żeby się wybić. Niech znosi tę hańbę w samotności, jeżeli tego chce. Sam przeczytałeś: „Tylko nic nie mówcie mojej matce”. Musimy mu pomóc zachować jego tajemnicę. Cóż to pomoże jemu albo nam, że się z nim zobaczymy?

Paddy wciąż płakał, ale nie z powodu Franka, płakał, bo z twarzy Fee uciekło życie, jej oczy zgasły. Zły duch – oto czym zawsze był ten chłopak; sprowadzał nieszczęścia, zagradzał mu drogę do serca Fee, sprawiał, że skąpiła uczuć jemu i dzieciom, jego dzieciom. Za każdym razem, kiedy wydawało się, że los uśmiechnął się do Fee, Frank wszystko niweczył. Ale miłość Paddy’ego do Fee była tak głęboka i niezniszczalna jak jej miłość do Franka. Po tamtej scenie na plebanii nigdy więcej nie potraktował chłopaka jak kozła ofiarnego, odparł więc:

– Dobrze, Fee, jeżeli uważasz, że lepiej się z nim nie kontaktować, to nie będziemy o to zabiegać. Chciałbym jednak wiedzieć, czy jest zdrow i cały, czy zrobiono dla niego tyle, ile można było zrobić. Może bym napisał do księdza de Bricassart i poprosił, żeby wywiedział się o Franka?

Oczy Fee nie ożywiły się wprawdzie, ale policzki lekko poróżowiwały.

– Tak, Paddy, napisz. Ale koniecznie zaznacz, żeby nie zdradził Frankowi, że wiemy. Może będzie mu lżej żyć w przekonaniu, że nie wiemy.

Po kilku dniach Fee odzyskała w znacznym stopniu dawną energię i z uporem wzięła się za urządzenie rezydencji, ale na powrót stała się milcząca i surowa, choć nie tak ponura jak przedtem. Zdawało się, że bardziej dba o wygląd nowego domu niż o dobro rodziny. Jakby uznała, że sami sobie poradzą ze swoimi duszami, a o resztę zadba pani Smith i pokojówki.

A przecież wieść o niedoli Franka mocno odbiła się na wszystkich. Starsi chłopcy głęboko współczuli matce i nie mogli spać po nocach rozpamiętując wyraz jej twarzy w tamtej strasznej chwili. Kochali ją, zwłaszcza że przez ostatnie tygodnie oglądali matkę taką wesołą, a widok ten zapadł im w serce na zawsze napełniając ich gorącym pragnieniem przywołania tej radości z powrotem. Do tej pory ojciec był osiłą, wokół której obracało się ich życie, teraz postawili przy nim matkę. Zaczęli się do niej odnosić z czułością i oddaniem, ani trochę nie zniechęceni jej obojętnością. Wszystkich Clearych, od Paddy’ego do Stu, połączyły starania o to, żeby Fee miała wszystko, czego sobie zażyczy, wymagali też od innych podporządkowania się temu celowi. Nikomu nie wolno było wyrządzić jej najmniejszej krzywdy. Kiedy Paddy podarował jej perły, przyjęła je ze zdawkowym podziękowaniem i obejrzała bez przyjemności czy zainteresowania, a wszyscy myśleli: jakże inaczej by się zachowała, gdyby nie Frank.

Całe szczęście, że przeprowadzali się do rezydencji, bo inaczej biedna Meggie byłaby bardzo poszkodowaną. Nie dość, że nie przyjęli jej na pełnoprawną członkinię wyłącznie męskiego towarzystwa ochrony mamy (może dlatego, że nie pałała tak wielką jak inni chęcią udziału w nim), ale w dodatku ojciec i starsi bracia spodziewali się po niej, że przyjmie na siebie obowiązki niechętnie wykonywane przez Fee. Okazało się jednak, że pani Smith i pokojówki wzięły na swoje barki część tego ciężaru. Fee szczególnie niechętnie zajmowała się dwoma najmłodszymi synami, ale pani Smith z takim zapałem przejęła nad nimi opiekę, że Meggie ucieszyła się nawet, iż ci dwaj wreszcie należą do gospodyni. Meggie też współczuła matce, ale nie tak gorąco jak bracia, gdyż odczuwała wewnętrzne rozdarcie. Pokłady macierzyństwa, jakie w sobie znosiła, wywoływały w niej bunt przeciw rosnącej obojętności Fee wobec Jimsa i Patsy’ego. Kiedy ja będę miała dzieci – obiecywała sobie w duchu – to nigdy nie będę jednego syna kochała bardziej niż pozostałych.

Życie w rezydencji różniło się zdecydowanie od poprzedniego. Początkowo wydawało się

dziwne, że każdy ma swój własny pokój, a kobietom, że nie muszą się martwić o zajęcia gospodarskie czy to w domu, czy poza domem. Minnie, Cat i pani Smith radziły sobie we trzy wszystkim, od zmywania i prasowania po gotowanie i sprzątanie, i ze zgrozą przyjmowały propozycję pomocy. W księgach posiadłości notowano nie kończącą się listę wyrobników – włóczęgów, którzy najmowali się do tymczasowych prac w zamian za obfite wyżywienie i skromną zapłatę – rąbali drzewo, karmili kury i świnie, doili krowy, pomagali staremu Tomowi dbać o piękne ogrody, wykonywali cięższe prace porządkowe.

Paddy skontaktował się z księdzem Ralphem.

*Dochód z majątku Mary wynosi około czterech milionów funtów rocznie, a to dzięki temu, że Michar Limited jest spółką prywatną, której aktywa w przeważającej części zainwestowane są w huty stali, statki i kopalnie – napisał w odpowiedzi ksiądz Ralph. – Kwoty, które przeznaczyłem dla was, są zaledwie okruczem tego, co pozostawiła Mary Carson, i wynoszą mniej niż jedną dziesiątą rocznych zysków z samej Droghedy. Nie martwcie się też o chude lata. W bilansach Droghedy dochody tak przeważają nad rozchodami, że mógłbym wam płacić do końca z samych procentów, gdyby zaszła taka potrzeba. Dlatego pieniądze, które otrzymujecie, słusznie wam się należą i nie stanowią uszczerbku dla »Michar Limited«. Dostajecie pieniądze wypracowane w posiadłości, ale nie należące do spółki. Nie wymagam od was nic ponad to, żebyście rzetelnie prowadzili księgi Droghedy, dokonując bieżących wpisów, by je potem udostępnić rewidentom.*

Otrzymawszy ten list, Paddy któregoś wieczoru, kiedy wszyscy zgromadzili się w domu, urządził w salonie naradę rodzinną. Siedząc na dużym kremowym krześle, oparł wygodnie nogi na sąsiedniej otomanie, fajkę odłożył do kryształowej popielniczki, a na swój rzymski nos zatknął okulary w drucianej oprawie.

– Jak tu miło – powiedział z uśmiechem, rozglądając się wokoło z przyjemnością. – Myślę, że należy się mamie specjalne podziękowanie, prawda, chłopcy?

Rozległy się potakujące pomruki. Fee skłoniła głowę siedząc w dawnym fotelu Mary Carson, obitym kremową morą. Meggie siedziała na otomanie, ze stopami ukrytymi pod poduszką, i nie odrywała spojrzenia od skarpetki, którą cerowała.

– Ksiądz de Bricassart wszystko załatwił i okazał wielką hojność – ciągnął Paddy. – Wpłacił do banku na moje nazwisko siedem tysięcy funtów i wszystkim założył rachunki oszczędnościowe z wkładem po dwa tysiące funtów. Ja, jako zarządca Droghedy, mam otrzymywać cztery tysiące funtów rocznie, a Bob, mój zastępca, trzy tysiące funtów rocznie. Wszyscy pracujący chłopcy, Jack, Hughie i Stu, będą dostawać po dwa tysiące funtów rocznie, a Jims i Patsy po tysiącu, aż do czasu, kiedy zechcą sami decydować o swoim losie. Kiedy malcy osiągną odpowiedni wiek, będą mieli zagwarantowany roczny dochód równy uposażeniu pełnoprawnego pracownika Droghedy, nawet jeżeli nie zechcą pracować w posiadłości. Po ukończeniu dwunastego roku życia pojedą do szkoły Riverview w Sydney, a koszt internatu i nauki pokryje administrator majątku. Mama będzie miała do dyspozycji dwa tysiące funtów rocznie, podobnie Meggie. Na utrzymanie domu ksiądz przeznaczył pięć tysięcy funtów, chociaż nie mam pojęcia dlaczego uznał, że potrzeba nam aż tyle na prowadzenie gospodarstwa. Powiada, że to na wypadek, gdybyśmy chcieli wprowadzić jakieś większe zmiany. Zawiadomił mnie też, ile ma otrzymywać pani Smith, Minnie i Cat i Tom, i muszę przyznać, że ma szczodłą rękę. Wysokość innych poborów zależy ode mnie. Ale pierwsza decyzja, którą podejmuję jako rządca, dotyczy zatrudnienia dodatkowo sześciu pastuchów, żeby Drogheda była prowadzona jak należy. To za duża farma dla takiej garstki ludzi. – Był to najdłuższy komentarz, jaki kiedykolwiek wypowiedział na temat rządów siostry.

Nikt nie uwierzył własnym uszom, że tyle otrzymali pieniędzy. Wszyscy w milczeniu oswajali się z dobrą nowiną.



– Nie wydamy nawet połowy, Paddy – odezwała się Fee. – Zabezpieczył nas tak, że nie mamy na co wydawać.

– Wiem, mamó – odparł Paddy spoglądając na nią łagodnie. – Ale powiedz sama, jak to przyjemnie wiedzieć, że już nigdy nie będziemy się musieli martwić o pieniądze. – Odchrząknął. – Wydaje mi się, że w szczególności mama i Meggie nie bardzo będą miały co robić – ciągnął. – Nigdy nie miałem głowy do rachunków, ale mama umie liczyć jak nauczycielka arytmetyki. Dlatego teraz ona będzie prowadzić księgi Droghedy, a nie biuro Harry’ego Gougha. Nie przypuszczałem nawet, że Harry zatrudnił jednego urzędnika, tylko do prowadzenia rachunków Droghedy. Ponieważ akurat brakuje mu pracownika, więc chętnie powierzy nam ten obowiązek. Prawdę mówiąc, to właśnie on podpowiedział mi, że mama świetnie nadaje się na księgową. Ma przysłać kogoś z Gilly, żeby cię wszystkiego nauczyć, mamó. Podobno to dość skomplikowane. Trzeba prowadzić księgi rachunkowe, księgi kasowe, zestawiać bilanse, zapisywać najdrobniejsze szczegóły w dzienniku i tak dalej. Zajmie ci to sporo czasu, ale przynajmniej nie pochłonie tyle energii, co kiedyś gotowanie i pranie, prawda?

Meggie miała ochotę krzyknąć: „A ja?! Tyle samo narobiłam przy praniu i gotowaniu co mama!”

Fee wyraziła zadowolenie najprawdziwszym uśmiechem, pierwszym od czasu wiadomości o Franku.

– To zajęcie bardzo im odpowiada, Paddy, naprawdę. Poczuję się tak, jakbym była częścią Droghedy.

– Bob nauczy cię prowadzić nowego rollsa, bo będziesz musiała jeździć do Harry’ego i do banku w Gilly. Zresztą dobrze ci zrobi świadomość, że możesz w każdej chwili pojechać, dokąd zechcesz, nie oglądając się na żadnego z nas. Żyjemy na takim odludziu. Zawsze myślałem o tym, żeby was, dziewczyny, nauczyć jazdy samochodem, ale do tej pory nie było na to czasu. Więc jak, Fee?

– Dobrze, Paddy – odparła uszczęśliwiona.

– A teraz, Meggie, zajmijmy się tobą.

Meggie odłożyła skarpetkę z igłą do cerowania i popatrzyła na ojca pytająco, a zarazem z rozgoryczeniem, przewidując, co jej oznajmi: ponieważ mama zajmie się rachunkami, ty będziesz miała baczenie na dom i podwórze.

– Nie zniósłbym, gdybyś zamieniła się w taką próżną i zadzierającą nosa pannicę, jak niektóre znane nam córki hodowców – rzekł Paddy z uśmiechem, który odebrał jego słowom wzgardę. – Dlatego tobie również przydzielę pracę w pełnym wymiarze, moja mama. Będziesz miała pieczę nad środkowymi polami: Studnią, Strumieniem, Carson, Winnemurra i Zbiornikiem Północnym. Zajmiesz się też polem domowym. Przypilnujesz, które konie mają pracować, a które idą na popas. Oczywiście, w czasie przeglądów i kocenia się owiec wszyscy będziemy ci pomagać, ale poza tym powinnaś dać sobie radę sama. Jack nauczy cię kierować psami i używać bata. Wciąż z ciebie okropna koza, więc pomyślałem, że będziesz wolała pracę w polu od obijania się po domu – zakończył uśmiechając się od ucha do ucha.

Zaprawione goryczą niezadowolenie od razu prysło. Znow miała tatę, który ją kocha i troszczy się o nią. Co się jej stało, że w niego zwątpiła? Ze wstydu miała ochotę wbić sobie w nogę wielką igłę do cerowania, ale nadmiar szczęścia powstrzymał ją od tego, zresztą to tylko wyrzuty sumienia znalazły tak szalony wyraz w jej myślach.

– Och, tato, cudownie! – wykrzyknęła rozpromieniona.

– A co ze mną, tato? – spytał Stuart.

– Dziewczęta nie potrzebują już ciebie koło domu, więc będziesz znow pracował na polach.

– Dobrze, tato – odparł i umilkł patrząc tęsknie na Fee.

Meggie zaczęła uczyć się kierować psami, podczas gdy Fee zgłębiała tajniki buchalterii, obie też nauczyły się prowadzić nowego rolls-royce'a, dostarczonego Mary Carson na tydzień przed śmiercią.

Gdyby nie ciągnęła nieobecność Ralpha, Meggie byłaby bezgranicznie szczęśliwa. Zawsze marzyła o tym, żeby jeździć konno po polach. Ale tęsknota za Ralphem nigdy jej nie opuszczała, wspomnienie pocałunku, strzeżone jak cenny skarb, pozwalało w marzeniach przeżywać tamtą chwilę po tysiącokrotnie. Wspomnienie nie wytrzymało jednakże porównania z rzeczywistością, mimo starań nie mogła przywołać prawdziwych wrażeń, jedynie ich smutne, ulotne cienie.

Kiedy listownie zawiadomił ich o Franku, straciła nadzieję, że odwiedzi ich korzystając z pretekstu. W opisie wyprawy do więzienia w Goulburn ksiądz Ralph w starannie dobranych słowach ukrywał ból, jaki wywołało w nim spotkanie z Frankiem, i nie napomknął o jego pogłębiającym się obłędzie. Na próżno usiłował spowodować przeniesienie Franka do schroniska dla chorych umysłowo przestępców, nikt go nie chciał wysłuchać... Przekazał zatem wyidealizowany obraz Franka, pogodzonego z tym, że musi odpokutować popełniony czyn, i pokreślił fragment zawierający zapewnienie, że Frank nie wie, iż rodzina usłyszała, co się stało. Sam zapewnił Franka, że wieść doszła do niego w Sydney, dzięki lokalnym gazetom, i przyrzekł nie zawiadamiać rodziny. Kiedy Frank usłyszał tę obietnicę, wyraźnie poczuł ulgę – napisał ksiądz w liście i na tym relację zakończył.

Paddy wspominał o sprzedaniu kasztanki księdza Ralpha. Meggie korzystała z długonogiego karego wałacha, na którym jeździła kiedyś dla przyjemności, bo był bardziej miękki w pysku i miał miłsze usposobienie niż kapryśne kobyły i złośliwe wałachy w zagrodach. Konie robocze były inteligentne, ale rzadko łagodne. Nawet brak wśród nich ogierów nie wpływał na ich temperament.

– Och, proszę cię, tato, mogłabym jeździć też na kasztance! – powiedziała Meggie. – Pomyśl tylko, jakie to byłoby okropne, gdyby ksiądz Ralph po tym wszystkim, co dla nas zrobił, przyjechał w odwiedziny i zobaczył, że sprzedaliśmy jego konia!

Paddy spojrzał na nią zamyślony.

– Wątpię, Meggie, żeby ksiądz Ralph nas odwiedził.

– Ale to przecież możliwe! Nigdy nie wiadomo!

Nie wytrzymał błagalnego spojrzenia oczu tak podobnych do oczu Fee. Nie mógł sprawić jej przykrości, skoro i tak, biedactwo, cierpiała.

– No dobrze, Meggie, zatrzymamy klacz, ale musisz jeździć na niej tak samo regularnie jak na wałachu, bo nie będę trzymał w Droghedzie spasionego konia, słyszysz?

Nie lubiła przedtem dosiadać kasztanki, ale po tej rozmowie jeździła na zmianę na obu koniach, żeby miały odpowiednią porcję ruchu.

Dobrze się złożyło, że pani Smith, Minnie i Cat świata nie widziały poza bliźniakami. Dzięki temu mieli używanie, gdy Meggie wyjeżdżała na pola, a Fee godzinami przesiadywała przy sekretarzyku w salonie. Włazili wszędzie, ale tryskali przy tym taką radością, że nikt nie potrafił długo się na nich gniewać. Wieczorem w swojej chałupce pani Smith, z dawien dawna nawrócona na katolicyzm, klękała do modlitwy z sercem przepełnionym wdzięcznością i dziękczynieniem. Za życia męża nie doczekała się potomstwa, a przez wiele lat żadne dziecko nie przestąpiło progu rezydencji, gdyż jej mieszkańcom zabroniono zadawać się z rodzinami pastuchów z domów nad strumieniem. Po przyjeździe Clearych wreszcie pojawiły się dzieci. Dawało się to odczuć szczególnie teraz, kiedy Jims i Patsy zamieszkali na stałe w domu Mary Carson.

Minęła sucha zima i nie nadeszły letnie deszcze. Wysoka, bujna trawa spłowiwała i uschła w ostrym słońcu, nawet wewnątrz źdźbła kruszyło się między palcami. Patrząc na pola trzeba było mrużyć oczy pod rondem kapelusza. Trawa srebrzyła się, a pośród migotliwych niebieskich miraży buszowały powietrzne wiry, usypując coraz to nowe, nietrwałe kupki suchych liści i

połamanych traw.

Ależ to była posucha! Nawet drzewa straciły soki, a kora opadała sztywnymi łamliwymi wstęgami. Na razie nie groził owcom głód – trawy powinno wystarczyć jeszcze na rok, a może dłużej – ale nikomu nie podobała się ta martwota. Mogło się przecież darzyć, że deszcze nie spadną ani za rok, ani za dwa lata. W dobrym roku opady wynosiły od dziesięciu do piętnastu cali, w złym poniżej pięciu, a czasem tyle co nic.

Mimo upału i much Meggie kochała życie na polach, lubiła prowadzić stępa kasztankę za beczącym stadem owiec. Psy padały do ziemi z wywalonymi jęzorami, z pozoru nieuważne, ale jeśli choć jedna owca wyskoczyła ze zbitej gromady, najbliższy pies rzucał się do niej z mściwym zacięciem i chwycił ostrymi kłami kopytko.

Meggie nadjechała na czele stada – co za ulga po kilku milach łykania kurzu wzbijanego przez owce – i otworzyła bramę. Odczekała cierpliwie, aż psy, zachwycone, że mogą się wykazać, przegonią owce na drugie pole. Trudniej było gonić bydło, bo woły wierzgały i szarżowały, nieraz uśmiercając nieostrożnego psa, ale psy uwielbiały tę niebezpieczną robotę. Nie wymagano jednak od Meggie, żeby pędziła bydło, tym zajmował się Paddy.

Psy wciąż fascynowały Meggie nieprzeciętną inteligencją. Najwięcej było w Droghedzie pospolitych, złotobrazowych owczarków o beżowych łapach, piersiach i brwiach, zdarzały się także większe psy queenslandzkie, stalowoszare, czarno cętkowane, oraz najrozmaitsze mieszańce. Suki, kryte planowo w czasie ciecarki pęcniwały i szczeniły się. Podrośnięte i odłączone od matki szczenięta wypróbowywano na polach. Jeżeli się sprawdziły, trzymano je lub sprzedawano, jeżeli nie, zabijano.

Przywoławszy gwizdnięciem psy do nogi, Meggie zamknęła za stadem bramę i skierowała kasztankę w stronę domu. Nie opodal rósł las eukaliptusów – włóknistopiennych, twaropiennych i ciemnolistnych – urozmaicony tu i ówdzie wilgami. Meggie z ulgą skryła się w jego cieniu i rozglądając się, syciła oczy otaczającym ją widokiem. Na drzewach roiło się od papuzek, skrzeczących i wygwizdujących parodie ptasich treli. Inne drobne ptactwo podfruwało z gałęzi na gałą. Dwie żółtoczube kakadu siedziały z głowami przekrzywionymi na bok i nie spuszczały z niej błyszczących oczu. Pliszki trzęsiogonki grzebały w ziemi w poszukiwaniu mrówek, podrygując śmiesznymi kuperkami. Wrony krakały posepnie. Ich wrzask raził uszy jak żaden inny w całym ptasim repertuarze buszu. Odarty z radości, rozpaczliwy i budzący trwogę, mówił o gnijącym ścierwie i objadających je muchach. Nie sposób było wyobrazić sobie wronę śpiewającą jak dzwonec, jej głos i charakter pasowały do siebie idealnie.

Oczywiście wszędzie roiło się od much. Meggie nosiła kapelusz z woalką, ale ręce miała pozbawione jakiegokolwiek osłony. Kasztanka chlastała bez przerwy ogonem, a mięśnie drgały jej od ciągłych dreszczy. Meggie zdumiewało, że koń nawet przez grubą skórę i sierść wyczuwa taki lekki drobiazg jak muchy. Uprzykrzone owady spijały pot koński i ludzki. Jedynie owce pozwalały się wykorzystywać do intymniejszych celów: muchy składały jajka wokół zadu i wszędzie tam, gdzie runo było wilgotne i brudne.

W powietrzu huczały pszczoły, skrzyły się szybkie ważki poszukujące wody, migotały bajecznie kolorowe motyle. Klacz trąciła kopytem butwiejący pień, Meggie wlepiła wzrok w odsłonięty spód i przeszły ją ciarki. Ruszało się tam robactwo – tłuste, białe, obrzydliwe larwy, stonogi, wiję i pająki. Z nor wyskakiwały króliki, harcowały i z powrotem dawały nura, łyskając białymi pyszczkami. Nieco dalej przerwał poszukiwanie pożywienia mrówkojad. W panice grzebał mocnymi, uzbrojonymi w pazury łapami tak szybko, że po chwili zniknął pod zwałonym pniem. Zabawnie wyglądał ten szalony podkop – ostre kolce mrówkojada przylegały do tułowia, żeby łatwiej mu było wślizgnąć się do dziury, ziemia fruwała usypując się w kopczyki.

Meggie wyjechała z lasu na główny szlak prowadzący do domu. Pylisty drogę pokrywała szara płachta. To żerowały papugi *galah*, ale spłoszone poderwały się gromadą w powietrze.

W jednej chwili nad głową Meggie rozlała się ciemnoróżowa fala, piersi i spody skrzydeł uniosły się, a szarość, jak za skinieniem magicznej pałeczki, zamieniła się w różowy karmazyn. Gdybym musiała jutro opuścić Droghedę – pomyślała – oglądałabym ją we wspomnieniach na tle różowej chmury szybujących ptaków... Dalej w stepie musi być już bardzo sucho, coraz więcej kangurów...

Pasące się spokojnie stado kangurów, liczące na oko ze dwa tysiące sztuk, przestraszone przez papugi, oddaliło się zgrabnymi susami, połykając odległość szybciej niż jakiegokolwiek inne zwierzę oprócz emu. Nawet konie nie mogły dotrzymać kroku kangurom. Obserwując z zachwytem przyrodę, Meggie jak zwykle pomyślała o Ralphie. Nie określała nigdy swojego uczucia pensjonarskiego zadurzenia, nazywała je po prostu miłością, tak jak w książkach. Zaobserwowane objawy nie różniły się niczym od tego, co opisywała Athel M. Dell przedstawiając swoje bohaterki. Nie wydawało jej się sprawiedliwe, żeby taka sztuczna bariera jak stan kapłański mogła stanąć pomiędzy nią a tym, czego pragnęła: żeby został jej mężem, żeby żyli w harmonii jak tata z mamą, żeby uwielbiał ją jak tata mamę. Mama nie zabiegała o to uwielbienie, a przecież tata czcił ją i szanował. Ralph wkrótce by się przekonał, o ile lepiej jest żyć razem z nią niż samotnie, nie przyszło jej bowiem na myśl, że Ralph w żadnych okolicznościach nie mógłby porzucić stanu kapłańskiego. Owszem, wiedziała, że można mieć księdza za męża czy kochanka, ale nauczyła się omijać tę przeszkodę w wyobraźni, pozabawiając Ralpha księżej godności. Jej wychowanie religijne nie objęło istoty ślubów kapłańskich, a sama nie zagłębiała się w te kwestie, bo nie czuła potrzeby. Nie czerpała otuchy z modlitwy, ale stosowała się do zaleceń Kościoła ze strachu przed ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem.

Dziś roiała sobie, że żyją razem i śpią jak tata z mamą. Myśl o jego bliskości tak ją podniecała, że zaczęła wiercić się w siodle. Wyobrażała sobie grad pocałunków, nie znając innego wyrazu uczuć. Objeżdżanie pól nie poszerzyło jej wiedzy o sprawach płci, gdyż każde zwierzę wyczuwając z daleka choćby jednego psa, traciło ochotę na spółkowanie, a poza tym, jak na wszystkich farmach, nie dopuszczano do bezplanowego krycia. Kiedy posyłano barany do owiec, Meggie wyprawiano gdzie indziej, a widok psa wskazującego na grzbiet drugiego był jedynie sygnałem, że należy przerwać „zabawę” śmignięciem bata.

Czy ktoś może osądzić, co gorsze: niesprecyzowana tęsknota, której towarzyszy niepokój i drażliwość, czy też określone pragnienie, żeby je zaspokoić. Biedna Meggie tęskniła, sama nie wiedząc dobrze za czym, a nieubłagana siłą ciągnęła ją do Ralpha de Bricassart. Marzyła o nim i bolała, iż mimo deklarowanej miłości, tak mało dla niego znaczy, że nigdy nie przyjeżdża.

Na takich rozmyślaniach zastał ją Paddy, wracający tą samą drogą do domu. Meggie ściągnęła cugle i czekała z uśmiechem, aż stary deresz zrówna się z jej kłaczą nie pierwszej już młodości.

– Jaka miła niespodzianka – powiedział Paddy jadąc stępa.

– Tak – odparła. – Czy tam dalej też jest tak sucho?

– Chyba nawet bardziej. Boże jedyny, w życiu nie widziałem tylu kangurów! Koło Milparinki musi być strasznie sucho. Martin King wspominał coś o wielkim polowaniu, ale nawet karabinami maszynowymi nie udało się ich przetrzebić.

Jaki tata był miły, przewidujący, dobry i kochany! Rzadko zdarza się okazja, żeby pobyć z nim trochę sam na sam. Niewiele myśląc, Meggie zadała pytanie, które gryzło ją, mimo że wciąż się w duchu pocieszała.

– Tato, dlaczego ksiądz Ralph ani razu nas nie odwiedził?

– Jest zajęty, Meggie – odparł Paddy nieufnie.

– Ale przecież nawet księża mają urlopy. Tak kochał Droghedę, że na pewno chcialby tu przyjeżdżać na wypoczynek.

– Księża mają urlopy, Meggie, ale nigdy nie są zwolnieni ze służby. Na przykład

codziennie, przez całe życie, odprawiają mszę, nawet jeżeli są zupełnie sami. Myślę, że ksiądz Ralph de Bricassart jest bardzo młodym człowiekiem i wie, że nie można wrócić do przeszłości. Gdyby przyjechał, pobyt tutaj nie sprawiłby mu takiej przyjemności jak dawniej.

– Chcesz powiedzieć, że o nas zapomniał – rzekła głucho.

– Gdyby tak było, nie pisałby często i nie wypytywał o każdego z nas. – Paddy spojrzął na córkę ze współczuciem. – Uważam, że najlepiej będzie, jeżeli nigdy nie przyjedzie, więc go nawet nie zapraszam.

– Tato!

Paddy wprowadził konia do mętnej wody.

– Posłuchaj, Meggie, źle robisz snując marzenia o księdzu, czas najwyższy, żebyś to zrozumiała. Umiałaś zachować to w tajemnicy i pewnie nikt nie wie, co do niego czujesz, ale mnie wystarczyło parę twoich pytań. Weź to sobie do serca: musisz przestać, słyszysz? Ksiądz de Bricassart złożył święte śluby, których nie złamię, a ty opacznie zrozumiałaś jego sympatię do ciebie. Poznał cię, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką. I tak ciebie traktuje do dziś.

Nie odpowiedziała ani nie zmieniła wyrazu twarzy. Zupełnie jak Fee – pomyślał. – Wykapana matka.

Po jakimś czasie odezwała się napiętym głosem:

– Mógłby przestać być księdzem. Nie mam nawet okazji z nim o tym porozmawiać.

Zgorszenie, malujące się na twarzy Paddy'ego, nie mogło być udawane i bardziej przekonało Meggie niż gwałtowne słowa, które usłyszała.

– Meggie! Dobry Boże, do czego prowadzi życie w buszu! Powinnaś chodzić do szkoły i gdyby ciotka Mary wcześniej umarła, wyprawilibyśmy cię na kilka lat do Sydney. Ale teraz już za późno. Śmialiby się z ciebie, moje dziecko, a ja na to nie mogę pozwolić. – Mówił dalej bez wzburzenia, rozdzielając słowa tak, żeby nabrały dominującej wyrazistości, choć nie zamierzał ostro z nią rozmawiać, jedynie raz na zawsze rozwiać niepotrzebne złudzenia. – Ksiądz de Bricassart jest kapłanem, Meggie. Nigdy, przenigdy nie może przestać nim być, rozum. Śluby, które złożył, są święte i nienaruszalne. Dla duchownego nie ma odwrotu i przed złożeniem ślubów wie dokładnie, do czego się zobowiązuje. Ktoś składający takie śluby ma pełną świadomość, że nie może ich złamać. Ksiądz de Bricassart też złożył śluby i nigdy ich nie złamię. – Westchnął. – Teraz już wiesz, Meggie? Od tej chwili nie wolno ci marzyć o księdzu de Bricassart.

Pojechali do domu od frontu, więc stajnie znajdowały się bliżej niż zagrody, Meggie bez słowa skierowała kasztankę do stajni zostawiając ojca samego. Przez chwilę patrzył za nią, ale kiedy zniknęła za płotem, uderzył deresza piętami i pogalopował z nienawiścią myśląc o sobie i całej przemowie. Do diabła z męsko-damskimi sprawami! Wydawało się, że rządzą nimi prawa sprzeczne z wszelkimi innymi.

Ksiądz de Bricassart przemawiał tonem chłodnym, ale cieplejszym niż jego wzrok, którym wpatrywał się w bladą twarz młodego kapłana słuchającego surowej reprimendy.

– Twoje postępowanie jest niezgodne z tym, czego Jezus Chrystus, nasz Pan, wymaga od swoich kapłanów. Myślę, że sam rozumiesz lepiej niż my, którzy cię ganimy, mimo to muszę udzielić ci nagany w imieniu arcybiskupa, który jest nie tylko takim samym kapłanem jak ty, ale również twoim zwierzchnikiem. Jesteś mu winien bezwzględne posłuszeństwo, zatem nie możesz kwestionować jego decyzji. Czy rozumiesz, jaką hańbę sprowadziłeś na siebie, na swoją parafię, a zwłaszcza na Kościół, który, jak twierdzisz, miłujesz nade wszystko? Ślub czystości był tak samo uroczysty i wiążący jak inne śluby, a złamanie jednego z nich to ciężki grzech. Oczywiście nie zobaczysz już nigdy tej kobiety, a do nas należy przyjść ci z pomocą, byś pokonał pokuszenie. Wyjedziesz natychmiast i podejmiesz obowiązki w parafii Darwin w Terytorium Północnym. Dziś wieczorem udasz się ekspresem do Brisbane, a stamtąd, również

pociągiem do Longreach. Z Longreach polecisz samolotem do Darwin. W tej chwili pakowane są twoje rzeczy, które zostaną doręczone do ekspresu, nie ma więc potrzeby, żebyś wracał do swojej obecnej parafii. Razem z księdzem Johnem pójdziesz teraz do kaplicy pomodlić się. Pozostaniesz tam do czasu, kiedy trzeba będzie wyjść do pociągu. Dla podtrzymania cię na duchu ksiądz John będzie ci towarzyszył do Darwin. Możesz odejść.

Księża w administracji kościelnej byli mądrzy i przewidujący. Ralph wiedział, że nie dopuszczą do tego, by winowajca mógł się porozumieć z dziewczyną, którą wziął sobie za kochankę. Żenujący skandal – myślał. Cała parafia aż trzęsie się od plotek. A dziewczyna niech sobie czeka. Od tego momentu aż do przyjazdu do Darwin młody ksiądz pozostanie pod dozorem wypróbowanego księdza Johna, który otrzymał stosowne polecenia. Wszystkie listy, które wyśle z Darwin będą otwierane, a zamawianie międzymiastowych rozmów telefonicznych – zabronione. Dziewczyna nie dowie się, dokąd pojechał, a on sam nie będzie mógł jej zawiadomić. Nie będzie też miał sposobności znaleźć sobie innej. Darwin to miasto pogranicza, praktycznie nie ma tam kobiet. Jego śluby obowiązują bezwzględnie, nie może z nich zostać zwolniony. Jeżeli jest za słaby, żeby sam siebie pilnować, Kościół musi go w tym wyręczyć.

Odprowadził wzrokiem młodego księdza i przydzielonego mu cerbera, po czym wstał od biurka i przeszedł do drugiej komnaty. Arcybiskup Cluny Dark zajmował ten sam co zwykle fotel, a prostopadle do niego siedział w milczeniu drugi dostojnik. Postawny arcybiskup o bujnych siwych włosach i wyrazistych błękitnych oczach był człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru, pełnym życia i smakoszem. Gość stanowił całkowite jego przeciwieństwo; był niski i chudy, spod piuski wymykały mu się rzadkie ciemne kosmyki, a z ascetycznej twarzy o niezdrowej cerze i z cieniem zarostu spoglądały duże ciemne oczy. Mógł mieć równie dobrze trzydzieści, jak pięćdziesiąt lat, w rzeczywistości miał trzydzieści dziewięć, czyli o trzy więcej niż ksiądz de Bricassart.

– Zapraszam na herbatkę, księżo prałacie – rzekł serdecznie arcybiskup. – Już myślałam, że trzeba będzie prosić o świeżą esencję. Czy udzielił ksiądz temu młodemu odpowiedniej przestrogi, by wyprostował swoje ścieżki?

– Tak, Wasza Miłość – odparł krótko ksiądz Ralph i zajął trzeci fotel przy stoliku, na którym piętrzyły się kanapki z ogórkiem, ciasteczka lukrowane na biało i różowo, ciepłe bułeczki z masłem, stały kryształowe spodki z dżemem i bitą śmietaną, srebrny serwis do herbaty i złożone porcelanowe filiżanki z Aynsley.

– Incydent godny ubolewania, drogi księżo arcybiskupie – powiedział gość. – Niestety, nawet my, wyświęceni na kapłanów umiłowanego Pana naszego, jesteśmy obarczeni ludzkimi słabościami. Z głębi serca mu współczuję i będę się dziś modlił za niego, żeby w przyszłości znalazł w sobie więcej siły.

Po jego miękkiej, lekko syczącej wymowie od razu można było poznać obcokrajowca. Był Włochem, nosił tytuł arcybiskupa, legata papieskiego przy australijskim Kościele katolickim i nazywał się Vittorio Scarbanza di Contini-Verchese. Pełnił delikatną funkcję łącznika między hierarchią australijską a Watykanem, innymi słowy, był najważniejszym duchownym w tej części świata.

Zanim wyznaczono go na to stanowisko, liczył na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ale po zastanowieniu uznał, że Australia ma swoje zalety. Wprowadzie było to państwo o znacznie mniejszej liczbie ludności, choć nie mniejszym terytorium, ale o wiele bardziej katolickie. W przeciwieństwie do reszty anglojęzycznego świata w Australii wyznawanie katolicyzmu nie umniejszało wartości człowieka, nie utrudniało kariery politykowi, biznesmenowi czy sędziemu. A przy tym kraj bogaty, hojny dla Kościoła. Mógł się nie obawiać, że Rzym o nim zapomni.

Ostrożny i przezorny legat obserwował znad ozłoczonej filiżanki księdza Ralpha de Bricassart, który miał wkrótce zostać jego sekretarzem. Wiadomo było, że arcybiskup Dark

ogromnie polubił tego księdza, ale legat zastanawiał się, na ile mu taki człowiek przypadnie do gustu. Ci wysocy australijscy księża irlandzkiego pochodzenia tak bardzo nad nim górowali. Miał dość ciągłego zadzierania głowy, żeby zajrzeć im w twarz. Do swojego obecnego przełożonego ksiądz de Bricassart odnosił się bez zarzutu: swobodnie i z szacunkiem, a zarazem po męsku, z humorem. Jak przystosowałby się do innego przełożonego? Przyjęło się, że na sekretarza legata wyznaczano duchownego włoskiego, ale Watykan bardzo się interesował księdzem Ralphem de Bricassart. Nie dość, że wyróżniała go zamożność (wbrew powszechnemu mniemaniu zwierzchnicy nie mieli prawa przejąć jego majątku, a on sam nie wyraził chęci zrezygnowania z niego), to jeszcze własnym staraniem wzbogacił Kościół o wielką fortunę. Watykan zadecydował więc, że legat weźmie tego młodego człowieka na sekretarza i dokładnie mu się przyjrzy.

W przyszłości Ojciec Święty zechce nagrodzić Kościół australijski kapeluszem kardynalskim, ale nastąpi to nieprędko. Do legata należało przyglądanie się młodym księżom: wśród nich najpoważniejszym kandydatem był niewątpliwie ksiądz de Bricassart. Niech i tak będzie. Niech ksiądz de Bricassart spróbuje zrobić dobre wrażenie na Włochu. To może okazać się interesujące. Ale żeby był choć odrobinę niższy!

Popijając z ulgą herbatę, ksiądz Ralph zachowywał niezwykle milczenie. Legat zwrócił uwagę, że ksiądz zjadł jedną trójkątną kanapkę, gardząc innymi smakołykami, ale wypił jedną po drugiej cztery filiżanki herbaty bez cukru i mleka. Tak właśnie napisano w opinii o nim: wstrzemięźliwy w życiu codziennym, a jedyną jego słabością jest dobry i szybko samochód.

– Ksiądz nosi nazwisko francuskie, a jest ponoć Irlandczykiem – rzekł legat. – To bardzo dziwne. Czyżby pochodził ksiądz z francuskiej rodziny?

Ksiądz Ralph potrząsnął głową z uśmiechem.

– To nazwisko normandzkie, Wasza Miłość, stare i szanowane.

Jestem potomkiem w prostej linii niejakiego Ranulfa de Bricassart, barona na dworze Wilhelma Zdobywcy. W tysiąc sześćdziesiątym szóstym mój przodek brał udział w podboju Anglii, gdzie osiedlił się jeden z jego synów. Bricassartom wiodło się dobrze pod panowaniem normandzkich królów Anglii, a za Henryka IV kilku z nich przepłynęło się przez morze i osiadło na terenach opanowanych przez Anglików. Kiedy Henryk VIII oderwał Kościół anglikański od Rzymu, zachowaliśmy wiarę Wilhelma, bo czuliśmy się zobowiązani do posłuszeństwa przede wszystkim wobec Rzymu, nie Londynu. Po utworzeniu przez Cromwella republiki utraciliśmy ziemie i tytuły, których już nam nie przywrócono. Cromwell obdarował irlandzką ziemią angielskich protegowanych. Nienawiść Irlandczyków do Anglików nie jest, jak widać, bezpodstawna. Nasz ród popadł we względne zapomnienie, zachowując lojalność wobec Kościoła i Rzymu. Mój starszy brat prowadzi stadninę w hrabstwie Meath i chciałby dochować się zwycięzcy wyścigów w Wielkiej Narodowej. Ja jestem drugim z kolei synem. W rodzinie utrzymała się tradycja, że drugi syn zostaje duchownym, jeżeli czuje do tego powołanie. Jestem bardzo dumny ze swego nazwiska i pochodzenia. Ród de Bricassartów przetrwał tysiąc pięćset lat.

To świetnie! – pomyślał legat. – Stare arystokratyczne nazwisko. Rodzina, która mimo emigracji i prześladowań zachowała wiarę przez wieki.

– A imię Ralph?

– Skrót od Ranulfa, Wasza Miłość.

– Rozumiem.

– Będzie mi bardzo księdza brakowało – oznajmił arcybiskup Dark, nakładając dżem i bitą śmietaną na połówkę bułeczki, którą na raz wsunął do ust.

Ksiądz Ralph roześmiał się.

– Wasza Miłość zapędza mnie w kozi róg! Jeżeli mam odpowiadać siedząc między dawnymi i nowymi przełożonymi, muszę urazić albo jednego, albo drugiego. Czy wolno mi zatem powiedzieć, że będę tęsknił za Waszą Miłością, ciesząc się równocześnie na służbę u

Waszej Miłości?

Odpowiedź godna dyplomaty – pomyślał arcybiskup di Contini-Verchese. – Przyda mi się taki sekretarz. Szkoda tylko, że nazbyt przystojny.

Ksiądz Ralph znów pogrążył się w milczeniu, patrząc na stolik niewidzącym wzrokiem. Miał przed oczami młodego księdza, którego dopiero co ukarał, jego udręczone oczy zamarłe raptem, kiedy pojął, że nie pozwoli mu nawet pożegnać się z ukochaną. O Boże, a gdyby to był on i Meggie? Zachowując dyskrecję, można się z tym kryć przez jakiś czas, nawet całe życie – ograniczając się do kontaktów z kobietami w czasie corocznych urlopów z dala od parafii, ale poważne uczucie do jednej kobiety prędzej czy później zostanie wykryte. Zdarzało się, że klęcząc aż do bólu na marmurowej posadzce w kaplicy pałacu arcybiskup z trudem powstrzymywał się od tego, żeby złapać najbliższy pociąg do Gilly. Tłumaczył sobie, że padł ofiarą samotności, że brak mu ciepła, jakiego zaznał w Droghedzie. Tłumaczył sobie, że nic się nie zmieniło przez to, że uległ chwilowej słabości i pocałował Meggie, że jego miłość do niej pozostała w sferze platonicznych zachwyty, odmiennych od niepokojącego doznania pełni. Nie mógł przyznać, że cokolwiek się zmieniło, myślał więc o Meggie jak o małej dziewczynce, nie dopuszczając do siebie innych wyobrażeń.

Mylił się. Ból nie tylko nie ustawał, ale nieprzyjemnie się nasilał. Przedtem jego samotność była bezimienna, nie potrafiłby wskazać kogoś, kto by ją rozproszył. Teraz samotność nosiła imię Meggie. Meggie, Meggie, Meggie...

Otrząsając się z zadumy spostrzegł, że arcybiskup di Contini-Verchese utkwiał w nim badawcze spojrzenie, a jego duże ciemne oczy wydały mu się niebezpiecznie wszystkowiedzące. Ksiądz Ralph był za mądry na to, by udawać, że zamyślił się bez przyczyny, więc odwzajemnił się przyszłemu przełożonemu równie przenikliwym spojrzeniem, uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: każdy czymś się smuci, to nie grzech.

– Proszę mi powiedzieć, czy raptowne załamanie w gospodarce wpłynęło na powierzony księdzu majątek? – spytał włoski dostojnik.

– Na razie nie mamy powodu do zmartwień, Wasza Miłość. Michar Limited niełatwo ulega wahaniom na rynku. Przypuszczam, że najwięcej stracą ci, którzy nie poczynili tak starannych inwestycji jak pani Carson. Oczywiście Drogheda wypadnie gorzej, bo cena wełny wciąż spada. Ale pani Carson nie utopiła wszystkich pieniędzy w hodowli, przezornie wybrała pewniejszą branżę metalową. W moim przekonaniu teraz jest znakomita pora na wykup ziemi, nie tylko farm na prowincji, ale domów i placów w większych miastach. Ceny są śmiesznie niskie, ale nie zawsze takie będą. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli w przyszłości stracić na nieruchomościach. Wielki Kryzys kiedyś się skończy.

– Owszem – przyznał legat. A więc ksiądz de Bricassart miał zadatki nie tylko na dyplomatę, ale również na biznesmena! Doprawdy, Rzym nie powinien go tracić z oczu.



## Rozdział dziewiąty

Był rok 1930 i Drogheda odczuła skutki Wielkiego Kryzysu. W całej Australii byli bezrobotni. Ci, którzy czuli się na siłach, porzucali daremne poszukiwanie pracy i przestawali płacić czynsze. Pozostawione własnemu losowi żony i dzieci przenosiły się do komunalnych drewniaków dla bezdomnych i ustawiały w kolejce po zasiłek. Ich mężowie i ojcowie pakowali niezbędne rzeczy do derki, zarzucali na plecy i ruszali na szlak licząc, że w farmach dostaną przynajmniej żywność, jeżeli nie pracę. Lepiej było wędrować z małym tobołkiem przez busz niż gnuśnieć w Sydney.

Wobec niskich cen żywności Paddy porobił duże zapasy w spiżarniach i magazynach Droghedy. Każdemu przybyszowi napełniano torbę jedzeniem. Korowód włóczęgów nie ustawał: po gorącym posiłku, obładowani zapasami na drogę, nie chcieli zostać dłużej. Nie wszędzie przyjmowano ich tak gościnnie jak w Droghedzie, więc tym dziwniejsze wydawało się, że żaden z nich nie zagrzewał tu dłużej miejsca. Może gnała ich na szlak bezcelowości i znużenie życiem bez własnego domu? Czasami znajdowano trupa i grzebano zanim wrony i dzikie świnie pozostawiłyby z niego same kości. Busz był rozległą, odludną krainą.

Stuart znów zamieszkał na stałe w domu, a strzelba znajdowała się zawsze w pobliżu drzwi do kuchni. Łatwo było o dobrego pastucha i Paddy zatrudnił dziewięciu, kwaterując ich w starym baraku dla fryców. Fee nie zostawiała teraz nigdy pieniędzy na wierzchu i poprosiła Stuarta, żeby zrobił skrytkę za ołtarzykiem w kaplicy. Włóczędzy na ogół nie byli złymi ludźmi. Ci woleli zostać w miastach, bo życie na szlaku było proste, samotnicze i niewiele dawało sposobności do kradzieży. Nikt jednak się nie dziwił, że Paddy na wszelki wypadek pilnuje swoich kobiet. Szeroko znana Drogheda mogła przyznać paru niepożądanych łazików.

Tej zimy nadeszły gwałtowne burze, kilka suchych, kilka z deszczem, a wiosną i latem napadało tak obficie, że trawa wyrosła bujna i wysoka jak nigdy.

Przy kuchennym stole u pani Smith Jims i Patsy trudzili się nad lekcjami kursu korespondencyjnego i opowiadali sobie o tym, jak to będzie, kiedy pojedą do szkoły z internatem w Sydney. Ponieważ pani Smith gniewała się, słysząc takie rozmowy, nauczyli się nie wspominać przy niej o wyjeździe z Droghedy.

Znów powróciła susza. Wybijała trawa kompletnie wyschła i skruszała w bezdeszczowe lato. Nawykli przez dziesięć lat do ciągłej huśtawki pogody, Cleary'owie wzruszali ramionami i pracowali, jakby liczył się tylko dzisiejszy dzień. Najważniejsze to przetrwać od jednego dobrego roku do drugiego, choć nigdy nie wiedzieli, kiedy on nastąpi. Nikt nie potrafił przewidzieć deszczu. Niejaki Inigo Jones w Brisbane nieźle sobie radził z długoterminowymi prognozami pogody, wykorzystując obserwacje plam na słońcu, ale tu, na równinach, nikt nie dawał wiary jego nowoczesnym wróżbom. Mogły się do niego zwracać przyszłe panny młode z Sydney i Melbourne, mieszkańcom równin wystarczało znajome rwanie w kościach.

Zimą 1932 roku znów szalały suche burze i dokuczało zimno, ale bujna trawa chroniła przed kurzem i much było mniej niż zwykle. Niewielka pociecha dla świeżo wystrzyżonych, marznących owiec. Pani O'Rourke, która mieszkała w niepozornym drewnianym domu, lubiła zapraszać gości z Sydney. Gwoździem programu była wizyta w Droghedzie dla pokazania, że nawet na dalekich równinach ludzie żyją wytwornie. Rozmowa schodziła zawsze na chude, przypominające zmokłe kury owce, pozbawione na zimę pięciu, sześciu cali wełny, która miała im odrosnąć akurat na letnie upały – jak z powagą wyjaśnił Paddy jednemu z gości. Zapewniało to dobrą jakość owczego runa. Liczyła się wełna, nie owce. Niedługo po tej wizycie „Sydney Morning Herald” wydrukował list, w którym czytelnik domagał się, żeby parlament natychmiast uchwalił ustawę kładącą kres „okrucieństwu hodowców”. Biedna pani O'Rourke zamarła ze zgrozy, ale Paddy śmiał się do rozpuku.

– Dobrze, że ten tępy baran nie widział, jak postrzygacz rozpruwa owcy brzuch i zszywa go grubą igłą – pocieszał zakłopotaną panią O'Rourke. – Nie warto czymś takim się przejmować, droga pani. W mieście ludzie nie wiedzą, jak żyją sąsiedzi, ale stać ich na luksus rozpieszczania zwierząt, jakby to były dzieci. U nas jest inaczej. Każdy może liczyć na pomoc, jeżeli jej potrzebuje, a w mieście ci sami ludzie, którzy rozczulają się nad zwierzętami, nie zwrócą uwagi na wołanie człowieka.

– Mąż ma rację, proszę pani – odezwała się Fee unosząc głowę. – Wszyscy gardzimy tym, czego mamy w nadmiarze. Tutaj owcami, a w mieście ludźmi.

Kiedy rozszalała się wielka sierpniowa burza, tylko Paddy przebywał z dala od domu. Zsiadł z konia, uwiązał go do drzewa i usadowił się pod wilgą, żeby przeczekać. Obok niego kuliło się ze strachu pięć psów, a owce, które chciał przegonić na inne pole, rozbiegły się we wszystkie strony. Straszliwa burza jakby czekała na to, żeby wyładować nagromadzoną furię właśnie w tym miejscu. Paddy zatkał uszy palcami, zamknął oczy i modlił się.

Nie opodał wilgi, której obwisłe liście szeleściły na wietrze sterczało kilka martwych kikutów, a parę innych drzew leżało pośród wysokiej trawy. Nad białymi drewnianymi szkieletami górował uschły eukaliptus, którego nagi pień wygrażał czarnym chmurom poharatany szpicem.

Niebieski płomień rozjarzył się tak jaskrawo, że przeniknął zamknięte powieki. Paddy zerwał się na równe nogi, ale wstrząs wybuchu cisnął nim jak zabawką, twarzą do ziemi. Podniósł głowę i ujrzał konającą błyskawicę – świetliste aureole wokół eukaliptusowej włóczni. Wtem, ledwie zrozumiał, co się dzieje, wszystko stanęło w ogniu. Ze spróchniałych drzew dawno temu wyparowała ostatnia kropla wilgoci, a rosnąca wokoło trawa była sucha jak pieprz. Uragając niebu, olbrzymi eukaliptus strzelił słupem ognia, w tym samym momencie zapaliły się mniejsze pniaki, a od tego centrum mieciony wiatrem pożar rozprzestrzenił się kuliście. Paddy nie zdążył nawet dobiec do konia.

Wysuszona wilga zajęła się płomieniem i żywiczne serce pękło z hukiem. Ze wszystkich stron otoczyły Paddy'ego ściany ognia. Płonęły drzewa, strzelała płomieniami trawa u jego stóp. Słyszał paniczne rzenie i ścisnęło mu się serce; nie mógł pozwolić, żeby biedne zwierzę zginęło uwiązane i bezbronne. Pies zawył i wrzasnął z bólu niemal ludzkim głosem. Przez chwilę skakał zamieniony w żywą pochodnię, potem padł na płonąca trawę. Inne psy wyły uciekając, ale dogonił je pożar pędzący jak na skrzydłach. W ułamku sekundy, kiedy Paddy decydował, którądy najlepiej dotrzeć do konia, osmalił mu włosy ognisty meteor. Spojrzał w dół i zobaczył piekącą się na ziemi kakadu.

Raptem zrozumiał, że to koniec. Nie było ucieczki z tego piekła. W tym momencie uschły eukaliptus za jego plecami, rozsadzany przez eksplodującą żywicę, strzelił płomieniami na wszystkie strony. Skóra na rękę Paddy'ego poczerniała i skurczyła się. Nieopisana śmierć, ogień trawiący powłokę, zanim ustanie serce i mózg. W płonącym ubraniu Paddy miotał się ze straszliwym krzykiem, wołając imię żony.

Pozostali Cleary'owie i wszyscy pracownicy wrócili do Droghedy przed burzą, zostawili konie w zagrodzie i rozeszli się do domów. W jasno oświetlonym salonie, przy ogniu trzaskającym na marmurowym kominku, bracia usiedli wsłuchując się w burzę i nie mając ochoty jak dawniej wyjść i popatrzeć. Drażnił ich przyjemnie ostry aromat płonących eukaliptusowych polan i nęciły kanapki i ciastka naszykowane na podwieczorek. Nikt nie spodziewał się, że Paddy zdąży wrócić do domu.

Okolo czwartej chmury odpłynęły na wschód i wszyscy odetchnęli. Nie sposób było beztrąsko wypoczywać podczas suchej burzy, chociaż wszystkie budynki w Droghedzie miały piorunochrony. Jack i Bob wstali, oznajmiając, że idą zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Spójrz! – powiedział Bob wskazując na zachód.

Ponad drzewami okalającymi obejście rozkładał się brunatny całun dymu, szarpany po

brzegach na strzępy przez wichurę.

– Chryste Panie! – krzyknął Jack i pobiegł do telefonu.

– Pali się, pali się! – zawołał do słuchawki, a wszyscy w salonie spojrzeli na niego, zerwali się z miejsc i wybiegli. – Wielki pożar w Droghedzie! – dorzucił i odwiesił słuchawkę. Nic więcej nie trzeba było mówić telefonistce w miasteczku i tym wszystkim, którzy odruchowo podnosili słuchawki, słysząc brzęczyk. Chociaż od przyjazdu Clearych do Droghedy nie wybuchł w okręgu Gilly ani jeden duży pożar, wszyscy wiedzieli, co robić.

– Bracia rozbiegli się po konie, pastuchowie jeden za drugim wychodzili z baraku, a pani Smith otworzyła magazyn i wydawała dziesiątki worków. Dym pojawił się na zachodzie, skąd wiał wiatr, więc pożar kierował się w stronę domu. Fee zdjęła długą spódnicę i włożyła spodnie Paddy’ego i razem z Meggie pobiegła do stajni, liczyła się każda para rąk.

Pani Smith podłożyła pod kuchnię, a pokojówki zaczęły zdejmować z haków wiszące pod sufitem gary.

– Dobrze, że akurat wczoraj ubiliśmy byczka – powiedziała gospodyni. – Minnie, masz tu klucz do piwnicy, przynieś z Cat cały zapas piwa i rumu, potem zaczniecie piec podpłomyki, a ja będę dusić mięso. Tylko prędko, prędko!

Zaniepokojone burzą konie poczuły dym i nie dawały się osiodłać. Fee i Meggie wyprowadziły ze stajni dwa stąpające nerwowo wierzchowce, żeby okiełznać je na podwórku. Kiedy Meggie walczyła z kasztanką, szlakiem od drogi do miasteczka nadbiegło dwóch włóczęgów.

– Pali się! Proszę pani, pali się! – wołali. – Znajdą się jakieś dwa wolne konie? Dajcie nam parę worków.

– Idźcie tędy. O Boże, żeby tylko kogoś pożar nie odciął – rzekła Meggie, która nie wiedziała, gdzie jest ojciec.

Dwaj przybysze wzięli od pani Smith worki i bukłaki z wodą. Bob z pastuchami odjechał kilka minut wcześniej. Włóczędzy ruszyli ich śladem, a na końcu Fee i Meggie puściły się galopem do strumienia i dalej w kierunku dymu.

Ogrodnik Tom skończył napełniać beczkowóz za pomocą pompy i zapuścił silnik. Żadna ilość wody, z wyjątkiem rzęsistej ulewy, nie ugasiłaby takiego pożaru, ale trzeba było moczyć worki i ludzi, którzy się nimi posługiwali. Wrzucający pierwszy bieg, żeby pokonać pod górę stromiznę parowu, Tom obejrzał się na opustoszały dom zarządcy i dwie dalsze nie zajęte chałupy – to był słaby punkt Droghedy, jedyne miejsce, gdzie zabudowania podchodziły na tyle blisko drzew po przeciwnej stronie, że mogły zająć się ogniem. Stary Tom spojrzął na zachód, potrząsnął głową, jakby coś postanowił, cofnął beczkowóz przez strumień i wyprowadził na wstecznym biegu w górę. Był pewien, że nie uda im się zatrzymać ognia na polach i niedługo wróca. Na szczycie parowu, tuż przy domu zarządcy, w którym ostatnio koczował, do zbiornika przymocował wąż i zaczął nasycać wodą ściany, potem przeniósł się dalej i polał dwie mniejsze chałupy. Tutaj mógł zdziałać najwięcej: moczył te trzy domy, żeby się nie zapaliły.

Meggie jechała obok Fee, a złowroga chmura na zachodzie rosła i nasilał się swąd spalenizny. Pociemniało. Od zachodu gnały przez pola gromady zwierząt – kangury i dzikie świny, przerażone owce i bydło, emu i goanny, tysiące królików. Przejeżdżając ze Studni na Billa-Billa zauważyła, że Bob zostawił otwarte bramy. Owce jednak były takie głupie, że czasami zatrzymywały się przed ogrodzeniem tuż przy otwartej bramie, której w ogóle nie dostrzegały.

Pożar przebył dziesięć mil, kiedy do niego dotarli, a posuwając się wciąż naprzód rozprzestrzeniał się również na boki. Widząc, jak silny wiatr i sucha trawa przerzucają ogień z jednej kępy na drugą, osadzili w miejscu przerażone, szarpiące wędzidłami konie i rozejrzeli się bezradnie. Nie było żadnej szansy, by zatrzymać tu pożar, nie dokonałaby tego armia ludzi. Musieli wrócić do Droghedy i bronić jej w miarę możliwości. Czoło ognia poszerzyło

się już na pięć mil. Mógłby ich dogonić i minąć, gdyby nie popędzili znużonych koni. Szkoda owiec, wielka szkoda. Ale nie było rady.

Tom nadal polewał domy koło strumienia, kiedy w płytkim brodzie zaklekotały kopyta.

– Brawo, Tom! – krzyknął Bob. – Rób tak dalej, dopóki wytrzymasz, a jak zrobi się za gorąco, uciekaj, byle w porę, słyszysz? Bez brawurowych popisów. Jesteś ważniejszy od tych paru desek i szyb.

Koło rezydencji tłoczyły się samochody, a na drodze z miasteczka łyssały coraz to nowe skaczące światła. Kiedy Bob skręcił do końskich zagród, czekała tam na niego spora grupa ochotników.

– Duży pożar, Bob? – spytał Martin King.

– Za duży, żeby gasić – odparł zrozpaczony Bob. – Szeroki na jakieś pięć mil, a przy tym wietrze posuwa się galopem. Nie wiem, czy uda nam się uratować Droghedę, ale Horry powinien się przygotować. On będzie następny, bo niemożliwe, żebyśmy zatrzymali pożar.

– Dawno nie było takiego dużego pożaru. Ostatnio w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Wyprawię ludzi do Beel-Beel, ale jest nas tu dużo i wciąż zjeżdżają nowi. W Gilly znajdzie się prawie pięciuset chłopów do walki z pożarem. Część z nas zostanie tutaj do pomocy. Bogu dzięki, że mam farmę na zachód od Droghedy.

– Niezły z ciebie pocieszyciel! – odparł Bob z uśmiechem.

– Gdzie ojciec, Bob? – spytał Martin rozglądając się.

– Na zachód od pożaru, koło Bugeli. Był na polu Wilga, żeby przegnać owce przed kocieniem, ale według moich obliczeń pożar zaczął się co najmniej pięć mil bliżej.

– Nikogo innego nie brakuje?

– Dzisiaj nie, na szczęście.

Przypomina to trochę wojnę – pomyślała Meggie wchodząc do domu: kontrolowany pośpiech, szykowanie jedzenia i picia dla podtrzymania sił i odwagi. I nadciągający kataklizm. Wciąż dojeżdżał ktoś nowy i dołączał do oczyszczających brzegi obejścia z przerośniętej trawy i ścinających nieliczne drzewa, które wyrosły w pobliżu strumienia. Meggie przypomniała sobie, że po przyjeździe do Droghedy brakowało jej drzew na polu domowym, które w bogatej w lasy okolicy wydawało się brzydko ogołocone. Teraz zrozumiała dlaczego. To pole było niczym innym jak tylko gigantyczną kolistą przesieką.

Wspominano pożary w Gilly w ciągu siedemdziesięciu lat istnienia okręgu. Wbrew pozorom, długa susza nie zwiększała groźby pożaru, gdyż za mało było trawy, żeby mógł się daleko rozprzestrzeniać. Natomiast rok czy dwa po ulewach, kiedy wybujała trawa zamieniała się w łatwopalny materiał, zdarzały się wielkie pożary szalejące nieraz na przestrzeni setek mil.

Martin King stanął na czele trzypięciorobowej grupy, która pozostała, żeby bronić Droghedy. Jako najstarszy hodowca w okolicy, walczył z pożarami od pięćdziesięciu lat.

– Mam w Bugeli sto pięćdziesiąt tysięcy akrów – rzekł. – W tysiąc dziewięćset piątym straciłem wszystkie owce i drzewa. Przez piętnaście lat odrabiałem straty i już myślałem, że się nie uda, bo ani cena wełny, ani cena wołowiny nie były podówczas wysokie.

Wiatr zahuczał, wszędzie czuć było spaleniznę. Zapadł zmierzch, ale niebo od zachodu jaśniało okropnym blaskiem. Snujący się coraz bliżej dym wywoływał kaszel. Wkrótce ujrzeni pierwsze języki ognia skaczące do chmury dymu. Rozległ się ryk jak na wypełnionym po brzegi stadionie piłkarskim. Las, przylegający do obejścia od zachodu, stanął w ogniu. Skamieniała na werandzie Meggie patrzyła na miniaturowe sylwetki na tle płonących drzew, miotające się niczym dręczone w piekle dusze.

– Meggie, chodźże poustawiać talerze! Nie jesteśmy na pikniku – dobiegł ją głos matki.

Odwróciła się niechętnie.

Po dwóch godzinach przybyli pierwsi wyczerpani, żeby szybko coś zjeść, wypić i zebrać siły do dalszej walki z żywiołem. Po to trudyły się kobiety, żeby nie zabrakło mięsa,

podpłomyków, herbaty, rumu i piwa nawet dla trzystu mężczyzn. Przy pożarze każdy robił to, do czego najlepiej się nadawał, a więc kobiety gotowały, żeby fizycznie silniejsi od nich mężczyźni mieli dość energii. Czarni od sadzy, chwiejący się na nogach, pili zachłannie, rwali kawały chleba, pochłaniali przestudzony gulasz, łykali rum i szli z powrotem.

Między jedną a drugą wyprawą do kuchni Meggie spoglądała ze zgrozą i podziwem na pożar. miał w sobie jakieś nieziemskie piękno, zimny blask dalekich słońc, coś z Boga i coś z Diabła. Czoło pożaru sunęło na wschód, zostali już niemal otoczeni i Meggie rozróżniała szczegóły niewidoczne wcześniej poprzez jednolitą ścianę ognia. Teraz widać było czarną sylwetkę drzewa w jarzącej się pomarańczowej obwódce. Tańczące w powietrzu jak psotne duszki rozżarzone węgle. Żółte, pulsujące serca wypalonych drzew. Deszcz wirujących iskier z rozpadającego się eukaliptusa. Płomienie liżące raptem to, co do tej pory opierało się nienasyconemu napastnikowi. Meggie wiedziała, że tego widoku nie zapomni, póki będzie żyła.

Nasilające się podmuchy wiatru zmusiły kobiety do wdrapania się po gałęziach glicynii na blaszany dach. Uzbrojone w mokre worki, parząc mimo takiej osłony ręce i kolana, gasiły węgle na rozgrzanym dachu, żeby przypadkiem nie zajęły się ogniem drewniane krokwie pod spodem. Ale najsilniej paliło się dziesięć mil na wschód, w Beel-Beel.

Zaledwie trzy mile dzieliły dwór w Droghedzie, położonej najbliżej miasteczka, od wschodniej granicy posiadłości. Sąsiadowała z nią farma Beel-Beel, a dalej na wschód – Narrengang. Kiedy prędkość wiatru wzrosła z czterdziestu do sześćdziesięciu mil na godzinę, cały okręg wiedział, że jeśli nie spadnie deszcz, pożar potrwa wiele tygodni, wypalając setki mil najlepszej ziemi.

Domy nad strumieniem przetrzymały groźny atak żywiołu, ratowane przez Toma, który jak oszalały to napełniał beczkowóz, to lał wodę. Ledwie jednak wiatr się wzmógł, domy zajęły się i Tom odjechał ze łzami w oczach.

– Lepiej padnij na kolana i dziękuj Bogu, że wichura nie zerwała się, kiedy czoło pożaru było jeszcze na zachodzie – rzekł Martin King. – Wtedy i dwór poszedłby z dymem, i my wraz z nim. Boże święty, żeby tylko w Beel-Beel dali sobie radę!

Fee podała mu szklaneczkę czystego rumu. Miał swoje lata, ale pomagał tak długo, jak to było potrzebne, kierując innymi doświadczoną ręką.

– To niemądre – powiedział – ale kiedy wydawało się, że wszystko spłonie, przedziwne rzeczy chodziły mi po głowie. Nie myślałam o śmierci, o dzieciach, o tym pięknym domu. Przychodził mi na myśl koszyk z przyborami do szycia, nie dokończona robótką na drutach, puzderko nazbieranych przez lata guzików, foremki do ciasta w kształcie serduszek, które dawno temu zrobił dla mnie Frank. Jak bym bez nich żyła? Bez tych drobiazgów, których nigdzie się nie dostanie?

– Większość kobiet w ten sposób reaguje. Taki figiel umysłu. Pamiętam, jak w tysiąc dziewięćset piątym żona wbiegła do domu, żeby wynieść tamborek z nie dokończoną robótką, chociaż krzyczałam na nią wniebogłoso. – Uśmiechnęła się.

– Uciekliśmy w porę, ale dom spłonął. Kiedy wybudowałam nowy dom, pierwsza rzecz, jaką zrobiła, to dokończyła robótkę, taką staroświecką makatkę, na której wyhaftowała: „Błogo temu, co swój dom ma”. – Odstawił szklaneczkę, kiwając głową nad niepojętym zachowaniem kobiet. – Muszę już iść. Gareth Davies będzie nas potrzebował w Narrengang, a jeśli się nie mylę, to i Angus z Rudna Hunish.

– Aż tak daleko? – zdumiała się Fee, blednąc.

– Rozesłano wici. Booroo i Bourke nadciągają z pomocą.

Przez trzy dni pożar parł na wschód coraz szerszym frontem, a potem lunął deszcz i ugasił wszystko padając prawie cztery dni. Ogień pokonał ponad sto mil i zwęglony szlak o szerokości dwudziestu mil ciągnął się od połowy Droghedy aż do granic Rudna Hunish,

najdalej na wschód położonej posiadłości w okręgu Gillanbone.

Przed deszczem nikt nie oczekiwał wieści o Paddym. Uznano, że znalazł się poza obrębem wypalonego pasa, odcięty przez rozgrzaną ziemię i płonące drzewa. Bob myślał, że gdyby nie przerwana linia telefoniczna, dostaliby wiadomość z Bugeli, bo na pewno na zachodzie szukał schronienia Paddy. Ale kiedy nie pokazał się po sześciu godzinach deszczu, zaczęli się martwić. Od blisko czterech dni wmawiali sobie, że nie ma powodu do niepokoju, że na pewno jest odcięty, i czekali, aż sam wróci z Bugeli.

– Powinien już być w domu – powiedział Bob przemierzając salon w tę i z powrotem. W powietrzu wisiał nieprzyjemny chłód i znów, jak na ironię, rozpalono w kominku.

– Więc co robimy, Bob? – spytał Jack.

– Najwyższy czas, żebyśmy ruszyli na poszukiwania. Może jest ranny, może został bez konia i musi przejść na piechotę. Może koń go zrzucił, może leży gdzieś niezdolny do marszu. Lepiej na razie nie robić szumu, więc ściągnę naszych ludzi z Narrengang. Jeżeli nie odnajdziemy go przez noc, pojedę do Dominika i jurto wszystkich skrzyknemy. Boże, niech się pośpieszą ci od telefonów!

Fee drżała, oczy błyszczały jej jak w gorączce.

– Włożę spodnie – oznajmiła. – Nie zniosę czekania.

– Zostań w domu, mamo! – prosił Bob.

– Jeżeli jest ranny, Bob, to nie wiadomo, w jakim jest stanie. Posłałeś pastuchów do Narrengang, więc jest nas bardzo mało. Jeżeli pojedę z Meggie, to we dwie damy sobie radę, a jeżeli nie pojedę, to żadna z nas nie pomoże, bo Meggie tylko przyłączy się do któregoś z was.

– No dobrze – ustąpił Bob. – Meggie, weźmiesz wałacha, na którym jechałaś do pożaru. Każdy bierze strzelbę i zapas naboju.

Dosiedli koni, przecięli strumień i jechali przez martwą ziemię. Jak okiem sięgnąć, czerniały wilgotne węgle, parujące jeszcze do tej pory. Z gałęzi drzew zwisały pokurczone liście, po trawie zostały gdzieniegdzie czarne kępki, trupy owiec, byków i świń tworzyły małe i większe pagórki. Płakali, patrząc na to, a deszcz rozmywał im łzy.

Na czele jechali Bob i Meggie, za nimi Jack i Hughie, a na końcu Fee ze Stuartem. Ci ostatni, nie zamieniając słowa, cieszyli się nawzajem swoją obecnością, która podtrzymywała ich na duchu. Konie zbliżały się do siebie albo odskakiwały przestraszone, lecz Fee i Stuart przyjmowali to ze spokojem. Śliska ziemia utrudniała marsz, ale zbite resztki trawy dawały trochę oparcia. Spodziewali się, że lada chwila Paddy ukaże się na horyzoncie, tak jednak się nie stało. Ze ściśnięty serce uzmysłowili sobie, że pożar wybuchł o wiele dalej, niż myśleli, na polu Wilga. Widocznie z powodu burzowych chmur dostrzegli dym z opóźnieniem. Zdumiewająco wyglądała granica pożaru. Po jednej stronie połyskiwały zgliszcza, ale po drugiej – rozciągał się znajomy krajobraz, smętny w deszczu, ale pełen życia. Bob zatrzymał się, żeby wydać polecenia.

– Tutaj się rozdzielimy. Ja pojedę na zachód, bo tam najpewniej znajdę ojca, a jestem najsilniejszy, Czy wszyscy macie dość amunicji? Ten, kto coś znajdzie, strzeli trzy razy w powietrze. Ci, którzy usłyszą, odpowiedzą pojedynczym wystrzałem. Potem niechaj czekają. Pierwszy po pięciu minutach znów wystrzeli trzy razy i potem co pięć minut po trzy razy. Pozostali odpowiadają pojedynczymi wystrzałami. Jack pojedzie na południe wzdłuż granicy pożaru, Hughie na południowy zachód. Mama i Meggie na północny zachód. Stu wzdłuż granicy na północ. Tylko jedźcie powoli. Deszcz zmniejsza widoczność, a miejscami zachowało się sporo drzew. Często wołajcie. Może was usłyszeć, choć nie będzie widział. Strzelajcie tylko wtedy, gdy coś znajdziecie. Ojciec nie miał ze sobą broni i czułby się okropnie słysząc wystrzał z odległości większej niż doleci głos. Powodzenia, niech was Bóg prowadzi.

Niczym pielgrzymi na rozstajnych drogach rozdzielili się i każdy udał się w wyznaczonym

kierunku, niknąc w strugach deszczu.

Stuart ujechał ledwie pół mili, gdy spostrzegł wypalony zagajnik podchodzący do linii granicznej pożaru. Tuż koło zwęglonej granicy drugiego drzewa. Trup konia leżał rozplaszczony na pniu wielkiego eukaliptusa, dwóm poczerniałym psom łapy sterczały sztywno jak patyki. Stuart zsiadł z konia, grzęznąć po kostki w błocie, i wyjął strzelbę z pochwy przy siodle. Modlił się poruszając ustami i stapał ostrożnie po śliskich węglach. Gdyby ne koń i psy miałyby nadzieję, że w ognistą pułapkę wpadł jakiś obieżyświat, ale włóczęga na szlaku obywat się bez konia i miał najwyżej jednego psa. W środku Droghedy nie spotkałoby się też poganiaczy czy pastuchów z Bugeli. Paddy natomiast wyjechał konno z pięcioma psami. Nieco dalej leżały trzy zwęglone psy: razem pięć.

Nie opodał konia, ukryte częściowo za pnem, leżały szczątki człowieka. To nie budziło wątpliwości. Połyskliwy od wilgoci, osmalony trup miał podkurczone nogi i plecy wygięte tak, że dotykał ziemi tylko ramionami i pośladkami. Rozrzucone ręce zgięte w łokciach, zastygły w błagalnym geście z rozczapierzonymi, spalonymi do kości palcami. Niekształtna głowa patrzyła w niebo pustymi oczodołami.

Jasne, wszystkowidzące spojrzenie Stuarta spoczęło na zwłokach ojca widząc go takim, jakim był za życia. Po chwili skierował lufę strzelby w górę i wystrzelił raz, drugi, trzeci. Usłyszał w odpowiedzi jeden daleki wystrzał, potem drugi, znacznie słabszy. Uzmysłowił sobie, że bliższy wystrzał musiała dać matka albo Meggie. Nie czekając, aż upłynie umówione pięć minut, załadował następny nabój, skierował lufę na południe i strzelił. Drugi nabój – strzał, trzeci nabój – strzał. Odłożył broń na ziemię i nasłuchiwał zwrócony na południe. Tym razem pierwszy sygnał dobiegł z zachodu, od Boba, drugi od Jacka albo od Hughiego, trzeci od matki. Westchnął z ulgą, bo nie chciał, żeby pierwsze pojawiły się kobiety.

Wielki dzik wyszedł zza drzew od północnej strony. Zataczając się na krótkich, mocnych nogach, masywnych jak krowa, zaczął grzebać kopytami ziemię. Cierpiał, a wystrzały zaniepokoiły go. Miał przypalony, czerwony bok. Stuart zwrócony na południe, nie zobaczył go, poczuł jedynie zapach przypominający wyjętą z pieca wieprzową pieczeń z chrupiącą skórką. Wytrącony z melancholijnej zadumy, odwrócił głowę z wrażeniem, że już tu kiedyś był, że od urodzenia nosił w sobie obraz tego skrawka wypalonej ziemi.

Nachylił się po strzelbę, wiedząc, że jest nie nabita. Oszałały z bólu odyniec znieruchomiał i patrzył poczerwieniałymi oczkami. Zadrżał koń, podrażniony wonią dzika. Wielki łeb z poźółkłymi szablastymi kłami zwróciły się w jego stronę. Wykorzystując jedną szansę, Stuart chwycił strzelbę, złamał, sięgnął do kieszeni po nabój. Monotonny szmer deszczu tłumiał wszystkie dźwięki, ale dzik usłyszał szczęknięcie i w ostatniej chwili zmienił kierunek natarcia. Dopadając Stuarta dostał kulą w pierś, ale nawet nie zwolnił. Wielkimi kłami rozdarł mu pachwinę, w której krew trysnęła jak z odkręconego kranu. Stuart upadł.

Czując nowy ból, dzik obrócił się na chwiejnych nogach, żeby znów szarpnąć kłami. Zwalił się na Stuarta wielkim cielskiem, wgniatając mu twarz w smoliste błoto. Stuart wbił ręce w ziemię, daremnie próbując się uwolnić. To dlatego nigdy o niczym nie marzył ani nie myślał o przyszłości, jedynie upajał się otaczającym go światem – wiedział, jaki czeka go los. Zdążył pomyśleć: Mamo, mamo! Nie mogę z tobą zostać! – i pękło mu serce.

– Dlaczego Stu nie strzela? – spytała Meggie.

Obie z matką, pełne najstraszniejszych obaw, jechały wolnym klusem w stronę dwóch potrójnych salw.

– Widocznie uznał, że go dobrze słyszeliśmy – odparła Fee. Ale miała w pamięci wyraz jego twarzy przy pożegnaniu, uściśnięcie ręki, uśmiech inny niż zwykle. – Jesteśmy już chyba blisko – powiedziała podrywając konia do niezgrabnego cwału.

Przed nimi dotarli na miejsce Jack i Bob. Widząc nadjeżdżające kobiety, odcięli im drogę.

– Nie chodź tam, mamó – powiedział Bob, kiedy zsiadły z koni.

Jack podszedł do Meggie i przytrzymał ją za rękę.

Obie spojrzały z takim samym wyrazem oczu, bez zdziwienia czy lęku, jakby wiedziały wszystko.

– Paddy? – spytała Fee nieswoim głosem.

– Tak. I Stu.

Ani Bob, ani Jack nie mogli spojrzeć w oczy matce.

– Stu? Stu? Jak to Stu?! O Boże, co się stało? Nie... nie obydwaj!

– Tata zginął w pożarze. Stu rozdrażnił dzika, ale choć celnie trafił, zginął przygnieciony jego ciężarem.

Meggie krzyczała i wrywała się Jackowi. Fee, którą Bob trzymał zakrwawionymi brudnymi rękoma, skamieniała.

– To za wiele – powiedziała wreszcie i spojrzała na Boba.

Deszcz spływał jej po twarzy i przyklejał do szyi kosmyki włosów.

– Puść mnie do nich, Bob. Jestem żoną jednego i matką drugiego.. Nie możesz mnie zatrzymać, nie masz prawa. Puść mnie do nich.

Meggie ucichła i stała w objęciach Jacka z głową na jego ramieniu. Odprowadziła wzrokiem Boba idącego z matką, którą trzymał w pół, ale nie ruszyła się z miejsca. Zjawił się Hughie. Jack wskazał skinieniem matkę i Boba.

– Idź z nimi, Hughie. Ja wrócę z Meggie do Droghedy po wóz. – Puścił siostrę i posadził ją na kasztankę. – Jedziemy, Meggie, ściemnia się. Nie możemy zostawić ich tu na noc, a nie odjadą, póki nie wrócimy.

Wóz grzązł w błocie, nie było sposobu na jazdę, w końcu Jack i Tom przywiązali łańcuchami kawał blachy falistej do dwóch koni, które poprowadził Tom, dosiadając trzeciego, a na czele pojechał Jack z największą lampą jaką udało się znaleźć.

Meggie została w domu – siedziała przed kominkiem, a pani Smith z płaczem namawiała ją, żeby coś zjadła, nie mogąc patrzeć na jej niemą rozpacz bez łez. Słyszając kołatkę ruszyła do drzwi frontowych, zdziwiona, komu udało się dobrnąć w taką pogodę, i zdumiona szybkością, z jaką rozchodziły się wieści.

Na werandzie stał ksiądz Ralph w ubłoconym płaszczu.

– Czy mogę wejść, pani Smith?

– Och, proszę księdza! – zawołała i ku jego zdumieniu rzuciła mu się na szyję. – Skąd ksiądz wiedział?

– Pani Cleary wysłała telegram, za co jestem jej bardzo wdzięczny. Arcybiskup di Contini-Verchese pozwolił mi pojechać. Język można sobie połamać przy tym nazwisku. Uwierz pani, że muszę je wymawiać co dzień po sto razy? No i przyleciałem. Samolot zarył dziobem przy lądowaniu, więc wiedziałem, co mnie czeka, kiedy wysiądę. Kochane Gilly! Zostawiłem walizkę na plebanii u księdza Watty i wyżebrałem konia od barmana w hotelu. Myślał, że zwariowałem, i założył się ze mną o butelkę najlepszej szkockiej, że nie dotrę do Droghedy. Och, pani Smith, proszę tak nie płakać! Świat się nie kończy z powodu jednego pożaru, choćby najgroźniejszego! – mówił z uśmiechem, poklepując drżące ramiona gospodyni. – Staram się, jak mogę, panią rozweselić, i nic z tego nie wychodzi. Proszę tak nie płakać!

– Więc ksiądz nie wie... – powiedziała szlochając.

– Czego nie wiem? Co się stało?

– Pan Cleary i Stuart nie żyją.

Zbladł., odsunął gospodynię od siebie.

– Gdzie Meggie? – rzucił ostro.

– W salonie. Pani Cleary jest jeszcze na polu przy ciałach. Jack i Tom pojechali po nich. Och, chociaż jeste wierząca, to czasem myślę, że Bóg jest zbyt okrutny! Dlaczego zabrał ich obu?



Ksiądz Ralph już nie słuchał. Ruszył do salonu, zrzucając po drodze płaszcz i zostawiając błotniste ślady.

– Meggie! – powiedział, podszedł do niej, przyklęknął i uściśnił jej zimne ręce.

Zsunęła się powoli z fotela prosto w jego ramiona, położyła głowę na przemoczonej koszuli i zamknęła oczy – szczęśliwa mimo bólu, chcąc zatrzymać tę chwilę na zawsze. Wrócił, a więc udało się jej przyciągnąć go do siebie.

– Pomoczysz się, Meggie – szepnął tuląc policzek do jej włosów.

– Nie szkodzi. Przyjechałeś.

– Tak. Chciałem zobaczyć, czy jesteś cała i zdrowa. Czułem, że jestem potrzebny. Ach, Meggie! Jak to się stało, że ojciec i Stu...

– Tata zginął w pożarze. Stu go odnalazł, ale zaatakował go dzik i zabił. Jack i Tom pojechali po nich.

O nic więcej nie pytał, tylko kołysał ją w ramionach jak małe dziecko, aż w ciepłe ognia obeschła mu koszula i włosy. Poczuł, że Meggie nie jest już taka sztywna jak przedtem. Ujął ją pod brodę, spojrzał jej w oczy i bez zastanowienia pocałował. Zrobił to instynktownie, widząc, co wyrażają szare oczy. To nie był impuls pożądania, lecz rodzaj sakramentu. Objęła go, a wtedy wzdrygnął się, wydając mimowolny okrzyk bólu.

– Co się stało? – spytała Meggie rozluźniając ręce.

– Chyba poobijałem sobie żebra w samolocie. Ugrzęźliśmy w błocisku aż po kadłub, więc trochę rzucało. Wylądowałem na oparciu przedniego siedzenia.

– Pozwól, że obejrzę.

Pewnymi palcami rozpięła wilgotną koszulę, ściągnęła z rąk, uwolniła ze spodni. Przez całą szerokość klatki piersiowej poniżej żeber siniąła pod opaloną skórą szeroka pręga. Meggie syknęła.

– Och, Ralphie! Jechałeś w tym stanie konno z Gilly? To musiało okropnie boleć! Nie jest ci słabo? Mogli ci coś pęknąć w środku.

– Nie, nic mi nie jest. Tak się tu spieszyłem i niepokoiłem o ciebie, że niczego nie czułem, naprawdę. Gdybym miał krwotok wewnętrzny, już bym o tym wiedział. Boże, Meggie, nie!

Nachylona, muskała ustami siniak, sunąc dłońmi po jego torsie z umyślną zmysłowością, która go oszołomiła. Zafascynowany i przerażony, chcąc się za wszelką cenę uwolnić, odsunął jej głowę od siebie, ale skończyło się na tym, że trzymał ją znów w ramionach i czuł, jak jego wola słabnie w węzowym uścisku. Zapomniał o bólu, Kościele, o Bogu. Odnalazł jej usta, rozchylił zachłannie, pragnął jej coraz bardziej, nie mogąc najmocniejszym uściskiem zaspokoić narastającego pożądania. Przechyliła głowę na bok, obnażając ramiona, chłodne i gładkie od satyny. Czuł się bezradny, bez tchu, jakby tonął. Raptem przygniotło go poczucie nieuchronności śmierci a łzy cisnęły się do oczu. Pożądanie odpłynęło, oderwał od siebie ręce Meggie i siedział z podkulonymi nogami i zwieszoną głową, jakby obchodziły go wyłącznie oparte na kolanach drżące ręce. Meggie, coś ty mi zrobiła! – myślał. – Co byś jeszcze zrobiła, gdybym ci pozwolił? – Meggie, kocham cię i zawsze będę kochał. Ale jestem księdzem, nie mogę... Po prostu nie mogę!

Szybko wstała z podłogi, poprawiła bluzkę i popatrzyła na niego z góry z krzywym uśmiechem, który uwydatnił bolesny zawód malujący się w oczach.

– Rozumiem. Pójdę poprosić panią Smith, żeby przygotowała ci coś do jedzenia, a potem przyniosę koński balsam. Znakomicie wyciąga siniaki i znacznie szybciej niż pocałunki leczy obolałe miejsca.

– Czy działa telefon? – spytał z trudem.

– Tak. Przerzucono prowizoryczną linię po drzewach i od paru godzin jesteśmy podłączeni.

Upłynęło kilka dobrych minut po jej wyjściu, zanim opanował się na tyle, żeby zasiąść przy sekretarzyku Fee.

– Halo! Z Droghedy mówi ksiądz de Bricassart. Poproszę międzymiastową... A, to ty, Doreen, nadal jesteś telefonistką. Mnie też miło cię usłyszeć. W Sydney telefonistka o tylko znudzony głos. Zależy i na szybkim połączeniu z Jego Eminencją legatem papieskim w Sydney. Numer iks, iks, dwa tysiące trzysta dwadzieścia cztery. Kiedy będę czekał na Sydney, połącz mnie, proszę, z Bugelą.

Ledwie zaczął opowiadać Martinowi Kingowi, co się stało, dostał połączenie z Sydney. Wiedział jednak, że King i podsłuchujący go na linii zawiadomią mieszkańców Gilly. Ci, którzy zdecydują się na uciążliwą wyprawę, przyjdą na podwójny pogrzeb.

– Arcybiskup di Contini-Verchese? Tu ksiądz de Bricassart... Tak, dziękuję, ale samolot ugrzązł w błocie i będę musiał wracać pociągiem... W błocie, Wasza Miłość, w błocie! Nie, Wasza Miłość, kiedy pada, drogi są nieprzejezdne. Musiałem jechać konno z Gillanbone do Droghedy, inaczej się nie dało... Dlatego dzwonię. Dobrze się stało, że przyjechałem. Chyba miałem jakieś przeczucie... Niestety, Pdraic Cleary zginął w pożarze, a jego syna Stuarta zabił odyniec... O-dyniec, Wasza miłość, dzika świnia... Tak, Wasza Miłość, trochę tu dziwnie mówią po angielsku.

Kiedy dobiegły go w słuchawce ciche westchnienia, mimo woli się uśmiechnął. Nie mógł wrzasnąć do telefonu, żeby wszyscy się wyłączyli – dla mieszkańców Gilly, spragnionych kontaktów z bliźnimi, była to jedyna powszechna rozrywka. Gdyby jednak odłożyli słuchawki, arcybiskup lepiej by go słyszał.

– Jeżeli Wasza Miłość pozwoli, zostanę, żeby wyprawić pogrzeb i zaopiekować się rodziną... Tak, wasza Miłość, dziękuję. Postaram się wrócić jak najszybciej.

Telefonistka też słuchała, więc nacisnęła dzwignienkę aparatu i od razu poprosił o połączenie z Bugelą. Po krótkiej rozmowie z Kingiem postanowił odłożyć pogrzeb na pojutrze, na co pozwalała zimowa, sierpniowa pogoda. Wielu sąsiadów chciało przyjechać i gotowi byli wybrać się konno w długą, męczącą podróż.

Meggie przyniosła balsam i bez słowa wręczyła mu buteleczkę. Zawiadomiła krótko, że pani Smith poda gorącą kolację w małej jadalni za godzinę, żeby zdążył się wykapać. Miał nieprzyjemne odczucie, że sprawił Meggie zawód, ale nie rozumiał, dlaczego tak myśli, na jakiej podstawie go osądza. Przecież wie, kim jest, dlaczego więc się gniewa?

O szarym świetle nieduża kawalkada zatrzymała się nad strumieniem. Woda nie przelała się jeszcze przez brzegi, ale Gillan zamienił się w rwącą rzekę. Ksiądz Ralph przepłynął na kasztance na drugi brzeg ze stulą na szyi wioząc w torbie przy siodle wszystko, co potrzeba w takiej sytuacji kapłanowi. Fee, Bob, Jack, Hughie i Tom otoczyli go kołem. Zdjął płótno, w które zawinięte były ciała, by udzielić im ostatniego namaszczenia. Po Mary Carson nic nie mogło wywołać w nim obrzydzenia; nawet nie wzdrygnął się na widok poczerniałych ciał, jednego od ognia, drugiego od uduszenia. Ucałował Paddy'ego i Stu za szacunkiem.

Kawał blachy szorował po ziemi przez piętnaście mil, skacząc na nierównościach i żłobiąc głęboki ślad. Ślad ten był widoczny jeszcze przez długie lata, nawet kiedy porósł trawą. Zaledwie milę od domu zagroził im drogę wezbrany strumień, ale zdawało się, że pozostaną na jego brzegu. Stali zapatrzeni w wierzchołki eukaliptusów, widoczne mimo deszczu.

– Mam pomysł – powiedział Bob do księdza. – Ksiądz musiałby to zrobić, bo ma świeżego konia. Nasze gonią resztkami sił i najwyżej raz zdołają przepłynąć. Trzeba znaleźć w Droghedzie puste beczki i szczelnie zamknąć je pokrywami. W razie czego przylutować. Potrzeba dwanaście beczek, ale w ostateczności wystarczy dziesięć. Trzeba je związać przeciągnąć przez strumień. Umocujemy na niej blachę i przepawimy jak tratwę.

Ksiądz Ralph przystał na ten plan. Tymczasem przybył z Diban-Diban Dominik O'Rourke, jeden z bliżej mieszkających sąsiadów, wraz z dwoma synami. Razem z księdzem Ralphem zabrali się szybko do roboty. Przetrzęsnęli szopy, opróżnili beczki po benzynie, w których przechowywano sieczkę albo owies, wyszukiwali solidnie wyglądające pokrywki i

przylutowali je do beczek. A deszcz wciąż padał i padał...

– Dominiku, wybacz, że zwracam się do ciebie z tą prośbą, ale ci, którzy później tu dotrą, będą półprzytomni ze zmęczenia. Jutro musimy wyprawić pogrzeb, a jeśli nawet stolarz w Gilly zdąży zrobić trumny na czas, to nie sprowadzimy ich przez to błoto. Czy któryś z was mógłby zrobić dwie trumny? Wystarczy, jak jeden przepawi się ze mną przez strumień.

Młodzi O'Rourke kiwnęli głowami, nie mieli ochoty oglądać zwłok.

– My to zrobimy, tato – powiedział Liam.

Ksiądz Ralph i Dominik O'Rourke dosiedli koni, przyciągnęli beczki do strumienia i przepawili się na drugi brzeg.

– Jedno księdzu powiem! – zawołał Dominik. – Dobrze, że nie musimy kopać grobów w tym cholernym błocie! Zawsze uważałem, że Mary wysadziła się z tym marmurowym grobowcem dla Michaela, ale teraz bym ją ucałował z wdzięcznością.

– Racja! – odrzyknął ksiądz.

Beczki, po sześć z dwu stron, przywiązano pod okrytą całunem blachą. Dominik i Tom przepawili zmęczone konie wraz z liną, z pomocą której miały pociągnąć tratwę. Podjechali pod górę i obejrzeni się na drugi brzeg. Mężczyźni doczepili koniec liny do prowizorycznej tratwy i zepchnęli ją na wodę. Konie ruszyły, a Tom i Dominik, pokrzykując, zmuszali je do dreptania niemal w miejscu. Tratwa huśtała się niebezpiecznie, ale udało się ją dociągnąć do brzegu. Nie tracąc czasu na rozmontowywanie beczek, dwaj woźnice pogonili konie drogą, bez przeszkód ciągnąc beczki.

Po rampie prowadzącej do szerokich drzwi, służących do wytaczania bel wełny z szopy, wyciągnięto tratwę do pustego budynku przesiąkniętego zapachami smoły, potu, lanoliny i odchodów. Minnie i Cat, zakutane w peleryny, przyszły czuwać przy zwłokach. Uklękły po dwóch stronach blaszanego katafalku i głosami wznoszącymi się, to opadającymi, w takt stukających koralików zaczęły odmawiać różańcowe modlitwy – tak utrwalone, że nie wymagały wysiłku pamięci.

Dom wypełniał się ludźmi. Przyjechali: Duncan Gordon z Each-Uisge, Gareth Davies z Narrengang, Horry Hopeton z Beel-Bell, Eden Carmichael z Barcoola. Angus Macqueen zatrzymał lokalny pociąg towarowy i siedząc w lokomotywie dotarł do Gilly, tam położył konia od Harry'ego Gougha i przyjechał razem z nim. W sumie przebył ponad dwieście mil.

– Nie ostała mi się ani owca, ani drzewo – powiedział Horry do księdza, kiedy zasiedli do stołu w małej jadalni. – Pożar wypalił mi ziemię od końca do końca. Całe szczęście, że ostatnie lata były dobre. Stać mnie na kupno owiec, a jeżeli jeszcze popada, trawa wyrośnie ani się obejrzymy. Chroń nas Boże od drugiego takiego nieszczęścia przez najbliższe dziesięć lat, bo inaczej pójdziemy z torbami.

– Masz mniejszą farmę ode mnie, Horry – odezwał się Davies, krojąc z zapalem cienkie, rozpływające się w ustach ciasto. Żadna klęska żywiołowa nie pozbawiła na długo apetytu hodowców z równin. Potrzebowali sił do walki z żywiołami. – Ogień zniszczył im połowę pastwisk, a co gorsza, ze dwie trzecie owiec. Niech ksiądz pamięta o nas w swoich modlitwach.

– O, tak – powiedział sędziwy Angus. – Mnie tak ciężko nie doświadczyło jak was, ale też sporo ucierpiałem. Straciłem sześćdziesiąt akrów i połowę owieczek. W takich chwilach żałuję, proszę księdza, że jako młody chłopak wyjechałem ze Skye.

– Sam najlepiej wiesz, że niedługo przestaniesz tak myśleć – odparł ksiądz Ralph z uśmiechem. – Wyjechałeś ze Skye z tego samego powodu co ja z Clunamary. Było ci tam za ciasno.

– To prawda. Wrzos tak pięknie nie hajcuje jak eukaliptusy, co?

To będzie dziwny pogrzeb – pomyślał ksiądz Ralph rozglądając się wokoło. Kobiety tylko z Droghedy, a przyjechali sami mężczyźni.

Kiedy pani Smith rozebrała, wytarła i zapakowała Fee do łoża, które dzieliła przedtem z

Paddym, zaniósł jej dużą dawkę laudanum. Kiedy zaś histeryczny szloch odmówił wypicia leku, bezceremonialnie złapał ją za nos i wlał do gardła. Nie pomyślał nawet o tym, że Fee mogłaby się złamać. Ponieważ nie jadła od dwudziestu czterech godzin, lek szybko podziałał. Wiedząc, że śpi, czuł się spokojniej. Pilnował stale Meggie. Teraz pomagała w kuchni pani Smith. Bracia z trudem ściągnąwszy przemoczone ubrania, zwalili się do łóżek wyczerpani do cna. Zwyczaj nakazywał, by stale czuwano przy zwłokach spoczywających w nie poświęconych miejscu, więc Gareth Davies z synem Enochem zwolnili Minnie i Cat. Inni rozdzielili między siebie godziny czuwania, pokrzepiając się i rozmawiając przy stole. Żaden z młodych ludzi nie dosiadł się do starszych. Wszyscy zgłosili chęć pomocy pani Smith po to tylko, żeby popatrzeć na Meggie. Ksiądz Ralph rozdrażniło to, a jednocześnie sprawiło ulgę. Spośród nich musiała sobie wybrać męża, należało się tego spodziewać. Enoch Davies, przystojny, o bardzo ciemnych oczach i kruczoczarnych włosach, tak zwany Czarny Walijczyk, miał dwadzieścia dziewięć lat. Liam O'Rourke miał dwadzieścia sześć, Connor Carmichael, podobny do młodszej od siebie siostry jak dwie krople wody, był bardzo przystojnym, choć odrobinę zarozumiałym trzydziestodwulatkiem. W tym gronie ksiądz Ralph upatrzył dla Meggie najbliższego jej wiekiem, ujmującego dwudziestoczerolatka Alastaira, wnuka Anguas, po którym odziedziczył piękne błękitne oczy Szkota i wczesną siwiznę, charakterystyczną dla tej rodziny. Niech się w którymś z nich zakocha, wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, których tak bardzo pragnie – westchnął w duchu. – O Boże, mój Boże, jeżeli to dla mnie uczynisz, chętnie zniosę ból miłości do niej, zniosę wszystko.

Tych trumien nie obsypano kwiatami, puste też były wazony w kaplicy. Jeżeli jakieś pąki przetrwały nieznośnie gorąco pożaru sprzed dwóch dni, to nie oparły się ulewie i teraz leżały w błocie jak zgniecione motyle. Nie zachowała się ani jedna gałązka mirtu, ani jedna wczesna róża.

Wszyscy byli bezlitośnie zmęczeni. I ci, którzy przybyli z daleka, bo lubili Paddy'ego i chcieli to okazać, i ci, którzy sprowadzili zwłoki, i kobiety, które niestrudzenie gotowały i sprzątały. Ksiądz Ralph ze zmęczenia poruszał się jakby we śnie, spoglądając to na ściągniętą z rozpaczny twarz Fee, to na smutną i naburmuszoną Meggie, to na nierozłącznych w żałobie Boba, Jacka i Hughiego.

Martin King powiedział kilka wzruszających słów w imieniu zgromadzonych i ksiądz od razu odprawił mszę. Przywiózł ze sobą stulę, kielich i komunikanty, ale nie zabrał szat liturgicznych. Angus wstąpił więc po drodze na plebanie w Gilly, wziął stamtąd czarny ornat, owinał go w płaszcz, przerzucił przez siodło i przywiózł do Droghedy. Ksiądz Ralph był więc odpowiednio odziany.

Deszcz dzwonił o szyby i bębnił w blaszany dach dwa piętra wyżej. Mimo to trzeba było wyjść i dotrzeć przez pobrązowiały od żaru trawnik do małego cmentarza z białym ogrodzeniem. Tym razem chętni znaleźli się do niesienia prostych trumien, choć ślizgali się po błocie oślepieni ulewą. Dzwoneczki na grobie chińskiego kucharza brzęczały monotennie: Hi Sing, Hi Sing, Hi Sing.

Dopełniono powinności. Żałobnicy dosiedli koni i rozjechali się. Niektórym zajrzała w oczy bieda, inni dziękowali Bogu, że uszli z życiem i uratowali mienie. Ksiądz Ralph zapakował swoje rzeczy wiedząc, że musi odjechać, dopóki ma siłę to zrobić.

Poszedł zobaczyć się z Fee. Siedziała przy sekretarzyku oglądając w milczeniu swoje ręce.

– Fee, dasz sobie radę? – spytał siadając tak, żeby ją dobrze widzieć. Obróciła ku niemu twarz tak zgaszoną i zmartwiałą, że aż się przeląkł i zamknął oczy.

– Tak, da sobie radę. Mam księgi, które muszę prowadzić, mam jeszcze pięciu synów... Sześciu, jeżeli liczyć Franka, ale jego chyba nie należy liczyć, prawda? Jestem księdzu wdzięczna bardziej, niż to potrafię wyrazić. Bardzo mnie podnosi na duchu, że ksiądz czuwa nad nim i stara się ulżyć jego niedoli. Ach, żebym choć raz mogła go zobaczyć!

Jest jak latarnia morska – pomyślał. – Błyska rozpaczą za każdym razem, kiedy jej umysł skieruje się na uczucie, nad którym nie potrafi zapanować. Rozjarzony blask, a potem długo, długo nic.

– Chciałbym cię prosić, Fee, żebyś o czymś pomyślała.

– Tak, o czym? – znów zgasła.

– Czy ty mnie słuchasz? – spytał ostro, coraz bardziej zmartwiony i zaniepokojony.

Przez dłuższą chwilę zdawało mu się, że nawet jego podniesiony głos do niej nie dociera, tak głęboko zapadła się w siebie, ale wtem – znów błysk – otworzyła usta.

– Mój biedny Paddy! Mój biedny Stuart! Mój biedny Frank! – zawodziła, by po chwili zapanować nad sobą żelazną wolą, jakby chciała za wszelką cenę przedłużyć zaciemnienia duszy, żeby światło na dobre przestało się pojawiać.

– Tak, słucham – powiedziała rozglądając się po pokoju, jakby go nie poznała.

– Fee, co z twoją córką? Czy ty w ogóle pamiętasz, że masz córkę?

Szare oczy podniosły się na niego, patrząc niemal ze współczuciem.

– A inne pamiętają? Cóż to znaczy córka? Przypomina dawny ból. Jest taka sama, tylko młodsza, będzie to samo robiła i wypłakiwała takie same łzy. Nie, proszę księdza. Staram się zapomnieć, że mam córkę. Jeżeli o niej myślę, to jak o synu. Matka pamięta swoich synów.

– Czy ty czasem płaczesz, Fee? Tylko raz widziałem łzy w twoich oczach.

– I więcej ksiądz nie zobaczy, bo skończyłam ze łzami raz na zawsze. – Wstrząsnął na nią silny dreszcz. – Coś księdzu powiem. Dwa dni temu odkryłam, jak bardzo kochałam Paddy’ego, ale, jak ze wszystkim w moim życiu, za późno. Za późno dla niego, za późno dla mnie. Gdyby ksiądz wiedział, jak bardzo pragnęłam wziąć go w ramiona i powiedzieć, że go kocham! O Boże, oby nikt nie zaznał bólu, którego ja zaznałam.

Odwrócił wzrok od twarzy, która raptem wydała się zniszczona, chcąc przez chwilę zastanowić się nad zagadką, jaką była Fee, i czekając, aż odzyska spokój.

– Nikt nie zazna tego samego bólu co ty – odparł.

Jeden kącik ust unióśł się w półuśmiechu.

– Tak, to podnosi na duchu. Może nie ma czego zazdrościć, ale mój ból należy wyłącznie do mnie.

– Czy możesz mi coś obiecać, Fee?

– Jeżeli ksiądz sobie życzy.

– Zaopiekuj się Meggie, nie zapominaj o niej. Wysyłaj ją na tańce, niech pozna paru młodych kawalerów, zachęcaj ją do myślenia o małżeństwie i o własnym domu. Dziś wszyscy młodzi nie mogli się na nią napatrzeć. Dopilnuj, żeby mogła się z nimi spotykać w bardziej sprzyjających okolicznościach.

– Skoro ksiądz prosi.

Westchnął i zostawił ją wpatrzoną w swoje szczupłe, białe dłonie. Meggie odprowadziła go do stajni, gdzie gniadosz wypożyczony od barmana napychał się sianem i otrębami, przebywając od dwóch dni w czymś w rodzaju końskiego nieba. Zarzucił mu na grzbiet mocno używane siodło i pochylił się, żeby zapiąć popręg i powęz, a Meggie przyglądała mu się oparta o belę słomy.

– Niech ksiądz spojrzy, co znalazłam – powiedziała, kiedy skończył i wyprostował się. Wyciągnęła rękę, w której trzymała popielatoróżową różę. – Jedna, jedyna. Znalazłam ją na krzaku pod zbiornikiem za domem. Żar do niej nie doszedł, a zbiornik osłonił przed ulewą. Zerwałam ją dla księdza. Żeby ksiądz mnie pamiętał.

Wziął na wpół rozwinięty pączek drżącą ręką i przyglądał mu się przez chwilę.

– Nie potrzeba mi nic, co by mi ciebie przypominało, Meggie, ani teraz, ani nigdy. Noszę cię w moim sercu, wiesz o tym. Nie udałoby mi się tego ukryć przed tobą, prawda?

– Ale pamiętka to coś realnego – nie ustępowała. – Można wziąć ją do ręki, popatrzeć i przypomnieć sobie wszystko, co uleciało. Proszę, niech ją ksiądz weźmie.

– Mów mi Ralph – rzekł. Otworzył walizeczkę, wyjął z niej mszał w kosztownej oprawie z macicy perłowej, będący jego osobistą własnością. Dał mu go ojciec w dniu święceń kapłańskich, tuż przed śmiercią, trzynaście lat temu. Karty rozchyliły się na białej wstążkowej zakładce; przerzucił kilka stron dalej, położył różę i zamknął mszał. – Chciałabyś pewnie, żebym tobie też dał jakąś pamiątkę?

– Tak.

– Nie dostaniesz jej. Chcę, żebyś o mnie zapomniała, żebyś rozejrzała się dokoła siebie, znalazła jakiegoś dobrego człowieka, wyszła za męża, urodziła dzieci, których tak bardzo pragniesz. Jesteś stworzona na matkę. Nie możesz zaprzętać sobie głowy mną, tego ci nie wolno. Nie mogę rzucić Kościoła i – dla twojego dobra będę z tobą całkowicie szczery – nie chcę wyrzec się kościoła, ponieważ nie kocham cię tak, jak będzie cię kochał mąż, rozumiesz? Zapomnij o mnie, Meggie!

– Nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

Bez słowa dosiadł gniadosza, podprowadził do drzwi stajni i nałożył stary filcowy kapelusz, też pożyczony od barmana. Rzucił jej jedno spojrzenie, a potem wyjechał na deszcz. Meggie nie wybiegła za nim, tylko stała wdychając przesycone wilgocią powietrze, pachnące sianem i końskim łajnem.

Trzydzieści godzin później ksiądz Ralph wszedł do komnaty legata, pocałował pierścień i padł na fotel. Dopiero czując na sobie przenikliwe spojrzenie oczu, uprzytomnił sobie, jak dziwnie wygląda, i zrozumiał, dlaczego tylu ludzi gapiło się na niego, kiedy wysiadł na dworcu. Zapominając o walizce, którą zostawił na plebanii w Gilly, wskoczył do nocnego pociągu na dwie minuty przed odjazdem i przejechał sześćset mil w przemoczonej koszuli, spodniach i wysokich butach. Popatrzył teraz na siebie, a potem na arcybiskupa z uśmiechem pełnym skruchy.

– Przepraszam, Wasza Miłość. Tyle się wydarzyło, że nie pomyślałem nawet, jak dziwacznie wyglądam.

– Nie sumituj się, Ralphie – odparł legat, w przeciwieństwie do poprzedniego przełożonego, wolał zwracać się do sekretarza po imieniu. – Uważam, że wyglądasz bardzo romantycznie i czarująco, ale zgodzisz się ze mną, że ten strój jest nieco zbyt świecki.

– Zdecydowanie świecki. A co do romantycznego wyglądu, to Wasza Miłość tak uważa, bo nie nawykł do strojów obowiązujących w Gillanbone.

– Drogi Ralphie, choćbyś nałożył włosienicę i posypał głowę popiołem, nadal wyglądałbyś romantycznie i czarująco! W stroju do konnej jazdy jest ci szczególnie do twarzy, niemal tak dobrze jak w sutannie. Oszczędź więc sobie trudu przekonywania mnie, że nie zdajesz sobie świetnie sprawy z tego, że lepiej w niej wyglądasz niż w czarnym garniturze. Poruszasz się wyjątkowo zręcznie i zachowałeś dobrą figurę. Myślę, że tak już zostanie. Pomyślałem też sobie, że zabiorę cię ze sobą do Rzymu, kiedy mnie tam wezwą. Będę miał wiele uciechy patrząc, jakie robisz wrażenie na przysadzistych włoskich dostojnikach. Zwinnie kot pośród stada spłoszonych gołębi.

Rzym! – Ksiądz Ralph wyprostował się w fotelu.

– Czy bardzo źle to wyglądało? – spytał arcybiskup, rytmicznie gładząc mlecznobiałą dłonią jedwabisty grzbiet abisyńskiej kotki.

– Okropnie, Wasza Miłość.

– Darzysz tamtych ludzi wielkim uczuciem.

– Tak.

– Czy wszystkich miłujesz jednakowo, czy też kogoś specjalnie wyróżniasz?

Ksiądz Ralph co najmniej dorównywał chytryścią przełożonemu, spędził też z nim dość czasu, żeby rozeznac się w sposobie jego rozumowania. Odpowiedział więc na podchwytliwe pytanie zwodniczo szczerze, co, jak odkrył, natychmiast rozwiało podejrzenia arcybiskupa.

Mimo całej przebiegłości nie przyszło legatowi do głowy, że szczerosc na pokaz może kryć więcej kłamstw niż uniki.

– Kocham ich wszystkich, ale niektórych rzeczywiście wyróżniam. Najbardziej kocham dziewczynę o imieniu Meggie. Uważałem ją zawsze za swoją podopieczną, bo w rodzinie myślało się tylko o synach, a nikt nie pamiętał o istnieniu córki.

– Ile lat ma ta Meggie?

– Nie wiem dokładnie. Około dwudziestu. Wymusiłem na matce obietnicę, że oderwie się od ksiąg rachunkowych na tyle, żeby wypchnąć dziewczynę na tańce, dać jej okazję poznania młodych ludzi. Trudo się pogodzić, że taka dziewczyna zmarnuje życie uwiązana do Droghedy.

Wszystko, co mówił, było prawdą. Arcybiskup wyczuł to swoim nieomylnym nosem. miał zaledwie trzy lata więcej od sekretarza, i w przeciwieństwie do niego łatwo robił karierę w Kościele, lecz pod wieloma względami czuł się niewspółmiernie starszy – Watykan wyciągał żywotne soki z każdego, kto bardzo wcześnie uległ jego wpływowi, a Ralph wprost tryskał żywotnością.

Oslabiając nieco czujność, obserwował nadal sekretarza i podjął pasjonującą grę zmierzającą do odgadnięcia, jaka siła pcha księdza Ralpa de Bricassart do przodu. Z początku był przekonany, że to jakaś cielesna słabość. Ta uderzająca uroda i figura z pewnością nieraz uczyniły zeń obiekt pożądania, nie mógł zatem pozostać niewinny czy nieświadomy. Z biegiem czasu przekonał się, że przynajmniej w połowie ma rację: Ralph był niewątpliwie świadom swojej atrakcyjności, ale zachował niewinność, w czym stopniowo utwierdzał się arcybiskup. Jeżeli coś trawiło księdza Ralpa, to nie cielesna żądza. Zetknął go z homoseksualistami, którym nie oparłby się ktoś o takich upodobaniach, ale na próżno. Obserwował go w towarzystwie najpiękniejszych kobiet – na próżno. Ani krzty zainteresowania, ani iskry pożądania, nawet wtedy, gdy nie miał pojęcia, że jest obserwowany, bo też arcybiskup posługiwał się czasem wysłannikami, których zatrudniał bez wiedzy sekretariatu.

Doszedł do wniosku, że słabością księdza Ralpa jest duma z tego, że jest księdzem, oraz ambicja. Oba te aspekty osobowości rozumiał, gdyż sam nie był od nich wolny. Kościół potrafił wykorzystać ambicję ludzi, jak każda wielka, samoodtwarzająca się instytucja. Krążyła plotka, że ksiądz Ralph pozbawił tych Clearych, których, jak twierdzi, bardzo kocha, należnego im majątku. Jeżeli istotnie tak jest, to należy się go trzymać. A jak rozbłysły te piękne niebieskie oczy na wzmiankę o Rzymie! Może pora na kolejne posunięcie? Jakby od niechcienia, zrobił ruch pionkiem w szachowej partii konwersacji, spoglądając czujnie spod półprzymkniętych powiek.

– Kiedy wyjechałeś, Ralphie, dostałem wiadomość z Watykanu – powiedział poprawiając kotkę na kolanach. – Jesteś samolubna, moja Shebo. Nogi mi przez ciebie drętwią.

– Tak? – spytał przygarnięty w fotelu ksiądz Ralph, z trudem powstrzymując się od zamknięcia oczu.

– Pójdiesz się położyć, ale dopiero kiedy usłyszysz nowinę.

Niedawno wysłałem do Ojca Świętego osobistą notatkę, a dziś przyszła odpowiedź od mojego przyjaciela, kardynała Monteverdiego... Ciekawe, czy jest potomkiem tego dawnego kompozytora? Wciąż zapominam go o to zapytać. Och Shebo, dlaczego mnie drapiesz, kiedy jesteś zadowolona?

– Słucham, Wasza miłość, jeszcze nie zasnęłam – rzekł z uśmiechem ksiądz Ralph. – Nic dziwnego, że Wasza Miłość lubi koty. Sam jest podobny do kota, bawi się swoją ofiarą dla przyjemności. – Pstryknął palcami. – Chodź tu, Sheba, chodź do mnie. Twój pan jest niedobry.

Kotka zeskoczyła z biskupiej sutanny, przeszła po dywanie i miękko wskoczyła księdzu na kolana. Zafascynowana, zaczęła wąchać obce zapachy koni i błota, wyginając ogon na boki.

Ksiądz Ralph spojrział rozbawiony na arcybiskupa, obaj patrzyli półprzymkniętymi oczyma w całkowitym skupieniu.

– Jak ty to robisz? – spytał arcybiskup. – Koty nigdy nie przychodzą na wezwanie, a Sheba biegnie do ciebie, jakbyś jej dawał kawior i walerianę. Niewdzięczne stworzenie.

– Czekam, Wasza Miłość.

– Ukaralesz mnie za to, odbierając mi kotkę. No dobrze, wygrałeś, poddaję się. Czy ty kiedykolwiek przegrywasz? Interesujące pytanie. Należą ci się gratulacje, drogi Ralphie. Zostaniesz obdarzony infułą, przyszedł biskup de Bricassart.

Oczy Ralpha szeroko się rozwarły! – spostrzegł z uciechą. Tym razem ksiądz Ralph nie usiłował ani ukrywać prawdziwych uczuć. Po prostu promieniał szczęściem.



**Część czwarta:**

**Luke 1933-1938**

## Rozdział dziesiąty

Ziemia odradzała się zdumiewająco szybko. Minął zaledwie tydzień, kiedy w błotnistej mazi ukazały się kielki trawy, a już po dwóch miesiącach zazieleniły się osmalone drzewa. Ludzie nie poddawali się, zahartowani przez ziemię, na której żyli. Ci, którym brakowało odwagi, wytrwałości czy wręcz fanatyzmu, nie wytrzymywali długo na Wielkim Północnym Zachodzie. Wiadomo było, że upłynął lata, zanim zatrą się ślady pożaru. Niejedna warstwa kory odrośnie i odpadnie w strzępach, zanim pnie eukaliptusów odzyskają biały, szary lub czerwony odcień, a część drzew nigdy nie odżyje. Latami będą białe na równinach szkielety, aż rozdepczą je wędrujące stada, przysypie pył, zetli czas. Pozostaną jedynie bruzdy wyrżnięte przez prowizoryczne mary. Wędrowcy pokazując ślady będą opowiadali jedni drugim, skąd się wzięły, i tak powstanie kolejna, przekazywana z ust do ust opowieść z równin.

Pożar zniszczył około jednej piątej pastwisk Droghedy i dwadzieścia pięć tysięcy owiec; drobiazg w posiadłości, w której pogłowie w ostatnich dobrych latach wynosiło w przybliżeniu sto dwadzieścia pięć tysięcy owiec. Czy ktoś uważał klęski żywiołowe za złośliwość losu, czy dopust boży, wyrzekania na nic by się nie zdały. Trzeba było zacząć od nowa. Działo się tak nie po raz pierwszy i na pewno nie po raz ostatni.

Niemniej widok ogołoconych na wiosnę ogrodów Droghedy bardzo bolał. Dzięki zbiornikom Michaela Carsona mogły przetrzymać suszę, ale nie żar. Nie zakwitła nawet glicynia: żar zwarzył jej delikatne, formujące się dopiero pączki. Róże uschły, bratki poginęły, lewkonie zamieniły się w brunatne badyle, fuksje w cienistych zakątkach zwiędły nieodwracalnie, gipsofilia zmarniała, skruszały pędy pachnącego groszku. Wodę wybraną ze zbiorników uzupełniała ulewa, więc wszyscy w rzadkich wolnych chwilach pomagali Tomowi przywrócić ogrody do życia.

Podobnie jak ojciec, Bob postanowił zatrudnić dodatkowo trzech pastuchów. Mary Carson nie przyjmowała na stałe do pracy nikogo spoza rodziny, bo wolała nająć ludzi tylko na czas przeglądów, kocenia się owiec i strzyży, ale Paddy wiedział, że ludzie lepiej pracują, mając zapewnione dalsze zatrudnienie, a na dłuższą metę i tak wiele to nie zmieniało. Większość pastuchów nie zagrzewała nigdzie dłużej miejsca, gnana chęcią wędrowki.

W nowych domach, zbudowanych dalej od strumienia, osiedlili się żonaci. Stary Tom został właścicielem schludnej, trzyizbowej nowej chaty pod sumakiem, za końskimi zagrodami, i za każdym razem, kiedy do niego wchodził, cieszył się jak dziecko. Meggie nadal jeździła po polach, a jej matka prowadziła księgę.

Fee przejęła po Paddym obowiązek korespondencji z biskupem de Bricassart i, jak to ona, nie przekazywała żadnych wiadomości nie związanych z prowadzeniem farmy. Meggie najchętniej porwałaby jego listy i wczytywała się w nie łapczywie, ale Fee nie dopuszczała do tego, zamykając je w kasetce natychmiast po zapoznaniu się z treścią. Po śmierci Paddy'ego i Stu nikt nie miał przystępu do Fee. Ledwie ksiądz Ralph wyjechał, zapomniała o złożonej obietnicy dotyczącej Meggie. Wiedząc o tym, Meggie grzecznie odrzucała wszystkie zaproszenia na zabawy i przyjęcia, Fee nigdy nie robiła jej wymówek i nie nakłaniała do pójścia. Przy każdej okazji przyjeżdżał Liam O'Rourke, dzwonił bez przerwy Enoch Davies, podobnie jak Connor Carmichael i Alastair MacQueen. Ale Meggie odprawiała ich tak zdecydowanie, że w końcu stracili nadzieję, że zwróca na siebie uwagę.

W lecie dużo padało, ale z przerwami, więc nie groziła powódź, natomiast utrzymywało się błoto, a tysiącmilowa rzeka Barwon-Darling płynęła wartkim, szerokim i głębokim nurtem. Z nadejściem zimy wciąż przelatywały deszcze, w powietrzu unosiły się brązowe płachty wody, nie kurzu. Stopniowo zniknęli wędrowcy, wygnani na szlak przez kryzys, bo pora deszczowa zamieniła przeprawę przez równiny w istne piekło, a tych, którzy nie znaleźli ciepłego

schronienia na noc, dopadało zapalenie płuc.

Zmartwiony Bob pobrzękiwał o zgorzeli racic u owiec, jeżeli taka pogoda się utrzyma; przy mocno zawilgoconej ziemi merynosy zaczynały chorować na kopyta. Postrzygacze nie chcieli tknąć mokrej wełny i obawiano się, że jeśli błoto nie obeschnie w porę, wiele jagniąt zginie z zimna na rozmięklej ziemi.

Telefon zaterkotał trzy razy długo, raz krótko – sygnał Droghedy. Fee podniosła słuchawkę i po chwili powiedziała:

– Bob, Jimy do ciebie.

– Cześć, Jimmy, tu Bob... Tak, zgadza się... O, świetnie! Referencje w porządku?... Fajno, przyślij go do mnie... Jeżeli jest taki dobry to powiedz, że pracę ma prawie zaklepaną, ale muszę się mu jeszcze osobiście przyjrzeć. Nie lubię kupować kota w worku, a do referencji nie mam zaufania... Dobra, dzięki. Bywaj.

Bob usiadł.

– Przyjeżdża nowy pastuch. Jimmy twierdzi, że jest dobry. Pracował w Queenslandzie zachodnim, koło Longreach i Charleville. Był też poganiaczem. Ma dobre referencje, do czego nie można się przyczepić. Dosiądzie wszystkiego, co ma ogon i cztery nogi, kiedyś ujeżdżał konie. Był postrzygaczem-piorunem, jak mówi Jimmy strzygł ponad dwieście pięćdziesiąt sztuk dziennie. To właśnie budzi moje podejrzenia. Czemu taki chce zarabiać jako pastuch? Rzadko kiedy dobry postrzygacz zamieni nożyce na siodło. Ale przydałby się do poganiania na polach, co?

Z biegiem lat Bob mówił coraz przeciąglej, z australijskim akcentem, ale krótszymi zdaniami. Dobijał do trzydziestki i sprawił wielki zawód Meggie, gdyż nie zakochał się w żadnej z panien na wydaniu, spotykanych z okazji nielicznych uroczystości, w których nie wypadało nie wziąć udziału. Był chorobliwie nieśmiały, a przy tym sercem oddany ziemi, jakby zawładnęła niepodzielnie jego uczuciami. Jack i Hugie upodobnili się do niego tak bardzo, że mogliby uchodzić za trojaczki, kiedy zasiadali razem na marmurowej ławie, nie korzystając w domu z większych wygod. Najwyraźniej woleli koczować w polu, a jeżeli spali w swoich pokojach, to wyłącznie na podłodze obawiając się, że od łóżek zniewieścieliby. Od słońca, wiatru i suszy jasna, piegowata cera ogorzała im na mahoń, a wokół niebieskich, spokojnych oczu od wypatrywania się w dal nad połaciami srebrzystobeżowej trawy utrwaliły się kurze łapki. Niezmiernie trudno było określić ich wiek albo wskazać najstarszego bądź najmłodszego. Wszyscy trzej odziedziczyli po ojcu rzymskie nosy i dobrotliwe, choć niebyt przystojne twarze, ale byli lepiej zbudowani od Paddy'ego, któremu lata strzyżenia przygarbiły plecy i wydłużyły ręce. Za to wyrobili sobie zręczne, szczupłe sylwetki jeźdźców. Nie pragnęli jednak ani kobiet, ani wygod, ani rozrywek.

– Czy ten nowy jest żonaty? – spytała Fee, rysując czerwonym atramentem równe kreski przy liniale.

– Nie wiem, nie pytałem. Jutro przyjedzie, to się dowiemy.

– Jak się do nas dostanie?

– Jimmy go podwiezie. Musi zająć się tymi starymi skopami na polu Tankstand.

– Miejmy nadzieję, że zostanie przez jakiś czas – powiedziała Fee. – Jeżeli nie jest żonaty, to za parę tygodni już go nie będzie. Co pastuch, to powsinoga.

Jims i Patsy mieszkali w internacie w Riverview, ale poprzysięgli sobie, że nie zostaną w szkole ani chwili po ukończeniu czternastu lat, kiedy to będą mogli sami o sobie decydować. Paliła ich tęsknota za dniem, w którym wyjdą w pola ze starszymi braćmi i znów będą prowadzić Droghedę całą rodziną, wspomaganą tylko czasami przez obcych, przychodzących i odchodzących, kiedy zechcą. Wyniesiona z domu pasja czytania wcale nie przybliżyła im szkoły. Książkę, zapakowaną do torby przy siodle czy kieszeni kurtki, czytało się o wiele przyjemniej w cieniu wilgi niż w szkolnej klasie. Mocno przeżyli przeniesienie do prowadzonej przez jezuitów szkoły z internatem. Sale o dużych oknach, rozległe trawniki i

boiska, ogrody i bogate wyposażenie nie robiły na nich wrażenia, podobnie jak Sydney ze swoimi muzeami, salami koncertowymi i galeriami sztuki. Przyjaźnili się z synami hodowców i chwalili się rozmiarami farmy i okazałością domu, wprawiając słuchaczy w szczerzy podziw, bez domieszki niedowierzania, bo na zachód od Burren Junction wszyscy słyszeli o potężnej Droghedzie.

Dopiero po kilku tygodniach Meggie zobaczyła nowego pastucha. Wpisano jego nazwisko – Luke O’Neill – do księgi i rozmawiano o nim w rezydencji o wiele częściej niż o innych pastuchach. Po pierwsze, odmówił zamieszkania w baraku dla fryców i wprowadził się do ostatniego wolnego domu nad strumieniem. Po drugie, przedstawił się pani Smith, zyskując sobie jej przychylność, choć nie miała dobrego zdania o pastuchach. Stąd też Meggie od dawna ciekawa była go poznać. Ponieważ kasztankę i karego wałacha trzymała w stajni, a nie w zagrodzie, i wyruszała na pola zwykle później od innych, często przez dłuższy czas nie spotykała żadnego z najętych ludzi. W końcu jednak któregoś popołudnia natknęła się na Luke’a O’Neilla. Oboje podążali do brodu w strumieniu – ona jechała ze Studni, on od strony południowo-wschodniej.

Dostrzegła go pierwsza, bo słońce świeciło mu w oczy. Dosiadał narowistego gniadosza z czarną grzywą, ogonem i nogami. Znała dobrze tego konia, ponieważ do niej należało pilnowanie, żeby konie pracowały na zmianę, a ostatnio dziwiła się, dlaczego tak rzadko widuje tego gniadosza. Nikt na nim nie jeździł, jeśli mógł się od tego wykręcić. Widocznie nowy pastuch nie miał takich oporów, co znaczyło, że jest dobrym jeźdźcem, bo koń sływał z porannego brykania, a każdego, kto z niego zsiadł, natychmiast próbował łapać zębami za głowę.

Trudno było ocenić wzrost kogoś siedzącego na koniu, bo Australijczycy używali małych angielskich siodeł, bez wysokiego tylnego łuku i kuli, jeździli wyprostowani, z silnie zgiętymi nogami. Nowy pastuch wydawał się wysoki, ale trafiali się ludzie o nieproporcjonalnie krótkich nogach, więc Meggie wolała zaczekać z osądem. Wyróżniał się białym strojem, bo inni nosili szare koszule i szare spodnie. Elegancik – pomyślała rozbawiona. – Niech mu będzie, jeżeli sam sobie pierze i prasuje.

– Dzień dobry szanownej pani! – zawołał, kiedy zbliżyli się do siebie, i uniosł wyświechtany szary kapelusz, który potem nałożył zadzierając rondo w górę.

Roześmiane niebieskie oczy patrzyły na Meggie z nie skrywanym podziwem.

– Widzę, że to nie szanowna pani, więc zapewne córka – powiedział. – Nazywam się Luke O’Neill.

Meggie coś bąknęła, ale nie patrzyła na niego, zmieszana i zła, nie przychodzi jej na myśl dowcipna odpowiedź. Och, to niesprawiedliwe! – pomyślała. – Jak może ktoś mieć oczy i rysy Ralpa! Tylko spojrzenie miał inne: wesole i bez serdeczności. Od pierwszej chwili, kiedy ksiądz Ralph klęknął przed nią na stacji w Gilly, Meggie widziała w jego oczach serdeczność. Patrzeć w jego oczy i nie widzieć go – to kara dla niej, okrutny żart.

Nie przypuszczając nawet, o czym rozmyśla jego towarzysząca, Luke prowadził kapryśnego gniadosza koło potulnej klaczy i razem przebrnęli przez wartki, wezbrany strumień. Prawdziwa piękność – ocenił ją w duchu. – A włosy! To, co u braci przypominało marchewkę, u tej małej wyglądało zupełnie inaczej. Żeby tylko podniosła głowę, pozwoliła mu się przyjrzeć! W tym momencie spojrzała na niego z takim wyrazem twarzy, aż zaskoczony zmarszczył brwi. Nie patrzyła na niego z nienawiścią, ale jakby usiłowała coś na próżno wypatrzyć, albo rozczarowało ją to, co zobaczyła. W każdym razie minę miała nieszczęśliwą. Nie zdarzało mu się, żeby jakaś kobieta oceniała go i wynajdywała braki. Jej niezadowolenie podsyciło jego ciekawość schwytaną w sidła rozzłoconych w słońcu włosów i łagodnych oczu. Wciąż mu się przyglądała, z rozchyłonymi ustami i uniesionymi w zdumieniu brwiami. Nad górną wargą i na czole od upału perlił się pot.

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby białe jak u Ralpa, choć samym uśmiechem go nie

przypominał.

– Wygląda panienka jak dziecko, które nie może się czemuś dość nadziwić – powiedział.

– Przepraszam – odparła odwracając wzrok. – Niechcący się zagapiłam. Przypominasz mi kogoś po prostu.

– Ależ gap się, ile chcesz. To lepsze niż oglądanie tyłu twojej głowy, choć temu też nic nie brakuje. Kogo ci przypominam?

– Nikogo ważnego. Dziwne uczucie, kiedy zobaczy się kogoś znajomego, a jednocześnie całkiem obcego.

– Jak ci na imię, panienko Cleary?

– Meggie.

– Meggie... Za mało dostojnie, ani trochę do panienki nie pasuje.

Wolałbym, żebyś miała na imię Celinda albo Madeline, ale skoro możesz mi zaproponować tylko Meggie, trudno. Od jakiego imienia to zdrobnienie, od Margaret? – Nie, Meghann.

– A, to co innego! Będę cię nazywał Meghann.

– Nie! – zaprotestowała. – Nie cierpię tego imienia!

– Za często stawiałaś na swoim, panienko Meghann – odparł ze śmiechem. – Jeżeli zechcę, będę nazywał cię Eustacia Sohronia Augusta.

Kiedy dojechali do zagród, zsunął się z gniadosza, kułakiem wymierzonym w nachalny pysk zmusił go do posłuszeństwa, i stał, czekając najwyraźniej, aż Meggie wysunie rękę, żeby pomógł jej zsiąść. Ale ona dotknęła kasztankę piętami i ruszyła dalej.

– Delikatna dama stroni od towarzystwa prostych pastuchów – zawołał za nią.

– Oczywiście, że nie! – odparła nie odwracając głowy.

Nie, to niesprawiedliwe! – powtórzyła w duchu. Nawet stojąc przypominał Ralpha: wysoki, barczysty, szczupły w biodrach, zręczny. Z tą różnicą, że Ralph poruszał się jak tancerz, a Luke O'Neill jak atleta. Miał takie same gęste, kędzierzawe włosy, niebieskie oczy, prosty nos, ładnie wykrojone usta. A mimo to on i Ralph byli niepodobni do siebie jak... jak dwa różne gatunki eukaliptusa.

Po tym przypadkowym spotkaniu Meggie łowiła uchem każdą wzmiankę i plotkę o Luke'u. Bracia byli z niego zadowoleni, i znaleźli z nim wspólny język. Robotny jak rzadko – wyraził się o nim Bob. Nawet Fee wspominała o nim któregoś wieczoru, stwierdzając, że jest bardzo przystojny.

– Czy przypomina ci kogoś? – spytała Meggie od niechcienia, leżąc na brzuchu na dywanie z książką, którą czytała.

– Przypomina chyba trochę księdza de Bricassart – odparła Fee po krótkim zastanowieniu.

– Ten sam kolor włosów i oczu, ta sama budowa ciała. Ale podobieństwo nie jest uderzające, są nazbyt różnymi ludźmi. Meggie, czy nie mogłabyś czytać siedząc na krześle? Jesteś w bryczesach, ale to nie znaczy, że masz zapominać o przyzwoitości.

– Phi! – prychnęła Meggie. – Nikt nie widzi!

W tym cała rzecz. Przy zewnętrznym podobieństwie byli obaj zupełnie do siebie niepodobni, ale dręczyło to wyłącznie Meggie, bo kochała się w jednym i bolało ją to, że drugi jest tak pociągający. W kuchni, jak odkryła, Luke cieszył się sympatią, a przy okazji wyszło na jaw, komu zawdzięcza luksus ubierania się w białe koszule i białe spodnie: prała je i prasowała pani Smith, ulegając jego nieodpartemu urokowi.

– Och, jaki to piękny Irlandczyk! – westchnęła Minnie.

– Australijczyk – prowokowała ją Meggie.

– Niechby i tu urodzony, kochana panienko, ale z takim nazwiskiem jest irlandzki jak świnię Paddy'ego, z przeproszeniem świętej pamięci ojca panienki, niech odpoczywa w pokoju między aniołami. Z takimi kruczymi włosami i chabrowanymi oczami i nie Irlandczyk? W dawnych czasach O'Neillowie byli królami Irlandii.

– A nie O’Connorowie? – droczyła się Meggie.

Okrągłe oczka Minnie błysnęły.

– Oho, trzeba panience wiedzieć, że to był wielki kraj.

– Daj spokój! Nie większy od Droghedy! A poza tym O’Neill to nazwisko oranżysty. Nie oszukasz mnie.

– Czyżby? To wielkie irlandzkie nazwisko istniało, zanim się urodził pierwszy oranżysta. A ponieważ było popularne w Ulsterze, to znalazło się paru O’Neillów wśród oranżystów. Ale też był, kochana panienko, O’Neill Clandeboy i O’Neill Mor.

Meggie dała za wygraną. Jeżeli Minnie w ogóle posiadała plemienną wojowniczość, to dawno ją straciła i wymawiała słowo „oranżysta” bez zgrzytania zębami.

Mniej więcej tydzień później znów spotkała Luke’a nad strumieniem. Podejrzewała, że się na nią zaczął, ale nie wiedziała, co na to poradzić, jeżeli nawet tak było.

– Dzień dobry, Meghann.

– Dzień dobry – odpowiedziała ze wzrokiem wbitym w łeb kasztanki.

– W przyszłą sobotę będzie zabawa w Braich y Pwll. Pojedziesz ze mną?

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie umiem tańczyć, więc po co miałabym jechać?

– Nauczę cię szybciej, niż ciele machnie ogonem, to żadna przeszkoda. Jak myślisz, czy Bob pożycz mi starego rollsa, albo nawet nowego, skoro chcę zabrać na tańce jego siostrę?

– Powiedziałam, że nie pojedę! – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

– Powiedziałaś, że nie umiesz tańczyć, a ja obiecałem, że cię nauczę. Nie mówiłaś, że nie pojedziesz, nawet gdybyś umiała tańczyć, więc uznałem, że nie masz nic przeciwko temu. Chcesz się teraz wycofać?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie, które skwitował śmiechem.

– Jesteś rozpuszczona jak dziadowski bicz, Meghann. Pora, żeby ktoś ci się przeciwstawił.

– Nie jestem rozpuszczona!

– Nie opowiadaj mi głodnych kawałków! Jedyna córka, obstawa z braci, tyle ziemi i pieniędzy, wystawny dom, czeladź! Wiem, że to własność Kościoła, ale Clearym niczego przecież nie brakuje.

A więc tym się przede wszystkim różnią! – pomyślała triumfalnie, bo nie mogła uchwycić tej różnicy, odkąd go poznała. Ralph nie przywiązywałby wagi do całej tej otoczki, zaś ten człowiek nie dorównywał mu wrażliwością, nie miał wycucia pozwalającego dostrzec, co kryje się pod pozorami. Szedł przez życie nie mając pojęcia, jakie jest trudne i bolesne.

Nie posiadając się ze zdumienia, Bob wręczył Luke’owi kluczyki do nowego rollsa. Przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, potem się uśmiechnął.

– Nie przypuszczałem, że Meggie wybierze się na tańce, ale zabierz ją, Luke, jak najbardziej! Spodoba jej się. Mało ma rozrywek biedactwo. Powinniśmy ją gdzieś zabierać, ale jakoś nigdy tego nie robimy.

– A może ty, Jack i Hughie też pojedziecie? – spytał Luke nie gardząc widocznie większym towarzystwem.

Bob potrząsnął głową ze zgrozą.

– Nie, dziękuję. Nie przepadamy za tańcami.

Z braku innej, Meggie włożyła popielatoróżową sukienkę. Nie pomyślała wcześniej, żeby podjąć część pieniędzy z rosnącego w banku kapitaliku i sprawić sobie nowe wyjściowe sukienki. Do tej pory skutecznie odrzucała zaproszenia, bo tacy kawalerowie jak Enoch Davies i Alastair MacQueen pozwalali się odprawić zdecydowanym „nie”. Nie mieli takiego tupetu jak Luke O’Neill.

Przyglądając się w lustrze pomyślała, że mogłaby się wybrać za tydzień z mamą, która jeździła regularnie do miasteczka, i zamówić to i owo u krawcowej.

Za nic nie chciała jechać w tej sukience i natychmiast by ją zdjęła, gdyby miała drugą, w miarę odpowiednią. Inne czasy, inny mężczyzna. Wiązało się z tą sukienką tyle marzeń,

uniesień i łez, że wydawało się profanacją wkładanie jej dla kogoś takiego jak Luke. Nauczyła się skrywać uczucia, okazywać spokój i udawać, że jest szczęśliwa. Obrastała opanowaniem jak drzewo korą, ale wieczorami, gdy pomyślała czasem o matce, wstrząsał ją dreszcz.

Czy upodobni się w końcu do niej, zobojętnieje na wszystko? Czy tak się to zaczęło z mamą, kiedy знаła ojca Franka? Co by mama zrobiła, gdyby się dowiedziała, że Meggie poznała prawdę o Franku? Och, tamta kłótnia na plebanii! Jak by to było wczoraj: tata i Frank naprzeciw siebie, Ralph ściskający ją, aż bolało. Okropności, które wykrzykiwali. Wszystko zaczęło wtedy do siebie pasować. Wydawało jej się, że wiedziała o Franku od początku. Z czasem zrozumiała, że po to, by mieć dzieci, trzeba czegoś więcej, niż myślała: jakiegoś fizycznego zbliżenia absolutnie zakazanego poza małżeństwem. Jaką hańbę i poniżenie musiała przeżyć mama. Nic dziwnego, że tak to się na niej odbiło. Gdyby to mnie się przytrafiło – myślała – chciałabym umrzeć. W książkach jedynie prostackie dziewczki miały dzieci poza małżeństwem, a mama przecież nie była prostacką dziewczką. Meggie całym sercem pragnęła, żeby mama porozmawiała z nią o tym, albo żeby sama ośmieliła się poruszyć ten temat. Może choć trochę mogłaby pomóc. Mama jednak nie pozwalała się do siebie zbliżyć ani sama nie wychodziła naprzeciw. Meggie westchnęła do swojego odbicia w lustrze z nadzieją, że jej nic się takiego nie przydarzy.

Ale młodość dopominała się o swoje prawa. W chwilach takich jak ta, kiedy przyglądała się sobie, chciała, żeby uczucie owionęło ją jak gorący wiatr. Nie chciała iść przez życie jak drętwa, pragnęła odmiany, ożywczej miłości. Miłości, męża, dzieci. Po co tęsknić za kimś, kogo nie można mieć? Nie chciał jej – myślała – i nigdy nie zechce. Powiedział, że ją kocha, ale nie tak jak mąż, ponieważ śluby połączyły go z Kościołem. Czy wszyscy mężczyźni darzą coś nieożywionego większą miłością niż kobietę? Nie, na pewno nie wszyscy. Może tylko ci myślący, uwikłani w wątpliwości i zastrzeżenia? Ale muszą też być mniej skomplikowani mężczyźni, którzy kobietę pokochają nade wszystko. Jak na przykład Luke.

– Nie znam drugiej tak pięknej dziewczyny, jak ty – powiedział Luke zapuszczając silnik rollsa.

Meggie nie znała się zupełnie na komplementach. Zaskoczona, spojrzała na niego z ukosa i nie odpowiedziała.

– Prawda, jak przyjemnie? – rzekł nie przejmując się brakiem zainteresowania z jej strony.  
– Wystarczy przekręcić kluczyk i motor zapala. Nie trzeba kręcić tą cholerną korbą do siódmych potów. To dopiero jest życie, Meggie, nie ma co.

– Nie zostawisz mnie samej? – spytała.

– Dobry Boże, gdzie tam! Przecież jedziesz ze mną. To znaczy, że przez cały wieczór należysz do mnie i nie pozwolę, żeby ktoś mi cię odbił.

– Ile masz lat, Luke?

– Trzydzieści. A ty?

– Prawie dwadzieścia trzy.

– Aż tyle? Wyglądasz jak mała dziewczynka.

– Ale nią nie jestem.

– Oho! A byłaś już kiedyś zakochana?

– Raz.

– Tylko raz? I masz już dwadzieścia trzy lata? Dobry Boże! Ja zdążyłem się zakochać i odkochać z dziesięć razy, zanim skończyłem dwadzieścia trzy lata.

– Może i ja bym się zakochiwała, ale w Droghedzie nie bardzo mam w kim. Zanim przyjechałeś, inni pastuchowie tylko nieśmiało się ze mną witali.

– Jeżeli nie chodzisz na zabawy, bo nie umiesz tańczyć, to nigdy nie będziesz miała okazji się nauczyć. Nie szkodzi, szybko się z tym uporamy. Pod koniec wieczoru będziesz już tańczyła, a za parę tygodni nie będziesz miała sobie równych. – Zerknął na nią. – Ale nie

powiesz mi, że osadnicy z innych farm nie próbowali cię namówić, żebyś się z nimi wybrała. Pastuchów rozumiem, ciut ich onieśmielasz, ale paru owczarzy na pewno się do ciebie zalecało.

– Jeżeli innych onieśmielałam, to czemu ty mnie zaprosiłeś?

– Bo ja jestem zuchwalcem nad zuchwalcami – odparł z wesołym uśmiechem. – Tylko nie zmieniaj tematu. Na pewno są w okolicy tacy, którzy cię zapraszali.

– Owszem, jest kilku takich – przyznała. – Ale ja nigdy nie chciałam się nigdzie wybierać. Dopiero ty mnie do tego namówiłeś.

– Więc tamci są głupi jak but z lewej nogi – rzekł. – Ja się od razu na tobie poznałem.

Niezbyt jej to odpowiadało, że jest taki wygadany, ale nie umiała mu się przeciwstawić.

Na zabawę, która odbywała się w szopie na wełnę, zjeżdżali się wszyscy ze względu na wiek, płeć i stan – synowie i córki osadników, pastuchowie z żonami, służące, guwernantki, mieszkańcy miasteczka.

Nienaganne maniery, zachowywane na bardziej uroczyste okazje tutaj ginęły bez śladu. Z Gilly przyjeżdżał Mickey O'Brien, żeby grać na skrzypcach, i zawsze znalazło się paru akompaniatorów, którzy wtórowali mu na zmianę na akordeonie. Stary skrzypek, siedząc na beczce lub beli wełny, grał godzinami bez wytchnienia, a z obwisłej wargi skapywała u ślina, której nie miał cierpliwości połykać, bo tracił żywe tempo.

Takich tańców Meggie nie widziała na przyjęciu urodzinowym u Mary Carson. Tu królowały polki, mazurki, kadryle i inne zamaszyste i skoczne tańce, w których partnerzy albo przelotnie dotykali się dłońmi, albo puszczały się w szalone obroty. Nie było miejsca na intymność ani rozmarzenie. Wyżywano się po prostu i rozładowywano napięcia, a miłosne intrygi kwitły z dala od hałaśliwego rozgardiaszu.

Meggie szybko odkryła, że jej wysoki, przystojny kawaler budzi zazdrość. Rzucano mu niemal tyle samo tęsknych i uwodzicielskich spojrzeń, co niegdyś księdzu Ralphowi, jedynie bardziej otwarcie. Co niegdyś Ralphowi. Niegdyś. To straszne, że musiała o nim myśleć, jakby nieodwracalnie należał do przeszłości.

Dotrzymując słowa, Luke zostawiał ją samą na krótko, kiedy wychodził do szaletu. Enoch Davies i Liam O'Rourke chętnie zajęliby jego miejsce, ale on do tego nie dopuszczał, a oszołomiona Meggie nie pojmowała, że ma prawo zatańczyć z innymi, którzy ją proszą. Nie słyszała szeptanych komentarzy, ale Luke słyszał, i śmiał się z nich w duchu. Co za bezczelność! Zwykły pastuch i wykrada ją im sprzed nosa! Przygany ani go grzały, ani ziębiły. Każdy z nich mógł się postarać o to samo co on. Skoro nie wykorzystali swojej szansy, ich strata.

Na koniec tańczono walca. Luke wziął Meggie za rękę, objął ją wpół i przyciągnął do siebie. Tańczył znakomicie. Zdziwiona, przekonała się, że wystarczy, żeby szła, gdzie ją prowadzi. Robiło to na niej niezwykle wrażenie, kiedy trzymał ją tak blisko. Czuła mięśnie jego piersi i ud, chłonęła bijące od niego ciepło. Krótkie chwile bliskości z Ralphem przeżyła tak mocno, że nie zdążyła spostrzec szczegółów, a przy ty była szczerze przekonana, że tak jak w jego ramionach nie poczuje się już nigdy. Lecz choć tym razem było inaczej, też ogarnęło ją podniecenie. Serce biło przyśpieszonym rytmem, a Luke to wyczuł, bo wywinął nią w tańcu, ścisnął mocniej i przytulił policzek do jej włosów.

Nie odzywali się wiele do siebie, słuchając cichego warkotu rollsa, który z łatwością pokonywał wyboje na drodze i bezdrożach. Z Braich y Pwll trzeba było jechać do Droghedy siedemdziesiąt mil przez bezludne pola, na których nie zajaśniało nawet światełko ludzkiej siedziby. Wzniesienie przecinające Droghedę górowało nad okolicą trzydzieści kilka jardów, ale mieszkaniac równin czuł się na jego grzbiecie jak Szwajcar na wierzchołku góry. Luke zatrzymał samochód, wysiadł i poszedł otworzyć drugie drzwiczki. Meggie stanęła przy nim drżąc z obawy: czy zepsuje wszystko chcąc ją zaraz pocałować? Tak cicho, tak daleko od ludzi!



Po jednej stronie biegł zygzakowaty płot z butwiejących belek i Luke, przytrzymując Meggie lekko za łokieć, pomógł jej przejść po nierównej ziemi, uważając, żeby nie zaczepiła pantofelkami o króliczą norę. Chwyciła się płotu i patrzyła oniemiała – z początku ze strachu, że Luke ją dotknie, a potem, kiedy nic takiego się nie stało, z podziwu dla pejzażu.

W bladym świetle księżyca, niemal równie wyraziście jak w słońcu, rysowały się rozległe przestrzenie, falowała trawa srebrzystobiałoszara. Liście na drzewach skrzyły się, kiedy wiatr unosił ich gładkie wierzchy ku górze, a przy zagajnikach ziały otchłanie cienia niczym paszcze podziemnego świata. Spojrzała w niebo i daremnie próbowała zliczyć gwiazdy. Punkciki, delikatne jak krople rosy na pajęczej sieci, jarzyły się i gasły, jarzyły się i gasły w odwiecznym rytmie. Zdawały się patrzeć na nią w milczeniu niczym oczy owadów błyszczące jak klejnoty w świetle reflektorów, nie wyrażając niczego, a widząc wszystko. Słychać było westchnienie wiatru w trawie, szelest drzew, czasem brzęk stygnącego rollsa, senne narzekanie jakiegoś ptaka, któremu zakłócili spokój. W powietrzu unosił się nieokreślony, wonny aromat buszu.

Luke obrócił się tyłem do nocnego krajobrazu, wyjął kapciuch z tytoniem, ryżowe bibułki i zabrał się do robienia skręta.

– Tutaj się urodziłaś, Meghann? – spytał, trąc palcami wysypane na dłoń skrawki tytoniowych liści.

– Nie, urodziłam się w Nowej Zelandii. Przyjechaliśmy do Droghedy trzynaście lat temu.

Wsunął uformowane zwitki do papierowej rurki, obrócił ją zręcznie między kciukiem i wskazującym palcem, polizał, skleił, utkał do środka wystające wiórki końcem zapałki, rozniecił ogień i przypalił.

– Dobrze się dziś bawiłaś, prawda?

– O, tak!

– Chciałbym cię zabierać na wszystkie zabawy.

– Dziękuję.

Umilkł zaciągając się dymem i spoglądając ponad dachem rollsa na pobliską kępę drzew, gdzie wciąż zrzędził rozniewany ptak. Kiedy między poplamionymi palcami żarzył mu się koniuszek wypalonego papierosa, upuścił go na ziemię i rozgniół zawzięcie obcasem. Nikt nie gasi niedopałka tak dokładnie jak australijski Buszmen.

Kiedy Meggie odwróciła się z westchnieniem, doprowadził ją do samochodu. Był za sprytny na to, żeby już teraz ją całować, wolał poczekać, aż sama tego zapragnie, bo postanowił się z nią ożenić.

Jeździli potem na inne zabawy, a letnie dni mijały i gasły w krwistym blasku i pyle. Domownicy stopniowo przywykli, że Meggie znalazła sobie bardzo przystojnego adoratora. Bracia go lubili, a siostrę kochali, więc powstrzymywali się od docinków. Nigdy jeszcze nie zatrudniali kogoś tak pracowitego, a to starczało za najlepszą rekomendację. Z ducha byli ludźmi pracy, więc nie przyszło im do głowy oceniać Luke'a O'Neilla na podstawie tego, że jest biedny. Fee, która mogłaby go oszacować wnikliwiej, nie okazała dostatecznego zainteresowania. Tak czy owak, spokojna pewność Luke'a, że jest kimś innym niż zwykłym pastuchem, zaowocowała tym, że bracia zaczęli go traktować jak równego sobie.

Jeżeli nie nocował w polu, przychodził wieczorami w odwiedziny do rezydencji. Po jakimś czasie Bob oznajmił, że wygodniej mu będzie stołować się u nich i tak już zostało. Potem uznano za bezsensowne, żeby szedł milę z powrotem do siebie, skoro był tak uprzejmy i bawił Meggie do późna rozmową, więc namówiono go, żeby przeprowadził się do jednego z domków gościnnych za rezydencją.

Meggie dużo o nim myślała i nie tak wzgardliwie jak na początku, kiedy porównywała do stale z Ralphem.

Dawna rana goiła się. Z czasem zapomniała, że Ralph uśmiechał się w taki sposób, a Luke w inny, że oczy Ralpa nieruchomiały w zamyśleniu, podczas gdy w oczach Luke'a płonęła

pasja. Była młoda, zaledwie przelotnie poczuła smak miłości, a chciała ją chłonąć wszystkimi zmysłami aż do zawrotu głowy. Ksiądz Ralph został biskupem. Wiedziała, że nigdy, przenigdy do niej nie wróci. Sprzedał ją za trzystaście milionów srebrników – wciąż ją to dręczyło. Gdyby sam się tak nie wyraził, nie myślałaby o tym, ale takich właśnie słów użył, więc nieraz zastanawiała się leżąc w łóżku, co chciał przez to powiedzieć. Czuła mrowienie w dłoniach, które opierała na plecach Luke'a, kiedy przytulał ją mocno w tańcu. Rozbudzał ją jego dotyk, jego niespożyta energia. O, nigdy nie rozpałał jej mroczny żar, nigdy nie myślała, że uschnie z tęsknoty, jeżeli go więcej nie zobaczy, nie drżała pod jego spojrzeniem, ale inni, których poznała na zabawach, nie działali na nią tak jak on. Jeżeli musiała zadzierać głowę, żeby spojrzeć komuś w oczy, okazywało się, że nie są to oczy Luke'a, a jeżeli nawet oczy mieli podobne, to ich włosy były inne. Każdemu z nich czegoś brakowało w porównaniu z Lukiem, choć nie potrafiła określić, co go tak wyróżniało. Prócz tego oczywiście, że przypominał Ralpa, a nie chciała się przyznać, że tylko dlatego jej się podoba.

Dużo rozmawiali, ale raczej ogólnikowo – o ziemi, o owcach, strzyży, o tym, czego oczekiwał od życia, gdzie bywał, o wydarzeniach politycznych. Czytywał książki, ale nie tak zachłannie jak Meggie, której mimo starań nie udawało się go nakłonić do interesującej lektury. Nigdy też nie prowadził rozmowy wymagającej wysiłku intelektualnego, a najbardziej drażniło ją, że nigdy nie przejawia bliższego zainteresowania jej osobą, nie pytał, czego oczekuje od życia. Próbowwała go czasem naprowadzić na bardziej osobisty temat, ale nadaremnie.

Pracowity i sprytny Luke O'Neill marzył o tym, żeby się wzbogacić. Urodził się w lepiance na przedmieściach Longreach w Queenslandzie Zachodnim, dokładnie na Zwrotniku Koziorozca. Jego ojciec był czarną owcą majątną, ale zawziętej irlandzkiej rodziny, a matka córką niemieckiego rzeźnika z Winton. Kiedy postawiła na swoim i wyszła za mąż za ojca Luke'a, również została wydziedziczona. W nędznej chacie chowało się dziesięcioro dzieci bez jednej pary butów, które zresztą nie były im potrzebne w tropikalnym klimacie. Ojciec, który zarabiał na życie postrzyganiem, jeżeli miał na to ochotę (a najczęściej ciągnęło go do butelki rumu), zginął w pożarze gospody, kiedy Luke miał dwanaście lat. Więc Luke, kiedy zgodzono się przyjąć go na spółkarza, ruszył w objazd i mazał owce stopniowo smołą, kiedy postrzygaczowi omsknęła się ręka i zaciął zwierzę do żywego.

Jednego Luke się nie bał – ciężkiej pracy. Służyła mu, podobnie jak innym służy coś wręcz przeciwnego. Nigdy nie zostało wyjaśnione, czy dlatego tak pracował, że ojciec był wyśmiewanym w miasteczku pijaczkiem, czy też po matce Niemce odziedziczył zamiłowanie do pracy.

Z czasem został pomocnikiem: biegał po moście, chwycił ciężkie wydęte runo sfruwające z maszynek do strzyżenia i zanosił je na stół, gdzie oczyszczano jego brzegi i rolowano wełnę. Nauczył się wtedy obierać runo zeskorupałych od brudu brzegów i układać je w sąsiekach, gdzie czekały na klasyfikatora, arystokratę strzyży. Podobnie jak zawodowego znawcę win czy perfum, nie można było takiego człowieka wyuczyć fachu, jeżeli nie miał naturalnych predyspozycji. A Luke ich nie posiadał. Chcąc zarobić więcej, a na tym mu zależało, miał do wyboru prasowanie albo strzyżenie. Miał dość siły, żeby obsługiwać prasę zgniatającą runo w olbrzymie bele ale postrzygacz-piorun zarabiał więcej.

Dał się poznać w Queenslandzie Zachodnim jako dobry pracownik, więc chętnie przyjęto go na nauczanie. Był silny, wytrzymały, zręczny, miał dobrze skoordynowane ruchy, mógł więc zostać postrzygaczem-piorunem. Wkrótce Luke strzygł powyżej dwustu sztuk dziennie, sześć dni w tygodniu, biorąc funta za sto sztuk, a dokonywał tego wąską maszynką do strzyżenia, przypominającą jaszczurkę boggi, od której wzięła nazwę. W Australii nie wolno było używać nowozelandzkich maszynek z szerokimi grzebieniami i ostrzami, choć strzygło się nimi dwa razy szybciej.

To była ciężka harówka. Nachylając się nad owcą, którą przytrzymywał kolanami, przeciągał maszynką przez całą długość tułowia, uwalniając wełnę w jednym kawałku tak, żeby nie trzeba było poprawiać i żeby zadowolić szefa, który dopadał postrzygacza, jeżeli ten nie przestrzegał wyśrubowanych norm. Nie przeszkadzał mu upał, pot i pragnienie zmuszające do wypijania trzech galonów wody dziennie, nie zwracał nawet uwagi na uprzykrzone muchy, do których przywykł od urodzenia. Nie przeszkadzały mu też owce, które śniły się postrzygaczom po nocach – nierówne, mokre, przerośnięte, brudne i zapaskudzone przez muchy – same merynosy, obrośnięte wełną od kopyt po nos, z delikatną, fałdzistą skórą, przesuwającą się jak śliski papier.

Nie, sama praca nie mierzila Luke'a, bo im ciężej pracował, tym lepiej się czuł, drażnił go hałas, smród, przebywanie w zamkniętym pomieszczeniu. Nigdzie na świecie nie znalazłoby się drugiego tak piekielnego miejsca jak szopa do strzyżenia. Postanowił więc, że zostanie szefem który przechadza się koło zgarbionych postrzygaczy i patrzy na runo, ścinane płynnymi, bezbłędnymi ruchami.

*Na krześle wyplatany siedzi sobie z boku  
Szef rozparty wygodnie, wszystkich ma na oku.*

Tak głosiła stara śpiewka postrzygaczy i kimś takim zapragnął zostać Luke O'Neill. Szefem, panem całą gębą, hodowcą, osadnikiem. Nie dla niego ciągle schyłanie się, wydłużone po latach pracy ręce. Chciał pracować na otwartej przestrzeni i patrzeć, jak rośnie majątek. W szopie mogłaby go zatrzymać jedynie perspektywa zostania postrzygaczem-burzą, jednym z garstki ludzi strzyżących powyżej trzystu merynosów dziennie zgodnie z normą i przy użyciu wąskiej maszynki. Zbijali oni fortunę przyjmując zakłady. Niestety, był odrobinę za wysoki, a te kilka sekund różnicy przy schylaniu się i odchylaniu decydowało o różnicy między piorunem a burzą.

Przyszedł mu do głowy inny sposób osiągnięcia wymarzonego celu: odkrył, że podoba się kobietom. Pierwszą próbę przeprowadził podając się za pastucha w Gnarlundze, gdzie dziedziczką farmy była dość młoda i ładna panna. Pech chciał, że ostatecznie wybrała słynącego z dziwactw parobka z Anglii. Z Gnarlungi przeniósł się do Bingelly, gdzie znalazł pracę jako ujeżdżacz koni, a upatrzył tam sobie niemłodą i nieładną córkę prowadzącą gospodarstwo wraz z owdowiałym ojcem. Biedna Dot, prawie ją zdobył, w końcu jednak spełniła życzenie ojca i wyszła za zwawego sześćdziesięciolatka, właściciela sąsiedniej posiadłości.

Te dwie próby zabrały mu przeszło trzy lata życia, uznał więc, że dwadzieścia miesięcy na dziedziczkę to za długo i za nudno. Wolał wyruszyć w podróż i spenetrować znacznie większy obszar w poszukiwaniu odpowiedniej kandydatki. Czuł się jak w siódmy niebie pędząc po szlakach Queenslandu Zachodniego – wzdłuż rzek Cooper, Diamantina, Barcoo i Bulloo-Overflow niknących w górnym zachodnim rogu Nowej Południowej Walii. Miał trzydzieści lat i zdawał sobie sprawę, że czas najwyższy znaleźć gęś, która zniesie przynajmniej kawałek złotego jajka.

Wszyscy słyszeli o Droghedzie, ale Luke szczególnie pilnie nadstawiał uszu, kiedy dowiedział się, że w rodzinie jest jedyna córka. Wiadomo było, że nie odziedziczy posiadłości, ale może otrzymałaby w wianie skromne sto tysięcy akrów koło Kynuny albo Winton. Okolice Gilly, choć ładne, wydawały mu się zbyt zalesione. Tęsknił za trawiastym bezkresem dalekiego Queenslandu Zachodniego, gdzie drzewa pozostawały tylko we wspomnieniach pochodzących gdzieś ze wschodu. Rosła tam trawa, trawa i jeszcze raz trawa, bez początku i bez końca, ale owce hodowano w takiej liczbie, żeby na jedną przypadało co najmniej dziesięć akrów. Bo czasami zamiast trawy rozpościerała się popękana, dysząca czarna pustynia. Trawa, słońce, upał i muchy. Każdemu odpowiada inny raj, a taki wybrał dla siebie Luke O'Neill.

Pociągnął za język Jimmy'ego Stronga, pośrednika handlowego, który przywiózł go na miejsce, i gorzko się rozczarował na wieść, że Drogheda należy do Kościoła. Wiedział już, jak rzadko trafiają się samotne dziedziczki majątków, ale kiedy Jimmy Strong dodał, że jedyna córka dysponuje niezłą sumką w banku i ma wielu kochających braci, postanowił nie odstępować od swoich zamiarów.

Luke od dawna postawił sobie za cel zdobycie stu tysięcy akrów koło Kynny albo Winton i dążył do tego celu z niezłomnym uporem, ale najbliższa jego sercu była żywa gotówka, a nie to, co mógłby za nią kupić. Rozpalała go nie tyle perspektywa posiadania ziemi i płynące stąd znaczenie, ile rosnące rzędki schludnych cyferek na jego koncie w banku. To nie Gnarlunga czy Bingelly budziły w nim pożądanie, lecz ich wartość wyrażona w gotówce. Człowiek, który pragnąłby zostać panem na swoich włościach, nie zainteresowałby się nie posiadającą ziemi Meggie Cleary. Nie sprawiałaby mu też takiej przyjemności jak Luke'owi O'Neill ciężka praca fizyczna.

Zabawa w sali Świętego Krzyża w Gilly była trzynastą, na którą Luke zabrał Meggie w ciągu ostatnich tygodni. Jak się o nich dowiadywał i wycygał zaproszenia, tego Meggie w swojej naiwności nie odgadła, ale co sobota prosił Boba o klucz do rollsa i wiozł ją nawet sto pięćdziesiąt mil od Droghedy.

Kiedy stanęła koło płotu, patrząc na bezkسیężycowy pejzaż, zachrupała pod jej stopami zmarzlina. Nadchodziła zima. Luke otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Zimno ci – powiedział. – Jedźmy już.

– Nie, teraz mi lepiej, rozgrzewam się – odparła szeptem.

Coś się w nim zmieniło, jakby inaczej trzymał zarzuconą niedbale na jej plecy rękę. Tak miło było oprzeć się o niego, chłonać ciepło promieniujące z drugiego ciała. Nawet przez sweterek wyczuwała pieszczące krążenie ręki masującej ją delikatnie, niepewnie. Gdyby oznajmiła, że jest jej zimno, przestałby; nie odzywając się, dawała mu milczącą zgodę na to, co robił. Tak mocno pragnęła zasmakować miłości. On jeden poza Ralphem ją interesował, czemu więc nie miałyby się przekonać, jak całuje? Żeby tylko były to inne pocałunki! Nie takie jak Ralpha!

Biorąc jej milczenie za aprobatę, Luke oparł drugą rękę na jej ramieniu, obrócił ku sobie i nachylił głowę. A więc to tak się czuje czyjeś usta? Uścisk i nic więcej! Jak mu okazać zadowolenie? Poruszyła wargami i natychmiast tego pożałowała. Napór wzrósł. Luke zmusił ją do otwarcia ust i końcem języka objechał ich wnętrze. Obrzydliwość. Dlaczego zupełnie inaczej przeżywała pocałunki Ralpha? Nie czuła wtedy lekkich mdłości. Otwierała się jak szkatułka, w której znajoma dłoń poruszy sekretną sprężynę. Co on robi? – pomyślała. – Czemu dygocze, przywieram do niego, choć chciałabym się odsunąć?

Luke odkrył czułe miejsce u boku Meggie i naciskał je palcami, ale nie wykazywał szczególnego entuzjazmu. Przerwał pocałunek i przylgnął wargami do jej szyi. To bardziej jej odpowiadało. Objęła go z krótkim westchnieniem, ale kiedy zsunął usta niżej, usiłując jednocześnie obnażyć jej ramię, odepchnęła go mocno.

– Dosyć, Luke!

Ten epizod rozczarował ją, a nawet zniechęcił. Luke zdawał sobie doskonale sprawę z tego, kiedy pomagał jej wsiąść do samochodu i skręcał upragnionego papierosa. Miał dobre mniemanie o sobie jako kochanku, żadna, jak dotąd, nie narzekała – ale też nie były one takimi damami jak Meggie. Nawet o wiele od Meggie bogatsza dziedziczka Bingelly, Dot MacPherson, była krowim ogonem i do żadnej eleganckiej szkoły w Sydney nie chodziła. Pod względem doświadczenia seksualnego Luke nie różnił się od przeciętnego wiejskiego parobka, niewiele wiedział ponad to, co jemu samemu sprawiało przyjemność. Liczne dziewczyny, z którymi się przespał, zapewniały, że im się podobało, polegał więc na osobiście zdobytych informacjach, niekoniecznie prawdziwych. Niejedna dziewczyna

angażowała się w romans w nadziei na małżeństwo z mężczyzną tak atrakcyjnym i pracowitym, gotowa więc była kłamać jak z nut, żeby dać mu satysfakcję. A największą satysfakcję sprawiało mężczyźnie wyznanie, że jest najlepszy. Luke nie przypuszczał nawet, ilu dało się na to nabrać.

Wciąż myśląc o Dot, która po tygodniu uległa woli ojca, zamknięta przez niego w baraku postrzygaczy razem z rozkładającą się padliną, Luke pogodził się z tym, co go czeka. Wiedział, że ciężko będzie zdobyć Meggie, że nie wolno mu jej przestraszyć ani zniechęcić. Wesołe igraszki musiały poczekać. Dostosuje zaloty do jej oczekiwań – troskliwość i kwiaty, bez klapsów i podszczypywań.

Niezręczne milczenie przerwała Meggie, z westchnieniem opadając na oparcie.

– Przepraszam, Luke.

– Ja też cię przepraszam, Meggie. Nie chciałem cię urazić.

– Ależ nie uraziłeś mnie, skądże! Po prostu nie jestem przyzwyczajona... Przestraszyłam się.

– O, Meghann! – Oderwał rękę od kierownicy i położył na jej zaciśniętych dłoniach. – Nie przejmuj się. Zapomnijmy o tym.

– Dobrze – zgodziła się.

– Czy on cię nie całował? – spytał z zaciekawieniem.

– Kto?

– Mówiłaś, że raz się zakochałaś, więc uznałem, że to dla ciebie nic nowego. Przepraszam, Meghann. Powinienem się domyślić, że mieszkając na takim odludziu podkochiwałaś się z daleka w jakimś facecie, który nawet ciebie nie zauważył.

O tak, Tak! Niech tak właśnie myśli! – powiedziała sobie.

– To prawda, Luke, podkochiwałam się z daleka.

Przed domem znów przyciągnął ją do siebie i pocałował, tym razem czule, bez języka. Podobało się jej, choć mu się nie odwzajemniła. Poszedł do domku gościnnego, upewniony, że nie zaprzepaścił swoich szans.

Meggie, leżąc w łóżku, wpatrywała się w miękki krąg światła, który padał od lampy na sufit. Przynajmniej o jednym się przekonała: pocałunki Luke'a w niczym nie przypominały pocałunków Ralphi. Raz czy dwa przeniknęło ją trwożne podniecenie, kiedy ścisnął ją wpół, pocałował w szyję. Nie widziała sensu porównywać Luke'a z Ralphem, nawet już nie chciała próbować. Lepiej zapomnieć o Ralphi, on nie mógł zostać jej mężem, za Luke'a mogła wyjść za mąż.

Następnym razem, kiedy Luke ją całował, Meggie zachowała się zupełnie inaczej. Wracali właśnie z cudownego przyjęcia w Rudna Hunish, farmie położonej najdalej z tych, do których Bob pozwolił im się wybrać, a wieczór płynął miło od samego początku. Luke przez całą drogę do Rudna Hunish żartował tak, że pękała ze śmiechu, a na przyjęciu otaczał ją troskliwą czułością. Panna Carmichael tak się zawzięła, żeby jej go odbić, że okazywała większą śmiałość niż Alastair MacQueen i Enoch Davies, nie odstępowała ich na krok i otwarcie flirtowała z Lukiem, zmuszając go, żeby zaprosił ją do tańca. Był to prawdziwy bal i Luke zatańczył z panną Carmichael powolnego walca, ale zaraz wrócił do Meggie i wymownie spojrzął w sufit, dając do zrozumienia, że panna Carmichael go nudzi. Sprawił tym Meggie wielką przyjemność, bo nie lubiła tej pannicy od dnia, w którym zakłóciła jej radosny nastrój na festynie w Gilly. Nigdy nie zapomniła, jak Ralph zignorował młodą damę i przeniósł przez kałużę ją, małą dziewczynkę. Dziś Luke demonstrował swoje uczucia w podobny sposób. Brawo, Luke! Wspaniale się spisałeś!

Czekała ich długa podróż do domu. Luke przymówił się do Angusa MacQueena o kilka kanapek i butelkę szampana, a kiedy przejechali prawie dwie trzecie drogi, zatrzymał samochód. Australijskie samochody, podobnie jak dziś, rzadko bywały wyposażone w grzejniki, ale rolls należał do wyjątków. Tego wieczoru grzejnik bardzo się przydał, bo ziemię

pokrywała gruba warstwa szronu.

– Prawda, jak przyjemnie siedzieć w taką zimną noc bez płaszcza? – powiedziała Meggie z uśmiechem i wzięła od Luke’a składany srebrny kubeczek z szampanem i kanapkę z szynką.

– Tak. Ślicznie dziś wyglądasz, Meghann.

Co takiego było w tych oczach? Zwykle nie przepadał za szarym kolorem – wydawał mu się bez życia – ale spoglądając w oczy Meggie, gotów był przysiąc, że zawierają barwy tęczy – fioletową, indygo, błękit pogodnego nieba, zieleni mchu, odrobinę płowej żółtości. Błyszczały jak półprzeźroczyste klejnoty, otoczone złotymi rzesami. Wyciągnął rękę i przesunął po jej rzesach koniuszkiem palca, po czym obejrzał go z powagą.

– Dlaczego to zrobiłeś, Luke?

– Musiałem sam sprawdzić, czy nie są pokryte złotym pudrem. Jesteś jedyną dziewczyną, która ma naprawdę złote rzesy, wiesz o tym?

– O! – Przytknęła palec do rzes, spojrzała i roześmiała się. – Rzeczywiście! Nic a nic nie schodzi. – Szampan burzył jej się w żołądku i łaskotał w nos, czuła się dziwnie cudownie.

– I najprawdziwsze złote brwi, i najpiękniejsze złote włosy... Zawsze mi się zdaje, że powinny być twarde jak szczerze złoto w dotyku, a są miękkie i puszyste... Cerę też jakbyś miała przysypaną pudrem... I najpiękniejszą buzię, w sam raz do całowania...

Wpatrywała się w niego rozchylając różowe, delikatne wargi, zupełnie jak za pierwszym razem, kiedy się spotkali. Wyjął z jej ręki pusty kubek.

– Dobrze ci zrobi jeszcze trochę szampana – powiedział.

– Jaki przyjemny jest taki mały przystanek na trasie. Jestem ci bardzo wdzięczna, że poprosiłeś pana MacQueena o poczęstunek na drogę.

Pyrkotał cicho silnik rollsa, z ledwie słyszalnym szumem tłoczyło się do środka ciepłe powietrze – oba dźwięki usypiały. Luke rozwiązał krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli. Marynarka i żakiet leżały na tylnym siedzeniu, bo w aucie było na nie za ciepło.

– O, teraz dobrze. Nie wiem, kto wymyślił krawat i uznał, że bez niego człowiek nie jest porządnie ubrany. Udusiłby, gościa jego własnym wynalazkiem.

Obrócił się raptem i nachylił się nad nią, chwytając ustami jej usta. Chociaż jej nie objął, poczuła się z nim złączona tak, że kiedy odchylił się do tyłu, wsparła się na jego piersiach. Przytrzymał jej głowę, wpijając się w te zdumiewająco wrażliwe, oszłamiające wargi, które nareszcie tak idealnie pasowały do jego ust. Objęła go za szyję, wsunęła drżące palce we włosy, drugą dłoń oparła na gładkiej opalanej skórze między rozchyłonymi brzegami kołnierzyka. Tym razem się nie śpieszył, chociaż zanim nalał jej drugi kubek szampana, poczuł stwardniałą męskość, podniecony samym patrzeniem na nią. Nie puszczając jej, całował policzki, opuszczone powieki, łukowate sklepienia brwi, znów jedwabiste policzki i znów usta, których dziecinny wykrój doprowadzał go do szaleństwa od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Szyja z małym wgłębieniem u podstawy, skóra na ramieniu delikatna, chłodna, sucha... Nie miał siły, żeby się powstrzymać, a jednocześnie ogarnął go lęk, że Meggie powie „dość”, sięgnął jednak ręką i porozpinał długi rząd guziczków z tyłu sukienki, zsunął z uległych ramion najpierw sukienkę, potem ramiączka satynowej koszulki. Wtulił twarz w szyję koło ramienia, czubkami palców sunął po nagich plecach, wyczuwał nagłe dreszcze i twardej na jej piersiach gruzełki. Z otwartymi ustami szukał chłodnego zakończenia miękkiej wypukłości, aż wreszcie jego wargi zamknęły się na krążku napiętego ciała. Zamarł, otumaniony, przycisnął ją do siebie i ssał, chwycił zębami, całował, ssał... Ów odwieczny odruch – szczególnie upodobanie – niezawodnie go zaspokajał. Było tak dobrze, dobrze, dobrze, doooooobrze! Nie krzyknął, tylko wstrząsnął się w spazmie rozkoszy.

Odpadł jak syty szczeniak, cmoknięciem w pierś wyraził bezgraniczną wdzięczność i znieruchomiał oddychając ciężko. Czuł na włosach jej pocałunki, pieszczotę ręki wsuniętej pod koszulę, raptem oprzytomniał i otworzył oczy. Usiadł, podciągnął jej ramiączka koszuli,

potem sukienkę i zręcznie pozapinał guziki.

– Powinnaś wyjść za mnie za mąż, Meghann – powiedział łagodnie i wesoło. – Twoim braciom nie podobałoby się ani trochę to, co przed chwilą robiliśmy.

– Tak też uważam – odparła ze spuszczoneymi oczami i lekkim rumieńcem na policzkach.

– Powiemy im o naszych planach jutro rano.

– Im prędzej, tym lepiej.

– W przyszłą sobotę zawiozę cię do Gilly. Odwiedzimy księdza Thomasa, bo pewnie chciałabyś wziąć ślub kościelny, damy na zapowiedzi i kupimy pierścionek zaręczynowy.

– Dziękuję ci, Luke.

A więc postanowione. Była pewna, że nie może być odwrotu od tej decyzji. Upłynie parę tygodni, ile trzeba na ogłoszenie zapowiedzi, i wyjdzie za mąż za Luke'a O'Neilla. Będzie... panią O'Neill! Jakie to dziwne! Dlaczego się zgodziła? Bo on jej powiedział, że to konieczne, że musi to zrobić. Ale dlaczego? Żeby odsunąć od niego niebezpieczeństwo? Żeby chronić jego czy ją? Ralphie de Bricassart, czasami cię nienawidzę...

Wydarzenie w samochodzie zaskoczyło ją i poruszyło do głębi, zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Tyle pięknych, przerażających wrażeń. Dotyk jego rąk! Pieszczota piersi, od której biegły koliste prądy ogarniające całe ciało! W chwili, kiedy uprzytomniła sobie, że ją obnaża, że powinna krzyczeć, uderzyć go, uciekać. Kiedy przeszło obezwładnienie, wywołane szampanem, ciepłem, odkryciem smakowitości pocałunku, wtedy poraził ją tą pieszczotą, wyciszając rozum, świadomość, myśl o ucieczce. Naprężyła ramiona, obsuwając się na jego biodra, a kiedy przycisnął nie nazwany obszar u szczytu jej ud do twardego jak kamień zgrubienia na swoim ciele, chciała tak trwać bez końca, czując przeszywający aż do duszy wstrząs, pustkę, pragnienie... Pragnienie czego? Nie wiedziała. Kiedy odsunął ją od siebie, wcale tego nie chciała, gotowa była rzucić się na niego z wściekłością. Cały ten epizod przypieczętował dojrzewającą w niej decyzją wyjścia za mąż za Luke'a O'Neilla. Nie mówiąc o tym, że w jej przekonaniu zrobił coś, od czego biorą się dzieci.

Nikogo nie zdziwiła nowina i nikomu nie przyszło na myśl oponować. Zaskoczenie wywołała jedynie Meggie, która stanowczo oświadczyła, że nie zawiadomi biskupa de Bricassart, a potem histerycznie odrzuciła pomysł Boba, żeby zaprosić biskupa de Bricassart do Droghedy i urządzić ślub i wesele na miejscu. Nie, nie, nie! Meggie, która nigdy nie podnosiła głosu, wykrzychała im to w twarz. Widocznie obraziła się, że ich nie odwiedza. Twierdziła, że małżeństwo to jej prywatna sprawa. Skoro nie przyjechał do Droghedy przez zwykłą grzeczność, bez powodu, to nie ma zamiaru narzucać mu obowiązku wizyty, której złożenia nie wypadałoby mu odmówić.

Fee obiecała, że nie napomknie o niczym w swoim listach. Sprawiała wrażenie, że jest to jej obojętne, podobnie jak nie okazywała zainteresowania przyszłym mężem Meggie. Prowadzenie ksiąg zapewniało jej ciągłe zajęcie. Zapiski Fee dostarczyłyby historykowi szczegółowego opisu życia na farmie owiec, ponieważ nie składały się wyłącznie z liczb i bilansów. Codziennie skrupulatnie notowała każdy ruch każdego stada owiec, pogodę, a nawet co podała na obiad pani Smith. Zapis w niedzielę, 22 lipca 1934 roku, wyglądał następująco: „Niebo czyste, bez chmur, temperatura o świcie 2 stopnie powyżej zera. Mszy nie było. Bob w domu, Jack z dwoma pastuchami na polu Murrimbah, Hughie z jednym pastuchem na polu Zachodnia Grobla, Antalek pędzi trzyletnie skopy z Budgin na Winnemurra. Temperatura o trzeciej 32 stopnie. Barometr bez zmian: 30,6 cala. Wiatr zachodni. Na obiad podano peklowaną wołowinę, ziemniaki z wody, marchewkę, kapustę, leguminę parzoną ze śliwek. Ślub Meghann Cleary z panem Lukiem O'Neillem, pastuchem, odbędzie się w sobotę, 25 sierpnia, w kościele Świętego Krzyża w Gillanbone. Wpisu dokonano o godzinie dziewiątej wieczorem. Temperatura 8 stopni. Księżyc w ostatniej kwadrze”.

## Rozdział jedenasty

Luke kupił Meggie skromny, ale ładny pierścionek z dwoma brylancikami, osadzonymi w dwóch platynowych serduszkach. Po ślubie cała rodzina miała udać się na obiad do hotelu „Imperial”, gdzie zaproszono też panią Smith, Minnie i Cat. Jims i Patsy mieli zostać w Sydney, gdyż Meggie oznajmiła, że nie widzi powodu ściągnięcia ich z odległości sześciuset mil na nie całkiem zrozumiałą ceremonię. Otrzymała od nich gratulacje. Jims wysmarował dla niej po dziecinnemu nieskładny list, do którego Patsy dopisał dwa słowa: „Dużo szczęścia”. Znali Luke’a, jeździli z nim po polach Droghedy w czasie wakacji.

Upierając się przy urzędzeniu jak najskromniejszej uroczystości, Meggie zasmuciła panią Smith, która marzyła o wielkiej pompie z okazji wydania za mąż jedynej córki Clearych. Meggie tak się sprzeciwiła jakimkolwiek celebracjom, że nie chciała nawet słyszeć o stroju panny młodej. Postanowiła wziąć ślub w zwykłej sukience i kapeluszu, które miały jej potem służyć w podróży.

– Kochanie, już zdecydowałem, dokąd cię zabiorę w podróż poślubną – rzekł Luke siadając naprzeciw niej w niedzielę, nazajutrz po tym, jak postanowili się pobrać.

– Dokąd?

– Do północnego Queenslandu. kiedy byłeś u krawcowej, pogadałem z chłopakami w hotelowym barze. Opowiadali mi, ile można zarobić na plantacjach trzciny, jeżeli ktoś jest silny i nie boi się pracy.

– Ależ Luke, masz przecież tutaj dobrą pracę!

– Nie chcę siedzieć na garnuszku u teściowej i szwagrów. Chcę kupić ziemię w zachodnim Queenslandzie, zanim będę za stary, żeby na niej gospodarować. Najpierw muszę oczywiście zebrać na to pieniądze. Bez wykształcenia ciężko w tym kryzysie dostać dobrze płatną pracę, ale w północnym Queenslandzie brakuje ludzi i zarabiałbym przynajmniej dziesięć razy tyle co pastuch w Droghedzie.

– I co byś tam robił?

– Ciął trzcinę.

– Ciął trzcinę? To praca dla kulisów.

– Mylisz się. Kulisi są za mali, żeby szło im tak dobrze jak białym, a poza tym, jak sama wiesz, australijskie prawo zabrania sprowadzania czarnych i żółtych do ciężkiej pracy i zatrudniania za stawki niższe niż dla białych, żeby nie odbierać chleba białym Australijczykom. Brakuje żeńców, a zarobek jest wyśmienity. Rzadko kto jest na tyle duży i silny, żeby ciąć trzcinę. Ale ja dam radę!

– Chciałbyś, żebyśmy zamieszkali na stałe w północnym Queenslandzie?

– Tak.

Spojrzała ponad jego ramieniem przez wielkie okna salonu na eukaliptusy, pole domowe, widoczne za nimi drzewa. Nie mieszkać w Droghedzie? Tylko gdzieś, gdzie Ralph jej nie odnajdzie, żyć z myślą, że nigdy go nie zobaczy, trwać przy obcym człowieku, z którym nieodwołalnie się związała... Posmutniałe szare oczy, piękniejsze niż zwykle, spoczęły na niecierpliwiej twarzy Luke’a. Wyczuł jej smutek, choć nie dostrzegł ani jednej łzy, opadnięcia powiek czy kącików ust. Nie obchodziły go frasunki Meggie, nie zamierzał dopuścić, żeby stała się dla niego tak ważna, by się o nią martwić. Owszem, dla kogoś takiego, kto smażył cholewki do Dot MacPherson z Bingelly, Meggie stanowiła nie lada gratkę, ale tym bardziej miał się na baczności, żeby jej łagodność i budząca pożądanie uroda nie podbiły mu serca. Żadna kobieta, nawet tak słodka i piękna jak Meggie Cleary, nie mogła nim zawładnąć na tyle, żeby mu rozkazywać.

Zatem pozostając wierny samemu sobie, przeszedł od razu do sedna, ponieważ tej kwestii wolał nie owijać w bawełnę.



– Meghann, jestem staroświecki – powiedział.

Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Naprawdę? – spytała tak, jakby mówiła: Czy to ważne?

– Tak – odparł. – Moim zdaniem, kiedy dwoje ludzi się pobiera, własność żony przechodzi na męża. Wiem, że masz trochę pieniędzy, i uważam, że powinnaś je na mnie przepisać. Uczciwie ci o tym mówię, jeszcze przed ślubem.

Meggie nigdy nie myślała, że zatrzyma swój kapitałik, uznała bowiem, że po ślubie stanie się on własnością Luke'a. Z wyjątkiem wykształconych, postępowych kobiet, Australijki żywiły przekonanie, że ich los spoczywa w rękach mężczyzn, a wychowanie Meggie szczególnie sprzyjało utrwaleniu takiego przekonania. W domu zawsze rządził tata, a po jego śmierci Bob. Meggie nigdy nie kwestionowała męskiego prawa do rozporządzania pieniędzmi, domem, żoną i dziećmi.

– Och! – wykrzyknęła. – Nie wiedziałam, że trzeba coś podpisywać. Myślałam, że to, co moje, po ślubie automatycznie będzie należało do ciebie.

– Kiedyś tak było, ale zmieniło się, odkąd ci głupcy w Canberrze dali kobietom prawo do głosu. Chciałbym żeby nie było między nami żadnych niedomówień, Meghann, dlatego mówię ci teraz, jak się rzeczy mają.

– Dobrze, Luke, nie mam nic przeciwko temu – odparła ze śmiechem.

Przyjęła to jak dobra, staroświecka żona, Dot nie poddałaby się tak łatwo.

– Ile masz? – spytał.

– W tej chwili czternaście tysięcy funtów. Co roku dostaję po dwa.

Gwizdnął.

– Czternaście tysięcy funtów! To dużo pieniędzy, Meghann. Lepiej, żebym ja miał nad nimi pieczę. W przyszłym tygodniu możemy pójść do dyrektora banku. Trzeba też załatwić, żeby przyszłe wpływy zapisywane były na mnie. Wiesz, że nie ruszę tych pieniędzy! Kiedyś kupimy za nie naszą farmę. Ale przez pierwsze dwa, trzy lata oboje będziemy ciężko pracować i oszczędzać wszystko, co zarobimy, dobrze?

– Tak, Luke – odparła Meggie.

Luke o mały włos nie udaremnił ślubu przez zwykłe przeoczenie. Nie był katolikiem. Kiedy ksiądz Watty dowiedział się o tym, że zgrozą uniósł ręce ku niebu.

– Dobry Boże, Luke, dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej? Dużo trudu będzie nas kosztowało nawrócić cię i ochrzcić przed ślubem!

Luke patrzył na księdza zdumiony.

– A kto mówi o nawracaniu, proszę księdza? Żadnej religii nie wyznaję i dobrze mi z tym, ale jeśli to księdzu przeszkadza, proszę wpisać, że jestem kwakrem, szmakrem, czym ksiądz chce. Nie zgadzam się, żeby mnie podano za katolika.

Na próżno go upraszali. Luke nie chciał o niczym słyszeć.

– Nie mam nic przeciwko katolicyzmowi ani Irlandii, myślę nawet, że katolikom w Ulsterze źle się dzieje, ale jestem oranżystą i przechrztą nie będę. Gdybym był katolikiem i chcielibyście, żebym został metodystą, tak samo bym się nie zgodził. Protestuję przeciwko robieniu ze mnie przechrzty, nie przeciwko katolicyzmowi. Nie będę należał do trzódki księdza, koniec, kropka.

– Więc nie możesz wziąć ślubu!

– Czemużby nie? Jeżeli ksiądz nie zechce nam go udzielić, to zrobi to pastor anglikański albo sędzia pokoju Harry Gough.

Uśmiechając się cierpko, Fee przypomniawszy sobie własną przeprawę księdzem, którą wygrała.

– Ależ Luke, ja muszę mieć ślub kościelny! – zaprotestowała Meggie ze łzami w oczach. – Bez tego żyłabym w grzechu!

– Lepiej żyć w grzechu, niż się przechrzcić – obstawał przy swoim Luke. Choć miał

wielką chętkę na pieniądze Meggie, to wrodzony, ślepy upór nie pozwalał mu pójść na ustępstwo.

– Ach, dość tej głupiej gadaniny! – powiedziała Fee zwracając się do księdza. – Zróbcie tak jak ja i Paddy! Jeżeli ksiądz Thomas nie chce zbrukać kościoła, to może udzielić wam ślubu na plebanii!

Wszyscy wybałuszyli na nią oczy, ale jej słowa poskutkowały. Ksiądz Watkin ustąpił i zgodził się udzielić im ślubu na plebanii, ale odmówił błogosławieństwa obrączek.

Częściowa sankcja Kościoła wywołała u Meggie uczucie, że grzeszy, ale nie na tyle, żeby trafić do piekła. Sędziwa Annie, gospodyni, porozstawiała w pokoju wielkie wazon-y kwiatami i mosiężne lichtarze, żeby wprowadzić uroczysty nastrój. Wszyscy jednak czuli się niezręcznie, a niezadowolony ksiądz dawał odczuć, że ceremonia odbywa się tylko dla zaoszczędzenia wstydu cywilnego ślubu. Nie było mszy dla nowożeńców ani błogosławieństwa.

Klamka zapadła. Meggie została panią O’Neille. Luke nie zgodził się, żeby przenocowali w hotelu „Imperial”, bo pociąg do Goondiwindi kursował tylko raz na tydzień, właśnie w sobotę wieczorem. W niedzielę w Goondiwindi odjeżdżał pociąg pocztowy do Brisbane a stamtąd w poniedziałek ekspres do Cairns.

Jechali do Goondiwindi całą noc w tłoku, bo nie było wagonów sypialnych. Pociąg sapał i toczył się na północny wschód zatrzymując się na czas nieokreślony, ilekroć maszyniście przyszła ochota zaparzyć herbatę w blaszance, przepuścić stado owiec przez tory albo uciąć pogawędkę z poganiaczem.

– Ciekawe, dlaczego mówi się „gandiwindi”, a pisze się Goondiwindi, nie Gundiwindi? – spytała Meggie.

Siedzieli na twardej czarnej ławie w poczekalni dworcowej pomalowanej na okropny zielony kolor, nie mogąc kupić nawet filiżanki herbaty, bo w niedzielę w Goondiwindi wszystko było pozamykane. Meggie czuła się skrzepowana i zdenerwowana.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Luke, który nie miał chęci na rozmowę, w dodatku głód skręcał mu kiszki.

Dopiero w poniedziałek rano, kiedy pociąg do Brisbane zatrzymał się na przerwę śniadaniową, mogli coś zjeść i ugasić pragnienie. W Brisbane musieli przejechać przez całą miasto na drugi dworzec, skąd odchodził ekspres do Cairns. Okazało się, że Luke wykupił dwa miejsca siedzące w drugiej klasie.

– Luke, przecież mamy pieniądze! powiedziała zrozpaczona Meggie. – Jeżeli nie zdążyłeś pójść do banku, to mam przy sobie sto funtów od Boba. Dlaczego nie wykupiłeś miejsc sypialnych?

Spojrzał na nią nie posiadając się ze zdumienia.

– Przecież do Dungloe jedzie się tylko trzy dni i trzy noce! Po co wydawać pieniądze na sypialny, skoro oboje jesteśmy młodzi, zdrowi i silni? Co ci szkodzi posiedzieć trochę w pociągu? Pora, żebyś zrozumiała, że wysłaś za mąż za zwykłego parobka, a nie za jakiegoś cholernego osadnika!

Zdobył dla niej miejsce przy oknie. Zmęczona, usiadła podpierając ręką drżący podbródek i wyglądając przez okno, żeby nie widział jej łez. Mówił do niej jak do kapryśnego dziecka i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście tak o niej myśli. Obudził się w niej bunt, ale słaby, duma zaś nie pozwalała jej zniżyć się do kłótni. Jestem żoną tego człowieka – pomyślała – ale on jeszcze nie przywykł do małżeństwa. Trzeba dać mu trochę czasu. Zamieszkamy razem, będę się o niego troszczyć jak dobra żona, urodzę mu dzieci. Pamiętam przecież, jaką czią i uwielbieniem tata otaczał mamę. Trzeba dać mu trochę czasu.

Jechali do Dungloe, położonego zaledwie pięćdziesiąt mil przed Cairns. Trasa liczyła tysiąc mil, na wąskich torach trzęsło, w przedziale były zajęte wszystkie miejsca. Meggie nie mogła wykrzesać z siebie zainteresowania okolicą, o wiele bardziej kolorową i gęściej

zaludnioną niż Gilly.

Bolała ją głowa, nie mogła nic jeść, a upał dręczył gorzej niż największy skwar w Gilly. Wlatujące przez okno sadze pobrudziły śliczną ślubną sukienkę z różowego jedwabiu, całe ciało lepiło się od potu, ale najbardziej nękała ją rosnąca niechęć do Luke'a. Najwyraźniej nie odczuwał zmęczenia podróży ani najmniejszej dolegliwości, siedział beztrąsko i gawędził z dwoma podróżnymi jadącymi do Cardwell. Raz spojrzął w jej stronę, wstał, pochylił się tak niedbale, że aż się skuliła, i cisnął przez okno zwiniętą gazetę jakimś spragnionym wiadomości obszarpancom z młotkami, którzy krzyczeli:

- Gazetę, gazetę!
- Robotnicy kolejowi – wyjaśnił i usiadł.

Uznał widocznie, że jest jej tak samo wygodnie jak jemu i że zafascynowana ogląda przemykające za oknem widoki wybrzeża. Ona zaś patrzyła nic nie widząc, wrogo nastawiona do tej ziemi, zanim jeszcze na niej stanęła.

W Cardwell Luke poszedł do smażalni ryb i frytek i przyniósł je zawinięte w gazetę.

– Takiej ryby na pewno nie jadłaś, Meghann. Mówią, że w Cardwell są najlepsze ryby na świecie. Spróbuj. Twoja pierwsza queenslandzka potrawa. Mówię ci, nie ma jak Bananaland.

Meggie rzuciła okiem na tłuste kawałki ryby, przyłożyła chusteczkę do ust i czmychnęła do toalety. Czekał na nią w korytarzu, kiedy po jakimś czasie pojawiła się drżąca i blada.

- Co się stało? Niedobrze się czujesz?
- Nie czuję się dobrze od Goondiwindi.
- Dobry Boże! Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- A ty sam dlaczego nie zauważyłaś?
- Nie wyglądasz źle.
- Jak długo jeszcze będziemy jechać? – spytała zrezygnowana.

– Trzy do sześciu godzin. Tu się nie jeździ ściśle według rozkładu. Teraz, kiedy tamci dwaj wysiedli, możesz się położyć i oprzeć nuzie u mnie na kolanach.

– Szkoda, że nie wysiedli dwa dni temu Bundaberg! – odcięła się. – I nie mów do mnie jak do dziecka.

– Daj spokój, Meghann, nie złość się! Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze Tully, Innisfail, a potem już Dungloe.

Kiedy późnym popołudniem wysiedli z pociągu, Meggie kurczowo trzymała się Luke'a, za żadne skarby nie chcąc przyznać, że nie ma siły iść. Luke spytał na stacji o adres taniego hotelu, wziął walizki i wyszedł na ulicę. Meggie szła za nim zataczając się jak pijana.

– To blisko, przy następnej przecznicy – pocieszał ją. – Teraz dwupiętrowy biały dom po drugiej stronie.

Mały pokój pełen dużych wiktoriańskich mebli wydał się Meggie rajem. Zachwiała się i siadła na szerokim łożu.

– Połóż się, złotko, i odpocznij przed kolacją. Pójdę się rozejrzeć po mieście – powiedział i wyszedł wypoczęty jak w dniu ślubu.

Pobrali się w sobotę, a dziś był czwartek, późne popołudnie. Miała za sobą pięć dni spędzonych na siedząco w zatłoczonych pociągach w zaduchu papierosów i sadzy. Łóżko drgało w takt stukających na zwrotnicach kół, ale Meggie z ulgą przyłożyła się do poduszki i zasnęła.

Ktoś ściągnął jej buty i pończochy i przykrył prześcieradłem. Meggie poruszyła się, otworzyła oczy i rozejrzała. Luke siedział na parapecie z kolanem pod brodą i palił papierosa.

– Ładna z ciebie żona! – powiedział z uśmiechem. – Ja się nie mogę doczekać miodowego miesiąca, a ty leżysz nieprzytomna przez dwa dni! Zaniepokoiłem się, kiedy nie mogłem ciebie dobudzić, ale barman powiedział, że kobiety z południa tak reagują na podróż pociągami i parne powietrze. Jak się teraz czujesz?

Usiadła z trudem, przeciągnęła i ziewnęła.

– Dziękuję, o wiele lepiej. Och, Luke! Jestem młoda i silna, ale jestem kobietą! Nie mogę znosić tak dużego wysiłku jak ty.

Podszedł, przysiadł na łóżku i pogłaskał ją po ramieniu z ujmującą skruchą.

– Przepraszam cię, Meghann, naprawdę. Nie przywykłem jeszcze do tego, że mam żonę. Jesteś głodna, kochanie?

– Umieram z głodu. Wiesz, że nie jadłam prawie od tygodnia.

– No to wykup się, włóż czystą sukienkę i wyjdziemy na miasto.

Zaprowadził ją do chińskiej restauracji. Była tak głodna, że zjadłaby ze smakiem cokolwiek, a nieznane potrawy wydały jej się wprost wyśmienite. Nieważne, że przyrządzono je ze szczerzych ogonów, płetw rekina czy ptasich wnętrzności, jak głosiła plotka w Gillanbone, gdzie jedyną restaurację, której specjalnością był stek z frytkami, prowadzili Grecy. Luke przyniósł z hotelu w papierowej torbie dwie butelki piwa i kazał jej wypić szklaneczkę, choć piwa nie lubiła.

– Z wodą na razie uważaj – poradził. – Od piwa na pewno nie zachorujesz na żołądek.

Potem wziął ją pod rękę i oprowadzał po Dungloe z dumą właściciela, o tyle zarozumiałą, że urodził się w Queenslandzie. Było tu zupełnie inaczej niż w miasteczku na zachodzie! Dungloe ciągnęło się wzdłuż jednej głównej ulicy jak Gilly, tutaj wiele ulic krzyżowało się ze sobą, a wszystkie domy pomalowane były na biało, nie na brązowo. Uchylone okna łapały każdy podmuch, a gdzieniegdzie, na przykład w kinie, obywano się bez dachu.

Zewsząd nacierała na miasto dżungla. Po słupach, ścianach, dachach pięły się i rozrastały pnącza. Pędy pojawiały się nawet na środku drogi. Niektóre domy sprawiały wrażenie, że zbudowano je wokół drzewa albo że rosnące drzewo przebiło je na wylot. Roślinność zdawała się wdzierać wszędzie. Palmy kokosowe o prostych pniach, wyższe niż eukaliptusy w Droghedzie, kiwały liśćmi na tle drgającego nieba. Drzewa kwitły na fioletowo, pomarańczowo, purpurowo, różowo, niebiesko i biało.

Chińczycy z długimi warkoczami chodzili w białych koszulach, czarnych jedwabnych spodniach i czarno-białych pantoflach z białymi skarpetkami. Meggie miała trudności z rozróżnieniem wśród nich mężczyzn i kobiet. Niemal cały handel w mieście znajdował się w rękach Chińczyków. Na domu towarowym, nieporównanie bogatszym od największego sklepu w Gilly, widniało chińskie nazwisko: AH WONG.

Wszystkie domy stały na wysokich palach, jak dawny dom zarządcy w Droghedzie. Żeby zapewnić ciągłą wymianę powietrza – wyjaśnił Luke – i żeby dom nie zwał się w rok po wybudowaniu, przeżarty przez termyty. Każdy słup miał zwieńczenie z kawałka wygiętej w dół blachy, która powstrzymywała inwazję owadów. Oczywiście termyty żerowały na słupach, ale o wiele łatwiej i taniej było je wymienić niż budować nowy dom. Zarośnięte bambusem i palmami ogrody przypominały dżunglę, jakby mieszkańcy zrezygnowali z zaprowadzenia porządku wśród zieleni.

Wstrząsające wrażenie zrobiły na niej tutejsze stroje. Przed wyjściem na obiad i spacer włożyła pończochy i pantofle na obcasie, satynową koszulkę i jedwabną sukienkę z półdługimi rękawami. Wzięła też rękawiczki i słomkowy kapelusz. Irytowało ją w najwyższym stopniu, że ludzie wybałuszali na nią oczy, jakby to ona była niewłaściwie ubrana!

Mężczyźni chodzili na bosaka, prawie nadzy, bo w samych szortach, nieliczni tylko nosili podkoszulki. Kobiety wyglądały jeszcze gorzej. Niektóre ubrane były w skąpe kretonowe sukienki i znoszone sandały. Większość paradowała na bosaka, w krótkich szortach i nieprzyzwoitych bluzkach ledwie osłaniających pierś. Przecież Dungloe to cywilizowane miasto, a nie plaża! Chińczycy byli lepiej ubrani od tych bezwstydnich białych.

Rowery, setki rowerów, trochę samochodów, ale ani jednego konia. Tak, zupełnie inaczej niż w Gilly. Upał dokuczał tu strasznie, strasznie. Na termometrze, który minęli, z niedowierzaniem odczytała trzydzieści dwa stopnie. W Gilly przy czterdziestu pięciu

stopniach wydawało się chłodniej. Meggie przy każdym ruchu miała wrażenie, że rozgarnia zgęstniałe powietrze jak masło, a przy każdym wdechu płuca jakby napełniały się wodą.

– Luke, już nie mogę! Czy możemy wrócić? – jęknęła, ledwie przeszli niecałą milę.

– Jak chcesz. Daje ci się we znaki wilgotność powietrza. Rzadko spada poniżej dziewięćdziesięciu procent, przy temperaturze od trzydziestu do trzydziestu pięciu stopni przez cały rok. W lecie monsuny podwyższają wilgotność do stu procent.

– W lecie pada, nie w zimie?

– Przez cały rok. Jak nie wieją monsuny, to pasaty z południowego wschodu. Też przynoszą deszcze. W Dungloe jest rocznie od stu do trzystu cali opadów.

Trzysta cali rocznie! W Gilly, dwa tysiące mil stąd,,, szczodre piętnaście cali wywoływało radosną ekstazę.

– Czy w nocy nie jest chłodniej? – spytała Meggie przed hotelem. Upalne noce w Gilly były znośniejsze od tej parówki.

– Niewiele. Przyzwyczaisz się. – Otworzył drzwi i wpuścił ją do pokoju. – Zejdę do baru na piwo i wrócę za pół godziny. Tyle czasu chyba ci starczy.

Spojrzała na niego spłoszona.

– Tak, Luke – odparła.

Dungloe leżało siedemnaście stopni na południe od równika, więc noc zapadła jak z bicza trzask. Słońce ledwie chyliło się ku zachodowi, a zaraz potem rozlała się ciepła, gęsta ciemność. Luke zastał po powrocie zgaszone światło. Meggie leżała w łóżku przykryta prześcieradłem po samą brodę. Ze śmiechem pociągnął za koniec i zrzucił prześcieradło na podłogę.

– I bez tego jest gorąco, złotko! Nie będzie nam potrzebne.

Słyszała jego kroki, widziała ciemną sylwetkę, kiedy zrzucił z siebie ubranie.

– Piżamę położyłam ci na toaletce – szepnęła.

– Piżamę? Przy takiej pogodzie? Wiem, że w Gilly dostaliby ataku serca na samą myśl o nagim mężczyźnie, ale to jest Dungloe! Naprawdę masz na sobie jakąś idiotyczną koszulę?

– Tak.

– Więc ją zdejmij. Tylko by zawadzała.

Meggie wyplątała się z batystowej koszuli nocnej, którą pani Smith pracownice wyhaftowała na jej noc poślubną. Dobrze, że było ciemno i Luke nie widział jej rozebranej. Rzeczywiście, tak było o wiele chłodniej, czuła na skórze lotny dotyk wietrzyka wpadającego przez otwarte szeroko okno. Z niechęcią myślała o tym, że będzie dzielić łóżko z drugim rozgrzanym ciałem.

Zaskrzypiały sprężyny. Meggie aż podskoczyła, kiedy wilgotne ramię dotknęło jej ramienia. Luke obrócił się na bok, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Początkowo leżała nieruchomo, starając się nie myśleć o rozwartych ustach i wszędobylskim języku, potem zaczęła się wyrywać, nie chciała się przy ty upale przytulać, nie chciała się całować, nie chciała Luke'a. Było zupełnie inaczej niż wtedy w rollsie, kiedy wracali z Rudna Hunish. Zachowywał się tak, jakby w ogóle o niej nie myślał, pchał jakąś częścią ciała w jej uda, wbijając palce w pośladek, aż wyczuwała kanciaste paznokcie. Przerażała ją jego zapalczywość i siła, ale także jego obojętność na jej doznania. Raptem puścił ją, usiadł i z trzaskiem coś rozciągnął.

– Grunt to dobre zabezpieczenie – stęknął. – Połóż się. Nie, nie tak! Szeroko nogi! Boże, czy ty nic nie wiesz?

Chciała zawołać: Nie, Luke, nie wiem! To wstrętne, obrzydliwe. Niemożliwe, żeby prawa ludzkie czy kościelne pozwalały ci tak ze mną postępować!... Położył się na niej, uniósł biodra, ugniatał z boku ręką, a drugą wplątał we włosy tak, że bała się ruszyć. Wzdrygając się przed nieznanym intruzem między nogami, starała się rozłożyć, ale pod ciężarem szerokiego, ciężkiego ciała, w niewygodnej pozycji złapał ją skurcz. Zamroczone łękiem i wyczerpaniem,

kiedy natarł na nią wezbrana siła, wydała przeraźliwy krzyk.

– Cicho! – jęknął, wyplątał rękę z jej włosów i położył na ustach.

– Co ty wyrabiasz?! Chcesz, żeby wszyscy myśleli, że cię morduję? Leż spokojnie, to będzie mniej bolało! Leż spokojnie, spokojnie!

Miotła się, chcąc się pozbyć tego okropieństwa, które sprawiało jej ból, ale Luke ją przygniatał i tłumił dłonią krzyki. Udręka trwała bez końca. Ocierając suchym kondonem jej delikatne tkanki, huśtał się na niej biodrami i oddychał ze świstem, potem znieruchomiał, wstrząsnął się, przełknął ślinę. Uwolnił ją wreszcie, przekręcił się i położył obok ciężko dysząc. Ból, choć przyćmiony, nie ustawał.

– Na drugi raz będzie lepiej – wykrztusił. – Za pierwszym razem kobietę zawsze boli.

Miała ochotę warknąć: Więc dlaczego mnie o tym nie uprzedziłeś, ale zabrakło jej sił. Chciała umrzeć – nie tylko z powodu bólu, ale również dlatego, że potraktował ją tak bezdusznie, jak przedmiot.

Za drugim razem bolało tak samo, podobnie za trzecim. Zniecierpliwiony Luke, który spodziewał się, że jej drobne dolegliwości, bo za takie je uważał, zniknął jak ręką odjął po pierwszym razie, nie rozumiał, dlaczego Meggie wciąż się wyrывa i krzyczy, ze złością się obrócił do niej plecami i zasnął. Łzy spływały Meggie po skroniach, pragnęła śmierci albo powrotu do dawnego życia w Droghedzie.

Więc to miał na myśli Ralph, kiedy przed laty powiedział jej, o ukrytym kanale mającym związek z przychodzeniem na świat dzieci. Nic dziwnego, że zrezygnował z dokładniejszych wyjaśnień. A Luke'owi raz było za mało. To znaczy, że jemu się podoba i go nie boli. Poczula wstręt do niego i do tego, co robił.

Ostrożnie, czując ból przy najmniejszym ruchu, Meggie obróciła się plecami i płakała w poduszkę. Nie mogła zasnąć a Luke spał tak mocno, że jej nieśmiałe przekręcanie się na bok nie zakłóciło jego równego oddechu. miał spokojny sen, nie chrapał ani się nie rzucał. Pomyślała, że gdyby tylko leżeli razem, mogłoby jej być z nim przyjemnie. Świt nastał równie szybko jak zapadł zmierzch. Wydawało jej się dziwne, że nie słyszy radosnego piania kogutów ani innych odgłosów budzącej się Droghedy.

Luke ocknął się i przekręcił: poczuła na ramieniu pocałunek. Ze zmęczenia i tęsknoty a domem nie pomyślała nawet o tym, żeby zakryć swoją nagość.

– No, Meghann, daj na siebie popatrzeć – powiedział i położył jej rękę na pośladku. – Bądź grzeczną dziewczynką i obróć się.

Tego ranka nic nie miało znaczenia. Meggie obróciła się krzywiąc z bólu i spojrzała na niego tępo.

– Nie lubię, kiedy mówisz do mnie Meghann – rzekła nie umiając się zdobyć na formę protestu. – Wolałabym Meggie.

– Nie podoba mi się Meggie. Jeżeli naprawdę tak nie lubisz Meghann, będę nazywał cię Meg. – Powiódł po niej rozmarzonym spojrzeniem. – Jakie ty masz ładne ciało. – Dotknął piersi z miękkim, różowym zakończeniem. – Zwłaszcza te dwie. – Poprawił wyżej poduszki, ułożył się na nich i uśmiechnął. No, pocałuj mnie, Meg. Może bardziej ci się spodoba, kiedy ty będziesz mnie kochała, co?

Nigdy nie będę miała ochoty cię pocałować – pomyślała patrząc na muskularne ciało, zarośniętą pierś, zbiegające na brzuch pasemko ciemnych włosów, rozkrzewiających się niżej w kępę, z której wyrastał niewielki pęd zdolny zadać tyle bólu. Jakie owłosione nogi! Mężczyźni w jej rodzinie, których nie widywała rozebranych, co najwyżej rozchełstanych, mieli torsy zarośnięte jasnymi włosami, które jej nie raziły. Ralph miał ciemne włosy, ale dobrze pamiętała jego gładką opaleniznę.

– Rób, co ci mówię, Meg!

Pochyliła się i pocałowała go. Położył dłonie na jej piersiach przedłużając pocałunek, potem ujął jej rękę i przesunął w dół. Zaskoczona, oderwała niechętnie usta od jego ust i

spojrzała na pęczniejący pod jej dłonią kształt.

– Och, proszę cię, Luke, nie! – zawołała. – Proszę cię, nie!

Spojrzał na nią niepewnie.

– Tak bardzo boli? Dobrze, zrobimy co innego, ale na miłość boską wykrzesz z siebie choć trochę entuzjazmu!

Posadził ją na sobie i przyssał się jak wtedy w samochodzie. Nieobecna duchem Meggie wytrzymała tę pieszczotę. Jacy dziwni są mężczyźni – pomyślała. – Tak się zachowują, jakby te rzeczy sprawiały im największą przyjemność na świecie. Gdyby nie nadzieja, że zostanie w końcu obdarzona dzieckiem, Meggie stanowczo odmówiłaby udziału w tej obrzydliwej parodii miłości.

– Znalazłem ci pracę – oznajmił Luke przy śniadaniu w hotelowej jadalni.

– Co? Myślałam, że najpierw urządzę dom. Przecież nie mamy jeszcze nawet własnego kąta!

– Nie ma sensu, żebyśmy wynajmowali dom, Meg. Będę ciął trzcinę, już to załatwiłem. Najlepszą brygadą żeńców w Queenslandzie, w której są Szwedzi, Polacy i Irlandczycy, kieruje Arne Swenson. Widziałem się z nim, kiedy odsypiałaś podróż. Brakuje mu jednego człowieka i przyjmie mnie na próbę. Zamieszkać z nim na kwaterze. Pracujemy od wschodu do zachodu słońca sześć dni w tygodniu. Będziemy też przenosić się z miejsca na miejsce. Zarobię tyle, ile zetnę trzciny. Jeżeli dostanę się do brygady Arnego, wyciągnę dwadzieścia funtów tygodniowo. Wyobrażasz sobie?

– Więc nie będziemy mieszkać razem, Luke?

– Nie możemy, Meg! Kobietom nie wolno mieszkać na kwaterze, a po co miałybyś siedzieć sama w domu? Lepiej, żebyś też pracowała, razem zarobimy na naszą farmę.

– Ale gdzie będę mieszkać? Do jakiej pracy się nadaję? Nie ma tu hodowli owiec.

– Nie, a szkoda. Znalazłem ci pracę z mieszkaniem i utrzymaniem, to też oszczędność. Ludwig Mueller z Himmelhoch przyjmie cię na pomoc domową. To największy plantator w okolicy, a jego żona jest inwalidką i nie daje rady sama prowadzić domu. Zabiorę cię tam jutro rano.

– A kiedy będziemy się widywać, Luke?

– W niedzielę. Luddie nie ma nic przeciwko temu, żebyś miała wtedy wychodne.

– Ułożyłeś wszystko po swojej myśli, nie powiem.

– Na to wygląda. Och, Meg, będziemy bogaci! Dzięki ciężkiej pracy, oszczędzając każdy grosz, już niedługo zbierzemy tyle, żeby kupić najlepszą farmę w zachodnim Queenslandzie. W banku w Gilly mam czternaście tysięcy funtów, co roku dochodzi tam dwa tysiące, a we dwójkę zarobimy rocznie tysiąc trzysta albo i więcej. To nie potrwa długo, obiecuję. Głowa do góry, złotko. Im więcej będziemy teraz pracować, tym prędzej znajdziesz się we własnej kuchni.

– Jak chcesz – odparła i spojrzała na torebkę. – Luke, czy to ty zabrałeś moje sto funtów?

– Włożyłem je na konto w banku. Nie możesz nosić przy sobie takiej sumy, Meg.

– Ale zabrałeś mi wszystko! Nie mam nic na drobne wydatki!

– Jakie znów drobne wydatki? Jutro rano zawiozę cię do Himmelhoch, a tam nie masz gdzie wydać pieniędzy. Ja zapłacę za hotel. Uzgodniłem z Muellerem, że będzie wpłacał twoją pensję na moje konto. Wiesz, że nie wydam tych pieniędzy na siebie. Żadne z nas ich nie ruszy, bo to nasza przyszłość, Meg, nasza farma.

– Tak, rozumiem. Jesteś bardzo rozsądny, Luke. A jeśli będę miała dziecko?

– Przez chwilę kusiło go, żeby wyjawić prawdę, że nie dopuści do tego, dopóki nie zdobędzie farmy, ale wyraz jej twarzy powstrzymał go.

– Wszystko w swoim czasie, dobrze? Wolałbym mieć farmę, a potem dziecko.

Ani domu, ani pieniędzy, ani dzieci, na dobrą sprawę męża też nie ma. Ogarnął ją pusty

śmiej. Luke też się roześmiał i wznosił toast filiżanką.

– Za kondony! – powiedział.

Pojechali do Himmelhoch autobusem, starym fordem bez szyb, na tuzin pasażerów. Meggie czuła się lepiej, bo tej nocy Luke'owi wystarczyła pieszczota piersi, co widać podobało mu się tak samo jak tamta druga okropność. Nie miała odwagi go zachęcić, choć tak bardzo pragnęła dziecka. Postanowiła, że pierwszej niedzieli, kiedy bolesność minie, znów spróbuje. A może to już nie jest konieczne? I nie musi znosić tamtej przykrości do czasu, kiedy zechce mieć drugie dziecko?

Jechali bitą drogą pośród pejzażu zapierającego dech w piersiach. Krwistoczerwona ziemia kontrastowała z łąkami trzciny – długie jasnozielone liście o wysokości pięciu, sześciu jardów chwiały się nad grubymi bordowymi łodygami. Luke zachwalał jej tutejszą trzcinę, mówił, że nigdzie nie rośnie taka wysoka i bogata w cukier. Czerwona gleba jest tak żyzna, że przy obfitych deszczach trzcina daje najlepsze plony na świecie.

Wokół Himmelhoch, dużego białego domu na wzgórzu, rosły palmy kokosowe, bananowe i drzewa podróżnika których liście rozkładały się wachlarzowato jak pawie ogony. Bambusowy lasek osłaniał dom, stojący na palach, przed północno-zachodnimi monsunami.

Luke niósł walizkę, a Meggie wlokła się pod górę zadyszana w oklapłym kapeluszu, choć wciąż w eleganckich pantofelkach i pończochach. Trzcinyowy potentat był nieobecny ale jego żona, podpierając się dwoma laskami, wyszła na werandę powitać ich. Widok miłej, uśmiechniętej pani Mueller od razu podniósł Meggie na duchu.

– Proszę, proszę! – powiedziała gospodyni.

Meggie, która spodziewała się niemieckiego, a nie australijskiego akcentu, niezmiernie się ucieszyła. Luke odstawił walizkę uściskał rękę pani Mueller i zbiegł po schodach śpiesząc się na powrotny kurs autobusu. Arne Swenson miał go zabrać przed hotelu o dziesiątej.

– Jak pani ma na imię, pani O'Neill?

– Meggie.

– Ładne. Ja mam na imię Anne i chciałabym, żebyś się tak do mnie zwracała. Niełatwo o dobrą pomoc domową, a ja już od miesiąca męczę się tu sama. Mieszkamy we dwoje, nie mamy dzieci. Mam nadzieję, Meggie, że ci się u nas spodoba.

– O, na pewno, pani Mueller... Anne.

– Pokażę ci twój pokój. Poradzisz sobie z walizką? Ja niestety nie mogę wiele nosić.

Pokój Meggie, podobnie jak inne, był skromnie umeblowany, ale wychodziła na werandę z tej strony, gdzie roślinność nie zasłaniała widoku. Bawialnia obok, bez zasłon, z wyplatanymi trzcinyowymi meblami, wydała się Meggie mało przytulna.

– Za gorąco na aksamity i perkale – wyjaśniła Anne. – Używamy tylko takich mebli i ubieramy się jak najlżej. W tym, co masz na sobie, roztopisz się z gorąca. Musisz się przebrać.

Anne ubrana była w wydekoltowaną bluzkę i szorty odsłaniające wątle, chore nogi. Nie zwlekając pożyczyla Meggie podobny strój. Upokorzona Meggie, prawie zapominając o zażenowaniu z powodu skąpego przyodziewku, wyjaśniła, że nie ma pieniędzy i musi poprosić Luke'a o kupno ubrania.

– Te szorty o wiele korzystniej wyglądają na tobie niż na mnie – zażartowała Anne i udzieliła jej dalszych objaśnień. – Luddie będzie cię zaopatrywał w opał. Nie wolno ci samej rąbać drzewa ani wnosić po schodach. Żałuję, że nie mamy elektryczności, ale władze straszą się z tym ślimaczą. Może w przyszłym roku zostaniemy podłączeni, a do tego czasu musi nam wystarczyć piec. Jak tylko będzie prąd, sprawimy sobie elektryczne lampy, kuchenkę i lodówkę.

– Umiem się bez tego obejść.

– Jesteś przyzwyczajona do suchych opadów, a tu jest o wiele gorzej. Boję się, żebyś nie podupała na zdrowiu. Często się to zdarza przyjezdnym kobietom. Te ziemie leżą na tej



samej szerokości geograficznej co Bombaj i Rangun. Nieodpowiednia okolica dla kogoś, kto się tu nie urodził. – Uśmiechnęła się. – Ach, już się cieszę z twojego miłego towarzystwa! Będzie nam ze sobą wspaniale! Lubisz czytać? Bo my z Luddiem pasjami.

– O, tak! – odparła Meggie rozpromieniona.

– Świetnie! Postaramy się, żebyś nie tęskniła za swoim przystojnym mężem.

Meggie nie odpowiedziała. Zastanawiała się, czy w ogóle mogłaby tęsknić za Lukiem? Nie zmartwiłaby się, gdyby na zawsze zniknął jej z oczu. Ale jest przecież jej mężem, według prawa powinna z nim żyć. Sama o tym zdecydowała. A może kiedy Luke zrealizuje marzenie o farmie w zachodnim Queenslandzie, wtedy lepiej się poznają i ułożą sobie życie?

Nie był złym człowiekiem, tylko widocznie za długo żył samotnie i nie umiał dzielić życia z kimś innym. Widział przed sobą jeden wymarzony cel i nic więcej. Osiągnięcie go miało być nagrodą za niestrudzone wysiłki, poświęcenie, upór i wytrwałość. Zasługiwał ty na szacunek. Ani przez chwilę nie pomyślała, że może wydać leżące w banku pieniądze na jakieś przyjemności. Wierzyła w jego szczerść.

Kłopot w tym, że nie starał się zrozumieć kobiecej natury ani jej odmiennych potrzeb. Ale mogło być gorzej. Mógł znaleźć jej pracę u kogoś znacznie mniej serdecznego i troskliwego niż Anne Mueller. W tym domu nie bała się żadnej krzywdy, tylko że to tak daleko od Droghedy!

Po zwiedzeniu całego domu stanęły na werandzie przed bawialnią oglądając widok na Himmelhoch. Wybijałe pióropusze trzciny, wymytej przez deszcz i lśniącej niespokojnie na wietrze, zieleniły się na dużych, ale nie tak nieogarnionych jak w Droghedzie polach. Pola opadały łagodnie do porośniętego dzikimi chaszczami brzegu szerokiej rzeki, o wiele szerszej niż Barwon. Za rzeką znów wznosiły się zjadliwie zieloną szachownicą, urozmaiconą szkarłatnymi odłogami, a u stóp góry uprawa ustępowała dżungli. Daleko za stożkiem samotnej góry, wyrastały inne szczyty niknące w liliowej mgiełce. Białe, skłębione obłoki płynęły po niebie bardziej błękitny niż nad Gilly.

– To góra Bartle Frere – powiedziała Anne. – Dwa tysiące jardów. Podobno sama cyna, ale dżungla uniemożliwia wydobycie.

Wiatr przynosił silny, mdlący zapach, od którego Meggie usiłowała uciec, jak tylko wysiadła z pociągu. Przypominał butwiejący odór, nieznośnie słodki, wszechobecny, nie malejący nawet przy silnym wietrze.

– To zapach melasy – wyjaśniała Anne zauważając rozdęte nozdrza Meggie. Zapaliła papierosa.

– Obrzydliwy.

– Wiem, dlatego palę. Ale można się trochę przyzwyczaić, chociaż nie tak jak do innych zapachów, które po pewnym czasie przestaje się czuć. Melasa jest z nami dzień i noc.

– A te budynki nad rzeką, z czarnymi kominami?

– To cukrownia. Przerabia trzcinę na surowy cukier. Pozostałe suche resztki to bagasa. Surowy cukier i bagasę wysyła się do Sydney do dalszej przeróbki. Tam wytwarzają syropy, biały i brązowy cukier, płynną glukozę. Z bagasy wyrabiają płyty pilśniowe. Nic się nie marnuje. Dlatego nawet w kryzysie uprawa trzciny cukrowej przynosi duże zyski.

Arne Swenson był tego samego wzrostu co Luke i też był przystojny: kędzierzawy blondyn o szwedzkich rysach, ocno opalony od pracy na słońcu. Bardzo przypominał Luke'a, co świadczyło o tym, że w żyłach Szkotów i Irlandczyków płynie sporo skandynawskiej krwi.

Luke, przebrany w szorty, bez koszuli, wsiadł z Arnem do starej, ledwo zipiącej ciężarówki i ruszyli do Goondi, gdzie pracowała brygada. Walizka i używany rower, który kupił, leżały z tyłu. Nie mógł się doczekać, kiedy weźmie się za robotę.

Ludzie Arnego żęli od świtu i nawet nie podnieśli głów, kiedy od strony kwater nadeszli Luke i Arne. Wszyscy ubrani byli w płócienne kapelusze, szorty, wełniane skarpety i solidne buty. Osobliwy widok pracujących przykuł uwagę Luke'a. Byli usmoleni od stóp do głów, a spływający pot pozostawiał w czarnym brudzie różowawe smugi.

– Najpierw przepalamy trzcinę – wyjaśnił Arne. Podniósł z ziemi dwa noże, jeden dla Luke’a, drugi dla siebie. – Nóż do trzciny – powiedział trzymając go od niechcienia. – Ciąć jest bardzo łatwo, jeżeli się wie jak. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i pokazał, jak to się robi, nie okazując przy tym wysiłku.

Luke popatrzył na groźne narzędzie, które trzymał w ręku, różniące się od jamajskiej maczety. Rozszerzające się w duży trójkąt ostrze miało na jednym końcu hak.

– Maczeta jest za mała do tutejszej trzciny – rzekł Arne po zakończonym pokazie. – Przekonasz się, że nie ma lepszego noża. Tylko musi być ostry. Powodzenia.

Ruszył na swoje stanowisko zostawiając Luke’a, który po chwili wahania zabrał się do pracy. Wkrótce zrozumiał, że to niewolniczy wysiłek. Jak strzyżenie owiec – pomyślał cierpko. Schylał się, siekał nożem, chwycił nieporęcznie wiąchę z ciężkim czubem, przesuwał uchwyt, ścinał liście, kładł na równy stos, podchodził do następnej kępy, schylał się, prostował, ciął, dokładał do stosu...

W trzcinie żyły szcuchy, podobne do nich jamaraje, węże, ropuchy, pająki, karaluchy, osy, pszczoły, muchy. Dlatego najpierw trzcinę podpalano. Każdy wolał się osmolić niż ciąć żywą, zieloną trzcinę. Mimo to ciągle coś kąsało, kłuło, raniło ręce. Nikt jednak nie nakładał rękawic. Zwalniały tempo, a poza tym były niemęskie.

O zachodzie Arne ogłosił fajrant i podszedł do Luke’a.

– Nieźle, bracie! – zawołała klepiąc go po ramieniu. – Pięć ton. Nieźle jak na pierwszy dzień!

Tropikalna noc zapadła tak szybko, że doszli do kwatery po ciemku, choć mieli blisko. Umyli się pod prysznicami we wspólnej łazience i przepasani ręcznikami wparadowali do blaszanego baraku, gdzie czekała na nich fura jedzenia. Każdy przez tydzień dyżurował w kuchni przygotowując, co najlepiej umiał. Rzucili się jak zgłodniałe wilki na steki i ziemniaki i podpłomyki, a potem sprzątnęli do ostatniego okruszka ciasto z dżemem.

Dwa rzędy żelaznych pryczy stały naprzeciw siebie pod ścianami. Wzdychając i klnąc siarczyście nadzy mężczyźni kładli się na zgrzebnych prześcieradłach, opuszczali moskitiery i natychmiast zasypiali, ledwie widoczni pod zwiewnymi namiotami.

Arne zatrzymał Luke’a, zanim się położył.

– Pokaż ręce – polecił. Obejrzał skaleczenia, pęcherze, ukłucia. – Zdezynfekuj, a potem nasmaruj maścią. Dobrze ci radzę, nacieraj co wieczór olejkim kokosowym. Masz duże ręce, więc jeżeli grzbiet ci wytrzyma, będziesz dobry robotnikiem. Za tydzień się zahartujesz.

Luke czuł się jak z krzyża zdjęty, bolał go każdy mięsień. Kiedy namaścił i obandażował ręce, wyciągnął się na przydzielonej pryczy, ściągnął moskitierę i zamknął oczy. Gdyby przypuszczał, co go czeka, nie traciłby sił przy Meggie, która tutaj stała się jedynie wyblakłym, niepożądanym wspomnieniem. Wiedział, że nie da jej nic z siebie, dopóki tnie trzcinę.

Zgodnie z zapowiedzią, po tygodniu obolałość minęła i Luke wyrabiał wymagane minimum – osiem ton dziennie. Postanowił nawet prześcignąć Arnego. Chciał, żeby jemu przypadł największy udział w zyskach, bo może wtedy Arne wzięłby go na wspólnika. Najbardziej jednak marzył o tym, żeby być podziwianym i ubóstwianym tak jak Arne, najlepszy żeńca w Queenslandzie, a więc zapewne i na świecie. Kiedy w sobotę wieczorem szli do miasta, mężczyźni dopraszali się, żeby mu postawić rum albo piwo, a kobiety kręciły się koło niego jak kolibry. Obaj, Arne i Luke zaspokajali swą próżność chłonąc zachwyty kobiet, ale nic z tego nie wynikało, bo wszystkie siły oddawali trzcinie.

Luke znalazł w tej pracy bolesne piękno, jakiego szukał przez całe życie. Schylał się i prostował w rytualnym rytmie, czując, że bierze udział w misterium niepojętym dla zwykłego śmiertelnika. Arne powiedział mu kiedyś, obserwując go przy pracy, że jeśli ją dobrze wykona, może się uważać za wybrańca należącego do robotniczej elity. Może chodzić z dumnie uniesioną głową, wiedząc, że mało kto wytrzyma choćby dzień na trzcinowym polu.

Może się uważać za równego angielskiemu królowi, który podziwiałby go, gdyby znał. Może patrzeć z politowaniem na doktorów, prawników, gryzpiórków i plantatorów. Ciąć trzcinę w zachłannym tempie białego człowieka – to najtrudniejszy fach.

Luke siadał czasem na pryczy, czuł nabrzmiałe żylaste mięśnie, oglądał blizny na stwardniałych dłoniach, opalone silne nogi i uśmiechał się. Ten, kto wytrzymał taką pracę i w dodatku ją lubił, był prawdziwym mężczyzną.

Meggie zobaczyła Luke'a dopiero po czterech tygodniach. Co niedziela pudrowała nos, wkładała jedwabną sukienkę i czekała na męża, ale on się nie zjawiał. Muellerowie nic nie mówili patrząc, jak jej ożywienie gaśnie z końcem dnia, kiedy mrok zapadał jak kurtyna, zakrywając jasno oświetloną pustą scenę. Właściwie nie pragnęła go, ale przecież należał do niej lub, jak kto woli, ona należała do niego. Kiedy wyobraziła sobie, że o niej nie pamięta, podczas gdy ona całymi dniami i tygodniami myślała o nim, przepełniała ją bezsilna złość, gorzka upokorzenia i smutek. Ze wstrętem wspominała dwie noce w hotelu, ale wtedy była dla niego najważniejsza. Teraz żałowała, że nie ugryzła się w język zamiast krzyżeć. No tak, wszystko przez to. Miał jej dość, zepsuła mu przyjemność. Przedtem jego obojętność na jej cierpienie zgniewała ją, teraz winiła samą siebie.

Czwartej niedzieli nie przebrała się i człapała po kuchni na bosaka, w szortach i bluzce, szykowała śniadanie – cotygodniowy kaprys Luddiego i Anne. Usłyszała kroki i odwróciła się od patelni, na której skwierczał bekon. Przez chwilę wpatrywała się we włochatego stwora stojącego w progu. Luke? To naprawdę on? Wyglądał jak jaskiniowiec. Olbrzym podszedł do niej, cmoknął w policzek i usiadł przy stole. Dołożyła bekonu na patelnię i zaczęła rozbijać jajka.

Do kuchni weszła Anne i uśmiechnęła się uprzejmie, choć miała ochotę mu wygarnąć. Co ten nicpoń sobie myśli, jak może tak zaniedbywać żonę?

– Cieszę się, że przypomniałeś sobie o istnieniu żony – powiedziała. – Chodźcie na werandę, zjemy razem śniadanie. Luke, pomóż Meggie, zanieś patelnię. Ja wezmę koszyczek z grzankami.

Ludwig Mueller urodził się w Australii, ale niemieckie pochodzenie wyraźnie było widać w jasnoniebieskich oczach, spłaszczonej siwej głowie, cerze tak czerwonej od piwa i słońca, jakby z policzków miała trysnąć krew. Oboje z żoną bardzo lubili Meggie, uważali jej pobyt u siebie za dar losu. Zwłaszcza Luddie cieszył się, widząc Anne szczęśliwą.

– Jak ci idzie, Luke? – spytał nakładając dużą porcję.

– Uwierzysz, jeśli powiem, że lubię tę pracę? – odparł ze śmiechem Luke, też nie żałując sobie jajek na bekonie.

Luddie obrzucił go przenikliwym spojrzeniem i kiwnął głową.

– Tak, masz odpowiedni temperament i jesteś właściwie zbudowany. Ta praca cię wywyższa, czujesz się lepszy od innych.

Luddie, związany z odziedziczoną plantacją, którą chętnie zamieniłby na życie w jakimś mieście, z zapałem studiował ludzką naturę, czytał oprawne w safian, opasłe tomy, na grzbietach których widniały takie nazwiska jak Freud, Jung, Huxley i Russell.

– Już myślałam, że w ogóle nie przyjedziesz zobaczyć się z Meggie – powiedziała Anne, pędzelkiem smarując ghi na grzance. Tylko w takiej postaci jadano tu masło. Lepsze takie niż żadne.

– Postanowiliśmy z Arnem popracować trochę w niedzielę. Jutro jedziemy do Ingham.

– To znaczy, że Meggie rzadko cię będzie widywać.

– Meg rozumie. To potrwa tylko parę lat, a mamy przecież letnią przerwę. Arne mówi, że załatwi mi na ten czas pracę w rafinerii w Sydney. Mógłbym wtedy zabrać Meggie ze sobą.

– Dlaczego tak ciężko pracujesz, Luke? – spytała Anne.

– Muszę zebrać pieniądze na farmę. Meg nie mówiła o tym?

– Nasza Meggie nie lubi się zwierzać, ty nam opowiedz.

Troje słuchaczy wpatrywało się w ożywioną twarz i błyszczące oczy Luke'a. Meggie nie odezwała się ani słowem, odkąd się pojawił, a on mówił i mówił o stepach na kresach, o szarych ptakach brologa stąpających z namaszczeniem po jedynej w Kynunie drodze, o tysiącach kangurów, o suchym upale.

– Już niedługo kawałek ziemi będzie należał do mnie. Meg wyłożyła na ten cel trochę pieniędzy, a jeżeli nadal będziemy pracować tak jak teraz, to najdalej za cztery, pięć lat zbierzemy odpowiednią sumkę. Wcześniej mógłbym kupić mniejsze gospodarstwo, ale z moimi zarobkami zostanę przy trzcinie dłużej i postaram się o porządną farmę. – Pochylił się obejmując wielkimi dłońmi filiżankę. – Wiecie, raz mało brakowało, a miałbym lepszy urobek od Arnego. Jednego dnia ściąłem jedenaście ton!

Luddie gwizdnął z podziwem i rozmowa zeszała na temat urobków.

Meggie w milczeniu popijała mocną herbatę. Och, Luke – myślała.

– Mówiłeś: parę lat, teraz: cztery czy pięć, a ile powiesz następny razem? Nie uległo wątpliwości, że Luke przepadał za trzcina. Czy zechce z niej zrezygnować, kiedy przyjdzie pora? Czy zrezygnuje? I czy ona zechce czekać tak długo, żeby się o tym przekonać? Muellerowie byli dla niej dobrzy, nie obciążali nadmiernie pracą, ale jeżeli miałyby żyć bez męża, to tylko w Droghedzie. Mieszkając od miesiąca w Himmelhoch ani przez jeden dzień nie czuła się całkiem zdrowa, nie miała apetytu, męczyły ją napady męczącej biegunki, nie mogła otrząsnąć się z letargicznego ośpienia. Nigdy dotąd nie narzekała na złe samopoczucie, więc te dziwne dolegliwości napełniały ją lękiem.

Po śniadaniu Luke pomógł jej pozmywać, a potem zabrał na spacer do najbliższego łąnu trzciny, rozmawiając o tym, jak się ją tnie, jakie świetne chłopcy pracują w brygadzie Arnego, jaka świetna jest praca na świeżym powietrzu, o ile jest lepsza od strzyżenia owiec.

Zawrócili na wzgórze. Luke zaprowadził Meggie do cienistego chłodnego zakątka pod domem, między palmami. Anne urządziła tu oranżerię: w ustawionych pionowo i napełnionych ziemią kawałkach rury z terakoty rosły paprocie, pnącza i krzewy, a u dołu wielobarwne begonie. W wiszących metalowych koszykach kwitły orchidee i tuberozy. Tutaj Meggie przebywała najchętniej. Nawet w Droghedzie nie miała takiej ulubionej samotni, bo tam nie dałoby się wyhodować tyle roślin na takim małym skrawku ziemi.

– Prawda, jak tu ślicznie, Luke? Czy nie moglibyśmy za jakiś czas wynająć domu? Tak strasznie bym chciała sama czegoś takiego spróbować.

– A po co miałybyś mieszkać sama? To niebezpieczne. Nie jesteś tu szczęśliwa?

– Na ile można być szczęśliwym w cudzym domu?

– Musisz zadowolić się tym, co masz teraz, dopóki nie przeprowadzimy się na zachód. Rozumiesz?

– Tak, Luke.

Tak mu zepsuła humor, że nawet jej nie pocałował, choć miał taki zamiar. Klepnął ją tylko na pożegnanie, trochę za mocno, i ruszył drogą do drzewa, przy którym zostawił rower. Żeby zaoszczędzić na kolejce i autobusie przepedałował dwadzieścia mil, a teraz czekało go drugie tyle.

– Gołąbeczka! – powiedziała Anne do męża. – Jego bym zatłukła!

Minął styczeń, kiedy pracy przy trzcinie było najmniej, ale Luke się nie pokazał. Pojechał z Arnem do Sydney. Ciotka Arnego miała dom w Rozelle, niedaleko Kolonialnej Rafinerii Cukru, nie musieli więc dojeżdżać i oszczędzali na biletach tramwajowych. W betonowej forticy można było dostać pracę dzięki znajomościom. Luke i Arne nosili worki z cukrem, a po pracy pływali i jeździli na desce surfingowej.

Meggie została z Muellerami i przemęczała się przez monsunową porę deszczową. W tej części kontynentu w trwającej od marca do listopada porze suchej nie było właściwie sucho,

ale w porównaniu z porą deszczową przyjemnie. W czasie monsunów niebo raz po raz rzygało wodą, a kiedy potop ustawał, obłoki białej pary unosiły się nad ziemią, trzcina, dżunglą, górami.

Meggie coraz bardziej tęskniła za Droghedą. Wiedziała, że północny Queensland nigdy nie będzie jej domem. Przede wszystkim nie odpowiadał jej klimat. Brzydziła się wielkich ropuch, tarantuli, karaluchów, szczurów – wielkich, agresywnych, głodnych – które zatruwały życie nocą, ale najbardziej brzydziła się wychodków zwanych w miejscowej gwarze *dunny*, tak samo jak zdrobniale *Dungloe*, którego mieszkańcy nigdy nie mieli dość żartów opartych na tej zbieżności. W tym klimacie nie można było kopać dołów ziemi, groziły wybuchem epidemii tyfusu lub innej choroby. Dlatego korzystano ze smołowanych blaszanych pojemników, wymienianych raz na tydzień, choć to wydawało się Meggie za rzadko. Nie mogła przyzwyczać się do cuchnących i kipiących od robactwa urządzeń sanitarnych. Z przygnębieniem myślała o tym, że pewnie będzie tu mieszkać tak długo, aż Luke straci siły do pracy przy trzcinie. Duma nie pozwalała jej przyznać się rodzinie, że mąż ją zaniedbuje, zawzięła się, że wytrzyma, nawet do końca życia.

Minął rok, kończył się powoli drugi. Niezmierna serdeczność Muellerów trzymała Meggie, rozdarta wewnątrz, w Himmelhoch. Bob natychmiast przysłałby jej pieniądze na bilet powrotny, wystarczyło poprosić go o to w liście, ale Meggie nie mogła się zdobyć na przyznanie, że Luke zostawił ją bez grosza. W dniu, w którym napisałaby o ty rodzinie, zostawiłaby Luke'a na zawsze, a na ten krok jeszcze się nie zdecydowała. Wszystko w jej wychowaniu i naturze przeciwstawiało się tej decyzji: nadzieja na dziecko, przekonanie o świętości ślubów małżeńskich, pogląd, że mąż kieruje losem żony, a także nieugięta, uparta duma i ciche przeświadczenie, że zawiniła tak samo jak Luke. Gdyby ona była inna, może i on zachowywałby się zupełnie inaczej.

W ciągu osiemnastu miesięcy wygnania widziała go sześć razy i często myślała gorzko, że Luke powinien się ożenić z Arnem, bo mieszkał z nim razem i jego towarzystwo znacznie bardziej mu odpowiadało. Utworzyli spółkę i objeżdżali trzcinowe żniwa na liczącym tysiąc mil wybrzeżu. Zdawało się, że żyją samą pracą. Kiedy Luke przyjeżdżał w odwiedziny, ucinał sobie długą pogawędkę z Luddiem i Anne, zabierał żonę na spacer, obdarzał serdecznym całusem i znikał.

Luddie, Anne i Meggie wolny czas spędzali na lekturze. Biblioteka w Himmelhoch, o wiele większa niż w Droghedzie, posiadała również książki nie stroniące od erotycznych opisów i Meggie sporo się z nich dowiedziała.

Którejś czerwcowej niedzieli w 1936 roku Luke i Arne zjawili się razem, bardzo z siebie zadowoleni. Oznajmili, że przyjechali zabrać Meggie na *ceilidh*, żeby zrobić jej przyjemność.

Różne narodowości w Australii najczęściej się naturalizowały, ale na półwyspie północnego Queenslandu cztery grupy etniczne, które stanowiły większość ludności – Chińczycy, Włosi, Niemcy oraz Szkoci z Irlandczykami z zapałem kultywowały własne tradycje. Kiedy więc urządzano *ceilidh*, żaden Szkot w okolicy nie omieszkał nie przyjechać.

Na Luke'a i Arnego, ubranych w kilty, Meggie patrzyła ze zdumieniem, ale w duchu przyznawała, że wyglądają wspaniale. Nic tak korzystnie nie wygląda na postawnym mężczyźnie jak kilt, który przy zamaszystym kroku rozkłada się z tyłu fałdziście, a z przodu pod sporanem pozostaje nieruchomy. Było zbyt gorąco na kompletny strój z szalem i kusą kurtką, więc włożyli do spódniczek tylko białe koszule, długie skarpety w skośną kratkę i buty z klamerkami.

- Co to właściwie jest *ceilidh*? – spytała, kiedy ruszyli.
- To po gaelicku spotkanie potańcówka.
- Dlaczego tak się przebraliście?
- Bo inaczej by nas nie wpuścili.

– Musicie często chodzić na te spotkania, bo w przeciwnym razie Luke nie zdecydowałby się na taki wydatek. Prawda, Arne?

– Człowiek musi się trochę zabawić – odparł Luke.

*Ceilidh* urządzano w walącej się szopie pośrodku bagien namorzynowych u ujścia rzeki Dungloe. Meggie marszczyła nos wdychając nową obrzydliwą woń wyziewów z nadmorskiej zgnilizny.

Wszyscy mężczyźni rzeczywiście byli ubrani w kilty. Kiedy Meggie weszła do środka, zrozumiała, jak szaro czuje się pawica przyćmiona barwną wspaniałością pawia. Kobiety niknęły, jakby usunięte w cień, a wrażenie to pogłębiało się z upływem wieczoru.

Na podium stało dwóch kobziarzy, rumianych i spoconych, wygrywających wesołą melodię w idealnym współbrzmieniu. Ubrani byli w tartan klanu Andersonów, bogatą kratę na jasnoniebieskim tle. Kilka par tańczyło, ale największy ruch panował wokół mężczyzn, którzy podawali szklaneczki ze szkocką whisky. Meggie znalazła się w kacie z kilkoma innymi kobietami i rozglądała się urzeczona.

Luke i Arne byli witani jak starzy dobrzy znajomi. Jak często chodzili bawić się bez niej? Dlaczego akurat dziś ją ze sobą wzięli? Westchnęła i oparła się o ścianę. Inne kobiety zerkały na nią ciekawie, zwłaszcza na obrączkę na palcu. Skupiła na sobie kobiecą zazdrość, jak Luke i Arne kobiecy zachwyty. Ciekawe, co by powiedziały na to – pomyślała – że mąż mój odwiedził mnie dokładnie dwa razy w ciągu ośmiu miesięcy i wcale nie po to, żeby pójść ze mną do łóżka. Przecież ci dwaj to zarozumiali gogusie! Żaden z nich nie jest nawet Szkotem, poprzebierali się tylko, bo wiedzą, jak świetnie w tych strojach wyglądają, i lubią być podziwiani. Dobrana para oszustów! Każdy tak w sobie zakochany, że od nikogo miłości nie chce ani nie potrzebuje.

O północy wszystkie kobiety usunięto pod ścianę i rozpoczęły się prawdziwe tańce z udziałem samych mężczyzn. Barwy i dźwięki zlały się w żywiołowe widowisko, które odciskało się w pamięci na zawsze. Ilekroć potem Meggie usłyszała piszczącą kobzę, zobaczyła szkocką spódniczkę, stawali jej przed oczami tancerze w kitlach.

O czwartej nad ranem *ceilidh* dobiegł końca, Jadąc dychawicznym fordem Arnego, Meggie słyszała jeszcze tęskną melodię żegnającą gości wracających do domu. Do domu. Gdzie jest jej dom?

– Jak ci się podobało? – spytał Luke.

– Podobałoby mi się bardziej, gdybym więcej tańczyła.

– Daj spokój, Meg! Na *ceilidhu* tańczą tylko mężczyźni, więc i tak jesteśmy dla was dobrzy, że w ogóle pozwalamy potańczyć.

– Mężczyźni wiele rzeczy robią dla własnej przyjemności.

– Przepraszam cię bardzo! – obruszył się Luke! – Pomyślałem, że przydałaby ci się jakaś rozrywka i dlatego wzięłem cię ze sobą. Nie musiałem tego robić! Jeżeli ci się nie podoba, więcej cię nie wezmę.

– I na pewno tak zrobisz – odparła Meggie. – Wolisz życie beze mnie. Nie jestem ślepa, Luke. Szczerze mówiąc, mam cię dość, mam dość takiego życia, mam dość wszystkiego!

– Cii – syknął. – Nie jesteśmy sami!

– Więc postaraj się, żebyśmy byli sami! – odcięła się. – Kiedy miałam okazję być z tobą sam na sam dłużej niż parę minut?

Arne zatrzymał samochód u stóp wzgórza i uśmiechnął się do Luke'a ze współczuciem.

– Idź, bracie – powiedział. – Odprowadź ją, zaczekam tu na ciebie. Nie musimy się śpieszyć.

– Ja nie żartuję, Luke! – powiedziała Meggie, kiedy odeszli kawałek. – Moja cierpliwość się kończy, słyszysz? Przysięgam ci, że będę posłuszna, ale ty przysięgałeś, że będziesz mnie kochał i szanował, a teraz żadne z nas nie dotrzymuje słowa! Chcę wrócić do domu, do Droghedy!

Pomyślał o dwóch tysiącach funtów, które przestaną napływać na jego nazwisko.

– Och, Meg! – rzekł bezradnie. – Posłuchaj, kochanie, wszystko się zmieni, obiecuję! W lecie zabiorę cię do Sydney, słowo O’Neilla!

W domu ciotki Arnego jest dość miejsca. Zamieszkamy tam przez trzy miesiące i użyjemy życia! Wytrzymaj jeszcze rok, a potem kupimy naszą farmę, dobrze?

Księżyc oświetlał mu twarz: był poważny, zaniepokojony, skruszony. I taki podobny do Ralpa de Bricassart!

Meggie złagodniała, bo nadal chciała mieć z nim dzieci.

– Dobrze – odparła. – Jeszcze jeden rok. Ale pamiętaj, że obiecałeś mi Sydney, Luke. Trzymam cię za słowo!

## Rozdział dwunasty

Regularnie co miesiąc Meggie wysyłała list do Fee, Boba i młodszych braci. Pogodnie opisywała północny Queensland, nie wspominając słowem o zmartwieniach. Znów przez tą dumę. Rodzina wiedziała jednak, że Luke dużo jeździ i dlatego umieścił ją u swoich przyjaciół. Z listów przebijała wielka sympatia do Muellerów, więc nikt w Droghedzie niczego nie podejrzewał. Smuciło ich tylko, że nigdy nie przyjeżdża w odwiedziny. Ale jak mogła im napisać, że nie ma pieniędzy na podróż? Musiałaby wówczas przyznać, jak źle ułożyło się jej małżeństwo z Lukiem O’Neillem.

Zdobywała się czasem na odwagę, by mimochodem spytać o biskupa de Bricassart, ale Bob nie zawsze pamiętał, żeby przekazać jej skąpe wiadomości, jakie usłyszał od Fee. Wreszcie nadszedł list, w którym rozwodził się na jego temat.

*Nikt się go nie spodziewał, aż tu raptem przyjechał – pisał Bob – trochę jakby nie w sosie. Bardzo się stropił, że ciebie nie zastał. Potem wściekł się, że nie zawiadomiliśmy go o twoim ślubie, ale kiedy mama wyjaśniła, że to ty nie chciałaś nic mu mówić, przestał się złościć i więcej do tego nie wracał. Zrozumiałe, że najbardziej tęsknił za tobą, bo z nas wszystkich ty najwięcej spędzałaś z nim czasu i chyba myślał o tobie jak o młodszej siostrze. Chciał zobaczyć zdjęcia z twojego ślubu i sam się zdziwiłem, że żadnych nie zrobiliśmy. Pytał, czy masz dzieci. Powiedziałem, że nie. Bo nie masz, prawda? A to już blisko dwa lata, jak wyszłaś za mąż. Może będziesz miała niedługo dzieci? Biskup bardzo by się ucieszył. Chciałem dać mu twój adres, ale podziękował. Powiedział, że i tak by nie skorzystał, bo wybiera się na jakiś czas do Aten z arcybiskupem. Wymienił to długie nazwisko, którego nijak nie mogę zapamiętać. Lecą samolotem, wyobrażasz sobie, Meggie? Naprawdę! Krótko u nas bawił, bo brakowało mu twojego towarzystwa. Codziennie odprawiał mszę, pojeździł trochę konno i po sześciu dniach wyjechał.*

Meggie odłożyła list. A więc wie, wie! – pomyślała. – Nareszcie! Jak to przyjął? Czy bardzo się zasmucił? Dlaczego nakłonił ją do tego kroku? Nic na tym nie zyskała. Nie kochała Luke’a i wiedziała, że nigdy go nie pokocha. Był kimś zamiast, kimś, kto miał dać jej dzieci podobne do tych, jakie mogłaby mieć z Ralphem de Bricassart. O Boże, jak to się powikłało!

Arcybiskup di Contini-Verchese wolał zatrzymać się w hotelu niż skorzystać z zaproszenia grekokatolików i gościny w ateńskim pałacu. Miał do wypełnienia delikatną i ważną misję. Pewne sprawy od dawna czekały na omówienie z dostojnikami Kościoła grekokatolickiego. Domyślał się, że ta dyplomatyczna misja jest sprawdzianem przed większymi zadaniami, jakie czekają go w Rzymie. Przydała się dobra znajomość greckiego, która przeważała szalę na jego korzyść. Sprowadzono go aż z Australii, i to samolotem.

Nie do pomyslenia było, żeby wybrał się bez biskupa de Bricassart, który z czasem stał się jego prawą ręką. Niezwykły człowiek, istny Mazarin. Arcybiskup darzył o wiele większym podziwem kardynała Mazarina niż kardynała Richelieu, więc to porównanie było wielkim komplementem.

Wiatr przeczesał siwiejące na skroniach włosy biskupa de Bricassart, który stojąc u stóp Partenonu spoglądał ponad białym miastem na odległe wzgórza i Morze Egejskie. Dopiero teraz, jedenaście tysięcy mil od Australii, potrafił myśleć spokojnie o Meggie. Jak mógł ją winić, skoro sam namawiał ją do wyjścia za mąż? Od razu zrozumiał, dlaczego zakazała rodzinie zawiadamiać go – nie chciała, żeby poznał jej męża. Wiedział, że zamierza osiąść w północnym Queenslandzie. To brzmiało jak nieodwołalny wyrok, że nigdy jej nie zobaczy.

Czy jesteś szczęśliwa, Meggie? – myślał. – Czy ten Luke O’Neille jest dla ciebie dobry? Czy go kochasz? Dlaczego właśnie jego wybrałaś? Czy dlatego, że go nie znałem? Chciałaś



się zemścić, chciałaś, żebym cierpiał? Ale dlaczego nie masz dzieci? Co to za człowiek, który zostawia żonę u przyjaciół, a sam włóczy się po wybrzeżu? No tak, nic dziwnego, że nie masz dziecka. Meggie, dlaczego? Dlaczego wysłałaś za mąż za tego Luke'a O'Neilla?

Zszedł z Akropolu i spacerował ruchliwymi ulicami Aten zatrzymując się przy straganach. Kiedy wrócił do luksusowego hotelu na placu Omonia, arcybiskup di Contini-Verchese siedział przy oknie pogrążony w rozmyślaniach.

– W samą porę, Ralphie – powiedział obracając się z uśmiechem. – Chciałbym się pomodlić.

– Myślałem, że wszystko zostało już ustalone. Czyżby pojawiły się jakieś komplikacje?

– Nie, ale dostałem dziś list od kardynała Monteverdiego. Przekazuje w nim życzenie Jego Świętobliwości.

Biskup de Bricassart mimo woli zeszywniał i poczuł dziwne mrowienie koło uszu.

– Słucham uważnie, Wasza Miłość.

– Po skończeniu rozmów mam udać się do Rzymu i tam pozostać. Otrzymam z rąk Ojca Świętego kardynalski kapelusz.

– A co ze mną?

– Zostaniesz arcybiskupem i wrócisz do Australii na moje miejsce.

Ralph poczuł zamęt w głowie. Miał zostać wyniesiony do godności legata papieskiego, chociaż nie był Włochem! Niesłychane! A więc droga do tytułu kardynała otwarta!

– Najpierw przejdziesz odpowiednie przygotowanie w Rzymie. Potrwa to około pół roku. Przedstawię cię moim przyjaciołom, chciałbym, żeby cię poznali, bo nadejdzie czas, kiedy sprowadzę cię, Ralphie, do Watykanu.

– Nie wiem, jak mam dziękować! Waszej Miłości zawdzięczam ten wielki zaszczyt.

– Bogu dzięki jestem wystarczająco inteligentny żeby dostrzec zdolności, które należy wykorzystywać! A teraz uklęknijmy i módlmy się.

Różaniec i mszał leżał obok na stole. Biskup de Bricassart drżącą ręką sięgnął po różaniec i strącił mszał, który spadł na podłogę i się otworzył. Arcybiskup podniósł go i spojrzał z zaciekawieniem na zasuszoną różę między kartkami.

– Czy to pamiątka z domu rodzinnego? Może po matce?

Oczy, które potrafiły przejrzeć każdą nieszczerłość, wpatrywały się w Ralpha. Nie zdążył zamaskować uczuć.

– Nie – odparł. – Nie chcę wspominać matki.

– Ten kwiat zapewne wiele znaczy dla ciebie, skoro tak troskliwie go przechowujesz. Czego jest znakiem?

– Miłości tak czystej jak miłość do Boga.

– Nie wątpię w to, bo cię znam, ale czy ta miłość nie zagraża twojej miłości do Kościoła?

– Nie. Wyrzekłem się jej dla Kościoła na zawsze. Ale nieraz klęczałem godzinami, żeby powstrzymać siebie i nie wrócić do niej.

– Nie odejdziesz, Ralphie, należysz do Kościoła. Masz prawdziwe powołanie. Teraz pomódlmy się razem, a ja będę zawsze pamiętał o twojej Różie w modlitwach. Podążamy do życia wiecznego i Pan zsyła na naszej drodze wiele cierpień. Każdy z nas musi nieść swój krzyż.

Pod koniec sierpnia Meggie dostała list od Luke'a. Zawiadamiał ją, że cierpi na chorobę Weila i leży w szpitalu w Townsille, ale niedługo już wyjdzie:.

*Nie musimy czekać do końca roku z wyjazdem na wakacje. Nie mogę wrócić do trzciny, dopóki nie odzyskam sił, a najlepiej mi zrobi porządny urlop. Przyjadę po ciebie za jakiś tydzień. Wybierzemy się na parę tygodni nad jezioro Eacham.*

Meggie nie mogła wprost uwierzyć, że nadarza się taka okazja. Miała przecież

wątpliwości, czy jeszcze chce z nim być. Długo leczyła ból w duszy po przeżyciach w hotelu, ale tamto wspomnienie nie budziło już przerażenia, a lektury pomogły zrozumieć, że wiele zawiniła niewiedza i jej, i Luke'a. Dobry Boże – modliła się – sprawa, żebym na tych wakacjach zaszła w ciążę! Gdyby miała kogo otoczyć miłością, łatwiej byłoby jej żyć. Anne byłaby zachwycona, gdyby w domu pojawiło się dziecko. Luddie także. Oboje zapewniali Meggie o tym wiele razy i liczyli, że Luke zostanie kiedyś na tyle długo, żeby odmienić jej puste jałowe życie.

Kiedy podzieliła się z nimi nowiną, okazali wielką radość, wątpliwość chowając dla siebie.

– Głowę dam, że ten łajdak znajdzie jakąś wymówkę, żeby pojechać bez niej – powiedziała Anne do Luddiego, kiedy byli sami.

Luke przyjechał po Meggie z samego rana pożyczonym samochodem. Wychudzony, ze skórą pomarszczoną i poźólką. Wstrząśnięta jego wyglądem, Meggie podała walizkę i usiadła obok.

– Co to jest choroba Weila, Luke? Pisałeś, że to nic groźnego, a wyglądasz okropnie.

– To rodzaj żółtaczk, na którą prędzej czy później choruje każdy przy trzcinie. Roznoszą ją szczury, a my się zarażamy przez skaleczenie. Mam silny organizm, więc nie chorowałem tak ciężko jak wielu innych. W szpitalu powiedzieli, że raz-dwa wydobrzeję.

Samochód piął się skalistym wąwozem przez dżunglę. W jednym miejscu przeskakiwał ponad drogą wspaniały wodospad, który wpadał do huczącej w dole rzeki. Przejechali pod rozmigotanym łukiem wody. Robiło się coraz chłodniej. Meggie z przyjemnością oddychała świeżym powietrzem. Dżungla nachylała się ku nim nieprzebytą gęstwiną. Przesłaniały ją liany zwisające od czubów drzew niczym rzucona na las zasłona z zielonego aksamitu.

Jezioro Eacham na płaskowyżu Atherton leżało w dziewiczym otoczeniu. Przed zapadnięciem zmroku wyszli na werandę popatrzeć na spokojną toń. I na chmary wielkich nietoperzy owocowych, zwanych latającymi lisami, opadających na żerowiska. Zawsze ich wypatrywała z werandy w Himmelhoch. Były wyjątkowo płochliwe i łagodne, choć odstraszały niesamowitym wyglądem. Z zapiętym tchem patrzyła, jak ciemnymi, pulsującymi falami suną przez gasnące niebo.

Co za rozkosz wyciągnąć się na chłodnym łóżku wiedząc, że pościel nie zwilgotnieje od potu. Luke wyjął z walizki pakiecik, a z niego garść małych, okrągłych przedmiotów, które ułożył na stoliku przy łóżku. Meggie sięgnęła po jeden i uważnie mu się przyjrzała.

– A co to? – spytała ciekawie.

– Kondon – odparł. Zapomniał, że przed dwu laty postanowił nie rozpraszać jej niewiedzy. – Zakładam go na siebie. Gdybym tego nie zrobił, mogłabyś zajść w ciążę, a nie stać nas na to, dopóki nie będziemy na swoim. – Siedział na brzegu łóżka taki wychudły, że pod skórą rysowały się żebra i kości bioder. Ale oczy mu lśniły, kiedy chwycił ją za rękę. – Niewiele brakuje, Meggie, niewiele. Jeszcze pięć tysięcy funtów i kupimy najlepszą farmę na zachód od Charters Towers.

– Możesz ją mieć w każdej chwili – odparła panując nad głosem. – Wystarczy, że zwrócę się do biskupa de Bricassart prośbą o pożyczkę. Nie obciążą nas procentami.

– Nie zrobisz tego! – rozgniewał się. – Do diabła, Meg, gdzie twoja duma? Zapracujemy na wszystko sami! W życiu nie byłem nikomu nic winien, więc nie zacznę teraz pożyczać.

Widziała go przez czerwoną mgłę i ledwie słyszała, co mówi. Jeszcze nigdy nie była taka wściekła! Oszust, kłamca, egoista! Jak śmiał zrobić jej coś takiego?! Podstępem nie dopuszcza, by została matką, wmawia jej, że zależy mu na farmie, której pewnie wcale nie zamierza kupić! Znalazł sobie Arnego Swensona, trzcinę cukrową i to mu wystarczy.

Zdziwiona, jak dobrze udało jej się ukryć gniew, spojrzała na gumowy krążek, który trzymała w ręku.

– Opowiedz mi o tych kondonach. Dlaczego nie mogę zajść w ciążę?

Podszedł i objął ją od tyłu, a kiedy zadrżała z obrzydzenia, myślał, że to z podniecenia.

– Czy ty nic nie wiesz, Meg?

– Nie – skłamała, tylko częściowo, bo nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek czytała o kondonach.

– To proste – odparł, bawiąc się jej piersiami. – Kiedy puszczam ten... sok i jestem bez osłonki, to sok zostaje w tobie. A kiedy zostaje tam długo i często, to zachodzisz w ciążę.

A więc to tak! Jak skórka na kiełbasie! Oszust!

Zgasił światło, pociągnął ją do łóżka i sięgnął po swój zabezpieczający środek.

Doszły ją te same odgłosy, co w pokoju hotelowym w Dungloe, ale tym razem zrozumiała ich znaczenie. Jak tego oszusta przechytrzyć?

Wytrzymała go, starając się nie okazać, ile ją to kosztuje. Dlaczego coś, co jest naturalne, sprawia jej taki ból?

– Nie było co dobrze, co? – spytał potem. – Widocznie jesteś strasznie wąska, skoro boli cię tak długo po pierwszym razie. Nie będę już tak robił. Chciałby spróbował na twoich piersiach, pozwolisz?

– Ach, wszystko mi jedno – odparła zrezygnowana. – Jeżeli tylko nie będzie mnie bolało.

– Mogłabyś okazać trochę entuzjazmu, Meg!

– Po co?!

Znów mu się podnosił. Minęły dwa lata, odkąd był z kobietą. Ach, ta przyjemność smakowała jak zakazany owoc. Nie czuł się wcale mężem Meg. Fikle z nią niewiele się różniły od obłapiania przygodnej dziewczyny na tyłach gospody w Kynunie albo przypierania do szopy tej zadzierającej nosa panny Carmichael. Meggie miała ładne piersi, jędrne od konnej jazdy, akurat takie, jakie lubił. Nawet bardziej odpowiadało mu ocieranie o ich brzuszki nie osłoniętym członkiem, o wiele wrażliwszym bez kondonu.

Chwycił Meggie za pośladki, położył ją na sobie, złapał zębami koniuszek piersi i poczuł językiem, jak twardnieje. Meggie z pogardą myślała o nim i jego idiotycznych wysiłkach. W przyptywie podniecenia ugniatał ją palcami i zachłystywał się przy piersi jak wielki kociak. Szarpał rytmicznie członek wsuwający się jej między nogi.

Wpadła na pewien pomysł. Powolusieńku obsunęła się bliżej członka, wzięła głęboki oddech i zaciskając zęby wcisnęła się w niego. Wślizgnął się o wiele łatwiej i mniej bolało niż przedtem.

Luke otworzył oczy. Chciał ją odepchnąć, ale... Nie mógł uwierzyć, że to taka różnica bez kondonu. Nigdy tego nie próbował. Był tak podniecony, że nie zdołała jej z siebie zepchnąć. Objął ją, puszczejąc pierś, i mimo woli krzyknął, choć to nie było niemęskie. Potem pocałował ją lekko.

– Luke?

– Co?

– Czy nie moglibyśmy tak robić za każdym razem? Nie musiałbyś wkładać tej gumy.

– Niepotrzebnie zrobiliśmy tak jeden raz, więcej nie będziemy. Byłem w tobie, kiedy wytrysnąłem.

Nachyliła się nad nim, pogłaskała.

– Nie rozumiesz? Przecież ja siedzę! Nic we mnie nie zostaje, czuję, jak wszystko wycieka! Proszę cię, Luke! Tak jest o wiele przyjemniej, prawie nic nie boli. Na pewno tak jest bezpiecznie. Proszę cię!

Czy znalazłby się potomek Adama, którego nie skusiłoby takie zaproszenie do ponowienia przyjemności? Luke skinął głową, gdyż posiadał znacznie skromniejszą wiedzę niż Meggie.

– Chyba masz rację, a mnie też bardziej odpowiada, kiedy się nie wyrywasz. Dobrze, Meg, od dziś tak właśnie będziemy się kochali.

Meggie uśmiechnęła się zadowolona. Nie wszystko z niej wyciekło. Ledwie poczuwa, że wysuwa się z niej, naprężyła mięśnie, potem położyła się na plecach, niby od niechcenia uniosła zgięte nogi i skrzyżowała uda, z determinacją zatrzymując zdobycz. Czeka, czeka,

mój miły panie! Jeszcze zobaczysz! Będę miała dziecko, choćby nie wie co!

Z dala od parnych upałów Luke szybko dochodził do zdrowia. Odżywił się dobrze, zaczął przybierać na wadze, odzyskał dawny wygląd, opalił się. Dał złapać się na przynętę Meggie, która nie opierała się jego pieścizom, zgodził się przedłużyć dwutygodniowy pobyt do trzech, a potem do czterech tygodni. Pod koniec miesiąca zbuntował się jednak.

– Jestem zdrow, Meg. Nie mogę już czuć się lepiej. Siedzimy tu sobie jak u Pana Boga za piecem i wydajemy pieniądze, a Arne mnie potrzebuje.

– Nie zmienisz zdania, Luke? Gdybyś naprawdę chciał, mógłbyś kupić tę farmę już teraz.

– Niech jeszcze zostanie tak, jak jest, Meg.

Nie przyznałby się otwarcie, ale dziwnie pociągała go praca wymagająca najwyższego wysiłku, czuł w żyłach zew trzciniarza. Jak podobni mu młodzi mężczyźni, miał mu pozostać wierny, dopóki starczy sił. Meggie widziała jedyny sposób, żeby go zmusić do zmiany postanowienia: dać mu dziecko, dziedzica farmy.

Wróciła do Himmelhoch i czekała pełna nadziei. Wierzyła, że dziecko wszystko zmieni i bardzo go pragnęła. Doczekała się – była w ciąży. Anne i Luddie nie posiadali się z radości, kiedy ich o tym powiadomiła. Luddie okazał się skarbem, ponieważ umiał szyć i haftować, czego Meggie nigdy nie miała czasu się nauczyć. Mała igielka migąła w jego wielkich rękach jak zaczarowana, a tymczasem Meggie i Anne urządzały pokój dziecinny.

Nie znosiła dobrze ciąży, czy to z powodu upałów, czy przygnębienia. Poranne nudności przedłużały się na cały dzień i powtarzały nawet wtedy, kiedy powinny już ustąpić. Niewiele przybierała na wadze, mimo to dawała jej się we znaki opuchlizna, a ciśnienie wzrosło niepokojąco. Opiekujący się nią doktor Smith chciał od razu odesłać ją do szpitala w Cairns, ale po dłuższym zastanowieniu uznał, że lepiej jej będzie u Muellerów, którzy się nią troskliwie zajmowali. Zapowiedział jednak, że wyjazd do Cairns będzie konieczny na trzy tygodnie przed porodem.

– Ściągnij tu jej męża! – ryknął doktor do Luddiego.

Meggie nie zwlekała z zawiadomieniem Luke'a, że jest w ciąży, przekonana, jak to kobieta, że Luke postawiony przed faktem dokonany oszaleje z radości. List, który dostała w odpowiedzi rozwiał wszelkie złudzenia. Luke był wściekły. Perspektywa, że zostanie ojcem, znaczyła dla niego tylko tyle, że będzie miał do nakarmienia dwie niepracujące gęby. Tę gorzką pigułkę Meggie przełknęła nie mając wyboru. Dziecko, które miało się urodzić, wiązało ją z Lukiem równie mocno jak duma.

Czuła się nieszczęśliwa, bezradna, nie kochana. Nawet to nie narodzone dziecko jej nie kochało i nie chciało przyjść na świat – wyczuwała protesty małego stworzenia przeciw temu, że jest i rośnie. Pojechałaby do domu, gdyby mogła znieść dwa tysiące mil podróży, ale doktor Smith był nieugięty. Kilka dni jazdy pociągiem, nawet z przerwami, mogłoby się skończyć tragicznie. Meggie, mimo rozczarowania, za nic nie naraziłaby na szwank swojego dziecka. Stopniowo jednak wygasła w niej radość i pragnienie, by mieć istotę, którą mogłaby otoczyć miłością, niewdzięczny płód ciążył jej coraz bardziej.

Doktor Smith radził, żeby Meggie wcześniej przeniosła się do Cairns. Poród wiązał się z dużym ryzykiem, a w Dungloe był tylko punkt szpitalny. Wysokie ciśnienie krwi utrzymywało się, opuchlizna rosła. Doktor mówił o toksemii, rzucawce połogowej i wymieniał inne medyczne terminy, którymi tak nastraszył Anne i Luddiego, że zgodzili się puścić Meggie, choć woleli, żeby dziecko urodziło się w Himmelhoch.

W końcu maja już tylko cztery tygodnie dzieliły Meggie od wyznaczonego terminu, w którym miała się pozbyć nieznośnego ciężaru. Z coraz większą niechęcią myślała o istocie, której tak bardzo pragnęła, zanim zaczęła przez nią cierpieć. Dlaczego spodziewała się, że Luke z radością przyjmie wiadomość o mającym się narodzić dziecku?! Od początku ich małżeństwa nic na to nie wskazywało.

Pora przyznać się do małżeńskiej klęski, porzucić niemądrą dumę i ratować, co się da. Pobrali się z samych nieodpowiednich powodów: on dla pieniędzy, ona, by uciec od Ralpha de Bricassart dla kogoś, kto go przypominał. Nie łączyły ich nawet pozory miłości, a tylko miłość pomogłaby przewyciężyć dzielące różnice i wynikające z nich trudności.

Dziwne, że nie znenawidziła Luke'a, podczas gdy coraz częściej z nienawiścią myślała o Ralphie de Bricassart. A przecież to Ralph okazał jej więcej serca i lepiej ją traktował. Nigdy jej nie zachęcał, żeby myślała o nim inaczej niż jako o księdzu i przyjacielu, bo nawet kiedy dwa razy całował, to ona zrobiła pierwszy krok.

Skąd ten gniew? Dlaczego jej niechęć kierowała się przeciw Ralphowi, a nie Luke'owi? Wszystkiemu winne były jej obawy i niepewności, głębokie rozczarowanie, jakie odczuwała, kiedy ją odpychał od siebie, podczas gdy ona tak bardzo go kochała i pragnęła. Wszystkiemu winna była pochopna decyzja, żeby wyjść za mąż za Luke'a O'Neilla. Zdradziła przez to samą siebie i Ralpha. Nieważne, że nie mogła wyjść za niego za mąż i mieć z nim dzieci. Nieważne, że jej nie chciał, bo przecież nie chciał. Jego właśnie pragnęła i nie powinna decydować się na żadną namiastkę.

Świadomość popełnionych błędów niczego jednak nie mogła zmienić. Jej mężem był Luke O'Neille i jego dziecko nosiła w sobie. Jak mogła być szczęśliwa spodziewając się tego dziecka, skoro on go nie chciał? Kiedy się urodzi, przynajmniej będzie mogła je kochać jako odrębną istotę. Tylko... Co by ona dała, żeby mieć dziecko Ralpha de Bricassart! Niezniszczalne marzenie, mrzonka! Służył instytucji, która zagarnęła go całego, łącznie ze zbędną jej męskością. Matka-Kościół wymagała takiej daniny, pilnowała, żeby jego byt nie znalazł kontynuacji i dobiegając kresu, ustał na zawsze. Ale nadejdzie dzień zapłaty za tę chciwość. Nadejdzie dzień, kiedy nie zjawią się następcy Ralpha de Bricassart, bo ocenią swoją męskość na tyle wysoko, by uznać wyrzekanie się jej za zbędne, nikomu niepotrzebne poświęcenie...

Wstała i weszła do bawialni, gdzie Anne czytała wydaną w nieoficjalnym obiegu potępioną powieść Normana Lindsaya, wyraźnie smakując każde zakazane słowo.

– Anne, zdaje się, że twoje życzenie się spełni.

Anne uniosła głowę znad książki.

– Jakie życzenie, kochanie?

– Zadzwoń po doktora. Będę rodzić tutaj.

– O Boże! Idź do pokoju i połóż się. Nie u siebie, w naszej sypialni!

Doktor Smith, przeklinając nieobliczalność losu i stanowczość noworodków, wyjechał Dungloe zdezelowanym autem,, zabierając położną i tyle sprzętu, ile mógł zabrać ze swojego szpitalika.

– Zawiadomiliście męża? – spytał stukając butami na schodach.

– Nadałam telegram. Meggie leży u mnie. Uznałam, że tam będzie wygodniej, bo jest więcej miejsca.

Kuśtykając za lekarzem i położną, Anne weszła do swojego pokoju. Meggie leżała na łóżku, co chwila zaciskając ręce i sprężając się z bólu. Obróciła głowę i uśmiechnęła się. Anne w jej szeroko otwartych oczach zobaczyła wielki strach.

– Cieszę się, że nie zdążyłam pojechać do Cairns – powiedziała. – Moja matka nigdy nie rodziła w szpitalu. Tata mówił, że okropnie się namęczyła rodząc Hala. Ale jakoś dała sobie radę i ja też dam. W rodzinie Clearych kobiety są silne i wytrzymałe.

Po kilku godzinach doktor wyszedł na werandę.

– To będzie długi i ciężki poród. Pierwiastki rzadko rodzą się lekko, a ten płód ma złe ułożenie. W Cairns mogliby jej zrobić carskie, ale tutaj nie wchodzi to w rachubę. Będzie usiała uporać się z tym sama.

– Czy jest przytomna?

– O, tak. Zachowuje się bardzo dzielnie, nie krzyczy, nie użala się. Te najdzielniejsze

zawsze najwięcej się namęczą. Pyta mnie ciągle, czy Ralph już przyjechał, a ja plotę jej o powodzi nad jeziorem Johnston. Zdawało mi się, że jej mąż ma na imię Luke.

– Owszem.

– Hm! Z Luke’a nie ma wielkiego pożytku, pewnie dlatego wciąż pyta o tego Ralpha.

– Luke to drań.

Anne oparła się o balustradę. Drogą z Dunny nadjeżdżała taksówka, która skręciła na wzgórze Himmelhoch. Anne miała wyśmienity wzrok i dojrzała czarnowłosego pasażera na tylnym siedzeniu.

– Własnym oczom nie wierzę, ale wygląda na to, że Luke przypomniał sobie wreszcie, że ma żonę! – zawołała z radosną ulgą.

– Wracam do Meggie, a ty się nim zajmij. Nic jej na razie nie powiem, bo może to nie on. Poczęstuj go na razie herbatą, mocniejsze trunki zachowaj na później. Przydadzą się.

Taksówka podjechała. Anne zdziwiła się, że kierowca wysiadł, żeby otworzyć tylne drzwiczki. Joe Castiglione, jedyny taksówkarz w Dunny, zwykle nie świadczył takich uprzejmości.

– To Himmelhoch – oznajmił z głębokim ukłonem.

Z samochodu wysiadł duchowny. Oszołomiona Anne pomyślała w pierwszej chwili, że Luke O’Neill spłatał jej dziwnego figła, potem spostrzegła, że to ktoś inny, dobre dziesięć lat starszy od Luke’a. Mój Boże! – pomyślała, kiedy gość zręcznie przeskakował po dwa stopnie na raz. – Nigdy nie widziałam tak przystojnego mężczyzny! Co najmniej arcybiskup! Czego szuka biskup katolicki u luteranów?

– Pani Mueller? – spytał uśmiechając się z sympatią, ale zarazem z dystansem.

– Tak, to ja, Anne Mueller.

– Arcybiskup Ralph de Bricassart. Jestem legatem papieskim w Australii. Czy tutaj mieszka pani O’Neill?

– Tak – odparła i pomyślała: Ralph? Ralph?! Więc to jest Ralph!

– Jestem jej przyjacielem, Czy mógłbym się z nią zobaczyć?

– W innych okolicznościach na pewno bardzo by się ucieszyła, arcybiskupie... – nie, to nie tak, nie mówi się „arcybiskupie”, mówi się „Wasza Miłość” – ale w tej chwili Meggie rodzi, a poród jest bardzo ciężki.

– Wiedziałem, że coś się stało! Od dawna miałem złe przeczucia. Ostatnio wręcz obsesyjnie mnie prześladowały. Proszę, niech mnie pani do niej zaprowadzi! Jeżeli potrzebny jest jakiś powód, to niech wystarczy ten, że jestem kapłanem.

Anne wcale nie zamierzała bronić mu wstępu.

– Proszę tędy – powiedziała.

Wspierając się na dwóch laskach posuwała się naprzód powoli, myśląc nerwowo: Czy wszędzie posprzątałam? Czy starłam kurze? Że też tak ważna osoba przyjechała tak niespodziewanie! Luddie, czy ty przyrosłeś do tego traktora i nigdy się nie zjawisz? Posłałam po ciebie chłopaka, dawno powinieneś już tu być!

Arcybiskup minął doktora Smitha i położną, jakby ich wcale nie zauważył, klęknął przy łóżku i wziął Meggie za rękę.

– Meggie!

Ocknęła się z upiornego snu, w którym się pogrążyła, nie dbając o nic, i ujrzała ukochaną twarz tuż przy swojej – posiwiałe skronie, podkreślone zmarszczkami rysy, złagodniałe oczy pełne miłości. Jak mogła przyrównać do niego Luke’a? Nie było drugiego takiego jak on, zdradziła uczucia, które do niego żywiła. Luke był jak ciemna, odwrótne strona lustra, Ralph jaśniał jak słońce! Jak cudownie go znowu widzieć!

– Pomóż mi, Ralphie – powiedziała.

Ucałował gorąco jej rękę, przytulił do policzka.

– Moja Meggie, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Módl się za mnie i dziecko. Jeżeli ktoś nas może uratować, to tylko ty. Jesteś o wiele bliżej Boga. Nikt nas nie chce, nikt nas nie chciał, nawet ty.

– Gdzie jest Luke?

– Nie wiem i wszystko mi jedno.

Zamknęła oczy kręcąc głową na poduszce, zaciskając palce na jego dłoni. Doktor Smith dotknął ramienia Ralpha.

– Ksiądz biskup zechce teraz łaskawie wyjść.

– Gdyby się gorzej poczuła, proszę mnie, doktorze, zawołać.

– Natychmiast to uczynię.

Luddie, który wreszcie oderwał się od trzciny, czekał pod drzwiami sypialni szalejąc z niepokoju.

– Anne, czy wszystko w porządku? – spytał żonę, kiedy wyszła z arcybiskupem.

– Na razie tak. Doktor nie chce wiele mówić, ale chyba jest dobrej myśli. Luddie, mamy gościa. Arcybiskup de Bricassart, dawny przyjaciel Meggie.

Luddie, lepiej obeznany z etykietą, przyklęknął na jedno kolano i ucałował pierścień.

– Proszę spocząć. Zaraz podam herbatę.

– A więc ksiądz biskup to ten tajemniczy Ralph – powiedziała Anne opierając laski o bambusowy stolik.

Siedział naprzeciw, fałdy sutanny odsłoniły lśniące buty do konnej jazdy gdy założył nogę na nogę. Mężczyźni zwykle tak nie siadali, ale u niego, księdza, to nie raziło. Uznała, że jest młodszy, niż jej się początkowo wydawało, miał zapewne niewiele po czterdziestce. Szkoda, że taki wspaniały mężczyzna się marnuje!

– Odkąd zaczął się poród, Meggie wciąż pytała o Ralpa. Muszę przyznać, że to mnie zdziwiło. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przedtem wymówiła to imię.

– To do niej niepodobne.

– Skąd ksiądz biskup zna Meggie? Od jak dawna?

Z nikłym uśmiechem Ralph założył piękne, szczupłe ręce czubkami palców.

– Poznałem Meggie, kiedy przyплыnęła z Nowej Zelandii, miała wtedy dziesięć lat. Można bez przesady powiedzieć, że byłem przy niej, kiedy przeżywała powódź i pożar, głód uczuć, a także śmierć i narodziny. Wszystko, co niesie ze sobą życie. Meggie jest lustrem, które mi przypomina, że jestem śmiertelnikiem.

– Ksiądz biskup ją kocha! – rzekła Anne zdumiona.

– Tak.

– To tragedia dla was obojga.

– Miałem nadzieję, że tylko dla mnie. Proszę mi opowiedzieć, co się z nią działo, odkąd wyszła za męża. Wiele lat jej nie widziałem i niepokoiłem się o nią.

– Opowiem, ale najpierw chciałabym od księdza biskupa usłyszeć coś o Meggie. Jak żyła, zanim przyjechała do Dunny. Luddie i ja nic o niej nie wiemy prócz tego, że mieszkała gdzieś koło Gillanbone. Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej, bo bardzo ją lubimy. Nigdy na nic nie mówiła, chyba duma jej na to nie pozwalała.

Kiedy Luddie wszedł z tacą i dosiadł się do nich, Ralph opowiedział krótko o Meggie.

– Któż by przypuszczał! Jak Luke mógł ją wyrwać z takiego życia i znaleźć pracę służącej?! I miał czelność zastrzec sobie, żeby jej pensję wpłacano na jego konto! Nie miała grosza przy duszy. Kazałam Luddiemu wypłacić jej premię z okazji świąt, ale tyle się zebrało potrzeb, że wydała wszystko w jeden dzień, a więcej nie chciała przyjąć.

– To nie powód, żeby współczuć Meggie – odezwał się Ralph nieco szorstko. – Myślę, że sama nad sobą się nie lituje, a już na pewno nie z powodu braku pieniędzy. Nie przyniosły jej szczęścia. Wie, gdzie się zwrócić, gdyby właśnie pieniędzy jej brakowało.

Muellerowie opowiadali o dalszym życiu Meggie, a biskup de Bricassart siedział i słuchał ze złożonymi rękoma, wpatrując się w szeroki wachlarz drzewa podróżnika za oknem. Twarz

mu nie drgnęła, nie zmienił się wyraz oczu. Wiele się nauczył pracując dla Vittoria Scarabanzy, kardynała di Contini-Verchese.

Po skończonej opowieści westchnął i przeniósł wzrok na ich zaniepokojone twarze.

– Wygląda na to, że my musimy jej pomóc, skoro Luke o nią nie dba. Jeżeli rzeczywiście nie zależy mu na niej, to lepiej będzie jej w Droghedzie. Wiem, że nie chcecie się z nią rozstawać, ale dla jej dobra namówcie ją, żeby wróciła do domu. Prześlę czek z Sydney, żeby zaoszczędzić jej przykrości zwracania się z prośbą o pieniądze do brata. Potem w domu będzie mogła powiedzieć, co zechce. – Spojrzał na drzwi sypialni i poruszył się niespokojnie. – Dobry Boże, spraw, żeby to dziecko wreszcie się narodziło!

Poród trwał jeszcze niemal dwadzieścia cztery godziny. Doktor Smith aplikował wyczerpanej Meggie duże dawki laudanum, tradycyjnie uważanego za najlepszy środek. Meggie jak w koszmarnym śnie czuła, że kręci się w kółko i zapada w wir, szarpana pazurami przez wyjące zmyry. Czasami pojawiała się przed nią twarz Ralpha, by po chwili odpłynąć na wezbranej fali. Wiedziała, że póki on przy niej czuwa, jest bezpieczna.

Doktor Smith zostawił przy Meggie położną, żeby posilić się, wychylić kieliszek rumu i sprawdzić, czy żadnemu z jego pacjentów nie zechciało się przypadkiem przenieść na tamten świat. Wysłuchał też tego, co Muellerowie uznali za stosowne mu opowiedzieć.

– Masz rację, Anne – rzekł. – Jazda konna przyczyniła się zapewne do jej obecnych kłopotów. Dla kobiet, które muszą dużo jeździć, źle się stało, że damskie siodło wyszło z mody. Nie służy im siedzenie okrakiem.

– Podobno to przesąd – wtrącił łagodnie Ralph.

Doktor Smith spojrział na niego ze złością. Nie przepadał za duchownymi katolickimi, których uważał za świętoszków plotących trzy po trzy.

– Każdy myśli po swojemu – odparł. – Proszę mi powiedzieć, co doradziłoby księdzu biskupowi sumienie, gdyby trzeba było wybierać między życiem Meggie a dziecka?

– Kościół nieugięte broni stanowiska, że nie wolno dokonywać wyboru. Nie wolno uśmiercić dziecka, żeby ratować matkę, ani uśmiercić matki, żeby ratować dziecko. Ale gdyby doszło do zagrożenia życia, powiedziałbym bez wahania: niech pan ratuje Meggie, do diabła z dzieckiem!

Doktor Smith aż podskoczył, roześmiał się i poklepał Ralpha po ramieniu.

– Brawo! Może ksiądz biskup być spokojny, nie powtórzę nikomu. Na razie nie widzę konieczności pozbawiania kogokolwiek życia.

Tymczasem Anne w duchu zadała pytanie: Ciekawe, co byś odpowiedział, księżę biskupie, gdyby chodziło o twoje dziecko?

Trzy godziny później, kiedy słońce opuszczało się ku spowitej w mgły górze Bartle Frere, doktor Smith wyszedł z sypialni.

– Już po wszystkim – oznajmił z satysfakcją. – Meggie jest wycieńczona, ale z bożą pomocą wróci do zdrowia. Urodziła dziewczynkę, waży pięć funtów. Drobna, z wielką głową, ale żywotna jak rzadko. Ruda niesamowicie i charakterek szykuje się odpowiedni.

Uradowany Luddie z hukiem otworzył specjalnie na ten cel przechowywaną butelkę szampana. Wszyscy – duchowny, doktor, położna, plantator i jego żona – wzniesli toast za zdrowie i pomyślność młodej matki i wrzeszczącego niemowlęcia. Był pierwszy lipca, początek australijskiej zimy.

Przyjechała pielęgniarka, żeby zastąpić położną i czuwać przy Meggie, aż minie wszelkie zagrożenie. Doktor z położną wyjechali, a Anne, Luddie i biskup poszli do Meggie.

Leżała na szerokim łożu, wydawała się drobna i wyniszczona. Meggie, umęczona Meggie...

W wiklinowej kołysce leżała mała osóbką, za nic mając zainteresowanie zgromadzonych dorosłych. Dawała głośny i nieustający wyraz swojemu niezadowoleniu. W końcu pielęgniarka wyniosła ją razem z kołyską do pokoju dziecinnego.



– Płuca ma na pewno zdrowe – powiedział z uśmiechem Ralph przysiadając na łóżku i ujmując bladą ręką Meggie.

– Chyba nie bardzo jej się podoba na tym świecie – odparła Meggie i też się uśmiechnęła. Jak on się zestarzał! – pomyślała. – Nie stracił zręczności ruchów, ale wygląda nieporównanie starzej. Popatrzyła na Muellerów i wyciągnęła do nich drugą rękę.

– Moi najmils! Co ja bym bez was zrobiła? Czy Luke się odezwał?

– Przysłał telegram. Nie może przyjechać, ale życzy ci wszystkiego najlepszego.

– Jaki wspaniałomyślny – rzekła Meggie. Anne pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

– Zostawimy cię na chwilę, kochanie, żebyś porozmawiała z biskupem – powiedziała i kiwnęła na pielęgniarkę. – Chodź Nettie, napijesz się z nami herbaty. Ksiądz biskup zawoła cię, jeżeli będziesz potrzebna.

– Jak dasz na imię swojej hałaśliwej córce? – spytał, kiedy zostali sami.

– Justyna.

– Bardzo ładne imię, ale dlaczego właśnie takie?

– Spotkałam w jakiejś książce i spodobało mi się.

– Czy się nią cieszysz, Meggie?

W wychudłej twarzy widać było tylko oczy, w których tlił się przyćmiony blask, ale nie płonęła ani miłość, ani nienawiść.

– Cieszę się. Musiałam uciec się do podstępny, żeby ją mieć, a kiedy nosiłam ją pod sercem, nic do niej nie czułam i zdawało mi się, że ona też mnie nie chce. Myślę, że Justyna nie będzie nigdy należała do mnie, do Luke'a, do kogokolwiek. Sama sobie będzie sterem i okrętem.

– Muszę cię opuścić, Meggie – powiedział łagodnie.

Spojrzała twardo z szeroko otwartymi oczyma, z nieprzyjemnym grymasem ust.

– Tego się właśnie spodziewałam! Mężczyźni mojego życia zawsze ode mnie odchodzą.

– Nie mów z taką goryczą, Meggie. Nie zniósłbym, gdyby pozostało mi w pamięci takie pożegnanie. W najtrudniejszych chwilach zawsze zachowywałaś dobroć charakteru i to mi się w tobie najbardziej podoba. Nie zmieniaj się, nie gorzknij. Wiem, jakie to przykre, że Luke nie przyjechał, ale nie zmieniaj się z tego powodu. Nie byłabyś już wtedy moją Meggie.

Patrzyła na niego ze wstrętem.

– Daj spokój Ralphie! Nie jestem twoją Meggie i nigdy nie byłam. Nie chciałeś mnie, pchnąłeś mnie do niego, do Luke'a. Co ty sobie myślisz? Że jestem jakąś świętą albo zakonnica? Nie jestem! Jestem zwykłą kobietą, a ty zrujnowałeś mi życie! Przez tyle lat cię kochałam, nie myślałam o nikim innym, czekałam na ciebie... Tak bardzo starałam się zapomnieć o tobie, wyszłam za mąż za kogoś innego, kto trochę mi ciebie przypominał, a teraz mnie nie potrzebuje. Chciałam być komuś potrzebna, czy to tak wiele?

Zaczęła szlochać, ale zaraz się opanowała. Spozregł na jej twarzy delikatne zmarszczki, których przedtem nie było, i wiedział, że nie wygładzi ich wypoczynek i powracające zdrowie.

– Luke nie jest złym człowiekiem, nawet da się lubić – ciągnęła. – Nie różni się wiele od innych. Wszyscy jesteście tacy sami. Jak wielkie ćmy tłuczecie w szybę, żeby dostać się do jakiegoś głupiego płomienia. Albo rozbijacie się o tę szybę, albo udaje wam się dolecieć do płomienia, w którym giniecie.

Nie wiedział, co jej na to odpowiedzieć, bo nigdy nie widział jej tak wzburzonej. Czy zawsze nosiła w sobie ten gniew, czy zrodził się teraz z jej przeżyć? Tak go zmartwiła, że ledwie ją słyszał i nie domyślił się, że powodem jest jej samotność i poczucie winy.

– Pamiętasz tę różę, którą mi dałaś, kiedy wyjeżdżałem z Droghedy? – spytał tkliwie.

– Tak, pamiętam – odparła beznamyślnie. W oczach zgasł twardy błysk, szklily się jak oczy jej matki.

– Nadal ją przechowuję. Za każdym razem, kiedy zobaczę taką różę, myślę o tobie.

Kocham cię, Meggie. Jesteś moją różą, najpiękniejszym wyobrażeniem człowieka i myślą towarzyszącą memu życiu.

Znów wykrzywiła usta, znów rozgorzały oczy, błysnęła w nich nienawiść.

– Wyobrażeniem! Myślą! O tak, to wszystko, czym dla ciebie jestem! Jesteś romantycznym głupcem Ralphie de Bricassart! Nie masz lepszego pojęcia o życiu niż ta ćma, do której cię porównałam! Nic dziwnego, że zostałeś księdzem! Nie podołałbyś powszedniości życia, gdybyś był zwykłym człowiekiem jak Luke! Mówisz, że mnie kochasz, ale nie masz pojęcia, co to jest miłość. Obracasz w ustach ładnie brzmiące słowa! Dziwi mnie tylko, że wam, mężczyznom, nie udało się całkiem nas pozbyć. To by wam najbardziej odpowiadało, prawda? Powinniście sami łączyć się w pary, byłibyście nieziemsko szczęśliwi!

– Meggie, przestań! Proszę cię, przestań!

– Och, zejdź mi z oczu! Nie chcę na ciebie patrzeć! Zapomniałeś o jednym, Ralphie, róże mają ostre kolce!

Wyszedł z pokoju nie oglądając się za siebie.

Luke nie odpowiedział na telegram zawiadamiający go, że został ojcem. Meggie powoli dochodziła do siebie, a Justyna chowała się zdrowo. Gdyby Meggie sama, nie z butelki, karmiła małą, może przyłgnęłaby do niej, ale nie miała ani trochę pokarmu. Co za niesprawiedliwość – myślała – wspominając zapędy Luke'a. Pieczołowicie wypełniała swoje obowiązki przy rudowłosym noworodku i czekała na przypływ cudownej macierzyńskiej czułości. Nic takiego nie nastąpiło. Nie ogarniała jej nawet ochota, żeby całować małą buzię, bawić się paluszkami i na sto innych sposobów okazywać matczyne uwielbienie.

Muellerowie nawet nie pomyśleli, że Meggie nie kocha Justyny całym sercem, że nie darzy jej uczuciem jak swoich młodszych braci, którymi się kiedyś opiekowała. Wystarczyło, że Justyna zamarudziła, Meggie od razu brała ją na ręce, kołysała, śpiewała. Ale Justyna, o dziwo, nie potrzebowała takiej troskliwości, uciszała się szybko pozostawiona samej sobie.

Po pewnym czasie wyładniała i zrobiła się przyjemnie pulchna. Włoski zgęstniały i zaczęły się kręcić, intensywnie rude jak dziadka Paddy'ego. Wszyscy czekali niecierpliwie, jaki będzie miała kolor oczu. Luddie stawiał na niebieskie po ojcu, Anne na szare po matce, a Meggie nie miała zdania. Między szóstym a dziewiątym tygodniem oczy przybrały ostateczną, niespotykaną barwę. Tęczówki w ciemnoszarych obwódkach nie były ani niebieskie, ani szare, tylko jakby jasnopopielate, a niepokojące oczy przypominały oczy ślepca, jednak z czasem stało się oczywiste, że Justyna widzi nimi dobrze.

Luke się nie pokazał ani nie odpisał na żaden z listów. Meggie była o tyle zadowolona, że nie wiedziałyby, co by mu powiedzieć, a nie spodziewała się, by wpadł w zachwyt na widok maleństwa o dziwnych oczach i wielkiej głowie. Gdyby Justyna była chłopcem, może to by go udobruchało, ale Meggie radowała się szczerze, że tak nie jest. Justyna dowiodła, że wspaniały Luke O'Neill nie jest bez skazy – gdyby tak było, płodziłby samych synów.

W przeciwieństwie do matki Justyna tryskała zdrowiem i w czwartym miesiącu życia płakała o wiele rzadziej. Leżąc w kołysce trącała i chwytając paluszkami kolorowe koraliki. Nigdy jednak się nie uśmiechała, nawet najmniejszym grymasem.

Wcześniej, bo w październiku, rozpoczęła się wyjątkowo uciążliwa pora deszczowa. Dzień w dzień deszcz godzinami chłostał Himmelhoch, woda spływała po trzcinie, rozmywała szkarłatną ziemię, wypełniała po brzegi szerokie koryto rzeki Dungloe, która szybko odprowadzała jej nadmiar do pobliskiego morza. Justyna rozglądała się po swoim małym świecie, a Meggie patrzyła tępo, jak góra Bartle Frere to znika za strugami deszczu, to znów się pojawia.

Czasami wyjrzało słońce, nad ziemią unosiły się opary, mokra trzcina jarzyła się jak obsypana diamentami, a rzeka wyglądała niczym wielki złoty wąż. Pod granatowymi chmurami rozpiniała się wyrazista podwójna tęcza, zabarwiona tak intensywnie, że zbladły przy niej każdy krajobraz prócz tutejszego. Północny Queensland nie tracił nic ze swej urody

przy blasku podniebnych łuków. Meggie pomyślała, że Gillanbone jest takie szarobrazowe, bo północny Queensland ściągnął do siebie wszystkie żywe kolory.

Któregoś dnia, na początku grudnia, Anne przysiadła się do Meggie, uważnie się jej przypatrując. Marniała w oczach, jakby życie z niej uchodziło. Nawet piękne włosy straciły złoty połysk!

– Meggie, nie wiem, czy postąpiłam słusznie ale wysłuchaj mnie, zanim odpowiesz.

– Mówisz z taką powagą, Anne! – rzekła Meggie z uśmiechem. – Czego mam wysłuchać?

– Luddie i ja bardzo się o ciebie martwimy. Nie odzyskałaś sił po urodzeniu Justyny, a odkąd zaczęły się deszcze, wyglądasz gorzej niż przedtem. Prawie nic nie jesz i tracisz na wadze. Zawsze wiedziałam, że nasz klimat ci nie służy, ale przywykłaś jakoś do niego, kiedy nie byłaś tak przeciążona. Oboje uważamy, że nie jesteś zdrowa, i jeżeli czegoś nie zrobimy, to naprawdę się rozchorujesz. – Wzięła głęboki oddech. – Kilka tygodni temu napisałam do koleżanki, która pracuje w biurze turystycznym i wykupiłam ci wczasy. O pieniądze się nie martw. Biskup de Bricassart przysłał dla ciebie czek na dużą sumę i twój brat także, zapraszając cię razem z Justyną do Droghedy. Uznaliśmy jednak, że powinnaś wypocząć gdzieś, gdzie będziesz miała więcej czasu na zastanowienie. Bez Justyny, bez Luke'a, bez nas, bez Droghedy. Nie wyjeżdżałaś nigdy sama, Meggie. Najwyższy czas spróbować. Wynajęliśmy ci domek na wyspie Matlock na dwa miesiące, licząc od początku stycznia. Zaopiekujemy się Justyną. Wiesz, że nic złego jej się nie stanie, a gdyby cokolwiek nas zaniepokoiło, natychmiast cię zawiadomimy. Na wyspie jest telefon, więc możemy szybko ściągnąć cię z powrotem.

– Anne, gdyby nie ty i Luddie, to przez te ostatnie trzy lata chyba bym oszalała. Budzę się czasem w nocy i myślę, co by się ze mną stało, gdyby Luke znalazł mi pracę u kogoś, kto nie byłby dla mnie tak dobry jak wy.

– Gadanie! Gdyby Luke umieścił cię u jakichś niemiłych ludzi, wróciłabyś do Droghedy... Kto wie, może tak byłoby najlepiej?

– Nie. Ta historia z Lukiem nie jest przyjemna, ale lepiej, że zostałam.

Deszcz przesunął się przez pole trzciny jak szary topór ucinający widok na wszystko, co znalazło się poza jego krawędzią.

– Masz rację, nie czuję się dobrze – odparła Meggie. – Nie czuję się dobrze, odkąd zasłałam w ciążę. Próbowалам wziąć się w garść, ale daremnie. Och, Anne, taka jestem zmęczona i zniechęcona! Nie jestem nawet dobrą matką dla Justyny, a powinnam być. To przecież ja sprowadziłam ją na ten świat. Najbardziej zniechęca mnie to, że Luke nie pozwala mi zadbać o niego. Nie chce mieć domu, który bym urządziła, nie chce mieć ze mną dzieci. Nie kocham go i nigdy nie kochałam tak, jak kobieta powinna kochać mężczyznę, którego poślubiła. Może on to wyczuł od samego początku? Może gdybym go kochała, inaczej by się zachowywał. Więc jak mogę go winić? Mogę winić samą siebie.

– To biskup de Bricassart jest twoją miłością.

– Tak, kochałam go już jako mała dziewczynka. Kiedy tu przyjechał, byłam dla niego bardzo przykra. Nie miałam prawa go tak traktować, bo nigdy mnie nie zwodził. Może zrozumiał, że byłam nieszczęśliwa. Myślałam tylko o tym, że to powinno być jego dziecko. To niesprawiedliwe! Duchowni protestanci mogą się żenić, więc dlaczego katolicy nie? I nie mów mi, że pastor gorzej dba o wiernych niż ksiądz, bo to nieprawda. Tak jak może być bezduszny ksiądz, tak może być wspaniały pastor. Z powodu celibatu księży musiałam odejść od Ralpa, ułożyć sobie życie z innym, urodzić czyjeś dziecko. Powiem ci jeszcze jedno: to obrzydliwy grzech, niż gdyby Ralph złamał swoje śluby. Oburza mnie, że Kościół mógłby potępić moją miłość do Ralpa albo jego miłość do mnie!

– Wyjeźdź, Meggie! Wypoczniesz, wydobrzejesz i przestaniesz się zadręczać. A może, kiedy wrócisz, uda ci się namówić Luke'a, żeby kupił tę farmę, a nie tylko mówił o niej. Wiem, że go nie kochasz, ale wydaje mi się, że gdyby trochę ustąpił, mogłabyś być z nim

szczęśliwa.

Szare oczy Meggie były tego samego koloru, co kurtyny ulewy wokół domu.

– W tym cała rzecz! Kiedy pojechałam z Lukiem do Atherton, zrozumiałam, że nie rzuci trzciny, póki będzie miał siłę przy niej pracować. On uwielbia takie życie. Najbardziej odpowiada mu towarzystwo silnych i niezależnych mężczyzn i ciągłe przenoszenie się z miejsca na miejsce. Na dobrą sprawę, zawsze był wędrowcem. A kobieta nie jest mu potrzebna nawet dla przyjemności, bo trzcina za bardzo go wyczerpuje. Luke jest człowiekiem, dla którego nie ma znaczenia, czy za stół służy odwrócona skrzynka, a za łóżko podłoga. Rozumiesz? Nie można się odwoływać do upodobań, których mu brak. On po prostu gardzi ładnymi, wygodnymi rzeczami. Wydaje mu się, że od wygod można zniewieść. Nie mam żadnych możliwości odciągnąć go od takiego trybu życia, jaki prowadzi.

Zerknęła niecierpliwie na daszek werandy, jakby miała dość zagłuszającego słowa bębnienia deszczu.

– Nie wiem, czy wytrzymam bez własnego domu jeszcze kilka czy kilkanaście lat, dopóki Luke nie opadnie z sił. Jest mi u ciebie dobrze, Anne, jestem ci wdzięczna za wszystko, ale ja chcę mieć swój dom! Chcę, żeby Justyna miała rodzeństwo, chcę ścierać kurze z własnych mebli, szyć zasłony do własnych okien, gotować w swojej kuchni dla swego mężczyzny. Och, Anne! Jestem zwykłą kobietą. Nie mam wykształcenia ani ambicji, ja tylko chcę mieć męża, dzieci, własny dom. Chcę, żeby mnie ktoś choć trochę kochał!

Anne wyciągnęła chusteczkę i otarła łzy.

– Ale z nas łzawa para! – powiedziała próbując się uśmiechnąć. – Doskonale cię rozumiem, Meggie. Od dziesięciu lat jestem żoną Luddiego i od dziesięciu lat jestem naprawdę szczęśliwa. Kiedy miałam pięć lat, zachorowałam na heinemedinę i zostałam kaleką. Byłam przekonana, i słusznie, że żaden na mnie nie spojrzy. Zaczęłam pracować jako nauczycielka i poznałam Luddiego. Miałam trzydzieści lat, on dwadzieścia, więc nie mogłam brać go poważnie, kiedy mi się oświadczył. To okropne, Meggie, rujnować życie młodemu człowiekowi! Przez pięć lat traktowałam go najokropniej jak tylko można, ale nic go nie zraziło. Dlatego w końcu wyszłam za niego i jestem szczęśliwa. Luddie mówi, że też jest szczęśliwy, ale nie jestem tego pewna. Musiał z wielu rzeczy zrezygnować, na przykład z dzieci. A ostatnio wygląda starzej ode mnie.

– To przez ten klimat, Anne, i tryb życia.

Przestało padać równie nagle jak zaczęło. Wyszło słońce, zaśniły pełnym blaskiem tęcze, liliowa góra Bartle Frere wyłoniła się z pędzących chmur.

– Pojadę – oznajmiła Meggie. – Bardzo wam dziękuję. Tylko czy Justyna nie sprawi wam zbyt wiele kłopotu?

– Skądże znowu! Luddie wszystko obmyślił. Na czas twojej nieobecności przyjedzie do nas Annunziata, młodsza siostra Anny Marii, która pomagała mi przed twoim przyjazdem. Chce pracować w Townsville jako pielęgniarka, ale szesnaście lat skończy dopiero w marcu, a szkołę już za kilka dni. Jest doświadczoną piastunką, bo u Tesorierów są tabuny dzieci.

– Gdzie jest ta wyspa Matlock?

– Niedaleko przesmyku Whitsunday w Wielkiej Rafie Koralowej. Jest tam bardzo cicho i spokojnie, same małe domki, oaza dla nowożeńców. Nie będziesz musiała chodzić na obiady do zatłoczonej jadalni ani rozmawiać z mnóstwem ludzi, z którymi wcale nie chcesz mieć do czynienia. Zresztą w czasie letnich cyklonów mało kto tam bywa. Na Matlock przyjeżdżają południowcy z Sydney i Melbourne, a ci mają teraz śliczne lato u siebie. Za to na czerwiec, lipiec i sierpień wykupują miejsca trzy lata naprzód.

## Rozdział trzynasty

Ostatniego dnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, Meggie wsiadła do pociągu do Townsville. Urlop jeszcze właściwie się nie zaczął, ale już poczuła się lepiej zostawiwszy za sobą woń melasy. Nie zdążyła zwiedzić największego miasta w północnym Queenslandzie, ale wcale nie żałowała, że musi się spieszyć na przystań. Po pamiętnej przeprawie przez Morze Tasmana przed szesnastu laty nie uśmiechała się jej wielogodzinna podróż stateczkiem o wiele mniejszym od „Wahine” i chciała jak najprędzej mieć ją za sobą.

Wszystko jednak było inaczej, stateczek sunął spokojnie po morzu odpoczywającym między jednym a drugim cyklonem. Minęło południe, Meggie przyłożyła głowę do poduszki i zasnęła kamiennym snem, obudził ją dopiero nazajutrz o szóstej rano steward, który przyniósł herbatę i herbatniki.

Z pokładu roztaczał się nowy widok. Wypłukany z barw nieboskłon nasycał się powoli od wschodu perłoworóżową zorzą, aż nad horyzontem ukazało się słońce i czerwone światło rodzącego się dnia. Stateczek ślizgał się bezgłośnie po wodzie tak przejrzystej, że gdy się wyglądało przez burtę widać było głębokie groty i przemykające między nimi kolorowe ryby. Zielonkawoniebieską powierzchnię plamiły jak ciemne wino rozrośnięte wodorosty i korale. Jak okiem sięgnąć, wyrastały z wody wyspy – z plażami bielejącymi pod osłoną palm, górzyste i lesiste albo zupełnie płaskie i krzaczaste.

– Prawdziwa wyspa koralowa jest płaska – wyjaśnił uprzejmie marynarz. – Jeżeli ma kształt pierścienia zamykającego lagunę, nazywa się atol, a jeżeli wystaje tylko kawałek rafy, nazywa się key. Górzyste wyspy to szczyty gór, które także otacza rafa koralowa.

– Kiedy dopłyniemy do wyspy Matlock? – spytała Meggie.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem. Samotna kobieta jadąca na urlop do zakątka dla zakochanych par – było w tym coś dziwnego.

– Przed zachodem słońca, proszę pani.

Na godzinę przed zachodem stateczek zmagął się z falami odboju, kierując się do mola, które wybiegało pół mili w morze, nad odsłoniętą przez odpływ rafą. Widoczny w głębi urwisty brzeg nie pasował do wyobrażeń Meggie o tropikalnym raj. Czekał na nią przewodnik, który pomógł jej wysiąść na molo i odebrał walizko od marynarza.

– Witam panią, pani O'Neill – powiedział. – Jestem Rob Walter. Mam nadzieję, że mężowi uda się dołączyć do pani. O tej porze roku bardzo tu pusto.

Ruszyli razem po nierównych deskach.

– Gdyby nie odpływ, bardziej by panią huštało. Widzi pani tę mgłę na wschodzie? Tam rozbijają się na Wielkiej Rafie bałwany z Pacyfiku. Rafa to nasz ratunek. Poczujecie pani, jak cała wyspa się trzęsie od tego łomotu. – Pomógł jej wsiąść do samochodu. – Zawietrzny brzeg wydaje się dziki i niegościnnie. Ale druga strona to całkiem co innego! Zobaczcie [pani].

Popędzili z dużą szybkością, na jaką mógł sobie pozwolić kierowca jedynego samochodu na Matlock. Wąska, chrzęszcząca pod kołami droga prowadziła przez dżunglę, omijając wysokie wzgórza. Przecięli grzbiet wyspy i wyjechali na drugą drogę biegnącą wzdłuż półkolistej plaży nad płytką laguną. Rozbryzgi piany zdobiły rafę, ale woda w koralowej ramie lśniła jak gładkie srebrne lustro.

– Wyspa ma cztery mile szerokości i osiem długości – objaśnił przewodnik. – A to nasz sklep – rzekł z dumą, kiedy mijali biały budynek z głęboką werandą i wystawowymi oknami. – Mieszkam tu z żoną, która wcale się nie cieszy, że przyjechała do nas samotna kobieta. Powiada, że mógłbym dać się uwieść. Udobruchałem ją trochę przeznaczając dla pani najdalszy domek. Jedyne para, jaką gościmy, mieszka na drugim końcu wyspy. Może pani hasać nagusienka, nikt pani nie zobaczy. Żona mnie z oka nie spuści, dopóki pani tu jest. Gdyby coś było potrzeba, wystarczy zadzwonić, zaraz przywiozę. Raz dziennie, przed

zachodem, przyjdę upewnić się, czy wszystko w porządku.

Droga kończyła się przed parterowym domkiem przy odosobowej plaży, ujętej między dwie ostrogi wzgórza wbijające się w wodę. Dzięki własnej prądniczy na wyspie w domku było światło elektryczne i mała lodówka, a nawet radio i telefon. Była też bieżąca woda i słodka woda do kąpieli. Więcej wygód niż w Droghedzie czy Himmelhoch – pomyślała Meggie mile zdziwiona. Od razu widać, że goście przyjeżdżają głównie z Sydney i Melbourne i nie mogą się obejść bez zdobyczy cywilizacji.

Meggie rozpakowała się i obejrzała swoje królestwo. O ileż wygodniejsze było wielki łożo w zakątku dla zakochanych niż jej ślubne łóżko w Dunny. W lodówce i szafkach kuchennych znalazła zapasy żywności, a na stole kosz z owocami. Nic, tylko jeść i spać.

Przez pierwszy tydzień Meggie nie robiła nic innego, tylko jadła i spała. Nie przypuszczała, że aż tak jest wyczerpana klimatem Dungloe. Kładąc się do łóżka od razu zapadała w sen i przesypiała dziesięć, dwanaście godzin, a jedzenie smakowało jej jak nigdyś w Droghedzie. Wciąż jadła i jadła, nawet do kąpieli zabierała owoce mango, z których tak ciekł sok, że właściwie najwygodniej jadło się je w wodzie. Ponieważ mała plaża leżała w obrębie laguny, zatoczka była płytka i bez prądów. Meggie bardzo to odpowiadało, bo nie umiała pływać. Czując, że słona woda sama ją unosi, machała rękoma i nogami i cieszyła się kiedy udało jej się utrzymać kilkanaście sekund na powierzchni.

Brakowało jej właściwie tylko kogoś, kto by ją nauczył pływać. Poza tym cudownie jej było bez żadnego towarzystwa. Anne miała rację. To taka ulga pobyc trochę samej. Wcale nie czuła się samotna i po raz pierwszy od trzech lat nie tęskniła za Droghedą.

Za radą Roba przestała się ubierać. Z początku zachowywała się jak królik czujący zapach dingo – chowała się czym prędzej, ilekroć trzasnęła gałązka albo uderzył w ziemię spadający kokos. Po kilku dniach niezmaconej samotności nabrała przekonania, że nikt nie zakłóci jej spokoju. Nie było się kogo wstydzić. Spacerowała, leżała na piasku, pluskała się w ciepłej, słonej wodzie i czuła się oswojona, jakby ją wypuszczono z klatki na wolność.

Z dala od dominujących wpływów Fee, braci, Luke'a i życia, które nie szczydziło jej trudu, Meggie poznała prawdziwe wytchnienie. Myśli układały się w coraz to nowe wzory jak w kalejdoskopie. Nie zaprzętała jej uwagi żadna praca fizyczna, najskuteczniejsza blokada przeciw wysiłkowi umysłowemu. Mogła położyć się na piasku i zastanowić, kim właściwie jest Meggie Cleary, O'Neill? Czego pragnie? Po co znalazła się na świecie? Nie umiała, niestety, snuć takich rozważań, ale postanowiła spróbować.

Po pierwsze – Ralph. Nie najlepszy początek, ale w pewnym sensie Ralph był jak Bóg. Wszystko zaczynało się i kończyło na nim. Był z nią od chwili, kiedy przykleknął przed nią na stacji w Gilly. Nawet gdyby go nie zobaczyła już do końca życia, pomyślałaby o nim wydając ostatnie tchnienie. Przeróżające, że jedna osoba może znaczyć aż tyle.

Jak powiedziała Anne? Że nie pragnie niczego niezwykłego – po prostu męża, dzieci, własnego domu. Kogoś, kogo mogłaby kochać. Nie żądała zbyt wiele, w końcu większość kobiet to wszystko ma. Ale ile z tych kobiet naprawdę się z tego cieszy?

Meggie pomyślała, że ona cieszyłaby się na pewno, skoro z takim trudem przychodzi jej zaspokoić te potrzeby.

Pogódź się z tym, Meggie Cleary, Meggie O'Neill. Tym, którego pragniesz, jest Ralph de Bricassart, ale jego mieć nie możesz. Więc dobrze. Załóżmy, że nie możesz mieć w jednej osobie męża i tego, kogo kochasz, będziesz więc musiała przelać tę miłość na dzieci i od nich spodziewać się wzajemności. A to oznacza Luke'a i dzieci Luke'a.

O dobry Boże, dobry Boże! Nie, niedobry! Co Bóg dla mnie uczynił prócz tego, że zabrał mi Ralpa? Nie jesteśmy z sobą w przyjaźni, Bóg i ja. Coś ci powiem, Boże. Już mnie nie przerażasz, tak jak kiedyś. Jakże się bałam Ciebie i Twojej kary! Lękając się Ciebie, kroczyłam ścieżką cnoty. I dokąd mnie ona zawiodła? Jesteś oszustem, Boże, demonem

strachu. Traktujesz nas jak dzieci, którym grozisz karą. Ale mnie już nie przerażasz. To nie Ralpa powinnam nienawidzić, tylko Ciebie. To Twoja wina, nie jego. On żyje w lęku przed Tobą, tak jak ja żyłam do tej pory. Nie mogę pojąć, jak on może Ciebie kochać. Nie rozumiem, co w Tobie jest do kochania.

Jak mogę przestać kochać człowieka, który kocha Boga? Choćbym nie wiem jak się starała, nigdy mi się to nie uda. Tęsknię za nim choć jest nieosiągalny. Muszę z tym skończyć, to wszystko. Muszę zadowolić się Lukiem i jego dziećmi. Jakimś sposobem odciągnąć go od trzciny i zamieszkać tam, gdzie nie ma nawet drzew. Zawiadomię dyrektora banku w Gilly, że chcę mieć konto na swoje nazwisko, i będę wydawać pieniądze, żeby zapewnić sobie wygody, o których nie pomyśli Luke. Zapewnię dzieciom odpowiednie wykształcenie i zadbam, żeby niczego im nie brakowało.

I to wszystko, Meggie O'Neill. Jestem Meggie O'Neill, nie Meggie de Bricassart. Meggie de Bricassart – brzmi głupio. Musiałabym się nazywać Meghann de Bricassart, a zawsze nienawidziłam imienia Meghann. Czy ja nigdy nie przestanę żałować, że nie mogę mieć dzieci Ralpa? Powtarzaj sobie w kółko: masz tylko jedno życie, Meggie O'Neill, i nie będziesz go marnować na marzenia o mężczyźnie i dzieciach, których mieć z nim nie możesz.

Meggie obróciła się twarzą do piasku i rozplakała tak, jak nie płakała od dzieciństwa, a świadkami jej rozpacz były kraby i ptaki.

Anne Mueller umyślnie wybrała wyspę Matlock, sądząc, że uda się jej posłać tam Luke'a po wyjeździe Meggie. Wysłała do niego telegram z prośbą, żeby natychmiast przyjechał.

Nie wtrącała się nigdy w cudze życie, ale żal jej było Meggie i uwielbiała kapryśną Justynę. Chciała, by córka Meggie miała dom i rodziców. Wiedziała, że ciężko jej będzie rozstać się z nimi, ale dłużej tak być nie mogło.

Luke zjawił się po dwóch dniach. Jechał do cukrowni w Sydney, więc było mu po drodze. Zdecydował się wreszcie zobaczyć dziecko. Gdyby urodził się chłopak, stawiłby się od razu, ale wiadomość o dziewczynce mocno go rozczarowała. Jeżeli Meggie koniecznie chce mieć dzieci, niechby urodziła syna, który w przyszłości przejąłby farmę. Z dziewcząt nie ma żadnego pożytku. Najpierw trzeba wydać na nie majątek, a kiedy urosną, idą pracować dla kogoś innego zamiast pomagać ojcu na stare lata.

– Jak się czuje Meg? – spytał wchodząc na werandę. – Nie jest chyba chora?

– Nie, Zaraz ci opowiem, ale najpierw wejdź i zobacz swoją śliczną córkę.

Przyjrzał się niemowlęciu z zainteresowaniem, ale ani trochę się nie wzruszył.

– W życiu nie widziałem takich dziwaczych oczu – rzekł. – Ciekawe, po kim?

– Meggie twierdzi, że w jej rodzinie nikt takich nie miał.

– W mojej też nie. Zabawne małe dziwadło. Nie ma wesołej miny.

– Jak może mieć wesołą minę? – odparła Anne z trudem hamując złość. – Nigdy nie widziała własnego ojca, nie ma prawdziwego domu i nie zanosi się, że będzie go miała, nim dorośnie!

– Ale ja oszczędzam., Anne! – bronił się.

– Bzdura! Wiem, ile masz pieniędzy w banku. W lokalnej gazecie z Charters Towers czytałam ogłoszenia o wystawieniu na sprzedaż żywnych farm nawet bliżej niż Kynuna. Jest kryzys, Luke! Mógłbyś sobie kupić najlepszą ziemię i jeszcze sporo by ci zostało.

– No właśnie! Jest kryzys, a na zachodzie, od Junne do Isy, panuje straszna susza. Już drugi rok nie spadła tam kropla deszczu. Drogheda na pewno też ją odczuwa, a co dopiero okolice Winton i Blackall. Uważam, że powinienem zaczekać.

– Aż ziemia podrożeje? Daj spokój, Luke! Teraz jest pora na kupowanie. Z zapewnionym dochodem dwóch tysięcy funtów rocznie przetrzymacie dziesięć lat suszy! Poczekacie tylko na założenie hodowli, aż spadną deszcze.

– Nie chcę jeszcze rzucać trzciny – rzekł stanowczo, nie odrywając spojrzenia od oczu córki.

– A więc wyszło szydło z worka! Dlaczego wprost nie przyznasz, Luke, że niepotrzebna ci jest żona, że wolisz żyć z kolegami i harować jak wół?! Co się dzieje z tym zafajdany krajem, że mężczyźni ciągną do mężczyzn, a żony zostawiają same z dziećmi. Jeżeli im na kawalerskim stanie, to po co pchają się do żeniaczki? Wiesz, ile w samym Dunny jest opuszczonych żon, które ledwie wiążą koniec z końcem chowając dzieci bez ojców? – Och, właśnie wyjechał do trzciny, niedługo wróci, to tylko na trochę. – Ha! I czatują przy furtce na listonosza, a nuż przyniesie im jakieś pieniądze. Rzadko się doczekają, a jeżeli już, to i tak drań przysyła za mało! – Drżała z wściekłości. – Przeczytałam w „Brisbane Mail”, że w Australii jest największy procent porzuconych żon w całym cywilizowanym świecie! Pod tym względem wyprzedzamy wszystkich. Jest się czym poszczycić, prawda?

– Daj spokój, Anne! Przecież nie porzuciłem Meg. Ma zapewniony byt i dach nad głową. O co ci chodzi?

– Mam dość tego, w jaki sposób traktujesz swoją żonę! Na miłość boską, Luke, wydorosłej, weź na siebie odpowiedzialność za żonę i dziecko! Powinieneś zapewnić im własny dom, być mężem i ojcem!

– Będę, będę! Później! Na razie muszę jeszcze parę lat popracować przy trzcinie. Nie chcę być na utrzymaniu Meg.

Anne z pogardą wykrzywiła usta.

– Bujda! Przecież ożeniłeś się z nią dla pieniędzy!

Luke nie spojrzął na Anne. Opaloną twarz zalał mu rumieniec.

– Przyznaję, że pieniądze miały znaczenie, ale ożeniłem się z nią, bo podobała mi się jak żadna inna.

– Podobała ci się?! A kto ma otoczyć ją miłością?

– Miłość! A cóż to znaczy? Miłość to wytwór kobiecej wyobraźni i nic więcej. – Odwrócił wzrok od Justyny. Nie był pewien, czy ona przypadkiem wszystkiego nie rozumie. – A skoro już przestałaś mi dogadywać, to powiedz, gdzie jest Meg?

– Nie czują się dobrze. Wysłałam ją na urlop. Nie martw się, nie za twoje pieniądze. Liczyłam, że namówię cię, żebyś do niej pojechał, ale jak widzę, nic z tego.

– Nie ma mowy. Dziś wieczorem jedziemy z Arnem do Sydney.

– Co mam powiedzieć Meggie, kiedy wróci?

Wzruszył ramionami, paląc się do wyjścia.

– Wszystko mi jedno. Żeby jeszcze trochę wytrzymała. A skoro zaczęła powiększać rodzinę, przydałby się syn.

Opierając się o ścianę dla utrzymania równowagi Anne pochyliła się nad kołyską, wzięła Justynę na ręce, zbliżyła się z trudem do łóżka i przysiadła na nim. Luke ani drgnął, żeby jej pomóc. Miał taką minę, jakby bał się własnej córki.

– Idź już, Luke! Nie zasługujesz na to, co masz. Nie mogę na ciebie patrzeć. Wracaj do Arnego i do tej swojej piekielnej harówki!

Zatrzymał się przed drzwiami.

– Jakiej dała imię, bo zapomniałem?

– Justyna, Justyna, Justyna!

– Durne imię – powiedział i wyszedł.

Anne położyła Justynę na łóżku i wybuchnęła płaczem. Przekłęci mężczyźni! Wszyscy prócz Luddiego! Czy Luddie umiał kochać dlatego, że był tkliwy, trochę po kobiecemu uczuciowy? Czy Luke miał rację? czy miłość to wytwór kobiecej wyobraźni? A może tylko kobiety są zdolne ją odczuwać i ci mężczyźni, którzy mają w sobie odrobinę kobiecości? Żadna kobieta nie zatrzymałaby przy sobie Luke'a. Żadna nie mogła mu dać tego, co mu potrzeba.

Następnego dnia Anne była już spokojniejsza i nie miała uczucia, że poniosła klęskę. Rano dostała kartkę od Meggie, która zachwycała się wyspą Matlock i zapewniała o świetnym



samopoczuciu. Więc jednak jej starania nie poszły na marne – Meggie wydobrzała.

Annunziata, zwana Nancy, wyniosła Justynę na werandę, a Anne pokuśtykała niosąc w zębach koszyczek z czystą pieluszką, pudrem dla niemowląt i zabawkami. Usadowała się na krzesło, wzięła niemowlę od Nancy, i zaczęła je karmić z podgrzanej butelki. Ach, jak przyjemnie – pomyślała – jak przyjemnie jest żyć. Zrobiła, co mogła, żeby przemówić Luke’owi do rozsądku, ale skoro jej się to nie udało, cieszy się, że Meggie zostanie jeszcze trochę z Justyną w Himmelhoch. Nie miała wątpliwości, że w końcu Meggie porzuci nadzieję na uratowanie związku z Lukiem i wróci do Droghedy, ale serce jej się ścisnęło na myśl o tym dniu.

Drogą z Dunny nadjechał sportowy samochód i skręcił na długi podjazd pod górę. Czerwona karoseria i srebrzysta rura wydechowa lśniły nowością. W pierwszej chwili nie poznała kierowcy, który przeskoczył niskie drzwiczki ubrany w same szorty. Ależ pięknie zbudowany! – pomyślała przyglądając mu się z uznaniem. – Dobrze byłoby, gdyby Luddie tak wyglądał, ale za dużo je.

Gość przeskakiwał po dwa stopnie na raz i to wydało jej się znajome, ale dopiero kiedy spojrzała mu w oczy, uprzytomniła sobie, kto przed nią stoi.

– Mój Boże! – wyszeptała i upuściła butelkę z mlekiem.

Podniósł ją, podał i oparł się o balustradę werandy.

– Smoczek się nie ubrudził. Może ją pani karmić dalej.

Justyna poruszyła się niespokojnie. Anne wsunęła jej smoczek do buzi i odetchnęła głęboko, odzyskując mowę.

– Ależ mnie ksiądz biskup zaskoczył! – powiedziała obrzucając go spojrzeniem od stóp do głów. – Nawet w sutannie nie wygląda ksiądz na arcybiskupa, a co dopiero w tych szortach. Zawsze wyobrażałam sobie arcybiskupów jako nadętych grubasów.

– Nie jestem w tej chwili arcybiskupem, tylko księdzem na zasłużonym urlopie, proszę mnie nie tytułować. Więc to jest to maleństwo, z którym Meggie tak się musiała namęczyć, kiedy byłem tu ostatnim razem? Mogę ją potrzymać?

Usiadł obok Anne, wziął niemowlę i karmił je, trzymając ostrożnie butelkę.

– Czy Meggie dała jej na imię Justyna?

– Tak.

– Podoba mi się. Ależ rudzielec! Wykapany dziadek!

– Tak właśnie mówi Meggie. Nie życzę maleńkiej, żeby ją obsypały piegi, ale to ją zdaje się czeka.

– Meggie też właściwie jest ruda, a wcale nie ma piegów. Tyle że ma zupełnie inną cerę. – Odłożył pustą butelkę, usadowił Justynę przodem do siebie na kolanie i pochylił masując plecki. – Jednym z moich obowiązków jest odwiedzanie sierocińców, stąd umiem się obchodzić z małymi dziećmi. Nauczono mnie, że to najlepszy sposób, żeby dziecku odbiło się bez ulewania. Jest tak mocno zgięta, że mleko pozostaje w żołądku. – Jakby chcąc to potwierdzić, Justyna beknęła potężnie kilka razy. Roześmiał się, pomasażował ją znowu, a potem ułożył na ręku. – Bajeczne oczy! Po Meggie można się było spodziewać, że urodzi niezwykle dziecko.

– Pozwolę sobie zaznaczyć, że byłby z księdza wspaniały ojciec.

– Zawsze lubiłem dzieci. Łatwiej mi cieszyć się nimi, bo nie jesteście obciążony żadnymi nieprzyjemnymi obowiązkami prawdziwego ojca.

– Nie, to dlatego, że ksiądz, tak jak Luddie, ma w swojej naturze coś kobiecego.

Justyna odwzajemniła sympatię gościa i zasnęła mu na ręku, choć zwykle tego nie robiła. Ralph usadowił się wygodnie i wyciągnął z kieszeni paczkę capstanów.

– Proszę mi podać – rzekła Anne. – Zapalę księdzu jednego.

– Gdzie jest Meggie? – spytał biorąc od niej zapalonego papierosa. – Dziękuję. Proszę się poczęstować.

– Nie ma jej. Nie doszła do siebie po tym ciężkim porodzie, a monsuny znacznie pogorszyły stan jej zdrowia. Wysłaliśmy ją z Luddiem na dwa miesiące wakacji. Wróci za siedem tygodni, pierwszego marca.

Rosnąca nadzieja na czekające go spotkanie zgasła.

– To już drugi raz przyjeżdżam się pożegnać i nie zastaję jej... Pierwszy raz, kiedy jechałem do Aten, i teraz.

– Dokąd ksiądz jedzie?

– Do Watykanu. Kardynał di Contini-Verchese przejął obowiązki po zmarłym niedawno kardynale Monteverdim. Życzy sobie, żebym przyjechał do Rzymu. To wielkie wyróżnienie, nie mógłbym odmówić.

– Na jak długo ksiądz wyjeżdża?

– O, na bardzo długo, jak przypuszczam. W Europie zanosi się na wojnę. Kościół ściąga do Rzymu wszystkich swoich dyplomatów, a dzięki kardynałowi di Contini-Verchese za takiego uchodzę. Mussolini układa się z Hitlerem, dobrali się jak w korcu maku. Watykan musi w jakiś sposób pogodzić dwie przeciwstawne ideologie: katolicyzm i faszyzm. To nie będzie łatwe. Znam bardzo dobrze niemiecki, greki nauczyłem się w Atenach, a włoskiego w Rzymie. Mówię też po francusku i hiszpańsku. Łatwo uczyć się języków i pilnie to wykorzystalem. Moje przeniesienie było nieuniknione.

– Jeżeli zostało księdzu kilka dni, mógłby ksiądz zobaczyć się z Meggie – wyrwało się Anne bez zastanowienia.

Spojrzał na nią, jakby czytał w jej myślach. Długo, bardzo długo nie odpowiadał, zapatrzonej w dal. Drżała mu ręka, kiedy unosił papierosa do ust.

– Gdzie ona jest? – spytał opanowanym głosem i cisnął niedopałka za balustradę.

– Na wyspie Matlock – odpowiedziała.

– Gdzie?

– Na wyspie Matlock przy przesmyku Whitsunday. To zaciszny zakątek, z prywatnymi plażami i domkami. – Nie mogła się powstrzymać i dodała: – Niech się ksiądz nie martwi, nikt tam księdza nie zobaczy!

Ralph delikatnie położył spiacą Justynę na kolanach Anne.

– Dziękuję – odparł kierując się ku schodom, przy których się zatrzymał. – Myli się pani w swoich domysłach. Chcę się tylko z nią zobaczyć. Nie wciągałbym Meggie w nic, co zbrukałoby jej nieśmiertelną duszę.

– Albo duszę księdza? Niech ksiądz się poda za Luke'a O'Neilla. Czekają tam na niego.

– A jeśli raptem zjawi się Luke?

– Na pewno się nie zjawi. Pojechał do Sydney i wróci dopiero w marcu. O tym, że Meggie jest na Matlock, mógłby się dowiedzieć tylko ode mnie, a ja mu tego nie powiedziałam.

– Czy Meggie spodziewa się Luke'a?

– Ależ nie, skąd! – odparła Anne z gorzkim uśmiechem.

– Nie zrobię jej krzywdy – rzekł z naciskiem. – Chcę ją tylko zobaczyć.

– Rozumiem. Ale kto wie, czy mniejszą krzywdą nie byłoby, gdyby ksiądz chciał od niej o wiele więcej...

Kiedy nadszedł samochód Roba, Meggie jak zwykle czekała na werandzie dając znak ręką, że wszystko w porządku. Rob zatrzymał samochód: z wnętrza wysiadł pasażer w koszuli, szortach i sandałach z walizką w ręku.

– Do zobaczenia, panie O'Neille! – zawołał Rob zawracając.

Meggie ani przez chwilę nie dała się zwieść pozornemu podobieństwu Luke'a O'Neilla i Ralpha de Bricassart. Z daleka poznała, że to nie Luke. Wiedziała, że idzie ku niej Ralph de Bricassart. W końcu zrozumiał, że jest mu potrzebna, bo z jakiego innego powodu by tu przyjechał?

Stała sztywna jak z drewna. Dlaczego nie biegła mu naprzeciw, z otwartymi ramionami,

bezbrzeżnie szczęśliwa? To przecież za nim tęskniła, jak za nikim innym na świecie, choć usiłowała wybić go sobie z głowy. Przeklęty, przeklęty! Co go podkusiło, żeby przyjechać akurat teraz, kiedy udało jej się wypłenić go z myśli, może nawet z serca? Och, wszystko od nowa! Czekala na niego oszołomiona i zła.

– Witaj, Ralphie – powiedziała przez zaciśnięte zęby, ze spuszczonego wzrokiem.

– Witaj, Meggie.

– Napijesz się herbaty? – spytała wchodząc do domu.

– Z przyjemnością – odparł tak samo drętwo.

Wszedł za nią do kuchni i przyglądał się, jak włącza elektryczny czajnik, napełnia imbryk gorącą wodą, szykuje filiżanki. Podała mu puszkę z herbatnikami, wyłożył trochę na talerz. Opróżniła ogrzany imbryk, odmierzyła łyżeczką herbatę i zalała wrzątkiem. Wzięła talerz i czajniczek, on filiżanki i weszli do bawialni. Pili herbatę w milczeniu. Ralph zerkał na Meggie, a ona wpatrywała się uparcie w małą, chwiejącą się na wietrze palmę za oknem.

– Co się stało, Meggie? – spytał łagodnie.

Serce zabiło jej boleśnie na dźwięk słów, jakimi zwracał się do niej, kiedy była małą dziewczynką. Przyjechał do Matlock zobaczyć się z małą Meggie, a nie z dorosłą kobietą. Obróciła się ku niemu zdumiona, przerażona, wściekła.

O Boże, oczy Meggie! Dech mu zaparło, bo zobaczył w nich dojrzałą kobietę. Z trudem pogodził się kiedyś z fizycznym dojrzewaniem Meggie, a jeśli mu się to udało to dlatego, że patrząc w jej oczy widział zawsze swoją małą Meggie, która go fascynowała, niezmienna w zmieniającym się ciele.

Teraz, widząc ją wreszcie taką, jaka była naprawdę, przywołał tę chwilę, kiedy zrzuciła łuski dzieciństwa i zaczęła patrzeć na świat jak kobieta. Stało się to na cmentarzu w Droghedzie po przyjęciu urodzinowym Mary Carson, kiedy wyjaśnił, że nie może okazywać jej szczególnych względów, bo zostałyby one odczytane jako męskie zainteresowanie. Od tamtej pory – teraz to rozumiał – widziała go inaczej niż przedtem. On natomiast pielęgnował swoje złudne wyobrażenia o niej.

Musiał przyznać, że pragnął jej od ich pierwszego pocałunku, ale pożądanie nie dręczyło go nigdy tak, jak miłość do niej. Rozdzielał jedno od drugiego, nie widząc, że to dwie strony tego samego medalu. Ona nigdy nie uległa temu szaleńczemu przekonaniu.

Co zrobić? Jak to naprawić? – zastanawiał się. – Przecież ją kocha! Teraz tak samo jak kiedyś. Widząc mnie uznała, że się poddałem, a obdarłem ją z tych złudzeń. Och, Meggie! Co ja ci zrobiłem?! Jak mogłem być tak ślepy i samolubny? – wyrzucał sobie. – Przyjeżdżając tu zburzyłem twój spokój. Prze te wszystkie lata kochaliśmy siebie, ale każde z nas kochało inaczej.

Patrzyła mu w oczy z rosnącym wstydem i upokorzeniem, a kiedy na zmieniającej się twarzy ujrzała wyraz litości, pojęła, jak straszny popełniła błąd.

Uciekaj, Meggie! Ratuje resztki dumy! Ledwie przemknęła jej ta myśl, zerwała się z krzesła.

Dogonił ją przy drzwiach werandy, zderzyli się ze sobą. Opanowanie straciło władzę nad pożądaniem. Uśpionej potędze wystarczyło muśnięcie, by wyzwolić wybuch i namiętność. Silna woła umilkła zakrzyczana przez zmysły.

Kiedy i jak doszli do łóżka, nie pamiętał. Leżeli w nim oboje, dotykał jej, a ona jego. O Boże, moja Meggie! Wreszcie zrozumiał cel swoich dążeń – nie być człowiekiem, być kimś więcej, wznieść się ponad przeznaczenie istoty z krwi i kości. A przecież trzymał w rękach swoje przeznaczenie – drżącą i rozplamioną kobietę. Na zawsze miał pozostać tylko człowiekiem. Panie mój, czemu nie oszczędziłaś mi tego? – pytał. – Jestem człowiekiem, nie mogę być Bogiem, pogoń za boskością to urojenie. Czy wszyscy księża pragną utożsamić się z Bogiem, są tacy? Wyrzekamy się aktu, który dowodzi niezbiecie, że jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami.

Otoczył ją ramionami i spojrzał oczyma pełnymi łez na rozjaśnioną twarz, na usta rozchylające się bezradnie, zdumione rozkoszą. Oplotła go ciasnym uściskiem, przytulił policzek do jej policzka poddając się szaleńczemu, przyprawiającemu o zawrót głowy popędowi.

Nawet przez sen otacza ją ramieniem, jakby nie chciał na chwilę jej opuścić. Meggie była zmęczona, ale broniła się przed zaśnięciem. Zdawało się jej, że jeśli zaśnie, po obudzeniu nie znajdzie go koło siebie. Postanowiła czekać, aż usłyszy słowa, jakimi ją powita. Co jej powie? – zastanawiała się. – Czy będzie żałował?

Przepelniało ją szczęście, jakiego nigdy nie zaznała. Od chwili, kiedy odciągnął ją od drzwi, kiedy padli sobie w objęcia, czuła, że jest dla niego stworzona, tylko dla niego... Był jej droższy nad życie.

Obudził się. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich tę samą miłość, która ją syciła i ogrzewała od dzieciństwa.

– Nie wiem, czy starczy mi sił, żeby popływać, a potem zrobić śniadanie – powiedział czując uśmiech przytulonej Meggie.

– Ja zrobię śniadanie, a ty popływaj. Nikt tu nie przychodzi, możesz się nie ubierać.

– Prawdziwy raj! – Usiadł i przeciągnął się. – Ciekawe, czy ten piękny poranek to dobry znak.

Wstał, a ona od razu poczuła ból rozstania. Leżała patrząc, jak podchodzi do rozsuwanych drzwi od strony plaży, wychodzi na werandę, zatrzymuje się. Odwraca, wyciąga rękę.

– Pójdiesz ze mną? Śniadanie zrobimy później.

Mijał dzień po dniu, noc po nocy. Nawet letnie ulewy sprawiały przyjemność. Przyjemnie było słuchać, jak bębnią w dach, spacerować nago poddając się ich ciepłym pieszczotom. Kiedy wyszło słońce, spacerowali, leżeli na plaży, pływali.

– Meggie, nigdy nie byłem taki szczęśliwy i zarazem taki nieszczęśliwy – powiedział któregoś dnia, wyciągnięty na piasku.

– Wiem. Czy już wyjeżdżasz?

– Jurto. Za tydzień odpływa mój statek do Genui.

– Nie martw się. Pożegnaj cię spokojnie. Moje życie też się odmieni. Rozstaję się z Lukiem, wracam do Droghedy.

– Ale chyba nie przeze mnie?

– Nie, oczywiście, że nie – skłamała. – Podjęłam decyzję, zanim przyjechałeś. Luke mnie nie potrzebuje, nie będzie wcale za mną tęsknił. Mnie jest potrzebny dom, gdzie czułaby się u siebie, a takim domem zawsze będzie Drogheda. Justyna nie może wychowywać się w domu, w którym jestem służącą, choć Anne i Luddie nie myślą o mnie w ten sposób. Justyna jednak zacznie tak myśleć, kiedy podrośnie na tyle, żeby zrozumieć, że nie ma normalnego domu. Dlatego postanowiłam wrócić do Droghedy.

– Będę pisał do ciebie, Meggie.

– Nie, nie rób tego. Myślisz, że potrzebne mi listy po tym, co przeżyłam? Listy mogłyby wpaść w niepowołane ręce, ktoś mógłby je przeciw tobie wykorzystać. Żadnych listów. Może kiedyś przyjedziesz do Australii. Zupełnie naturalne będzie, jeśli odwiedzisz Droghedę, ale ostrzegam cię, dobrze się przedtem zastanów. W dwóch miejscach na ziemi należysz najpierw do mnie, a dopiero do Boga – tu na Matlock i w Droghedzie.

– Meggie, gdyby to było możliwe, nigdy bym się z tobą nie rozstawał. Nie chcę cię opuszczać... I tak nigdy się od ciebie nie uwolnię. Ale nie możemy siebie zmienić i może tak właśnie jest najlepiej. Dowiedziałem się o sobie rzeczy, których bym nie wiedział, gdybym tu nie przyjechał. Kocham cię. Zawsze cię kochałem i będę kochał. Pamiętaj o tym.

Kiedy Meggie wróciła do Himmelhoch, Anne domyśliła się od razu, że ją utraci. Tak, to

była Meggie, ale jakże odmieniona. Wzięła Justynę na ręce, jakby dopiero teraz zrozumiała, ile ta kruszyna dla niej znaczy, i kołysała ją rozglądając się z uśmiechem po pokoju. Oczy lśniły jej radością, która udzieliła się Anne.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Anne.

– Niby za co?

– Za to, że przysłałaś Ralpa. Widocznie domyśliłaś się, że jego przyjazd skłoni mnie do rzucenia Luke'a. Nie masz pojęcia, jak to przeżyłam. Wracam do Droghedy, na zawsze.

– Ciężko mi będzie żegnać się z tobą, zwłaszcza z Justyną, ale życzę wam obu jak najlepiej. Luke nie dałby ci szczęścia.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Tnie trzcinę koło Ingham.

– Muszę pojechać i zobaczyć się z nim. A nawet przespać.

– Co takiego?

– Dwa tygodnie temu powinnam mieć miesięczkę, a nie mam – mówiła z błyszczącymi oczyma. – Ostatnim razem zdarzyło się to przy Justynie. Jestem w ciąży, Anne, wiem o tym na pewno!

– Mój Boże! – Anne wpatrywała się w Meggie, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. – To może być fałszywy alarm – powiedziała.

– O nie! – Meggie pokręciła głową zdecydowanie. – Jestem w ciąży. Są rzeczy, które po prostu się wie.

– Niezły z ciebie gagatek – bąknęła Anne.

– Och, Anne, zrozum, co to znaczy! Zawsze wiedziałam, że nie mogę mieć Ralpa, ale teraz będę miała jego syna. I on będzie tylko mój, mój!

– Och, Meggie! – powiedziała Anne z westchnieniem. – Chcę ci coś powiedzieć.

– Słucham! – odparła mrużąc roześmiane oczy.

– Grecy powiadali, że to grzech przeciw bogom kochać coś lub kogoś miłością bez granic. Wiesz, co się dzieje z obiektem takiej miłości? Zazdrośni Bogowie niszczą go w pełni rozkwitu. To przestroga dla ciebie, Meggie. Zbyt wielka miłość jest bluźnierstwem.

Meggie położyła Justynę do kołyski.

– Co ma być, to będzie. Czuję się tak, jakby wyrosły mi skrzydła! Będę chronić to dziecko, choćby nie wiem jakim kosztem. Najpierw muszę mu zapewnić nazwisko, jedyne, jakie mu mogę dać. Dlatego prześpię się z Lukiem, choć sama myśl napawa mnie obrzydzeniem.

Potem wrócę do Droghedy i mam nadzieję, że już go więcej nie zobaczę. – Odwróciła się do kołyski. – A czy ty i Luddie przyjedziecie do nas?

– Będziemy was odwiedzać raz do roku. Chcemy patrzeć, jak Justyna rośnie.

Tylko myśl o dziecku Ralpa podtrzymywała Meggie na duchu, kiedy tłukła się kolejką do Ingham. Gdyby nie to nowe życie, które w sobie nosiła, pójście do łóżka z Lukiem byłoby najcięższym grzechem, jaki mogła popełnić przeciw sobie, ale dla tego dziecka gotowa była zawrzeć pakt z diabłem.

Przewidywała trudności, ale przygotowała się starannie, z nieoczekiwaną pomocą Luddiego. Anne nie miała przed nim sekretów, więc wiedział, co się święci. Udzielił jej wyśmienitej rady. Luke powinien być w dobrym nastroju, niezbyt zmęczony. Najlepiej zobaczyć się z nim w sobotę wieczorem albo w niedzielę, po tygodniowym wieczorze w kuchni. Uchodzi a świetnego kucharza, więc gotowanie z pewnością idzie mu jak z płatka i nie psuje humoru. Na prośbę Meggie Luddie wywiedziały się, kiedy wypada Luke'owi dyżur.

Właśnie w sobotę po południu Meggie wynajęła pokój w najprzystojniejszej wyglądającej gospodzie. Stamtąd udało jej się dodzwonić do farmy, gdzie pracował Luke. Poprosiła o przekazanie wiadomości, że czeka na niego w Ingham.

Luke kończył zmywać naczynia po kolacji, kiedy dostał wiadomość od Meggie. Nie miał

nic przeciwko temu, żeby spędzić z nią noc, skoro sama do niego przyjechała. Szybko dojechał do miasta przygodną ciężarówką, ale kiedy zobaczył, że apteki są już pozamykane, mina mu trochę zrzędała. Trudno – pomyślał – trzeba będzie zaryzykować.

Meggie leżała rozebrana na łóżku. Kiedy usłyszała pukanie, drgnęła, wstała i podeszła do drzwi.

– Kto tam? – zawołała.

– Luke.

Przekręciła klucz i uchyliła drzwi, chowając się za nie. Luke wszedł, a wtedy stanęła na wprost niego w całej okazałości. Od czasu ciąży piersi jej się zaokrągliły, wyglądały jeszcze ponętniej. Nie trzeba mu było żadnej zachęty.

Do samego rana Meggie nie odezwała się ani słowem, ale jej dotyk rozplomienił Luke'a jak nigdy.

– Co cię sprowadza do Ingham, Meg? – spytał rano, przeciągając się i ziewając.

– Przyjechałam powiedzieć ci, że wracam do domu, do Droghedy – odpowiedziała z uśmiechem.

W pierwszej chwili nie chciał uwierzyć, ale kiedy przyjrzał się jej uważnie, przekonał się, że wcale nie żartuje.

– Dlaczego? – spytał.

– Uprzedzałam cię, co się stanie, jeżeli nie zabierzesz mnie do Sydney – odparła.

– Ależ, Meg! – wykrzyknął szczerze zdumiony. – To było półtora roku temu! I przecież wyjechałem z tobą na wakacje. Siedzieliśmy w Atherton cztery tygodnie i buliliśmy forszę! Nie stać mnie na to, żeby jeszcze fundować ci Sydney.

– Jesteś skapcem, Luke – powiedziała spokojnie. – Żałujesz mi kilku nędznych funtów. Czcisz pieniądze, które leżą w banku, jak złotego cielca. Nie zamierzasz wcale ich wydawać, prawda? Jesteś liczykrupą i patentowanym osłem! Jak możesz tak traktować żonę i córkę, zapominając o naszym istnieniu! Wiesz, kto ty jesteś? Próżny, zarozumiały, egoistyczny drań!

Pobladł i trząśł się cały, nie mogąc wydusić słowa. Jak mogła go tak niesprawiedliwie zwymyślać! I to po takiej nocy. Nie widział sposobu, żeby ją przekonać o słuszności swoich zamierzeń. Nie potrafiła docenić rozmachu jego planów.

– Och, Meg! – rzekł wreszcie zrozpaczony i zrezygnowany. – Nigdy cię źle nie traktowałem. Nikt nie mógłby powiedzieć, że byłem dla ciebie okrutny. Nikt. Miałaś co jeść, miałaś dach nad głową...

– Nie biorę z tobą rozwodu – oznajmiła ubierając się. – Nie chcę wychodzić drugi raz za mąż. Gdybyś ty chciał się rozwieść, wiesz, gdzie mnie szukać. Możesz zatrzymać moje dwadzieścia tysięcy funtów, Luke, ale na więcej nie licz. Od tej pory będę ze swoich dochodów utrzymywać Justynę, i kto wie, może drugie dziecko.

– A więc to tak! Chodziło ci tylko o to, żeby mieć drugie dziecko. Dlatego tu przyjechałaś, żeby zabrać z sobą do Droghedy pamiątkę! Nie przyjechałaś wcale, żeby być ze mną! Nigdy dla ciebie nic nie znaczyłem. Służyłem tylko do zapładniania. Chryste, ale dałem się nabrać!

– Tak właśnie kobiety patrzą mężczyźni – powiedziała złośliwie. – Ale głowa do góry! Przez te trzy i pół roku zarobiłeś dzięki mnie więcej niż przy trzcinnie. Jeżeli urodzi się drugie dziecko, nic cię ono nie będzie obchodzić. Nie chcę cię więcej widzieć, dopóki będę żyła.

Wzięła torebkę i walizeczkę. Przy drzwiach się odwróciła.

– Powiem ci jeszcze coś, co może ci się przyda, gdybyś znalazł sobie jakąś inną kobietę. Nie masz zielonego pojęcia o całowaniu. Rozdziawiasz się jak łykający pyton i ociekasz śliną. – Z zawziętością otarła usta ręką. – Mierzi mnie twój widok! Luke O'Neill – wielkie nadęte zero!

Po jej wyjściu siedział dłuższą chwilę na łóżku, wpatrując się w zamknięte drzwi. Potem wzruszył ramionami i ubrał się. Wiedział, że jeśli się pośpieszy, przyjdzie do kwatery razem z Arnem i kumplami. Niezastąpiony Arne! Swój chłop. Jaki człowiek jest głupi. Seks, owszem,

może być, ale nie ma to jak kumple.

Część piąta:

Fee 1938-1953



## Rozdział czternasty

Meggie nie chciała, by ktokolwiek wiedział o jej powrocie, zabrała się więc do Droghedy ciężarówką pocztową starego Blueya Williamsa. Justyna leżała w koszyku stojącym obok niej na siedzeniu. Bluey był zachwycony, że znów ją widzi, i ciekawy tego, co robiła przez ostatnie cztery lata, przestał jednak wypytywać, gdyż zbliżyli się do rezydencji, wyczuwając, że pragnie, by jej w tej chwili nie przeszkadzano.

Wracała do znajomych stron, do pustej szarej ziemi i do wspaniałej srebrzystej trawy. Tu nie było takiej bujnej roślinności jak w Queenslandzie ani tak szybko następujących w przyrodzie zmian, dzięki którym na miejscu umierających wyrastały nowe rośliny. Tu był tylko toczący się nieuchronnie czas, powoli jak konstelacje na niebie. Kangurów było więcej niż kiedykolwiek. Rosły piękne symetryczne wilgi przypominające krągłe kształty kobiece. Papugi *galah* wlatywały różowymi falami nad ciężarówką. Emu biegały jak oszalałe, a króliki uskakiwały z drogi zuchwale łuskając białymi puszkami ogonków. W trawie widać było wybielane szkielety uschniętych pni. Na dalekim horyzoncie pojawiały się samotne drzewa i tylko fruujące niebieskie linie u ich podstawy wskazywały, że są to miraż. Słyszała posępne krakanie wron – dźwięk, za którym nie przypuszczała, że kiedykolwiek zatęskni. Mgliste brązowe welony kurzu, podobne do brudnego deszczu, smagał suchy jesienny wiatr. I wreszcie trawa, srebrzystobieżowa trawa Wielkiego Północnego Zachodu, która ciągnęła się ku niebu w wielkim geście błogosławieństwa.

Drogheda! Drogheda! Upiorne eukaliptusy i wielkie senne sumaki szumiące od pszczoł. Ogrodzenia dla bydła i budynki z wapienia żółtego jak masło, dziwnie zielona trawa wokół rezydencji, jesienne kwiaty w ogrodzie, wonne laki i cynie, astry i dalie, nagietki, chryzantemy i róże. Ogromne ilości róż. Na podwórze wybiegła pani Smith, nie wierząc własnym oczom, potem zaczęła się śmiać i płakać. Nadbiegły też Minnie i Cat, zarzucając Meggie na szyję stare żyłaste ramiona. Serce Meggie ścisnęło się jak opasane łańcuchem. W Droghedzie był jej dom, tu pozostawiła serce na zawsze.

Fee wyszła zobaczyć, co spowodowało takie zamieszanie.

– Witaj, mamó! Wróciłam do domu.

Szare oczy Fee nie zmieniły wyrazu. Meggie, teraz dojrzała zrozumiała – matka cieszy się, lecz nie umie tego okazać.

– Zostawiłaś Luke'a? – spytała Fee w obecności pani Smith i służących zakładając, że one mają takie samo prawo wiedzieć jak i ona.

– Tak. Nigdy do niego nie wrócę. On nie potrzebuje ani domu, ani dzieci, ani mnie.

– Dzieci?

– Tak. Jestem w ciąży.

Służące były zachwycone, a Fee wyraziła swoje zdanie ostrożnym tonem, tak typowy dla niej, z którego jednak przebujała radość.

– Jeśli on ciebie nie potrzebuje, to dobrze zrobiłaś, zostawiając go. Zaopiekujemy się tobą.

Wróciła do swojego dawnego pokoju wychodzącego na pastwisko przy domu i na ogrody. Obok miała pokój dla Justyny i dla malucha, gdy się urodzi. Och, jak dobrze znowu być w domu!

Bob także się ucieszył z jej powrotu. Przygarbiony i żyłasty, wysuszony przez słońce, coraz bardziej przypominał Paddy'ego. Miał tę samą co Paddy łagodną siłę charakteru, brakowało mu jedynie ojcowskiego podejścia, być może dlatego, iż nie miał własnej rodziny. Ale też był podobny do Fee. Cichy, zamknięty w sobie, niechętnie wyrażał opinie czy uczucia. Przecież on musi mieć około trzydziestu pięciu lat, a jeszcze się nie ożenił – pomyślała Meggie ze zdumieniem. W tym momencie pojawili się Jack i Hughie, lustrzane odbicia Boba, lecz bez jego autorytetu, witali ją nieśmiałoymi uśmiechami. Pewnie dlatego są

tacy nieśmiali – zastanowiła się, że ziemia nie potrzebuje umiejętności oratorskich i ogłady towarzyskiej. Ziemia wymaga właśnie tego co oni mogli jej dać – niekwestionowanej miłości i całkowitej wierności.

Tego wieczora wszyscy bracia byli w domu, trzeba było bowiem rozładować ciężarówkę zboża, którą Jims i Patsy przyprowadzili ze składu w Gilly.

– Nigdy jeszcze nie było tak sucho, Meggie – powiedział Bob. – Od dwóch lat nie spadła ani kropla deszczu. Króliki dokuczają nam bardziej od kangurów, zjadają więcej trawy niż owce i kangury razem wzięte. Będziemy dokarmiać je sami, ale wiesz przecież, jak to jest z owcami.

Meggie zdawała sobie sprawę, jak to jest z owcami. Tępe zwierzęta, niezdolne do pojęcia nawet elementarnych zasad przetrwania. Resztki rozumu, jakie posiadały pierwotnie, zostały wyeliminowane w procesie hodowli. Owce nie jadły niczego poza trawą i zaroślami wyciętymi w ich naturalnym środowisku. A do zebrania paszy dla ponad stu tysięcy owiec po prostu brakowało ludzi.

– Czy to znaczy, że się przydam? – spytała.

Czy się przydasz?! Meggie, zwolnisz mi człowieka do zbierania paszy, jeśli będziesz tak jak dawniej objeżdżać bliższe pastwiska.

Wierni danemu słowu, bliźniacy wrócili do domu na stałe. Prze cały czas spędzony w szkole nie mogli się wręcz doczekać powrotu na te nizinne czarnoziemy. Mając czternaście lat opuścili szkołę na zawsze. Już teraz przypominali swoim wyglądem swoich braci, mimo że byli przyodziani w strój, który z wolna wypierał tradycyjne szare materiały noszone przez hodowców z Wielkiego Północnego Zachodu. Były to białe barchanowe bryczesy, biała koszula, szary filcowy kapelusz z niską główką i szerokim rondem oraz buty do jazdy konnej z elastyczną cholewką do kostek i niskimi obcasami. Za ledwie garstką aborygenów, mieszkających na obrzeżach Gilly, naśladowała kowbojów z amerykańskiego Dzikiego Zachodu, nosząc ozdobne buty na wysokich obcasach i wielkie stetsony. Dla urodzonego na tych czarnoziemach taki strój był bezużyteczną pozą, częścią zupełnie innej kultury. Trudno się przedzierać przez busz, a zdarzało się to przecież często, w butach na wysokich obcasach, a w wielkim kowbojskim stetsonie było niewygodnie i gorąco.

Kasztanka i czarny wałach nie żyły już: stajnie były puste. Meggie zapewniała, że wystarczy jej którykolwiek koń ze stadniny. Bob mimo to pojechał do Martina Kinga i kupił je dwa spośród jego półkrwi podjezdków – jasną klacz z czarną grzywą i ogonem oraz długonogiego kasztanowego wałacha. Z niejasnego powodu Meggie znacznie dotkliwiej odczuła stratę starej kasztanki niż rozstanie z Ralphem. Była to swojego rodzaju opóźniona reakcja, jakby w ten sposób fakt jego wyjazdu został jeszcze silniej podkreślony. Mimo wszystko dobrze znów było jeździć konno przez pastwiska, z psami w tumanach kurzu wznoszących się za beczącym stadem owiec, obserwować ptaki, niebo i ziemię.

Było przeraźliwie sucho. Meggie nie pamiętała, by kiedykolwiek trawa w Droghedzie nie przetrwała suszy, tym razem jednak dostrzec można było czarną ziemię pokrytą drobną siateczką szczelin przypominających wyschnięte i spękane usta. Działo się to przede wszystkim za prawą królików. Podczas czterech lat jej nieobecności rozmnożyły się ponad wszelką miarę, chociaż przypuszczała, że już od dawna musiało być źle. Po prostu, niejako z nocy na noc, ich liczebność przekroczyła znacznie dopuszczalne granice. Były wszędzie i zjadały cenną trawę.

Nauczyła się nastawiać pułapki na króliki. Nie znosiła sposobu w jaki te słodkie małe zwierzątka ginęły pokiereszowane stalowymi zębami, była jednak zanadto przywiązana do ziemi, by wzdragać się przed robieniem tego, co konieczne. Zabijanie w celu przetrwania nie było okrucieństwem.

– Szlag by trafił tego pierwszego Angoła, który z tęsknoty za domem przywiózł z Anglii króliki – mówił Bob pełen goryczy.

Nie należały do rodzimych zwierząt Australii i ich sprowadzenie spowodowane sentymentalizmem, całkowicie zakłóciło ekologiczną równowagę kontynentu. Bydło i owce tego nie robiły, bowiem od samego początku wypasane zgodnie z zasadami nauki. W Australii nie było żadnego drapieżnika, który kontrolowałby populację królików, a przywiezione lisy nie zadomowiły się. Człowiek musiał spełniać rolę nienaturalnego drapieżnika, ale ludzi było za mało, królików zaś za dużo.

Gdy ciąża nie pozwalała Meggie dosiadać konia, spędzała dni w domu z panią Smith, Minnie i Cat, szyjąc lub robiąc na drutach, dla tej małej istoty poruszającej się w jej wnętrzu. – On – od początku myślała o nim jako o istocie męskiej – był częścią jej, tak jak Justyna nigdy nią nie była. Nie odczuwała ani mdłości, ani depresji, wypełniona pragnieniem wydania go na świat. W pewnym stopniu Justyna przyczyniła się do tego sama. Mała jasnooka istotka przeradzała się z bezmyślnego niemowlęcia w bardzo inteligentną dziewczynkę i Meggie z zafascynowaniem obserwowała i dziecko, i sam proces rozwoju. Ponieważ Meggie zbyt długo okazywała obojętność wobec Justynki, teraz pragnęła otaczać córeczkę miłością, przytulać ją, całować i śmiać się razem z nią. Szokowała ją stanowczość, z jaką Justynka odrzucała wszelkie próby okazania jej czułości.

Kiedy Jims i Patsy powrócili z Sydney, pani Smith sądziła, że znów zgarnie ich pod swoje skrzydła. Przeżyła rozczarowanie, gdy okazało się, że większość czasu spędzali na pastwiskach. Zajęła się więc Justynką, lecz dziecko ignorowało ją tak jak wszystkich pozostałych domowników, którzy przechodzili samych siebie w wyprawianiu różnych sztuczek, aby tylko wywołać uśmiech na jej twarzyczce. Bezskutecznie. We wrodzonej powadze Justynka prześcignęła nawet swoją babkę.

Zaczęła chodzić i mówić wcześniej, gdy miała dziewięć miesięcy. Ale kiedy stanęła na nogi i opanowała mowę, zaczęła chodzić własnymi ścieżkami i robić dokładnie to, na co miała ochotę. Nie można powiedzieć, by była hałaśliwa czy też niegrzeczna, po prostu była niezależna. Meggie nie miała pojęcia o genach, ale gdyby miała, zastanawiałaby się nad skutkami zmieszania genów Clearych, Armstrongów i O'Neillów. Nie mogło to nie dać w efekcie bardzo wybuchowej mieszanki.

Pierwszego października, kiedy Justynka miała równo no szesnaście miesięcy, urodził się w Droghedzie syn Meggie. Przyszedł na świat prawie cztery tygodnie za wcześniej i całkowicie nieoczekiwanie. Dwa czy trzy ostre skurcze, po czym odeszły wody i dziecko zostało przyjęte przez panią Smith i Fee w kilka zaledwie minut po telefonicznym wezwaniu lekarza. Poród był bardzo szybko, a ból minimalny. Lekarz musiał założyć szwy, ale Meggie czuła się wspaniale. Poprzednio nie miała pokarmu, tym razem nie potrzebowała butelek, ani mleka w proszku.

Mały był taki śliczny! Długi i szczupły, z loczkiem jasnych włosów na czubku doskonale uformowanej malutkiej główki i oczyma o żywym niebieskim kolorze, nie zdradzającym żadnych oznak, by miały się później mienić. Jakże mogłyby się zmienić? To były oczy Ralpa, ręce Ralpa, nos i usta Ralpa, nawet stopy Ralpa. Meggie pozbawiona skrupułów, dziękowała losowi za to, iż Luke do tego stopnia przypominał Ralpa w budowie, w karnacji skóry, a także rysach twarzy. Lecz ręce, sposób, w jaki zrastały się brwi, puszysty loczek na czubku, kształt paluszków, wszystko to było tak podobne do Ralpa, a tak mało przypominało Luke'a. Miała nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy zastanawiać się nad tą sprawą.

– Czy wybrałaś już imię dla niego? – spytała Fee, zafascynowana małym.

Meggie przyglądała jej się z wdzięcznością. Mama znowu będzie kochała, może nie tak jak Franka, ale przynajmniej coś będzie czuła.

– Nazwę go Dane.

– Co za dziwne imię! Dlaczego takie? Czy to rodzinne imię O'Neillów? Sądziłam, że skończyłaś już z O'Neillami.

– Ono nie ma nic wspólnego z Lukiem. Nie znoszę imion rodzinnych; to tak, jakby narzucano nowej istocie część kogoś innego. Justynę nazwałam Justyną dlatego, iż podobało mi się to imię. A jego nazwę Dane z tego samego powodu.

– W gruncie rzeczy całkiem nieźle brzmi – przyznała Fee.

Meggie drgnęła: jej piersi były przepełnione.

– Daj mi go, mamę. Musi być już głodny! Mam nadzieję, że stary Bluey pamięta o odciągaczu do pokarmu. W przeciwnym razie trzeba będzie pojechać do Gilly.

Był głodny. Ssał tak mocno, że jego małe dziąsła zadawały ból. Gdy Meggie spoglądała na niego z góry, na jego zamknięte oczka z ciemnymi rzęsami, puszystymi brwiami, małutkimi pracującymi policzkami, kochała go tak mocno, że bolało ją to bardziej niż jego ssanie.

On mi wystarczy, on musi mi wystarczyć. Nic więcej nie będę miała. Lecz, na Boga, Ralphie de Bricassart, na tego Boga, którego kochasz bardziej ode mnie, nigdy się nie dowiesz, co ci ukradłam – i Jemu. Nigdy ci nie powiem. Och, mój malutki! – Przesunęła się na poduszkach, by lepiej ułożyć w zagięciu ręki, by łatwiej patrzeć na jego doskonałą twarzyczkę. – Moja dziecinka! Jesteś mój i nikomu cię nie oddam. A już najmniej twojemu ojcu, który jest księdzem i nie może cię uznać. Czyż to nie wspaniałe!

Statek zacumował w Genui na początku kwietnia. Arcybiskup Ralph wylądował we Włoszech zakwitających właśnie pełnią śródziemnomorskiej wiosny i wsiadł w pociąg do Rzymu. Mógł poprosić, by wyjechał po niego samochód z szoferem z Watykanu, lękał się jednak chwili, w której Kościół znów go ogarnie i pragnął odwlec ją. Wieczne Miasto. Naprawdę jest wieczne – pomyślał spoglądając przez okno taksówki na dzwonnice i kopuły, place upstrzone gołębiami, dumne fontanny i malownicze ruiny rzymskich budowli. Ale dla niego to wszystko nie miało znaczenia. Dla niego ważny był Watykan, jego wystawne sale dostępne ogółowi i jego skromne ale prywatne.

Dominikanin poprowadził go przez wysokie marmurowe korytarze pośród rzeźb z kamienia i brązu wartych wystawiania w muzeum, obok wielkich obrazów takich malarzy, jak Giotto, Rafael, Botticelli, Angelico. Znajdował się w reprezentacyjnych salach wielkiego kardynała i bez wątplenia bogata rodzina Contini-Verchese nie szczędziła majątku, aby upiększyć otoczenie ich dostojnego potomka.

Vittorio Scarbanza, kardynał di Contini-Verchese, siedział w pokoju utrzymanym w tonacji purpury, pełnym złota i kości słoniowej, bogatym w tkaniny i obrazy oraz francuskie dywany i meble. Gładka mała dłoń kardynała, na palcu której płonął rubinowy pierścień, wyciągnięta była ku niemu. Spuściwszy wzrok, arcybiskup Ralph przeszedł przez pokój, ukląkł i ujął dłoń, by pocałować pierścień. Przyłożył do niej policzek. Dotykając ustami tego symbolu władzy duchownej, symbolu autorytetu w życiu doczesnym, zrozumiał, że nie mógłby skłamać, nawet jeśli dotąd miał taki zamiar.

Kardynał Vittorio położył drugą rękę na ramieniu Ralphi, skinieniem głowy odprawiając mnicha. Gdy tylko zamknęły się cicho drzwi, przesunął rękę z ramienia klęczącego na jego włosy i łagodnie odgarnął je z pochylonego czoła. Nie były już takie czarne jak dawniej, stawały się szpakowate. Pochylony kark napiął się, ramiona wyprostowały. Arcybiskup Ralph spojrział w oczy swego pana.

Ach, ta zmiana była widoczna! Usta ściągnięte z zaznały cierpienia i stały się przez to bardziej wrażliwe. Oczy, takie piękne w kolorze, kształcie i rozstawieniu, które miał w pamięci, jak gdyby stale na nie patrzył, były teraz całkiem inne. Kardynał Vittorio sądził w duchu, iż oczy Chrystusa musiały być niebieskie jak oczy Ralphi – łagodne i patrzące na wszystko z dystansem. Dzięki temu mogły zawrzeć wszystko, zrozumieć wszystko.

– Chodź, Ralphie, usiądź.

– Pragnę coś wyznać Waszej Eminencji.

– Później, później! Najpierw musimy porozmawiać, i to po angielsku. Ściany mają uszy,

na szczęście tutaj nie rozumieją po angielsku. Usiądź, Ralphie, proszę. Jak dobrze znów cię widzieć! Brakowało mi twojej mądrej rady, rozsądku i tobie tylko właściwego sposobu rozmawiania z ludźmi. Nikogo z przydzielonych mi księży nie polubiłem tak jak ciebie.

Czuł, jak jego myśli przystosowują się do poprawności, jak zaczynają ponownie układać się w sztywną frazeologię kościelną. Ralph de Bricassart bardziej od innych zdawał sobie sprawę, że człowiek zmienia się pod wpływem swego otoczenia, zmienia się nawet jego sposób mówienia. Nie dla uszu kardynała prostota kolokwialnego języka angielskiego. Usiadł więc niedaleko, naprzeciw drobnej postaci przyodzianej w szatę mieniącą się purpurowej mory, stapiającej się z otoczeniem.

Ogromne beznadziejne zmęczenie, ciężące mu od wielu tygodni, zaczęło ustępować. Zastanowił się, czemu tak się obawiał tego spotkania, skoro w głębi duszy wiedział, że zostanie zrozumiany i że zostanie mu wybaczone. Ale nie o to chodziło. Lękał się ze względu na swoje poczucie winy, że nie jest tym, za kogo chciał być uważany, że zawiódł człowieka, który miał jego dobro na myśli, który był mu niezwykle życzliwy i był jego prawdziwym przyjacielem. Czuł się winny znalazłszy więc w obecności tej czystej istoty, sama nie będąc już czystym.

– Ralphie, jesteśmy księżmi, lecz przede wszystkim jesteśmy tacy, jacy byliśmy, zanim zostaliśmy księżmi. Nie uciekniemy przed tym nawet w naszej wyjątkowości. Jesteśmy ludźmi ze wszystkimi ich słabościami i wadami. Cokolwiek mi powiesz, nie zmieni to mojego zdania o tobie, zdania, które wyrobiłem sobie przez te wszystkie lata spędzone razem. Nie przestanę cię lubić. Przez wiele lat widziałem, iż nie pojmujesz tej wrodzonej słabości, jaką jest nasza ludzkość. Wiedziałem jednak, że będziesz musiał kiedyś dojść do tego. Wszyscy dochodzimy. Nawet Ojciec Święty, który jest najbardziej pokorny i ludzki z nas wszystkich.

– Eminencjo, zламаłem śluby. Niełatwo to wybaczyć, bo to świętokradztwo.

– Śluby ubóstwa zламаłeś już dawno, kiedy przyjąłeś spadek po Mary Carson. W takim razie pozostały czystość i posłuszeństwo.

– Wszystkie zламаłem, Wasza Eminencjo.

– Mów do mnie Vittorio, tak jak dawniej! Nie zdziwiłeś mnie, Ralphie, ani też nie rozczarowałeś. Tak chciał nasz Pan Jezus Chrystus. Sądzę, że musiałeś zrozumieć tę ważną lekcję, i nie było na to innego, mniej bolesnego sposobu. Bóg jest tajemniczy, a Jego wola dla nas niezrozumiała. Myślę jednak, że nie przyszło ci to lekko, nie zламаłeś swoich ślubów, jakby nie miały one dla ciebie żadnej wartości. Znam cię bardzo dobrze. Wiem, że jesteś bardzo dumny, zakochany w kapłaństwie i świadomy swojej wyjątkowości. Być może ta nauczka miała na celu opanowanie twojej dumy, byś zrozumiał, że jesteś przede wszystkim człowiekiem, a zatem nie tak wyjątkową istotą, jak sądziłeś. Czyż nie tak?

– Tak brakowało mi pokory. W pewnym sensie chciałem być Bogiem. Zgrzeszyłem w najbardziej jaskrawy i niewybaczalny sposób. Nie mogę sam sobie wybaczyć, jakże więc mogę spodziewać się przebaczenia boskiego?

– Duma, Ralphie, duma przez ciebie przemawia! To nie ty przebaczasz – czyż jeszcze tego nie rozumiał? Tylko Bóg może przebaczać. Tylko Bóg! A on przebaczy, jeśli szczerze żałujesz. Wiesz przecież, że straszniejsze winy przebaczył znacznie większym świętym i większym zbrodniarzom. Czyż nie przebaczył Lucyferowi? Przebaczył mu już w chwili rebelii. To Lucyfer, nie Bóg, wybrał swój los jako władcy piekieł. Czyż sam tego nie powiedział? „Lepiej rządzić w Piekło, niż służyć w Niebie!”. Bowiem nie umiał przemóc swojej dumy i podporządkować swojej woli woli Innej Istoty, nawet jeśli był nią sam Bóg. Nie chciałbym, byś popełnił ten błąd, mój drogi przyjacielu. Jediną twoją wadą jest brak pokory, a pokora czyni wielkiego świętym – i wielkiego człowieka. Dopóki nie pozostawisz przebaczenia Bogu, nie będziesz prawdziwie pokorny.

Na zdecydowanej twarzy pojawił się grymas.

– Wiem, że masz rację. Muszę zaakceptować to, czym jestem, bez zastrzeżeń. Muszę

starać się być lepszym, nie będąc dumnym z siebie. Żałuję, zatem wypowiadam się i będę czekał na przebaczenie. Żałuję naprawdę, gorzko żałuję. – Westchnął, a jego oczy zdradziły wewnętrzny konflikt, którego słowami nie potrafił wyrazić, przynajmniej w tym pokoju. – A jednak, Vittorio, w pewnym sensie musiałem to zrobić. Miałem do wyboru: albo zniszczyć ją, albo wziąć winę na siebie. Nie umiałem postąpić inaczej, bo kocham ją szczerze. To nie jest jej wina, że nie chciałem, by moja miłość stała się fizyczna. Jej los stał się ważniejszy od mojego, czy pojmujesz to? Do tej pory zawsze myślałem najpierw o sobie, sądziłem, że jako kapłan jestem ważniejszy, a ona mniej istotna. Zrozumiałem jednak, że jestem odpowiedzialny za to, kim się stała... Powinienem być coś zrobić, gdy była małą dziewczynką, ale nie zrobiłem niczego. Trzymałem ją w moim sercu i ona o tym wiedziała. Gdybym wtedy wyrwał ją z serca całkowicie, wiedziałaby o tym i może stałaby się kimś innym, na kogo nie miałbym wpływu. – Uśmiechnął się. – Widzisz, jak wiele mam na sumieniu. Chciałem być stwórcą.

– Czy to Róża właśnie?

Arcybiskup Ralph odchylił głowę i spojrzał na sufit zdobiony złoconymi stiukami i barokowym żyrandolem z Murano.

– Któż inny? Ona jest moją jedyną próbą tworzenia.

– Co z nią będzie? Czy wyrządziłeś jej większą krzywdę, niż gdybyś odmówił?

– Nie wiem, Vittorio. Chciałbym wiedzieć! Wtedy po prostu nie widziałem innego wyjścia. Nie posiadam prometejskiego daru przewidywania, a uczucie czyni człowieka ślepym. Poza tym to się po prostu zdarzyło! Sądzę jednak, że dałem jej to, czego najbardziej potrzebowała – poznanie siebie jako kobiety. To nie znaczy, że nie była tego świadoma wcześniej, ale ja nie wiedziałem. Gdybym spotkał ją po raz pierwszy, gdy była już kobietą, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Lecz ja znałem ją wiele lat przedtem, już od dzieciństwa.

– Brzmi to tak, Ralphie, jakbyś nie był jeszcze gotów, by ci przebaczone. Cierpisz, czyż nie tak? Dlatego, że byłeś wystarczająco ludzki, by ulec ludzkiej słabości. Czy naprawdę chciałeś być taki szlachetny?

Zaskoczony Ralph spojrzał w ciemne oczy kardynała. Zobaczył w nich siebie: dwie małe postacie.

– Nie – rzekł. – Jestem mężczyzną i jako mężczyzna odczuwałem przyjemność. Nie sądziłem, że może istnieć taka przyjemność. Nie przypuszczałem, iż poznanie kobiety może być źródłem tak głębokiej radości. Chciałem być z nią nie z powodu jej ciała, lecz dlatego, iż sprawiało mi radość bycie z nią, rozmowa i milczenie, wspólnie jedzone posiłki, jej uśmiechy i myśli... Będę tęsknił za nią do końca życia!

Żółtawa ascetyczna twarz kardynała w niezrozumiały sposób przypominała mu nagle twarz Meggie w chwili rozstania. Było w niej widoczne duchowe brzemię, jakie podjęła, i zdecydowanie, by iść naprzód wbrew wszelkim przeciwnościom. Co przeżywał ten człowiek w jedwabnej purpurze, którego jedyną widoczną ludzką słabością zdawał się być jego ospały abisyński kot?

– Nie mogę żałować tego, czego z nią doznałem – ciągnął Ralph, gdy kardynał się nie odezwał. – Żałuję złamania moich ślubów, które są przecież tak wiążące i ważne jak moje życie. Nie będę mógł już nigdy spełniać obowiązków kapłańskich tak jak dawniej, z tą samą gorliwością. Gorzko tego żałuję. A Meggie? – Wyraz jego głowy wobec cisnących się myśli.

– Żałowanie tego czynu równałoby się zamordowaniu Meggie. – Zmęczonym gestem przesunął dłonią przed oczyma. – Czy jasno wyrażam choć w małej części to, o co mi chodzi? Nigdy, przenigdy nie potrafiłem właściwie wyrazić tego, co czuję do Meggie. – Pochylił się do przodu. Oczy Vittorio, który znów zwrócił się do niego, przypominały zwierciadła – odbijały to, co widziały, nie odsłaniając prawdziwych myśli. – Meggie jest błogosławieństwem – rzekł. – Jest rzeczą świętą, sakramentem, tyle że innego rodzaju.

– Tak, rozumiem – westchnął kardynał. – Dobrze, że tak to pojmujesz. Myślę, że w oczach naszego Pana łagodzi to twój wielki grzech. Dla twego własnego dobra będzie jednak lepiej, jeśli wyśpowiadasz się przed ojcem Giorgio, a nie ojcem Guillermo. Ojciec Giorgio odczyta właściwie twoje uczucia i intencje. On ciebie zrozumie, podczas gdy ojciec Guillermo jest mniej spostrzegawczy i może nie uznać twojej prawdziwej skruchy. – Ledwie dostrzegaliśmy cień uśmiechu przesunął się po jego twarzy. – Mój drogi Ralphie, oni też są ludźmi, ci, którzy spowiadają wielkich. Nigdy o tym nie zapominaj. W swoim powołaniu są jak naczynia, w których mieści się Bóg, ale we wszystkim innym są tylko ludźmi. Przebaczenie, którego udzielają, pochodzi od Boga, ale uszy, które słuchają i osądzają, należą do ludzi.

Dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi. Kardynał Vittorio siedział w milczeniu, czekając, aż tacę z herbatą postawią na inkrustowanym stoliku.

– Widzisz, Ralphie, od czasu mojego pobytu w Australii stałem się prawdziwym miłośnikiem popołudniowej herbatki. Całkiem niezłe ją parzą w mojej kuchni, choć początki były trudne. – Powstrzymał arcybiskupa, który sięgnął po czajniczek. – Och, nie! Sam naleję. Bawi mnie odgrywanie „mamuski”.

– Widziałem dużo czarnych koszul na ulicach Genui i Rzymu – powiedział arcybiskup Ralph przyglądając się kardynałowi, gdy nalewał herbatę.

– To specjalne kohorty II Duce. Ciężkie czasy przed nami, mój drogi Ralphie. Ojciec Święty jest nieugięty w postanowieniu, by nie zaistniały żadne różnice między Kościołem a świeckim rządem Włoch. Oczywiście ma rację, jak we wszystkim. Cokolwiek by się miało zdarzyć, musimy mieć możliwość pełnienia naszych obowiązków wobec wszystkich, nawet jeśli wojna podzieli nasze owieczki na dwie strony, które będą zwalczać się w imię tego samego katolickiego Boga. Bez względu na nasze uczucia i przekonania musimy starać się, by Kościół pozostał ponad wszelkimi ideologiami politycznymi i międzynarodowymi kłótniami. Chciałem mieć ciebie przy sobie, bowiem mogę być pewny, że twarzą nie zdradzisz, co myślisz, bez względu na to, co zobaczysz, a także, ponieważ masz najlepszy dyplomatyczny umysł, jaki kiedykolwiek spotkałem.

Arcybiskup Ralph uśmiechnął się smutno.

– Będiesz mnie popierał nawet wbrew mnie, czyż tak? Zastanawiam się czasami, co by się ze mną stało, gdybym ciebie nie spotkał.

– Zostałbyś arcybiskupem Sydney. To dobra i ważna funkcja – rzekł kardynał uśmiechając się szeroko. – Lecz drogi naszego życia nie w naszych rękach leżą. Poznaliśmy się, ponieważ tak miało być i teraz nie może być inaczej, musimy współpracować dla Ojca Świętego.

– Nie sądzę, by czekał nas sukces – powiedział arcybiskup Ralph. – Rezultat będzie taki, jak zawsze wobec podstawy bezstronnej. Nikt nas nie polubi, za to wszyscy potępia.

– Wiem i Jego Świętobliwość też to wie. Nie mamy jednak wyboru. Nie zaprzeczysz jednak, iż nic nie stoi na przeszkodzie, by modlić się prywatnie o szybki upadek II Duce i Führera.

– Sądzisz, że będzie wojna?

– Nie widzę sposobu, by jej uniknąć.

Kot kardynała wolnym krokiem wyszedł z nasłonecznionego kąta, gdzie drzemał, i wskoczył na kolana. Zrobił to z trudnością, bowiem był już stary.

– Ach, Sheba! Przywitaj się ze starym przyjacielem, którego niegdyś wolałaś ode mnie.

Sataniczne żółte oczy kota spojrzały na arcybiskupa Ralpha wyniośle, po czym się zamknęły. Obaj wybuchnęli śmiechem.

## Rozdział piętnasty

Drogheda miała własny radiodbiornik. Po wybudowaniu stacji nadawczej Australijskiego Komitetu do Spraw Radia postęp dotarł do Gillanbone. Nareszcie było coś, co mogło przyćmić wspólną linię telefoniczną jako masową rozrywkę. Sam odbiornik był dość brzydkim przedmiotem w orzechowej budowie. Ustawiono go w salonie na niewielkim wykwintnym sekretarzyku, a zasilający go akumulator samochodowy ukryto w szafce.

Każdego ranka pani Smith, Fee i Meggie włączały radio, by posłuchać wiadomości i prognozy pogody dla rejonu Gillanbone, wieczorami zaś słuchały wiadomości ogólnokrajowych nadawanych przez stację ABC. Wciąż jeszcze dziwiło to bezpośrednie połączenie wielkim światem, przynoszące informacje o powodziach, pożarach i deszczach w każdym zakątku kraju, a także o niepokojach w Europie i o polityce australijskiej, a wszystko bez udziału Blueya Williama i tych przestarzałych gazet, które przywoził ze sobą.

Kiedy w piątek pierwszego września w wiadomościach ogólnokrajowych podano, że Hitler napadł na Polskę, w domu nie było nikogo oprócz Fee i Meggie. Nie zainteresowała ich ta informacja. Od wielu już miesięcy słyszały spekulacje na ten temat, a poza tym Europa była daleko. Nie miało to nic wspólnego z ich światem, z Droghedą. Mężczyźni znaleźli się w domu dopiero w niedzielę trzeciego września, by wysłuchać mszy odprawianej przez księdza Watty. Sprawy europejskie interesowały ich, ale ani Fee ani Meggie nie pomyślały, by i przekazać piątkowe nowiny, a ksiądz Watty, który z pewnością by to zrobił, spieszył się do Narrengang. Radio włączono wieczorem, tak jak zwykle, aby wysłuchać wiadomości krajowych. Zamiast jednak energicznego, oksfordzkiego akcentu spikera doszedł ich dystyngowany, bez wątpienia o australijskim akcencie głos premiera Roberta Gordona Menziesa.

*Obywatele! Przypada mi w udziale smutny obowiązek poinformowania was, iż wobec niezaprzestania przez Niemcy inwazji na Polskę Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę. W rezultacie Australia także jest w stanie wojny...*

*Należy sądzić, iż ambicją Hitlera nie jest zjednoczenie wszystkich Niemców pod jego władzą, lecz poddanie tej władzy jak największej liczby krajów, które zdoła podbić siłą. Gdyby ta sytuacja nie uległa zmianie, Europa nie byłaby bezpieczna, a na świecie nie byłoby pokoju... Nie możemy mieć żadnych wątpliwości. Wielką Brytanię popierają wszystkie narody wspólnoty brytyjskiej...*

*Naszym zdaniem, tak jak i Anglii, jest nieprzerwanie produkcji, kontynuowanie działalności przedsiębiorstw i zakładów usługowych, utrzymanie zatrudnienia, co pozwoli na zachowanie naszej siły. Wiem, że pomimo uczuć, jakie nami miotają w tej chwili, Australia gotowa jest wytrwać.*

*Oby Bóg w swej łaskawości sprawił, by świat został szybko wybawiony od tego nieszczęścia.*

W salonie zaległa cisza, przerywana tylko płynącym z głośnika głosem Neville'a Chamberlaina przemawiającego do Anglików. Fee i Meggie wbiły zaniepokojony wzrok w mężczyzn.

– Gdyby liczyć Franka, jest nas sześciu – powiedział Bob przerywając milczenie. – Wszyscy oprócz Franka pracujemy na ziemi, co oznacza, że nie będą chcieli nas brać do wojska. Spośród naszych obecnych pracowników sześciu z pewnością zechce się zaciągnąć, dwóch zostanie.

– Idę do wojska! – odezwał się Jack, a oczy mu się zaświeciły.

– Ja też! – dodał Hughie szybko.

– I my – powiedział Jims w imieniu swoim i swego małomównego brata bliźniaka.



Wszyscy spojrzeli na Boba, który był tu szefem.

– Musimy być rozsądni – powiedział Bob. – Wełna jest produktem ważnym dla produkcji wojennej, i to nie tylko na ubrania. Używa się jej do pakowania amunicji i materiałów wybuchowych i do wielu innych dziwnych rzeczy, o których nie mamy nawet pojęcia. Na dodatek mamy bydło rzeźne, a stare skopy i owce dostarczają skór, kleju, łoju, lanoliny. Wszystkie te produkty są potrzebne w działaniach wojennych. Nie możemy więc porzucić Droghedy, nawet jeśli mamy taką ochotę. W czasie wojny trudno będzie znaleźć ludzi do pracy w miejsce tych, których z pewnością utracimy. Mamy trzeci rok suszy, a króliki dają nam naprawdę w kość. Mamy co robić w Droghedzie. Nie jest to takie podniecające jak wojenka, ale równie potrzebne. Najbardziej będziemy przydatni tu na miejscu.

Mężczyźni zachmurzyli się, podczas gdy twarze kobiet pojaśniały.

– Co będzie, jeśli wojna potrwa dłużej, niż to się wydaje staremu Bobowi Surówce? – spytał Hughie określając premiera jego znanym hutniczym przydomkiem.

Bob zmarszczył brwi i się zamyślił.

– Jeśli będzie gorzej i potrwa dłużej, to myślę, że dwóch z nas mogłoby się zaciągnąć. Póki pozostaną dwaj robotnicy, poradzimy sobie, ale Meggie musi objeżdżać bliższe pastwiska. Będzie bardzo ciężko. W lepszych czasach nie dalibyśmy sobie rady, ale przy tej suszy jaką sądzę, że w pięciu chłopca, z pomocą Meggie i pracując siedem dni na tydzień, będziemy w stanie utrzymać Droghedę. Tylko czy z dwójką małych dzieci Meggie da radę?

– Jak trzeba, to trzeba – powiedziała Meggie. – Pani Smith na pewno zechce zająć się dziećmi. Powiedz, kiedy, a zacznę znów objeżdżać pastwiska.

– A zatem bez nas dwóch Drogheda może się obejść – stwierdził Jims z zadowoleniem.

– Nie, nie, beze mnie i Hughiego – zaprzeczył Jack.

– Bogiem a prawdą, Jims i Patsy powinni iść do wojska – rzekł Bob po namyśle. – Jesteście najmłodszy i macie najmniej doświadczenia jako hodowcy. Macie jednak dopiero po szesnaście lat, chłopcy.

– Skończymy siedemnaście, nim to się zacznie na serio – podpowiedział Jims. – Wyglądamy na starszych, niż jesteśmy, więc nie powinniśmy mieć kłopotów z zaciągnięciem się, o ile będziemy mieli twoją zgodę poświadczoną przez Harry’ego Gougha.

– Dobrze, na szczęście na razie nikt nigdzie nie idzie. Może uda nam się zwiększyć produkcję z Droghedy nawet przy tej suszy i królikach.

Meggie wymknęła się z salonu i poszła na górę do pokoju dziecinnego. Dane i Justynka spali spokojnie. Minęła pomalowane na biało łóżeczko swej córki i zatrzymała się przy synu. Długo patrzyła na niego.

– Dzięki Bogu, że jesteś jeszcze taki malutki – szepnęła.

Minął rok, zanim wojna wkroczyła w maleńki świat Droghedy. Podczas tego roku robotnicy jeden po drugim odchodzili, króliki nadal się rozmnażały, a Bob starał się ze wszystkich miar, by księgi rachunkowe odzwierciedlały wielki wysiłek na rzecz wojny. Na początku czerwca 1940 roku przyszła wieść o ewakuacji spod Dunkierki wojsk brytyjsko-francuskich. Ochotnicy zgłaszali się tysiącami do Drugiego Australijskiego Korpusu Królewskiego. Wśród nich byli też Jims i Patsy.

Cztery lata jeżdżenia konno po pastwiskach bez względu na pogodę sprawiły, że stracili chłopięcy wygląd i nabrali tych ponadczasowych cech, jakimi są łagodne zmarszczki przy zewnętrznych kącikach oczu i bruzdy biegnące od nosa po obu stronach ust. Przedstawili swoje zaświadczenia i zostali przyjęci, bez komentarzy. Ludzie z buszu byli dobrze widziani. Dobrze strzelali, umieli słuchać rozkazów, ale przede wszystkim byli twardzi.

Jims i Patsy zaciągnęli się w Dubbo, ale ich obóz był w Ingleburn, niedaleko Sydney. Odjeżdżali nocnym pociągami pocztowym Cormac Carmichael, najmłodszy syn Edena, jechał tym samym ekspresem, i jak się okazało, do tego samego obozu. Obie rodziny wpakowały

swoich synów do przedziału pierwszej klasy i czekały teraz w zakłopotaniu, chcąc uściskać się serdecznie na pożegnanie, aby móc zachować w pamięci ciepłe wspomnienie tej chwili, wstrzymywała ich jednak wrodzona niechęć do okazywania uczuć. Syrena wielkiej parowej lokomotywy C-36 zawyła żałośnie, naczelnik stacji zagwizdał.

Meggie pochyliła się pierwsza, by nieśmiało cmoknąć w oba policzki swych braci i Cormaca, który wyglądał zupełnie tak jak jego najstarszy brat Connor. Bob, Jack i Hughie uścisnęli kolejno trzy różne dłonie. Jedynie zapłakana pani Smith bez żenady całowała i tuliła do siebie chłopców. Eden Carmichael, jego żona i starzejąca się, choć nadal przystojna córka pożegnali się sztywno. W następnej chwili wszyscy znaleźli się już na peronie stacji w Gilly, a pociąg, uderzywszy raz czy drugi w odbój, zaczął pełznąć do przodu.

– Do widzenia, do widzenia! – wołali wszyscy i machali białymi chusteczkami, dopóki za oddalającym się pociągiem nie pozostała jedynie smuga dymu na tle zachodzącego słońca.

Na ich własną prośbę Jims i Patsy zostali obaj przydzieleni do surowej, nie wyszkolonej jeszcze Dziewiątej Dywizji Australijskiej, która na początku 1941 roku została wysłana do Egiptu. Zdażyli wziąć udział w bitwie pod Benghazi. Świeżo przybyły generał Erwin Rommel spowodował, iż szala zwycięstwa przechyliła się na stronę państw osi. Nastąpił pierwszy zwrot w tej wojnie wielkich marszów pościgowych tam i z powrotem przez Afrykę Północną. Podczas gdy siły brytyjskie wycofały się sromotnie z Egiptu pod naporem „Afrika-Korps”, Dziewiąta Dywizja Australijska otrzymała zadanie utrzymania Tobruku, wysuniętej placówki na terytorium wroga. Plan ten był wykonalny z jeszcze jednego powodu: dzięki dostępowi do morza placówkę można było zaopatrywać w żywność, dopóki okręty brytyjskie pływały po Morzu Śródziemnym. Szczury Tobruku zagrzebały się tam na osiem miesięcy, trwając mimo wciąż ponawianych ataków wojsk niemieckich, którym w rezultacie nie udało się zdobyć tej placówki.

– Wieta, po co tu jesteście? – zagaił szeregowiec Col Stuart liżąc bibułkę i leniwie skręcając papierosa.

Sierżant Bob Malloy podniósł daszek żołnierskiej czapki i spojrzał spod jego brzegu na zadającego pytanie.

– Gówno wiemy – odparł z szerokim uśmiechem. – Tu często zadawano to pytanie.

– Lepsze to niż bielenie getrów w cholernym areszcie – wtrącił szeregowiec Jims Cleary, ściągając nieco bliźniakowi szorty, by wygodniej oprzeć głowę na miękkim i ciepłym brzuchu.

– Tak, ale w areszcie przynajmniej do ciebie nie strzelają – zaoponował Col, celując zużytą zapalką w grzejącą się na słońcu jaszczurkę.

– Tyle wiem, kochasiu – rzekł Bob zasłaniając ponownie oczy czapką – że wolałbym, by do mnie strzelano, niż żebym miał tu umrzeć z pieprzonej nudy.

Rozłożyli się wygodnie w suchym, żwirowatym okopie, który znajdował się naprzeciwko min i drutu kolczastego odcinających południowo-zachodni narożnik obwodu. Z przeciwnej strony Rommel kurczowo trzymał swój jedyny przyczółek na terenie Tobruku. W okopie mieli olbrzymi pięćdziesięciokalibrowy karabin maszynowy, obok którego stały równo poukładane skrzynki z amunicją. Nie przejawiali wszakże czujności czy choćby zaniepokojenia możliwością ataku. Karabiny stały oparte o brzeg okopu, a bagnety lśniły w ostrym słońcu. Wszędzie bzyczały muchy. Wszyscy czterej byli ludźmi z australijskiego buszu, toteż Tobruk i Afryka Północna nie mogły ich zaskoczyć niczym: ani upałem, ani kurzem, ani wreszcie muchami.

– Całe szczęście, żeście są bliźniakami, Jims – powiedział Col rzucając kamyczkami w jaszczurkę, która wcale nie miała ochoty ruszyć się z miejsca. – Leżąc tak wyglądacie jak para pedałtek.

– Zazdrosnyś po prostu – zaśmiał się Jims klepiąc Patsy’ego po brzuchu. – Patsy to najlepsza poduszka w Tobruku.

– Pewnie, tobie to dobrze, ale biedny Patsy. Ej, Milczku, odezwij się! – dokuczał mu żartobliwie Bob.

Patsy pokazał białe zęby w uśmiechu, ale jak zwykle nic nie powiedział. Wielu próbowało wyciągnąć z niego coś ponad krótkie „tak” czy „nie”, ale nikomu się to jeszcze nie udało. Nazywano go więc powszechnie Milczkiem.

– Słyszeliście nowinę? – rzucił nagle Col.

– Jaką?

– Matyldy z Siódmej dały się rozsmarować osiemdziesiątkomósemkom pod Halfaya. To jedyne działo na tej pustyni, które może załatwić Matyldę. Pociski przeszły przez te wielgaśne czołgi jak masło.

– Naprawdę? Bajki opowiadasz – Bob nie uwierzył. – Jestem sierżantem i nic o tym nie słyszałem, a ty, szeregowiec, wszystko wiesz. Powiem ci, kochasiu, Niemiaszki nic takiego nie mają, co by mogło załatwić brygadę Matyld.

– Byłem w namiocie łączności z rozkazem od dowódcy, gdy podali to przez radio, więc to prawda – utrzymywał Col.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Każdy żołnierz oblężonej placówki w Tobruku musiał wierzyć bez zastrzeżeń w to, iż jego strona jest nadal militarnie silna, bowiem tylko to umacniało wiarę w przetrwanie. Nowina Cola nie była przyjemna, szczególnie że nikt w Tobruku nie lekceważył Rommla. Odpierali dotąd jego ataki, bowiem szczerze wierzyli, iż walczący Australijczyk nie ma sobie równego, być może z wyjątkiem Gurkhów. Jeśli zaś przyjąć, że wiara stanowi dziewięć dziesiątych siły, to okazali się prawdziwie nie do pokonania.

– Cholerni Brytyjczycy! – rzekł Jims. – Czego jak czego, ale w tej Afryce trzeba nam samych Australijczyków.

Chór potakiwań przerwany został wybuchem na skraju okopu. Z jaszczurki nic nie zostało, a czterech żołnierze rzucili się do karabinów i browninga.

– Pieprzony włoski granat, same odłamki – westchnął z ulgą Bob. – Gdyby to był specjał od Hitlera, już gralibyśmy na harfach niebiańskich. To by ci się podobało, Patsy, prawda?

Na początku operacji „Krzyżowiec” Dziewiąta Dywizja Australijska została ewakuowana drogą morską do Kairu. Wydawało się, że długa, męcząca obrona niczego nie osiągnęła. Jednakże w czasie, gdy dywizja trzymała Tobruk, zdołano utworzyć ze stale rosnących szeregów żołnierzy brytyjskich w Afryce Północnej Ósmą Armię Brytyjską pod wodzą generała Bernarda Law Montgomery’ego.

Fee nosiła małą srebrną broszkę w kształcie wschodzącego słońca, znak Australijskich Sił Zbrojnych, z zawieszoną na dwóch łańcuszkach plaketką ozdobioną dwiema złotymi gwiazdkami. Oznaczało to, iż dwóch jej synów służy w wojsku, a także to, że spełniła swój patriotyczny obowiązek wobec ojczyzny. Meggie nie przysługiwała ta odznaka, ponieważ nie miała ani męża, ani syna w wojsku. Luke napisał do niej, żeby się o niego nie martwiła, bo nie ma zamiaru zaciągać się. Chce nadal pracować przy zbiorze trzciny cukrowej. Wydawało się, że nie pamięta ich ostatniej rozmowy w barze w Ingham. Meggie pokręciła głową i wyrzuciła list do śmieci. Zastanowiła się, czy Fee martwi się o swoich synów walczących w Afryce i co naprawdę myśli o wojnie, ale Fee nigdy nie zdradzała się słowem, chociaż swoją broszkę nosiła codziennie.

Czasem przychodził list z Egiptu. Po rozłożeniu rozpadał się na strzępy, tyle bowiem równiutkich otworów wycięły w nim nożyce cenzora usuwające nazwy miejsc i oddziałów. Czytanie tych listów polegało w zasadzie na usiłowaniu złożenia ich w sensowną całość. Spełniały mimo to jeden podstawowy cel, który przyćmiewał wszystkie inne: póki przychodziły, wiadomo było, że chłopcy żyją.

Deszczu wciąż nie było. Wydawało się, iż nawet żywiły się sprzysięgły. Rok 1941 był

piątym kolejnym rokiem zgubnej suszy. Meggie, Bob, Hughie i Fee byli zdesperowani. Co prawda na koncie Droghedy znajdowała się wystarczająca suma pieniędzy, aby mogli kupić odpowiednią ilość paszy na utrzymanie owiec przy życiu, ale problemem było zmuszenie ich do jedzenia. Każde stado miało swego naturalnego przywódcę i jeśli udało się nakłonić go do zjedzenia, można było mieć nadzieję, że reszta stada pójdzie jego śladem. Często jednak nawet widok przeżuwającego przywódcę nie miał żadnego wpływu na resztę owiec.

I w Droghedzie przelewała się krew w okropny sposób. Trawy już nie było. Ziemia wyglądała jak ciemna popękana pustynia, gdzieniegdzie tylko jaśniały plamy szarych i brunatnobrązowych drzew. Oprócz strzelb mieszkańcy nosili także noże. Podcinali nimi gardła zdychającym zwierzętom, aby oszczędzić im śmierci w męczarniach, z wydłubanymi przez wrony oczyma. Bob zwiększył liczbę bydła i dokarmił je, aby utrzymać produkcję dla wojska. Nie miał z tego żadnego dochodu ze względu na wysokie ceny paszy, bowiem bliżej leżące tereny rolnicze zostały dotknięte przez suszę tak samo jak odległe tereny hodowlane. Zbiory zbóż były katastroficznie niskie. Pomimo tego otrzymali z Rzymu polecenie, żeby robić, co jest tylko możliwe, bez względu na koszty.

Meggie najbardziej było żał czasu straconego na objeżdżanie pastwisk. W Droghedzie udało się zatrzymać tylko jednego człowieka i jak dotąd nie było nikogo na miejsca pozostałych. W Australii zawsze najbardziej brakowało ludzi. Meggie jeździła siedem dni w tygodniu. Jeżeli Bob zwalniał ją na jeden dzień, zauważywszy jej zdenerwowanie i zmęczenie, sam musiał pracować za dwóch. Starła się więc nie pokazywać po sobie, jak bardzo ją to męczy. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że mogłaby po prostu odmówić pracy w gospodarstwie, wymawiając się dziećmi. Dzieci były pod doskonałą opieką, a Bob potrzebował jej o wiele więcej niż one. Swoją tęsknotę uważała w tej sytuacji za egoizm. Zabrakło jej intuicji by zrozumieć, że im też jest potrzebna. Nie przypuszczała nawet, jak bardzo. Spędzała dni na objeżdżaniu pastwisk i całymi tygodniami widywała dzieci już śpiące w łóżeczkach.

Zawsze, gdy patrzyła na Dane'a, odczuwała wzruszenie. Był uroczym dzieckiem. Nawet nieznanymi na ulicach Gilly zwracali na niego uwagę. Zazwyczaj uśmiechał się, a jego natura stanowiła przedziwną kombinację spokoju i pełnego szczęścia. Wyglądało na to, że jego osobowość i jego świadomość ukształtowały się całkiem naturalnie, bez tych cierpień, które są zwykle udziałem dzieci. Rzadko mylił się co do ludzi i rzeczy i nic go nie wyprowadzało z równowagi. Jego matkę przerażało chwilami podobieństwo do Ralphi, lecz nikt poza nią tego nie dostrzegł. Ralph wyjechał z Gilly tak dawno, a mały Dane, mimo że miał te same rysy twarzy i podobną sylwetkę, różnił się od ojca jedną podstawową cechą: zamiast kruczoczarnych włosów miał jasne kędziory koloru trawy w Droghedzie, srebrzyste, z odcieniem beżu.

Justyna pokochała swojego małego braciszka od chwili, w której go ujrzała. Niczego mu nie żałowała, każdą rzecz gotowa była zrobić dla niego. Kiedy zaczął chodzić, nie odstępowała go ani na krok. Meggie wdzięczna była za to, obawiała się bowiem, że pani Smith i służące są już za stare, by nadążyć za malcem. Którejś wolnej niedzieli Meggie wzięła Justynę na kolana i przeprowadziła z nią poważną rozmowę na temat opiekowania się braciszkiem.

– Nie mogę być teraz w domu cały czas, by się nim opiekować – powiedziała – wszystko zatem zależy od ciebie, Justynko. To twój maleńki braciszek i musisz zawsze na niego uważać, żeby nie zrobił sobie krzywdy.

Jasne oczy patrzyły na nią inteligentnie, wcale nie jak rozkojarzone oczy czterolatka.

– Nie martw się mamó – powiedziała pewnym głosem. – Zawsze będę się nim opiekowała za ciebie.

– Chciałabym sama się nim opiekować – westchnęła Meggie.

– A ja nie – odpowiedziała Justynka, zadowolona z siebie. – Podoba i się, że jest cały mój.

Nie musisz się martwić. Nie pozwolę, by mu się cokolwiek stało.

Dla Meggie to zapewne wcale nie było takie radosne, choć z pewnością pocieszające. Nad wiek rozwinięte dziecko zamierzało zabrać jej syna, a ona nie mogła temu zapobiec. Wracała na pastwiska, zostawiając Justynkę na straży małego. Czuła się odsunięta przez własną córkę, która zachowywała się jak mały potwór. W kogo ona się wrodziła, na Boga? – myślała Meggie. – Nie w Luke'a, nie we mnie, nie w Fee.

Teraz Justynka była dzieckiem uśmiechniętym i radosnym. Skończyła cztery lata, zanim zobaczyła cokolwiek śmiesznego w świecie, który ją otaczał. To, że tak się stało, było zasługą Dane'a, który od niemowlęctwa śmiał się ze wszystkiego. Ponieważ on się śmiał, to i ona się uśmiechała. Dzieci Meggie cały czas uczyły się od siebie nawzajem. Bolało ją jednak, że potrafiły dawać sobie znakomicie radę bez niej. Zanim skończy się ta nieszczęsna wojna, Dane urośnie i już nigdy nie będzie między nimi bliskiej więzi. Na zawsze pozostanie bliższy Justynie. Dlaczego za każdym razem, gdy sędzę, że udało mi się ułożyć życie, zdarza się coś nieprzewidzianego? Nie chciałam przecież ani tej wojny, ani tej suszy...

W gruncie rzeczy dobrze się złożyło, że w Droghedzie życie było takie ciężkie. Gdyby było inaczej Jack i Hughie zaciągnęliby się bez wątplenia. A tak nie mieli innego wyboru, jak zabrać się do pracy i próbować ratować, co się tylko dało, z suszy, która w przyszłości zyskała miano Wielkiej Suszy. Dotknęła ponad milion mil kwadratowych ziemi uprawnej i pastwisk, od Wiktorii na południu aż po Stepy Mitchella na północy.

Wojna zaprzętała myśli ludzi Droghedy na równi z suszą. Niespokojni o los bliźniaków walczących w Afryce, uważnie śledzili przebieg kampanii z jej przepychankami przez Libię tam i z powrotem. Popierali gorąco Partię Pracy i odnosili się niechętnie do obecnego rządu, który z nazwy był co prawda liberalny, ale w istocie konserwatywny. Kiedy w sierpniu 1941 roku Robert Gordon Menzies podał się do dymisji, przyznając, że nie jest w stanie rządzić, świętowali radośnie. Kiedy zaś trzeciego października przywódca Partii Pracy John Curtin został poproszony o utworzenie gabinetu, uznali to za najlepszą wieść, jaka dotarła do Droghedy od wielu lat.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym i w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku narastał niepokój co do stanowiska Japonii, szczególnie po tym, jak Roosevelt i Churchill odcięli źródła ropy naftowej. Europa była bardzo daleko, a Hitler ze swymi armiami oddalony od Australii o całe dwanaście tysięcy mil. Japonia natomiast leżała w Azji. Zagrozała temu bogatemu, ale pustemu i rzadko zaludnionemu kontynentowi jak wielki młot zawieszony nad kowadłem. Nikt więc w Australii nie zdziwił się, gdy Japonia zaatakowała Pearl Harbor. Czekali na ten cios, nie wiedzieli tylko, z której strony nadejdzie. Nagle wojna stała się bliska, mogła nawet wtargnąć na ich własne terytorium. Pomiędzy Australią a Japonią nie było żadnych wielkich oceanów, tylko wielkie wyspy na niewielkich morzach.

W Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku upadł Hongkong. – Niemożliwe jednak, by żółtki zdobyły Singapur – mówili ludzie z troską. Potem przyszły wieści o lądowaniu Japończyków na Malajach i Filipinach. Wielka baza marynarki na czubku Półwyspu Malajskiego stała w gotowości bojowej, jej wielkie działa wymierzone w morze, jej flota gotowa do akcji. W dniu ósmym lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Japończycy przeszli przez wąski przesmyk Johore i wylądowali po północnej stronie wyspy Singapur, zachodząc miasto od tyłu, poza zasięgiem jego bezsilnych dział. Singapur dostał się w ręce wroga bez jednego wystrzału.

A potem przyszły wspaniałe wieści! Wszystkie wojska australijskie miały wrócić z Afryki do domu. Premier Curtin stawiał czoło wściekłości Churchilla, obstając przy tym, iż obowiązkiem Australijczyków jest przede wszystkim obrona Australii. Szósta Dywizja i Siódma szybko zaokrętowały się w Aleksandrii. W miarę uzyskiwania dalszych okrętów w ich ślady miała pójść Dziewiąta Dywizja, wciąż jeszcze przychodząca do sił w Kairze po

stratach poniesionych w Tobruku. Fee uśmiechała się, a Meggie była niemal nieprzytomna z radości. Jims i Patsy wracali do domu.

Ale nie wrócili. Podczas gdy ich dywizja czekała na okręty, szale wojny znów się przechyliły. Ósma Armia Brytyjska znajdowała się w pełnym odwrocie spod Benghazi. Premier Churchill dobił targu z premierem Curtinem. Dziewiąta Dywizja Australijska pozostała w Afryce Północnej w zamian za dywizję amerykańską, którą wysłano do obrony Australii. Dla Australijczyków był to jednak wstrząs, gdy się dowiedzieli, że Anglia wypycha z gniazda wszystkie swoje dalekowschodnie pisklęta, nawet tak tłuste jak Australia. Nocą dwudziestego trzeciego października tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku na pustyni było bardzo cicho. Patsy poruszył się nieznacznie, odnalazł w ciemności swego brata i jak małe dziecko wtulił się w jego ramiona. Jims otoczył go ramieniem i tak siedzieli w pełnym zrozumienia milczeniu. Sierżant Bob Malloy dał kuksańca w bok szeregowcowi Colowi Stuartowi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Para pedałów – powiedział.

– Odczep się – odpowiedział Jims.

– No, Milczku, powiedz coś – zamruczał Col.

Patsy uśmiechnął się do niego słodko, choć niewiele było widać w ciemności. Otworzył usta wydając dźwięk doskonale imitujący trąbkę. Wszyscy dokoła syknęli, by się uciszyć, bowiem obowiązywała cisza przed natarciem.

– O Chryste, to czekanie mnie wykończy – westchnął Bob.

Patsy odezwał się niemal krzykiem.

– To milczenie mnie wykańcza!

– Ty cholerny cyrkowcu, ja cię wykończę! – wykrztusił Col sięgając po bagnet.

– Na miłość boską, zamknijcie się! – rozległ się głos kapitana. – Co za pieprzony idiota tak wrzeszczy?

– Patsy – zawtórowało pół tuzina głosów.

Wybuch śmiechu przeleciał pocieszająco po polu minowym i zgasł w strumieniu zduszonych przekleństw kapitana. Sierżant Malloy spojrział na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza czterdzieści.

Osiemset siedemdziesiąt dwa brytyjskie działa i haubice zagrzmiały jednocześnie. Niebiosa zawirowały, ziemia drgnęła, rozprężyła się i nie mogła już wrócić do poprzednich kształtów, bowiem ostrzeliwanie ogniem zaporowym trwało bez chwili przerwy z natężeniem rozsadzającym mózg. Zatykanie uszu palcami nic nie pomagało. To gigantyczne huczenie przechodziło przez ziemię, kości i dochodziło do mózgu. Jaki to miało wpływ na wroga, żołnierze Dziewiątki w okopach mogli sobie tylko wyobrazić. Na ogół rozpoznawali typ i wielkość strzelających dział po huku, lecz tej nocy ich żelazne gardziele grzmiały w doskonałej harmonii, nie przestając ani na chwilę.

Pustynia rozświetliła się nie światłem dnia, lecz ogniem samego słońca. Wielka kłębiąca się chmura kurzu unosiła się na tysiące stóp w powietrze jak wijący się dym, płonący błyskami eksplodujących pocisków i min, zapalający magazyny broni wielkimi skaczącymi jęzorami ognia ze zmasowanych wybuchających pocisków. Wszystko, co miał Montgomery – działa, haubice, moździerze – wycelowane było w pola minowe. I wszystko, co miał Montgomery, strzelało tak szybko, jak tylko mogli nadażyć uwijający się, spoceni żołnierze, przypominający niewolników karmiących paszcze broni, jak kukułcze pisklę karmione jest zapamiętałe przez malutkie ptaszki. Lufy dział rozgrzały się, a czas między odrzutem i załadowaniem stawał się coraz krótszy, w miarę jak artylerzyści dawali się unieść własnemu impetowi. Jak szaleńcy tańczyli stereotypowy taniec przy swoich działach polowych.

To było piękne, wspaniałe – szczytowy moment w życiu każdego artylerzysty, moment, który przeżywał wciąż od nowa w marzeniach, na jawie i we śnie, przez resztę swego zupełnie spokojnego życia. Te piętnaście minut z działami Montgomery'ego każdy z nich

pragnął przeżyć jeszcze raz od początku.

Cisza. Absolutna cisza po ustaniu ognia jak fala odbiła się o rozszerzone bębni. Wydawało się, że jej nie zniosą. Nastąpiła dokładnie na pięć minut przed dziesiątą. Dziewiąta Dywizja ruszyła z okopów do przodu na ziemię niczyją, wyciągając magazynki nabojów, odbezpieczając broń, sprawdzając manierki, żelazne racje, zegarki, hełmy. Patrzyli, czy sznurowadła są dobrze zawiązane i gdzie podziewają się żołnierze z karabinami maszynowymi. Widzialność była dobra w świetle płomieni i żarzącego się, zeszkłonego w ogniu piasku. Byli jednak jeszcze bezpieczni, bowiem między nimi a wrogiem wisiała kurtyna kurzu. Zatrzymali się na samym brzegu pól minowych i tam czekali.

Dokładnie o dziesiątej sierżant Malloy podniósł gwizdek do ust i zagwizdał przenikliwie na swoją kompanię. W tym momencie kapitan krzyknął komendę: „Naprzód!” Na przestrzeni dwóch mil front dywizji ruszył do natarcia przez pola minowe. Za nimi zaryczały znów działa. Widzieli, gdzie idą, jakby to był dzień. Pociski z haubic o najkrótszym zasięgu rozrywały się zaledwie na kilka jardów przed nimi. Co trzy minuty zasięg dział wydłużał się o sto jardów. Trzeba było przeskoczyć te sto jardów modląc się, by miny po drodze okazały się minami przeciwczołgowymi, albo, jeśli to były miny przeciw piechocie, żeby zostały zniszczone wcześniej bombardowaniem Montgomery’ego. W polu znajdowali się jeszcze Włosi i Niemcy, były tam placówki broni maszynowej i artylerii małego kalibru oraz moździerze. Czasami ktoś stawał na minie i widział jeszcze, jak wyskakuje ona do góry, zanim go rozerwała na pół. Nie było czasu na myślenie. Trzeba było poruszać się szybkimi skokami do przodu, w takt dział, sto jardów do przodu co trzy minuty, modląc się przez cały czas. huk, jasność, kurz, dym i przeraźliwy strach. Polom minowym nie było końca, ciągnęły się dwie, trzy mile i nie było żadnego odwrotu. Czasami w króciutkich chwilach między kolejnym ostrzeliwaniem artyleryjskim słychać było w oddali niesamowity dźwięk kobzy, unoszący się w rozpalonym, zgrzytającym powietrzu. To szła Pięćdziesiąta Pierwsza Dywizja Szkocka prowadzona przez kobziarzy. Dla Szkota dźwięk kobzy był najmiłszym wezwaniem do boku, dla Australijczyka wydawał się przyjazny i pocieszający, natomiast na Niemcach sprawiał okropne wrażenie, jeżąc im włosy na głowie.

Bitwa trwała dwanaście dni. Była to bardzo długa bitwa. Początkowo Dziewiąta Dywizja miała szczęście, poniosła niewielkie straty.

– Wiecie co? Wolę, żeby do mnie strzelano, niż być saperem – powiedział Col Stuart, opierając się na łopacie.

– Nie jestem taki pewny. Im się najlepiej powodzi – warknął sierżant. – Czekają na tyłach, aż my zrobimy za nich całą robotę, potem włożą z cholernymi wykrywaczami min, żeby oczyścić ścieżki dla cholernych czołgów.

– To nie wina czołgów, Bob, tylko dowództwa, które je wysyła – wtrącił się Jims przyklepując łopatką wierzch nowego okopu.

– Chryste, mogliby potrzymać nas dłużej w jednym miejscu. Więcej przekopałem piasku w ciągu ostatnich pięciu dni niż mrówkojad.

– Kop dalej, kolego – odparł Bob bez współczucia.

– Hej, patrzcie! – krzyknął nagle Col wskazując na niebo.

Osiemnaście lekkich bombowców RAF leciało wzdłuż doliny w doskonałym szkolnym szyku, zrzucając patyczki bomb ze śmiertelną dokładnością na Niemców i Włochów.

– Cholernie fajnie – powiedział sierżant Bob Malloy zadzierając głowę do góry.

Trzy dni już nie żył. Podczas następnego natarcia olbrzymi odłamek szrapnela oderwał mu rękę i cały bok. Nie było czasu się zatrzymać. Ktoś tylko wyrwał gwizdek z tego, co pozostało po jego ustach. Ludzie padali jak muchy, zbyt zmęczeni, by zachować pierwotną czujność i szybkość. Trwali na każdej pędzi tej pustej, smutnej ziemi, którą zdobyli na zaciekle broniącym się wrogu. Trzymała ich uparta chęć wygrania tej walki.

Australijczycy powstrzymali Sponecka i Lungerhausena, podczas gdy czołgi przerwały

linię na południu. Rommel został pokonany. W dniu ósmym listopada starał się zebrać resztki sił po drugiej stronie granicy egipskiej, pozostawiając pole Montgomery'emu. Było to szalenie istotne taktyczne zwycięstwo, zwane drugim Alamajn. Rommel został zmuszony do pozostawienia wielu czołgów oraz dział i wyposażenia. Operacja „Pochodnia” mogła rozpocząć się uderzeniem na wschód z Maroka i Algierii przy nieco lepszym zabezpieczeniu. Lis Pustyni mógł jeszcze walczyć, lecz kitę zostawił pod Alamajn. Największa i decydująca bitwa północnoafrykańskiego teatru wojennego została wygrana przez wicehrabiego Montgomery'ego pod Alamajn.

Drugie Alamajn było łabędzim śpiewem Dziewiątej Dywizji w Afryce Północnej. Nareszcie wracali do domu, aby stawić czoło Japończykom w Nowej Gwinei. Od marca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku znajdowali się w zasadzie cały czas na pierwszej linii. Włączyli się w tę wojnę słabo wyszkoleni i wyposażeni, opuszczali ją z reputacją nieco tylko gorszą od Czwartej Dywizji Hinduskiej. Z dywizją wracali do domu Jims i Patsy, obaj cali i zdrowi.

Oczywiście dostali przepustki na wyjazd do Droghedy. Bob pojechał do Gilly odebrać ich z pociągu z Goondiwindi. Dziewiąta Dywizja została bowiem ulokowana w Brisbane i po przeszkoleniu w dżungli miała wziąć udział w walkach w Nowej Gwinei. Kiedy rolls pojawił się na podjedzie, wszystkie kobiety wyległy na trawnik. Jack i Hughie trzymali się nieco z tyłu, choć i oni nie mogli się już doczekać młodszych braci. Wszystkie pozostałe w Droghedzie owce mogły wyzdychać tego dnia, jeśli chciały – dla braci było to święto.

Samochód zatrzymał się i chłopcy wysiedli, ale nadal nikt się nie ruszył. Tak bardzo się zmienili. Ubrani byli w nowe zielone mundury do walki w dżungli, wcale niepodobne do tych starych, zniszczonych p[odczas dwóch lat walk na pustyni. Przede wszystkim stali się mężczyznami. Wyrzeczenia, walka, euforia i gwałtowna śmierć uczyniły z nich nieznanym. Słońce Afryki Północnej wysuszyło ich i opaliło na ciemny mahoń, starło wszelkie ślady dzieciństwa. Patrząc na tych dwóch mężczyzn w prostych mundurach ze znakami Australijskich Sił Zbrojnych, można było uwierzyć, że zabijali ludzi. Widać to było w ich oczach, które były niebieskie jak oczy ojca, lecz smutniejsze i pozbawione łagodności.

– Moi kochani chłopcy, moi chłopcy! – wołała pani Smith biegnąc do nich i płacząc ze szczęścia. Dla niej nie miało znaczenia, co robili i jak bardzo się zmienili. Pozostali nadal jej małymi dziećmi, które kąpała, przewijała i karmiła, którym ocierała łzy i całowała rany, aby szybciej się goiły. Ran, które teraz nieśli w sercach, jej pocałunki nie umiały już zagoić.

Wszyscy otoczyli bliźniaków. Śmiali się, płakali, nawet biedna Fee pogładziła ich po plecach usiłując się uśmiechać gdy ją nieśmiało uścisnęli. Całowała chłopców Meggie, potem Minnie i Cat. Jack i Hughie wyciągnęli dłonie nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Mieszkańcy Droghedy nie mieli się nigdy dowiedzieć, jakie znaczenie miał dla bliźniaków powrót do domu, jak długo czekali na tę chwilę i jak bardzo się jej obawiali.

A jaki apetyt mieli! – Jedzenie w armii nie dorównuje domowemu – mówili ze śmiechem. Kruche ciasteczka, trufle w czekoladzie, pudding przygotowany na parze, owoce z cukrem i domową śmietaną. Pamiętając, jakie mieli delikatne żołądki w dawnych czasach, pani Smith była przekonana, że cały tydzień będą to odchorowywać. Jednak dopóki starczało herbaty do popijania, nie mieli żadnych kłopotów z trawieniem.

- Trochę to inne od szlonskich chlebków, Patsy?
- Ano.
- Co to znaczy „szlonskie”? – spytała pani Smith.
- Szlon to Arab, a makaroniarz to Włoch, tak, Patsy?
- Ano.

W gruncie rzeczy było to dziwne. Mogli godzinami opowiadać, przynajmniej Jims, o Afryce Północnej, o miastach, ludziach, jedzeniu, muzeum w Kairze, życiu na transportowcu



wojskowym, w obozie, unikali jednak rozmów na temat samej walki, bitew pod Gazalą, Benghazi, Tobrukiem czy Alamajn. Po wojnie kobiety ciągle się z tym stykały. Ci z mężczyzn, którzy wzięli udział w walce, nigdy nie chcieli o tym mówić, odmawiali należenia do klubów i lig byłych żołnierzy, których celem było kultywowanie wspomnień z wojny.

W Droghedzie przygotowano przyjęcie. Ponieważ Alastair MacQueen był w tej samej jednostce i też wrócił do domu, w Rudnej Hunish również odbyło się przyjęcie. Dwaj najmłodszy synowie Dominika O'Rourke walczyli w Nowej Gwinei, więc mimo iż oni sami nie mogli być obecni, Dibban-Dibban także zorganizowało zabawę. We wszystkich posiadłościach, gdzie właściciele mieli synów w wojsku, świętowano szczęśliwy powrót do domu trzech chłopców z Dziewiątej Dywizji. Kobiety i dziewczęta otaczały ich, ale dwaj bohaterowie Cleary uciekali od nich przy byle okazji, bardziej przerażeni tą nową sytuacją niżli kiedykolwiek na polu bitwy.

Wyglądało na to, iż Jims i Patsy nie chcą mieć do czynienia z kobietami. Woleli towarzystwo Boba, Jacka i Hughiego. Nocami, długo po odejściu kobiet na spoczynek, siadywali z braćmi i wtedy otwierali przed nimi swoje rany i zbolące serca. W dzień objeżdżali pastwiska Droghedy wchodzącej w siódmy rok suszy i cieszyli się z możliwości noszenia cywilnego ubrania.

Nawet tak spękana i storturowana ziemia wydała się bliźniakom niewypowiedzianie piękna, owoce swojskie, a późne róże w ogrodzie pachniały niebiańskimi perfumami. Pragnęli zagłębić się w tym wszystkim, by nigdy nie zapomnieć. Poprzednio odeszli nieco bez troski, nie zdawali sobie wtedy sprawy, co ich czeka. Tym razem opuszczali dom zachowując w pamięci każdą wspianą chwilę, a w portfelach zabrali zasuszone róże i kilka ździebeł jedynej w swoim rodzaju trawy z Droghedy. Dla Fee byli serdeczni i pełni współczucia, dla Meggie, pani Smith, Minnie i Cat kochający i bardzo, bardzo czuli. To one przecież były dla nich prawdziwymi matkami.

Meggie najbardziej cieszył ich stosunek do Dane'a. Bawili się z nim całymi godzinami, zabierali na długie przejażdżki, śmiali się wspólnie i turlali po trawniku. Justyna zdawała się ich przerażać. Ale taki stosunek mieli do wszystkich niewiast, których nie znali tak dobrze jak starszych kobiet z gospodarstwa. Poza tym Justyna była wściekle zazdrosna o braciśzka, którym zajmowali się cały czas, sama bowiem nie miała się z kim bawić.

– To wspinały maluch, Meggie – powiedział Jims pewnego dnia, gdy Meggie wyszła na werandę. Siedział w wyplatanej fotelu i przyglądał się bratu baraszkującemu z malcem na trawniku.

– Jest śliczny, to prawda – zaśmiała się Meggie siadając naprzeciwko. Popatrzyła na niego ze współczuciem, przecież niegdyś też byli jej dziećmi. – Co ci jest, Jims? Nie możesz mi powiedzieć?

Podniósł ku niej oczy, w których rysowało się głębokie cierpienie. Potrząsnął jednak głową.

– Nie, Meggie, to nie są rzeczy, o których mógłbym rozmawiać kobietą.

– A co będzie, jeśli się to wszystko skończy i się ożenicie? Nie będziesz chciał opowiedzieć żonie?

– Mielibyśmy się ożenić? Nie sądzę. Wojna każe o tym wszystkim zapomnieć. Chcieliśmy tak bardzo iść na wojnę, ale teraz jesteśmy mądrzejsi. Gdybyśmy się ożenili, mielibyśmy synów i po co? Żeby wyrosli i musieli iść tam, gdzie myśmy byli. zobaczyć, co myśmy zobaczyli?

– Jims, nie mów tak!

Pobiegł za jej wzrokiem, który skierowała na małego Dane'a chichoczącego, bowiem Patsy trzymał go do góry nogami.

– Meggie, nie pozwól mu nigdy wyjechać z Droghedy. Tutaj nie stanie mu się nigdy żadna krzywda.

Nie bacząc na zdumione spojrzenie przechodzących, arcybiskup de Bricassart przebiegł wysokim pięknym korytarzem i wpadł do pokoju kardynała. Tu zatrzymał się jak wryty widząc pana Papee, ambasadora polskiego rządu emigracyjnego w Watykanie.

– Ralphie, co się stało? – spytał kardynał.

– Mussolini został obalony!

– O Jezusie! Czy Ojciec Święty już wie?

– Sam dzwoniłem do Castel Gandolfo, chociaż radio powinno podać to za chwilę. Dzwonił do mnie przyjaciel z niemieckiego sztabu.

– Mam nadzieję, że Ojciec Święty ma spakowane walizki – powiedział pan Papee z nikłym cieniem zadowolenia.

– Nawet gdybyśmy go przebrali za żebrzącego franciszkanina, to nie wiem, czyby mu udało się wydostać – uciął krótko arcybiskup Ralph. – Kesselring zablokował wszystkie wyjazdy z miasta. Nawet szczur się nie prześlizgnie.

– Zresztą nie ruszyłyby się stąd – powiedział kardynał.

Pan Papee wstał.

– Muszę opuścić Waszą Eminencję. Reprezentuję rząd, który jest wrogiem Niemiec. Jeśli jego Świętobliwość nie jest bezpieczny, to tym bardziej ja. Muszę zająć się pewnymi dokumentami znajdującymi się w moim posiadaniu.

Skromny i dokładny, był dyplomata w każdym calu. Wyszedł, pozostawiając księży samych.

– Czy przyszedł wstawić się za swój uciemiężony naród?

– Tak, biedny człowiek, tak bardzo mu na tym zależy.

– A nam nie?

– Oczywiście że tak, Ralphie! Ale sprawa jest bardziej skomplikowana, niż on przypuszcza.

– W rzeczy samej, nie wierzy się jego słowom.

– Ralphie!

– A czy nie jest tak, jak mówię? Ojciec Święty spędził wczesne lata w Monachium, zakochał się w Niemcach i nadal ich kocha, wbrew wszystkiemu. Gdyby nawet mu pokazano te okropne zniszczone ciała jako dowód, powiedziałyby, że to sprawka Rosjan, a nie tych ukochanych Niemców, narodu tak cywilizowanego i kulturalnego.

– Ralphie, nie jesteś jezuitą! Znalazłeś się tutaj, bowiem przysiągłeś osobiste posłuszeństwo Ojcu Świętemu. Płynie w twoich żyłach gorąca krew twych irlandzkim przodków, lecz błagam cię, zachowaj rozsądek! Od zeszłego roku zastanawiamy się, kiedy nadejdzie koniec, i modlimy się, by II Duce pozostał, aby nas uchronić od niemieckich represji. Adolf Hitler jest dziwnie przekorny, bowiem są dwie potęgi, o których wie, że są wrogo nastawione do niego, a które chciałby zachować, o ile to możliwe: Imperium Brytyjskie i Kościół katolicki w Rzymie. Postawiony jednak w sytuacji bez wyjścia, zrobił wszystko, co mógł, by zniszczyć Imperium Brytyjskie. Sądzisz, że nas zniszczy, jeśli go do tego zmusimy? Wystarczy jedno oskarżenie tego, co się dzieje w Polsce, i na pewno nas zniszczy. A co dobrego może przynieść takie oskarżenie, mój przyjacielu? Nie mamy armii, nie mamy żołnierzy. Represje byłyby natychmiastowe, a Ojciec Święty zostałby wywieziony do Berlina, czego najbardziej się obawia. Czyż nie pamiętasz marionetkowego papieża z Avignon tyle wieków temu? Chcesz, by nasz papież był marionetką Berlina?

– Przepraszam, Vittorio, widzę to w zupełnie innym świetle. Musimy oskarżyć Hitlera, wykrzykiwać powszechnie każde jego bezceństwo! Kazałyby nas rozstrzelać, stalibyśmy się męczennikami. To by było jeszcze skuteczniejsze.

– Jesteś zaślepiony, Ralphie! Wcale by nas nie kazał rozstrzelać! Równie dobrze jak my rozumie oddziaływanie męczeństwa. Ojciec Święty pojechałby do Berlina, a nas wysłano by do Polski. Do Polski, Ralphie, do Polski! Chcesz umrzeć bez sensu gdzieś w Polsce? Tu

choć masz jakieś możliwości działania.

Arcybiskup Ralph usiadł, zacisnąwszy pięści w niemym geście buntu. Miał teraz czterdzieści dziewięć lat i był jeszcze szczuplejszy niż dawniej.

– Ralphie, jesteśmy, jacy jesteśmy. Jesteśmy ludźmi, ale przede wszystkim jesteśmy kapłanami.

– Vittorio, ujmowałeś to nieco inaczej, gdy wróciłem z Australii.

– Wtedy chodziło mi o coś innego i ty dobrze o tym wiesz. Jesteś uparty. Nie możemy teraz myśleć jak zwykli ludzie. Musimy myśleć jak kapłani, bowiem jest to najważniejszy aspekt naszego życia. Cokolwiek byśmy myśleli lub chcieli zrobić jako zwykli ludzie, musimy pamiętać, że winni jesteśmy posłuszeństwa Kościołowi, a nie żadnej doczesnej władzy. Winni jesteśmy lojalność jedynie Ojcu Świętemu! Przysięgałeś posłuszeństwo, Ralphie. Czy masz zamiar znów złamać śluby? Ojciec Święty jest nieomylny we wszystkich sprawach dotyczących Kościoła.

– Ale on się myli! Jest uprzedzony. Całą swoją energię zużywa na walkę z komunizmem, a w Rzeszy widzi jego największego wroga, jedyny czynnik hamujący przenikanie komunizmu na Zachód. On chce, by Hitler mocno trzymał się w niemieckim siodle, tak jak nie miałby nic przeciwko temu, by Mussolini rządził we Włoszech.

– Uwierz mi, Ralphie, są rzeczy, o których nie masz pojęcia. On jest papieżem jest nieomylny! Jeśli zaprzeczysz temu, zaprzeczysz swojej wierze.

Drzwi otworzyły się szybko i dyskretnie.

– Wasza Eminencjo, generał Kesselring.

Obaj wstali. Z ich twarzy znikły wszelkie oznaki niedawnej różnicy zdań. Uśmiechali się.

– To wielka przyjemność, panie generale. Proszę usiąść. Napije się pan Herbaty?

Konwersacja prowadzona była po niemiecku. Wiele osób wysokiej rangi w Watykanie znało ten język, ponieważ Ojciec Święty lubił mówić po niemiecku i słuchać tej mowy.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo. Z przyjemnością. Nigdzie w Rzymie nie można posmakować tak doskonale parzonej herbaty.

Kardynał Vittorio uśmiechnął się szczerze.

– Nauczyłem się tego zwyczaju, gdy byłem papieskim legatem w Australii. I mimo całej mojej włoskości, nie umiem się go wyzbyć niemal od kołyski.

Generał Albert Kesselring lubił arcybiskupa de Bricassart za jego bezpośredniość. Po tych wszystkich śliskich, włoskich prałatach odbierał go jako człowieka prostego, pozbawionego chytrych i przebiegłości.

– Wasza Wielbność jak zwykle zdumiewa mnie poprawnością niemieckiego.

– Mam ucho do języków, panie generale. A to znaczy, że jak każdym talentem, nie ma się czym chwalić.

– Czym możemy służyć, panie generale? – uprzejmie zapytał kardynał.

– Przypuszczam, że o II Duce już słyszeliście?

– Tak, słyszeliśmy.

– Zatem po części domyślacie się, w jakim celu przyszedłem. Chcę was zapewnić, że wszystko jest w porządku i prosić o przekazanie tej wiadomości do Castel Gandolfo. Jestem w tej chwili zbyt zajęty, bym sam mógł udać się tam z wizytą.

– Wiadomość zostanie przekazana. Jest pan tak zajęty?

– Naturalnie. Czy zdajecie sobie sprawę, że teraz kraj wasz jest wrogi wobec Niemców?

– Nasz, panie generale? To nie jest ziemia włoska i żaden człowiek nie jest tu wrogiem.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Eminencjo. Oczywiście miałem na myśli Włochy, a nie Watykan. W przypadku Włoch zobowiązany jestem czynić tak, jak rozkaże mój Führer. Kraj będzie okupowany. Nasze wojska, które dotąd obecne były tylko w charakterze sprzymierzeńców, staną się teraz okupantami.

Arcybiskup Ralph siedział wygodnie w fotelu i przyglądał się uważnie gościowi. Jego

twarz była nieprzenikniona. Przyglądając się Kesselringowi zastanawiał się, czy jest możliwe, by nie wiedział on o tym, co działo się w Polsce. Jak mógł nie wiedzieć, co robił tam jego Führer?

Kardynał Vittorio udał zaniepokojenie.

– Drogi panie generale, chyba nie w samym Rzymie? O nie! W Rzymie, z jego historią i bezcennymi zabytkami? Jeśli wprowadzi pan wojska do miasta, będzie walka, zniszczenia. Błagam pana, niech pan tego nie robi!

Generał Kesselring wyglądał na zakłopotanego.

– Mam nadzieję, Wasza Eminencjo, że do tego nie dojdzie. Mnie również wiąże przysięga. Wykonuję tylko rozkazy. Muszę działać zgodnie z życzeniami Führera.

– Panie generale, niech pan się postara. Błagam, to od pana zależy. Byłem w Atenach parę lat temu – powiedział arcybiskup Ralph pochylając się w stronę generała. Oczy miał szeroko otwarte, a na czoło opadł kosmyk szpakowatych włosów. Ralph doskonale zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywierał na generale, i wykorzystywał to bez żenady. – Czy był pan w Atenach, panie generale?

– Byłem – odparł krótko generał.

– Zatem wie pan, jak doszło do zniszczenia starożytnych budowli na Akropolu? Panie generale, Rzym stoi, jak stał od wieków, pomnik dwóch tysięcy lat troski i miłości. Proszę, błagam! Niech pan nie wystawia tego na niebezpieczeństwo.

Generał patrzył na niego ze zdumieniem i podziwem. W mundurze było mu do twarzy, lecz nie tak, jak arcybiskupowi w jego sutannie, sylwetkę miał żołnierską i twarz anioła. Tak zapewne wyglądał archanioł Michał. Wcale nie jak ten renansansowy młodzieniec, znany ze sztuki, lecz jak dojrzały i doskonały mężczyzna, który darzył miłością Lucyfera, walczył z nim, wygnał Adama i Ewę, zabił potwora, stanął po prawicy Pana Boga. Czy arcybiskup zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu? Niewątpliwie był człowiekiem, którego niełatwo się zapomina.

– Zrobię, co w mojej mocy, obiecuję. Przyznaję, że jest to do pewnego stopnia rzeczywiście zależne ode mnie. Jestem człowiekiem cywilizowanym. Wymagacie jednak bardzo wiele. Jeśli ogłoszę Rzym miastem otwartym, będzie to znaczyło, że nie mogę wysadzić mostów czy zamienić jego budowli w fortece, a to może w ostatecznym rachunku obrócić się przeciwko Rzeszy. Jaką mogę mieć pewność, że Rzym nie odpłaci mi zdradą, jeśli będę mu życzliwy?

Kardynał Vittorio ściągnął wargi cmokając na swoją syjamską kotkę. Uśmiechnął się lekko, patrząc na arcybiskupa.

– Rzym nigdy nie zapłaci zdradą za życzliwość, panie generale. Jestem przekonany, że te same zapewnienia usłyszysz pan, gdy znajdzie pan czas na wizytę w Castel Gandolfo. Moja pieszczołka, jaka jesteś śliczna! – Poglądził wyprężony koci grzbiet.

– Niezwykłe zwierzę, Wasza Eminencjo.

– Arystokratka, generale. I ja, i arcybiskup nosimy stare szanowane nazwiska, lecz przy jej rodowodzie nasze generale są niczym. Czy podoba się panu jej imię: Kheng-see? Po chińsku znaczy to jedwabny kwiat. W pokoju zapanowało milczenie, dopóki świecka siostra nie rozstawiła filiżanek i nie wyszła.

– Nie będzie pan żałował tej decyzji, panie generale – arcybiskup Ralph zwrócił się do nowego pana Włoch ze wzruszającym uśmiechem. Gdy odwrócił się znów do kardynała, zrzucił jednak tę maskę wdzięku, niepotrzebną wobec umiłowanego człowieka.

Tego wieczory arcybiskup Ralph czuł się zmęczony, rozdrażniony i niespokojny. Nic, co czynił, nie pomagało w zakończeniu tej wojny, a miał już dość targowania się o zachowanie zabytków. Nienawidził całego serca inercji Watykanu. Choć sam był raczej konserwatywny, czasami nie potrafił tolerować ślimaczej ostrożności tych, którzy zajmowali w Kościele najwyższe godności. Jeśli w Watykanie, to od tygodni nie rozmawiał ze zwykłym

człowiekiem, kimś, kto nie miałby swoich własnych politycznych, duchowych czy militarnych interesów do załatwienia. Nawet modlitwa nie przychodziła mu teraz łatwo, a Bóg wydawał się być oddalony o lata świetlne, jakby wycofał się, pozwalając istotom ludzkim bez przeszkód niszczyć świat, który dla nich stworzył. Najbardziej potrzebował w tej chwili rozmowy z Meggie i Fee albo z kimkolwiek, kogo nie interesowałyby losy Watykanu czy nawet Rzymu.

Zszedł do prywatnych schodach do bazyliki Świętego Piotra. Wrota bazyliki zamykano teraz o zmierzchu, co było oznaką niespokojnych czasów, znacznie bardziej widoczną niż nawet kompanie szaro odzianych Niemców, poruszających się po ulicach miasta. Nikłe upiorne światło rozjaśniło wielką pustą apsydę. Jego kroki głucho dudniły na kamiennej posadzce i ucichły, gdy ukląkł przed wielkim ołtarzem, po czym znów zabrzmiały. Wtem, pomiędzy jednym stąpieniem a drugim, usłyszał ostre wciągnięcie powietrza. Zapalił natychmiast trzymaną w ręku latarkę i rzucił snop światła w kierunku, skąd doszedł dźwięk. Bardziej był zaciekawiony niż przestraszony. To był jego świat i mógł go bronić wolny od strachu.

Latarka wydobyła z ciemności rzeźbę, którą uważał za najpiękniejszą – „Pietę” Michała Anioła. Poniżej dramatycznych twarzy z marmuru mignęła jeszcze jedna, ludzka, zapadnięta i podobna do maski pośmiertnej.

– Witaj! – rzekł uśmiechając się.

Nie słyszał odpowiedzi, ale zauważył mundur należący do niemieckiego szeregowca piechoty. To był ten zwykły człowiek, z którym pragnął porozmawiać! To, że zwykły człowiek był Niemcem nie miało znaczenia.

– Jak się masz? – spytał po niemiecku wciąż się uśmiechając.

Zobaczył w świetle latarki błyszczące krople potu na wysokim czole.

– Jesteś chory? – spytał myśląc, że może chłopiec – bo był to zaledwie chłopiec – jest chory.

Wreszcie usłyszał odpowiedź.

– Nie.

Arcybiskup Ralph położył latarkę na podłodze i podszedł do chłopca, ujął go pod brodę i podniósł twarz, by spojrzeć w ciemne oczy.

– Co się stało? – spytał i roześmiał się. – Nawet nie wiesz, że moim głównym zadaniem w życiu jest stawianie ludziom tego pytania. I wierz mi, nieraz wpakowałem się w tarapaty przez to pytanie.

– Przyszedłem się pomodlić – powiedział chłopiec głosem zbyt głębokim jak na jego wiek, z silnie zaznaczonym akcentem bawarskim.

– Co się stało? Zamknięto cię w środku?

– Tak, ale nie o to chodzi.

Arcybiskup podniósł latarkę.

– Nie możesz tu zostać przez całą noc, a ja nie mam kluczy do drzwi. Chodź ze mną. – Ruszył w kierunku prywatnych schodów prowadzących do pałacu papieskiego, mówiąc cały czas cicho i powoli. – Sam też przyszedłem się pomodlić. Dzięki waszemu najwyższemu dowództwu miałem przykry dzień. O tu, do góry... Miejmy nadzieję, że służba Ojca Świętego nie uzna mnie za aresztowanego i zauważy, że to ja eskortuję ciebie, a nie odwrotnie.

Przez jakieś dziesięć minut szli w milczeniu korytarzami, przez otwarte dziedzińce i ogrody, wielkie sienie i schody. Młody Niemiec trzymał się blisko swego opiekuna. Wreszcie arcybiskup otworzył jakieś drzwi i wprowadził zabłąkanego chłopca do małego, skromnie umeblowanego saloniku, zapalił światło i zamknął drzwi.

Stali przyglądając się sobie nawzajem. Niemiecki żołnierz widział przed sobą bardzo wysokiego i przystojnego mężczyznę, z niebieskimi oczyma o wnikliwym spojrzeniu.

Arcybiskup Ralph widział dziecko prawie, ubrane w mundur, który w całej Europie wzbudzał strach i lęk. Chłopiec nie miał więcej niż szesnaście lat. Był średniego wzrostu, z bardzo długimi rękoma, jeszcze młodzieńczo szczupły, choć budowa jego ciała zapowiadała przyszłą siłę i umięśnienie. Twarz jego przypominała włoskie twarze – ciemna, patrycjuszowska i bardzo atrakcyjna dzięki szerokim orzechowym oczom, obwiedzionym długimi czarnymi rzęsami, oraz szopie pofalowanych czarnych włosów.

– Usiądź – powiedział i otworzył kredens, z którego wyciągnął butelkę wina. Nalał do dwóch kielichów, podał chłopcu jeden, drugi sam wziął i usiadł na krześle, skąd mógł wygodnie obserwować jego twarz. – Czy Niemcom pozostały już tylko dzieci, które mogłyby za nich walczyć? – spytał zakładając nogę na nogę.

– Nie wiem – odpowiedział chłopiec. – Byłem w sierocińcu, więc i tak wzięliby mnie do wojska.

– Jak się nazywasz, chłopcze?

– Rainer Moerling Hartheim – każdy człon wymawiał z wielką dumą.

– Wspaniałe imię – powiedział ksiądz poważnie.

– Prawda? Sam je wybrałem. W domu nazywano mnie Rainer Schmidt, ale gdy poszedłem do armii, zmieniłem je na takie, jakiego zawsze pragnąłem.

– Jesteś sierotą?

– Siostry nazywały mnie dzieckiem miłości.

Arcybiskup Ralph starał się powstrzymać uśmiech. Chłopiec mówił teraz, gdy już przestał się bać, z godnością i opanowaniem. Dlaczego tak się przestraszył? Że go nie znajdą? Czy że został zamknięty wewnątrz bazyliki?

– Czemu byłeś taki przestraszony, Rainer?

Chłopiec napił się ostrożnie wina i spojrzał na Ralpa z zadowoloną miną.

– Dobrze, że jest słodkie. – Usadowił się wygodniej. – Chciałem zobaczyć bazylikę Świętego Piotra, bowiem siostry często mówiły o niej i pokazywały nam zdjęcia. Kiedy wysłano nas do Rzymu ucieszyłem się. Przyjechaliśmy dziś rano. Od razu tu przyszedłem. – Zmarszczył brwi. – Ale rozczarowałem się. Myślałem, że będę czuł się bliższy Pana będąc w Jego własnym Kościele. Zamiast tego czułem zimno i pustkę. Wcale nie odczuwałem Jego obecności.

Arcybiskup Ralph uśmiechnął się.

– Rozumiem cię, ale bazylika Świętego Piotra nie jest takim samym Kościołem jak większość innych. Bazylika Świętego Piotra jest symbolem Kościoła. Pamiętam, jak wiele czasu upłynęło, zanim przyzwyczałem się do tego.

– Chciałem pomodlić się o dwie rzeczy – powiedział chłopiec kiwając na znak głową, że usłyszał, ale że nie o to mu chodzi.

– To co cię tak przeraziło?

– Myślałem, że będzie lepiej modlić się w bazylice.

– Co cię przeraziło, Rainer?

– To, że uznają mnie wreszcie a Żyda i że mój pułk w końcu zostanie wysłany na front rosyjski.

– Rozumiem. Nie dziwię się, że się boisz. Czy rzeczywiście mogą cię wziąć za Żyda?

– Wystarczy na mnie popatrzeć – stwierdził chłopiec rzeczowo. – Kiedy zapisywali moje dane, powiedzieli, że muszą to sprawdzić. Nie wiem, czy mogą to zrobić, ale przypuszczam, że siostry wiedziały więcej, niż mi kiedykolwiek powiedziały.

– Nawet jeśli wiedzą, to nie powiedzą – orzekł arcybiskup uspokajająco.

– Tak pan sądzi? Oby!

– Czy przeraża cię myśl, że w twoich żyłach płynie krew żydowska?

– Co płynie w moich żyłach, nie ma znaczenia – odpowiedział Rainer. – Urodziłem się Niemcem i to jest istotne.

– Tylko że oni nie widzą tego w ten sposób.  
– Tak.  
– A Rosja? Nie musisz chyba teraz tym się martwić. Jesteś w Rzymie, to zupełnie przeciwny kierunek.  
– Podśledzałem dziś rano, jak mój dowódca mówił, że może jednak zostaniemy tam wysłani. Źle się tam dzieje.  
– Jesteś dzieckiem jeszcze – powiedział arcybiskup krótko. – Powinieneś chodzić do szkoły.  
– I tak bym już nie chodził. Mam szesnaście lat, więc poszedłbym do pracy – westchnął. Wolałbym chodzić do szkoły. Nauka to coś ważnego.  
Arcybiskup zaczął się śmiać, wstał i dolał wina.  
– Nie zwracaj na mnie uwagi, Rainer. Zachowuję się bezsensownie. Takie różne myśli nachodzą mnie zwykle o tej porze. Nie jestem nazbyt dobrym gospodarzem, niestety.  
– Jesteś w porządku – powiedział chłopiec.  
– Zatem – arcybiskup usiadł ponownie. – Powiedz, kim jesteś, Rainerze Moerlingu Hartheimie.  
Chłopiec odparł dumnie:  
– Jestem Niemcem i katolikiem. Chcę, aby Niemcy były miejscem, gdzie rasa i religia nie będą prześladowane, i chcę poświęcić moje życie temu celowi. O ile przeżyję.  
– Będę się za ciebie modlił. Obyś przeżył i osiągnął to, czego pragniesz.  
– Zrobiłbyś to? – spytał chłopiec nieśmiało. – Modliłbyś się za mnie tak imiennie?  
– Oczywiście. W rzeczy samej, uświadomiłeś mi, że nie do swojej dyspozycji tylko jedną broń – modlitwę. Nie mam żadnej innej.  
– Kim jesteś? – pytał Rainer, mrugając sennie oczyma pod wpływem wina.  
– Jestem arcybiskupem Ralphem de Bricassart.  
– O rany! Myślałem, że jesteś prostym księdzem!  
– Ależ jestem prosty księdzem. Zapewniam cię.  
– Dobijmy targu! – zaproponował chłopiec. Oczy jego błyszczały. – Będiesz się modlił za mnie, a jeśli przeżyję i osiągnę to, o czym marzę, wrócę do Rzymu, byś mógł się przekonać, czego dokonała twoja modlitwa.  
Niebieskie oczy patrzyły na niego czule.  
– Dobrze umowa stoi. A jak wrócisz, opowiem ci, jak ja oceniam rezultat moich modlitw.  
– Wstał z krzesła. – Siedź sobie tutaj, mały polityku, znajdę ci coś do jedzenia.  
Rozmawiali niemal do świtu. Rozjaśniło się niebo wokół kopuły i wież, a gołębie zaczęły latać w pobliżu okien, gdy arcybiskup poprowadził swego gościa przez oficjalną część pałacu, przyglądając się z radością jego olśnieniu, i wypuścił na zewnątrz w chłodny, świeży poranek. Chociaż chłopiec o tak wspaniałym imieniu nie mógł jeszcze o tym wiedzieć, rzeczywiście pojechał do Rosji, lecz zabrał ze sobą wspomnienie dziwnie słodkie i pocieszające – w Rzymie jest ksiądz, który obiecał modlić się za niego codziennie.

W chwili gdy Dziewiąta Dywizja gotowa była do akcji w Nowej Gwinei, było już po wszystkim. Pozostało jedynie zgarnięcie niedobitków. Niezadowoleni z takiego obrotu rzeczy żołnierze mogli jedynie mieć nadzieję, że dalszą sławę przypadnie im zdobywać gdzie indziej, ścigając Japończyków przez Indonezję. Bitwy na wyspie Guadalcanal rozwiły nadzieje Japończyków na podbój Australii. Wycofywali się jednak niechętnie. I choć ich siły były żałośnie rozciągnięte, armie zaś grzęzły z powodu braku zaopatrzenia i posiłków, Japończycy kazali Amerykanom i Australijczykom drogo płacić za każdą piędź odzyskanej ziemi. W pełnym odwrocie Japończycy oddali kolejno Bunę, Gonę, Salamaua i wycofali się północnym wybrzeżem ku Lae i Finschafen.

Piątego września tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku Dziewiąta Dywizja

wylądowała niedaleko na wschód od Lae. Był upał a wilgotność sięgała stu procent. Padało każdego popołudnia, choć do monsunu było jeszcze ze dwa miesiące. Ze względu na zagrożenie malarią wszyscy zażywali atabrinę, a te żółciutkie pastylki powodowały, że wszyscy czuli się tak jakby rzeczywiście chorowali na malarię. Ciągła wilgotność oznaczała nieprzerwanie wilgotne buty i skarpety. Nogi przypominały gąbkę, a ciało między palcami było starte do żywego i krwawiło. Ukłucia moskitów i innych owadów zaogniały się i ropiały.

W Port Moresby zobaczyli, w jakim stanie znajdują się mieszkańcy Nowej Gwinei. Jeśli oni chorowali na malinię, beri-beri, malarię, zapalenie płuc, chroniczne choroby skóry, powiększenie wątroby i śledziony, to dla białego człowieka nie było wielkiej nadziei. W Port Moresby byli także ci, co przeszli szlak do Kokoda oraz ofiary nie tyle Japończyków, co Nowej Gwinei, wychudzone, pokryte wrzodami w gorączce. Dziesięć razy tyle, co zginęło z rąk Japończyków, umarło na zapalenie płuc spowodowane przebywaniem na wysokości dziewięciu tysięcy stóp w dominującym zimnie, pod którym cienkie mundury tropikalne nie stanowiły żadnej ochrony. Lepkie, stęchłe błota, niesamowita dżungla świecąca po nocach zimnym, bladym spektralnym światłem, wydawanym przez fosforyzujące grzyby, niebezpieczne wspinanie się po sękatej płataninie odsłoniętych korzeni również dziesiątkowały żołnierzy. Człowiek nie mógł ani na chwilę oderwać wzroku od ziemi, stając się łatwym celem dla snajperów. Różniło się to tak diametralnie od Afryki Północnej, że żołnierze Dziewiątej Dywizji nie żalowali, iż uprzednio tam walczyli.

Lae leżało na wybrzeżu otoczonym silnie zalesionymi stepami, oddalonymi od jedenastotysięcznych wzniesień w głębi lądu. Jako pole bitwy było znacznie lepsze od Kokoda.

Kilka domów Europejczyków, stacja paliw i kilka chatynek tubylców. Japończycy jak zwykle pałali żądzą walki, choć tym razem ich siły były niewielkie i wynędzniałe, tak samo przetrzebione przez klimat jak Australijczyków. Po ciężkiej artylerii i wyjątkowym zmechanizowaniu obecnym na każdym kroku a Afryce, tutaj trudno było przyzwyczaić się do braku moździerzy czy armatek. Jedyne ich wyposażeniem były karabiny z bagnietami założonymi na stałe oraz karabiny Owena. Jims i Patsy lubili walkę wręcz, walczyli blisko siebie i chronili się nawzajem. W porównaniu z Afryką Północną było to niewątpliwie wielkie rozczarowanie. Wrogowie byli malutcy, w okularach i zajęczymi zębami. W żaden sposób nie mogli swym militarnym wyglądem zastraszyć przeciwnika.

W dwa tygodnie po wylądowaniu Dziewiątej Dywizji w Lae, Japończyków już tam nie było. Jak na nowogwinejską wiosnę, był to piękny dzień. Wilgotność spadła o dwadzieścia procent, niebo było dziwnie niebieskie, nie pokryte białą parą jak zwykle. Teren za miasteczkiem zakwitał zielenią, purpurą i fioletem. Dyscyplina rozluźniła się. Wszyscy korzystali z wolnego dnia. Grali w krykieta, spacerowali i żartowali z tubylcami o krwistoczerwonych bezzębnych dziąsłach – od ciągłego żucia betelu. Jims i Patsy przechadzali się w wysokiej trawie za miasteczkiem. Przypominała im trawę w Droghedzie, która po sezonie obfitych deszczów była tak samo wysoka i miała ten sam wyblakły brunatny kolor.

– Niedługo wrócimy tam, Patsy – powiedział Jims. – Japończycy zwiewają, Niemcy też. Do domu, Patsy, do Droghedy! Nie mogę się już doczekać.

– Ano – skwitował Patsy.

Szli ramię w ramię, znacznie bliżej siebie, niż wypadaloby mężczyznom. Czasami nieświadomie dotykali swoich ciał, jakby mimochodem sprawdzali, czy jeszcze wszystko jest na miejscu. Przyjemnie było czuć na twarzy prawdziwie letnie słońce. Co jakiś czas podnosili nozdrza do góry, wciągali zapach trawy rozgrzanej w słońcu i marzli, że są już w domu, że idą w środku dnia, by położyć się w cieniu wilgi, poczytać lub podrzemać, poczuć przez skórę przyjazną piękną ziemię i jakieś ogromne serce bijące gdzieś tam w głębi. Tak musiało pulsować serce matki w uszach śpiącego niemowlęcia.



– Jims, Patrz! Prawdziwa papużka, jak w Droghedzie! – Patsy był tak zaskoczony, że aż przemówił.

Być może te papużki żyły także w okolicach Lae, ale ten piękny dzień i to całkiem niespodziewane przypomnienie domu wywołało ogromne podniecenie Patsy’ego. Ze śmiechem pobiegł za ptakiem, czując na nogach łaskotanie trawy. Zerwał z głowy kapelusz i wyciągał go, jakby naprawdę sądził, że złapie znikającego ptaszka. Jims przyglądał mu się z uśmiechem.

Dzieliło ich może dwadzieścia jardów, kiedy karabin maszynowy rozorał trawę. Jims widział, jak Patsy podrzuca ramiona, jak jego ciało okręca się wokół osi, a ręce pozostają wyciągnięte, jakby w błaganiu. Od pasa do kolan pokrył się jasnoczerwoną krwią.

– Patsy! Patsy! – darł się Jims. W każdej komórce swego ciała czuł rozrywające się kule, czuł, jak uchodzi z niego życie, jak umiera. Rzucił się biegiem w stronę brata, lecz przypomniał sobie wojskowe wyszkolenie, padł w trawę akurat w chwili, gdy z karabinu maszynowego ponownie otworzono ogień.

– Patsy, Patsy, nic ci nie jest? – wołał bezsensownie, choć przecież widział krew. A jednak doszło go słabe „Ano”. w odpowiedzi.

Jims czołgał się przez pachnącą trawę. Nasłuchiwał wiatru i szelestu wywołanego ruchami. Kiedy dotarł wreszcie do brata, położył głowę na jego obnażonym ramieniu i zapłakał.

– Daruj sobie – syknął Patsy. – Jeszcze żyję.

– Gdzie dostałeś? – spytał Jims, ściągając z niego nasączone krwią szorty i wzdrygając się na widok zakrwawionego ciała.

– W każdym razie nie tak, żeby od tego umrzeć.

Zewsząd otoczyli ich koledzy grający w krykieta. Ktoś pobiegł po nosze, podczas gdy reszta rozprawiła się z karabinem z drugiej strony polany. Zrobiono to z większą niż zazwyczaj zawziętością, bowiem Milczek był ulubieńcem wszystkich. Gdyby mu się coś stało, Jims nie przeżyłby tego.

Dzień był nadal piękny. Papużka co prawda dawno odleciała, ale inne ptaki ćwierkały nadal nieustraszenie: zamilkły tylko na czas strzelaniny.

– Patsy miał szczęście – powiedział lekarz nieco później. – Trafił go prawie tuzin kul, ale większość w uda. Dwie lub trzy utkwily w miednicy, ale wnętrzności chyba ma w porządku, pęcherz także. Jest jedna rzecz...

– No co? – niecierpliwiał się Jims, wciąż jeszcze trochę zielony i roztrzęsiony.

– Oczywiście, w tej chwili trudno coś powiedzieć na pewno. Nie jestem też tak genialnym chirurgiem jak ci faceci z Moresby. Oni będą mogli powiedzieć znacznie więcej. Cewka moczowa została naruszona, a z nią wiele drobnych nerwów prowadzących do krocza. Raczej na pewno da się go załatać, będzie jak nowy, z wyjątkiem może nerwów. Z nerwami będzie gorzej – odchrząknął. – Zmierzam do tego, że być może straci możliwości odczuwania doznań w rejonie genitaliów.

Jims spuścił głowę patrząc na ziemię przez łyzy.

– Dobrze, że żyje – powiedział.

Jims dostał pozwolenie na towarzyszenie bratu do port Moresby. Miał przy nim pozostać, dopóki lekarze nie orzekną, że najgorsze minęło. Rany były zdumiewające. Kule przeszły ciało wokół brzucha cudem nie zadrasnąwszy żadnych organów. Jednakże medyk z Dziewiątej Dywizji miał rację – odczucia w dolnej miednicy były zdecydowanie ograniczone. Na ile stan ten mógł się z czasem poprawić, nikt nie potrafił powiedzieć.

– To nieważne – rzekł Patsy leżąc na noszach w samolocie, którym miał lecieć do Sydney. – Nigdy specjalnie nie miałem ochoty na małżeństwo. A ty, Jims, uważaj na siebie, słyszysz? Przykro mi opuszczać cię w ten sposób.

– Nie bój się o mnie, dam sobie radę. Chryste! – Jims uśmiechnął się szeroko, jednocześnie kurczowo trzymając brata za rękę. – Popatrz, resztę wojny muszę spędzić sam, bez mojego

najwierniejszego kompana. Napiszę ci, jak to jest. Pozdrów ode mnie panią Smith, Meggie, mamę i braci. W pewnym sensie masz szczęście, bo wracasz do Droghedy.

Fee i pani Smith poleciały do Sydney na spotkanie amerykańskiego samolotu, którym Patsy miał być przywieziony z Townsville. Fee zatrzymała się tylko na kilka dni, ale pani Smith wynajęła pokój w hotelu „Randwick” w pobliżu wojskowego szpitala i pozostała tam dłużej. Patsy leżał w szpitalu jeszcze trzy miesiące. W wojnie już nie wziął udziału. Pani Smith wypłakała wiele łez, ale też była wdzięczna Bogu za wiele rzeczy. Co prawda Patsy nie będzie mógł prowadzić normalnego życia, ale będzie mógł jeździć, chodzić, nawet biegać. Małżeństwo i tak nie było pisane mężczyznom z rodu Clearych. Kiedy wypisano go ze szpitala, Meggie przyjechała rollsem. Wymościły mu miejsce na tylnym siedzeniu, obłożyły na drogę kocami i czasopismami. Modliły się jeszcze o jedno: żeby Jims również wrócił cały do domu.

## Rozdział szesnasty

Gillanbone uwierzyły w zakończenie wojny dopiero wtedy, gdy cesarz Hirohito podpisał oficjalną kapitulację Japonii. Wieść nadeszła w niedzielę, drugiego września tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, to znaczy dokładnie w sześć lat po rozpoczęciu wojny. Sześć rozpaczliwych lat! Tyle pustych miejsc! Zginęli Rory, syn Dominika O'Rourke, John, syn Horry'ego Hopetona, Cormac, syn Edena Carmichaela. Najmłodszy syn Rossa MacQueena, Angus, nie mógł chodzić, zaś David, syn Kinga, co prawda chodzić mógł, lecz nie widział, dokąd idzie. Syn Paddy'ego Cleary, Patsy, nie mógł spłodzić dzieci. A co z tymi, których rany nie były widoczne, ale równie ciężko zaważyły na ich życiu? Co z tymi, którzy poszli na wojnę weseli i radośni, a wrócili cisi, małowówni i nieskorzy do śmiechu? Kiedy wojna się zaczynała, ktoś mógł przypuszczać, że będzie trwała tak długo i że trzeba będzie za nią zapłacić taką cenę?

Gillanbone nie było szczególnie przesadną społecznością, jednakże tamtej niedzieli, drugiego września, zadrżeli najwięksi cynicy, bowiem w dniu zakończenia wojny skończyła się też najdłuższa susza w historii Australii. Przez prawie dziesięć lat nie spadł żaden liczący się deszcz. A tego dnia gruba warstwa chmur pokryła niebo. Czarne chmurzyska pękły i na spragnioną ziemię spadło dwanaście cali deszczu. Dwanaście cali! Tyle deszczu przywróci trawę!

Meggie, Fee, Bob, Jack, Hughie i Patsy stali na werandzie i wpatrywali się w ciemność, wdychając niepowtarzalny, świeży zapach deszczu padającego na wyschniętą i kruszącą się ziemię. konie, owce, bydło i trzoda usiłowały utrzymać się na szeroko rozstawionych nogach, które rozjeżdżały się w nagle rozmokłym gruncie, woda spływała im po grzbietach. Większość z nich przysła na świat już w czasie suszy i nie znała takiego deszczu. Na cmentarzu woda zmyła kurz i wybieliła wszystko, opłukała też skrzydła kamiennego anioła. Na rzece pojawiła się olbrzymia fala powodziowa, której ryk mieszał się z bębnieniem zalewającego wszystko deszczu. Deszcz, deszcz! Błogosławiony, wspaniały deszcz, dzięki któremu rosła trawa, a dzięki trawie wracało życie.

Na ziemi pojawił się jasnozielony meszek. Błaski trawy wycelowały w niebo, rozgałęziły się, puściły pędy. Rosły, ciemniały, potem płowiały i grubiały, stając się tą dobrze znaną, srebrzystobeżową trawą z Droghedy. Pastwisko w pobliżu rezydencji przypominało pole pszenicy falujące przy każdym podmuchu wiatru, ogród eksplodował orgią kolorów, a wielkie eukaliptusy nagle stały znów się białe i jasnozielone. Po dziewięciu latach zrzuciły wreszcie powłokę brudnego kurzu. Okazało się, że Michael Carson miał rację – zapas wody w zbiornikach, które wybudował, był wystarczający by ogrody przy rezydencji przetrwały tak długą suszę.

Mężczyźni powrócili na pastwiska zastanawiając się, jak doprowadzić Droghedę do dawnej świetności. Fee otworzyła nowiutką butelkę czarnego atramentu, zakręciwszy z impetem buteleczkę czerwonego. Dla Meggie skończyło się życie w siodle. Wkrótce wróci Jims, przyjdą też ludzie szukający pracy.

Po dziewięciu latach suszy pozostało niewiele bydła i owiec, w zasadzie tylko okazy rozrodcze, byki i barany, trzon hodowli czempionów, ceniony inwentarz, który bez względu na okoliczności był zawsze trzymany w zamknięciu. Bob udał się na wschód, gdzie w gospodarstwach mniej dotkniętych suszą mógł zakupić owce dobrej rasy. Jims wrócił do domu. Zatrudniono ośmiu ludzi.

Meggie otrzymała list od Luke'a, drugi, odkąd go porzuciła.

*Myszę, że to już niedługo – pisał. – Jeszcze kilka lat roboty przy trzcinie i powinienem wreszcie się dorobić. Plecy trochę bolą, ale wciąż dotrzymuję kroku najlepszym – codziennie*

*osiem, dziewięć ton. Arne i ja zatrudniamy dwanaście grup, ścinających dla nas, wszyscy to porządni faceci. Pieniądz przychodzi łatwo, Europa potrzebuje tyle cukru, że nie nadążamy z produkcją. Zarabiam około pięciu tysięcy rocznie i prawie wszystko odkładam. Już niedługo, Meggie, będę miał własny kawałek ziemi koło Kynuny. Gdy się urządzę, może zechcesz do mnie wrócić? Czy zrobiłem ci tego dzieciaka, którego tak pragnęłaś? Dziwne, że kobiety zrobiłyby wszystko dla dziecka. Wydaje mi się, że to nas właśnie rozdzieliło. Daj mi znać, co u ciebie i jak Drogheda przeżyła suszę. Twój Luke.*

Fee wyszła na werandę, gdzie Meggie siedziała z listem w ręku, patrząc bezmyślnie na wspaniałą zielen trawników otaczających rezydencję.

– Jak tam Luke?

– Bez zmian, Mamo. Wciąż to samo, że jeszcze trochę popracuje przy tej cholernej trzcinie i będzie miał własny kawałek ziemi gdzieś koło Kynuny.

– Myślisz, że dopnie swego?

– Chyba tak. Kiedyś.

– Pojedziesz wtedy do niego?

– Za nic w świecie.

Fee siadła w wyplatanej krzesle obok córki. W pobliżu słychać było krzyki ludzi i walenie młotków. Na werandzie i w oknach na piętrze zakładano cienkie druciane siatki chroniące przed muchami. Fee broniała się przed tym całe lata i nie dawała się przekonać. Nie chciała brzydkim osiatkowaniem psuć wyglądu rezydencji, ale susza spowodowała, że much było coraz więcej, i wreszcie, na dwa tygodnie przed jej końcem, Fee ugięła się i wynajęła przedsiębiorcę do osiatkowania nie tylko samej rezydencji, ale wszystkich domów i baraków.

Nie zgodziła się jednak na elektryfikację, chociaż już od tysiąc dziewięćset piętnastego roku w Droghedzie pracował mały silniczek parowy zaopatrujący w prąd szopę do strzyżenia. Drogheda bez łagodnie rozproszonego światła lamp naftowych? To było nie do pomyślenia. Mieli jedynie nową kuchenkę gazową na gaz z butli przywożonych na zamówienie oraz z tuzin nowych naftowych lodówek.

– Meggie, dlaczego nie rozwiedziesz się i nie wyjdiesz ponownie za męża? – spytała nagle Fee. – Enoch Davies wziąłby cię bez zastanowienia, gdybyś tylko chciała. Świata za tobą nie widzi.

Meggie spojrzała na matkę zdumiona.

– O Boże, mamo, zdaje się, że rozmawiasz ze mną jak kobieta z kobietą!

Fee nie uśmiechnęła się – uśmiech był u niej nadal rzadkością.

– No, jeśli jeszcze nie jesteś kobietą, to już nigdy nią nie będziesz. Przypuszczam, że masz wszelkie dane ku temu. Chyba się starzeję, bo staję się gadatliwa.

Meggie parsknęła śmiechem, zachwycona tym występem matki. Chętnie zachowałyby ten nowy nastrój między nimi.

– To ten deszcz, mamo. Nic innego. Wspaniale znów widzieć trawę w Droghedzie i zielone trawniki dookoła domu.

– Jest pięknie, to prawda. Ale unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Czemu nie rozwiedziesz się i nie wyjdiesz powtórnie za męża?

– To niezgodne z prawem Kościoła.

– Głupstwo! – wykrzyknęła Fee, ale zaraz łagodnie dodała: – Jesteś moją córką, a ja nie jestem katoliczką. Nie opowiadaj, Meggie. Gdybyś naprawdę chciała, tobyś się z nim rozwiodła.

– Masz rację, chyba tak. Tylko że ja nie chcę wychodzić za męża. Jest mi całkiem dobrze z moimi dziećmi tu w Droghedzie.

Z pobliskiego krzewu dobiegł ją czyjś chichot. Ktoś śmiał się zupełnie jak Meggie, ale za kwiatami nikogo nie było widać.

– Słyszysz? To pewnie Dane! Wiesz, dosiada już konia?

– Pochyliła się do przodu. – Dane! Co ty tam robisz? W tej chwili wyjdź stamtąd!

Chłopiec wypełził spod najbliższego krzaka, w garści trzymał czarną ziemię. Na twarzy wokół ust malowały się podejrzenie ciemne smugi.

– Mamo! Wiesz, ziemia jest pyszna! Naprawdę, mammo, serio!

Podszedł i stanął przed nią. W wieku siedmiu lat był dzieckiem pełnym wdzięku: wysoki, szczupły i silny, o twarzy pięknej jak delikatna porcelana.

Za nim pojawiła się Justyna. Też była wysoka, ale bardziej chuda niż szczupła, i okropnie piegowata. Niemal trudno było rozpoznać jej rysy pod piegami, oczy jednak zachowały tę samą jasność co w niemowlęctwie. Rudozłote loki jak u Paddy’ego otaczały jej psotną twarzyczkę. Nie była ładna, ale zwracała na siebie uwagę i to nie tylko z powodu oczu, ale także ze względu na niezwykle zdecydowany charakter. Była prostolinijna, bezkompromisowa i inteligentna i w wieku ośmiu lat tak samo obojętna na to, co ludzie o niej myślą, jak wtedy, gdy była malutka. Tylko jedna osoba była jej bliska – Dane. Nadal uwielbiała go i uważała za swoją prywatną własność.

Wielokroć doprowadzało to do konfliktów z matką. Justyna przeżyła szok, gdy Meggie odwiesiła siodło i znów stała się matką. Po pierwsze, Justynie matka nie była potrzebna, bowiem i tak uważała, że ma we wszystkim rację. Nie czuła potrzeby zwierzeń ani też nie szukała w niej serdecznej aprobaty. W jej mniemaniu Meggie była kimś, kto przeszkadzał jej czerpać przyjemność z zabawy z braciszkiem. Znacznie lepsze stosunki miała z babką, która trzymała się z daleka i uważała, że każdy ma swój rozum.

– Mówiłam mu, żeby nie jadł ziemi – powiedziała Justyna.

– Nic mu nie będzie, Justynko, ale na pewno nie wyjdzie mu to na dobre. – Meggie zwróciła się do syna: – Dane, czemu to zrobiłeś?

Chłopiec zastanowił się chwilę.

– Jest, więc ją jadłem. Gdyby miała mi zaszkodzić, toby mi nie smakowała, prawda? A ona jest dobra.

– Niekoniecznie – wtrąciła Justyna wyniośle. – No wiesz, Dane, nie wytrzymam. Czasami rzeczy, które najlepiej smakują, są najbardziej trujące.

– Na przykład? – spytał chłopiec wyzywająco.

Z triumfem w głosie oznajmiła:

– Melasa.

Dane bardzo chorował po zjedzeniu całej puszki melasy, którą znalazł w spiżarni pani Smith. Przyznał więc jej rację, ale odparował:

– Nie może być aż tak trująca, skoro jeszcze tu jestem.

– Bo zwymiotowałeś. Gdybyś nie wymiotował, tobyś już nie żył.

Z takim twierdzeniem Dane nie mógł polemizować. Oboje byli mniej więcej tego samego wzrostu, więc wzięli się za ręce i razem odeszli wolnym krokiem przez trawnik do domku-gniazdko, który wujowie zawiesili pośród opadających gałęzi wielkiego sumaka. Początkowo dorośli nie chcieli się zgodzić na to miejsce ze względu na zagrożenie ze strony pszczoł, ale okazało się, że dzieci miały rację. Pszczoły żyły z nimi w zgodzie. Dzieci twierdziły, że żadne inne drzewo nie stwarza takiego nastroju. Miało suchy wonny zapach, a winogrowate kiście małych różowych kuleczek rozpadały się, oparte w dłoniach, na kruche, pachnące bławatki.

– Dane i Justyna tak się różnią od siebie, ale dobrze im ze sobą – powiedziała Meggie. – Nie przestaje mnie to zadziwiać. Nie przypominam sobie, by się kiedykolwiek kłócili. Choć zupełnie nie rozumiem, jak mu się udaje nie kłócić z osobką tak zdecydowaną i upartą jak Justyna.

Fee myślała jednak o czymś zupełnie innym.

– Wielki Boże, przecież to skóra zdarta z ojca – powiedziała patrząc, jak Dane schyla się i

znika wśród liści drzewa.

Meggie z wrażenia poczuła zimne dreszcze. Była to reakcja mimowolna, chociaż od lat słyszała to zdanie z ust wielu ludzi. Oczywiście wynikało to z jej poczucia winy. Ludzie zawsze mieli na myśli Luke'a. W gruncie rzeczy Luke O'Neill był bardzo podobny do Ralphi de Bricassart. Mimo wszystko nie umiała ze spokojem słuchać komentarzy o podobieństwie Dane'a do jego ojca.

– Tak sądzisz, mam? – zapytała machając nogą jakby od niechcienia. – Ja tego nie widzę. Dane nie przypomina Luke'a ani charakterem, ani stosunkiem do życia.

Fee zaśmiała się, zaśmiała się wyraźnie, choć zabrzmiało to jak chrząknięcie. Oczy jej, wyblakłe ze starości i katarakty, zatrzymały się na zdumionej twarzy Meggie. Były jednocześnie surowe i ironiczne.

– Nie sądzisz chyba, Meggie, że jestem taka naiwna? Oczywiście, nie Luke'a O'Neilla miałam na myśli. Dane jest skórą zdarty z Ralphi de Bricassart.

Meggie poczuła ogromny ciężar, jakby cała zamieniła się w ołów.

– Ależ mam! Skąd ci to przyszło do głowy? Ksiądz Ralph de Bricassart?!

– A iluż znamy ludzi o tym imieniu? Luke O'Neill nie spłodził tego dziecka. To syn Ralphi de Bricassart. Wiedziałaś o tym od chwili, gdy się urodził.

– I nic nie powiedziałaś? Dlaczego? Dlaczego czekałaś aż siedem lat, by powiedzieć coś tak szalonego i bezpodstawnego?

Fee wyciągnęła nogi przed siebie i skrzyżowała stopy.

– Starzeję się, Meggie. Stare rany się zblźniają. Starość może być jednak błogosławieństwem! Drogheda podnosi się i miło na to patrzeć. A i ja przez to czuję się lepiej. Po raz pierwszy od lat mam ochotę porozmawiać.

– No wiesz! Jak już wybierzesz sobie temat do rozmowy, to nie ma co! Nie masz, mam, prawa mówić coś takiego! To nieprawda! – powiedziała Meggie rozpaczliwie, nie wiedząc, czy matka chce jej dokuczyć, czy też współczuć.

Nagle Fee wyciągnęła rękę, położyła na kolanie Meggie i uśmiechnęła się. W uśmiechu tym nie było ani pogardy, ani goryczy, tylko dziwna sympatia.

– Nie okłamuj mnie, Meggie. Okłamuj, kogo chcesz, ale nie mnie. Nie przekonasz mnie, że to Luke O'Neill spłodził tego chłopca. Nie jestem naiwna i mam oczy. Nie ma w nim nic z Luke'a, nigdy nie było, bo być nie mogło. On jest chodzącym odbiciem księdza. Popatrz na jego dłonie, włosy, kształt twarzy, brwi, ust. A sposób poruszania się? To jest Ralph de Bricassart, Meggie, Ralph de Bricassart.

Meggie poddała się. Sprawilo jej to ulgę, siedziała teraz całkiem odprężona.

– To jego spojrzenie, tak dalekie. Przede wszystkim, to widzę w nim. Czy to takie oczywiste? Czy wszyscy wiedzą, mam?

– Oczywiście, że nie – oświadczyła Fee stanowczo. – Ludzie zauważają tylko kolor oczu, kształt nosa, budowę. W tym jest wystarczająco podobny do Luke'a. Ja wiem, bo obserwowałam was przez lata. Przybiegłabyś na każde jego wezwanie. Więc nie gadaj mi, że rozwód jest niezgodny z prawem Kościoła, bo ci nie wierzę. Gotowa byłaś złamać znacznie poważniejsze prawo Kościoła niż rozwód. Bezwstydna byłaś, Meggie, po prostu bezwstydna!

– W jej głos wkradła się nuta surowości. – Ale on był upartym człowiekiem. Chciał być z całego serca doskonałym księdzem, a ty zajmowałaś dalekie miejsce. Czyż to nie idiotyczne? I tak mu to nie pomogło! To była tylko kwestia czasu, prawda?

Za rogiem ktoś upuścił młotek i zaklął. Fee drgnęła, jakby przeszedł ją dreszcz.

– Słodki Boże, będę szczęśliwa, kiedy oni wreszcie skończą zakładać te siatki!... Myślałaś, że mnie oszukałaś wtedy, kiedy nie chciałaś, by to właśnie Ralph de Bricassart udzielił ci ślubu z Lukiem O'Neillem? Ja wiedziałaś. Chciałaś, by to on był panem młodym, nie celebującym duchownym. No, a wtedy, gdy przyjechał do Droghedy przed wyjazdem do Aten i ciebie tu nie było, wiedziałaś, że pojedzie cię szukać. Kręcił się tu jak mały chłopczyk

zagubiony na wielkich targach w Sydney. Najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiłaś, Meggie, było poślubienie Luke'a O'Neilla. Dopóki Ralph sądził, że usychasz z miłości do niego, nie chciał cię, ale tylko jak poszłaś do innego, zaczął wskazywać wszystkie cechy psa ogrodnika. O tak, on sobie wmówił, że jego uczucia do ciebie są kryształowo czyste, nie zmieniło to jednak faktu, że byłaś mu potrzebna. Byłaś mu potrzebna jak żadna inna kobieta! To dziwne zresztą – Fee powiedziała to z prawdziwym zdumieniem. – Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, co on takiego w tobie widział. Ale chyba to normalne, że matki są zawsze trochę ślepe, gdy chodzi o ich córki, dopóki nie zestarzeją się same na tyle, by nie zazdrościć młodości. Ty jesteś zazdrosna o Justynę, tak jak ja byłam o ciebie.

Usadowiła się wygodniej na fotelu, kołysząc się lekko. Oczy miała prawie zamknięte, ale przez szparki przyglądała się Meggie bardzo uważnie, jak badacz rzadkiemu okazowi.

– Cokolwiek to było – kontynuowała – zobaczył przy pierwszym spotkaniu i nigdy nie przestało go to pociągać. Najtrudniejsze dla niego było twoje dojrzewanie. Musiał się z tym pogodzić wtedy, gdy wrócił tu i nie znalazł ciebie, bo wyszłaś za męża. Biedny Ralph! Nie miał wyboru: musiał cię szukać. I znalazł, czyż nie tak? Wiedziałałam, że cię znalazł, tamtego dnia, gdy wróciłaś do domu przed urodzeniem Dane'a. Kiedy raz posiadałaś Ralpha de Bricassart, nie było już powodu pozostawać z Lukiem.

– Tak – westchnęła Meggie. – Ralph mnie odnalazł. Tylko to niczego nie rozwiązało. Wiedziałałam, że on nie ma zamiaru porzucić swego Boga. Dlatego musiałam mieć jedyną rzecz, jaką mogłam mieć od niego: jego dziecko.

– Jakbym słyszała siebie – uśmiechnęła się na swój sposób Fee.

– Frank?

Krzesło zaskrzypiało, Fee wstała i odeszła parę kroków. Wróciła i przyjrzała się uważnie córce.

– No, no! Cios za cios, tak, Meggie? Od kiedy o tym wiesz?

– Od dzieciństwa. Od tamtego czasu, gdy Frank uciekł z domu.

– Jego ojciec był żonaty. Znacznie starszy ode mnie, był liczącym się politykiem. Nie wymienię jego nazwiska. W Nowej Zelandii wiele ulic nazwano jego imieniem, może też i parę miasteczek. Ale tobie wystarczy, jeśli powiem, że nazywał się Pakeha, co po maorysku znaczy „biały człowiek”. Oczywiście, już dawno nie żyje. We mnie płynie trochę krwi maoryskiej, ale ojciec Franka był pół-Maorysem. Może dlatego jest to tak wyraźnie u Franka, bo przekazaliśmy mu tę cechę oboje. Ależ ja kochałam tego człowieka! Może to był zew naszej krwi, nie wiem. Był przystojnym, wysokim mężczyzną z wielką szopą czarnych włosów i najbardziej błyszczącymi i śmiejącymi się czarnymi oczami, jakie widziałam w życiu. Był wszystkim, czym Paddy nie był – kulturalny, wyrafinowany, pełen wdzięku... Kochałam go do szaleństwa. Sądziłam, że już nigdy nikogo nie pokocham. Tak długo w to wierzyłam, aż stało się za późno, za późno! – Głos Fee załamał się. Odwróciła się w stronę ogrodu. – Wierz mi, Meggie, wiele mam grzechów na sumieniu.

– Więc dlatego kochałaś Franka bardziej niż nas – powiedziała Meggie.

– Tak mi się wydawało, bo on był synem Pakeha, a ojcem pozostałych był Paddy. – Usiadła, z jej piersi wydobył się jęk dziwny i żalony. – Zatem historia się powtarza. Przyznam, że się uśmiełam, zobaczywszy Dane'a.

– Mamo, jesteś niezwykłą kobietą!

– Niezwykłą! – Krzesło zaskrzypiało znowu, gdy pochyliła się ku niej. – Powiem ci coś w sekrecie, Meggie. Zwykłą czy niezwykłą, jestem bardzo nieszczęśliwą kobietą. Byłam nieszczęśliwa od dnia, w którym poznałam Pakeha. W gruncie rzeczy z własnej winy. Kochałam go, ale to, co on mi zrobił, nie powinno wydarzyć się żadnej kobiecie. No i Frank... Trzymałam się Franka i ignorowałam pozostałych. Ignorowałam Paddy'ego, choć nic lepszego nie mogło mnie spotkać w życiu. Ale ja tego nie dostrzegałam. Wciąż tylko porównywałam go z tamtym. O, na pewno byłam mu wdzięczna i oczywiście widziałam w

nim wspaniałego człowieka... – Wzruszyła ramionami. – To wszystko przeszłość. Chciałam powiedzieć tylko, że to źle, Meggie. Mam nadzieję, że rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem. W moim pojęciu ta wielka instytucja Kościoła jest zła, skoro pozbawia tego księży.

– Czy nigdy nie zastanowiło cię, czemu w naszym języku ta instytucja, jak ją nazywasz, jest rodzaju żeńskiego? Ukradłaś mężczyznę innej kobiecie, Meggie, tak jak i ja.

– Ralph nie miał innej kobiety poza mną. Instytucja Kościoła nie jest kobietą, mamó, jest tylko instytucją.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Ja to wszystko wiem. Sama tak wtedy myślałam. W jego przypadku rozwód nie wchodził w rachubę. Wśród swojego ludu był jednym z pierwszych, który osiągnął sławę i wielkość jako polityk. Musiał wybierać między mną a swoim ludem. Czy istnieje mężczyzna, który dokonałby innego wyboru? Tak jak twój Ralph wybrał Kościół, prawda? Pomyślałam więc, że mi nie zależy, że wezmę, co się da, przynajmniej będę miała jego dziecko, które będę mogła kochać.

Meggie zbyt w tej chwili nienawidziła matki, by jej współczuć, zbyt była urażona przypuszczeniem, że i ona źle pokierowała swoimi sprawami. Powiedziała więc:

– Tylko że ja, mamó, zorganizowałam to lepiej. Mój syn przynajmniej ma nazwisko, którego nikt mu nie odbierze, nawet Luke.

Fee zasyczała.

– Wstrętna! Ależ jesteś obłudna, Meggie! Niewiniątko! Wiedz, że mój ojciec kupił mi męża, aby Frank miał nazwisko i aby się mnie pozbyć. Pewnie o tym nie wiedziałaś?! Skąd w ogóle wiedziałaś?

– To moja sprawa.

– Zapłacisz Meggie za to. Wierz mi, zapłacisz. Nie ujdzie ci to na sucho, tak jak i mnie. Straciłam Franka w najgorszy dla matki sposób. Nie mogę go nawet zobaczyć, choć tak tego pragnę. Poczekaj, i ty stracisz Dane'a.

O nie, jeśli to tylko ode mnie będzie zależało – pomyślała Meggie a głośno powiedziała:

– Straciłaś Franka, bo nie umiał porozumieć się z tatą. A ja upewniłam się, że nie będzie miał żadnego ojca, który by go zaprzęgnął do kieratu. Związę go sama z Droghedą. Jak sądzisz, czemu już teraz uczę go na hodowcę? W Droghedzie zawsze będzie bezpieczny.

– A Paddy, a Stuart, też byli bezpieczni? Nie ma bezpiecznego miejsca. I nie zatrzymasz Dane'a, jeśli zechce odejść. Tatuś wcale nie zaprzęgnął Franka do kieratu. Właśnie o to poszło. Frank nie dał się zaprząć. Sądzisz, że ty, kobieta, zatrzymasz syna Ralpha de Bricassart? Mylisz się. Pomyśl zresztą: ani tobie, ani mnie nie udało się zatrzymać ojca, jak więc możemy marzyć o zatrzymaniu syna?

– Stracę go tylko, jeśli ty mu coś powiesz. Zabiłabym cię!

– Nie martw się, nie warto. Nie zdradzę twojej tajemnicy. Jestem tylko widzem. Tak, nikim więcej, tylko widzem.

– Mamó! Czemu jesteś taka? Co takiego się stało, że nic z siebie nie potrafisz dać?

Fee westchnęła patetycznie.

– Sprawy sprzed twoich narodzin.

Meggie gwałtownie potrząsnęła pięścią.

– O nie, nie zrobisz mi tego! Nie po tym, co mi powiedziałaś! Nie uda ci się wciąż zwałać wszystkiego na tamtą sprawę! Bzdury, bzdury, bzdury! Słyszysz mamó? Taplałaś się w nich przez większość życia jak mucha w syropie!

Fee uśmiechnęła się szeroko, szczerze rozbawiona.

– Sądziłam zawsze, że córki nie są tak ważne jak synowie, ale myliłam się. Cieszę się tobą, Meggie, jak żadnym z moich synów. Córka to ktoś właściwy, synowie nie, zobaczysz! Synowie są jak bezbronne lalki, które ustawia się, by w swoim czasie spokojnie się przewrócić.



Meggie patrzyła na nią.

– Nie masz żadnych skrupułów. Powiedz mi, kiedy popełniamy błąd?

– W momencie narodzin – odparła Fee.

Mężczyźni wracali do domu tysiącami, zamieniając mundury na cywilne ubrania. Rząd Partii Pracy, wciąż jeszcze przy władzy, zwrócił uwagę na wielkie posiadłości na zachodnich nizinach i niektóre farmy położone nieco bliżej. To niesprawiedliwe, żeby te ogromne połacie ziemi należały do kilku zaledwie rodzin, podczas gdy ludzie, którzy przysłużyli się ojczyźnie, nie mają gdzie się podziać. Australia wymagała bardziej intensywnego zagospodarowywania swoich ziem. Sześć milionów ludzi zaludniało obszar wielkości Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale tylko garstka z tych sześciu milionów, zaledwie kilkanaście nazwisk, była właścicielami ziemi. Największe z tych posiadłości postanowiono rozparcelować i pewną część przekazać weteranom wojennym.

Bugela została okrojona ze 150000 akrów do 70000. Dwóch byłych żołnierzy dostało po 40000 z ziemi Martina Kinga. W Rudna Hunish było 120000 akrów, zatem Ross MacQueen utracił 60000 akrów na rzecz dwóch byłych żołnierzy. I tak dalej. Oczywiście rząd zrekomensował hodowcom te straty, choć po cenach niższych niż na rynku. To bolało. To bardzo bolało. Canberra nie dała się przekonać żadnym argumentom: tak wielkiej posiadłości jak Bugela czy Rudna Hunish musiały zostać podzielone. Było jasne, że żaden człowiek nie potrzebuje tak wiele, skoro w rejonie Gilly było wiele farm prosperujących na mniej niż 50000 akrów.

Dla właścicieli najprzykrejsza była jednak pewność, że tym razem ci weterani prawdopodobnie się utrzymają. Po pierwszej wojnie światowej także częściowo rozparcelowano większość tych dużych farm, lecz wtedy akcja nie była dobrze przeprowadzona, a początkującym hodowcom brakowało wiedzy i doświadczenia. Stopniowo hodowcy odkupili od zniechęconych weteranów swoje skradzione akry po najniższych cenach. Teraz jednak rząd gotów był szkolić nowych hodowców na swój koszt.

Niemal wszyscy hodowcy byli zaangażowanymi członkami Australijskiej Partii Agrarnej, z założenia niechętnej rządowi Partii Pracy, którą utożsamiali z robotnikami wielkich miast przemysłowych, związkami zawodowymi i myślą marksistowską. Najbardziej jednak kłuło w oczy to, że rodzina Clearych, znana z sympatii prorządowych, nie miała stracić ani akra z olbrzymich połaci Droghedy. Jako własność Kościoła katolickiego, farma była wyłączona spod podziału. Głosy oburzenia słychać było w Canberze ale zignorowano je. Hodowcom bydlą z trudem przyszło zaakceptować taki stan rzeczy, bowiem dotąd uważali się za najsilniejsze lobby w kraju. Tymczasem okazało się, że kto ma wpływy w Canberze, może robić, co chce. Australia była państwem silnie sfederalizowanym, a stanowe rządy właściwie były bezsilne.

Tak więc Drogheda trwała jak olbrzym wśród liliputów, zachowując w całości swoje ćwierć miliona akrów.

Deszcze padały w miarę, czasem może a dużo, czasem za mało, ale, dzięki Bogu, nie powtórzyła się już taka susza, jak ta z przełomu lat trzydziestych i czterdziestych. Stopniowo wzrastała liczba owiec, a jakość wełny poprawiła się nawet w stosunku do okresu sprzed suszy, co było sporym osiągnięciem. Hodowla stała się modna. Na Królewskich targach Wielkanocnych w Sydney rywalizowano o najwyższe nagrody dla baranów i owiec z właścicielem farmy Haddon Rig koło Warren, Maksem Falkinerem. Ceny wełny zaczęły powoli rosnać, by wkrótce zawrotnie skoczyć do góry. Europa, Stany Zjednoczone i Japonia czekały na doskonałą wełnę produkowaną w Australii. Inne kraje dostarczały wełny gorszej jakości na grubsze materiały, dywany, filc. Tylko długie, jedwabiste włókna australijskich merynosów nadawały się na wełniane materie, które były tak cienkie, że przelewały się przez palce jak najdelikatniejsza bawełna. A taką właśnie wełnę najlepszej jakości otrzymywano na

nizinnych czarnoziemach północno-zachodniej Nowej Południowej Walii i południowo-zachodniego Queenslandu.

Można by sądzić, że to zasłużona nagroda po wielu latach ciężkiej próby. Dochody z Droghedy przychodziły najśmielsze marzenia, sięgając milionów funtów rocznie. Fee zasiadała za swoim biurkiem promieniejąc z zadowolenia. Bob zatrudnił jeszcze dwóch robotników. Gdyby nie króliki, warunki byłyby niemal sielankowe.

Życie niespodziewanie stało się bardzo przyjemne. Siatki w oknach chroniły wnętrza rezydencji przed muchami. Teraz, gdy zostały już założone i wszyscy przyzwyczaili się do ich wyglądu, zastanawiali się nieraz, jak mogli kiedykolwiek bez nich żyć. Były brzydkie, ale aż to w upały można było jadać na powietrzu, na werandzie pod baldachimem z pnących gałęzi wistarii. Osiatkowanie podobało się również żabom. Były to małe żabki o zielonej skórcie w odcieniu błyszczącego złota. Wdrapywały się na siatkę i zastygały w bezruchu, przyglądając się jedzącym z wielką powagą i dystynkcją. Nagle któraś wykonywała gwałtowny skok, chwytając ćmę prawie tak dużą jak ona sama i znów zastygała z ćmą miotającą się w jej przepelnionym pyszczku. Dane i Justyna zgadywali dla zabawy, ile czasu zajmie żabce połknięcie ćmy. Owad starczał na długo i zanim znikł, często ruszał się jeszcze.

– Co za los! – chichotał Dane. – Pomyśl, połowa jeszcze żyje, gdy druga połowa jest już trawiona.

Upodobanie do lektury – namiętność mieszkańców Droghedy – sprawiło, że dzieci już od najmłodszych lat miały bogaty słownik. Były inteligentne, żywe i ciekawe wszystkiego. Korespondencyjne lekcje odrabiały przy zielonym kuchennym stole pani Smith, bawiły się w swoim domku na drzewie. Miały kucyki, które rosły wraz z nimi, kotki, pieski, a nawet jaszczura, który posłusznie chodził na smyczy i przybiegał na wezwanie. Ich ulubionym zwierzęciem był różowutki prosiaczek, zwany Iggie-Piggle, mądry jak pies.

Oddalone od miejskich tłumów, chorowały niewiele, nigdy się nie przeziębially ani nie przechodziły anginy. Meggie obawiała się wszelkich chorób dziecięcych, które mogły spaść na nie niespodziewanie i zabrać je, toteż gdy tylko pojawiła się jakaś nowa szczepionka, aplikowała ją dzieciom. Było więc to życie idealne, pełne ruchu i umysłowej aktywności.

Gdy Dane skończył dziesięć lat, a Justyna jedenaście, zostali wysłani do szkół w Sydney. Dane, zgodnie z tradycją, do Riverview, a Justyna do Kincoppal. Meggie odprowadziła je na lotnisko. Patrzyła na ich blade twarzyczki, wyglądające przez okno, i białe chusteczki, którymi machały. Nigdy jeszcze nie leciały tak daleko od domu. Bardzo chciała pojechać razem z nimi, by ułatwić trudne początki, ale uległa presji rodziny. Wszyscy, począwszy od Fee, a skończywszy na bliźniakach uważali, że dzieci poradzą sobie same, jeśli im się na to pozwoli.

– Nie pieść się tak z nimi – powiedziała Fee surowo.

Meggie czuła się rozdarta, obserwując samolot DC-3, który w tumanie kurzu odrywał się od ziemi i powoli nabierał wysokości w migotliwym powietrzu. Żałowała, że traci Dane'a, bowiem pogodny i zrównoważony chłopiec chętnie odwzajemniał jej uczucia. Co do Justyny, cieszyła się w gruncie rzeczy z jej wyjazdu. Dziewczynka była kochanym, lecz okropnym potworem. Nie można było jej nie kochać, bo miała naprawdę wiele zalet: siłę, prawość, samodzielność. Odrzucała jednak miłość i nigdy nie pozwoliła Meggie, by czuła się potrzebna jako matka. Nie była ani towarzyską, ani skora do zabawy, a na dodatek miała okropną łatwość wprowadzania ludzi w przygnębienie, w szczególności, jak się wydawało, swojej matki. Meggie widziała w niej wiele cech Luke'a, które tak ją denerwowały, mogła być jedynie wdzięczna, że przynajmniej Justyna nie jest skąpa.

Po krótkim okresie adaptacji oboje zaczęli czerpać radość z nauki. Dane tęsknił do Droghedy po każdym pobycie na farmie, ale Justyna wolała Sydney, jakby mieszkała tam od zawsze, i czas w Droghedzie spędzała marząc o powrocie do miasta. Jezuici w Riverview byli zachwyceni, bowiem Dane był celującym uczniem. Siostry w Kincoppal miały mniej

powodów do radości. Justyna, ze swoimi bystrymi oczkami i niezwykle ciętym językiem, nie mogła być dzieckiem lubianym. Była dobrą uczennicą – i to wszystko.

Gazeta „Sydney Morning Herald” z dnia 4 sierpnia 1952 roku okazała się szalenie interesująca. Na pierwszej stronie umieszczano zazwyczaj tylko jedno zdjęcie, ilustrujące najciekawszą informację dnia. Tego dnia opublikowano udaną podobiznę Ralpha de Bricassart.

*Jego Wielbność Arcybiskup Ralph de Bricassart, obecnie przebywający w Stolicy Apostolskiej, został przez Jego Świątobliwość papieża Piusa XII mianowany kardynałem.*

*Kardynał Ralph Raoul de Bricassart ma za sobą wiele lat owocnej współpracy z rzymskokatolickim Kościołem w Australii. Przybył tu jako nowy wyświęcony kapłan w lipcu 1919 roku, a w marcu 1938 roku został wezwany do Watykanu.*

*Urodzony 23 września 1893 roku w Irlandii, kardynał de Bricassart był drugim synem rodziny, której korzenie wywodzą się od barona Ranulfa de Bricassart, przybyłego z Anglii w orszaku Willhelma Zdobywcy. Kardynał de Bricassart karierę w Kościele rozpoczął zgodnie z tradycją rodzinną. Wstąpił do seminarium w wieku lat siedemnastu i po wyświęceniu został wysłany do Australii. Pierwsze miesiące spędził w służbie świętej pamięci biskupa Michaela Clabby w diecezji Winnemurra.*

*W czerwcu 1920 roku został przeniesiony do parafii w Gillanbone w północnozachodniej części Nowej Południowej Walii. Jako prałat pozostał w Gillanbone do grudnia 1928 roku, kiedy to został prywatnym sekretarzem Jego Wielbności arcybiskupa Cluny Darka, a następnie legata papieskiego kardynała di Contini-Verchese. W tym czasie został biskupem. Gdy kardynał di Contini-Verchese został przeniesiony do Rzymu, by tam rozpocząć karierę w Watykanie, biskup de Bricassart został arcybiskupem i powrócił z Aten do Australii jako legat papieski. Pełnił tę ważną funkcję do 1938 roku, kiedy to został wezwany do Watykanu. Jego dalszy awans w hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego jest szybki i spektakularny. Obecnie, w wieku 58 lat, uważany jest za jednego z nielicznych ludzi aktywnie wpływających na politykę papieską.*

*Reporter naszej gazety rozmawiał wczoraj z byłymi parafianami kardynała de Bricassart w rejonie Gillanbone. Kardynał pozostawił po sobie dobre i ciepłe wspomnienia. Mieszkańcy tego bogatego rejonu, specjalizującego się w hodowli owiec, są w większości wyznawcami wiary rzymskokatolickiej.*

*– Ksiądz de Bricassart założył Świątokrzyskie Towarzystwo Miłośników Książek – powiedział Harry Gough, burmistrz Gillanbone. – W tamtych czasach była to niezmiernie ważna instytucja, bardzo hojnie obdarowana przez świętej pamięci panią Mary Carson z Droghedy, a po jej śmierci przez samego kardynała, który nigdy nie zapomniał o nas i o naszych potrzebach.*

*– Ojciec de Bricassart był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znałam – powiedziała pani Fiona Cleary, pani na Droghedzie, jednej z największych i najlepiej prosperujących farm w Nowej Południowej Walii. – Podczas swojego pobytu w Gilly był wspianiałym duchowym przewodnikiem swoich parafian, a szczególnie dla nas w Droghedzie, która, jak pan wie, należy do Kościoła. Podczas powodzi pomagał nam przepędzać bydło, podczas pożarów przychodził także z pomocą, chował naszych zmarłych. Był to człowiek ze wszech miar niezwykle i posiadał więcej uroku niż jakikolwiek inny mężczyzna, którego znałam. Był rzeczywiście przeznaczony do wyższych celów. Wspominamy go, choć już minęło prawie dwadzieścia lat od jego wyjazdu. Tak, sądzę, że mogę to powiedzieć bez obawy – w Gilly są jeszcze ludzie, dla których jest nadal kimś bardzo ważnym.*

*Podczas wojny ówczesny arcybiskup de Bricassart służył Jego Świątobliwości. Uważa się, że to on przekonał marszałka Alberta Kesselringa, by ogłosił Rzym miastem otwartym po przejściu Włoch na stronę aliantów. Florencja, która zwróciła się do marszałka o ten sam*

*przywilej, nie otrzymała go i w rezultacie straciła wiele ze swych skarbów sztuki, zwróconych jej później tylko dlatego, iż Niemcy przegrały wojnę. Zaraz po wojnie kardynał de Bricassart wspomagając tysiące bezdomnych ludzi szukających schronienia w innych krajach, w szczególności energicznie popierał australijski program dla uchodźców.*

*Choć jest z pochodzenia Irlandczykiem i jako kardynał de Bricassart zapewne nie będzie miał nic wspólnego z Australią sądzimy, iż Australia może z dumą uznać go za jednego ze swych synów.*

Meggie oddała gazetę Fee i uśmiechnęła się smutno.

– Trzeba mu pogratulować, tak jak to powiedziałam reporterowi „Heralda”, ale tego nie wydrukowali. Za to twoją mowę pochwalną, przytoczyli niemal dosłownie. Ale masz cięty język! Przynajmniej wiem, po kim Justyna odziedziczyła swój. Ciekawa jestem, ile ludzi będzie na tyle inteligentnych, by domyślić się podtekstu?

– On domyśli się na pewno, jeśli kiedykolwiek to przeczyta.

– Zastanawiam się czasem mamó, czy on w ogóle nas pamięta? – westchnęła Meggie.

– Bez wątpienia. Przecież nadal znajduje czas, by zajmować się sprawami Droghedy. Oczywiście, że pamięta nas, Meggie. Jakżeby mógł zapomnieć?

– Rzeczywiście, zapomniałam o Droghedzie. Jesteśmy pierwszą pozycją na liście dochodów, prawda? Musi być bardzo zadowolony. Nasza wełna osiąga na aukcjach funta za funt wagi. Tego nawet kopalnie złota mogłyby nam pozazdrościć. Po prostu złote runo. Ponad cztery miliony funtów ze strzyżenia naszych jagniąt.

– Nie bądź cyniczna, Meggie, nie jest ci z tym do twarzy – powiedziała Fee. Jej stosunek do Meggie, choć czasem nieco cierpki, ostatnimi czasy był pełen miłości i szacunku. – Dobrze nam się powodzi, nie możesz narzekać. Pamiętaj, że co roku otrzymujemy nasze pieniądze, niezależnie, czy jest to rok dobry czy zły. Czyż nie wypłacił Bobowi premii sto tysięcy funtów, a nam po pięćdziesiąt tysięcy? Gdyby nas jutro wyrzucił z Droghedy, moglibyśmy kupić Bugelę, nawet przy dzisiejszych wygórowanych cenach ziemi. A policzyłaś, ile dał twoim dzieciom? Tysiące, tysiące! Bądź więc sprawiedliwa.

– Ale moje dzieci o tym nie wiedzą i się nie dowiedzą. Dane i Justyna muszą się nauczyć, że trzeba dawać sobie radę w życiu bez pomocy naszego kochanego Ralpa Raoula, kardynała de Bricassart. Że też na drugie ma Raoul! Bardzo to normańskie, nie sądzisz?

Fee wstała i podeszła do ognia. Wrzuciła tytułową stronę „Heralda” do płomieni. Kardynał Ralph Raoul de Bricassart zmarszczył się i zniknął.

– Co zrobisz, Meggie, jeśli on wróci?

Meggie burknęła:

– Obiecanki, cacanki.

– Mógłby – powiedziała Fee enigmatycznie.

I wrócił, w grudniu. Bez rozgłosu, tak że nikt o tym nie wiedział; sam prowadził samochód całą drogę z Sydney. Prasa nie wiedziała o jego przybyciu do Australii, więc nikt w Droghedzie nawet nie podejrzewał, że może przyjechać. Nikogo nie było w pobliżu rezydencji, kiedy zaparkował samochód na podjeździe.

Całym ciałem, niemal każdą komórką odczuwał kolejne mile zbliżające go do Droghedy. Wciągał w płuca zapach buszu, owiec, suchej trawy błyszczącej w słońcu. Przypominał sobie kangury i emu, kakadu, iguany, miliony latających owadów, kolumny mrówek przeciągające przez drogę jak przelewająca się melasa i tłuste kluchowate owoce. Kochał to wszystko, bowiem najbardziej kochał we wszystkich istotach tę niezmienną wobec mijającego czasu.

Jedynie osiatkowanie domu było czymś nowym, ale i tu zauważył z rozbawieniem, że Fee nie pozwoliła, by weranda od drogi z Gilly została zamknięta siatką. Oczywiście, Fee miała rację. Metry siatki psułyby czyste linie gregoriańskiej fasady. Ile lat rosną eukaliptusy? Posadzono je tu ponad osiemdziesiąt lat temu. Korony bugenwilli były wielką masą różowych

i fioletowych kwiatów.

Było już lato, za dwa tygodnie Boże Narodzenie, i róże kwitły wspaniale. Gdziekolwiek się spojrzano, wszędzie rosły róże: białe, różowe, żółte, karmazynowe i szkarłatne. Pośród zielonej wistarii pięły się sennie różowe i białe pnące róże, opadały z dachu werandy, potem wspinały się po siatce do góry, obejmowały czarne rolety okien na piętrze i sięgały dalej ku niebu. Zbiorniki na wodę i ich podstawy również kryły się pośród róż. Wśród kwiatów wszędzie dominował odcień blad różowy. Popielaty róż? Czyż nie tak nazywano ten kolor? To Meggie musiała je zasadzić, na pewno Meggie.

Usłyszała uśmiech Meggie i stanął jak wryty. Ruszył w kierunku dźwięku, który zmienił się w rozkoszne chichotanie. Śmiała się tak, gdy była małą dziewczynką. Śmiech dochodził go za wielkiego krzewu popielatych róż. Rozchylił rękoma kwiaty, niemal odurzony ich zapachem – i śmiechem.

Ale Meggie tam nie było. To chłopiec na zielonym trawniku drażnił się z małym różowiułkim prosiaczkiem. Podbiegał do niego, uciekał galopem, i znów się przybliżał. Nieświadomy obecności kogokolwiek, chłopiec odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się znów. To był śmiech Meggie. Bezwiednie kardynał Ralph puścił róże i wyszedł na trawnik. Dwunasto-, może czternastoletni chłopiec podniósł wzrok, zdumiony. Prosiaczek zakwiczał, zwinął ciasno ogonek i uciekł.

Chłopiec, ubrany w stare szorty, bosi, miał złotobrązową skórę i szczupłą sylwetkę, ale w szerokich ramionach, dobrze zbudowanych udach i łydkach, płaskim brzuchu i wąskich biodrach domyślać się można było przyszłej siły. Długie, lekko kręjące się włosy kolorem przypominały wyblakłą trawę z Droghedy, a oczy, w oprawie gęstych ciemnych rzęs, były absurdalnie niebieskie. Wyglądał jak anioł zbiegły z raju.

– Dzień dobry – powitał go chłopiec z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedział kardynał Ralph, ulegając urokowi tego uśmiechu. – Kim jesteś?

– Jestem Dane O’Neill – przedstawił się chłopiec. – A kim pan jest?

– Nazywam się Ralph de Bricassart.

Dane O’Neill. A więc to syn Meggie. Nie opuściła wtedy Luke’a, wróciła do niego i urodziła mu tego pięknego chłopca, który mógłby być jego synem, gdyby wybrał ją a nie Kościół. Ileż to miał lat, gdy podjął tę decyzję? Chyba nie więcej niż ten chłopiec. Gdyby poczekał, ten chłopiec mógłby być jego synem. Co za bzdury, kardynale de Bricassart! Gdybyś nie wybrał Kościoła, pozostałbyś w Irlandii, hodował konie i nigdy nie poznałbyś swego przeznaczenia, nie poznałbyś Droghedy, ani Meggie Cleary.

– Czym mogę służyć? – spytał chłopiec grzecznie, podnosząc się giętko, w taki sposób, który kardynałowi natychmiast przypomniał Meggie.

– Czy twój ojciec jest tutaj, Dane?

– Mój ojciec? – Ciemne i delikatnie zarysowane brwi ściągnęły się. – Nie ma. I nigdy go tutaj nie było.

– Ach, rozumiem. A twoja matka?

– Pojechała do Gilly, ale wkrótce wróci. Babcia jest w domu. Czy zaprowadzić pana do niej? – Oczy niebieskie jak bławatki zwięzły się raptownie. – Ralph de Bricassart! Przecież ja o panu słyszałem! O rany, pan jest kardynałem de Bricassart! Wasza Eminencjo, przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

Kardynał, choć zamienił sutannę na bryczesy, buty z cholewami i białą koszulę, na palcu pozostawił pierścień z rubinem, nie mógł go bowiem zdjąć pod żadnym pozorem aż do końca swego żywota.

Dane O’Neill ukląkł, wziął szczupłą dłoń kardynała w swoje ręce i ucałował z szacunkiem pierścień.

– Nic się nie stało, Dane. Przyjechałem nie jako kardynał de Bricassart, ale jako przyjaciel

twojej matki i babki.

– Przepraszam, Wasza Eminencjo, że nie od razu skojarzyłem imię. Często je tutaj wymawiamy, tylko że wymawiamy nieco inaczej. Wiem, że matka bardzo się ucieszy, gdy pana zobaczy.

– Dane, Dane, gdzie jesteś? – zawołał niecierpliwie głos jednocześnie niski i pociągająco schrypnięty.

Opadające ku ziemi gałązki sumaka rozsunęły się i między nimi stanęła piętnastoletnia dziewczyna. Córka Meggie – pomyślał widząc jej zdumiewające oczy. Piegowata, o ostrych drobnych widząc jej zdumiewające oczy. Piegowata, o ostrych drobnych rysach, ku jego rozczarowaniu wcale nie przypominała Meggie.

– O, dzień dobry. Przepraszam, nie wiedziałam, że mamy gościa. Jestem Justyna O’Neill.

– Justyno, to jest kardynał de Bricassart! – powiedział Dane głośnym szeptem. – Ucałuj jego pierścień.

W jej jakby nie widzących oczach błysnęła pogarda.

– Jesteś prawdziwym dudkiem, jeśli chodzi o religię, Dane – powiedziała nie starając się ściszyć głosu. – Całowanie pierścienia jest niehigieniczne i nie zrobię tego. A poza tym skąd wiesz, że to prawdziwy kardynał de Bricassart? Wygląda jak któryś z hodowców, no wiesz, jak pan Gordon.

– Jest kardynałem – upierał się Dane. – Justyno, bądź grzeczna! Zrób to dla mnie!

– Będę grzeczna, ale tylko dla ciebie. Choć i tak nie pocałuję jego pierścienia, nawet dla ciebie. Okropieństwo! Skąd mogę wiedzieć, kto całował go ostatnio? Może był przeziębiony?

– Nie musisz całować mojego pierścienia, Justyno. Przyjechałem na wakacje, więc nie jestem w tej chwili kardynałem.

– To dobrze. I powiem panu szczerze, że jestem ateistką – rzekła spokojnie córka Meggie Cleary. – Po czterech latach w Kincoppal uważam, że to kupa bzdur.

– To twoje prawo – powiedział kardynał Ralph, usiłując za wszelką cenę dorównać jej powagą i dostojeństwem. – Czy mógłbym się widzieć z waszą babką?

– Oczywiście. Czy jesteśmy jeszcze panu potrzebni? – zapytała Justyna.

– Dziękuję, znam drogę.

– To dobrze. Chodź Dane, pomożesz mi. Chodźże już! – zwróciła się do brata, który wciąż gapił się na gościa.

Mimo, że Justyna szarpała go boleśnie za ramię, Dane stał wpatrzony w prostą wysoką postać kardynała, dopóki nie zniknął za krzewami.

– Prawdziwy dudek z ciebie, Dane. Co ty w nim widzisz?

– Jest kardynałem! – rzekł Dane. – Wyobraź sobie: prawdziwy kardynał w Droghedzie!

– Kardynałowie – wyjaśniła Justyna – są księżętami Kościoła. Chyba masz rację, to raczej niezwykle. Ale on mi się nie podoba.

Gdzieżby szukać Fee, jak nie za jej biurkiem? Wszedł do salonu przez wielkie drzwi, obite teraz siatką. Na pewno usłyszała, jak wchodzi, ale pracowała dalej z pochyloną głową, pokrytą pięknymi jasnymi włosami, już posiwiałymi. Przypomnił sobie, że skończyła już siedemdziesiąt dwa lata.

– Dzień dobry, Fee – powiedział.

Gdy podniosła ku niemu głowę, od razu dostrzegł w niej zmianę. Trudno mu było ją określić. Jak kiedyś, dominowała obojętność, ale coś ponadto. Jakby złagodniała z upływem czasu, a jednocześnie stwardniała; stała się bardziej ludzka, lecz na sposób Mary Carson. Boże, te matrony z Droghedy! Czy Meggie stanie się taka sama, kiedy przyjdzie na nią czas?

– Dzień dobry, Ralphie – powiedziała, jakby jego wejście było czymś najzupełniej naturalnym. – Miło znów cię widzieć.

– Ciebie też.

– Nie wiedziałam, że jesteś w Australii.

– Nikt nie wie. Przyjechałem na parę tygodni na wakacje.  
– Zatrzymasz się u nas, mam nadzieję?  
– A gdzieżby indziej? – Powiódł spojrzeniem po wspaniałych ścianach, zatrzymał się na portrecie Mary Carson. – Wiesz, Fee, masz doskonały gust. Ten pokój może równać się z najlepszymi w Watykanie.  
– Dziękuję! Staram się, jak umiem. Wolę co prawda jadalnię. Zmieniło się w niej od twojego ostatniego pobytu. Cała jest teraz w różu, zieleni i bieli. Brzmi to okropnie, ale poczekaj, aż zobaczysz. Chociaż nie wiem, czemu się tak przejmuję, to przecież twój dom.  
– Dopóki żyje choć jeden Cleary, nie jest mój – odpowiedział spokojnie.  
– To pocieszające. No, a tobie powiodło się w życiu od tamtych czasów w Gilly. Widziałeś artykuł w „Heraldzie” o twoim awansie?  
– Widziałem. Masz coraz bardziej cięty język, Fee.  
– I co więcej, jestem z tego zadowolona. Nie odzywałam się całymi latami. Nie wiedziałam, co tracę – uśmiechnęła się. – Meggie jest w Gilly, ale wkrótce wróci.  
Dane i Justyna weszli przez werandę.  
– Nanna, możemy pojechać nad jezioro?  
– Wiecie, co mama o tym sądzi. Żadnej jazdy konnej, o ile mama nie pozwoli. Przykro mi, ale to postanowienie waszej mamy. Ale gdzie wasze dobre wychowanie? Przedstawcie się naszemu gościowi.  
– Już się poznaliśmy.  
– Och!  
– Myślałem, że jesteście w szkole – zwrócił się do Dane’a z uśmiechem.  
– Nie w grudniu, Wasza Eminencjo. Mamy dwa miesiące wakacji.  
Zbyt wiele lat go tu nie było. Zapomniał, że na południowej półkuli dzieci mają letnie wakacje w grudniu i styczniu.  
– Czy zostanie pan z nami dłużej, Wasza Eminencjo? – spytał Dane, wciąż zafascynowany.  
– Dane, Jego Eminencja będzie z nami tak długo, jak tylko to możliwe – powiedziała babka. Sądzę jednak, że będzie dlań uciążliwe, jeżeli przez cały czas będziecie go tytułować Waszą Eminencją. No więc jak będziemy się do niego zwracać? Wujek Ralph?  
– Wujek?! – zawołała Justyna. – Babciu, przecież wiesz, u nas w rodzinie tak nie wolno. Naszymi wujkami są Bob, Jack, Hughie, Jims i Patsy. Musi być po prostu Ralph.  
– Justyno! Jak ty się zachowujesz? – skarciła ją Fee.  
– Nic się nie stało, Fee. Wolę, by wszyscy do mnie mówili Ralph, naprawdę – powiedział szybko kardynał. Czemu to dziecko tak go nie lubi?  
– Ależ nie mógłbym! – wykrztusił Dane. – Nie mógłbym mówić tak po prostu Ralph!  
Kardynał położył mu ręce na nagich ramionach. Uśmiechnął się, a jego oczy wydały mu się w zacienionym pokoju bardzo jasne i dobre.  
– Oczywiście, że możesz, Dane. To nie grzech.  
– Chodź, Dane, idziemy do naszego domku – zakomenderowała Justyna.  
– Boże, wspomóż! – powiedziała Fee. – No, Dane, idź się bawić na dwór. No, zmykaj! – Klasnęła w dłonie.  
Chłopiec wybiegł, a Fee zerknęła na swoje książki. Kardynał Ralph ulitował się nad nią i stwierdził, że pójdzie do kuchni. To miejsce niewiele się zmieniło przez lata. Nadal było oświetlone lampami. Nadal pachniało pszczelim woskiem i wielkimi naręczami róż.  
Długo rozmawiał z panią Smith i służącymi. Zestarzały się bardzo przez te wszystkie lata, ale im było z tym bardziej do twarzy niż Fee. Były szczęśliwe, naprawdę niemal zupełnie szczęśliwe. Biedna Fee, ona nie była szczęśliwa. A czy Meggie jest szczęśliwa?  
Kiedy wyszedł z kuchni, Meggie jeszcze nie wróciła. Poszedł więc powoli w stronę rzeczki. Na cmentarzyku panował spokój, tak jak dawniej na ścianie grobowca wisiła sześć

brązowych tablic. Pomyślał, że chce tu być pochowany musi pamiętać, aby wydać odpowiednie dyspozycje po powrocie do Rzymu. Zauważył dwa nowe groby w pobliżu grobowca. Jeden należał do starego wyrobnika Toma, w drugim pochowana była żona jednego z pracowników farmy, zatrudnionego od 1946 roku. Pewnego rodzaju rekord – pomyślał. Pani Smith uważała, że wciąż pracował w Droghedzie właśnie ze względu na grób swojej żony. Parasolka chińskiego kucharza całkiem już wyblakła na ostrym słońcu, z początkowej purpury, poprzez wszystkie odcienie, które pamiętał, stała się bladziutko różowa, niemal popielatoróżowa.

Było bardzo upalnie. Lekki podmuch poruszył płaczącymi wierzbami nad rzeczką, dzwoneczki ozdabiające parasolkę chińskiego kucharza zagrały swą żalną melodyjkę: „Hi Sing, Hi Sing, Hi Sing. Tankstand Charlie dobry był z niego człek” – z trudem odczytał wyblakły napis. Cóż tak powinno być. Cmentarze powinny zapadać się w matkę ziemię, obracać w proch, aż wszystko zniknie i pozostanie tylko wspomnienie w powietrzu. Nie chciał, by pochowano go w krypcie w Watykanie, wśród ludzi mu podobnych. Wolał to miejsce, gdzie leżą ci, którzy żyli prawdziwym życiem.

Odwrócił się i jego wzrok spoczął na marmurowym aniołku. Podniósł dłoń w niemym geście pozdrowienia. Od strony rezydencji nadchodziła Meggie. Szczupłą i złotowłosa, ubrana w bryczesy i białą męską koszulę. Szary męski kapelusz zsunęła na tył głowy, na nogach miała brunatne boty. Wyglądała jak chłopiec, jak jej własny syn, który powinien być jego synem. Był mężczyzną, ale gdy go tutaj pochowają, nie pozostanie po nim wśród żywych nikt, kto byłby tego świadectwem.

A ona szła ku niemu, przestąpiła przez niski biały płótek i podeszła tak blisko, że widział tylko jej oczy, te wspaniałe szare oczy wypełnione światłem, które nie straciły nic ze swego piękna i ze swej władzy nad jego duszą. Zrzuciła mu ręce na szyję i znów dotykał swego przeznaczenia, jakby nigdy od niego nie odszedł. Te usta, których namiętność czuł na swoich wargach, nie były snem śnionym od tak dawna. Był to sakrament innego rodzaju, mroczny nie jak niebo, lecz jak ziemia.

– Meggie, Meggie – powtarzał wtulając twarz w jej włosy, strącając jej kapelusz na trawę, otaczając ramieniem.

– To nie przeszkadza w niczym, prawda? Nic się nie zmieniło? – szepnęła z zamkniętymi oczami.

– To prawda, nic się nie zmieniło – odpowiedział i uwierzył w to.

– Tutaj jest Drogheda, Ralphie. Ostrzegalam cię, w Droghedzie należysz do mnie, nie do Boga.

– Wiem. Przyznaję. Przyjechałem przecież. – Pociągnął ją za sobą na trawę. – Czemu, Meggie?

– Czemu co? – Gładziła go po włosach, całkiem już siwych, bielszych niż włosy Fee, ale wciąż gęstych i wciąż pięknych.

– Czemu wróciłaś do Luke’a? Czemu urodziłaś mu syna? – spytał zazdrośnie.

– Zmusił mnie – powiedziała łagodnie. – Tylko raz, ale mam Dane’a, więc nie żałuję. Dane jest wart wszystkiego, co przeszłam, by go mieć.

– Przepraszam, nie miałem prawa pytać. W końcu sam mu ciebie oddałem.

– Właśnie tak, oddałeś.

– Dane jest wspaniałym chłopcem. Czy jest podobny do Luke’a?

– Nie, raczej nie. Żadne z moich dzieci nie jest zanadto podobne ani do Luke’a, ani do mnie.

– Kocham je, bo są twoje.

– Jesteś jak zwykle sentymentalny. Do twarzy ci z tą siwizną. Wiedziałam, że zestarzejesz się wspaniale, Ralph. I chciałam to zobaczyć. Trzydzieści lat, Ralph, to już trzydzieści lat, jak cię poznałam. A wydaje się, że to trzydzieści dni!



- Trzydzieści lat? Tak dużo?
- Mam czterdzieści jeden, najdroższy, więc nie może być inaczej. – Wstała. – Wysłano mnie w oficjalnej misji, by cię zaprosić do rezydencji. Pani Smith przygotowała wspaniały podwieczorek na twoją cześć, a trochę później, jak się nieco ochłodzi, poda pieczone prosię z chrupiącą skórką.
- Szedł przy niej w stronę domu.
- Twój syn śmieje się zupełnie jak ty, Meggie. Jego śmiech był pierwszym ludzkim głosem, jaki usłyszałem tu, w Droghedzie. Myślałem, że to ty, ale zamiast ciebie znalazłem jego.
- Dane był pierwszą osobą, którą tu zobaczyłeś?
- No tak, zdaje się, że tak.
- Co o nim sądzisz, Ralph? – zapytała.
- Spodobał mi się. Czy może być inaczej, skoro to twój syn? Do niego natychmiast poczułem sympatię, czego nie mogę powiedzieć o twojej córce. Ona też za mną nie przepada, jak sądzę.
- Justyna jest moją córką, ale też pierwszorzędną żoną. Nauczyłam się na stare lata kłąć, głównie zresztą przez nią. No i przez ciebie odrobinę. I odrobinę przez Luke’a. I przez wojnę. Zabawne, jak to wszystko się nakłada.
- Bardzo się zmieniłaś, Meggie.
- Czyżby? – Małe pełne usta rozchyliły się w uśmiechu. – Nie sądzę, naprawdę. To tylko ta nasza wielka ziemia powoli zdziera ze mnie kolejne warstwy jak siedem welonów Salomei. Albo jak warstwy cebuli – tak ujęłaby to Justyna. Ani krzty poezji w tym dziecku. Jestem wciąż tą samą dawną Meggie, Ralph, tylko nieco bardziej obnażoną.
- Może...
- Ale, Ralph, ty zmieniłeś się naprawdę.
- W jaki sposób, moja Meggie?
- Jakby cokolwiek chwiał się przy każdym podmuchu i jakby widok stamtąd, z góry, rozczarowywał.
- Rozczarowuje – zaśmiał się bezgłośnie. – I pomyśleć, że miałem kiedyś czelność twierdzić, że nie jesteś niezwykłą! Cofam to. Jesteś jedyną kobietą, Meggie, jedyną jedyną.
- Co się stało?
- Nie wiem. Może odkryłem, że dostojnicy Kościoła to olbrzymy na glinianych nogach? Może sprzedałem się za miskę soczewicy? Czy sięgam w próżnię? – Ściągnął brwi jakby w bólu. – I to chyba wszystko, w wielkim skrócie.
- Zawsze byłam bardziej realna, tylko ty tego nie umiałeś docenić.
- Nie mogłem zrobić inaczej, wierz mi! Wiedziałem, gdzie powinienem być pójść, ale nie mogłem. Może byłbym lepszym człowiekiem, nawet jeśli mniej dostojnym. Po prostu nie mogłem, Meggie. Tak bym chciał, żebyś to zrozumiała!
- Delikatnie pogładziła go po ramieniu.
- Kochany Ralphie, ja naprawdę rozumiem. Wiem, wiem... Każde z nas ma coś takiego w sobie, czemu nie możemy się oprzeć, nawet jeśli wyje z bólu i pragnie śmierci. Jesteśmy, jacy jesteśmy, i to wszystko. Jak ta stara celtycka legenda o ptaku z cierniem w piersi, wyśpiewującym z siebie duszę, by umrzeć, ponieważ coś go do tego pcha i zmusza. Możemy zdawać sobie sprawę, że czynimy źle, ale ta wiedza w niczym nie zmienia naszego postępowania. Każde z nas ma swoją własną pieśń i jest przekonane, że wspanialszej nie znał świat. Rozumiesz? Sami stwarzamy własne ciernie, nigdy ani przez chwilę nie zastanawiając się nad kosztami. Pozostaje nam cierpienie i wmawianie sobie, że warto było.
- Tego właśnie nie pojmuję: cierpienia. – Spojrzał na jej dłoń, tak delikatnie leżącą na jego ramieniu, a przygniatającą go ciężarem. – Po co tyle cierpienia, Meggie?
- Spytaj Boga, Ralph. To On jest przecież autorytetem, jeśli chodzi o cierpienie. To On nas

stworzył takimi, jakimi jesteście. To On stworzył cały świat, więc i On wymyślił cierpienie.

Bob, Jack, Hughie, Jims i Patsy uczestniczyli w kolacji, bowiem była to sobota. Następnego dnia rano, ksiądz Watty miał przyjechać, żeby odprawić mszę, ale Bob zadzwonił do niego i uprzedził, że nie będzie nikogo. Takie małe usprawiedliwione kłamstwo, aby zachować w tajemnicy pobyt kardynała Ralph. Pięciu braci Cleary coraz bardziej przypominało swego ojca: byli teraz starsi, nieco powolniejsi w mowie, ale równie niewzruszeni i wytrzymali jak ich ziemia. A jak kochali małego Dane'a! Zdawali się wciąż na niego patrzeć, odprowadzali go wzrokiem nawet wtedy, gdy wychodził z pokoju. Nietrudno było dostrzec, że żyją w oczekiwaniu na dzień, w którym zaczną wraz z nimi gospodarować na farmie.

Kardynał Ralph odkrył też przyczynę wrogości Justyny. Dane nie odstępował go na krok, czekał na każde jego słowo, pełen sympatii do niego. Justyna była po prostu zazdrosna.

Kiedy dzieci poszły na górę, spojrzął na braci, Meggie i Fee.

– Fee, zostaw na chwilę te swoje papiery – powiedział. – Usiądź razem z nami. Chcę z wami wszystkimi porozmawiać.

Trzymała się nadal prosto i zachowała figurę, tylko piersi nieco opadły i przytyła w tali. W milczeniu usiadła na jednym z wielkich kremowych foteli naprzeciwko kardynała, między Meggie a synami, siedzącymi na kamiennych ławkach.

– Chodzi o Franka – powiedział.

Imię to zawisło między nimi, zabrzmiało dalekim echem.

– To znaczy? – Fee nie straciła panowania nad sobą.

Meggie spojrzała na kardynała, potem na matkę.

– Mów, Ralph – zażądała, nie mogąc znieść tego spokoju.

– Frank przesiedział w więzieniu już prawie trzydzieści lat. Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę – zaczął kardynał. – Wiem, że moi ludzie informowali was, lecz prosiłem ich, by oszczędzili wam zbędnych szczegółów. Szczerze mówiąc, uważałem, że nikomu nie przyniesie to korzyści. I tak nic nie moglibyście zrobić. Myślę, że wypuszczono by go już kilka lat temu, gdyby nie to, że na początku pobytu w więzieniu w Goulburn zyskał opinię człowieka agresywnego i niezrównoważonego. Nawet podczas wojny, gdy niektórych więźniów wypuszczono do wojska, Franka zatrzymano.

Fee podniosła wzrok.

– To jego usposobienie – powiedziała spokojnie, bez żadnej emocji.

Kardynał szukał właściwych słów. Rodzina przyglądała mu się z nadzieją i obawą, chociaż nie dobro Franka mieli na myśli.

– Zapewne dziwicie się, czemu wróciłem do Australii po tylu latach – powiedział wreszcie kardynał, nie patrząc na Meggie. – Nie zawsze myślałem o was, zdaję sobie z tego sprawę. Od dnia, w którym was spotkałem, zawsze myślałem najpierw o sobie, potem o was. Kiedy Ojciec Święty wynagrodził mój trud płaszczem kardynalskim, zadałem sobie pytanie, czy jest coś, co mógłbym zrobić dla waszej rodziny, co wyraziłoby moje uczucia. – Odetchnął głęboko i skoncentrował się na Fee. – Wróciłem do Australii, by zobaczyć, co mógłbym zrobić dla Franka. Pamiętasz, Fee, naszą rozmowę po śmierci Paddy'ego i Stu? Było to dwadzieścia lat temu, ale nigdy nie zapomniałem twoich oczu. Straciły całą energię i witalność.

– Tak – powiedział Bob nagle, wpatrzony w matkę. – Właśnie tak.

– Zwalniają Franka – powiedział kardynał. – Nic innego nie mogłem zrobić, by wam pokazać, że naprawdę mi na tym zależy. Patrzył na Fee. W jej oczach zapaliło się jakieś światło – na początek była to iskierka. Poczł sens swojego powołania pierwszy raz od czasu wojny, kiedy to rozmawiał z młodzieńcem żołnierzem niemieckim o imponującym imieniu.

– Dziękuję – powiedziała Fee cicho.

– Czy przyjmiecie go z powrotem do Droghedy?  
– Tu jest jego dom – odpowiedział Bob za wszystkich.  
– To nie ten sam Frank – tłumaczył kardynał łagodnie. – Przed przyjazdem do Droghedy odwiedziłem go w więzieniu w Goulburn, aby przekazać wiadomość o jego losie. Musiałem mu dać do zrozumienia, że wszyscy w Droghedzie wiedzą, co się z nim działo. Jeśli wam powiem, że nie przejął się tym zbyt, zrozumiecie, jak bardzo się zmienił. Był po prostu wdzięczny. I bardzo pragnie zobaczyć swoją rodzinę, szczególnie ciebie, Fee.  
– Kiedy wychodzi? – spytał Bob odchrząkując. Radość z powodu matki mieszała się z obawą, co się stanie, gdy Frank wróci.  
– Za tydzień lub dwa. Przyjedzie nocnym pociągami. Chciałem, by przyleciał samolotem, ale on woli pociągami.  
– Patsy i ja wyjdziemy po niego – zaoferował się Jims ochoczo, po chwili jednak się speszył. – Ale my nie wiemy, jak on wygląda.  
– Nie trzeba – powiedziała Fee. – Sama pojedę po niego. Sama. Jeszcze nie zdzieciniałam na tyle, by nie móc pojechać do Gilly.  
– Mama ma rację – powiedziała Meggie stanowczo, powstrzymując chór protestów ze strony braci. – Pozwólcie mamie zobaczyć się z nim najpierw. Powinna go zobaczyć pierwsza.  
– No, mam jeszcze trochę pracy – powiedziała Fee szorstko, wstając i idąc w kierunku biurka.  
Pięciu braci wstało jak jeden mąż.  
– Na nas też pora – powiedział Bob, ziewając szeroko. Uśmiechnął się nieśmiało do kardynała. – Przypomną nam się dawne czasy, gdy rano odprawisz mszę.  
– Ja też powiem już dobranoc, Ralphie – odezwała się Meggie.  
– Dobranoc, Meggie. – Odprowadził ją wzrokiem, po czym odwrócił się do Fee. – Dobranoc, Fee.  
– Przepraszam, co mówiłeś?  
– Powiedziałem dobranoc.  
– Aha! Dobranoc.  
Nie chciał iść na górę zaraz po Meggie.  
– Przejdę się odrobinę przed snem. Wiesz co, Fee?  
– Co? – spytała w zamyśleniu.  
– Nie zmyliłaś mnie ani na chwilę.  
Parsknęła śmiechem, który zabrzmiał dość niesamowicie.  
– Czyżby? Nie byłabym taka pewna.  
Było późno, wszędzie świeciły gwiazdy, gwiazdy południowego nieba. Stracił nad nimi kontrolę, chociaż wciąż jeszcze jaśniały, zbyt daleko, by ogrzać, zbyt daleko, by pocieszyć. Leżały bliżej Boga, który był obłądnym ognikiem pośród nich. Stał długo, patrząc w niebo, wsłuchując się w wiatr szumiący w drzewach, uśmiechając się do siebie.  
Nie chciał natknąć się na Fee, wybrał więc klatkę schodową w drugim końcu domu. Lampa nad jej biurkiem świeciła jeszcze; widział jej sylwetkę nachyloną nad książkami. Biedna Fee. Z pewnością obawia się iść spać, chociaż może będzie jej łatwiej, gdy Frank wróci. Może.  
U szczytu schodów spotkała go głęboka cisza. Kryształowa lampa stojąca na niskim stoliku w holu rzucała przyćmiony krąg światła, drgający przy każdym powiewie nocnego wietrzyka, który wydymał firanki w oknie. Przeszedł obok, jego kroki wygłuszył puszysty dywan.  
Przez otwarte drzwi w pokoju Meggie padał snop światła. Wchodząc zasłonił je na chwilę, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Meggie przebrała się już w luźną podomkę i siedziała w fotelu przy oknie, spoglądając na niewidoczne w ciemności pastwisko. Gdy

wszedł, obróciła ku niemu głowę i patrzyła, jak podchodzi do jej łóżka i siada na brzegu. Wstała powoli i podeszła do niego.

– Pomogę zdjąć ci buty. Sama nigdy nie noszę takich z wysokimi cholewami. Nie mogę ich zdjąć bez zzuwaka, a zzuwak niszczy dobre buty.

– Czy wybrałaś ten kolor specjalnie, Meggie?

– Popielaty róż? – Uśmiechnęła się. – To mój ulubiony kolor i pasuje do moich włosów.

Oparł jedną nogę na jej pośladkach, podczas gdy ona ściągała buty, potem zmienił nogę.

– Taka byłaś pewna, że przyjdę, Meggie?

– Powiedziałam ci przecież. W Droghedzie jesteś mój. Gdybyś ty nie przyszedł do mnie, to ja poszłabym do ciebie, możesz być pewny. – Ściągnęła mu koszulę przez głowę i przez chwilę jej dłoń spoczęła z rozkoszną delikatnością na jego nagich plecach. Podeszła do lampy i zgasiła ją. Przerzucił ubranie przez poręcz krzesła nasłuchując, jak porusza się w ciemności, zdejmując podomkę. A jutro rano odprawię mszę – pomyślał. – Ale to będzie dopiero jutro rano i czar już dawno pryśnie. Jest jeszcze noc i jest Meggie. Pragnąłem jej. Ona też jest sakramentem.

– Myślałem, że będziesz miał purpurową sutannę! – Dane był rozczarowany.

– Czasem noszę purpurową, ale tylko w murach mojego pałacu. Poza nim wkładam czarną sutannę, taką jak ta.

– Naprawdę masz pałac?

– Tak.

– I są tam żyrandole?

– Tak, ale w Droghedzie też są.

– Eee, Drogheda! – powiedział Dane z niesmakiem. – Założę się, że nasze są malutkie w porównaniu z twoimi. Chciałbym zobaczyć ten twój pałac i ciebie w purpurowej sutannie.

Kardynał Ralph uśmiechnął się.

– Kto wie, Dane? Może któregoś dnia tak się zdarzy.

Twarz chłopca miała niecodzienny wyraz, spojrzenie jakby nieobecne. Gdy w czasie mszy kardynał Ralph odwrócił się i napotkał to wyteżone spojrzenie i uświadomił sobie, że ten wzrok jest mu skądś znany, ale żaden człowiek nie widzi się w lustrze takim, jakim jest naprawdę.

Jak co roku, na Gwiazdkę spodziewano się Luddiego i Anne Muellerów. W rezydencji pełno było ludzi radosnych, oczekujących najwspanialszego od lat Bożego Narodzenia. Minnie i Cat fałszując podśpiewywały sobie przy pracy, pulchnej twarzy pani Smith nie opuszczał uśmiech. Meggie nie komentowała faktu, iż Dane całe dni spędzał z kardynałem, Fee wydawała się nareszcie szczęśliwa i mniej czasu spędzała przy biurku. Mężczyźni znajdowali sobie różne powody, by co wieczór wracać do rezydencji, bowiem po późnym obiedzie w salonie wrzało od rozmów, a na dobranoc pani Smith przygotowywała przekąski: grzanki z serem, gorące bułeczki z masłem i ciastka z rodzynkami. Kardynał Ralph protestował, że utyje, jeśli będzie tyle jadł, ale po trzech dniach przebywania na powietrzu, wśród ludzi i przy stole w Droghedzie nie wyglądał już na tak wymęczonego i wychudzonego jak po przyjeździe.

Czwartego dnia zrobiło się bardzo upalnie. Kardynał Ralph i Dane pojechali przyprowadzić stado owiec. Justyna, obrażona, siedziała sama w domku na drzewie, a Meggie odpoczywała na werandzie. Czują w sobie radość spełnienia i była niezmiernie szczęśliwa. Kobieta może być sama latami, ale czuje się dobrze, kiedy zjawia się ten jedyny ukochany mężczyzna. Kiedy była z Ralphem, rozkwitała w niej każda cząstka jej ciała, której nie poświęcała Dane'owi. A gdy była z synem, rozkwitało w niej wszystko, co nie należało do Ralph'a. Tylko wtedy, gdy miała ich obu przy sobie, czuła się w pełni szczęśliwa.

Było jednak coś, co rzucało cień na jej szczęście: Ralph niczego nie dostrzegł. Meggie zachowała więc swoją tajemnicę. Jeśli on nie zobaczył tego sam, to po co miałyby mu

mówić? Czy zasłużył na to, by znać prawdę? Jak mógł więc sądzić, że wróciła do Luke'a? Nie zasługiwał więc na to, by wiedzieć. Czasami czuła na sobie spojrzenie bladych, ironicznych oczu Fee, ale wytrzymywała je niewzruszenie. Fee zrozumiała, naprawdę rozumiała. Rozumiała tę póżnienawiść, ten żal i chęć ukarania za wszystkie samotne lata. Ralph de Bricassart wciąż w pogoni za marzeniami. Czemu miałyby go obdarować najpiękniejszym z marzeń, synem? Niech będzie tego pozbawiony. Niech cierpi, nie wiedząc nawet, że cierpi.

Zadzwęczał telefon. Meggie zawołała matkę.

– Mówi Fiona Cleary – powiedziała Fee. Gdy odłożyła słuchawkę, była blada jak kreda.

– Co się stało, mamó?

– Zwolnili Franka. Przyjeżdża nocnym pociągiem. – Spojrzała na zegarek. – Zaraz muszę jechać. Jest już po drugiej.

– Pozwól, że pojedę z tobą – zaoferowała Meggie. Nie chciała, by matka się zawiodła. Wyczuwała, że to spotkanie jest dla niej takie trudne.

– Nie, Meggie. Nic mi się nie stanie. Zajmij się wszystkim i poczekaj z obiadem na mój powrót.

– Mamó, czy się cieszysz? To wspaniale, że Frank zdąży na Boże Narodzenie!

– Tak – powiedziała Fee. – To wspaniale.

Teraz, gdy można było latać samolotem, kolej nie miała wielu pasażerów. Kiedy więc nocny pociąg pokonał sześćset mil z Sydney i dotarł wreszcie do Gilly, nie było w nim zbyt wielu podróżnych.

Naczelnik stacji znał panią Cleary z widzenia, ale nigdy nie ośmieliłby się ją zagadnąć. Przyglądał się więc tylko, gdy schodziła z drewnianej kładki nad torami i stanęła sztywno na peronie. Wytworna starsza pani – pomyślał. – Modny kapelusz i sukienka, buty na wysokich obcasach. Widać od razu, że spokojne życie na farmie odpowiada kobiecie.

Frank z łatwością poznał matkę. Fee trudniej było rozpoznać syna w pięćdziesięcioletnim mężczyźnie, który stanął na peronie w Gilly o zmierzchu tego dnia. Był wychudzony i bardzo blady. Włosy miał podgolone wysoko, ubranie wisiało na nim bezkształtnie. Ale w sylwetce pozostało jeszcze coś z dawnej siły. Piękne ręce ścisnęły rondo szarego filcowego kapelusza. Nie garbił się i nie wyglądał źle, lecz widać było, jak bardzo czuje się zagubiony. Bezradnie miętosił kapelusz w garści, zdawało się, że nie spodziewał się nikogo i nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Opanowawszy się, Fee podeszła do niego energicznie.

– Dzień dobry, Frank – powiedziała.

Podniósł oczy, które wcale nie były oczami Franka: wyczerpane, cierpliwe, ogromnie znużone. Gdy jednak zobaczył i rozpoznał Fee, w tych oczach pojawił się niesamowity wyraz cierpienia i całkowitej bezbronności.

– Och, Frank! – powiedziała Fee i objęła go, przytulając jego głowę do ramienia. – Już dobrze, już wszystko dobrze – powiedziała uspokajająco, jak do dziecka, a potem jeszcze raz ciszej powtórzyła: – Już wszystko dobrze.

Na początku siedział w samochodzie zgarbiony i milczący, ale w miarę jak rolls nabierał szybkości po wyjeździe z miasteczka zaczął się rozglądać.

– Wygląda tak jak dawniej – wyszeptał.

– Zapewne. Czas tu płynie bardzo powoli.

Przejechali przez dudniący drewniany most nad wąską błotnistą rzeczką, wzdłuż której rosły wilgi. W odsłoniętym korycie widać było płataninę korzeni i żwiru, w niewielkich brązowych kałużach gdzieś tam stała woda. Na tym kamienistym pustkowiu wszędzie rosły eukaliptusy.

– Barwon – powiedział. – Nie sądziłem, że jeszcze go kiedykolwiek zobaczę.

Za nimi unosił się tuman kurzu, przed nimi droga biegła prosto przez wielką trawiastą

nizinę.

– Nowa droga, mam? – Rozpaczliwie szukał tematu do rozmowy, pragnąc, by sytuacja wydała się zwyczajna i normalna.

– Tak, przeprowadzili ją z Gilly do Milparinka tuż po wojnie.

Mogliby przynajmniej posmołować.

– A po co? Przyzwyczailiśmy się już do kurzu. Pomyśl, ile kosztowałoby utwardzenie podłoża, by wytrzymało tutejsze błota. Ta nowa droga jest prosta, utrzymują ją w dobrym stanie i wyeliminowała trzynaście z dwudziestu siedmiu bram. Między Gilly i rezydencją zostało już tylko czternaście. Ale zobaczysz, co myśmy z nimi zrobili. Już nie trzeba ich wciąż otwierać i zamykać.

Rolls jechał po rampie do stalowej bramy, która podniosła się leniwie i opuściła, gdy tylko samochód przejechał pod nią i oddalił się o kilka jardów.

– Cudom nie ma końca – zawołał Frank.

– Jako pierwsi założyliśmy automatyczne bramy, oczywiście tylko między drogą do Miliparinka a farmą. Bramy pastwisk trzeba nadal otwierać i zamykać ręcznie.

– Pewnie facet, który wymyślił te bramy, musiał się ich w życiu sporo naotwierać? – Frank uśmiechnął się szeroko. Była to pierwsza oznaka radości.

Umilkł jednak, więc matka skoncentrowała się na prowadzeniu, nie chcąc go przymuszać. Kiedy przejechali przez ostatnią bramę i wjechali na teren rezydencji, odetchnął.

– Zapomniałem, jak tu pięknie.

– To nasz dom – powiedziała Fee. – Zadbaliśmy o niego.

Zostawiła rollsa przy garażach i poprowadziła Franka do domu. Tym razem sam niósł walizkę.

– Chcesz mieć pokój w rezydencji, Frank, czy wolisz domek dla gości? – zapytała matka.

– Wolałbym domek, dziękuję. – Znużone oczy popatrzyły na nią. – Miło będzie być z dala od ludzi – wyjaśnił, w ten tylko sposób nawiązując do pobytu w więzieniu.

– Sądzę, że tak będzie lepiej dla ciebie – powiedziała prowadząc go do salonu. – W rezydencji jest teraz sporo ludzi: kardynał, Dane i Justyna, pojutrze, na Boże Narodzenie, spodziewamy się Anne i Luddiego Muellerów. – Zadzwoiła na podwieczorek i obeszła pokój zapalając lampy naftowe.

– Luddie i Anne Muellerowie? – zapytał.

Zatrzymała się w trakcie podkręcania knota i spojrzała na syna.

– Minęło już tyle czasu, Frank. Anne i Luddie to znajomi Meggie. – Gdy lampa paliła się tak, jak powinna, usiadła w swoim fotelu. – Kolacja będzie za godzinę, ale najpierw napijemy się herbaty. Muszę przepłukać usta po tej jedzie.

Frank usiadł niezdarnie na brzegu otomany i rozglądał się po pokoju z podziwem.

– Wygląda zupełnie inaczej niż za czasów ciotki Mary.

Fee uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję – powiedziała.

Weszła Meggie. Trudniej mu było przyzwycząć się do widoku Meggie jako dorosłej kobiety niż do widoku starej matki. Siostra uściskała go i wycalowała, a on chował twarz i kulił się, szukając wzrokiem matki, która siedziała patrząc na niego, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że z biegiem czasu wszystko stanie się normalne. Kiedy szukał słów, które mógłbym powiedzieć tej nieznajomej, weszła córka Meggie, wysoka chuda dziewczyna, która usiadła sztywno, przesuwając wzrok z jednej twarzy na drugą i dużymi dłońmi układając fałdki na swojej sukience. Pomyślał, że jest starsza niż Meggie wtedy, gdy opuścił dom. Wszedł syn Meggie wraz z kardynałem. Usiadł na podłodze obok siostry, spokojny i powściągliwy.

– Frank, jak się cieszę – przywitał go kardynał Ralph, odwracając się do Fee z podniesionymi brwiami. – Filiżanka herbaty? To bardzo dobry pomysł.

Bracia Cleary weszli wszyscy razem i to było najtrudniejsze, bowiem oni wcale mu nie wybaczyli. Frank wiedział, dlaczego. Dlatego, że tak zranił matkę. Nie wiedział jednak, jak im wytłumaczyć cokolwiek, jak opowiedzieć o samotności i cierpieniu, jak prosić o przebaczenie. Zależało mu zresztą jedynie na matce, a ona i tak nie musiała mu nic przebaczać.

Kardynał starał się stworzyć odpowiedni nastrój, snuł przy stole różne opowieści z dyplomatyczną swobodą i starał się wciągnąć Franka do rozmowy.

– Bob, od samego przyjazdu nie widziałem ani jednego królika. Co się z nimi stało? – spytał kardynał.

– Króliki wyzdychały – wyjaśnił Bob.

– Wyzdychały?

– Tak. Na coś, co się nazywa *myxomatosis*. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym Australia przestała w zasadzie liczyć się jako producent, a to głównie z powodu królików i suszy. Byliśmy w rozpacz – zaczął opowiadać Bob, wdzięczny za temat nie dotyczący Franka.

W tym momencie Frank znowu mimowolnie zdenerwował brata.

– Wiedziałem, że było źle, ale że aż tak? – Usiadł wygodniej. Miał nadzieję, że zadowolili kardynała włączając się do rozmowy.

– Wcale nie przesadzam! – zaperzył się Bob.

– Co się stało? – wtrącił szybko kardynał.

– Dwa lata temu Naukowo-Przemysłowa Organizacja Badawcza Wspólnoty rozpoczęła w Wiktorii program doświadczalny polegający na zarażeniu królików specjalnie wyhodowanym wirusem. Nie wiem dokładnie, co to jest wirus, ale przypuszczam, że to jakiś zarazek. W każdym razie oni nazwali tego wirusa *myxomatosis*. Początkowo nie rozprzestrzenił się tak dobrze, chociaż te króliki, co go złapały., zdychały. Ale w jakiś rok po próbnym zarażeniu zaczął się rozprzestrzeniać jak pożar. Sądzą, że za pomocą moskitów albo naszych żółtych chwastów. Od tego czasu króliki zdychają milionami, to je wykończyło. Czasami widzi się chore zwierzątka z wielkimi guzami w pyszczkach, strasznie to wygląda, ale to wspaniała robota, Ralphie, naprawdę wspaniała. Żadne inne zwierzę nie zaraża się, nawet pokrewne gatunki. Tak więc dzięki facetom z organizacji plaga królików została zlikwidowana.

Kardynał Ralph popatrzył na Franka.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza, Frank?

Biedny Frank potrząsnął głową pragnąc jedynie, by dali mu spokój.

– Wojna biologiczna na wielką skalę. Zastanawiam się, czy reszta świata wie, że w Australii między tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym a tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim rokiem wojna wirusowa doszczętnie wyniszczyła trylinową wręcz populację. No, no! To nie wymysł dziennikarzy, lecz fakt naukowy. Mogą się schować bomby atomowe i wodorowe. Wiem, że to było konieczne i że trzeba było to zrobić. Zapewne jest to przerażające.

Dane uważnie przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Wojna biologiczna? Nigdy o tym nie słyszałem. Co to takiego, Ralphie?

– Wojna biologiczna w wielkim skrócie oznacza właśnie coś takiego, co stało się z królikami. Wyhodowanie zarazków, które są w stanie zabić lub okaleczyć tylko jeden konkretny gatunek żywej istoty.

Dane bezwiednie uczynił znak krzyża i oparł się o kolana Ralphi de Bricassart.

– Powinniśmy się pomodlić, prawda?

Kardynał z uśmiechem spojrział na jasną głowę u swoich kolan.

To, że w końcu udało mu się znaleźć miejsce dla siebie w życiu Droghedy, Frank zawdzięczał Fee, która wobec cichej opozycji synów zachowywała się, jakby nieobecność jej najstarszego syna trwała krótko, jakby nigdy nie przyniósł rodzinie wstydu i nigdy tak

straszliwie nie zranił swojej matki. Wiedziała, że pragnął uniknąć przebywania w towarzystwie pozostałych synów, i nie starała się tego zmienić. Nie namawiała go, by odzyskał dawną witalność, bo z niej już nic nie zostało. Zauważyła to już na dworcu w Gilly. Egzystencja, o której nie chciał z nikim rozmawiać, zniszczyła jego żywotność. Jedyne, co mogła dla niego zrobić, to starać się, aby był na tyle szczęśliwy, na ile to możliwe. A można było to zrobić tylko akceptując obecnego Franka, jakby nigdy innego nie było.

Nie było mowy tym, by pracował na farmie, bowiem bracia nie chcieli go, a i on nie pragnął życia, którego zawsze nienawidził. Widok rosnących roślin sprawiał mu przyjemność, więc Fee pozwoliła mu zajmować się ogrodami. Powoli bracia przyzwyczaili się do obecności Franka i przekonali się, że nie stanowi on już, tak jak dawniej, zagrożenia ich dobrobytu. Nic już nigdy nie zmieni tego, co czuje do niego ich matka, i nie miało znaczenia, czy był w więzieniu, czy w Droghedzie. Najważniejsze, że jego obecność sprawiała jej radość. Nie wtrącał się do ich życia, niczego do niego nie wnosił, niczego też nie ujmował.

Dla Fee powrót Franka nie był jednak radością. Jakże mógłby być? Widziała go codziennie i codziennie cierpiała, choć inaczej niż wtedy, gdy go nie mogła widzieć wcale. Cierpiała patrząc na to zniszczone życie, tego zniszczonego człowieka, który był jej ukochanym synem i który miał za sobą przeżycia przekraczające jej wyobraźnię.

Któregoś dnia, gdy Frank był już w domu prawie pół roku, Meggie weszła do salonu. Siedziała tam matka i patrzyła przez wielkie okna na ogród, gdzie Frank przycinał róże na ogromnym klombie przy podjeździe. Odwróciła się i w jej opanowanej twarzy było coś takiego, co ścisnęło Meggie za serce.

– Mamo! – powiedziała bezsilnie.

Fee popatrzyła na nią, pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– To nie ma znaczenia, Meggie – powiedziała.

– Gdybym tylko mogła jakoś pomóc!

– Rób wszystko jak dotąd. Jestem ci bardzo wdzięczna. Stałaś się moim sojusznikiem.



**Część szósta:**

**Dane 1954-1965**

## Rozdział siedemnasty

- Mamo – Justyna zwróciła się do matki – zdecydowała, wreszcie, co będę robić.
- Sądziłam, że zdecydowałaś o tym już dawno. Sztuki piękne na uniwersytecie w Sydney, czyż nie tak?
- Chciałam odwrócić twoją uwagę, kiedy realizowałam swoje własne plany. Teraz wszystko jest już załatwione, więc mogę ci powiedzieć.
- Meggie podniosła głowę znad ciasta, w którym wycinała choinki. Pomagały w kuchni ze względu na chorobę pani Smith. Spojrzała na córkę zniecierpliwiona. Z Justyną nie można było sobie poradzić. Meggie przypuszczała, że gdyby zamierzała zostać prostytutką w jednym z burdeli w Sydney, nie udałoby się nikomu odwieść jej od tego zamiaru. Kochana, okropna, niepowstrzymana Justyna!
- Umieram z ciekawości – powiedziała nie przestając wycinać ciasteczek.
- Zostanę aktorką.
- Kim?!
- Aktorką.
- Dobry Boże! – Zapomniała całkowicie o ciastkach. – Wiesz, Justyno, nie chciałabym psuć ci zabawy i naprawdę nie chcę robić ci przykrości, ale czy uważasz, że jesteś, no... fizycznie odpowiednio wyposażona, by zostać aktorką?
- O rany, mamo! – zniecierpliwiła się Justyna. – Nie gwiazdą filmową, lecz aktorką! Nie mam zamiaru kręcić pupą, wysuwać biustu do przodu czy robić nadąsanych min! Chcę grać.
- Wpychała właśnie kawałki mięsa wołowego do marynaty w beczce. – Przecież mam wystarczająco dużo pieniędzy, by utrzymać się niezależnie od tego, co będę robić.
- Masz, dzięki kardynałowi de Bricassart.
- Zatem wszystko załatwione. Będę uczyć się sztuki aktorskiej u Alberta Jonesa w Culloden Theater i napisałam do Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych w Londynie, żeby umieścili mnie na liście kandydatów.
- Justyno, czy jesteś całkiem pewna?
- Oczywiście. Myślała już o tym od dłuższego czasu. – Ostatni kawałek krwistego mięsa został wepchnięty do marynaty. Justyna zamknęła beczkę z głośnym trzaskiem. – No, mam nadzieję, że już nigdy więcej nie zobaczę solonego mięsa.
- Meggie podała jej blachę z ciasteczkami.
- Włóż je do piekarnika. Muszę przyznać, że zaskoczyłaś mnie. Zawsze sądziłam, że jak się chce być aktorką, to trzeba wciąż odgrywać jakieś role. Nigdy nie zauważyłam, byś grała kogokolwiek, zawsze jesteś tylko i wyłącznie sobą.
- No wiesz, mamo! Znowu mylisz gwiazdy filmowe z aktorkami. Naprawdę jesteś beznadziejna.
- Wydawało mi się, że gwiazdy filmowe są aktorkami.
- Tak, ale bardzo podrzędnego rodzaju. Chyba że wcześniej grały na scenie. Nawet Laurence Olivier od czasu do czasu występuje na scenie.
- Justyna trzymała na swojej toaletce zdjęcie Oliviera z jego autografem. Meggie uważała to za szczenięce zachwycenie idolem, ale pochwalała gust Justyny. Przyjaciółki, które od czasu do czasu odwiedzały Justynę w Droghedzie, przeważnie wzdychały do młodzieżowych idoli – Taba Huntera czy Rory'ego Calhouna.
- Wciąż jednak nie rozumiem – pokręciła głową Meggie. – Aktorka!
- W końcu tylko na scenie mogę sobie powrzeszczyć do woli. Tu mi nie wolno, tym bardziej w szkole czy gdziekolwiek! A ja lubię sobie powrzeszczyć!
- Tak dobrze rysujesz, Justyno. Nie chcesz zostać malarką? – upierała się Meggie.
- Justyna odwróciła się od wielkiej kuchni, aby sprawdzić zawartość gazu w butli.

– Trzeba powiedzieć, żeby nam zmienili butlę. Na dziś wystarczy, ale już jest za mało. – Jasne oczy spoczęły na matce z wyrazem politowania. – Jesteś taka niepraktyczna, mammo. Sądziłam, że to zwykle dzieci nie zwracają uwagi na praktyczną stronę kariery. Posłuchaj, nie mam ochoty zemrzeć z głodu gdzieś w jakiejś mansardzie i być sławną po śmierci. Chcę być znana za życia i być finansowo niezależna. Malowanie może być moim hobby, ale żyć będę z grania. Zgadzasz się?

– Masz przecież dochody z Droghedy, Justyno – powiedziała Meggie w rozpaczy, łamiąc sobie dane przyrzeczenie, że nie będzie się wtrącać. – Nie głodowałaś w żadnej mansardzie. Gdybyś chciała malować, możesz to robić.

– A ile to ja właściwie mam, mammo? – zainteresowała się Justyna.

– Wystarczająco dużo, byś nigdy nie musiała pracować.

– Okropność! Rozmawiałabym przez telefon i grała w brydża. Tak właśnie robią matki większości moich koleżanek ze szkoły. Oczywiście mieszkałabym w Sydney, a nie w Droghedzie. Zdecydowanie bardziej podoba mi się Sydney. – Z nadzieją spojrzała na matkę.

– A czy wystarczy na usunięcie moich piegów nową elektryczną metodą?

– Sądzę, że tak. Czemu pytasz?

– Bo wtedy zauważono by wreszcie moją twarz.

– Mówiłaś, że dla aktorki wygląd nie ma znaczenia.

– Tyle, o ile. Mam już dość piegów.

– Jesteś całkiem pewna, że nie chcesz zostać malarką?

– Całkowicie – szybko zrobiła kilka piruetów po kuchni. – Moja pani, dla mnie scena!

– Jak się dostałaś do tego teatru w Sydney?

– Poszłam na próbę.

– I przyjęli cię?

– Mammo, twoja wiara w możliwości własnej córki jest wprost niezwykła. Jasne, że mnie przyjęli! Jestem przecież znakomita. Kiedyś będę słwna.

Meggie rozmieszała w płynnym lukrze trochę zielonego barwnika i zaczęła polewać zieloną masą upieczone już choineczki.

– Czy tak ci zależy na sławie, Justyno?

– No chyba! – Nasypała cukru do miski wypełnionej stopionym masłem. Mimo iż piec zamieniono na kuchnię gazową, pomieszczenie nadal nagrzewało się do granic wytrzymałości.

– Mam zamiar być słwna i już!

– Nie chcesz wyjść za mąż?

Justyna spojrzała pogardliwie.

– O nie! Całe życie wycierać zasmarkane nosy i podcierać brudne tyłki? Słuchać jakiegoś faceta, który uważa się za mądrzejszego, podczas gdy nie dorasta mi nawet do pięt? Ho, ho, to nie dla mnie!

– Słowo daję, nie wytrzymam! Jak ty się wyrażasz?! – Zachowujesz się zupełnie jak twój ojciec.

– Znów unik! Jak tylko coś ci się we mnie nie podoba, zaraz porównujesz mnie do ojca. A ja nie mogę zaprzeczyć, no nigdy nie poznałam tego dżentelmena.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała Meggie zrezygnowana.

– Chcesz się mnie jak najszybciej pozbyć, tak? Nie mam ci za złe, mammo, i wcale się nie dziwię. Nie umiem inaczej. Po prostu uwielbiam szokować ludzi, szczególnie ciebie. Może zwieziesz mnie jutro na lotnisko?

– Lepiej pojutrze. Jutro pojedziemy do banku. Powinnaś wiedzieć, jakie masz fundusz, Justyno.

Justyna właśnie dosypywała mąki do ciasta, ale usłyszawszy szczególną nutę w głosie matki, podniosła na nią wzrok.

– Tak?

– Gdybyś kiedykolwiek miała kłopoty, pamiętaj, że w Droghedzie jest zawsze miejsce dla ciebie. Nie ma tego złego, co by ci zamknęło drogę do domu.

Justyna złagodniała.

– Dzięki, mamu. W gruncie rzeczy dobra z ciebie staruszka.

– Jak to staruszka? – pisała Meggie. – Nie jestem stara. Mam dopiero czterdzieści trzy lata.

– O rany, aż tyle?!

Meggie rzuciła w Justynę ciasteczką.

– Ty potworze! – zaśmiała się. – Teraz mi się wydaje, że mam sto.

Właśnie w tym momencie weszła Fee sprawdzić, jak postępują prace w kuchni. Meggie przywitała ją z ulgą.

– Mamu, wiesz, co Justyna raczyła mi zakomunikować przed chwilą?

– Skąd niby miałabym wiedzieć? – spytała łagodnie, spoglądając z obrzydzeniem na zielone ciasteczka.

– Bo czasami wydaje mi się, że ty i Justyna macie swoje sekrety, a teraz, gdy Justyna właśnie powiedziała mi, co zamierza zrobić, ty wchodzisz jak gdyby nigdy nic.

– Mhm, przynajmniej smakują lepiej, niż wyglądają – skomentowała Fee kosztując ciastko. – Zapewniam cię, Meggie, że nie zachęcam twojej córki do spiskowania za twoimi plecami. Czymżeś teraz narobiła takiego zamieszania, Justyno? – zwróciła się do wnuczki, która właśnie wlewała ciasto biszkoptowe do form wysmarowanych tłuszczem i wysypanych mąką.

– Powiedziałam mamie, że zamierzam zostać aktorką, to wszystko.

– To wszystko, tak? Czy to prawda, czy to jeden z twoich wątpliwych żartów?

– Prawda! Zaczynam naukę w teatrze Culloden w Sydney.

– No, no, no! – powiedziała Fee opierając się o stół i spoglądając na córkę krytycznym okiem. – Meggie, czy to nie zdumiewające, że dzieci mają własne zdanie?

Meggie nie odpowiedziała.

– Nie podoba ci się, Nana? – warknęła Justyna gotowa do obrony swoich racji.

– Mnie? Skądże! Nie moja sprawa, co chcesz zrobić z twoim życiem. Poza tym, Justyno, sądzę, że będziesz znakomitą aktorką.

– Naprawdę tak sądzisz? – zdumiała się Meggie.

– Oczywiście, że tak – powiedziała Fee. – Justyna należy do tych, którzy dokonują mądrych wyborów. Prawda, moje dziecko?

– Prawda – Justyna posłała jej uśmiech, odgarniając z oka wilgotny kosmyk. W jej spojrzeniu Meggie zauważyła uczucie dla babki, jakiego ona, matka, nie doświadczyła nigdy.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Justyno – orzekła Fee. Dokończyła zielone ciasteczko już z mniejszym obrzydzeniem. – Byłyby całkiem dobre, gdybyś polukrowała je na białe.

– Nie można drzewek lukrować na białe – sprzeciwiła się Meggie.

– Oczywiście, że można, zwłaszcza choinki. Mogą być ośnieżone – powiedziała matka.

– Za późno, są już w kolorze rzygającej zieleni – zaśmiała się Justyna.

– Justyno!

– Ojej! Przepraszam, mamu, nie chciałam cię zdenerwować. Zapomniałam, że jesteś obrzydliwa.

– Nie jestem obrzydliwa – powiedziała Meggie, doprowadzona do ostateczności.

– Przyszłam zobaczyć, czy jest szansa na herbatę – wtrąciła Fee siadając. – Bądź tak dobra, Justyno, nastaw czajnik.

Meggie również usiadła.

– Naprawdę sądzisz, że powiesz się jej, mamu? – spytała nerwowo.

– A dlaczegożby nie? – odpowiedziała Fee przyglądając się wnuczce szykującej herbatę.

– Może to tylko widzimi się.

– Czy to widzimi się, Justyno? – zapytała Fee.

– Nie – odpowiedziała Justyna krótko, ustawiając filiżanki i spodeczki na starym kuchennym stole.

– Justyno, nie podawaj ciastek w pojemniku, tylko wyjmij kilka na talerzyk – powiedziała Meggie automatycznie. – I nie stawiaj na stół pełnej bańki mleka, tylko nalej trochę do dzbanuszka.

– Tak, mam, przepraszam, mam – odpowiedziała Justyna równie mechanicznie. – Nie rozumiem, po co tyle zachodu w kuchni. Kończy się tym, że muszę nie zjedzone rzeczy z powrotem powkładać na miejsce i zmyć kilka talerzy więcej.

– Zrób, jak ci mówię, i nie mędrkuj. Tak jest o wiele przyjemniej.

– Wracając do tematu – podjęła Fee – uważam, że należy pozwolić Justynie spróbować. Na pewno pójdzie jej znakomicie.

– Chciałabym w to uwierzyć – powiedziała Meggie pochmurnie.

– Justyno, czy opowiadałaś o sławie i chwale? – zapytała ostro babka.

– To też odgrywa rolę – powiedziała Justyna. Postawiła na stole stary kuchenny brązowy dzbanek do herbaty i szybko usiadła. – Nie narzekaj, mam, nie będę w kuchni podawać herbaty w srebrnej zastawie. Nie przekonasz mnie.

– Ten dzbanek jest całkiem odpowiedni – uśmiechnęła się Meggie.

– Nie ma to jak filiżanka dobrej herbaty – westchnęła Fee popijając. – Justyno, dlaczego przedstawiasz matce sprawy w tak złym świetle? Przecież wiesz, że nie chodzi o sławę i chwałę, lecz o powołanie, mam rację?

– Powołanie, Nana?

– Tak, powołanie! Czujesz, że urodziłaś się tylko po to, aby grać, mam rację?

– Tak.

– Dlaczego więc nie powiesz tego matce? Czemu musisz ją denerwować stekiem impertynenckich bzdur?

Justyna wzruszyła ramionami, wypila herbatę i podała matce filiżankę prosząc o dolanie.

– Bo ja wiem? – powiedziała.

– Nie wiem – poprawiła ją Fee. – Mam nadzieję, że na scenie będziesz stosować właściwą wymowę. Ale odpowiedz: chcesz być aktorką, bo czujesz powołanie?

– Przypuszczam – powiedziała Justyna niechętnie.

– Ach, ta ślepa duma Clearych! Może być przyczyną twojego upadku, chyba, że nauczysz się ją kontrolować. Ta głupia obawa, że staniesz się pośmiewiskiem, że się ośmieszysz. Chociaż nie uważam, by twoja matka mogła być tak okrutna. – Poklepała Justynę po dłoni. – Ustąp troszeczkę, Justyno, idź czasem na ugodę.

Justyna potrząsnęła głową i powiedziała:

– Nie mogę.

Fee westchnęła.

– Dziecko, wiedz, że masz moje błogosławieństwo, jeśli ci ono w czymkolwiek pomoże.

– Dzięki, Nana, doceniam to.

– Bądź więc taka miła i powiedz wujowi Frankowi, że w kuchni czeka herbata.

Justyna zniknęła, a Meggie przyjrzała się uważnie Fee.

– Wiesz, mam, jesteś zdumiewająca.

Fee uśmiechnęła się.

– Musisz przyznać, że nigdy nie próbowałam wpływać na to, co zamierzają robić moje dzieci.

– Prawda, nigdy – powiedziała Meggie czule. – I my też to docenialiśmy.

Po przyjeździe do Sydney Justyna najpierw zajęła się usuwaniem piegów. Ze względu na ich liczbę zabieg musiał być rozłożony na dwanaście miesięcy. Potem przez całe życie miała

unikać słońca, by piegi nie wróciły. Następnie znalazła sobie mieszkanie, co w tamtych czasach w Sydney nie było sprawą łatwą. Ludzie budowali własne domy i nie do pomyslenia było mieszkanie w kamienicy. W końcu jednak udało się jej wynająć dwupokojowe mieszkanie w Neutral Bay, w jednym ze starych wiktoriańskich domów na nadbrzeżu. Ciężkie czasy zmusiły właściciela do przerobienia domu na kilka ciemnych mieszkań. Czynsz wynosił tygodniowo pięć funtów i dziesięć szylingów, co wydawało się zdzierstwem wobec faktu, iż kuchnia i łazienka były wspólne dla wszystkich lokatorów. Mimo to Justyna cieszyła się.

Mieszkanie w Bothwell Gardens dostarczało jej więcej wrażeń niż praca w teatrze, która polegała głównie na podpatrywaniu zza kulis innych aktorów. Czasami zagrała małą rolę, przede wszystkim jednak uczyła się na pamięć tekstów Szekspira, Shawa i Sheirdana.

Bothwell Gardens składało się z sześciu mieszkań oraz apartamentu gospodyni, pani Devine. Pochodziła z Londynu, miała sześćdziesiąt pięć lat, wyłupiaste oczy i zwyczaj żalosości pociągania nosem. Gardziła Australijczykami i wszystkim, co australijskie, ale nie przeszkadzało jej to w ograbianiu australijskich lokatorów. Głównym obiektem jej zainteresowań były koszty gazu i elektryczności, a słabością sąsiad Justyny, młody Anglik, który z pogodą korzystał z przywilejów, jakie dawała mu jego narodowość. Nazywał się Peter Wilkins i był pośrednikiem handlowym.

– Nie szkodzi polećtać nieco staruszkę wspomnieniami z Anglii – wyznał kiedyś Justynie. – Nie wtrąca się do mnie. Wam, dziewczynom, nie wolno grać się elektrycznymi piecykami nawet w zimie, a ja dostałem taki piecyk i mogę go używać całe lato, jeśli mam na to ochotę.

– Świnia – powiedziała Justyna łagodnie.

– Wpadnij kiedyś na herbatę! – zawołał za nią, zaintrygowany jej jasnymi oczami.

I Justyna wpadała, uważając, by nie trafić na zazdrosną panią Devine. Przyzwyczaiła się do odpierania zalotów Petera. Lata konnej jazdy i pracy w Droghedzie uczyniły ją silną, a z natury była dość bezwzględna.

– A niech cię diabli, Justyno! – stęknął Peter, ocierając łzy bólu po szczególnie silnym uderzeniu. – Poddaj się, dziewczyno. Kiedyś wreszcie musisz! To nie jest wiktoriańska Anglia, nie musisz być dziewicą wychodząc za mąż.

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiedziała, poprawiając sukienkę. – Po prostu nie wiem jeszcze, komu przypadnie ten zaszczyt.

– Nie jesteś taka wyjątkowa! – warknął wściekle, tym razem bowiem naprawdę go zabolowało.

– Prawda. Pete, ale słowami mnie nie zranisz. Jest wielu facetów, którzy tracą głowę, jeśli spotkają dziewczycę.

– Bab też pełno! Przyjrzyj się tym, co mieszkają od ulicy.

– Przyglądam się, przyglądam – powiedziała Justyna.

Dwie dziewczyny wynajmujące mieszkanie od ulicy były lesbijkami. Przyjęły wprowadzenie się Justyny z radością, dopóki nie stwierdziły, że jej te sprawy wcale nie intrygują. Początkowo nie bardzo wiedziały, o co im chodzi, ale gdy wytłumaczyły jej, na czym polega miłość lesbijska, wzruszyła ramionami. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Wobec tego wkrótce stała się ich powiernicą, bezpieczną zatoką, do której mogły zawinąć w czasie sztormu. Zareczyła za Billie, gdy ta trafiła do aresztu, zawiozła Bobbie do szpitala po ostrzejszej niż zwykle kłótni z Billie, nie wtrącała się, gdy na horyzoncie pojawiał się jakiś Patryk, Al, George czy Ronnie. W myślach sądziła jednak, iż było to dość niestabilne życie emocjonalne. Mężczyźni byli wystarczająco okropni, ale przynajmniej inni!

Tak więc, mając z jednej strony teatr i Bothwell Gardens, z drugiej zaś przyjaciółki czasów szkolnych, Justyna nie mogła skarżyć się na brak życia towarzyskiego. Lubiano ją, bo nigdy nie obarczała znajomych zwierzeniami – od tego był Dane – ale i tak nie przejmowała się

zanadto tymi nielicznymi problemami, do których się przyznawała. Jej przyjaciół najbardziej fascynowała w niej niezwykła wprost dyscyplina wewnętrzna, jakby od dzieciństwa pracowała nad tym, by nie pozwalać okolicznościom psuć jej dobrego samopoczucia.

Przyjaciele przede wszystkim interesowali się, kiedy, z kim i w jaki sposób Justyna stanie się wreszcie w pełni kobietą. Justyna jednak się nie spieszyła.

Artur Lestrangle grający role amantów w teatrze Alberta Jonesa miał najdłuższy staż; na rok przed przyjściem Justyny właśnie pożegnał się rzewnie z czterdziestką. Miał dobrą sylwetkę, był solidnym i rzetelnym aktorem, a jego wyrazista męska twarz otoczona jasnymi lokami, zawsze podobała się publiczności. Przez pierwszy rok nie zauważał Justyny, która była cicha i niczym się nie wyróżniała. Ale po roku, kiedy pozbyła się piegów, przestała stąpać się z tłumem.

Bez piegów, z przyciemnionymi brwiami i rzęsami była przystojną dziewczyną. Nie miała w sobie nic z uderzającej urody Luke'a O'Neilla czy niezwykłości swej matki, ale figurę miała znośną, choć może trochę za szczupłą. Tylko ogniste czerwone włosy rzucały się w oczy. Na scenie jednak zmieniała się, umiała przekonać widzów, że jest piękna jak bogini albo brzydka jak czarownica.

Artur zwrócił na nią uwagę podczas lekcji dykcji. Naprawdę była wyjątkowa. Nareszcie zrozumiał, dlaczego Albert Jones poświęcał jej tyle czasu. Miała wrodzony talent mimiczny, każdemu słowu potrafiła nadać charakter. No i ten głos – wspaniały dar natury – głęboki, zachrypnięty, przejmujący.

Kiedy zobaczył ją z kubkiem herbaty w ręku i otwartą książką na kolanach, podszedł do niej.

– Co czytasz?

Podniosła na niego wzrok.

– Prousta.

– Nie jest nudny?

– Proust nudny? O nie, jeśli lubi się ploteczki. W gruncie rzeczy Proust jest okropnym starym plotkarze,.

Czuł, że traktuje go z intelektualną wyższością, ale wybaczył jej to, kładąc wszystko na karb młodości.

– Słyszałem, jak deklamowałaś Conrada. Wspaniale.

– Dziękuję.

– Zapraszam na kawę, moglibyśmy porozmawiać o twoich planach.

– Jeśli masz ochotę – odpowiedziała, wracając do Prousta.

Zadowolony był, że zaproponował tylko kawę, a nie kolację. Żona trzymała go krótko, jeśli chodzi o finanse, a nie sądził, by Justyna była gotowa odpowiednio odwdzięczyć się za kolację. Wybrał mały, ciemny lokal w drugim końcu Elizabeth Street, gdzie mógł być raczej pewny, że żonie nie przyjdzie do głowy go szukać.

Justyna nauczyła się palić. Miała dość odgrywania roli grzecznej dziewczynki za każdym razem, gdy odmawiała papierosa. Toteż gdy tylko usiedli, wyjęła z paczki torebkę i otworzyła ją, ostrożnie zdejmując celofan tylko z górnej części. Artur przyglądał się jej z zainteresowaniem i rozbawieniem.

– Czemu zadajesz sobie tyle trudu, Justyno? Zerwij wszystko.

– To tak nieporządnie!

Wziął paczkę do ręki i w zamyśleniu pogładził celofanową otoczkę.

– Gdybym bym uczniem Sigmunda Freuda...

– Co takiego? – Zobaczyła kelnerkę i zamówiła kawę cappucino.

Rozdrażniło go, że zrobiła to sama, ale postanowił przejść nad tym do porządku dziennego, bardziej pochłonięty swoimi zamiarami wobec niej.

– Dla mnie wiedeńską. Wracając do Freuda, ciekawe, co by powiedział o tym.

Zabrała mu paczkę, wyjęła papierosa i zapaliła, zanim znalazł zapalniczki.

– No co?

– Powiedziałyby, że wolisz utrzymywać swoje błony w stanie nietkniętym.

Jej śmiech rozniósł się w zadymionym powietrzu, aż odwróciło się kilka zaciekawionych męskich głów.

– Czyżby? Czy taką określną drogą chcesz dowiedzieć się, czy jestem jeszcze dziewicą?

Cmoknął z niesmakiem.

– Justyno, widzę, że między innymi muszę cię nauczyć sztuki aluzji.

– Między innymi, Arturze? – Oparła łokcie o stół.

– A czego powinnaś się jeszcze nauczyć?

– Zasadniczo jestem całkiem nieźle wyedukowana.

– We wszystkim?

– O rany, wiesz, jak nadawać słowom znaczenie! Zapamiętam to sobie, przyda się na scenie.

– Są rzeczy, które poznać można tylko empirycznie – powiedział cicho i wyciągnął rękę, by założyć jej kosmyk włosów za ucho.

– Naprawdę? Dotychczas wystarczała mi obserwacja.

– A miłość? – Włożył w to słowo wiele delikatności. – Jak możesz grać Julię nie wiedząc, co to miłość?

– Słusznie. Zgadzam się.

– Byłaś kiedyś zakochana?

– Nie.

– A wiesz coś o miłości?

– Zupełnie nic.

– Zatem Freud miałby rację?

Wzięła do ręki paczkę i popatrzyła na celofanową otoczkę. Uśmiechała się.

– W pewnych sprawach być może.

Szybko zerwał celofan z pudełka, dramatycznie zmiął go w dłoni i rzucił do popielniczki. Celofan rozprostował się z szelestem.

– Jeśli pozwolisz, chciałbym nauczyć cię, co to znaczy być kobietą.

Chwilę milczała, wpatrzona w groteskowe ruchy celofanu. Ostrożnie podpaliła go zapalniczką.

– Czemu nie? – powiedziała w krótkim błysku ognia. – Czemu nie?

– Czy ma to być boskie przeżycie z różami w blasku księżyca i namiętными zalotami, czy raczej krótkie i ostre jak strzała? – zadeklamował z dłonią na sercu.

Zaśmiała się.

– No wiesz, Arturze! Jeśli chodzi o mnie, to mam nadzieję, że będzie długie i ostre. Ale żadnych róż i blasku księżyca. Nie dla mnie namiętne zaloty.

Popatrzył na nią smutnie i pokręcił głową.

– Och, Justyno, namiętne zaloty są dla wszystkich, nawet dla ciebie, ty zimnokrwista młoda westalko. Zobaczysz, przyjdzie taki dzień, że będziesz tego pragnęła.

– E tam! – Wstała. – Chodź, zróbmy to, zanim się rozmyślę.

– Teraz? Dzisiaj?

– A dlaczegoż by nie? Mam pieniądze na hotel, jeśli ty nie masz.

Hotel „Metropol” znajdował się w pobliżu. Śmiejąc się szli pod rękę pustymi sennymi uliczkami. Z restauracji wychodzili już amatorzy kolacji, w teatrach przedstawienia jeszcze się nie zakończyły. Spotykali jedynie grupy amerykańskich marynarzy z oddziałów specjalnych stojących właśnie w porcie i młode dziewczyny udające zainteresowanie wystawami sklepowymi, a tak naprawdę zerkające na marynarzy. Nikt nie zwracał na nich uwagi, co odpowiadało Arturowi. Wszedł do apteki i po chwili wyszedł zadowolony.

– Mam już wszystko, moja droga.



– Co kupiłeś? Kondomy?

Skrzywił się.

– Oczywiście, że nie. Kupiłem ci trochę kremu. A skąd wiesz o kondomach?

– Była siedem lat w internacie katolickiej szkoły. Myślisz, że coś tam robiły? Modliłyśmy się? – Uśmiechnęła się szeroko. – To prawda, nie robiłyśmy wiele, ale gadałyśmy o wszystkim.

Pan i pani Smith obejrzeni swój pokój, całkiem niezły jak na pokoje hotelowe w tamtych czasach. Był duży, z pięknym widokiem na most w porcie, oczywiście bez łazienki, ale z miską i dzbankiem na stojaku z marmurowym blatem. Pasowały do wielkich wiktoriańskich mebli.

– Co dalej? – zapytała odsłaniając zasłony. – Piękny widok nie sądzisz?

– Tak. A jeśli chodzi o to co dalej, to zdejmujesz majtki.

– Czy coś jeszcze? – spytała figlarnie.

Westchnął.

– Zdejmij wszystko, Justyno! Jeśli nie czuje się ciała, to nie ma takiego efektu.

Rozebrała się sprawnie i bez krygowania, wdrapała na wielkie łoże i rozsunęła nogi.

– Czy tak, Arturze?

O Boże! – powiedział, ostrożnie składając spodnie; żona nigdy nie omieszkała sprawdzić, czy nie są pomięte.

– Co? Co się stało?

– Naprawdę jesteś rudzielcem.

– A czego się spodziewałeś? Purpurowych piórek?

– Kochanie, żarty psują nastrój, przestań już. – Wciągnął brzuch, odwrócił się i podszedł do łóżka. Położył się obok niej i zaczął drobnymi pocałunkami okrywać jej twarz, szyję, pierś. – Mhm, miło. – Otoczył ją ramieniem. – No, dobrze tak?

– Chyba tak. Tak, raczej tak.

Zapadła cisa, którą przerywały tylko pocałunki i rzadka mruczenie. W drugim końcu pokoju stała olbrzymia stara toaleta z ruchomym lustrem, nachylonym przez któregoś z poprzednich lokatorów pod takim kątem, by odzwierciedlać arenę miłości.

– Arturze, zgaś światło.

– Nie, kochanie! Lekcja numer jeden. Nie ma takiego aspektu miłości, którego nie można praktykować w świetle.

Kiedy uznał, że jest dostatecznie przygotowana, wpaśował się między jej nogi. Zabolalo, ale było przyjemnie. Justyna czuła może nie ekstazę, ale pewne zadowolenie. I wtedy, przypadkiem zobaczyła ich odbicie w lustrze stojącym naprzeciwko łóżka.

W tej perspektywie wyglądali cokolwiek dziwnie: jego nogi ciemno owłosione pomiędzy jej gładkimi i pozbawionymi piegów. W samym środku znajdowały się pośladki Artura, które rozwierały się, ściągały i podskakiwały w rytm jego ruchów, a nad bliźniaczymi kulami sterczały dwa kosmyki jasnych włosów, wesoło do niej kiwające.

Justyna spojrzała raz i drugi, wsadziła pięść w usta, tłumiąc narastający śmiech.

– Kochanie, już, już dobrze! Już cię otworzyłem, więc nie może tak boleć – wyszeptał Artur. Przyciągnął ją bliżej, szepcząc czułe słówka.

W końcu Justyna nie wytrzymała. Odchyliła głowę zanosząc się od śmiechu. Im bardziej on miękł z wściekłości, tym bardziej ona się śmiała, bezsilnie wskazując palcem w lustro i ocierając łzy. Całym jej ciałem targaly konwulsje choć nie były wynikiem rozkoszy, jak to sobie biedny Artur wyobrażał.

Pod wieloma względami Justyna była Dane'owi bliższa niż matka. Ich uczucia do mamy nie miały wpływu ani w żaden sposób nie przeszkadzały temu, co żywili do siebie. Wzajemne uczucie pogłębiło się jeszcze, gdy Meggie, zajęta objężdżaniem pastwisk, nie miała dla nich czasu. Zwyczaj szukania w sobie oparcia został ugruntowany po wsze czasy.

Choć zasadniczo różnili się charakterem, mieli wiele wspólnych upodobań, a różnice zdań potrafili instynktownie tolerować. W istocie znali się doskonale. Jej naturalnym odruchem było ubolewać nad ludzkimi słabościami, wygonie zapominając o własnych, on zaś rozumiał i przebaczał ludziom ich słabości, będąc jednocześnie bezlitosnym dla siebie. Ona czuła się silna i nie do pokonania, on uświadamiał sobie niebezpieczną słabość.

Wszystko to razem tworzyło niemal idealną przyjaźń, dla której nie było rzeczy niemożliwych. Justyna była zdecydowanie bardziej gadatliwa, stąd też Dane wiedział o niej więcej niż ona o nim. W pewnym sensie była amoralna, nie było bowiem dla niej żadnej świętości. Dane rozumiał, że powinien być jej sumieniem. Z miłością i oddaniem zgadzał się na rolę biernego słuchacza, co niewątpliwie zdenerwowałoby Justynę, gdyby o tym wiedziała. Ale ona nie podejrzewała niczego, opowiadała mu bowiem o wszystkim i o niczym od chwili, w której zaczął cokolwiek rozumieć.

– Zgadnij, co mi się przytrafiło wczoraj? – rzuciła Justyna poprawiając wielki słomkowy kapelusz, tak by osłaniał jej twarz i szyję.

– Zagrałaś pierwszą główną rolę – powiedział Dane.

– Palant! I nie uprzedziłabym cię żebyś mógł mnie w niej zobaczyć? Zgaduj jeszcze raz.

– Dostałaś cios od Bobbie, przeznaczony dla Billie.

– Znowu pudło.

Znudzony wzruszył ramionami.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

Siedzieli na trawie w pobliżu wielkiej gotyckiej katedry Marii Panny. Dane zadzwonił wcześniej z pytaniem, czy spotka się z nim przed specjalną ceremonią w katedrze, na której chciał być. Justyna nie miała nic przeciwko temu, zamierzała mu przecież opowiedzieć o swojej przygodzie.

Dane kończył już naukę w Riveriew. Był prymusem, kapitanem drużyny krykieta, piłki ręcznej i tenisa. Miał dopiero siedemnaście lat, ale mierzył prawie dwa metry, mówił barytonem i szczęśliwie ominęły go dolegliwości wieku dojrzewania. W zasadzie nie golił się jeszcze, ale pod każdym innym względem przypominał bardziej młodego mężczyznę niż chłopca. Tylko mundurek szkolny zdradzał, że jest uczniem.

Dzień był słoneczny i ciepły. Dane zdjął słomkowy kapelusz, stanowiący część szkolnego umundurowania, i wyciągnął się na trawie. Justyna siedziała obok, rękoma obejmując kolana i sprawdzając co chwila, czy każdy centymetr odkrytej skóry znajduje się w cieniu. Otworzył leniwie jedno niebieskie oko i spojrzał w jej kierunku.

– No więc, co ci się wczoraj przytrafiło?

– Straciłam dziewictwo. Przynajmniej tak sędzę.

Otworzył oczy.

– Nabierasz mnie.

– Skądże! Najwyższy czas. Jak mam być dobrą aktorką, skoro nie mam pojęcia, co się dzieje między kobietą a mężczyzną?

– Powinnaś zachować to dla mężczyzny, którego poślubisz.

Na jej twarzy pojawił się grymas.

– Naprawdę, Dane czasami jesteś taki staroświecki, że aż wstyd! A co by było, gdybym spotkała tego mężczyznę dopiero po czterdziestce? Chciałbyś, żebym przez wszystkie te lata tego strzegła? Ty masz taki zamiar?

– Sędzę, że się nie ożenię.

– Ani ja. W takim razie po co obwiązywać to niebieską wstążeczką i wkładać między niespełnione marzenia? Nie mam zamiaru umrzeć w nieświadomości.

Uśmiechnął się.

– To już ci się nie uda. – Przekręcił się na brzuch i oparłszy brodę na dłoni popatrzył na nią uważnie i z z troskaniem. – Jak było? To znaczy, czy nie było obrzydliwie? Podobało ci się?

Usta jej zaczęły drgać na samo wspomnienie.

– Nie była tak źle, ale nie rozumiem, czym się ludzie tak podniecają. Przyjemnie, tyle mogę powiedzieć. W końcu nie oddałam się byle komu. Wybrałam atrakcyjnego starszego faceta, który powinien wiedzieć, jak to się robi.

– Justyno! Byłbym szczęśliwszy, gdybyś powiedziała: „On nie jest zbyt przystojny, ale nie potrafiłam mu odmówić”. Mogę zrozumieć, że nie chciałaś czekać z tym do małżeństwa, ale powinnaś tego pragnąć ze względu na partnera, nie dla samego aktu. Justyno, wcale się nie dziwię, że nie czułaś rozkoszy.

Cała radość triumfu znikła z jej twarzy.

– Niech cię diabli wezmą! Teraz czuję się okropnie. Gdybym nie znała cię tak dobrze, powiedziałabym, że chcesz mnie upokorzyć, albo przynajmniej negatywnie ocenić moje motywacje.

– Znasz mnie jednak lepiej. Nigdy bym nie chciał cię upokorzyć, ale czasami jesteś po prostu bezmyślna. – Głosem jednostajnym i monotonnym dodał: – Justyno O’Neill, jestem głosem twojego sumienia.

– Jesteś, ty gnido! – Zapomniawszy o cieniu, rzuciła się na wznak, by nie widział jej twarzy. – Przecież wiesz dlaczego. Wiesz!

– Siostrzyczko – powiedział smutno, ale zanim zdążył coś dodać, przerwała mu gwałtownie:

– Nigdy, nigdy, przenigdy się nie zakocham! Jeśli kochasz ludzi, oni cię zabijają!

Bolało go zawsze, że nie czuje miłości, bolało tym bardziej, że znał przyczynę. Ale nie miała mu tego za złe, kochała go wystarczająco, by nigdy mu nie dać odczuć zazdrości czy niechęci. Dla niego był to okrutny fakt, że porusza się po zewnętrznej orbicie, podczas gdy on stanowił sam środek. Modlił się już tak długo, że coś się zmieniło, ale nic się nie zmieniło. Nie zmniejszyło to jego wiary, tylko wyraźniej uświadomiło mu, że gdzieś, kiedyś przyjdzie mu zapłacić za te uczucia nań roztrwonione – jej kosztem. Trzymała fason i chyba nawet zdołała siebie przekonać, że dobrze jej na tej zewnętrznej orbicie, ale on zdawał sobie sprawę z jej cierpienia. Miała tyle zalet, a on tak niewiele. Nie miał nadziei na inne rozwiązanie, zakładał więc, iż lwią część tych uczuć otrzymywał z powodu swojego wyglądu, natury przyjaznej ludziom, umiejętności nawiązywania kontaktu z matką i innymi mieszkańcami Droghedy. Także dlatego, że był mężczyzną. Niewiele uchodziło jego uwagi poza sprawami, o których po prostu nie mógł wiedzieć, a Justynę znał lepiej i dłużej niż ktokolwiek. Tylko on wiedział, jak wiele dla niej znaczy matka.

Odpokutuję to – myślał. – Miałem wszystko. W jakiś sposób muszę zwrócić ten dług, muszę jej to wynagrodzić.

Nagle spojrzął na zegarek i podskoczył. Przyznawał, że ma olbrzymi dług wobec siostry, ale wobec Niego miał większy.

– Muszę lecieć, moja droga.

– Ty i ten twój Kościół! Kiedy wreszcie z tego wyrośniesz?

– Nigdy, mam nadzieję.

– Kiedy się zobaczymy?

– Dziś jest piątek... Jutro o jedenastej, tutaj.

– Dobrze. Bądź grzeczny.

Odszedł już kilka kroków, ale odwrócił się z uśmiechem.

– Czy kiedykolwiek nie jestem?

– Niech cię, nie – zaśmiała się. – Jesteś tak dobry, że aż nierealny. To ja zawsze muszę nabroić. Do jutra.

Wielkie, obite czerwoną skórą drzwi wiodły do wnętrza katedry. Dane wślizgnął się do środka. Opuścił Justynę nieco wcześniej, niż było to konieczne, ale zawsze wolał znaleźć się w kościele, zanim się zapełni. Nie witały go wtedy westchnienia, kasznięcia, szmery i szepty.

Wolał być sam. Kościelny zapalał świece na ołtarzu. Od razu rozpoznał w nim diakona. Pochyliwszy głowę, przyklęknął przed ołtarzem i uczynił znak krzyża, po czym cichutko usiadł na ławce.

Kłęcząc oparł głowę na złożonych rękach i pozwolił myślom swobodnie błądzić. Nie modlił się świadomie, lecz raczej stopił się w jedno z atmosferą, która wydawała mu się gęsta, niebiańska, niemal święta. Był jak płomyk w jednej z czerwonych lamp ołtarzowych, który drżał, przygasał, a jednak promieniował trwałym blaskiem. Nigdzie nie czuł się tak dobrze, nie był tak spokojny i daleki cierpieniu. Zamknął oczy.

Z balkonu organowego doszły go szmery i sapanie. Chłopcy z chóru katedralnego wchodzili, by przed rozpoczęciem ceremonii przećwiczyć parę pieśni. Było to zwykle piątkowe błogosławieństwo, ale ponieważ celebrował je jeden z przyjaciół i nauczycieli z Riverview, Dane chciał być obecny.

Organy zadźwięczały i przeszły w cichy akompaniament. W mrocznym kamiennym wnętrzu rozległ się niezemiński głos chłopięcy, wysoki i tak słodki, tak pełny niewinnej czystości, że tych niewielu ludzi w wielkiej pustej katedrze zamknęło oczy, bolejąc nad utratą tego, co już nigdy nie wróci.

*Panis angelicus,  
Fit panis hominum,  
Dat panis coelius  
Figuris terminum.  
O res mirabilis,  
Manducat Dominus,  
Pauper, Pauper,  
Servus et humilis...*

Chleb aniołów, boski chleb, cudowna rzecz. Z głębi duszy wołam do ciebie, Panie. Boże, usłysz mój głos! Wysłuchaj mojej modlitwy. Nie odwracaj się ode mnie, Panie, nie odwracaj. Bowiem Ty jesteś moim Władcą, moim Panem, moim Bogiem, a ja jestem Twoim najniższym sługą. W twoich oczach liczy się tylko dobroć. Dla Ciebie nieważne, czy Twój słudzy są piękni czy brzydzy. Dla Ciebie ważne jest serce. Ty wszystko uzdrawiasz, w Tobie znajduję spokój.

Panie, jestem taki samotny. Modłę się, by cierpienie życia skończyło się szybko. Oni nie rozumieją, że ja, choć tak wspaniale obdarzony, cierpię. Ty, Panie, rozumiesz i Ty mnie pocieszasz. Cokolwiek zechcesz ode mnie, Panie, oddam Ci, Bowiem kocham Ciebie. Jeśli mogę o coś prosić, to o to, Panie, bym w Tobie znalazł wieczne ukojenie...

– Nic nie mówisz, mam – powiedział Dane. – O czym myślisz? O Droghedzie?

– Nie – odpowiedziała Meggie sennie. – Myślę o tym, że się starzeję. Zauważyłam z pół tuzina siwych włosów i kości mnie bolą.

– Nigdy się nie zestarzejesz, mam – powiedział łagodnie.

– Chciałabym, kochanie, lecz niestety tak nie jest. Zaczynam potrzebować naszego ciepłego jeziora, a to już na pewno oznaka starości.

Leżeli w ciepłym zimowym słońcu, na ręcznikach rozłożonych na trawie w pobliżu wody. W drugim końcu dużego basenu gwałtownie tryskała gorąca woda, odór siarki przenikał powietrze. Jak to przyjemnie w zimie popływać, wszystkie bóle i trudy nadchodzącej starości koi ciepła woda – myślała Meggie przewracając się na plecy. Głowę trzymała w cieniu pnia, na którym niegdyś siedziała z księdzem Ralphem. To było tak bardzo dawno, że nie potrafiła już przywołać z pamięci tych uczuć, które nią miotały, gdy Ralph ją pocałował.

Usłyszała, jak Dane wstaje, i otworzyła oczy. Zawsze był jej dzieckiem, jej pięknym małym chłopcem. Obserwowała z matczyną dumą, jak rośnie, ale w jego dojrzewającej twarzy wciąż widziała radosne dziecko. Nie dotarło jeszcze do niej, że przestał już nim być.

Właśnie w tym momencie, gdy tak patrzyła na jego sylwetkę ostro zarysowaną pod słońcem, zrozumiała.

O, Boże, już po wszystkim! Minęło dzieciństwo i wiek chłopięcy. Jest mężczyzną. Duma, niechęć, kobieca łagodność, ciężąca świadomość nadchodzącego rozstania, gniew, uwielbienie, smutek – te wszystkie uczucia stały się udziałem Meggie, gdy tak patrzyła na syna. Straszłą rzeczą było stworzenie mężczyzny, jeszcze straszniejsze stworzenie mężczyzny tak zdumiewająco męskiego, tak zdumiewająco pięknego.

Był w nim cały Ralph de Bricassart i odrobinę jej samej. Jak mogła się nie wzruszyć, widząc w nim odbicie młodego mężczyzny, który połączył się nią w miłości? Zawstydzona, zamknęła oczy, nie chcąc [pogodzić się z faktem, i że jej syn stał się mężczyzną. Czy on patrząc na nią teraz, widział kobietę, czy też wciąż była tą wspaniałą tajemnicą – matką? Przekląła go w duchu: jak śmiał stać się mężczyzną?!

– Czy wiesz już coś o kobietach, Dane? – spytała nagle, otwierając oczy.

Uśmiechnął się.

– Chodzi ci o te sprawy?

– To z pewnością wiesz. Justyna wszystko wypaplała, jak tylko odkryła, co się mieści między okładkami podręczników fizjologii. Nie, chciałam wiedzieć, czy wprowadziłeś już w życie wykłady Justyny.

Potrząsnął głową, usiadł znów przy niej i spojrzał w oczy.

– Śmieszne, że pytasz mnie o to, mamó. Już dawno chciałem z tobą o tym porozmawiać, ale nie wiedziałem, jak zacząć.

– Masz ledwie osiemnaście lat, kochanie. – Czy nie za wcześnie myśleć o sprawdzaniu teorii w praktyce? – Jednocześnie pomyślała, że tylko osiemnaście lat i aż osiemnaście.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. To znaczy, nie chcę w ogóle sprawdzać teorii a praktyce.

Poczuła zimny wiatr wiejący od dalekich gór i zdziwiła się, że dotąd go nie czuła. Rozejrzała się za swoim płaszczem kąpielowym.

– Nie sprawdzać w ogóle w praktyce – powtórzyła za nim tępo i nie było to pytanie.

– No właśnie, nie chcę. Myślałem o tym, myślałem, żeby mieć żonę i dzieci. Naprawdę. Ale nie mogę. Nie umiałbym kochać ich i jednocześnie kochać Boga. Wiem o tym już od dawna. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek czułem inaczej: im jestem starszy tym większa moja miłość do Boga. To wielka tajemnica – miłowanie Boga.

Meggie patrzyła w łagodne, jakby nieobecne oczy. To były oczy Ralpa, dawnego Ralpa. Palił się w nich jednak jakiś ogień, którego nigdy nie widziała u Ralpa. Może kiedy miał osiemnaście lat? Czy kiedykolwiek był w nim ten ogień? A może to było coś, czego można doświadczyć tylko w wieku osiemnastu lat? Kiedy zjawiała się w życiu Ralpa, był już znacznie starszy, miał dwadzieścia osiem lat. Jej syn był mistykiem, zawsze o tym wiedziała. Nie sądziła, by kiedykolwiek Ralpa miał skłonności do mistycyzmu. Przełknęła ślinę, owinęła się ściślej płaszczem kąpielowym.

– Zadałem więc sobie pytanie – kontynuował Dane – w jaki sposób mógłbym pokazać Mu, jak bardzo go kocham. Długo opierałem się nasuwającemu rozwiązaniu, ponieważ pragnąłem również być mężczyzną. Jednak wiedziałem, jaką powinienem ponieść ofiarę... Jest tylko jedna rzecz, którą mogę mu ofiarować, żeby pokazać, że w moim sercu nigdy nie będzie nikogo poza Nim. Muszę ofiarować jedyne Jego rywala, tej właśnie ofiary On żąda.

– Westchnął, zerwał źdźbło trawy. – Muszę pokazać Mu, że rozumiem, dlaczego otrzymałem tyle już przy urodzeniu. Muszę pokazać, że rozumiem, jak mało ważne jest moje życie jako mężczyzny.

– Nie możesz tego zrobić, nie pozwolę ci! – krzyknęła Meggie chwytając go za ramię. Poczuła gładkość skóry i drżącą pod nią siłę, zupełnie jak u Ralpa. Czy żadna dziewczyna nie dotknie tego wspaniałego ciała?

– Będę księdzem – powiedział Dane. – Stanę się Jego oddanym sługą, ofiaruję Mu wszystko, co mam i czym jestem, jako Jego kapłan. Ubóstwo, czystość i posłuszeństwo. Nie będzie to łatwe, ale uczynię to.

Zdumiał go wyraz jej oczu. Jakby ją zabił, wdeptał w ziemię. Nie przypuszczał, że tak to przyjmie, sądził, że będzie z niego dumna. W szkole mówili, że z pewnością będzie zachwycona, podniesiona na duchu, że zgodzi się z radością. Zamiast tego patrzyła na niego, jakby jego kapłaństwo było dla niej wyrokiem śmierci.

– Zawsze tego pragnąłem – powiedział w rozpacz, patrząc w jej umierające oczy. – Mamo, dlaczego nie chcesz zrozumieć? Nigdy nie chciałem być kimkolwiek innym, tylko księdzem! Nie mogę nie być księdzem!

Ręka jej opadła. Na jego ramieniu zostały białe ślady jej palców i maleńkie łuki tam, gdzie wbiły się jej paznokcie. Odrzuciła głowę i zaczęła się śmiać. Śmiała się długo, histerycznie, śmiała się gorzkim, ironicznym śmiechem.

– To niemożliwe! – wydusiła z siebie, kiedy wreszcie odzyskała mowę, wycierając łzy z kącików oczu drżącą ręką. – Niesamowita ironia! Popioły róż – tak powiedział tamtej nocy, gdy szliśmy do jeziora. Ale ja nie rozumiałam, co miał na myśli. Prochem jesteś i w proch się obrócisz. Należysz do Kościoła, więc wrócisz do Kościoła. To piękne, naprawdę piękne! Niech diabli wezmą Boga! Sodomita! Największy wróg kobiet – to właśnie Bóg! Czegokolwiek chcemy dokonać, On stara się to zepsuć!

– Nie, mamo! Nie, nie, nie! – Płakał, litował się nad jej bólem nie rozumiejąc go, nie rozumiejąc słów, które wypowiadała. Łzy paliły jego serce. A więc taka miała być jego ofiara! Lecz nawet jej łzy nie mogły go powstrzymać. Ofiara musiała zostać spełniona i i trudniej przychodziło ją złożyć, tym cenniejszą musiała być w Jego oczach.

Po raz pierwszy w życiu doprowadziła go do płaczu. Nie powinna niszczyć go własnymi problemami, nie jego wina, że taki się urodził, że takim go stworzył Bóg! Jego Bóg. Bóg Ralpa. Był światłem jej życia, jej synem i nigdy nie powinien cierpieć z jej powodu, przenigdy.

– Dane, nie płacz – szeptała, gładząc ślady swego gniewu na jego ramieniu. – Przepraszam cię, nie chciałam. Zaskoczyłeś mnie, zaskoczyłeś mnie, nie spodziewałam się tego. – Zdobyła się nawet na śmiech, trochę jeszcze drżący. – Jakbyś mnie zdzielił pałką przez głowę!

Osuszył łzy, spoglądając na nią niepewnie. Dlaczego wydawało mu się, że sprawił jej tak śmiertelny ból? To znów były oczy mamy, takie jak zawsze, pełne miłości i życia. Silne, młode ramiona otoczyły ją i przygarnęły.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu?

– Przeciwno? Czyż porządna matka katoliczka może mieć coś przeciwko temu, żeby syn został księdzem? Nie! – Wstała szybko. – Brr! jak zimno! Jedźmy do domu.

Tym razem przyjechali nie konno, lecz otwartym landroverem. Dane usiadł za kierownicą, matka obok.

– Czy wiesz, dokąd chciałbyś pójść? – spytała, łapiąc gwałtownie oddech i odgarniając włosy z czoła.

– Chyba do Świętego Patryka. Przynajmniej na początek. Może potem wstąpię do zakonu. Chciałbym być jezuitą, ale nie jestem tego na tyle pewien, by od razu iść do zakonu jezuitów.

Meggie wpatrzona była w płową trawę przed sobą.

– Mam znacznie lepszy pomysł, Dane. Wyślę cię do Rzymu, do kardynała de Bricassart? Pamiętasz go?

– Czy go pamiętam? Też pytanie, mamo! Nie mógłbym go zapomnieć! Uważam go za idealnego księdza. Gdybym mógł być taki jak on, byłbym szczęśliwy.

– Pozory mogą mylić! – powiedziała Meggie sucho. – Ale polecę cię jemu, bo wiem, że wyświadczy mi przysługę i zaopiekuje się tobą. Możesz uczęszczać do seminarium w Rzymie.

– Naprawdę, mam? Naprawdę? – Niepokój wyparł radość z jego twarzy. – Ale czy wystarczy pieniędzy? Byłoby znacznie taniej, gdybym został tu, w Australii.

– Mój drogi, właśnie dzięki kardynałowi de Bricassart nigdy nie zabraknie ci pieniędzy. – Przy kuchni wepchnęła go do środka.

– Idź, powiedz pani Smith i dziewczynom. Na pewno będą w siódmym niebie.

Ociągając się, Meggie weszła do domu. W salonie siedziała przy popołudniowej herbacie Fee, jakim cudem zajęta nie pracą, lecz rozmową z Anne Mueller. Podniosły głowy na widok Meggie. Zauważyły od razu, że stało się coś złego.

Muellerowie odwiedzali Droghedę co roku od osiemnastu lat. Wszyscy sądzili, że tak już będzie zawsze. Ale minionej jesieni Luddie Mueller nagle zmarł. Meggie natychmiast napisała do Anne i zaprosiła ją, by zamieszkała w Droghedzie na stałe. Miejsca było dość, domek gościnny stał pusty, a pieniędzy starczyłoby na przyjęcie niejednego gościa. A jeśli duma nie pozwoliłaby Anne na takie rozwiązanie, zawsze mogła łożyć na swoje utrzymanie. Meggie traktowała to jako spłatę długu za samotne lata w Queensland. Dla Anne propozycja ta była zbawieniem. Bez Luddiego czuła się w Himmelhoch okropnie samotna. Domu jednak nie sprzedała, lecz wynajęła. Po jej śmierci miał przypaść Justynie.

– Co się stało, Meggie? – spytała Anne.

Meggie usiadła.

– Mam wrażenie, że uderzył we mnie mściwy piorun.

– Co?

– Obie miałyście racje. Powiedziałyście, że go stracę. Nie wierzyłam wam, naprawdę myślałam, że oszukam Boga, ale jeszcze się taka nie urodziła, której by to się udało. Bóg jest mężczyzną.

Fee nalała Meggie filiżankę herbaty.

– Masz, wypij – powiedziała. – W jaki sposób go straciłaś?

– Ma zamiar zostać księdzem – śmiała się i płakała jednocześnie.

Anne wzięła kule i utykając podeszła do Meggie, ostrożnie siadając na poręczu krzesła i gładząc jej rudozłote włosy. – Biedaczko, przecież nie jest aż tak źle.

– Czy wiesz o nim? – Fee spytała Anne.

– Zawsze wiedziałam – powiedziała Anne.

Meggie uspokoiła się nieco.

– Nie jest źle? To początek końca, nie widzisz tego? Odpląta. Ukradłam Ralpa Bogu i płacę teraz synem. Powiedziłaś mi, mam, że to kradzież, pamiętasz? Nie chciałam ci wierzyć, ale jak zwykle miałaś rację.

– Wybiera się do Świętego Patryka? – spytała Fee praktycznie.

Meggie zaśmiała się bardziej normalnie.

– To niewystarczająca pokuta, mam. Wyślę go oczywiście do Ralpa. – Wzruszyła ramionami. – Wiedziłam, że zechce pojechać do Rzymu.

– Czy Ralph wie, że Dane jest jego synem? – spytała Anne, o tym bowiem nie mówiono dotąd otwarcie.

– Nie i nigdy się nie dowie. Nigdy!

– Są tacy podobni, że może się domyślić.

– Kto, Ralph? On się nigdy nie domyśli! Zachowałam to dla siebie. Wysłałam mu mego syna, nic więcej. Nie wysłałam mu jego syna!

– Uważaj Meggie, bogowie są zazdrośni – powiedziała Anne cicho. – Jeszcze z tobą nie skończyli.

– Cóż więcej mogliby mi zrobić? – załkała Meggie.

Kiedy Justyna dowiedziała się, była wściekła, choć co prawda od trzech, czterech lat domyślała się tego. To, co dla Meggie było uderzeniem pioruna, dla Justyny było oczekiwaną lodowatą ulewą. Justyna wiedziała, jak ważna dla Dane'a jest religia, nie tylko Bóg, lecz

również mistyczne znaczenie katolickiego ceremoniału. Sądziła, że gdyby urodził się protestantem, to i tak w końcu zwróciłby się do katolicyzmu, aby zaspokoić coś niewysłowionego, co było w jego duszy. Surowy kalwiński Bóg nie był dla niego. Bóg Dane'a przybrany był witrażami, owiany kadzidłem, spowity w koronki i złote hafty, osnuty muzyką i pięknymi łacińskimi kadencjami.

Ponadto było w tym coś perwersyjnego, że ktoś tak obdarzony urodą jak Dane uważa ten dar za kalectwo i ubolewa nad nim. A Dane ubolewał. Uciekał od komplementów. Justyna przypuszczała, że wolałby urodzić się brzydki i nie zwracać na siebie uwagi. W pewnym sensie rozumiała go, może dlatego, że sama wybrała zawód, w którym tak często zdarzało się samouwielbienie. Z tego też powodu akceptowała jego obojętność wobec własnego fizycznego wizerunku – ale nie nienawiść.

Nie był też zainteresowany seksem, choć nie wiedziała dlaczego: czy nauczył się wyciszać swoje namiętności, czy też mimo tak olśniewającej urody brakowało mu jakiejś mózgowej substancji. Zapewne to pierwsze, codziennie bowiem uczestniczył w grach sportowych i kładł się zmęczony do ostatnich granic. Co do jego inklinacji, wiedziała z całą pewnością, że są normalne, to znaczy heteroseksualne, i nawet wiedziała, jaki typ dziewczyny mu się podoba – wysoka, zmysłowa brunetka. Po prostu nie był rozbudzony. Nie umiał dotykiem rozpoznawać kształtów trzymanyh przedmiotów, nie czuł zapachów unoszących się w powietrzu, nie znał tej szczególnej satysfakcji płynącej z poznawania kształtów i kolorów.

Urok kobiety musiał być rzeczywiście nieodparty, żeby odczuł seksualne pożądanie. I tylko w takich chwilach zdawał się pamiętać, że istnieje coś, w czym większość mężczyzn chciałaby być sprawna tak długo, jak to tylko możliwe.

Powiedział jej za kulisami, po przedstawieniu. Tego dnia załatwiono wszystko z Rzymem. Nie mógł się doczekać, by jej powiedzieć, choć wiedział, że to się jej nie spodoba. Nie mówił z nią zbyt często o swoich religijnych ambicjach, bo to ją denerwowało, lecz gdy wreszcie tego wieczoru wszedł za kulisy, nie mógł dłużej ukrywać swej radości.

– Ale z ciebie palant – powiedziała z niesmakiem.

– To jest właśnie to, czego pragnę.

– Idiota!

– Wyzwiska niczego nie zmieniają.

– Wiem! Muszę się po prostu wyładować. Bóg mi świadkiem, muszę!

– A ja myślałem, że wyładowujesz się na scenie. Grasz przecież Elektry, i to bardzo dobrze, Justyno.

– Po tej wiadomości będę grała jeszcze lepiej – powiedziała ponuro. – Wstępujesz do Świętego Patryka?

– Nie, jadę do Rzymu, do kardynała de Bricassart. Mama to załatwiła.

– Dane, nie! To tak daleko!

– No to jedź ze mną. Na przykład do Anglii. Z twoim wykształceniem i talentem powinnaś bez trudu uzyskać tam angaż.

Siedziała przed lustrem zmywając charakterystycję, nadal w stroju Elektry. Jej oczy, otoczone ciężkimi czarnymi arabeskami, wydawały się jeszcze dziwniejsze. Pokiwała wolno głową w zamyśleniu. – Tak, mogłabym! I chyba już na to czas... Australia zaczyna być dla mnie za mała... No to, przyjacielu, jedziemy! Anglia to jest to!

– Wspaniale! Pomyśl tylko! Będę miał wakacje, w seminarium jest tak jak na uniwersytecie. Możemy spędzać je wspólnie, objechać Europę, odwiedzić Droghedę. Justyno, o wszystkim już pomyślałem! Jeśli tylko będziesz blisko, wszystko ułoży się fantastycznie.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Prawda? Nie czułabym, że żyję, gdyby mi zabrakło rozmowy z tobą.

– Tego się właśnie obawiałem! Ale teraz poważnie. Martwisz mnie. Wolę mieć cię gdzieś w pobliżu, żebym mógł widywać od czasu do czasu. Inaczej kto będzie twoim głosem



sumienia?

Wsunął się pomiędzy hełm hoplity i straszną maskę pytonisty leżące na podłodze. Zwinął się w kłębek, tak żeby móc ją nadal widzieć, a jednocześnie nie przeszkadzać chodzącym. W teatrze były tylko dwie oddzielne garderoby dla gwiazd. Justyna nie dostała jeszcze tego zaszczytu. Miała swoje miejsce w ogólnej przebieralni, wśród nieustającego ruchu.

– Przeklęty kardynał de Bricassart! – splunęła. – Nienawidzę go od pierwszej chwili.

Dane zachichotał.

– Nie zarzekaj się.

– Nienawidzę, nienawidzę!

– Wcale nie. Kiedyś, podczas wakacji Bożego Narodzenia, ciotka Anne opowiedziała mi, jak to kardynał karmił cię z butelki i kołysał do snu, gdy byłeś niemowlakiem. Ciotka Anne twierdzi, że byłeś okropnie marudnym niemowlęciem i nie lubiłaś, jak cię trzymano na rękach. Cieszyłaś się tylko wtedy, gdy trzymał cię kardynał.

– Kłamiesz!

– Ależ skąd? – Uśmiechnął się znów. – Powiedz, dlaczego teraz tak go nie lubisz?

– To proste. Stary chudy sęp, ciarki mnie przechodzą.

– Mnie się podoba. Zawsze mi się podobał. Ideał duchownego, tak go określił ksiądz Watty. Ja też tak uważam.

– Kutas!

– Justyno!

– Co, zaszokowałaś cię tym razem? Założę się, że nie przypuszczałeś, że znam to słowo.

Spojrzał na nią rozbawiony.

– A czy wiesz, co to znaczy? No, Justyno, powiedz mi, wytłumacz!

Nie potrafiła mu się oprzeć, gdy tak z niej żartował.

– Może zostaniesz świętym, więc jeśli dotąd nie wiesz, to się nie dowiaduj.

– Nie martw się, nie mam zamiaru – odrzekł poważnie.

Bardzo kształtna para kobiecych nóg zatrzymała się przy Danie. Podniósł wzrok i zaczerwienił się mimowolnie. Siłąc się na obojętność powiedział:

– Cześć, Marto.

– Cześć.

Marta była niezwykle urodziwą, choć niezbyt utalentowaną aktorką, ale i tak stanowiła atrakcję każdego przedstawienia. Była w typie Dane'a i Justyna już nieraz słyszała jego pełne uznania komentarze. Wysoka, ciemnooka, ciemnowłosa, miała jasną karnację i wspaniałe piersi.

Przysiadła na brzegu stołu Justyny i machała nogą przed nosem Dane'a, przyglądając mu się z niekłamanym uznaniem. Wyraźnie wprawiało to Dane'a w zakłopotanie. Naprawdę jest na co popatrzeć – myślała Marta. – Skąd Justyna wytrzasnęła takiego brata? Cóż z tego, że ma dopiero osiemnaście lat?

– Może wpadniecie do mnie na kawę? – zaprosiła, patrząc na Dane'a. – Oboje – dodała niechętnie.

Justyna zdecydowanie pokręciła głową, przysła jej bowiem pewna myśl do głowy.

– Dzięki, nie mogę. Musisz zadowolić się moim bratem. Ale i on potrząsnął głową, choć z żalem, jakby naprawdę miał ochotę.

– Dzięki, marto, ale ja też nie mogę. – Spojrzał na zegarek jak na wybawienie. – O rany, spóźnię się! Justyno, długo ci to jeszcze zajmie?

– Jakies dziesięć minut.

– Poczekam na ciebie na zewnątrz dobrze?

– Tchórz! – zadrwiła.

Marta odprowadziła go wzrokiem.

On jest naprawdę wspaniały. Czemu nawet na mnie nie spojrzysz?

Justyna uśmiechnęła się krzywo i dokończyła zmywać makijaż. Zauważyła kilka piegów, pomyślała, że pochmurny Londyn dobrze wpłynie na jej cerę.

– Nie martw się, patrzy. Może nawet miałby ochotę spotkać się z tobą, ale nie może się zdecydować. Nie, nie Dane.

– Dlaczego? Co mu jest? Nie mów mi, że to peda! To okropne! Co spotkam wspaniałego faceta, okazuje się, że jest dziwny! Nie przypuszczałam jednak, że Dane też, nie wygląda na takiego.

– Uważaj, co mówisz, głupia! Z całą pewnością jest normalny. A jeśli ssię zainteresuje naszą słodką młodą gwiazdą, małym Williamem, osobiście poderżnę mu gardło i Williamowi też.

– No to jeśli nie jest taki, dlaczego nie korzysta? Nie rozumie moich aluzji? A może uważa, że jestem dla niego za stara?

– Kochanie, nawet jeśli będziesz miała sto lat, nie będziesz za stara dla normalnego faceta. O to nie musisz się martwić. Nie, Dane wyrzekł się życia płciowego, idiota! Ma zamiar zostać księdzem.

Ponętne usta Marty otworzyły się ze zdziwienia, odrzuciła do tyłu piękne czarne włosy.

– Niemożliwe!

– Szczera prawda.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko się zmarnuje?

– Niestety, ofiaruje to Bogu. A Bóg na pewno nie jest zanadto zainteresowany nami, kobietami. Zajmujemy u Niego miejsca dalekie, na jaskółce. Pierwsze rzędy i balkon zarezerwowany jest dla mężczyzn.

– Och!

Justyna zdjęła strój Elektry i włożyła cienką bawełnianą sukienkę, a uświadomiwszy sobie, że na dworze jest chłodno, narzuciła jeszcze wełniany żakiet. Pogładziła Martę po głowie.

– Nie martw się moja droga. Bóg był dla ciebie dobry, nie dał ci rozumu. Wierz mi, tak jest zdecydowanie lepiej. Stwórca nigdy nie będzie miał w tobie rywala.

– Nie wiem, nie miałabym nic przeciwko rywalizowaniu Nim o twojego brata.

– Zapomnij o tym. Walczyłabyś z Kościołem, a tego się nie robi. Znacznie łatwiej będzie ci uwieść słodkiego Williama, mówię ci.

Samochód z Watykanu czekał na Dane'a na lotnisku. Gdy przejeżdżali nasłonecznionymi i wyblakłymi ulicami, pełnymi przystojnych, roześmianych ludzi, Dane nie odrywał nosa od szyby. Nie mógł uwierzyć, że widzi to wszystko na własne oczy, te widoki znane mu dotąd tylko z fotografii – starożytne kolumny, rokokowe pałace, renesansowe piękno bazyliki Świętego Piotra.

Kardynał de Bricassart czekał na niego tym razem od stóp do głów odziany w purpurę. Na palcu wyciągniętej ku niemu ręki błyszczał pierścień. Dane padł na kolana, by go ucałować.

– Wstań, Dane. Pozwól, że ci się przyjrę.

Wstał, uśmiechając się do wysokiego mężczyzny. Dorównywał mu wzrostem, mogli więc spojrzeć sobie w oczy. Dane wyczuwał w kardynale ogromną duchową siłę, która kojarzyła się raczej z papieżem niż świętym, lecz smutne oczy kardynała nie były oczyma papieża. Ileż musiał wycierpieć by zagościł w nich taki wyraz, i jak szlachetnie musiał się wznieść ponad swoje cierpienie, by zostać tym najwspanialszym z księży.

Kardynał Ralph patrzył na syna, nie zdając sobie z tego sprawy. Kochał go, bo jak sądził, był synem jego ukochanej Meggie. Takiego właśnie syna pragnąłby – wysokiego, przystojnego, pełnego wdzięku. W cały swoim życiu nie widział nikogo, kto by miał tak harmonijne ruchy. Jednak znacznie bardziej niż uroda podbiła go czystość duszy Dane'a. Chłopiec miał w sobie siłę anioła, a także jego niebiańskość. Czy on sam w jego wieku był taki? Usiłował przypomnieć sobie, przeskoczyć pamięcią wydarzenia kilkudziesięciu lat. Nie,

nigdy taki nie był. Czy dlatego, że ten przychodził naprawdę z własnego wyboru? On sam bowiem został zmuszony, mimo powołania, tego przynajmniej wciąż był pewien.

– Usiądź, Dane. Czy zacząłeś uczyć się włoskiego, tak jak prosiłem?

– Mówię płynnie i czytam z łatwością. Jest to mój czwarty język i zapewne dlatego nie mam kłopotów. Zdaje się, że mam ucho do języków. Po paru tygodniach osłucham się z językiem potocznym.

– Z pewnością. Ja też mam talent do języków.

– Przydają się – powiedział Dane.

Kardynał pochylił się ku niemu nie spuszczać wzroku.

*Ralphie, czynię cię za niego odpowiedzialnym – pisała Meggie w liście. – W twoich rękach jest jego los, jego szczęście. Oddaję, co ukradłam. Tak się złożyło. Żeby jednak była spokojna, że chodzi ci tylko o jego dobro, obiecaj mi dwie rzeczy. Po pierwsze, upewnij się, czy tego właśnie szczerze pragnie. Jeśli tak, to obiecaj, że będziesz miał na niego oko i przypilnujesz, by nie zmienił zdania. Gdyby jednak do tego doszło, chcę, by do mnie wrócił. Najpierw bowiem należał do mnie, i to ja dam go Tobie.*

– Dane, czy jesteś absolutnie pewny swojej decyzji? – spytał kardynał.

– Absolutnie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że miłuję naszego Pana i chcę Mu służyć przez resztę moich dni.

– Czy rozumiesz, co wiąże się z tą służbą?

– Tak.

– Żadna inna miłość nie może wejść pomiędzy ciebie i Niego. Należysz wyłącznie do Niego.

– Tak.

– Jego wola decyduje o wszystkim, w Jego służbie musisz zapomnieć o sobie, o swojej indywidualności, o przekonaniu, że jesteś jedyny i najważniejszy.

– Tak.

– Może w Jego imieniu będziesz musiał stanąć oko w oko z szykanami, więzieniem i śmiercią. Nie wolno ci posiadać i cenić czegokolwiek, co mogłoby zmniejszyć twoje umiłowanie Pana.

– Tak.

– Czy jesteś silny, Dane?

– Jestem mężczyzną, Wasza Eminencjo, przede wszystkim mężczyzną. Wiem, że będzie to trudne. Modłę się jednak, bym z Jego pomocą znalazł wystarczającą siłę.

– Czy tylko to cię zadowoli, Dane?

– Tylko to.

– Co zrobisz, jeśli kiedyś zmienisz zdanie?

– Poproszę, by pozwolono mi odejść – powiedział zdumiony Dane. – Gdybym poczuł, że minąłem się z powołaniem. Nie kochałbym Go mniej, lecz zrozumiałbym, że muszę Mu służyć w inny sposób.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że kiedy złożysz ostatnie śluby i zostaniesz wyświęcony, nie będzie już drogi odwrotu, żadnej dyspensy, absolutnie żadnego uwolnienia?

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Dane cierpliwie. – Gdybym chciał zmienić decyzję, zrobię to w porę.

Kardynał oparł się wygodniej w swoim fotelu i westchnął. Czy on sam był kiedykolwiek tak pewny swego? Czy był tak silny w swoim przekonaniu?

– Czemu przyjechałeś do mnie, Dane? Czemu chciałeś przyjechać do Rzymu? Czemu nie zostałeś w Australii?

– Mama sugerowała Rzym, ale myślałem o tym już od dawna. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie na to dość pieniędzy.

– Twoja matka jest mądrą kobietą. Nie powiedziała ci?

– O czym, Wasza Eminencjo?

– Że twój roczny dochód wynosi pięć tysięcy funtów, a po tych wszystkich latach masz na koncie kilkadziesiąt tysięcy funtów.

Dane zeszywniał.

– Nie. Tego mi nie powiedziała.

– Bardzo mądrze zrobiła. Te pieniądze jednak są i Rzym jest twój, jeśli sobie tego życzysz.

A zatem Rzym?

– Tak.

– A dlaczego ja, Dane?

– Ponieważ jesteś w moich oczach ideałem kapłana. Wasza Eminencjo.

Grymas wykrzywił twarz kardynała.

– Nie, Dane, nie możesz mnie widzieć w takim świetle. Nie jestem ideałem kapłana. Złamałem wszystkie śluby, rozumiesz? Musiałem nauczyć się tego, co ty zdajesz się już wiedzieć, a najboleśniejszy dla kapłana sposób, poprzez złamanie ślubów kapłańskich. Nie chciałem przyznać, że jestem najpierw zwykłym człowiekiem, a dopiero później kapłanem.

– Wasza Eminencjo, to nie ma znaczenia – powiedział Dane cicho. – Cokolwiek Eminencja powie, nie przestanie być moim wzorem. Chyba nie wyraziłem się jasno. Nie chodzi mi o jakiegoś nadczłowieka czy robota. Chciałem powiedzieć, że Wasza Eminencja cierpiał i wzniósł się ponad cierpienie. Czy jestem zrozumiały? Naprawdę, nie miałem takiego zamiaru, proszę o wybaczenie, jeśli obraziłem. Tak trudno wyrazić myśli! Żeby stać się dobrym księdzem trzeba wiele wycierpieć i cały czas dążyć do ideału i do naszego Pana, to miałem na myśli.

Zadzwoił telefon. Kardynał podniósł słuchawkę drżącą ręką. – Tak, dziękuję, zaraz będziemy – powiedział po włosku. – Wstał. – Czas na podwieczorek. Wypijemy herbatę z moim przyjacielem. Po Ojcu Świętym jest on z pewnością najważniejszą osobistością w Kościele. Powiedziałem mu o twoim przyjeździe i wyraził życzenie poznania ciebie.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo.

Przeszli ogrodami zupełnie niepodobnymi do ogrodów w Droghedzie. Rosły tu wysokie cyprysy i topole, kolumny portyków otaczały prostokątne, poprzecinane chodnikami trawniki, gdzieś tam cieszyły oko gotyckie łuki i renesansowe mostki. Dane oglądał to wszystko z zachwytem. Nic tu nie było takie jak w Australii, wszystko wydawało się stare, odwieczne.

Po kwadransie szybkiego marszu dotarli do pałacu. Wielkie marmurowe schody, obwieszane bezcennymi gobelinami, zaprowadziły ich na górę.

Vittorio Scarbanza kardynał di Contini-Verchese, miał sześćdziesiąt lat i znacznie ograniczone ruchy z powodu postępującego reumatyzmu. Zachował jednak jasność umysłu. Powitał gości nie ruszając się z fotela, uśmiechem i skinieniem głowy. Szarobłękitna kotka Natasza mruczała zwinięta na jego kolanach. Z ukochanej twarzy Ralpa przesunął wzrok na Dane'a i zmartwił. Dłoń wyciągniętą na powitanie mimowolnie przyłożył do serca, które w tym momencie zabiło mocniej. Siedział tak, wpatrując się w młodsze wydanie Ralpa de Bricassart.

– Vittorio, co się stało? – Kardynał Ralph ujął starczą rękę, szukając pulsu.

– To tylko przejściowy ból, nic takiego. Siadajcie, siadajcie!

– Chciałbym przedstawić ci Dane'a O'Neill, który, jak ci już mówiłem, jest synem mojej bliskiej znajomej. Dane, to jest Jego Eminencja kardynał di Contini-Verchese.

Dane ukląkł i przycisnął pierścień do warg. Nad jego jasną głową kardynał Vittorio odszukał twarz Ralpa i przyjrzał jej się uważniej niż zwykle. Odetchnął z ulgą. Więc ona mu nie powiedziała! A on nawet nie podejrzewa tego, czego natychmiast domyśli się każdy, kto

ich zobaczy razem, że łączą ich więzy krwi, szczególnie bliskie pokrewieństwo. Biedny Ralph! Nigdy nie widział siebie, jak chodzi, jakie przybiera miny, jak unosi brew w geście zdziwienia. Zaprawdę, Bóg jest łaskawy, że tak zaślepia ludzi.

– Siadajcie. Zaraz będzie herbata. No, młody człowieku, chcesz być księdzem i szukasz pomocy kardynała de Bricassart?

– Tak, Wasza Eminencjo.

– Dobrze wybrałeś. Pod jego skrzydłami nie spotka cię krzywda. Wyglądasz na nieco zdenerwowanego, mój synu. Za dużo wrażeń?

Dane uśmiechnął się uśmiechem Ralpha, może bez tego świadomego wdzięku, ale i tak to był uśmiech Ralpha: cios w stare, zmęczone serce.

– Jestem trochę oszołomiony, Wasza Eminencjo. Nie zdawałem sobie sprawy, że kardynałowie, to tak ważne osobistości, że na lotnisko wyjedzie po mnie samochód i że będę teraz pił herbatę z Waszą Eminencją.

– Tak, to raczej niezwykle... Może nawet być źródłem kłopotów, rozumiem. – Aha, jest herbata! – Zadowolony przyglądał się rozstawianiu filiżanek. – Dane, jaką wolisz?

– Taką jak Ralph – powiedział spontanicznie i zaczerwienił się. – Przepraszam, Wasza Eminencjo, tak mi się wyrwało!

– Nic się nie stało, Dane. Kardynał di Contini-Verchese zrozumie. Spotkaliśmy się po raz pierwszy jako Dane i Ralph i tak znamy się znacznie lepiej, prawda? Tytuły są w naszych stosunkach czymś zupełnie nowym. Wolałbym, by prywatnie pozostało talk, jak jest. Jego Eminencja nie będzie miał nic przeciw temu, prawda, Vittorio?

– Skądże, jestem tego samego zdania. Wracam jednak do tego, co mówiłem o posiadaniu przyjaciół na wysokich stanowiskach. Synu, gdy wstąpisz do seminarium, twoją przyjaźń z Ralphem może stać się źródłem pewnych kłopotów. Zmuszony będziesz stale tłumaczyć się z tej znajomości. Czasami nasz Pan pozwala mijać się prawdą – uśmiechnął się, błyskając złotymi zębami – i w tym przypadku możemy to wykorzystać. Trudno bowiem jest wytłumaczyć delikatne związki przyjaźni, znacznie łatwiej więzy krwi. Niech zatem dla wszystkich kardynał de Bricassart będzie twoim wujem, mój synu.

Na twarzy Dane'a malowało się zaskoczenie.

– Nie bądź rozczarowany wielkimi Kościoła, mój synu – powiedział kardynał Vittorio łagodnie. – Oni też mają słabości i korzystają z różnych sposobów, by zapewnić sobie spokój. Dostałeś tu bardzo pożyteczną lekcję, ale nie sądzę, byś miał jej nadużywać. Musisz wszakże zrozumieć, że my, ludzie w purpurze, jesteśmy dyplomatami do szpiku kości. Zaprawdę, mam na uwadze jedynie twoje dobro. W seminariach, podobnie jak w instytucjach świeckich, nie brak zazdrości i niechęci. Będą i tak ci dokuczać, kiedy dowiedzą się, że Ralph jest twoim wujem, bratem twojej matki, lecz, wierz mi, byłoby jeszcze gorzej, gdyby myśleli, że nie ma pomiędzy wami żadnego pokrewieństwa. Jesteśmy przede wszystkim ludźmi, i to z ludźmi będziesz miał do czynienia.

Dane spuścił głowę. Pochylił się, by pogłaskać kota, wstrzymując się na chwilę z wyciągniętą ręką.

– Czy mogę? Kocham koty, wasza Eminencjo.

Nie mógł wybrać szybszej i prostszej drogi do tego starego serca.

– Oczywiście. Przyznaję że staje się za ciężka dla mnie. Żarłok z ciebie, Natasza. Idź do Dane'a, on należy do nowej generacji.

Justyna nie mogła tak szybko jak Dane przenieść się z południowej na północną półkulę. Kiedy skończył się sezon w teatrze i nie bez żalu pożegnała Bothwell Gardens, jej brat był w Rzymie już dwa miesiące.

– Nie rozumiem, skąd tyle śmieci? – zdziwiła się, stojąc pośrodku sterty ubrań, papierów i pudeł.

Meggie popatrzyła na nią. Kucnęła przy łóżku, trzymając opakowanie druciaków do mycia naczyń w ręku.

– Co one robią pod twoim łóżkiem?

Na zaczerwienionej twarzy Justyny pojawił się wyraz ulgi.

– Dzięki Bogu! To tam się schowały? Bałam się już, że zjadł je pudel pani D. Od tygodnia źle wygląda, bałam się napomknąć o zniknięciu tych druciaków. Byłam pewna, że je zjadł, to okropne zwierzę zeżre wszystko. Chociaż – Justyna zastanowiła się przez chwilę – wcale bym nie rozpaczała.

Meggie wyprostowała się ze śmiechem.

– Och, Justyno! Nawet nie wiesz, jaka jesteś śmieszna! – Rzuciła druciaki na stertę rzeczy na łóżku. – Przynosisz wstyd Droghedzie, a tyle czasu poświęciłyśmy, żeby nauczyć cię porządku i czystości.

– Trzeba było mnie zapytać, powiedziałabym wam, że to strata czasu. Chcesz zabrać je do Droghedy? Wiem, że na statku mogę mieć nieograniczony bagaż, ale spodziewam się, że Londyn zawałony jest takimi druciakami.

Meggie przerzuciła opakowanie druciaków do pudła z napisem „Pani D”.

– Sądzę, że damy je pani Devine, w końcu to ona musi przygotować tę norę dla następnego lokatora. – Na brzegu stołu chwiała się sterta talerzy z okropnymi wąsami pleśni. – Nigdy nie zmywasz naczyń?

Justyna zachichotała beztrosko.

– Dane twierdzi, że ja ich nie zmywam, tylko gołę.

– W takim razie tę partię musiałabyś najpierw posłać do fryzjera! Czemu nie zmywasz ich zaraz po jedzeniu?

– Musiałabym iść z nimi na dół do kuchni, a ponieważ zazwyczaj jadam po północy, moje bieganie po schodach nie byłoby mile widziane.

– Daj mi to puste pudło. Sama je pozmywam – powiedziała zrezygnowana Meggie. Zanim zaczęła pomagać Justynie przy pakowaniu, wiedziała, co ją czeka, i nawet się cieszyła. Tak rzadko w końcu mogła Justynie pomóc w czymkolwiek. Na ogół, gdy podejmowała takie próby czuła się jak kompletna idiotka. Tym razem jednak pomoc dotyczyła spraw domowych, sytuacja odwróciła się, mogła się tym zajmować nie wychodząc za idiotkę.

Jakoś udało się wszystko doprowadzić do końca. Zapakowały się do dużego samochodu, którym Meggie przyjechała z Gilly, i pojechały do hotelu „Australia”, gdzie Meggie wynajęła apartament.

– Powinniście wynająć dom w Palm Beach albo Avalon. Tu jest okropnie dokładnie pośrodku placu Martina! – skrzywiła się Justyna, składając walizki w drugiej sypialni. – Wyobraź sobie tylko, dwa kroki od morza! Nie skłoniłoby cię to do częstszego przyjeżdżania z Gilly?

– A po co miałabym przyjeżdżać do Sydney? W ciągu ostatnich siedmiu lat byłam tu dwa razy: raz odprowadzałam Dane’a, a teraz ciebie. Gdybyśmy mieli tu dom, stałby cały czas pusty.

– Bzdury.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo świat to nie tylko ta wasza Drogheda! O rany, ta dziura doprowadza mnie szaleństwa!

Meggie westchnęła.

– Wierz mi, Justyno, przyjdzie czas, że zatęsknisz za Droghedą.

– Dane też?

Nie patrząc na córkę, Meggie wzięła torbę ze stołu.

– Spóźnimy się. Madame Rocher powiedział, że pokaz jest o drugiej. Jeśli chcesz kupić te sukienki przed wyjazdem, musimy się pospieszyć.

– Powinłam wiedzieć, kiedy posuwam się za daleko – rzuciła Justyna z uśmiechem.

W salonie Germaine Rocher przyglądała się modelkom prezentującym stroje.

– Podoba mi się ta pomarańczowa. Co o niej myślisz? – spytała Justyna.

– Nie do twoich włosów. Radzę ci zdecydować się na odcienie szarości.

– E tam! Uważam, że pomarańczowy doskonale pasuje do moich włosów. W szarym wyglądam jak mysz przywleczona przez kota, jakaś zabłocona i na wpół zgniła. Czasy się zmieniają, mamó. Rude dobrze wygląda nie tylko w białym, szarym, czarnym, szmaragdowym czy też w tym okropny kolorze który ty stale nosisz. Co to jest? Popielaty róż? To staroświeckie!

– Jeśli chodzi o mój kolor, to trafiłaś – powiedziała Meggie. Popatrzyła na córkę. – Naprawdę jesteś potworna – dodała krzywiąc się, choć nie bez czułości.

– Wezmę pomarańczową, szkarłatną, tę w purpurowy wzorek, butelkową zieleni, tamten wiśniowy kostium...

Meggie siedziała nie wiedząc: śmiać się czy płakać. Co zrobić z taką dziewczyną jak Justyna?

Trzy dni później „Himalaje” odpływały z portu Darling. Był to piękny, stary statek w bardzo dobrym stanie, zbudowany w czasach, gdy nikomu się nie spieszyło i było rzeczą normalną, że do Anglii płynęło się cztery tygodnie przez Kanał Sueski, a pięć dookoła Przylądka Dobrej Nadziei.

– Ale fajnie! – śmiała się Justyna. – Całą drużyną piłkarską płynię pierwszą klasą. Nie będę się nudziła, chłopcy są fantastyczni.

– To chyba dobrze, że uparłam się przy pierwszej klasie?

– Chyba tak.

– Justyno, jak ty mnie denerwujesz! Zawsze mnie denerwowałaś! – przerwała jej Meggie szorstko, rozgniewana tym brakiem wdzięczności, jak sądziła. Smarkuła przynajmniej przy pożegnaniu mogła udawać, że żal jej wyjeżdżać. – Jesteś uparta, gruboskórna i samowolna! Doprowadzasz mnie do pasji!

Justyna nie odpowiedziała, odwróciła głowę, jakby wolała usłyszeć sygnał dla żegnających do opuszczenia statku, niż to, co mówiła matka. Opanowała drżenie warg i przywołała wesoły uśmiech.

– Wiem,, że doprowadzam cię do pasji – powiedziała wesoło patrząc w oczy matce. – Nie przejmuj się. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Zawsze mówiłaś, że wrodziłam się w ojca.

Uścisnęły się nieśmiało i Meggie zeszła na ląd, zadowolona, że może wtopić się w tłum żegnających. Justyna wyszła na górny pokład i stanęła przy balustradzie, trzymając w rękach zwinięte kolorowe wstążki. Daleko w dole, na nadbrzeżu, drobna postać w popielatoróżowej sukience i kapeluszu podeszła do wyznaczonego miejsca i stanęła osłaniając oczy przed słońcem. Coś w sylwetce Meggie kazało pomyśleć Justynie o jej wieku, zbliżającej się pięćdziesiątce. Pomachały do siebie w tej samej chwili i Justyna rzuciła pierwszą wstążką. Meggie zręcznie złapała drugi koniec i tak załopotały na wietrze kolejno czerwona, niebieska, żółta, różowa, zielona, pomarańczowa.

Drużynę piłkarską żegnała orkiestra kobziarzy. Powiewały chorągiewki, wiatr wydymał kraciaste spódniczki, piszczały kobzy staroświecką melodię „Nadeszła godzina”. Pasażerowie, na ogół ludzie młodzi, stali ściśnięci przy balustradzie, trzymając kurczowo końce wstążek, na nadbrzeżu setki ludzi patrzyło do góry na twarze tych, co odpływali daleko, na drugą półkulę, by zobaczyć, jak wygląda prawdziwa cywilizacja. Tam będą mieszkać, pracować, niektórzy wrócą po paru latach, inni nie wrócą wcale.

Srebrzystobiałe obłoki wyglądały jak porwana wata, którą rozdmuchiwał po niebie porywisty australijski wiatr. Słońce grzało w głowy i plecy ludzi wiszących przy burtach, mnóstwo łopoczących na wietrze wstążek łączyło statek z brzegiem. Nagle pojawiła się szpara między burtą a drewnianą konstrukcją nadbrzeża. Powietrze wypełniły krzyki i płacz.

Jedna po drugiej wstążki rwały się, trzepotały na wietrze i miękko opadały, by na powierzchni wody utworzyć splątana sieć, obok skórek pomarańczy i meduz.

Justyna trwała przy balustradzie, dopóki nadbrzeże nie zmieniło się w kilka ostrych kresk i różowych punkcików. Holowniki obróciły „Himalaje” i wyprowadziły pod przesłami mostu na środek wspaniale lśniącej w słońcu wody.

Było to całkiem inne uczucie niż wycieczka promem do Manly, chociaż płynęły tą samą trasą obok Neutral Bay i Rose Bay, i Cremone, i Vauclause. Tym razem wychodzili na pełne morze między groźnymi klifami u wejścia do zatoki, o które rozbijały się wielkie wachlarze piany. Dwanaście tysięcy mil – na drugi koniec świata. Niezależnie jednak od tego, czy wrócą czy nie, nie odnajdą już swego miejsca ani tu, ani tam, poznali bowiem dwa różne kontynenty i posmakowali dwóch odmiennych stylów życia.

Justyna odkryła, że dla ludzi z pieniędzmi Londyn jest czarującym miastem. Nie dla niej ubogie życie na obrzeżach dzielnicy Earl’s Court, zwanej Doliną Kangurów, jako że mieszkali tam Australijczycy. Nie dla niej los przeciętnego Australijczyka, gnieźdzącego się w schronisku młodzieżowym, pracującego za grosze gdzieś w biurze, szkole lub w szpitalu, trzęsącego się z zimna nad małym grzejnikiem w zimnym, wilgotnym pokoju. Justyna mogła sobie pozwolić na mieszkanie z centralnym ogrzewaniem w Kensington, niedaleko Knightsbridge, gdzie było wiele takich mieszkań, przerobionych swego czasu z garaży czy stajen. Czekano też na nią miejsce w trupie Ckyde’a Daltinham-Roberts’a, zwanej Grupą Elżbietańską.

Gdy nadeszło lato, pojechała pociągiem do Rzymu. W późniejszych latach z uśmiechem wspominała, jak niewiele zapamiętała z tej pierwszej długiej podróży przez Francję i Włochy. Zajęta bowiem była zapamiętywaniem rzeczy, o których chciała opowiedzieć Dane’owi.

Czy to Dane, ten wysoki, jasnowłosy młodzieniec na peronie? Wyglądał jak zawsze, lecz wydawał się obcy. Nie należał już do jej świata. W pierwszej chwili chciała go zawołać, lecz głos zamarł jej na ustach. Cofnęła się w głąb przedziału, by móc się mu przyjrzeć, pociąg zatrzymał się bowiem zaledwie na kilka kroków od miejsca, gdzie stał i spokojnie szukał jej wzrokiem w oknach wagonu. Ta rozmowa będzie dość jednostronna – uświadomiła sobie Justyna – Dane bowiem nie czuł podobnej potrzeby dzielenia się z nią swymi przeżyciami. Już nie był jej małym braciszkiem. Jego życie miało teraz tyle wspólnego z nią co z Droghedą. Dane, braciszku, jak można poświęcać jakiejś sprawie dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– A kuku! Myślałeś, że wystawiłam cię do wiatru, co? – powiedziała zachodząc go od tyłu. Odwrócił się i uściśnął jej dłoń.

– Głupiutka – rzekł ciepło, biorąc ją pod rękę i odbierając od niej walizkę. – Dobrze, że już jesteś – powiedział, gdy wsiedli do jego czerwonego sportowego wozu.

– Tak się cieszę. Mam nadzieję, że znalazłeś mi jakieś fajne miejsce, bo nie mam zamiaru siedzieć w Watykanie w jednej celi z całą kupą księży.

– Nie pozwoliliby ci, nawet gdybyś chciała. Zarezerwowałem ci pokój w pobliskim pensjonacie. Mówią tam po angielsku. W Rzymie zresztą nie powinnaś mieć kłopotów, zawsze znajdzie się ktoś, kto mówi po angielsku.

– W takich sytuacjach chciałabym mieć twój talent do języków. Ale poradzę sobie, w pantomimie podobno jestem doskonała.

– Mam dwa miesiące wakacji. Czyż to nie wspaniale, Justyno? Możemy najpierw zwiedzić Francję i Hiszpanię, a potem pojechać na miesiąc do Droghedy. Tęsknię za naszą starą farmą.

– Tęsknisz? – Popatrzyła na niego, na jego piękne dłonie z wprawą prowadzące samochód z zwariowanym ruchem ulicznym Rzymu. – Ja nie tęsknię, Londyn jest fascynujący.

– Mnie nie oszukasz – powiedział. – Dobrze wiem, ile dla ciebie znaczy Drogheda i mama. Justyna zacisnęła pięści, ale nic nie powiedziała.



– Nie masz nic przeciwko herbacie z moimi przyjaciółmi dziś po południu? – zapytał, gdy dotarli na miejsce. – Pospieszyłem się trochę i przyjąłem zaproszenie w twoim imieniu. Bardzo chcę cię poznać, a ponieważ będę wolny dopiero jutro, nie chciałem odmawiać.

– Nie przejmuj się, gdybyś przyjechał do Londynu, też bym pokazywała cię wszystkim znajomym. To miłe, że chcesz pokazać tych wszystkich facetów z seminarium, tylko co ja z tego będę miała? Przecież muszę się trzymać od nich z daleka!

Podeszła do okna i popatrzyła na mały brudny placyk. Pośrodku rosły dwa smutne platany, między nimi stały ze trzy stoliki, a z boku niezbyt piękny kościółek z odpadającym tynkiem.

– Dane...

– Tak?

– Rozumiem, naprawdę rozumiem.

– Wiem. – przestał się uśmiechać. – Chciałbym, żeby mama też zrozumiała.

– Mama patrzy na to inaczej. Sądzi, że ją opuściłeś. A tak wcale nie jest, prawda? Nie martw się, z czasem się przekona.

– Mam nadzieję – zaśmiał się. – Przy okazji, to nie facetów z seminarium dziś spotkasz. Nie odważyłbym się tak wodzić ich na pokuszenie i ciebie też. Idziemy do kardynała de Bricassart. Wiem, że go nie lubisz, ale obiecaj mi, że nie będziesz się wygłupiać.

– Obiecuję! Nawet pocałuję każdy pierścień, który mi podsunie.

– Pamiętasz? Taki byłem wtedy wściekły, że tak mnie zawstydziłaś.

– No wiesz! Od tego czasu całowałam już tyle niehigienicznych rzeczy. W szkole aktorskiej był taki młodzian z trądzikiem i chuchem na kilometr, a ja musiałam go pocałować ze dwadzieścia dziewięć razy. Mogę cię zapewnić, że po nim nic nie jest straszne. – Przyglądziła włosy i odwróciła się do lustra. – Zdążę się przebrać?

– Nie przejmuj się, wyglądasz wspaniale.

– Kto tam jeszcze będzie?

– Kardynał di Contini-Verchese.

Znała to nazwisko i zdziwiła się.

– Uff! Obracasz się wśród ludzi wysoko postawionych!

– Tak. Staram się być tego godzien.

– Czy to znaczy, że są tacy, którzy utrudniają ci życie?

– Nie, niezupełnie. To nie jest istotne, kogo się zna. Nie myślę o tym i inni też o tym nie myślą.

Nigdy dotąd Justyna nie odczuwała tak dotkliwie zbyteczności kobiet w życiu niektórych mężczyzn. W Watykanie dla kobiet nie było miejsca, z wyjątkiem prostych zakonnice do posługi. Miała na sobie kostium w oliwkowym kolorze, który włożyła jeszcze przed Turynem i który był już dość wymięty po tylu godzinach siedzenia w pociągu. Szła po miękkich karmazynowych chodnikach i przeklinała w duchu pośpiech Dane'a, żałując, że nie odświeżyła się po podróży.

Kardynał de Bricassart wstał na ich powitanie z uśmiechem na twarzy. Był bardzo przystojnym starszym panem.

– Moja droga Justyno – powiedział wyciągając w jej kierunku dłoń z pierścieniem, a spojrzenie jego wyraźnie mówiło, że pamięta ich poprzednie spotkanie. – Wcale nie przypominasz swojej matki.

Trzeba przyklęknąć, ucałować pierścień, uśmiechnąć się pokornie, wstać i uśmiechnąć się znowu, już nieco mniej pokornie.

– To prawda. Przydałaby mi się jej uroda, ale mimo to na scenie daję sobie radę. W gruncie rzeczy nie chodzi o to, jaką ma się twarz, tylko o to, czy potrafi się przekonać widzów, że jest ona inna niż w rzeczywistości.

Z krzesła doszedł ją suchy śmiech. Podeszła, by znów ucałować pierścień na starzejącej się żylastej dłoni, lecz tym razem spojrzała w oczy, w których, ku swojemu zdumieniu, zobaczyła

głęboką miłość. Miłość do niej, do osoby, której nigdy nie widział, o której nie mógł dużo słyszeć. Ale to była miłość. Kardynała de Bricassart nie lubiła dalej, tak jak wtedy, gdy miała zaledwie piętnaście lat, ale tego staruszka pokochała natychmiast.

- Usiądź, moja droga – rzekł kardynał Vittorio wskazując na krzesło obok siebie.
- Witaj, kotku – powiedziała Justyna drapiąc ciemnoszarą kotkę. – Ładna.
- Istotnie.
- Jak ma na imię?
- Natasza.

Drzwi otworzyły się natychmiast i do pokoju wszedł mężczyzna, na szczęście w cywilnym ubraniu. Jeśli zobaczą jeszcze jedną czerwoną sutannę – pomyślała Justyna – zaczną ryczeć jak byk.

Nie był to jednak ktoś zwyczajny. Zapewne w Watykanie mają taką zasadę – myślała psotnie – że nie wpuszczają zwyczajnych ludzi. Był tak potężnie zbudowany, że wyglądał na bardziej krępego niż w rzeczywistości – szeroki w ramionach, z wielką lwią głową i długimi rękoma jak postrzygacz. Przypominał trochę małpę, lecz poruszał się ze swobodą człowieka, który sięga po to, co mu się należy, szybko i pewnie.

– Rainer, przychodzisz w samą porę – powiedział kardynał Vittorio wskazując na krzesło po lewej stronie. – Moja droga – zwrócił się do Justyny, podczas gdy mężczyzna całował jego pierścień. – Chciałbym ci przedstawić mojego przyjaciela, pana Rainera Moerlinga Hartheima, to jest siostra Dane’a, Justyna.

Skłonił się, stuknąwszy obcasami, uśmiechnął się chłodno i usadowił tak, że prawie go nie widziała. Justyna westchnęła z ulgą widząc, że Dane swoim zwyczajem usiadł na podłodze, obok krzesła kardynała Ralpa, dokładnie na wprost niej. Dopóki ma przed sobą kogoś, kogo dobrze zna i kocha, to wszystko w porządku. W miarę jednak upływu czasu ten pokój, ci ludzie w purpurze i ten ciemny mężczyzna denerwowali ją bardziej, niż obecność Dane’a mogła ją uspokoić. Drażniło ją, że nie ma wstępu do ich świata. Pochyliła się więc i podrapała kotkę wyczuwając, że kardynał Vittorio rozumie jej reakcję i że one go bawią.

- Czy jest po zabiegu? – spytała Justyna.
- Oczywiście.
- Oczywiście! Chociaż nie wiem, po co. Wystarczy zamieszkać tu na stałe, by stać się bezpłodną.
- Wręcz przeciwnie, moja droga – powiedział kardynał Vittorio, rozbawiony. – To my, mężczyźni, świadomie wybraliśmy bezpłodność.
- Wasza Eminencja pozwoli, że się nie zgodzę.
- A więc nasz mały światek cię razi?
- Powiedzmy, że czuję się tu zbyt czarna, Wasza Eminencjo. Mogę odwiedzać to miejsce, ale nie chciałabym tu zostać na stałe.
- Nie mogę mieć ci za złe tego. Wątpię też, czy odwiedziny sprawiają ci przyjemność. Przyzwyczajasz się, bo chcę, byś nas często odwiedzała, bardzo proszę.
- Kiedy próbuję się pilnować, wyłazi ze mnie najgorsze – zwierzyła się. – Z daleka czuję oburzenie Dane’a, nie muszę nawet na niego patrzeć.
- Zastanawiałem się, jak długo wytrzymasz – powiedział Dane, wcale nie zmieszany. – Wystarczy tknąć Justynę, a wyłazi z niej prawdziwa natura. Doskonale się uzupełniamy. Sam nie jestem buntownikiem, ale podziwiam tych, co się buntują.

Harthem poprawił się na krześle. Obserwował ją pilnie, nawet, gdy porzuciła pieszcoty z kotem i wyprostowała się. W tym momencie to piękne zwierzę uznało, że ma dość obcego damskiego zapachu i przelazło na kolana Hartheima, zwiłając się w kłębek pod jego silnymi, troskliwymi rękoma. Mruczało tak głośno, że wszyscy się roześmieli.

- Przepraszam, że żyję – powiedziała Justyna. Z siebie też potrafiła się śmiać.
- Motorek pracuje jak zwykle – powiedział Harthem. Mówił po angielsku doskonale, choć

z amerykańskim akcentem.

Przyniesiono herbatę. Ku jej zdziwieniu rozlewaniem zajął się Hartheim. Podał jej filiżankę ze spojrzeniem znacznie przyjaźniejszym niż to, jakim ją powitał.

– Dla Anglików – zwrócił się do niej – popołudniowa herbata jest bardzo ważna. Różne rzeczy mogą się zdarzyć przy filiżance herbaty, prawda? Pewnie dlatego, że można ją pić w każdej chwili między drugą a piątą trzydzieści.

Następne pół godziny zdawało się potwierdzać jego opinię. Justyna przysłuchiwała się z ciekawością ożywionej rozmowy, która przeszła od złego stanu zdrowia Ojca Świętego do zimnej wojny i recesji gospodarczych. Dane żywo uczestniczył w dyskusji i Justyna zauważyła, że pozostali słuchają go z dziwną pokorą, jakby ich onieśmiał. W jego komentarzach, trafnych i rozsądnych, było coś niezwykłego, niemal świętego. Czy z powodu tej jego świętości tak uważnie go słuchali? Czyżby to rzeczywiście była zaleta, którą tak doceniali i której im brakowało? Czyżby była tak rzadka? Trzej mężczyźni tak bardzo różni, lecz związani ze sobą znacznie silniejszymi więzami niż ona z Dane'em. Nie umiała traktować Dane'a z taką powagą, jak oni. To prawda, że wiele razy Dane zachowywał się jak starszy, a nie młodszy brat. To prawda, że był inteligentny, mądry i święty. Musiała przyzwyczaić się, że teraz przestał już być częścią jej świata.

– Dane, możesz udać się wprost na modlitwy, a ja odprowadzę twoją siostrę do hotelu – zarządził Hartheim nie pytając nikogo o zdanie.

I tak znalazła się, onieśmielona, w towarzystwie tego krępego, potężnego mężczyzny. Zeszli po marmurowych schodach i wyszli w złoty blask rzymskiego zmierzchu. Wziął ją pod rękę i poprowadził do czarnego mercedesa, przy którym stał wyprężony szofer.

– Dane jest zajęty, a nie chcesz chyba spędzić samotnie swego pierwszego wieczoru w Rzymie – powiedział wsiadając z nią do samochodu. – Jesteś zmęczona i zagubiona, więc lepiej, żebyś miała towarzystwo.

– Nie zostawia mi pan wyboru, panie Hartheim.

– Proszę mówić mi Rainer.

– Masz taki ekstra samochód z szoferem, musisz być chyba ważną osobistością.

– Będę jeszcze ważniejszą, gdy zostanę kanclerzem Niemiec.

– Dziwię się, że jeszcze nim nie jesteś.

– Bezczelna! Jestem za młody.

– Czyżby? – Przyjrzała mu się uważniej, stwierdzając, że ma gładką cerę, bez żadnych zmarszczek.

– Jestem tęgi i szpakowaty. Szpakowaty byłem już w szesnastym roku życia, tęgi zaś od czasów, gdy wreszcie mogłem najeść się do syta. W tej chwili mam trzydzieści jeden lat.

– Wierzę ci na słowo – powiedziała zrzucając buty. – To i tak dużo z mojego punktu widzenia. Ja mam słodkie dwadzieścia jeden.

– Jesteś okropna – rzekł z uśmiechem.

– Chyba tak. Moja matka też mi to powtarza. Tylko tyle, że nie jestem pewna, co oboje macie na myśli tak mnie nazywając. Może podasz mi swoją wersję?

– A znasz już wersję swojej matki?

– Zawstydziałabym ją po grób, gdybym o to zapytała.

– A nie sądzisz, że mnie też zawstydzasz?

– Mam poważne podejrzenia, panie Hartheim, że pan również jest okropny, więc wątpię, by cokolwiek mogło pana zawstydzić.

– A więc panno O'Neill, postaram się to pani wyjaśnić. Ludzie boją się takiej osoby, bo wdeptuje ich w błoto, uważa się za niepokonaną, nie ma skrupułów, a tym bardziej zasad moralnych.

– Pasuje to do pana, moim zdaniem. Bo ja mam zasady i skrupuły! W końcu jestem siostrą Dane'a.

- Nie jesteś wcale do niego podobna.
- I tego żałuję.
- Jego twarz nie pasowałaby do twojej osobowości.
- Niewątpliwie masz rację, ale może z jego twarzą miałabym inną osobowość.
- W zależności od tego, co było najpierw: kura czy jajko. Włóż buty, idziemy na spacer.

Był ciepły wieczór. Światła świeciły ostro i wszędzie było tłoczno. Zatrzymał się na małym brukowanym placu i wprowadził Justynę do restauracji.

- A może wolisz na zewnątrz? – spytał.
- Jest mim to obojętne, bylebym tylko mogła coś zjeść.
- Czy mogę zamówić?

Jasne oczy mrugnęły ociężale, lecz Justyna jeszcze się nie poddała.

– Nie lubię tego wyniosłego męskiego stylu – powiedziała zaczepnie. – Przecież nie znasz moich gustów.

– Nigdy się nie poddajesz? – mruknął. – Powiedz, co lubisz, a obiecuję, że będziesz zadowolona. Rybę? Cielecinę?

– Mam iść na kompromis? Dobrze, czemu nie? Poproszę pasztet, nieco scampi i duży talerz saltimbocca, a potem cassate i cappuccino. Zrób coś z tym, jeśli potrafisz.

– Powinienem dać ci klapsa – powiedział nie tracąc dobrego humoru. Zamówił u kelnera dokładnie to, co wymieniła, tyle że płynnie po włosku.

– Powiedziałaś, że nie jestem podobna do Dane’a. Czy naprawdę nie mamy nic wspólnego? – spytała poważnie, gdy pili kawę. Podczas kolacji była zbyt głodna, by tracić czas na rozmowę.

Podał jej ogień i sam zapalił. Z twarzą ukrytą w cieniu mógł swobodnie się jej przyglądać. Wrócił myślami do pierwszego spotkania z Dane’em kilka miesięcy temu. Zauważył natychmiast: był to kardynał Ralph młodszy o czterdzieści lat. Dowiedział się wtedy, że to wuj i siostrzeniec, i że matka chłopca i tej dziewczyny jest siostrą Ralpha de Bricassart.

– Owszem, jest pewne podobieństwo – powiedział. – Coś w twarzy, raczej w wyrazie niż rysach, w sposobie, w jaki otwieracie szeroko oczy i zaciskacie usta. Ale to podobieństwo między wami nie jest jednocześnie podobieństwem do waszego wuja kardynała.

– Wuja kardynała? – powtórzyła ze zdumieniem.

– Kardynała de Bricassart. Nie jest waszym wujem? Zdawało mi się, że tak mi mówiono.

– Ten stary sęp? Dzięki Bogu, nie ma z nami nic wspólnego. Swego czasu, na długo przed moim urodzeniem, był naszym parafialnym księdzem.

– Aha, to wyjaśnia wszystko – rzekł z udawaną lekkością.

– Wyjaśnia co?

– Że podobieństwo Dane’a do kardynała jest tylko ogólne: wzrost, budowa, karnacja.

– A! Babka mówiła mi, że nasz ojciec z wyglądu był dość podobny do kardynała – powiedziała Justyna bez wahania.

– Nie widziałaś nigdy ojca?

– Nawet na zdjęciu. Rozeszli się na dobre przed urodzeniem Dane’a. – Przywołała gestem kelnera. – Poproszę cappuccino.

– Justyno, jesteś naprawdę dzikuską! Pozwól, że zamówię dla ciebie!

– Nie, nie do diabła, nie pozwolę! Umieć myśleć za siebie i nie potrzebuję jakiegoś faceta, by mi mówił, na co i kiedy mam ochotę.

– Wystarczy dotknąć, a wylezie z ciebie prawdziwa natura. Tak powiedział Dane.

– Ma rację. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo nienawidzę być rozpieszczana w ten sposób! Nie proszę nikogo o łaskę.

– Zauważyłem – rzekł cierpko. – Czemu jesteś taka słodziutka? Cecha rodzinna?

– Rodzinna? Szczerze mówiąc, nie wiem. Za mało u nas kobiet, by to stwierdzić. Po jednej w każdym pokoleniu. Nana, mama i ja. Za to zatrzęsienie chłopów.

– Tyle, że w twoim pokoleniu nie ma już zatrzęsienia. Jeden Dane.  
– Zapewne dlatego, że mama opuściła tatę. Potem nie interesowała się już nikim. Szkoda, moim zdaniem. Mama jest taką domową istotą. Gdyby miała męża, z radością by mu dogadzała.

– Jest taka jak ty?

– Nie sądzę.

– Lubicie się?

– Mama i ja? – Uśmiechnęła się bez urazy, tak jak uśmiechnęłyby się jej matka, gdyby ktoś ją zapytał, czy lubi córkę. – Nie jestem pewna, czy się lubimy, ale na pewno coś tam między nami jest. Może to tylko więź biologiczna, sama nie wiem. – Coś zapaliło się w jej oczach. – Zawsze chciałam, by rozmawiała ze mną tak jak z Dane'em i żeby układy moje z nią były takie jak z nim. Niestety, albo jej czegoś brakuje, albo mnie. Raczej mnie. Ona zdecydowanie ma lepszy charakter.

– Nie poznałem jej, więc trudno mi się zgodzić lub zaprzeczyć. Jeśli sprawi ci to przyjemność, kochanie, to podobasz mi się taka, jaka jesteś. Nie zmieniłoby to niczego, nawet tej twojej śmiesznej wojowniczości.

– Jesteś miły. I po tym, jak cię obraziłam. Naprawdę nie jestem podobna do Dane'a?

– Na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby do niego podobny.

– Czy dlatego, że jest taki nie z tego świata?

– Chyba tak. – Pochylił się do przodu, oświetlony nikłym płomieniem świeczki palącej się w butelce po winie. – Jestem katolikiem i moja religia jest jedyną rzeczą na świecie, która mnie nie zawiodła, choć ja zawodziłem ją wielokrotnie. Wolę nie mówić o Danie, bo wydaje mi się, że są takie rzeczy na świecie, których lepiej nie roztrząsać. Powiedzmy więc, że z pewnością nie przypominasz go w swoim stosunku do życia i Boga. Dobrze?

Popatrzyła na niego z ciekawością.

– Dobrze, Rainer, jeśli tak chcesz. zawrzyjmy pakt: niezależnie od tego, o czym będziemy rozmawiać, nie będzie to tyczyło Dane'a czy religii.

Wiele wydarzyło się w życiu Rainera Moerlinga Hartheima od tamtego pamiętnego spotkania z Ralphem de Bricassart w lipcu 1943 roku. W tydzień później jego pułk został wysłany na front wschodni, gdzie pozostał do końca wojny. Szarpany wątpliwościami moralnymi, zakopał się w śnieżnych zaspach na linii frontu tak rozciągniętej, że jeden żołnierz przypadał na sto jardów. Z wojny pozostały mu dwa wspomnienia. Ta okrutna zimowa kampania i twarz Ralphi de Bricassart. Okropność i piękno, diabeł i Bóg. Na wpół oszalały, przemarznięty, bezbronny, czekając na partyzantów radzieckich zrzuconych z nisko lecących samolotów bez spadochronów wprost w zaspy śniegu, bił się w piersi i modlił. Nie wiedział, o co się modli: o kule do swego karabinu, ucieczkę Rosjan, swą nieśmiertelną duszę, człowieka z bazyliki, Niemcy czy skrócone cierpienie.

Wiosną 1945 roku wraz z towarzyszami broni uciekał przed Rosjanami z jednym tylko pragnieniem – dostać się do brytyjskiej lub amerykańskiej strefy okupowanych Niemiec. Gdyby dostał się w ręce Rosjan, zostałby rozstrzelany. Podarł na strzępu i spalił swoje dokumenty, zakopał dwa Żelazne Krzyże, ukradł ubranie i oddał się władzom brytyjskim na granicy z Danią. Przewieźli go do obozu dla uchodźców w Belgii. Żył tam rok o chlebie i kleiku, jedynym pożywieniem, jakie wyczerpani Brytyjczycy byli w stanie zapewnić tysiącom ludzi pod ich opieką. Czekał, aż Brytyjczycy zrozumieją, że jedynym wyjściem z sytuacji jest otwarcie obozów.

Władze wzywały go dwukrotnie, by przedstawić mu propozycję emigracji do Australii. W zamian za dokumenty i darmowy przejazd do nowej ojczyzny miał przez dwa lata pracować dla rządu australijskiego. Za pracę miał nawet dostawać godziwe wynagrodzenie. Dwukrotnie jednak udawało mu się wymówić od tej emigracji. Nienawidził Hitlera, ale nie Niemcy, i nie wstydział się tego, że jest Niemcem. Jego dom był w Niemczech i marzył o powrocie do domu

przez całe trzy lata. Nie wyobrażał sobie, że znajdzie się znów w kraju, gdzie nikt nie mówi jego językiem. Na początku 1947 roku znalazł się w końcu na ulicach Akwizgranu, gotowy odbudowywać z gruzów życie, którego pragnął z całego serca.

Przetrwał i przetrwała jego dusza, ale nie po to, by żyć w biedzie i zapomnieniu. Rainer był nie tylko bardzo ambitnym młodym człowiekiem, miał w sobie coś z geniusza. Zaczął pracować dla Grundiga i kształcił się w dziedzinie, która zafascynowała go od czasu, gdy poznał działanie radaru. Studiował elektronikę. Miał wiele pomysłów, ale nie chciał sprzedawać ich Grundigowi za milionową zaledwie część ich rzeczywistej wartości. Przyjrzał się uważnie rynkowi, po czym ożenił się z wdową po człowieku, któremu udało się zachować kilka fabryk produkujących radia, i rozwinął własny biznes. Jego młody wiek nie miał znaczenia. Brak stabilizacji w powojennych Niemczech stwarzał wiele okazji przedsiębiorczym młodym ludziom.

W 1951 roku rozwiódł się – ponieważ miał tylko ślub cywilny Kościół zezwolił mu na to. Zapłacił Annelise Hartheim dwukrotną wartość dwóch fabryk jej pierwszego męża i był wolny. Nie ożenił się ponownie.

Przeżycia, jakie stały się jego udziałem w śnieżnych przestrzeniach Rosji, wprawdzie nie doprowadziły do zaniku ludzkich uczuć, ale stłumiły wrażliwość, na pierwszy plan wysuwając inne cechy – inteligencję, determinację, bezwzględność. Ten, kto nie ma nic do stracenia, może zyskać wszystko. Człowieka pozbawionego uczuć nie można dotknąć. Tak przynajmniej rozumował Hartheim. W gruncie rzeczy stał się niezwykle podobny do człowieka, którego spotkał w Rzymie w 1943 roku. Podobnie jak Ralph de Bricassart wiedział, kiedy czyni zło, ale ta świadomość nie powstrzymywała go ani na chwilę. Był bardzo bogaty, choć płacił za to cierpieniem i udręką. Być może dla wielu nie byłoby to warte takiej ceny, dla niego jednak warte było po dwakroć. Wiedział, że przyjdzie dzień, w którym będzie rządził Niemcami i uczyni je krajem swych marzeń, zerwie z luterańsko-aryjską etyką.

W 1955 roku pojechał do Rzymu jako jeden z najpotężniejszych i najbogatszych ludzi Niemiec Zachodnich i nowa twarz w parlamencie w Bonn. Chciał odszukać kardynała de Bricassart i pokazać mu, jaki skutek miały jego modły. Nie mógł sobie teraz przypomnieć, czego spodziewał się po tym spotkaniu. Od razu zdał sobie dotkliwie sprawę z jednego: Ralph de Bricassart był nim rozczarowany. Wiedział dlaczego, nie musiał pytać. Nie spodziewał się jednak usłyszeć na pożegnanie takich słów kardynała:

– Modliłem się, że pokierujesz swoim życiem lepiej niż ja. Byłeś taki młody! Nie ma takiego celu, który uświęcałby środki. Chyba jednak nasiona naszego upadku zasiane są przed naszym urodzeniem. Kiedy wrócił do swego pokoju w hotelu, zapłakał. Opanował się jednak i pomyślał: co się stało, to się nie odstanie, ale na przyszłość postaram się być taki, jakim mnie chciał widzieć. Przyjaźń z osobistościami z Watykanu stała się najcenniejszą sprawą jego życia. Rzym zaś miejscem, które było ostoją w chwilach, gdy słowa pokrzepienia z ich ust powstrzymywały go przed pogrążeniem się w rozpacz. Słowa te miały szczególną właściwość. Nie było to dotknięcie ręki czy łagodne pocieszenie, raczej balsam płynący z duszy, jakby rozumieli jego cierpienie.

Tego wieczoru w Rzymie, gdy szedł ulicami odprowadziwszy Justynę do pensjonatu, myślał, że nigdy nie przestanie być jej wdzięczny. Kiedy bowiem przyglądał się, jak daje sobie radę z tą ciężką próbą, jaką było popołudniowe spotkanie, czuł w sobie budzącą tkliwość. Była nie do pokonania. Potrafiła mu dorównać – czy zdawali sobie z tego sprawę? To, co czuł, mogło być uczuciem dumy z córki, gdyby miał córkę. Zabrał ją Dane'owi, uprowadził, by móc obserwować jej reakcję na ten przemożny wpływ Kościoła i na Dane'a, jakiego nie znała, Dane'a, który nie był i nie mógł już być częścią jej życia.

Najlepszą cechą jego własnego Boga – myślał – była Jego wielkoduszność. Mógł On wybaczyć Justynie jej bezbożność i jemu oślepienie uczuć, dopóki nie nadszedł czas na ich rozbudzenie.

Kiedys sądził, że w panice na zawsze zgubił do nich klucz. Uśmiechnął się. Klucz... No tak, czasami klucze mają dziwne kształty. Może potrzebny był każdy kosmyk tych rudych włosów, aby mógł otworzyć zamek.

Dzień minął szybko, w okamgnieniu. Gdy spojrzął jednak na zegarek, zdał sobie sprawę, że jest dość wcześnie i że człowiek, który ma teraz taką władzę w obliczu bliskiej śmierci papieża, zapewne jeszcze czuwa – przejmujące nocne zwyczaje swego kota. Tyle lat patrzył na chudą, bladą, ascetyczną twarz papieża. A teraz on umierał, umierał człowiek, który był wielkim papieżem. Cokolwiek by o nim mówiono, był wielkim papieżem. Nawet jeśli kochał swoich Niemców, nawet jeśli nadal lubił wokół siebie słyszeć język niemiecki, czy to mogło cokolwiek zmienić? Nie do Rainera należało osądzać go.

Nie w Castel Gandolfo jednak mógł znaleźć odpowiedź na to, co chciał wiedzieć w tej chwili. Wszedł po marmurowych schodach do pokoju, gdzie spodziewał się znaleźć kardynała di Contini-Verchese. Może zostanie on następnym papieżem, może nie. Przez prawie trzy lata obserwował ciemne, mądre, pełne miłości oczy, które najchętniej spoczywały na jednym, wybranym. Tak, wołał u niego szukać odpowiedzi, nie u kardynała de Bricassart.

– Nie przypuszczałam, że dojdzie do tego, ale wyobraź sobie, że cieszę się na myśl o Droghedzie – powiedziała Justyna odmawiając wrzucania monety do Fontanny Trevi. – Mieliśmy pojechać do Francji i Hiszpanii. Zamiast tego siedzimy w Rzymie, a ja czuję się równie potrzebna jak piąte koło u wozu! Braciszku!

– Nie przejmuj się tym.

Justyna przyjrzała mu się uważnie.

– Rain, czemu tak ci na mnie zależy?

– Uparciuch! Już raz ci mówiłem, że moje imię wymawia się Rainer, nie Rejn.

– Ach, nic nie rozumiesz – powiedziała przyglądając się w zamyśleniu tryskającym strumykom wody i brudnemu basenowi fontanny wypełnionemu monetami. – Byłeś kiedyś w Australii?

– Dwukrotnie, słodziutka, omal nie pojechałem, ale za każdym razem udało mi się wymigać.

– Gdybyś pojechał, to byś zrozumiał. Dla Australijczyka Rain to magiczne imię, znaczy po prostu deszcz. Życie na pustyni.

Zaskoczony, upuścił papierosa.

– Justyno, nie zakochałaś się przypadkiem we mnie?

– Mężczyźni to straszni egoiści! Przykro mi cię rozczarować, ale nie. – Żeby złagodzić nieco ostrość tych słów, ścisnęła go za rękę. – To coś znacznie lepszego.

– A co może być lepszego niż zakochanie się?

– Prawie wszystko. Tak mi się wydaje. Nie chciałabym nigdy tak bardzo kogoś potrzebować, nigdy.

– Może masz rację. Z pewnością jest to ogromny, przytłaczający ciężar, jeśli człowiek podejmuje go za wcześnie. Ale co jest lepszego?

– Przyjaźń. – Potarła jego dłoń. – Jesteś moim przyjacielem, prawda?

– Tak. – Uśmiechnął się i wrzucił monetę do fontanny. – Przez te wszystkie lata wrzuciłem do niech chyba z tysiąc marek, bo chciałem mieć pewność, że nadal będę grzał się w słońcu Południa. Czasem mam koszmarne sny, w których znów jest mi zimno.

– Powinieneś pogrzać się tam gdzie jest naprawdę ciepło. Na prawdziwym południu – powiedziała Justyna. – Na przykład sześćdziesiąt stopni w cieniu, jeśli znajdziesz w ogóle jakiś cień.

– Nie dziwię się już, że tak dobrze znosisz upały. – Zaśmiał się bezgłośnie. Był to nawyk z dawnych czasów, gdy głośny śmiech mógł sprowadzić nieszczęście. – A upał z pewnością jest przyczyną tego, że jesteś taka nieczuła, ugotowana na twardo!

– Twój angielski jest może kolokwialny, ale i zdecydowanie amerykański. Sądziłam, że uczyłeś się języka na jakimś wytwornym angielskim uniwersytecie.

– Nie, zacząłem się go uczyć w belgijskim obozie od żołnierzy brytyjskich, Szkotów, londyńczyków i tych ze środkowej Anglii. Ale rozumiałem tylko jednego faceta, który właśnie mnie uczył. Każdy mówił inaczej. Kiedy więc wróciłem do Niemiec, chodziłem do kina na każdy film i kupowałem jedyne dostępne angielskie płyty, nagrywane przez amerykańskich komików. W domu puszczałem je bez przerwy, aż nauczyłem się na tyle, by móc uczyć się dalej.

Znowu zdjęła buty. Popatrzył ze zdumieniem, jak chodzi boso po chodnikach, na których można by usmażyć jajka.

– Urwiesz! Włóż buty.

– Jestem Australijką. Mam stopy z szerokie, by dobrze czuć się w butach. I nas zupełnie nie ma zimy. Chodzimy boso, kiedy tylko się da. Mogę się przejść po pastwisku pełnym ostów i nic nie poczuć – chwaliła się. – Pewnie mogłabym chodzić po rozżarzonych węglach.

– Gwałtownie zmieniła temat. – Kochałeś żonę, Rain?

– Nie.

– A ona kochała ciebie?

– Tak. Nie miała innych powodów, by wyjść za mnie.

– Biedaczka! Wykorzystałeś ją i zostawiłeś.

– Jesteś rozczarowana?

– Nie, nie sądzę. Nawet podziwiam cię trochę. Ale żał mi jej i nie mam zamiaru wpakować się tak jak ona.

– Podziwiasz mnie?

– W końcu nie szukam w tobie tych cech, które ona w tobie widziała. Lubię cię, jesteś moim przyjacielem. Ona zaś kochała ciebie, byłeś jej mężem.

– Sądzę, kochanie – powiedział zasmucony – że ambitni mężczyźni nie są zbyt dobrzy dla swoich żon.

– To dlatego, że przeważnie żenią się z kobietami całkowicie im uległymi, takimi, co to pytają o wszystko i zgadzają się na wszystko. Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą. Gdybym to ja była twoją żoną, nie miałbyś tak lekko. Założę się, że ona nigdy nie postawiła na swoim.

– Nie, biedna Annelise. Była męczennicą, więc jej broń była bardziej subtelna. Szkoda, że nie wyświetlano u nas wtedy australijskich filmów, poznałaby wasze powiedzonka. O co ci chodzi z tymi kozami?

– To znaczy mieć pecha przez własną głupotę. – Szerokie palce jej stóp chwyciły się mocno obrzeża fontanny. Zachwiała się balansując na brzegu, ale z łatwością odzyskała równowagę.

– W gruncie rzeczy dobrze się z nią obszedłeś. Pozbyła się ciebie. Ona z pewnością tak nie uważa, ale bez ciebie znacznie jej lepiej. Tymczasem ja mogę być z tobą, ponieważ nigdy nie pozwolę ci zaleć mi za skórę.

– Naprawdę twarżysz z ciebie, Justyno. A skąd wiesz tyle o mnie?

– Zapytałam Dane'a. Oczywiście podał mi tylko gołe fakty, reszty sama się domyśliłam.

– Niewątpliwie dzięki swojemu ogromnemu doświadczeniu życiowemu. Ale z ciebie oszustka! Mówią, że jesteś wyjątkową aktorką, ale trudno mi w to uwierzyć. Nie pojmuję, jak ci się udaje grać na scenie uczucia, o których nie masz zielonego pojęcia. Uczuciowo jesteś na poziomie piętnastolatki.

Zeskoczyła z murku i siadła na nim pochylając się, by włożyć buty.

– Cholera, spuchły mi nogi – stwierdziła żałośnie. Nie zareagowała ani gniewem, ani oburzeniem, jakby nie usłyszała końcowej części jego wypowiedzi. Można by sądzić, że gdy spotykała się z krytyką swojej osoby, przestawała słuchać. Tyle już przecież tego było!



– Nie wiem – powiedziała. – Ale skoro wychodzi mi tak dobrze, to chyba umiem, prawda? Przypomina to... czekanie. Wszystkie uczucia gromadzą się we mnie, nie umiem wyrazić ich poza sceną. Przecież nie możemy dać z siebie więcej, niż mamy. Na scenie nie jestem sobą, a raczej kolejno wieloma osobami. Zresztą chyba wszyscy stanowimy mieszankę różnych osobowości. Aktorstwo jest dla mnie przede wszystkim rezultatem działania intelektu, a dopiero w drugiej kolejności emocji. Jedno wyzwala drugie i udoskonala. Nie wystarczy myśleć, jak bym się czuła w cudzej skórze, gdyby okoliczności sprawiły, że byłabym kimś innym. W tym tkwi tajemnica. Nie stawać się kimś innym, tylko pozwalać roli stać się mną. – Podskoczyła na równe nogi, była zbyt podniecona, by usiedzieć. – Wyobraź sobie, Rain! Za dwadzieścia lat będę mogła powiedzieć, że popełniłam zbrodnię, samobójstwo, szalałam, ratowałam ludzi lub ich pogrążałam! Och! Możliwości są nieskończone!

– I wszystkie są w tobie. – Wstał i znów wziął ją za rękę. – Tak, masz rację, Justyno. Nie umiesz wyrazić tego poza sceną. Może kto inny potrafiłby, ty nie.

## Rozdział osiemnasty

Mieszkańcy Droghedy z łatwością potrafili wyobrazić sobie, że Rzym i Londyn nie są dalej niż Sydney i że dorosłe już dzieci nadal tam uczęszczają do szkoły. Rzecz jasna, nie mogły jak dawniej przyjeżdżać na wszystkie wakacje, ale raz do roku, zazwyczaj w sierpniu lub wrześniu spędzały czas w Droghedzie. Rodzina nie mogła doczekać się tego jednego miesiąca, a ponieważ dzieci niewiele zmieniły się zewnątrz, toteż było bez znaczenia, czy mają po piętnaście, szesnaście lat, czy też dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Kiedy zbliżał się lipiec, wszyscy w Droghedzie zaczynali uśmiechać się i ruszać żwawiej. Od kuchni po pastwiska przygotowywane były niespodzianki i prezenty.

Tymczasem pustkę wypełniały listy. Odzwierciedlały one przede wszystkim osobowość obydwójga piszących, ale niekiedy im zaprzeczały. Można by się spodziewać, że Dane, w odróżnieniu od Justyny, pisać będzie ze skrupulatną regularnością, że Fee nie napisze wcale, wujowie Cleary dwa razy do roku, że Meggie będzie pisała codziennie, przynajmniej do Dane'a, a pani Smith, Minnie i Cat wysyłać będą kartki na urodziny i Boże Narodzenie, wreszcie, że Anne Mueller będzie pisała często tylko do Justyny, ale nigdy do Dane'a.

Dane miał dobre chęci i nawet pisywał regularnie, ale często zapominał wysyłać listy. W rezultacie przez dwa lub trzy miesiące była cisza, po czym tą samą pocztą przychodziły tuziny listów. Justyna pisywała epistoły będące niepowstrzymanym strumieniem świadomości, fascynujące i czasami tak szokujące, że wywoływały rumieńce i zaniepokojone cmokanie. To od niej najbliżsi dowiadywali się najwięcej o Danie, jego listy były bowiem pod tym względem dość zdawkowe. Meggie pisała raz na dwa tygodnie do obojga. Justyna nie otrzymywała nigdy listów od Fee, która jednak często pisała do Dane'a. On również od wujów otrzymywał regularne sprawozdania na temat ziemi, owiec, zdrowia kobiet w Droghedzie – jakby uważali za swój obowiązek zapewniać go nieustannie o tym, że w domu wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie przyszło im do głowy pisać do Justyny która zresztą zdziwiłaby się, gdyby taki list dostała. Pozostali – pani Smith, Minnie i Cat oraz Anne Mueller korespondowały tak, jak się od nich tego spodziewano.

Listy czytało się wielką przyjemnością. Z odpisywaniem było gorzej. Justyna stwierdzała z rozgoryczeniem, że nikt nie pisze do niej tak, jak lubiła – dużo, szczerze i o wszystkim.

*Rain przyleciał dziś do Londynu – pisała na przykład – i opowiadał mi, że widział się z Dane'em w Rzymie w zeszłym tygodniu. Zdaje się, że częściej widuje Dane'a niż ja, Rzym bowiem stoi na pierwszym miejscu w jego podróżach, Londyn zaś na szarym końcu. Muszę przyznać, że Rain jest główną przyczyną, dla której spotykam się z Dane'em w Rzymie co roku – przed przyjazdem do Droghedy. Dane lubi przyjeżdżać do Londynu, ale ja mu na to nie pozwalam, jeśli tylko Rain jest właśnie w Rzymie. Egoistka! Nie macie pojęcia, jak dobrze mi jest z Rainem. Mało kto potrafi mi dorównać tak jak on i przykro mi, że tak rzadko się widzimy.*

*W jednej dziedzinie Rain jest bardziej uprzywilejowany niż ja. Ma okazję spotykać kolegów Dane'a z seminarium. Mam wrażenie, że Dane sądzi, iż zgwałciłabym ich od razu. A może myśli, że to oni mnie zgwałcą! Ha! To możliwe, gdyby zobaczyli mnie w moim nowym teatralnym kostiumie. Jest na co popatrzeć, wierzcie mi. Dwie małe brązowe tarcze na cycuszki, dużo łańcuchów i coś przypominającego pas cnoty: żeby to rozciąć, potrzebne byłyby chyba nożyce blacharskie! Długa czarna peruka, ciało pomalowane na brązowo i te kawałki blachy – wyglądam naprawdę bombowo.*

*Ale, ale, o czym ja to mówiłam? Ach, tak – Rain w zeszłym tygodniu poznał w Rzymie kolegów Dane'a. Wyszli do miasta. Ponieważ Rain upiera się przy fundowaniu, Dane nie musi przyznawać się do swego majątku. Była noc. Żadnych bab, oczywiście, ale poza tym*

*wszystko. Czy możecie sobie wyobrazić Dane'a w jakimś podrzędnym barze, jak na kolanach deklamuje do wazonu narcyzów: »Piękne narcyzy! Łzami żegnamy was, tak szybko wiedzicie«? Dziesięć minut usiłował we właściwej kolejności wypowiedzieć te słowa, po czym poddał się, wziął narcyza w zęby i zatańczył. Czyż możecie sobie wyobrazić coś takiego? Rain twierdzi, że to jest i potrzebne do przewietrzania umysłów. Ponieważ kobiety nie wchodzi w rachubę, pozostaje alkohol. Tak przynajmniej twierdzi Rain. Nie myślcie, że zdarza się to często, wcale nie, raczej tylko wtedy, gdy Rain namówi ich do tego i jest w pobliżu, by czuwać nad tymi naiwnymi chłopcami. Uśmiełam się na myśl o tym, jak aureola Dane'a musiała się przekrzywić podczas tańca flamenco z narcyzem w zębach.*

Aby otrzymać święcenia, Dane musiał spędzić w Rzymie osiem lat. Na początku nikt nie uświadamiał sobie, że kiedyś to nastąpi, ale te osiem lat przeleciało szybciej, niż to sobie wyobrażali mieszkańcy Droghedy. Nie mieli pojęcia, co zamierza robić po przyjęciu święceń, spodziewali się jednak, że wróci do Australii. Tylko Meggie i Justyna podejrzewały, że zechce zostać we Włoszech. Meggie uśmierzała swój niepokój wspomnieniem, jak bardzo cieszył się, gdy przyjeżdżał na wakacje. Jest przecież Australijczykiem i na pewno będzie pragnął wrócić do domu. Z Justyną było inaczej. Ona nie mogła zamieszkać w Australii na stałe, jako aktorka nie miałaby szansy na zrobienie tu kariery, ale Dane wszędzie z równą gorliwością mógł wypełniać swe powołanie.

Tak więc po ośmiu latach, miast oczekiwać przyjazdu dzieci na wakacje, mieszkańcy Droghedy wybierali się do Rzymu, aby być przy wyświęceniu Dane'a na księdza.

– Powietrze z nas uszło – powiedziała Meggie.

Anne nie dosłyszała. Siedziały w zacisznym kącie werandy i czytały. Meggie, z książką na kolanach, bezmyślnie obserwowała zabawne podskoki dwóch pliszek na trawniku. Tego roku często padały deszcze, wszędzie roiło się od robaków, a ptaki były bardziej najedzone i szczęśliwsze niż kiedykolwiek. Ptasi świergot wypełniał wszystkie godziny dnia, od świtu po zmierzch.

– Powiedziałam, że uszło z nas powietrze – powtórzyła Meggie. – Jak z balona. A tyle żeśmy sobie obiecywali! Kto by pomyślał, że tak będzie, wtedy, w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, gdy zjawiliśmy się w Droghedzie.

– Co masz na myśli?

– Było aż sześciu synów i ja. A w rok później jeszcze dwóch synów. Czego byś się spodziewała? Tuzina dzieci, z pół setki wnuków, prawda? Popatrz teraz. Hal i Stu nie żyją, żaden z pozostałych nie zamierza się ożenić i tylko ja, w dodatku nie mogąc przekazać nazwiska, daję Droghedzie spadkobierców. Ale i dla mnie los nie jest łaskawy. Mam syna i córkę, mogłoby być kilkoro wnucząt. Ale nie! Mój syn będzie księdzem, a córką starą panną, która robi karierę. To koniec Droghedy.

– Nic w tym dziwnego – stwierdziła Anne. – Czegóż to się spodziewać po mężczyznach? Tkwią tu, nieśmiali jak kangury. Gdzie mieli poznać te dziewczyny, kandydatki na żony? A Jims i Patsy przeżyli jeszcze wojnę. Jims nie ożeni się wiedząc, że Patsy nie może. Są zbyt sobie bliscy. Poza tym ziemia wysysa z nich wszystko, co mają, a nie mają wiele, w psychicznym sensie. Nie zastanawiałaś się nigdy nad tym, Meggie? W waszej rodzinie nikt nie grzeszy nadmiernym temperamentem, dotyczy to także Dane'a i Justyny.

Są ludzie, którzy potrzebują seksu, ale nie wy.

Chociaż może Justyna wyjdzie za mąż. Ma tego Rainera. Zdaje się, że jest do niego przywiązana.

– Trafiłaś w sedno – powiedziała Meggie pogrążona w czarnych myślach. – Jest do niego przywiązana. Tylko tyle. Przecież zna go już całe siedem lat. Gdyby chciała wyjść za niego, zrobiłaby to już dawno.

– Tak sądzisz? Znam Justynę dość dobrze – odpowiedziała Anne. Rzeczywiście, znała

Justynę lepiej niż ktokolwiek w Droghedzie, nie wyłączając Meggie i Fee. – Wydaje mi się, że boi się tego szczególnego rodzaju miłości wymaganego w małżeństwie. Muszę przyznać, że podziwiam Rainera. Zdaje się, że rozumie ją doskonale. Och, nie wiem, czy się w niej kocha, ale jeśli tak, to ma tyle rozsądku, by poczekać, aż ona sama będzie gotowa do tego kroku. – Pochyliła się do przodu. – Słyszysz ten śpiew ptaka? Nawet słowik mu nie dorówna. – I wtedy zapytała o coś, o co chciała zapytać już dawno. – Meggie, dlaczego nie chcesz jechać na wyświęcenie Dane'a?

– Nie pojedę do Rzymu! – wycedziła Meggie przez zaciśnięte zęby. – Już nigdy nie wyjadę z Droghedy.

– Meggie, przestań! Nie możesz zrobić mi takiego zawodu. Jedź, proszę! Jeśli nie pojedziesz, nie będzie tam żadnej kobiety z Droghedy, tylko ty bowiem jesteś na tyle młoda, by znieść trudy podróży. Powiem ci jedno, gdybym przez sekundę sądziła, że przeżyję tę podróż, już bym była w samolocie.

– Pojechać do Rzymu i patrzeć, jak Ralph de Bricassart się cieszy! Wolałabym umrzeć!

– Oj, Meggie, Meggie! Czemu wyładowujesz swoje niezadowolenie na swoim synu? Sama kiedyś przyznałaś, że to wszystko twoja wina. Zapomnij więc o dumie i jedź do Rzymu. Proszę cię!

– Nie chodzi o dumę – wzdrygnęła się. – Anne, boję się! Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie mogę! Dreszcze mnie przechodzą na samą myśl.

– A jeśli nie wróci do domu, jak zostanie księdzem? Nie przyszło ci to do głowy? Nie będzie już miał wakacji takich jak w seminarium. Jeśli zostanie w Rzymie, to i tak będziesz musiała tam pojechać, żeby w ogóle go zobaczyć. Jedź do Rzymu, Meggie!

– Nie mogę. Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo się boję! To nie duma i nie zwycięstwo Ralpha nade mną, to nie to. Bóg jeden wie, tęsknię do obu tak, że na kolanach bym poszła, gdybym wiedziała, iż chcą mnie widzieć. Och, Dane z pewnością ucieszyłby się, ale Ralph? Ralph zapomniał, że w ogóle istnieje. Boję się! Czuję, że gdybym pojechała do Rzymu, coś by się stało, więc nie pojedę.

– A cóż mogłoby się stać, na rany boskie?

– Nie wiem... Gdybym wiedziała, walczyłabym z tym. To tylko przeczucie. Jak walczyć z przeczuciem? To ostrzeżenie. Jakby bogowie zbierali się nad nami.

– Naprawdę, Meggie, robi się z ciebie stara wiedźma. Przestań!

– Nie mogę, nie mogę. Jestem starą wiedźmą.

– Bzdura, jesteś zaledwie w średnim wieku, moja droga. Wystarczająco młoda, by wsiąść do samolotu.

– Daj mi spokój! – powiedziała Meggie szorstko i zabrała się znów do czytania.

Od czasu do czasu w Rzymie zjawia się grupa ludzi, która ma określony cel. Nie są to turyści, którzy smakują minioną świetność w zachowanych ruinach, nie są to też podróżni, dla których Rzym jest przystankiem na trasie między dwoma punktami na mapie. Są to ludzie, których łączy jedno uczucie: uczucie dumy, ponieważ ich syn, bratanek, krewniak, przyjaciel przyjmuje święcenia kapłańskie w wielkiej bazylice, która jest najbardziej czczonym kościołem na świecie. Członkowie tej grupy mieszkają w skromnych pensjonatach i luksusowych hotelach, domach przyjaciół i krewnych. Stanowią jednak całość, są w zgodzie ze sobą i ze światem. Odwiedzają zabytki zgodnie z utartym rytuałem – zaczynają od Muzeum Watykańskiego, na którego końcu znajduje się Kaplica Sykstyńska, następnie Forum Romanum, Koloseum, Via Appia, Schody Hiszpańskie, Fontanna Trevi, światło, dźwięk. Wypełniają czas czekając na wielki dzień.

Tym razem kto inny wyszedł po Justynę na dworzec. Dane,, który zawsze oczekiwał na nią, przebywał teraz w odosobnieniu. Po brudnym chodniku kroczył Rainer Moerling Hartheim. Nie pocałował jej na powitanie, nigdy tego nie robił. Po prostu objął ją ramieniem i

uściskał.

– Jak niedźwiedź – powiedziała Justyna.

– Niedźwiedź?

– Kiedy pierwszy raz cię spotkałam, wydawałeś mi się małpoludem, ale teraz wydaje mi się, że jesteś bardziej niedźwiedziem niż gorylem. To porównanie z gorylem nie było pochlebne.

– A z niedźwiedziem jest pochlebne?

– Niedźwiedzie równie szybko wykańczają człowieka, ale są sympatyczniejsze. – Wzięła go pod ramię i wyrównała krok, co przyszło jej z łatwością, gdyż byli prawie równego wzrostu. – Jak tam Dane? Widziałeś się z nim, zanim udał się na odosobnienie?

– Dane jest zawsze taki sam.

– Nie sprowadzałeś go na manowce?

– Ja? Oczywiście, że nie. Ładnie wyglądasz, kochanie.

– Staram się. Wykupiłam w Londynie wszystkie salony mody. Podoba ci się moja spódniczka? Nazywa się mini.

– Idź przede mną, to ci powiem.

Jedwabna spódniczka sięgała do połowy uda. Justyna okręciła się i zawróciła. – Co o tym sądzisz, Rain? Czy jest skandaliczna? Zauważyłam, że w Paryżu jeszcze nie noszą tej długości.

– Każdy, kto cię zobaczy, powie, że przy takich nogach skandalem byłoby nosić cokolwiek dłuższego. Jestem pewny, że Rzymianie zgodzą się ze mną.

– To znaczy, że tyłek będę miała siny w ciągu godziny zamiast w ciągu dnia! A niech ich! Wiesz co, Rain?

– Co takiego?

– Jeszcze nigdy nie uszczypnął mnie ksiądz. Przez te wszystkie lata tyle razy wchodziłam i wychodziłam z Watykanu, ale to się nie zdarzyło. Pomyślałam więc, że jeśli włożę mini, to jeszcze zdążę stać się przyczyną upadku jakiegoś biednego prałata.

– Może staniesz się przyczyną mojego upadku?

– Naprawdę? W pomarańczowym kolorze? Myślałam, że nie znosisz tego koloru w połączeniu z moimi rudymi włosami.

To taki drażniący kolor, rozpala ciało.

– Nabijasz się ze mnie – stwierdziła szorstko wsiadając do mercedesa, na którym powiewał teraz proporczyk niemiecki przyczepiony do znaczka na masce. – Kiedy załatwiłeś sobie ten proporczyk?

– Kiedy dostałem nowe stanowisko w rządzie.

– Nic dziwnego, że znalazłam cię w „Wiadomościach ze Świata”. Widziałeś?

– Wiesz przecież, Justyno, że nie czytam szmatławców.

– Ja też nie, ktoś mi pokazał – powiedziała, po czym zmienionym głosem, z afektacją i z okropnie porządnym akcentem zacytowała: „Jakaż to budząca nadzieje australijska gwiazda o ognistej czuprynie umacnia serdeczne związki z członkiem gabinetu zachodniemieckiego?”

– Skąd mogą wiedzieć? – powiedział spokojnie, sadowiąc się wygodnie i wyciągając nogi.

Justyna z aprobatą zlustrowała jego strój: był niedbały we włoskim stylu. On też uległ modzie – odważył się włożyć siatkową koszulę, jakie nosili Włosi, by demonstrować owłosione torsy.

– Nie powinieneś nosić garniturów i krawatów – powiedziała nagle.

– Nie? Dlaczego?

– Macho to twój styl. Złoty medal na złotym łańcuchu na owłosionym torsie. W garniturze wyglądasz, jakbyś miał brzuszek, a przecież go nie masz.

Zdziwiony, przyglądał się przez chwilę, po czym jego oczy stały się czujne.

– To coś nowego – powiedział.

– Co?

– W ciągu tych siedmiu lat naszej znajomości nigdy dotąd nie mówiłaś o moim wyglądzie, chyba żeby go wyśmiać.

– O rany, nie mów! – Wyglądała na nieco zawstydzoną. – Mój Boże, dość często myślę o twoim wyglądzie i nigdy źle. – Z jakiegoś powodu pośpiesznie dodała: – To znaczy, o takich rzeczach jak twój garnitur.

Nie odpowiedział, ale uśmiechał się do swoich przyjemnych myśli. Było to jedyne spokojne popołudnie w ciągu najbliższych kilku dni. Wkrótce po jej wizycie u kardynałów de Bricassart i di Contini-Verchese limuzyna wynajęta przez Rainera dostarczyła do hotelu kontyngent z Droghedy. Justyna obserwowała reakcję Rainera na jej liczną rodzinę – złożoną wyłącznie z wujów. Do ostatniej chwili była przekonana, że mama przyjedzie do Rzymu. To, że nie przyjechała, było okrutną niespodzianką. Trudno było jej zdecydować, czy bolała nad tym bardziej z powodu Dane'a, czy siebie samej. Tymczasem musiała zająć się wujami: tu, w Rzymie, była gospodynią.

Jakże byli nieśmiali! I tacy do siebie podobni! Wyglądali jak australijscy hodowcy na wakacjach. Wszyscy ubrani tak, jak ubierają się zamożni farmerzy wybierający się do miasta. mieli na sobie brązowe buty do jazdy konnej, spodnie w piaskowym kolorze, sportowe brązowe kurtki z puszystej wełny z rozcięciami po bokach i licznymi skórzanymi łatami, białe koszule, dziergane wełniane krawaty i szare kapelusze z szerokim rondem. W Sydney podczas Królewskich Targów Wielkanocnych wyglądaliby normalnie, w Rzymie jednak zwracali uwagę.

I całkiem szczerze mogła dziękować Bogu za obecność Raina! Jak on znakomicie dawał sobie z nimi radę. Nie uwierzyłyby, że istnieje na świecie człowiek, który potrafi wciągnąć Patsy'ego do rozmowy, ale jemu to się udało. Niech Bóg go błogosławi! Rozruszał ich. No i gdzie zdobył dla nich australijskie piwo? Lubi ich i chyba jest zainteresowany tym, co mówią. Zapewne takie znajomości mogą się przydać niemieckiemu politykowi. Jesteś zagadką, Rainerze Moerlingu Hartheimie. Przyjaciel papieży i kardynałów – a jednocześnie przyjaciel Justyny O'Neill. Gdybyś nie był taki brzydki, pocałowałabym cię, taka jestem wdzięczna.

Siedział właśnie wygodnie oparty w fotelu i słuchał opowieści Boba o strzyżeniu owiec. Tak doskonale zadbał o wszystko, że Justyna nie miała nic do roboty, więc przyglądała mu się z zaciekawieniem. Na ogół od razu umiała dostrzec i ocenić wygląd fizyczny, czasami jednak jej spostrzegawczość zawodziła i wtedy człowiek mógł wkraść się w jej życie, zanim zdążyła dokonać pierwszego istotnego oszacowania. A jeśli nie nastąpiło to zaraz na początku znajomości, mogły minąć lata, zanim znów spojrzała nań jak na nieznanego. To właśnie zdarzyło się teraz. Justyna patrzyła na Raina. Wszystkiemu było winne tamto pierwsze wrażenie. Była tak przerażona spotkaniem z dostojnikami Kościoła, że starała się to ukryć pod maską pewności siebie. Ujrzała więc tylko to, co rzucało się w oczy: potężną sylwetkę, włosy, śniadą karnację. A potem, gdy zaprosił ją na kolację, było już za późno, tak bowiem zdominował ją swoją osobowością, że zapomniała mu się przyjrzeć. Była zbyt zainteresowana tym, co mówiły jego usta, by wracać uwagę na nie same.

Teraz stwierdziła, że wcale nie jest brzydki. Jego wygląd stanowił zapewne odzwierciedlenie jego wnętrza, pomieszanie dobra i zła. Przypominał rzymskiego cesarza. Nie dziwiła się już, że kocha to miasto, było ono jego duchowym domem. Miał szeroką twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i małym orlim nosem. Grube czarne brwi jak krechy przecinały czoło. Czarne i długie rzęsy jak u kobiety, czarne oczy i wyraźnie wykrojone usta.

Obudziła się z zamyślenia, stwierdzając, że przygląda się jej uważnie. Poczuli się jak rozebrana do naga przed tłumem, który chce ją ukamieniować. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Jego spojrzenie było otwarte i czujne, a potem spokojne, gdy znowu zadał Bobowi

pytanie na temat owiec. Justyna dała sobie w duchu kopniaka i postanowiła nie wyobrażać sobie Bóg wie czego, ale mimo wszystko z zainteresowaniem pomyślała, że ten wieloletni przyjaciel mógłby zostać jej kochankiem. Ta myśl nie budziła obrzydzenia.

Po Arturze miała jeszcze kilku mężczyzn i już nie chciało jej się śmiać w czasie katu. Przeszłam daleką drogę od tamtej pamiętnej nocy – pomyślała. – Ale czy rzeczywiście poczyniłam postępy? Miło było mieć faceta i do diabła z tym, co mówił Dane, że ma to być ten jeden jedyny mężczyzna w życiu. Nie miała zamiaru ograniczać się do jednego, więc nie prześpi się z Rainem. Zmieniłoby to zbyt wiele w ich stosunkach. Straciłaby przyjaciela, a ona potrzebowała przede wszystkim przyjaciela. Nie mogła sobie pozwolić na taką stratę. Zatrzymam go tak, jak zatrzymałam Dane'a – pomyślała. – Mężczyznę, który dla mnie nie jest mężczyzną.

Kościół mógłby pomieścić ze dwadzieścia tysięcy ludzi, toteż nie było w nim tłoku. Nigdzie na świecie nie włożono tyle czasu, ludzkiej myśli i geniuszu w stworzenie świątyni Boga. W porównaniu z tą bladły wszystkie pogańskie dzieła starożytności. Tyle włożono w nią miłości, tyle potu. Bazylikę zbudował Barmante, kopułę Michał Anioł, kolumnadę Bernini. Był to pomnik nie tylko ku czci Boga, lecz także ku czci człowieka. W niewielkim kamiennym grobowcu, głęboko poniżej konfesjonału, był pochowany sam Święty Piotr. Tutaj koronowano cesarza Karola Wielkiego. Echa przebrzmiałych głosów zdawały się szeptać między smugami światła, zmarłe palce polerowały brązowe promienie za głównym ołtarzem i pieściły kręcone brązowe kolumny baldachimu.

Leżał na kamiennych stopniach twarzą ku ziemi, jak martwy. O czym myślał? Czy czuł ból z powodu nieobecności matki? Kardynał Ralph widział jego łzy i wiedział, że nie są to łzy bólu. Wszystko w jego istocie skupiło się na tym cudzie. Nie było w nim miejsca na nic, co nie dotyczyło Boga. To był jego największy dzień i najważniejsze dlań było zaprzysiężenie duszy i życia Bogu. Kardynał Ralph wciąż jeszcze pamiętał własne wyświęcenie jako chwilę pełną świętej cudowności. Starał się każdą cząstkę swej duszy oddać Bogu, ale jednak nie do końca mu się to udało.

Moje wyświęcenie nie było tak podniosłe, teraz przeżywam je powtórnie razem z nim. I zastanawiam się, kim on jest, że pomimo naszych obaw udało mu się przeżyć te wszystkie lata nie doświadczając niczyjej niechęci ani wrogości. Kochają go wszyscy i on kocha wszystkich. Ani przez chwilę nie sądzi, iż ten stan rzeczy jest niezwykły. A jednak, gdy przybył do nas po raz pierwszy, nie był taki pewny siebie. Zdobył to u nas i może dzięki temu nasze istnienie jest usprawiedliwione. Wielu kapłanów zostało tutaj wyświęconych, lecz w jego przypadku jest coś szczególnego. Och, Meggie! Dlaczego nie chciałaś zobaczyć, jak wspaniały dar złożyłaś Bogu, dar, którego ja dać nie mogłem, sam się bowiem Mu oddałem? Przypuszczam, że dlatego on może być tu dziś i nie czuć bólu. Dziś ja go uwolniłem od bólu, biorąc ten ból na siebie. Płacę jego łzami, cierpię za niego. I tak powinno być.

W trakcie ceremonii odwrócił głowę i spojrzał na ludzi z Droghedy: Bob, Jack, Hughie, Jims i Patsy. Puste miejsce Meggie, dalej Frank, Justyna w czarnej koronkowej chustce na głowie, obok niej Rainer. A dalej wielu ludzi, których nie znał, ale którzy przeżywali ten dzień razem z rodziną z Droghedy. Dla niego był to dzień szczególny, jakby dziś i on miał syna, którego ofiarował Bogu.

Może dlatego, że na uroczystości brakowało matki, Dane wyszukał Justynę wśród gości na przyjęciu wydanym na jego cześć przez kardynała Vittorio i kardynała Ralpha. W czarnej sutannie z wysoką białą koloratką wyglądał wspaniale, choć nie jak ksiądz, raczej jak aktor grający księdza. Ale w jego oczach widać było wewnętrzne światło, które czyniło z przystojnego mężczyzny kogoś niepowtarzalnego.

– Ksiądz O'Neill – powiedziała.

– Jeszcze się nie przyzwyczailem, Justyno.

– Nietrudno to zrozumieć. Jeszcze nigdy nie czułam się tak jak dziś, więc nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co ty czułeś.

– Myślę, że wewnątrz duszy potrafisz. Gdybyś rzeczywiście nie umiała, nie byłabyś tak dobrą aktorką. U ciebie to przychodzi z podświadomości, nie wybucha w myśli, dopóki nie jest potrzebne.

Usiedli na małej kanapce w rogu pokoju i nikt i nie przeszkadzał.

Po chwili rzekł:

– Bardzo się cieszę, że Frank przyjechał. – Popatrzył w stronę, gdzie Frank rozmawiał z Rainerem z takim ożywieniem, jakiego dotąd u niego nie widzieli. – Znam starego rumuńskiego księdza, który z serdecznym współczuciem mówi: „Och, ty biedaku!” Nie wiem, jakoś zawsze tak właśnie myślę o Franku. Dlaczego?

– Wściekłą jestem na mamę! – zasyczała przez zęby, zmieniając temat. Jak mogła zrobić ci coś takiego?

– Justyno, rozumiem ją. Ty też postaraj się ją zrozumieć. Gdyby zrobiła to złośliwie lub z jakichś niskich pobudek, mógłbym czuć się dotknięty, ale oboje znamy ją i wiemy, że to nie dlatego. Pojadę wkrótce do Droghedy, porozmawiam z nią i dowiem się, dlaczego.

– Zdaje się, że córki nigdy nie są tak wyrozumiałe dla swoich matek jak synowie. – Ściągnęła w dół kąciaki ust i wzruszyła ramionami. – Może to i dobrze, że nie mam nikogo. Nie będę miała dzieci i nigdy nikomu nie będę się narzucać.

Justyna spojrzała w błękitne oczy brata, które patrzyły na nią z takim ciepłem i czułością. Poczowała wzbierający gniew, bo zdawało się jej, że Dane lituje się nad nią.

– Czemu nie wyjdiesz za Rainera? – spytał nagle.

Otworzyła usta ze zdumienia.

– Bo mnie o to nie poprosił – odpowiedziała bez przekonania.

– Bo sądzi, że mu odmówisz. Mógłbym z nim porozmawiać.

Chwyciła go za ucho, tak jak wtedy, gdy byli dziećmi. – Nie zrobisz tego! Ani słowa, słyszysz? Nie kocham Rainera! Jest moim przyjacielem i taki układ mi odpowiada. Spróbuj w tej intencji chociażby świeczkę zapalić, a obiecuję, że zrobię zeza i rzucę na ciebie okropne przekleństwo. Pamiętasz, jak się tego bałeś?

Ze śmiechem odrzucił głowę do tyłu.

– Nie podzielałoby, moja droga. Teraz moje czary są mocniejsze od twoich. Nie denerwuj się tak, widocznie się myliłem. Zdawało mi się, że ty i Rain...

– Nie, nie i jeszcze raz nie. Po siedmiu latach? Prędzej wieprze zaczną latać. – Przerwała, szukając słów, w końcu popatrzyła na niego niemal zawstydzona. – Dane, cieszę się. Myślę, że mama też by się cieszyła, gdyby zobaczyła cię teraz, w tej chwili... Nie martw się, zmieni zdanie.

Ujął jej trójkątną twarzyczkę w dłonie i uśmiechnął się z taką miłością, że bezwiednie wzięła go za ręce. W głębi jego oczu zobaczyła cień wątpliwości, może nie wątpliwości, raczej niepokoju. Niby wierzył, że mama w końcu zrozumie, ale był tylko człowiekiem, o czym wszyscy prócz niego zdawali się zazwyczaj zapominać.

– Justyno, zrobisz coś dla mnie?

– Wszystko – powiedziała i nie kłamała.

– Mam dwa miesiące, żeby pomyśleć o tym, co chcę zrobić. Będę o tym myślał w Droghedzie po rozmowie z mamą. Najpierw jednak... muszę zebrać odwagę, by pojechać do domu. Więc jeśli możesz, pojedź ze mną na parę tygodni na Peloponez. Będziesz trochę zrzędziła, jaki to ze mnie tchórz, aż będę miał tego dość, wsiądę w samolot i ucieknę od ciebie. Poza tym, siostrzyczko, nie chcę, byś myślała, że nie będzie dla ciebie miejsca w moim życiu. Od czasu do czasu potrzebny ci będzie twój głos sumienia.

– Dane, oczywiście, że pojedę!

– Dobrze – uśmiechnął się szeroko, patrząc na nią figlarnie. – Naprawdę potrzebuję cię,



siostrzyczko. Przypomną mi się dawne czasy. – Splótł ręce za głowę i zadowolony oparł się wygodnie o poręcz. – Dokonałem tego! Czy to nie wspaniałe? A po spotkaniu z mamą będę mógł skoncentrować się całkowicie na naszym Panu.

– Powinieneś pójść do zakonu, Dane.

– Jeszcze mogę to zrobić. Mam przed sobą całe życie, nie muszę się spieszyć.

Justyna wyszła z przyjęcia z Rainerem. Mówiła o planowanym wyjeździe do Grecji, a on wspominał o wyjeździe do swego biura w Bonn.

– Najwyższy czas – powiedziała. – Jak na ministra rządu nie przepracowujesz się zbytnio. W gazetach nazywają cię playboyem zabawiającym się z ognistowłosą australijską aktorką. Ty stary lisie!

Pogroził jej palcem.

– Płacę więcej za moje przyjemności, niż ty sobie wyobrażasz.

– Możemy się przejść, Rain?

– Nie, jeśli nie zdejmiesz butów.

– Nie mogę. Noszenie mini ma swoje złe strony. Minęły już czasy pończoch, które można było zsunąć z łatwością. Teraz wymyślili cienkie rajstopy, a tych publicznie nie da się zdjąć, nie wywołując największego skandalu czasów Lady Godivy. Jeśli nie chcę zniszczyć drogich rajstop, muszę być więźniem moich butów.

– Dzięki tobie wzbogacam moją wiedzę o ubiorze damskim z wierzchu i pod spodem – powiedział żartobliwie.

– Nie żartuj! Założę się, że masz tuzin kochanek i każdą z nich sam rozbierasz.

– Tylko jedną, która, jak każda porządna kobieta, czeka na mnie w negliżu.

– Fascynujące! Jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy o twoim życiu intymnym, powiedz mi, jaka ona jest.

– Tłusta gadatliwa blondyna po czterdziestce.

Stała jak wryta.

– nabierasz mnie – powiedziała powoli. – Nie wyobrażam sobie ciebie z taką kobietą.

– Czemu nie?

– Przecież masz gust.

– Są gusty i guściki, kochanie. Sam nie jestem wcale przystojny, więc w jaki sposób udałoby mi się nakłonić piękną i młodą dziewczynę, by została moją kochanką?

– Udałoby ci się! – wykrzyknęła. – Oczywiście, że by ci się udało!

– Masz na myśli moje pieniądze?

– Nie, nie pieniądze! Drażnisz się ze mną, jak zawsze! Rainerze Moerlingu Hartheimie, dobrze wiesz, że jesteś bardzo atrakcyjny, inaczej nie nosiłbyś złotych medalików i siatkowych koszul. Wygląd to nie wszystko, a zresztą...

– Wzruszasz mnie, kochanie.

– Cały czas mam wrażenie, że usiłuję cię dogonić i nigdy mi się nie udaje. – Uspokoila się i popatrzyła na niego niepewnie. – Nie mówisz chyba serio?

– A jak sądzisz?

– Nie! Nie jesteś zarozumiały, ale dobrze wiesz, jak bardzo jesteś atrakcyjny.

– Nieważne, co robię i czego nie robię, ważne, że ty uważasz mnie za atrakcyjnego.

Miała już powiedzieć, że nawet nie wyobrażała go sobie jako kochanka, ale uznała, że to nie ma sensu. Gdyby pozwolił jej to powiedzieć, może doszedłby do wniosku, że jego czas jeszcze nie nadszedł, ale stało się inaczej, wziął ją w ramiona i zanim udało jej się myśli ubrać w słowa, pocałował. Przez minutę stała umierająca, rozdarta, szamocąca się, nie mogąc znaleźć jakiegokolwiek odpowiedzi. Jego usta były wspaniałe! I włosy, takie gęste, puszyste, z przyjemnością zatopiłaby w nich palce. Wziął jej twarz w dłonie i wyznał z uśmiechem:

– Kocham cię.

Ręce jej uniosły się do jego nadgarstków, ale nie po to, by je ująć łagodnie, lecz wpiła się w nie paznokciami, przecinając skórę aż do krwi.

Justyna schyliła się, by podnieść kopertę, upuściła torebkę i szal, zrzuciła buty i weszła do salonu. Ciężko usiadła na skrzyni i gryząc wargi spojrzała z niewytłumaczalnym żalem na wspaniałą fotografię Dane'a, zrobioną na pamiątkę jego wyświęcenia. Jej bose stopy bezwiednie gładziły zwinięty futrzak ze skór kangurów. Wykrzywiła się z niesmakiem i wstała szybko.

Weszła do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła dzbanek ze śmietanką i puszką kawy. Odkręciła kran, aby nabrać zimnej wody i rozejrzała się zdumiona, jakby nigdy dotąd nie widziała tego pomieszczenia. Zobaczyła tu i ówdzie oderwaną tapetę, spojrzała na filodendron zawieszony w koszyku pod sufitem, na zegar w kształcie czarnego kota, który poruszał ogonem i oczyma, jakby dziwił się wciąż lekkomyślnemu traceniu czasu. „Zapakuj szcztokę do włosów” – przypominał napis na kalendarzu. Na stole leżała podobizna Raina, którą naszkicowała kilka tygodni temu. A obok paczka papierosów. Wzięła jednego i zapaliła. Nastawiła czajnik i przypomniała sobie o liście matki, wciąż jeszcze ściskanym w dłoni. Usiadła przy stole kuchennym i oparła nogi na blacie. Zrzuciła rysunek. Odczep się Rainerze Moerlingu Hartheimie! Mnie na tobie nie zależy, ty wielki, sztywniacki szkopie! Nie potrzebujesz mnie, tak? Ja ciebie też nie!

*Moja droga Justyno – pisała Meggie. – Przypuszczam, że działasz z właściwym sobie impulsywnym pośpiechem, mam więc nadzieję, że otrzymasz mój list na czas. Jeśli coś, co ostatnio napisałam, spowodowało twoją nagłą decyzję, przebac mi. Nie miałam zamiaru sprowokować tak drastycznej reakcji. Po prostu potrzebowałam trochę współczucia, a wciąż zapominam, że pod tą twoją gruboskórnością kryje się osoba bardzo wrażliwa.*

*Oczywiście, że jestem samotna, bardzo samotna, ale tego nie zmieni twój powrót do domu. Gdybyś tylko pomyślała chwilę, zrozumiałabyś to. Co chcesz osiągnąć wracając do domu? Nie masz takiej mocy, by zwrócić mi to, co utraciłam, i nie możesz mi tego odkupić. Zresztą nie jest to jedynie moja strata. Jest to również twoja strata, Nanny i pozostałych. Mam wrażenie, że sądzisz, całkiem niesłusznie, że w jakiś sposób jesteś za to odpowiedzialna. Podejrzewam, że obecny impuls jest aktem skruchy. Dane był dorosłym mężczyzną, a nie bezbronnym niemowlęciem. Ja go puściłam przecież, prawda? Gdybym myślała jak ty, siedziałabym teraz w zakładzie dla umysłowo chorych, oskarżając się o to, że pozwoliłam mu żyć jego własnym życiem. Ale ja tego nie robię. Nikt z nas nie jest Bogiem, a sądzę, że miałam więcej niż ty okazji poznać tę prawdę.*

*Wracając do domu, chcesz mi swoje życie złożyć w ofierze. Nie chcę tego. I nigdy nie chciałam. Odmawiam. Nie należysz do Droghedy, nigdy tu nie pasowałaś. Sama jeszcze nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce. Radzę ci, być w tej chwili usiadła i przemyślała wszystko. Czasami jesteś naprawdę tępa. Rainer to bardzo miły facet, ale nie spotkałam jeszcze mężczyzny, który byłby takim altruistą, za jakiego ty go uważasz. Ze względu na Dane'a, Justyno, zejdź wreszcie na ziemię!*

*Moje kochanie! Zgasło światło, zgasło światło dla nas wszystkich. I nic na to nie poradzimy, zrozum to. Nie chcę cię obrażać, udając, że jestem szczęśliwa. Nie jest to stan ludzki. Ale jeśli sądzisz, że my w Droghedzie spędzamy dni na płaczu i żałobie, mylisz się. Jest nam dobrze, a jednym z powodów jest to że nadal jesteś światłem naszego życia. Światłą Dane'a już nie ma. Proszę cię, Justyno kochana, spróbuj pogodzić się z tym.*

*Odwiedź nas w Droghedzie, bardzo byśmy chcieli cię zobaczyć, ale nie przejeżdżaj na stałe. Nie zaznasz szczęścia mieszkając tu. Byłoby to poświęcenie tyleż niepotrzebne, ile bezużyteczne. Nawet rok spędzony z dala od teatru mógłby negatywnie zaważyć na twojej karierze. Zatem zostań tam, gdzie jest twoje miejsce, i dobrze wypełniaj swoje obowiązki w świecie.*

Poczuła się jak w pierwszych dniach po śmierci Dane'a. Był to ten sam rodzaj bólu, jałowego, bólu nie do uniknięcia. Ta sama udręczona niemoc. Oczywiście, nic na to nie mogła poradzić. Nie było sposobu by naprawić cokolwiek. Po prostu nie było.

Czajnik gwizdał. Jak to jest być jedyną córeczką mamusi, jedynaczką? Ale ja nie jestem tym dzieckiem, którego pragnie ta biedna, stara, odchodząca już kobieta. Mamo! Mamo! Nie sądzisz, że gdyby to leżało w granicach ludzkich możliwości, zrobiłabym to? Stare lampy wymienić na nowe, moje życie za niego! To niesprawiedliwe, że właśnie Dane musiał umrzeć... Ona ma rację. Mój powrót do Droghedy nie zmieni faktu, iż on nigdy ta nie powróci. Jest tam co prawda pochowany, lecz już nigdy nie wróci. Zgasło światło, a ja nie umiem go rozniecić od nowa. Rozumiem jednak, co chciała przez to powiedzieć. moje światło pali się nadal w niej, choć nie jestem w Droghedzie.

Fritz otworzył drzwi. Ubrany był nie w granatowy uniform kierowcy, lecz w eleganckie ubranie kamerdynera. Uśmiechnął się, sztywno uklonił i trzasnął obcasami na stary germański sposób.

– Czy jesteś skromnym sługą pana Hartheima, czy może jego stróżem? – zapytała podając płaszcz.

Fritz pozostał niewzruszony.

– Pan Hartheim jest w swoim gabinecie, panno O'Neill.

Siedział przy kominku, lekko pochylony do przodu. Gdy drzwi się otworzyły podniósł głowę, ale nie ucieszył się na jej widok i nic nie powiedział.

Justyna podeszła do niego i położyła czoło na jego kolanach.

– Rain, przepraszam cię za te wszystkie lata i chcę powiedzieć, że nie umiem żyć bez ciebie – wyszeptła.

Nie podniósł jej, lecz ukląkł przy niej na podłodze.

– Cud – powiedział.

– Nigdy nie przestałeś mnie kochać, prawda?

– Nie, kochanie, nigdy.

– Tak cię musiałam zranić.

– Nie tak, jak sądzisz. Wiedziałem, że mnie kochasz, i mogłem sobie pozwolić na czekanie. Zawsze uważałem, że cierpliwość musi być nagrodzona.

– I postanowiłeś, bym sama się o tym przekonała. Wcale się nie martwiłeś, gdy powiedziałam, że wracam do Droghedy?

– O, Nie! Gdyby chodziło o innego mężczyznę, nie martwiłbym się. Lecz Drogheda to przerażający rywal. Tak, martwiłem się.

– Wiedziałeś o moim wyjeździe, zanim ci powiedziałam?

– Clyde poinformował mnie. Zadzwoił do Bonn, by zapytać, czy nie mógłbym jakoś wpłynąć na ciebie. Powiedziałem mu, żeby nie stawiał ci przeszkód, co najmniej przez tydzień lub dwa, a ja zobaczę, co da się zrobić. Nie ze względu na niego, kochanie, ze względu na siebie. Nie jestem altruistą.

– Tak właśnie napisała mama. A ten dom? Miałeś go już miesiąc temu?

– Nie i wcale nie jest mój. Ale jeśli masz zamiar kontynuować swoją karierę, będziemy potrzebowali domu w Londynie. Kupię go. To znaczy, jeśli tylko ci się podoba. Pozwolę ci nawet urządzić go po swojemu, jeśli obiecasz solennie, że nie zrobisz go na różowo i pomarańczowo.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jaki z ciebie tajemniczy gość. Dlaczego nie powiedziałeś po prostu, że mnie kochasz? Tak chciałam, byś to zrobił.

– Miałaś tego dowody i musiałaś sama się o tym przekonać.

– Obawiam się, że jestem chronicznie zaślepiona. Tak naprawdę nie przekonałam się sama, musiał mi ktoś w tym pomóc. Matka w końcu otworzyła mi oczy. Dostałam dziś list od

niej. Zakazała mi wracać do domu.

– Twoja matka jest wspaniałą kobietą.

– Wiem, że się spotkaliście, ale kiedy?

– Jakiś rok temu pojechałem zobaczyć się z nią. Drogheda jest wspaniała, ale nie dla ciebie, Justyno. Staralem się wtedy przekonać o tym twoją matkę. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że dała się przekonać, chociaż przyznaję, nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić.

Dotknęła palcami jego ust.

– Nie wierzę w siebie, Rain. Nigdy nie wierzyłam. I chyba nigdy nie uwierzę.

– mam nadzieję, kochanie, że tak będzie! Dla mnie jesteś jedyna, jedna jedyna. Cały świat wiedział o tym już od lat. Ale słowa miłości niewiele znaczą. Mógłbym ci je powtarzać tysiące razy dziennie, a i tak miałabyś wątpliwości. Zatem nie mówiłem ci, o mojej miłości, żyłem nią. Jak mogłaś wątpić w uczucia twojego najwierniejszego rycerza? – westchnął. – Dobrze, że nie wyszło to ode mnie, może słowa twojej matki będziesz uważać za wystarczające.

– Proszę, nie mów tak. Biedny Rain! Zdaje się, że wypróbowałam nawet twoją cierpliwość. Nie przejmuj się, że to wyszło od mamy. To nie ma znaczenia. Korzę się przed tobą na kolanach!

– Całe szczęście, że potrwa to tylko przez dzisiejszy wieczór – powiedział nieco rozpozgodzony. – Jutro znowu będziesz sobą.

Powoli odprężała się, najgorsze już minęło.

– Najbardziej cię lubię, nie kocham za to, że nigdy nie mogę zapędzić ci w kozi róg. Wciąż mi uciekasz.

– Spójrz na to inaczej. Mieszkanie ze mną pod jednym dachem da ci możliwość spróbowania. – Całował jej brwi, policzki, powieki. – Nie chcę ciebie innej, Justyno. Biorę cię z każdym piegiem i z każdą komórką w twoim mózgu.

Zarzuciła mu ręce na szyję i zagłębiła palce we włosach.

– Och, gdybyś wiedział, jak bardzo pragnęłam zrobić właśnie to! – powiedziała. – Nie umiałam nigdy zapomnieć.

Telegram donosił:

*Właśnie zostałam panią Hartheim Stop Prywatna ceremonia w Watykanie Stop Papieskie błogosławieństwo Stop Nie ma odwrotu Wykrzyknik Przyjedziemy na odłożony miesiąc miodowy jak najszybciej ale dom nasz w Europie Stop Całusy dla wszystkich ode mnie i Raina Stop Kocham was Justyna.*

Meggie odłożyła blankiet na stolik i rozszerzonymi oczyma patrzyła przez okno na bogactwo jesiennych róż w ogrodzie. Dalej – na hibiskusy, skrzypy, eukaliptusy, bugenwillę z wysoko nad ziemią rozłożonymi koronami i na wspaniałe sumaki. Ogród był taki piękny i taki pełen życia. Z małych roślinek wyrastały wielkie, zmieniające się i wędły, i tak trwał ten nie kończący się, nieprzerwany cykl.

Czas, by Drogheda przestała istnieć. Tak, najwyższy czas. Niechże cykl odnowi się z nowymi ludźmi. Nie mogę winy zrzucać na nikogo. Ale nie żałuję ani chwili.

Ptak z cierniem w piersi wypełnia niezmiennie prawo. Coś niezrozumiałego pcha go, by przebił się i zginął śpiewając. W chwili gdy cierni wchodzi w ciało, nie pojmując jeszcze, że to śmierć. Śpiewa i śpiewa, aż zabraknie mu tchu. Lecz my, gdy wbijamy ciernie w nasze piersi, jesteśmy świadomi, a mimo wszystko robimy to. Mimo wszystko.

Cofnęła się o dwa kroki, ocierając usta dłonią, z oczyma rozszerzonymi strachem.

– To ci się nie uda – wykrztusiła. – Nigdy ci się nie uda, Rain!

Zdjęła buty, chwyciła je w ręce i uciekła. Odgłos jej biegnących stóp szybko ucichł.

Nie miał zamiaru jej gonić, choć obawiała się tego. Nadgarstki krwawiły i bolały.

Przycisnął chustkę najpierw do jednej ręki, potem do drugiej wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i ruszył powoli przed siebie. Nikt z przechodniów nie odgadłby z jego twarzy, co czuje w tej chwili. Wszystko, czego pragnął, miał dziś w zasięgu rąk, sięgnął po to i stracił. Idiotka! Kiedy ona wreszcie dorośnie?

Na szczęście był hazardzistą, który nie tylko umie wygrywać, ale i przegrywać. Czekał siedm długich lat i kiedy poczuł w niej zmianę z powodu wyświęcenia Dane'a, spróbował szczęścia. A jednak zrobił to za wcześnie. No cóż. Zawsze jest jakieś jutro. Nie miał zamiaru rezygnować. Jeśli będzie ją miał na oku, kiedyś wreszcie uśmiechnie się do niego los.

Zaśmiał się swoim bezgłośnym śmiechem. Tłusta gadatliwa blondyna po czterdziestce! Nie wiedział, czemu użył tego określenia w stosunku do swojej byłej żony. Biedna Annelise! Była ciemnowłosa, chuda i dobrze po czterdziestce, ale trzymała się świetnie, choć wszyscy uważali ją za męczennicę. I co ja teraz myślę o Annelise! Moja cierpliwa wieloletnia kampania została zniweczona, a ja myślę o biednej Annelise! Ale panno Justyno O'Neill, jeszcze zobaczymy!

Okna pałacu były oświetlone. Pomyślał, że wejdzie na parę minut, by porozmawiać z kardynałem Ralphem, który źle dziś wyglądał. Może jest chory? Może należałoby go przekonać, by poszedł do lekarza? Rainer cierpiał, ale nie z powodu Justyny. Ona była młoda i miała czas. Cierpiał za kardynała Ralpha, który nic o tym nie wiedząc, patrzył dziś na własnego syna otrzymującego święcenia kapłańskie.

Było jeszcze dość wcześnie i w hotelowym holu kręciło się sporo ludzi. Justyna szybko przeszła do schodów i z pochyloną głową wbiegła na górę. Dłuższą chwilę szukała w torebce klucza do pokoju i już myślała, że będzie zmuszona zejść do recepcji, ale na szczęście znalazła go i weszła do pokoju po omacku. Usiadła na brzegu łóżka i dopiero wtedy pozwoliła myślom popłynąć spokojnie. Patrzyła posępnie na szeroki prostokąt bladego nocnego nieba za oknem i wmawiała sobie, że czuje odrazę, oburzenie, rozczarowanie. Bliska płaczu, wiedziała, że już nigdy nie będzie tak jak przedtem i w tym tkwiła cała jej rozpacz. Straciła najlepszego przyjaciela. Została zdradzona.

To były tylko puste słowa, nieprawdziwe. Nagle zrozumiała, co ją tak bardzo przestraszyło, że uciekła od Raina, jakby usiłował ją zamordować, a nie pocałować. W gruncie rzeczy sama tego pragnęła. pragnęła odnalezienia domu, choć niby wcale nie chciała go odnaleźć, tak jak nie życzyła sobie zobowiązań wynikających z miłości. Dom i miłość niosły niepokój. Zresztą nie była pewna, czy umiałyby kochać. Gdyby stać ją było na miłość, to przecież czasem poczułaby jakieś głębsze uczucie dla kóregoś z nielicznych kochanków. Nie przyszło jej do głowy, że z premedytacją dobierała sobie takich kochanków, by nigdy nie zagroził jej obojętności, którą sama sobie narzuciła i w którą tak wrosła, iż przyjmowała jako całkowicie naturalną. Po raz pierwszy w życiu nie miała żadnego punktu oparcia. Nigdy dotąd nie przeżyła niczego, co by ją mogło teraz pocieszyć. I mieszkańcy Droghedy też nie mogli jej pomóc, zawsze bowiem trzymała się od nich z daleka.

Musiała uciekać od Raina. Powiedzieć „tak”, oddać mu się i patrzeć, jak się oddała, gdy ją lepiej pozna? Nie zniosłaby odtrącenia, woli sama odtrącić, wtedy duma nie zostanie zraniona. Rain kochał się w tej Justynie, którą widział. Nie pozwoliła mu nawet domyślić się tego oceanu wątpliwości miotających nią. Nigdy nie powinien dowiedzieć się, jaką jest naprawdę pod tą maską impertynencji.

Pochyliła się i przyłożyła czoło do chłodnego blatu stolika przy łóżku, łzy spływały jej po twarzy. Właśnie dlatego tak kochała Dane'a. On zdawał sobie sprawę, jaka jest naprawdę i kochał ją mimo to. Pomagały tu więzy krwi, jak również całe życie – wspólne wspomnienia, kłopoty, cierpienia, radości. Ale Rain był obcy, nie był do niej przywiązany tak jak Dane czy reszta jej rodziny. Nic nie zobowiązywało go do kochania jej.

Pociągnęła nosem, przetarła twarz dłonią, wzruszyła ramionami i zajęła się trudną sztuką

zapominania o swoich kłopotach. Wiedziała, że potrafi to zrobić, całe życie bowiem doskonaliła tę technikę. Po prostu musi być wciąż zajęta, nie powinna mieć czasu na rozpamiętywanie. Zapaliła lampę przy łóżku. Na stoliku leżał bladobłękitny list lotniczy z portretem królowej Elżbiety na znaczku w górnym prawym rogu.

*Kochana Justyno! – pisał Clyde Daltinham-Roberts. – Jesteś mi potrzebna, przyjeżdżaj natychmiast! Coś i mówi, że to rola, na którą czekałaś. Desdemona, kochanie, co ty na to? Z Markiem Simpsonem w roli Otella. Jeśli jesteś zainteresowana, próby zaczynają się w przyszłym tygodniu.*

Czy była zainteresowana?! Desdemona! Desdemona w Londynie! Z Markiem Simpsonem w roli Otella! To była okazja nie do pogardzenia. Jej samopoczucie poprawiło się błyskawicznie do tego stopnia, że scena z Rainem straciła znaczenie, a raczej nabrała całkiem innego wymiaru. Być może, jeśli będzie postępowała bardzo, bardzo ostrożnie, zachowa miłość Raina. Warto spróbować. Gdy zauważy, że zanadto zbliża się do prawdy o niej, może się znów wycofać. Żeby zatrzymać Raina, szczególnie tego nowego Raina, gotowa była zrobić wszystko – z wyjątkiem zdjęcia maski.

Trzeba jakoś uczcić taką wiadomość! Nie czuła się na siłach znów zobaczyć Raina, ale w pobliżu znajdowali się przecież ludzie, z którymi może się podzielić sukcesem. Włożyła buty, poszła korytarzem do wspólnego salonu wujów i kiedy Patsy otworzył, stanęła z otwartymi ramionami, promieniejąc radością.

– Trzeba to oblać, będę grała Desdemonę! – oznajmiła dźwięcznym głosem.

Przez chwilę zapanowało milczenie, potem Bob powiedział ciepło:

– To miło, Justyno.

Nie zgasiło to jej radości, wręcz przeciwnie, radość przybrała niekontrolowane rozmiary. Śmiejąc się padła na krzesło i patrzyła się na wujów. Naprawdę byli wspaniałymi ludźmi! Oczywiście, im ta wiadomość nic nie mówi! Nie mieli zielonego pojęcia, kim była Desdemona. Gdyby przyszła i powiedziała, że wychodzi za mąż, odpowiedź Boba byłaby taka sama.

Odkąd pamiętała, byli częścią jej życia. I tak jak wszystko w Droghedzie, ich też traktowała pogardliwie. Wujowie nie mieli nic wspólnego z Justyną, po prostu byli elementem jej rzeczywistości, zjawiali się w rezydencji i znikali, nieśmiało uśmiechali się do niej i unikali, jeśli próbowała nawiązać rozmowę. Nie chodziło o to, że jej nie lubili, po prostu wyczuwali jej inność i to ich wprawiało w zakłopotanie. Dopiero tutaj, w Rzymie, w świecie im obcym, a jej znajomym, zaczęła ich rozumieć lepiej.

Czując w sobie ciepłe uczucie, które można by nazwać miłością, Justyna przenosiła wzrok z jednej uśmiechniętej pomarszczonej twarzy na drugą. Bob był siłą napędową tej grupy, szefem Droghedy, ale nie narzucał się z tym. Jack zawsze trzymał się blisko niego, widocznie dobrze im było ze sobą. Hughie był z nich najweselszy, ale w gruncie rzeczy taki sam jak oni. Jims i Patsy – dwa bieguny jednej całości. Wreszcie biedny Frank, jedyny, którego prześladował strach i niepewność. Wszyscy byli szpakowaci, a Bob i Frank zupełnie siwi, lecz tak naprawdę niewiele różnili się od obrazu z dzieciństwa, jaki zachowała w pamięci.

– Nie wiem, czy powinienem poczęstować cię piwem – powiedział Bob pełen wątpliwości trzymając w ręku schłodzoną butelkę piwa.

Jeszcze przed paroma godzinami taka wątpliwość zdenerwowałaby ją niepomiernie, lecz teraz była byt szczęśliwa, by się obrażać.

– Mój drogi, wiem, że nie przyszło ci do głowy poczęstować mnie podczas naszych rozmów z Rainem, ale naprawdę jestem już dużą dziewczynką i nie upiję się jednym piwem. Przysięgam, że to nie grzech.

– Gdzie jest Rainer? – spytał Patsy biorąc pełną szklankę od Boba i podając Justynie.

– Pokłóciłam się z nim.

– Z Rainerem?

– No tak, ale to była moja wina. Zobaczą się z nim później i przeproszę.

Żaden z wujów nie palił. Podczas ich wspólnych spotkań z Rainem nigdy nie prosiła o piwo, lecz demonstracyjnie paliła. Teraz jednak zabrakło jej odwagi, by wyciągnąć papierosa. Miała ochotę wypić piwo jednym haustem, ale czuła na sobie ich zaniepokojony wzrok. Piła więc drobnymi łyżkami, jak przystało na damę.

– Rain to dobry człowiek – powiedział Hughie, a oczy mu błyszczały.

Justyna nagle zrozumiała, czemu patrzyli na nią z takim szacunkiem. Oto związała się z mężczyzną, którego chcieliby mieć w rodzinie.

– Tak, raczej tak – powiedziała zdawkowo i zmieniła temat. – To był piękny dzień, prawda?

Przytaknęli wszyscy, nawet Frank, choć nie wyglądało na to, by o tym chcieli mówić. Zauważyła, jak bardzo są zmęczeni, ale nie żałowała, że przyszła. Budziły się w niej uczucia, którymi musiała się z kimś podzielić.

– Kim jest Desdemona? – spytał Frank.

Justyna rozpoczęła ożywiony opis, rozbawiona ich przerażeniem, gdy się dowiedzieli, że co noc będzie duszona. Dopiero gdy po dobrej półgodzinie Patsy ziewnął, przypomniała sobie, że są bardzo zmęczeni.

– Muszę już iść – powiedział, odstawiając pustą szklaneczkę. Nie poczęstowano jej drugim piwem, widać młodym damom musiało wystarczyć jedno. – Dzięki, że chciało wam się słuchać mojej paplaniny.

Ku zdumieniu i zakłopotaniu Boba pocałowała go na dobranoc. Jack usiłował usunąć się z drogi, ale łatwo dał się złapać, tylko Hughie ochocho przyjął pożegnanie. Jims zaczerwienił się i zniósł je w milczeniu. Patsy oprócz pocałunku został jeszcze uściskany. Franka nie pocałowała, bo się uchylił, jednak w chwili gdy położyła ręce na jego ramionach, poczuła coś, czego nie było u pozostałych. Biedny Frank. Czemu jest taki?

Wyszedszy od nich, oparła się na chwilę o ścianę. Rain kochał ją! Kiedy jednak usiłowała zadzwonić do jego pokoju, telefonistka poinformowała, że wyjechał do Bonn.

Nic nie szkodzi. Może nawet lepiej będzie poczekać i zobaczyć go dopiero w Londynie. Pełne skruchy przeprosiny wysłać pocztą wraz z zaproszeniem, aby odwiedził ją, gdy będzie w Anglii. Wielu rzeczy nie wiedziała o Rainie, ale jednego była pewna – przyjedzie z pewnością, nie umiał bowiem nosić w sercu urazy.

– Poczekaj, mój drogi – powiedziała wpatrując się w lustro i widząc w nim jego twarz. – Anglia będzie teraz twoją najważniejszą sprawą międzynarodową, już ja się o to postaram. Ja, Justyna O’Neill.

Pozostało tylko powiedzieć Dane’owi, że nie pojedzie z nim do Grecji, ale tym się nie martwiła. Dane zrozumie, zawsze rozumiał. Jakoś jednak nie miała ochoty wyjawić mu wszystkich powodów, dla których nie może mu towarzyszyć. Kochała brata, ale dość miała jego surowych kazań. On chciał, by wyszła za Raina, toteż gdyby usłyszał o jej planach z nim związanych, zabrałby ją do Grecji, nawet siłą. A Dane nie powinien martwić się sprawami, o których nic nie wiedział.

*Kochany Rain – pisała w liściku. – Przepraszam cię za moje zachowanie tamtej nocy. Nie wiem, co mi się stało. To pewnie z powodu tego dnia pełnego wrażeń. Proszę, przebac, wstyd mi, że ciebie narobiłam tyle zamieszania z powodu drobiazgu. Mam wrażenie, że ciebie też ten dzień zmęczył, i stąd to miłosne wyznanie. Ja ci przebaczam. Bądźmy jak dotąd przyjaciółmi. Nie lubię gniewać się na ciebie. Jak będziesz następnym razem w Londynie, zapraszam cię na kolację u mnie; ustalimy warunki traktatu pokojowego.*

Podpisała się „Justyna”, jak zwykle bez żadnych pozostałych pozdrowień. Rain studiował te niewinne proste zdania, jakby chciał zobaczyć, co naprawdę myślała, gdy je pisała. Z

pewnością była to oferta przyjaźni. Ale może coś jeszcze? Musiał jednak przyznać, że prawdopodobnie niewiele więcej. Przeraził ją bardzo. To, że chciała zachować ich przyjaźń, świadczyło, że bardzo jej na nim zależy. Wątpił jednak szczerze, czy Justyna zdaje sobie sprawę, co czuje do niego. W końcu przecież dowiedziała się, że ją kocha. Gdyby zrozumiała, że go kocha, również napisałaby to w liście. Ale mimo wszystko wróciła do Londynu, nie pojechała do Grecji z Dane'em. Wiedział, że nie może mieć nadziei, iż zrobiła to z jego powodu, ale przyszłość jawiła mu się w bardziej optymistycznych barwach. Zadzwoił na sekretarkę. Była dziesiąta rano, najodpowiedniejsza pora, by zastać Justynę w domu.

– Połącz mnie z londyńskim mieszkaniem panny O'Neill – polecił i czekał ze ściągniętymi brwiami.

– Rain! – zawołała Justyna, wyraźnie ucieszona. – Dostałeś mój list?

– W tej chwili.

Po krótkie pauzie zapytała:

– Przyjedziesz do mnie?

– Będę w Londynie w najbliższy piątek i sobotę. Odpowiada ci?

– Tak. Jeśli można, to w sobotę, w piątek mam próbę Desdemony.

– Desdemony?

– Ach, przecież ty nic nie wiesz! Clyde napisał do mnie do Rzymu i zaproponował mi tę rolę. Marc Simpson gra Otella, a Clyde reżyseruje. Czy to nie wspaniałe? Wróciłam do Londynu pierwszym samolotem.

Przysłonił oczy ręką, zadowolony, że nie było w gabinecie sekretarki.

– Justyno, serdeńko, to naprawdę wspaniała wiadomość! – powiedział z udawanym entuzjazmem. – Zastanawiałem się, co tak szybko sprowadziło cię do Londynu.

– Och, Dane to zrozumiał – powiedziała lekko. – Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy był zadowolony, iż będzie sam. Wymyślił bajeczkę, że potrzebuje mojego zrzeczenia, żeby nabrać odwagi przed spotkaniem z mamą, ale myślę, że zrobił to z innego powodu. Nie chciał, bym czuła się wykluczona z jego życia teraz, gdy został księdzem.

– Prawdopodobnie – zgodził się uprzejmie.

– Do zobaczenia w sobotę wieczorem – powiedziała. – Około szóstej. Przy winie omówimy spokojnie warunki traktatu pokojowego, a jak dojdziemy do zadawalającego kompromisu, dostaniesz kolację, dobrze?

– Tak, oczywiście. Do widzenia, kochanie.

Połączenie zostało gwałtownie przerwane, bo Justyna odłożyła słuchawkę. Siedział jeszcze przez chwilę, po czym wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę na widełki. Zaklął pod nosem. Ta cała sytuacja zaczynała przeszkadzać mu w pracy.

W ciągu następnych kilku dni nie mógł skupić się na pracy, chociaż wątpił, czy ktoś to zauważył. Zjawił się u niej w sobotę, trochę po szóstej, jak zwykle z pustymi rękami, trudno było bowiem kupić jej odpowiedni prezent. Kwiaty nie robiły na niej wrażenia, czekolady nie jadała, a co cenniejszego rzuciłaby w kąt i zapomniała natychmiast. Ceniła jedynie te prezenty, które dostawała od Dane'a.

– Szampan przed kolacją? – spytał patrząc na nią ze zdziwieniem.

– Sądzę, że okazja tego wymaga. Po raz pierwszy posprzeczaaliśmy się i po raz pierwszy urządzamy pojednanie – odpowiedziała pewna swej racji i wskazała mu wygodny fotel. Sama usiadła na płowym futrzaku z kangurów. Rozchylone wargi sprawiały wrażenie, że ma gotową odpowiedź na wszystko, co mógł teraz powiedzieć.

Nie miał jednak ochoty na rozmowę, przynajmniej dopóki nie zorientował się w jej nastroju. Patrzył więc na nią w milczeniu. Do pierwszego pocałunku z łatwością potrafił utrzymać dystans między nimi, teraz jednak musiał przyznać, że w przyszłości będzie u znacznie trudniej.

Prawdopodobnie zawsze będzie w niej coś z podlotka, ominie ją kobieca dojrzałość.



Pozostawała we władzy chłodnego, logicznego umysłu, jednak fascynowała go i wątpił, by kiedykolwiek mógł ją zastąpić inną kobietą. Ani razu nie zadał sobie pytania, czy warta jest tej długiej walki. Z obiektywnego punktu widzenia być może nie, ale czy to miało jakieś znaczenie? Była jego celem, marzeniem.

– Wyglądasz dziś bardzo ładnie – powiedział wreszcie, unosząc w jej kierunku kieliszek: zarazem toast i uznanie przeciwnika.

Niewielki ogień palił się bez osłony w małym wiktoriańskim kominku. Justyna siedziała przy nim skulona, wpatrzona w ogień. Po dłuższej chwili z brzękiem postawiła kieliszek na kominku i pochyliła się naprzód, otaczając kolana ramionami i bosc stopy kryjąc w fałdach czarnej sukienki.

– Nie umiem owijać w bawełnę – powiedziała. Mówiłeś serio?

– Co mówiłem?

– No wiesz, w Rzymie... że mnie kochasz.

– Czy o to ci chodzi, kochanie?

Odwrociła wzrok i wzruszyła ramionami. Spojrzała znów na niego i skinęła głową.

– Oczywiście.

– Ale po co o tym mówić? Powiedziałaś mi, co myślisz, a dzisiaj mieliśmy nie wracać do przeszłości, tylko planować przyszłość.

– Ojej, Rain. Zachowujesz się, jakby robiła z tego jakąś aferę! Nawet jeśli tak było, chyba domyślasz się, dlaczego.

– Nie, nie domyślam się. – Postawił kieliszek i nachylił się, by lepiej ją widzieć. – Dałaś im do zrozumienia dość wyraźnie, że nie chcesz mojej miłości. Miałem nadzieję, że będziesz na tyle delikatna, by tego nie roztrząsać.

Nie przypuszczała, że to spotkanie będzie takie trudne – bez względu na rezultat. Przecież to on znalazł się w pozycji proszącego i powinien pokornie czekać, aż ona zmieni zdanie! Wyglądało na to, że jak niegrzeczna dziewczynka została złapana na jakimś idiotycznym figlu.

– To ty zmieniłeś status quo, nie ja! Nie zaprosiłam cię po to, by błagać o przebaczenie, bo uraziłam wielkie Hartheimowskie ego!

– W defensywie, Justyno?

Zniecierpliwiła się.

– Tak, tak do diabła! Jak ty to robisz, Rain? Tak bym chciała choć raz okazać się lepsza!

– Gdybym ci na to pozwolił, wyrzuciłabyś mnie jak starą brudną ścierkę.

– Mogę to jeszcze zrobić, kochasiu!

– Bzdura! Jeśli dotąd tego nie zrobiłaś, to już nigdy tego nie zrobisz. Nadal będziesz się ze mną widywać, bo nigdy nie wiesz, czego się po mnie spodziewać.

– Czy dlatego powiedziałaś, że mnie kochasz? – zapytała ze smutkiem.

– A jak sądzisz?

– Rain – zgrzytnęła zębami z wściekłości. – Powiedz to jeszcze raz, a plunę ci w twarz!

On też był wściekły.

– Nie, nie powiem! Chyba nie po to mnie tu zaprosiłaś. Wcale nie liczysz się z moimi uczuciami! Zaprosiłaś nie, bo chciałaś poeksperymentować własnymi emocjami i nawet nie pomyślałaś, czy będzie to w porządku wobec mnie.

Zanim zdążyła się odsunąć, chwycił ją za ramiona, przytrzymując ciało kolanami. Jej gniew minął natychmiast. Oparła dłonie na jego udach i uniosła głowę. Ale nie pocałował jej. Puścił ją i zgasił światło. Głowę oparł o fotel. Nie była pewna, czy to z jego strony krok w grze miłosnej, czy też chęć ukrycia wyrazu twarzy. Niepewna, obawiając się jawnego odrzucenia, czekała, aż powie jej, co ma robić. Powinna była wcześniej uświadomić sobie, że takimi ludźmi jak Rain nie można manipulować. Są nie do pokonania. Dlaczego nie umiała położyć głowy na jego kolanach i prosić: „Kochaj mnie, Rain. Tak bardzo potrzebuję ciebie i

tak bardzo jest mi przykro!” Gdyby kochał ją naprawdę, może wyzwoliłby te wszystkie uczucia w niej zamknięte...

Chociaż wciąż jeszcze sprawił wrażenie nieobecnego, pozwolił zdjąć sobie marynarkę i krawat. Kiedy jednak zabrała się do rozpinania guzików jego koszuli, wiedziała już, że nic z tego nie będzie. Nie umiała tym prostym czynnościom nadać erotycznego charakteru. To było takie ważne, a jej zupełnie nie wychodziło. Guzik wymknął się jej z rąk, usta ściągnęły i wybuchnęła płaczem.

– Justyno! Tylko nie płacz! – Wziął ją na kolana, objął, położył głowę na swoim ramieniu.  
– Przepraszam, najmilsza, nie chciałem, żebyś płakała.

– Teraz już wiesz – łkała. – Jestem żalosna. Mówiłam ci, że nic z tego nie będzie! Rain, tak bardzo ciebie pragnęłam, ale wiedziałam, że nic z tego nie będzie, kiedy przekonasz się, jaka jestem okropna!

– Oczywiście, że nie mogło nic z tego wyjść. Nie pomagałem ci wcale, kochanie. – Pociągnął ją za włosy, odsłonił twarz, ucałował powieki, mokre policzki, kąciki ust. – To moja wina, nie twoja. Zemściłem się na tobie. Chciałem zobaczyć, jak daleko się posuniesz bez zachęty z mojej strony. Ale chyba źle pojąłem twoje zamiary, czy tak? – Mówił głosem głębokim, z wyraźniejszym niemieckim akcentem. – A teraz mówię, że jeśli tego chcesz, będziesz miała. Ale zrobimy to razem.

– Proszę cię, Rain. Zapomnijmy o tym! Nie umiem! Tyko cię rozczaruję.

– Kochanie, nie martw się! Wiem, na co cię stać. Nie powinnaś mieć wątpliwości, gdy jesteś ze mną.

Zabrzmiało to tak prawdziwie, że łzy same przestały płynąć.

– Pocałuj mnie tak jak w Rzymie – wyszeptwała.

Lecz nie było tak jak w Rzymie. Tamten pocałunek był zaskoczeniem, wybuchem, ten zaś, rozmarzony i powolny, pozwolił smakować głębię, zapach, smak i zmysłową łagodność. Znowu rozpiniała jego koszulę, a on rozsuwał zamek jej sukni. Potem wziął jej dłoń, wsunął pod koszulę i położył na piersi. Nagła twardość jego usta na jej szyi wywołała nieopanowaną reakcję tak gwałtowną, iż myślała, że zemdleje, myślała, że upadnie i tak rzeczywiście się stało, upadła na dywan, a Rain wyłaniał się nad nią z mroku. Widziała odbłask ognia na jego ramionach i piękne surowe usta. Wplotła palce w jego włosy i zmuszała go, by całował mocniej, mocniej!

Czuła go, poznawała każdą część jego ciała wargami, dłońmi, swoim ciałem. Było to zarazem wspaniałe i dziwne. Świat cały zmniejszył się do wymiarów świata rzucanego przez ogień na kominku, a ona otwierała się na to, czego od niej chciał. Zrozumiała, co przez cały czas ukrywała przed sobą. Zrozumiała, że on w wyobraźni kochał ją tysiące razy. Mówiło jej to doświadczenie i nowo odkryta intuicja. Była całkiem bezbronna. Z innym mężczyzną ta intymność i zdumiewająca zmysłowość przeraziłyby ją, ale przy nim wiedziała, że ma prawo wymagać. I wymagała! Aż wreszcie wykrzyknęła, by kończył, i objęła go ramionami tak mocno, że poczuła kości pod skórą.

Mijały minuty zawinięte w sytą ciszę. Oddychali w tym samym rytmie, wolno i swobodnie, jego głowa oparta na jej ramieniu, jej noga przerzucona przez niego. Stopniowo rozluźniła się, gładziła go po plecach wolnymi, okrężnymi, sennymi ruchami. Westchnął, przewrócił się na wznak, całkiem podświadomie zapraszając ją, by spróbowała inaczej. Położyła rękę na jego biodrze, by czuć gładkość skóry, przesunęła dłoń po rozgrzanych mięśniach, objęła miękką ciężką masę w jego kroczu. Czuła tam dziwne ożywienie i było to dla niej zupełnie nowe doświadczenie. Dotychczas żaden z jej kochanków nie interesował jej na tyle, by chciała przedłużyć przyjemność to tego sennego i niewymagającego epilogu. I nagle ten senny i nie wymagający epilog zmienił się w tak ogromnie ekscytujące przeżycie, że zapragnęła posiadać go od nowa. Mimo wszystko nie była przygotowana, gdy wziął jej głowę w dłonie i przybliżył do swojej twarzy. Zobaczyła, że jego usta są uformowane teraz przed nią

i dla niej. W tym momencie narodziły się w niej czułość i pokora. Musiało to być widoczne w jej twarzy, wpatrywał się bowiem w nią rozjaśnionymi oczyma. Schyliła się, by wargami dotknąć jego ust. Myśli i uczucia nareszcie zlały się w jedno: bezgłośny krzyk, krzyk szczęścia, zatrząsł się nią tak silnie, że zatraciła świadomość wszystkiego. Świat osiągnął swój ostateczny skurcz, zachwiał się i zapadł w nicość.

Rainer zapewne dołożył dREW do kominka, bo gdy rankiem łagodny świt wkradł się przez szpary między zasłonami, w pokoju było jeszcze ciepło. Kiedy znów poruszył się, Justyna z niepokojem chwyciła go za ramię.

– Nie odchodź!

– Nie odchodzę, kochana. – Ściągnął jeszcze jedną poduszkę z kanapy i położył sobie pod głowę, przytuliwszy Justynę. – Dobrze?

– Tak.

– Zimno ci?

– Nie,, ale jeśli tobie zimno, możemy przenieść się do łóżka.

– Po tych wszystkich godzinach kochania się z tobą na futrzanym dywanie?! To byłby upadek! Nawet jeśli masz prześcieradła z czarnego jedwabiu.

– Mam zwyczajne, białe, bawełniane. Ten kawałek Droghedy był przyjemny prawda?

– Kawałek Droghedy?

– No, skóry z kangurów z Droghedy – wyjaśniła.

– Ani egzotyczne, ani erotyczne. Zamówię ci tygrysią skórę z Indii.

– Przypomina mi to pewien angielski wierszyk: „Z Eleonorą na tygryziej skórze zgrzeszysz, jak się uprze. A może wolisz zdobyć ją na innym futrze?” Czy jakoś tak...

– No, serdecznie, uważam, że już najwyższy czas, byś wróciła do własnej formy! Dzięki Erosowi i Morfeuszowi nie byłaś impertynencka przez całe pół nocy.

– W tej chwili nie czuję potrzeby – odpowiedziała, kładąc jego rękę wygodnie między swoimi nogami. – Ten wierszyk tak mi się przypomni... Nie mam już żadnych tajemnic przed tobą, więc nie muszę być impertynencka. – Pociągnęła nosem, zdając sobie nagle sprawę, że w powietrzu czuć zapach ryby.

– O rany, nie dostałeś kolacji, a teraz czas na śniadanie! Przecież nie możemy żyć samą miłością!

– Raczej nie, jeśli chcesz,, bym zachował siły na później.

– Wypchaj się, nie zrezygnowałbyś z jednej chwili.

– To prawda – westchnął, przeciągnął się i ziewnął. – Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo jestem szczęśliwy?

– Chyba tak – odparła cicho.

Podniósł się na łokciu, by popatrzeć na nią.

– Powiedz mi, czy tylko z powodu Desdemony wróciłaś do Londynu?

Pociągnęła go żartobliwie za ucho.

– Teraz mogę zrewanżować się za te wszystkie pytania! A jak myślisz?

– Jak mi nie odpowiesz, to zaduszę cię ze znacznie lepszym skutkiem niż Otello.

– Wróciłam do Londynu grać Desdemonę, ale także z twojego powodu. Od czasu, gdy mnie pocałowałeś w Rzymie, nie miałam ani chwili spokoju, sam dobrze wiesz.

– Wiem też, że niemal od pierwszej chwili chciałem się z tobą ożenić – powiedział.

Usiadła raptownie.

– Ożenić?!

– Ożenić. Gdybym chciał, żebyś została moją kochanką, zostałabyś nią dawno temu. Znam twój sposób rozumowania. Byłoby więc to stosunkowo proste. Nie zrobiłem tego z jednego powodu. Chciałem się z tobą ożenić i wiedziałem, że nie byłaś jeszcze do tego gotowa.

– Nie jestem tego pewna i teraz – powiedziała w zamyśleniu.

Wstał i podniósł ją na nogi.

- Możesz się już przyzwyczajać do tej roli. Zaczynaj od śniadania.
- Nie mam nic przeciwko zrobieniu śniadania dzisiaj, ale zobowiązać się do tego na całe życie? – Potrząsnęła głową. – Nie sądzę, by o to mi chodziło, Rain.
- Justyno, to zbyt poważna sprawa, by z nią ograć. Masz dużo czasu. Jestem cierpliwy. Ale wybij sobie z głowy, że możemy tę sprawę załatwić inaczej niż przez małżeństwo. Nie mam zamiaru być kimś mniej ważnym w twoim życiu niż jako twój mąż.
- Nie zamierzam porzucić teatru! – powiedziała porywczo.
- *Verfluchte kiste*, czy ja cię o to proszę? Justyno, kiedy ty zmądrzejesz?! Przecież nie skazuję cię na życie przy kuchni i garach! Chyba nie żyjemy z zasiłku? Możesz mieć tyle służby, ile zechcesz, i niańki do dzieci. Wszystko, czego będziesz potrzebowała.
- Erk! – wykrztusiła Justyna, która dotąd nie pomyślała o dzieciach.
- Oj, serdeńko, zdaje się, że można to nazwać prawdziwym kacem! Głupio robię tak szybko wracając do rzeczywistości. Wystarczy zatem, że zastanowisz się nad tym. Ale ostrzegam cię, jeśli nie zdecydujesz się zostać moją żoną, to nie chcę cię znać.
- Zarzuciła mu ręce na szyję, zaciskając je kurczowo.
- Rain, dlaczego tak wszystko utrudniasz! – zawołała.

Dane kierował się swoim wozem na północ Włoch, minął Perugię, Florencję, Bolonię, Padwę i Wenecję i zatrzymał się w Trieście. Ponieważ było to jedno z jego ulubionych miast, pozostał tam dwa dni, a potem ruszył górską drogą do Lublany. Kolejną noc spędził w Zagrzebiu. Jechał dalej wzdłuż wielkiej rzeki Sawy, pośród pól aż niebieskich od kwitnących cykorii, do Belgradu i do Nisu, gdzie zanocewał. Potem Macedonia i Skopje, jeszcze w ruinach po trzęsieniu ziemi przed dwoma laty, Titov Veles, miasto urlopowiczów, malownicze ze swoimi tureckimi meczetami i minaretami. W drodze przez Jugosławię odżywiał się bardzo skromnie, nie umiał zasiąść do wystawnego posiłku, gdy miejscowi zadawali się chlebem.

Granicę grecką przekroczył w Evzone i skierował się do Salonik. Włoskie gazety pełne były informacji o przewrocie przygotowywanym w Grecji. Stojąc w oknie pokoju hotelowego i przyglądając się tysiącom pochodni niespokojnie poruszających się w ciemnościach nocy, cieszył się w duchu, że Justyna nie zdecydowała się z nim jechać.

– Pap-an-dre-u! Pap-an-dre-u! Pap-an-dre-u! – skandował tłum z pochodniami, choć było już dobrze po północy.

Przewrót dokonywał się jedynie w miastach, stanowiących duże skupiska ludzi i biedy. Zaorane pola Tesalii nie zmieniły się zapewne od czasu, gdy legionści Cezara maszerowali przez spalone rzyśka pod Pharsalos, by walczyć z wojskami Pompejusza. Pasterze drzemali w cieniu namiotów ze skóry, bociany stały na jednej nodze w gniazdach na szczytach starych białych domów, wszędzie było przeraźliwie sucho. Ta susza, wysokie czyste niebo, brunatny pejzaż bez drzew przypominały mu Australię. Głęboko odetchnął i uśmiechnął się na myśl o powrocie do domu.

Dotarł do morza w okolicach Larisy, zatrzymał samochód i wysiadł. Morze na horyzoncie było ciemne jak wino, a w pobliżu plaż delikatnie niebieskie i czyste. Daleko w dole, wśród zieleni, stała maleńka świątynia z kolumnami, błyszcząca bielą w słońcu, z tyłu – wzgórze, na którego szczycie wyrastała ponura forteca krzyżowców. Grecjo, jesteś piękna, piękniejsza niż Włochy! Muszę to przyznać, choć kocham Włochy.

Jechał serpentynami przez przełęcz Domokos do Beocji, podziwiając po drodze oszałamiającą panoramę gajów oliwnych, rdzawych stoków, pagórków i gór. Spieszył się, lecz nie omieszkał zatrzymać się przy pomniku Leonidasa i Spartan w Termopilach, pomniku przywodzącym na myśl Hollywood. Napis na kamieniu głosił: „przechodniu, powiedz Sparcie, że leżymy tutaj, posłuszni jej prawom”. Słowa te budziły jakieś skojarzenia. Może już je kiedyś słyszał? Przeszył go dreszcz, wszedł szybko do samochodu i pojechał dalej.

W gorącym słońcu zatrzymał się nad morzem i popływał w czystej wodzie patrząc na Eubeję rysującą się po drugiej stronie wąskiego przesmyku. Tędy zapewne płynęło tysiąc okrętów z Aulidy do Troi. Prąd był silny, znosił na pełne morze, wiosłując, pewnie musieli wysilać się zbytnio. Pełne zachwyty cmokanie starej, czarno odzianej kobiety w szatni, która pogładziła go po ramieniu, wprawiło go w zakłopotanie, uciekł więc stamtąd jak najszybciej. W Rzymie ludzie przyzwyczaili się do jego urody, toteż i on o niej nie myślał. Zatrzymał się jeszcze tylko raz, by kupić w sklepie parę olbrzymich ciastek z kremem, i jechał dalej wybrzeżem attyckim, dotarł do Aten o zmierzchu, gdy zachodzące słońce ozłociło wielkie wzgórze wraz z jego bezcenną koroną z kolumn.

W Atenach atmosfera była napięta i grona. Tłumy były wzburzone, gdzieś dochoodziło do rozruchów. głośno domagano się Papandreu. Kobiety bez skrępowania zachwycały się jego urodą, co go upokarzało. W Rzymie kobiety były o wiele subtelniejsze... Nie, nie czuł się dobrze w Atenach. Zostawił auto w garażu i popłynął promem na Kretę.

Tam wreszcie, wśród gajów oliwnych, dzikiej mięty i gór, znalazł spokój. Po długiej podróży autobusem z piszczącymi spętanymi kurczakami i przenikająco wszystko wonią czosnku, z rozkoszą usiadł na niewielkiej biało tynkowanej gospodzie z arkadami i trzema stolikami wystawionymi na zewnątrz. Rosły tu wielkie sumaki i eukaliptusy sprowadzone z Australii. Żadne europejskie drzewa nie przyjęłyby się na tym jałowym gruncie. Grały cykady, kurz wznosił się czerwonymi tumanami.

Zamieszkał w małym pokoju, z otwartymi na oścież okiennicami. O świcie w samotności celebrował mszę, w dzień chodził na długie spacery. Nikt go nie zaczepiał i on nie szukał towarzystwa. Lecz gdy przechodził, ciemne oczy wieśniaków odprowadzały go z milczącą sympatią i uśmiechem. Było gorąco, cicho i sennie. Dni mijały jak paciorki różańca przesuwane spracowanymi kretańskimi dłońmi.

Modlił się bezgłośnie. Myśli jak paciorki. Dni jak paciorki. Boże, rzeczywiście należę do Ciebie. Tobie dziękuję za liczne błogosławieństwa. Za kardynała, a pomoc, szczerą przyjaźń i niewyczerpaną miłość. Za Rzym i możliwość przebywania w Twoim sercu, za to, że mogłem krzyżem leżeć przed Tobą w Twojej bazylice i że poczułem w sobie opiekę Twego Kościoła. Pobłogosławiłeś mnie bardziej, niż na to zasłużyłem. Czym mogę okazać Ci wdzięczność? Nie cierpiałem wystarczająco. Odkąd rozpocząłem Twoją służbę, moje życie jest jednym pasmem radości. Powinienem cierpieć, i Ty, który cierpiełeś, wiesz o tym. Tylko przez cierpienie wzniosę się ponad siebie i lepiej zrozumieję Ciebie. Życie bowiem na tym właśnie polega, by zrozumieć Twoją tajemnicę. O Boże, spraw, by cierpiał! Pchnij Twoją włócznię głęboko w moją pierś, pchnij tak, bym jej nigdy nie wyciągnął! Dla Ciebie porzucam wszystkich, matkę, siostrę, kardynała. Ty jeden jesteś moim bólem, moją radością. Możesz mnie poniżyć, a ja będę śpiewał Twoje ukochane imię. Możesz mnie zniszczyć, a ja będę się radował.

Doszedł do malutkiej plaży, gdzie lubił pływać. Była jak żółty półksiężyc wśród groźnych klifów. Stał chwilę patrząc na morze, na horyzont. Zbiegł lekko po schodach na plażę, zrzucił tenisówki i niosąc je w rękach szedł po piasku do miejsca, gdzie zwykle się rozbierał. Niedaleko leżeli dwaj młodzi Anglicy, wyglądali jak dwa raki gotujące się na słońcu. Za nimi opalały się dwie kobiety rozmawiające po niemiecku. Dane rzucił okiem na kobiety i poprawił w zakłopotaniu kąpielówki, bo nagle zamilkły i usiadły, poprawiły włosy i uśmiechały się do niego.

– Jak leci? – spytał Anglików, których w myślach nazywał po australijsku Angolami. Zdawali się należeć do plaży, byli tu bowiem codziennie.

– Doskonale, kolego. Uważaj na prąd, dla nas jest za silny. Gdzieś jest sztorm.

– Dobrze – Dane podziękował im uśmiechem i zbiegł do morza, nurkując w płytkiej wodzie. W pływaniu był mistrzem.

Woda z pozoru wydawał się spokojna, ale od razu poczuł silny prąd, usiłujący go

wciągnąć. Nie przejął się tym, zbyt dobrze pływał. Z twarzą w wodzie lekko przecinał powierzchnię, rozkoszując się chłodem morza i przestrzenią. W pewnej chwili spojrzął w kierunku plaży i zobaczył, że dwie młode Niemki wciągają czepki kąpielowe i zbiegają do wody.

Przyłożył dłonie do ust i zawołał do nich po niemiecku, by trzymały się płytkiej wody ze względu na prąd. Pomachały do niego na znak, że słyszą. Opuścił więc głowę i płynął dalej. Wydawało mu się, że usłyszał krzyki, lecz płynął dalej. Zatrzymał się na chwilę, by odpocząć w miejscu, gdzie prąd nie był aż tak silny. I wtedy znowu usłyszał krzyki. Odwrócił się i zobaczył, że kobiety toną, krzycząc i machając rękoma. Dwaj Anglicy na plaży wstali i niechętnie podchodzili do wody.

Rzucił się kraulem przez fale i już po chwili był przy nich. Przerażone, wczepiły się w niego i wciągały pod wodę. Udało mu się jedną z kobiet objąć w pasie i oszołomić uderzeniem. Drugą złapał za ramię kostiumu, uderzył kolanem w plecy i wykasłując wodę, którą się zachłystnął, przewrócił się na wznak i holował niedoszące ofiary do brzegu.

Anglicy stali w wodzie po pas, bali się wejść głębiej, za co zresztą Dane nie winił ich wcale. Wyczuł stopami piach i odetchnął z ulgą. Wyczerpany, ostatkiem sił pchnął kobiety na bezpieczne wody. Oprzytomniały i znów zaczęły krzyczeć i rzucać się gwałtownie. Dane ciężko dyszał, ale zdołał się uśmiechnąć. Łapiąc powietrze i odpoczywając na wodzie, nie zauważył, kiedy prąd zniósł go w morze, nie sięgał już stopami dna. Miały szczęście. Gdyby nie było go w pobliżu, z pewnością by utonęły. Angole nie zdołałyby ich wyratować. I w tej chwili uświadomił sobie, że one weszły do wody, by znaleźć się blisko niego. Dopóki się nie pojawił, nie miały wcale takiego zamiaru. To była jego wina, że znalazły się w niebezpieczeństwie.

I gdy tak unosił się na wodzie, poczuł nagle w piersi straszliwy ból, jakby przeszyła go włócznia: długie i palące uderzenie nie do wytrzymania. Krzyknął, wyrzucił ręce ponad głowę, zeszytniał, poczuł gwałtowny skurcz mięśni. Ból się powiększył. Ściągnął ramiona, zaciśnięte pięści wcisnął pod pachy i podkurczył kolana. Moje serce! Mam atak serca, umieram! Moje serce! Nie chcę umierać! Nie teraz, jeszcze nie rozpocząłem mojej pracy, jeszcze się nie sprawdziłem! Dobry Boże, pomóż! Nie chcę umierać, nie chcę umierać!

Skurcz ustąpił, pozwolił rozluźnić mięśnie. Dane odwrócił się na plecy i dał się unosić wodzie, rozrzuciwszy szeroko ramiona. Przez mokre rzęsy patrzył na wielką kopułę nieba nad sobą. To jest Twoja włócznia, o którą w swojej pysze błagałem Cię zaledwie godzinę temu. Prosiłem, żebyś pozwolił mi cierpieć, żebym musiał cierpieć. A kiedy nadeszło cierpienie, bronię się, niezdolny do prawdziwej miłości. Umiłowany Panie, to Twój ból! Muszę go zaakceptować. Nie wolno mi walczyć, nie wolno przeciwstawiać się Twojej woli. Twoja dłoń jest potężna. To jest ból, jaki czułeś podczas ukrzyżowania. Mój Boże, Mój Boże, należę do Ciebie! Bądź wola Twoja, Jak dziecko powierzam się Tobie. Jesteś zbyt dobry dla mnie. Cóżem zrobił, by zasłużyć na tyle dobroci od Ciebie i ludzi, którzy mnie kochają? Czemu dałeś mi aż tyle, skoro nie jestem godzien? Prosiłem, by moje cierpienie nie było długie, wiem, że wkrótce minie i stanę przed Twoim obliczem. W tym jeszcze życiu dziękuję Ci. Boli! Umiłowany Panie, jesteś zbyt dobry. Miłuję Pana mego!

Przeszedł go silny dreszcz, poruszył wargami wymawiając Jego imię, spróbował się uśmiechnąć. Dwaj Anglicy porzucili płaczące kobiety i stanęli wypatrując go w morzu. Lecz spokojne szafirowe morze było puste, drobne fale uderzały łagodnie o brzeg. Dane zniknął.

Ktoś pomyślał o bazie lotnictwa Stanów Zjednoczonych, która znajdowała się w pobliżu, i wezwał pomoc. Nie minęło trzydzieści minut od zniknięcia Dane'a, gdy wystartował helikopter. Maszyna zataczała coraz szersze koła, oddalając się od plaży. Nie spodziewano się jednak odnaleźć ciała. Topielcy szli na dno i dopiero po wielu dniach woda wyrzucała ich na powierzchnię. Minęła godzina. Piętnaście mil od brzegu załoga helikoptera zobaczyła Dane'a: unosił się na spokojnych wodach, z rozpostartymi ramionami i twarzą zwróconą ku niebu.

Myśleli przez chwilę, że żyje, lecz gdy zbliżyli się, nie mieli już żadnych wątpliwości. Nie żył. Podali przez radio informację. Wypłynęła motorówka, która po trzech godzinach wróciła z ciałem.

Wieść szybko się rozeszła. Kreteńczycy zdążyli go już poznać i witali zawsze z radością, zamieniając nieśmiały słów. Teraz zebrali się nad morzem, kobiety w czarnych sukniach jak wrony, mężczyźni w tradycyjnych bufiastych spodniach i białych koszulach rozpiętych pod szyją. Stali grupkami, czekając w milczeniu.

Kiedy motorówka przybiła do brzegu, wyskoczył z niej potężny sierżant, wziął na ręce ciało owinięte w koc i położył na piasku. Koc rozchylił się. Wśród czekających rozległ się szmer. Otoczyli ciało, do ogorzałych ust przyciskali krucyfiks, kobiety cichutko zawodziły.

Była piąta po południu, zachodzące za górą słońce oświetlało niewielką grupkę ludzi na plaży i wysmukłe, nieruchome ciało na piasku. Rzęsy zamkniętych oczu były sklezione kryształkami soli, na siniejących wargach błąkał się ledwo dostrzegalny uśmiech.

W Atenach zaczęły się rozruchy. Pułkownikowi amerykańskiego lotnictwa udało się jednak na specjalnej częstotliwości radiowej porozumieć z przełożonymi. Miał w ręku niebieski australijski paszport Dane'a, który właściwie nic o nim nie mówił. W rubryce „zawód” wpisane było student, a w rubryce „najbliżsi krewni” podane były personalia Justyny i jej londyński adres. Swego czasu Dane wpisał w paszporcie jej nazwisko, ponieważ Londyn jest znacznie bliżej Rzymu niż Drogheda. Nie otwarto jego czarnej kwadratowej walizeczki insygniami kapłańskimi, która wraz z innymi bagażami czekała w gospodzie na decyzję rodziny.

Telefon zadzwonił o dziewiątej rano i Justyna, zaspana, zaklęła w duchu, obiecując sobie, że wyłączy to cholerne urządzenie. Co ją obchodzi, że reszta świata uważa za stosowne rozpoczynać dzień o dziewiątej rano?

Lecz aparat dzwonił, dzwonił, dzwonił. Może to Rain? – pomyślała i trochę nieprzytomna poszła do salonu.

– Halo!

– Czy to panna Justyna O'Neill?

– Tak, przy aparacie.

– Mówię z ośrodka australijskiego w Aldwych. Słyszysz mnie pani? – Głos z angielskim akcentem podał jakieś nazwisko, którego nie dosłyszała, ponieważ dopiero teraz dotarło do niej, że to nie Rain dzwoni.

– Rozumiem. – Ziewając stanęła na jednej nodze.

– Czy pan Dane O'Neill jest pani bratem?

Justyna szeroko otworzyła oczy.

– Tak.

– Czy przebywa obecnie w Grecji?

Stanęła na równych nogach.

– Tak, jest w Grecji. – Nie przyszło jej do głowy powiedzieć rozmówcy, że nie pan, lecz ksiądz O'Neill.

– Panno O'Neill, mam przykry obowiązek przekazać pani złą wiadomość.

– Złą wiadomość? Jak to złą wiadomość? Co się stało? O co chodzi?

– Z przykrością muszę panią zawiadomić, że pan Dane O'Neill utopił się wczoraj na Krecie, o ile wiem, w szczególnych okolicznościach, bohatercko ratując tonących w morzu. Jednakże, pani rozumie, w Grecji właśnie dokonuje się przewrót i nasze informacje mogą być niedokładne.

Aparat telefoniczny stał na stoliku przy ścianie, Justyna oparła się o nią i bardzo wolno osunęła na podłogę. Nie śmiała się, nie płakała, z jej gardła wydobywały się tylko nieokreślone dźwięki. Dane utonął. Dane nie żyje. Na Krecie. Dane utopił się. Nie żyje, nie

żyje.

– Panno O’Neill? Słyszysz mnie pani? – wołał niecierpliwie czyjś głos.

Nie żyje, utonął!

– Panno O’Neill, proszę odpowiedzieć.

– Tak, tak, tak! Na Boga, jestem, słyszę!

– Rozumiem, że jest pani najbliższą krewną, a zatem musi pani zdecydować, co zrobić z ciałem. Panno O’Neill, słyszysz mnie pani?

– Tak, tak!

– Co mamy zrobić z ciałem?

Ciało! Powiedzieli: ciało. Dane, mój Dane. Jest ciałem. – najbliższą krewną? – zadała to pytanie słabym, przerywanym głosem. – Nie jestem najbliższą krewną Dane’a. Chyba jest nią moja matka.

Nastąpiła pauza.

– To komplikuje sprawę. Jeśli pani nie jest najbliższą krewną, to tracimy cenny czas. – W głosie, dotąd uprzejmie współczującym, pojawiła się nutka zniecierpliwienia. – Pani, zdaje się, nie rozumie, że w Grecji dokonuje się przewrót. Wypadek zdarzył się na Krecie i trudno nawiązać kontakt. Naprawdę! Komunikacja z Atenami jest w zasadzie przerwana. Muszę natychmiast przekazać wolę najbliższej rodziny. Gdzie jest pani matka? Mogę z nią mówić?

– Moja matka jest w Australii.

– W Australii? O rany, coraz gorzej! Musimy więc wysłać telegram do Australii. To wszystko przedłuży sprawę. Jeśli pani nie jest najbliższą krewną, to czemu jest pani wpisana w paszporcie brata?

– Nie wiem – odpowiedziała i uświadomiła sobie, że się śmieje.

– Proszę mi podać adres pani matki w Australii. Natychmiast wyślemy telegram. Musimy wiedzieć, co zrobić z ciałem! Zanim dostaniemy wiadomość od pani matki, minie pewnie ze dwanaście godzin. Mam nadzieję, że pani zdaje sobie z tego sprawę.

– Proszę więc zadzwonić, nie marnując czasu na telegramy.

– Nasz budżet nie pozwala na międzynarodowe rozmowy telefoniczne – powiedział sztywno urzędnik. – Proszę o imię i adres pani matki.

– Meggie O’Neill – wyrecytowała Justyna. – Drogheda, Gillanbone, Nowa Południowa Walia, Australia. – Przeliterowała obce nazwy.

– Raz jeszcze proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki. Siedziała na podłodze, słuchawka wypadła jej z ręki. To jakaś straszna pomyłka, jeszcze wszystko się wyjaśni. Dane utopił się? Przecież świetnie pływał! To niemożliwe! Ależ tak, Justyno, dobrze wiesz! Nie pojechałaś z nim, nie było ciebie, żeby go chronić. Opiekowałaś się Dane’em od dzieciństwa i powinnaś być razem z nim. Jeśli nawet nie mogłabyś go uratować, powinnaś utonąć razem z nim. A nie pojechałaś tylko dlatego, że wołałaś być w Londynie i kochać się z Rainem.

Myślenie przychodziło z trudem. Wszystko przychodziło z trudem. Nie mogła wstać, już nigdy nie wstanie. Myślała tylko o nim, wszystkie myśli krążyły wokół niego. Ale nagle pomyślała o matce i mieszkańcach Droghedy. O Boże! mama nawet nie widziała go w Rzymie. Zapewne wyślą telegram na policję w Gilly i stary sierżant Ern pojedzie samochodem do Droghedy, aby powiedzieć mamie, że jej jedyny syn nie żyje. Niemal obcy człowiek ma być posłańcem?! Moje głębokie współczucie, pani syn nie żyje. Uprzejme, puste słowa... Nie! Nie pozwolę na to, mamó! Nie w ten sposób, nie tak jak mnie zawiadomiono.

Ściągnęła aparat ze stolika i wykręciła numer.

– Centrala? Proszę międzynarodową. Halo! Chcę zamówić błyskawiczną z Australią. Gillanbone jeden-dwa-jeden-dwa. To pilne.

Telefon odebrała Meggie. Było późno, Fee już się położyła. Ona sama ostatnio niechętnie



kładła się spać, wołała siedzieć, słuchać cykad i żab, drzemać nad książką, wspominać.

– Halo!

– Pani O’Neill? Dzwoni Londyn – powiedziała Hazel z Gilly.

– Cześć, Justyno – powiedziała Meggie spokojnie. Justyna miała zwyczaj dzwonić od czasu do czasu, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– mammo, to ty? Mamo!

– Tak – powiedziała Meggie łagodnie, wyczuwając rozpacz w głosie Justyny.

– Mamo! Mamo! – W słuchawce słychać było szloch. – Mamo, Dane nie żyje! Dane nie żyje!

Przepaść otworzyła się pod stopami, wielka przepaść bez dna. Meggie wpadła w nią, poczuła zamykające się nad nią krawędzie i zrozumiała, że nie wydobędzie się z niej, dopóki żyje. Czy bogowie mogli być bardziej mściwi? Sądziła, że rezygnując z wyjazdu do Rzymu, rezygnując z uczestniczenia w tej najpiękniejszej chwili jego życia, spłaca wreszcie swój rachunek. Przepaść zamknęła się nad nią i dusiła.

– Justyno, kochanie, uspokój się – powiedziała stanowczym głosem. – Uspokój się i opowiedz. Jesteś pewna?

– Dzwonili z ośrodka australijskiego, myśleli, że jestem najbliższą krewną. Jakiś okropny człowiek, który chciał tylko wiedzieć co zrobić z ciałem.

Wciąż nazywał Dane’a ciałem. Jakby on nie miał imienia. – Meggie wyraźnie słyszała jej szloch. – Boże! Pewnie biedak nienawidzi tego, co robi. Mamo, Dane nie żyje!

– Jak to się stało? Gdzie? W Rzymie? Dlaczego Ralph nie zadzwonił?

– Nie, nie w Rzymie. Kardynał prawdopodobnie jeszcze nic nie wie. Na Krecie. Ten człowiek mówił, że utonął, ratował tonących w morzu. Pojechał na wakacje, mammo, chciał, żebym z nim pojechała, ale ja wróciłam do Londynu, chciałam grać Desdemonę i być z Rainem. Gdybym była z Dane’em, może by to się nie stało. O Boże, co ja mam robić?

– Justyno, przestań – powiedziała Meggie surowo. – Nie wolno ci tak myśleć, słyszysz? Dane nie chciałby tego. Całe szczęście, że tobie nic nie jest, że nie straciłam was obojga. Zostałaś mi już tylko ty. Justyno, Justyno, to tak daleko! Świat jest za duży, za duży. Wracaj do domu, do Droghedy! Nie mogę myśleć, że jesteś tam całkiem sama.

– Nie, mam pracę. Tylko praca mi pozostaje. Jeśli nie będę pracować, oszaleję. Nie potrzebuję ludzi, nie potrzebuję pocieszenia. Och, mammo – zaczęła gorzko szlochać. – Jak będziemy żyli bez niego?

Właśnie, jak? Czy to w ogóle jest życie? Należałeś do Boga i do Boga wróciłeś. Prochem jesteś i w proch się obrócisz. Życie jest dla tych, którym się nie udało. Zachłanny Bóg zabiera do siebie najlepszych.

– Nie od nas zależy długość naszego żywota – powiedziała Meggie. – Justyno, dziękuję, że wzięłaś na siebie przekazanie mi tej wiadomości.

– Nie mogłam pozwolić, by zrobił to ktoś obcy. mammo, a co teraz? Co możesz zrobić?

Meggie zaangażowała całą swoją wolę, by przekazać tej zrozpaczonej dziewczynie, oddalonej o tysiące mil, trochę ciepła i pocieszenia. Jej syn nie żył, lecz córka żyje. Musi zostać uzdrowiona. Jeśli to tylko możliwe. W całym swoim życiu Justyna kochała tylko Dane’a. Nikogo innego, nawet siebie.

– Kochana Justyno, nie płacz. Postaraj się nie rozpaczać. Dane nie chciałby tego. Wróc do domu. Sprowadzimy Dane do Droghedy. Zgodnie z prawem jest znów mój, nie należy do Kościoła. Zadzwoń natychmiast do tego ośrodka w Londynie i do ambasady w Atenach, jeśli uzyskam połączenie. On musi wrócić do domu! Nie zniosłabym tego gdyby został pochowany daleko od Droghedy. Tu jest jego miejsce, tu musi wrócić. Wróc z nim, Justyno.

Justyna pokręciła głową, jakby matka mogła to zobaczyć. Wrócić do domu? Już nigdy nie będzie mogła wrócić do domu. Gdyby pojechała z Dane’em, nie zginąłby. Miałyby wrócić do domu i patrzeć matce w twarz przez resztę swojego życia?

– Nie, nie mam – powiedziała, czując gorące łzy płynące po policzkach. Kto powiedział, że człowiek do głębi poruszony nie płacze? – Zostanę tutaj i będę pracować. Przyjadę do domu z Dane’em, ale potem wracam do Londynu. Nie umiałabym już żyć w Droghedzie.

Przez trzy dni czekali jak zawieszoni w próżni: Justyna w Londynie, Meggie i rodzina w Droghedzie. Im dłużej milczały władze, tym większą mieli nadzieję. Z pewnością wszystko okaże się wielką pomyłką. Dane zjawi się u Justyny i wyśmiej sam pomysł, że mógł umrzeć, wejdzie i będzie tam stał, wysoki i silny, i będzie się śmiał. Nadzieja rosła z każdą chwilą. Zdradliwa, okropna nadzieja. Nie mógł utonąć, on, doskonały pływak. Więc czekali, nie przyjmując do wiadomości tego, co się stało. Będzie jeszcze czas zawiadomić ludzi, zawiadomić Rzym.

Czwartego dnia rano Justyna dostała wiadomość. Wzięła słuchawkę do ręki i zadzwoniła do Australii.

– Mammo!

– Justyno!

– Mammo, pochowali go już, nie możemy sprowadzić go do domu!

Co robić? Kreta to duża wyspa, nie wiadomo, jak się nazywa ta wioska. Zanim przyszedł telegram od nas, ludzie zdążyli już go zabrać i pochować. Leży gdzieś w nie oznaczonym grobie! Nie mogę dostać wizy do Grecji, nikt nie chce mi pomóc, kompletny chaos. Co robić, mammo?

– Spotkamy się, Justyno, w Rzymie – powiedziała Meggie.

Wszyscy z wyjątkiem Anne Mueller, znajdowali się w pobliżu telefonu. Przez te trzy dni mężczyźni postarzelali się, a Fee, jakby mniejsza, bledsza, bardziej pomarszczona, chodziła po domu powtarzając w kółko:

– Czemu to nie ja? Dlaczego on? Jestem taka stara, taka stara! Nie miałabym nic przeciwko śmierci.

Meggie spojrzała na nich w milczeniu. To była Drogheda. Tylko oni zostali. Małe grono starych, złamanych ludzi.

– Dane zginął – powiedziała. – Nie mogą go odnaleźć. Pochowali gdzieś na Krecie. To tak daleko! Nie może leżeć tak daleko od Droghedy. Jadę do Rzymu, do Ralpa de Bricassart. Jeśli ktokolwiek może mi pomóc, to tylko on.

Sekretarz kardynała de Bricassart wszedł do pokoju.

– Wasza Eminencjo, przepraszam, że przeszkadzam, ale ktoś koniecznie chce się z Eminencją widzieć. Tłumaczyłem tej pani, że jest kongres i że Wasza Eminencja jest bardzo zajęty, ale ona mówi, że będzie czekać, póki nie zostanie przyjęta. Jest bardzo zdenerwowana.

– Kto to jest?

– Podała swoje nazwisko: Meggie O’Neill.

Kardynał podniósł się łagodnie, zbladł.

– Wasza Eminencjo, co się stało?

– Nic, nic się nie stało. Proszę odwołać wszystkie moje dzisiejsze spotkania i natychmiast wprowadzić panią O’Neill. Niech nikt nam nie przeszkadza, chyba że Ojciec Święty.

Ksiądz skłonił się i wyszedł. O’Neill. Oczywiście, tak się przecież nazywa młody Dane, powinien pamiętać o tym. Ale w pałacu kardynała mówiono po prostu Dane. Zdaje się, że popełnił błąd, każąc jej czekać tak długo. Dane był ukochanym siostrzeńcem kardynała, pani O’Neill musiała zatem być jego ukochaną siostrą.

Gdy Meggie weszła do pokoju, kardynał Ralph niemal jej nie poznał. Ostatni raz widzieli się trzynast lat temu. Teraz miała pięćdziesiąt trzy lata, on siedemdziesiąt jeden. Oboje byli starzy. Rysy jej twarzy zaostrzyły się, ale inaczej, niż sobie wyobrażał. Zamiast słodczy była w nich ostra przenikliwość, zamiast miękkości twardość. Nie przypominała łagodnej, pełnej rezygnacji świętej z jego marzeń. Nadal była piękna, oczy zachowały srebrzystą szarość, ale

nabrały twardego wyrazu. Najbardziej wzburzyło go, iż nie chciała patrzeć na niego wystarczająco długo, by mógł zaspokoić gorącą i kochającą ciekawość. Nie potrafił w sposób naturalny przywitać się z tą obcą Meggie, sztywno wskazał jej krzesło.

– Proszę usiądź.

– Dziękuję – odpowiedziała równie oficjalnie.

Dopiero gdy już siedziała i mógł patrzeć na nią bez przeszkód zauważył, jak bardzo jej spuchły nogi w kostkach.

– Meggie, czyżbyś przyleciała prosto z Australii? Czy coś się stało?

– Tak, przyleciałam prosto z Australii – powiedziała. – Ostatnie dwadzieścia dziewięć godzin spędziłam w różnych samolotach między Gilly a Rzymem. – Mówiła zimnym, szorstkim tonem.

– Czy coś się stało? – powtórzył niecierpliwie, zaniepokojony i przestraszony.

Podniosła wzrok i popatrzyła na niego spokojnie. Było coś okropnego w jej oczach, coś ciemnego i lodowatego, co powodowało, że przeszedł go dreszcz. Mimowolnie podniósł rękę do gardła.

– Dane nie żyje – powiedziała Meggie.

Ręka opadła mu bezwładnie jak szmacianej lalce.

– Nie żyje? – powtórzył powoli. – Dane nie żyje?

– Tak. Utonął sześć dni temu na Krecie, ratując jakieś tonące kobiety.

Pochylił się i zakrył twarz dłońmi.

– Nie żyje? – szeptał niewyraźnie. – Dane nie żyje? Mój piękny chłopiec! Był ideałem księdza, wszystkim, czym ja być nie mogłem. Miał to, czego mi brakowało... – Głos mu się załamał. – Wszyscy to widzieli... Nie żyje? O Panie Boże!

– Przestań się martwić twoim Bogiem, Ralph. Masz przed sobą ważniejsze zadanie. Przyjechałam prosić cię o pomoc, a nie przyglądać się twojej rozpacz. Przez tyle godzin w powietrzu, kiedy patrzyłam na chmury za oknem i myślałam o tym, że Dane nie żyje, zastanawiałam się, jak ci to powiem. Teraz twój ból nie jest w stanie mnie poruszyć.

A jednak gdy podniósł twarz, jej zimne, martwe serce zadrżało. To była twarz Dane'a. Było na niej cierpienie, którego Dane już nie zazna. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu, że jest już martwy i nigdy nie zazna takiego cierpienia.

– W jaki sposób mogę ci pomóc, Meggie? – spytał cicho, jakby spełniał swój obowiązek duchowego pocieszyciela.

– W Grecji panuje chaos. Dane został pochowany gdzieś na Krecie i nie mogę dowiedzieć się ani gdzie, ani kiedy, ani dlaczego. Prawdopodobnie moje życzenie, by przewieziono go do domu, nie dotarło na miejsce z powodu wojny domowej. Na Krecie jest gorąco jak w Australii. Kiedy nikt po niego nie przyjechał, pewnie pomyśleli, że nie ma nikogo i pochowali. – W napięciu pochyliła się ku niemu. Muszę mieć mojego chłopca, Ralph. Chcę, by go odnaleziono i sprowadzono na wieczny spoczynek do domu, do Droghedy. Tam jest jego miejsce. Obiecałam, że zatrzymam go w Droghedzie, i dotrzymam słowa, nawet jeśli będę musiała iść na kolanach przez wszystkie cmentarze Krety. Nie dla niego jakiś oficjalny grób w Rzymie, Ralph, przynajmniej dopóki żyję i mogę walczyć w sądach. Ma wrócić do domu.

– Nikt ci tego, Meggie, nie odmawia – powiedział łagodnie. – Kościół wymaga tylko by zmarłych grzebać w poświęconej ziemi. Ja też prosiłem, by pochowano mnie w Droghedzie.

– Nie mogę przebić się przez tę całą biurokrację – ciągnęła, jakby wcale go nie słyszała. – Nie znam greckiego i nic sobą nie reprezentuję. Ty masz wpływy, Ralph, użyj ich i znajdź mojego syna!

– Nie martw się, Meggie, znajdziemy go, choć może nie tak prędko, jak byś chciała. Przy władzy jest teraz lewica, a oni są bardzo antykatolicko nastawieni. Mam jednak przyjaciół w Grecji, więc załatwię to. Zaraz się tym zajmę, możesz się nie martwić. Był księdzem naszej

świętej wiary katolickiej, odnajdziemy go na pewno.

Sięgnął po dzwonek lecz zimny i groźny wzrok Meggie sparaliżował jego ruch.

– Ralphie, ty nic nie rozumiesz. Chcę mojego syna teraz, nie a tydzień, nie za miesiąc! Mówisz po grecku i możesz zdobyć wizy dla mnie i dla siebie. Chcę, żebyś natychmiast pojechał ze mną do Grecji i pomógł mi odzyskać syna.

Współczuł jej, ta wiadomość była szokiem także dla niego, ale rozumował przede wszystkim jako ksiądz, logicznie i rozsądnie.

– Meggie, kochałem twojego syna jak własnego, lecz nie mogę w tej chwili opuścić Rzymu. Nie jestem wolny, ty ze wszystkich ludzi na świecie powinnaś najlepiej to rozumieć. Niezależnie od moim uczuć nie mogę wyjechać z Rzymu w samym środku ważnego kongresu. Jestem asystentem Ojca Świętego!

Dotknięta i oburzona cofnęła się. Pokręciła głową, jakby był bezdusznym przedmiotem, na którego poczynania nie ma wpływu. Zadrżała, oblizwała wargi i wreszcie się zdecydowała. Usiadła prosto i sztywno.

– Czy naprawdę kochasz mojego syna jak swego, Ralphie? – zapytała. – Co byś zrobił dla swojego syna? Czy siedziałbyś i mówił jego matce, że przykro ci, ale w tej chwili nie masz czasu? Potrafiłbyś powiedzieć coś takiego matce swego syna?

– Nie mam syna – odrzekł pełen bólu i bezsilności. – Ale twój syn nauczył mnie wielu rzeczy, przede wszystkim tego, że bez względu na trudności moją pierwszą i jedyną powinnością jest wierność Najwyższemu Panu.

– Dane był także twoim synem – powiedziała Meggie.

– Nie zrozumiał.

– Co?

– Powiedziałam, że Dane był twoim synem. Kiedy wyjechałam z Matlock, byłam w ciąży. Dane był twoim dzieckiem, nie Luke’a O’Neilla.

– To nie-praw-da!

– Nie miałam zamiaru mówić ci tego, nawet teraz – powiedziała. – Czy mogłabym ciebie okłamywać?

– Żeby odzyskać Dane’a? Tak – rzekł słabym głosem.

Wstała i podeszła do niego. Wzięła jego szczupłą dłoń i ucałowała pierścień. Rubin w pierścieniu zmatowiał od jej oddechu.

– Ralphie, przysięgam na wszystko, co święte, co jest ci drogie, że Dane był twoim synem. Nie był i nie mógł być synem Luke’a O’Neilla. Przysięgam na moją śmierć.

Rozległ się krzyk, krzyk duszy przechodzącej przez wrota piekieł. Ralph de Bricassart padła na kolana i zaniósł się szlochem, kryjąc twarz w ramionach, rękoma trzymając się a głowę.

– Tak, płacz! – powiedziała Meggie. – Płacz teraz, skoro już wiesz! Przynajmniej jedno z rodziców powinno płakać po stracie dziecka. Płacz, Ralphie! Przez dwadzieścia sześć lat miałam twojego syna i ty nie wiedziałeś o tym, nie domyślałeś się. Nie widziałeś, że był skórą zdarty z ciebie! Gdy moja matka odbierała go, wiedziała o tym, a ty nigdy. Twoje ręce, twoje stopy, twoja twarz, twoje oczy, twoje ciało. Tylko kolor oczu miał inny – całą resztą to byłeś ty. Rozumiesz teraz? Dlatego kiedy go tu przysłałam, napisałam w liście, że oddaję to, co ukradłam. Pamiętasz? My oboje ukradliśmy. Skradliśmy to, co zaślubiliśmy Bogu, i oboje musieliśmy zapłacić.

Siedziała w swoim krześle nieubłagana i bezlitosna, patrząc na pogrążoną w rozpacz postać w purpurze.

– Kochałam cię, Ralphie, ale nigdy nie byłeś mój. Wszystko, co miałam z ciebie, było kradzione. Tylko Dane był tą jedną częścią ciebie, którą mogłam mieć. Przysięgałam, że nigdy się nie dowiesz, że nie dam ci szansy odebrania mi go. Tymczasem on sam ci się oddał, dobrowolnie. Nazywał cię ideałem kapłana. Wiesz, jak się z tego uśmiełam! Za nic jednak nie

chciałam ci dać tej broni, nie mogłeś wiedzieć, że on jest twój. Teraz jest inaczej! Teraz to już nie ma znaczenia. Nie należy do nas. Należy do Boga.

Kardynał de Bricassart wynajął prywatny samolot w Atenach. On, Meggie i Justyna sprowadzili Dane'a do domu, do Droghedy. W samolocie żywi siedzieli w milczeniu, zmarły leżał w ciszy, nieczuły już na potrzeby tego świata.

Muszę odprawić mszę, to rekwiem dla mojego syna. Kość z mojej kości, krew z mojej krwi. Tak, Meggie, wierzę ci. Kiedy oprzytomniałem trochę, uwierzyłem – nawet bez twoich przysięg. Vittorio wiedział od chwili, gdy zobaczył go po raz pierwszy, a ja, w głębi serca, też zapewne wiedziałem. Twój uśmiech z jego ust, wtedy za krzakiem róż. Ale oczy moje, miałem takie same, kiedy byłem chłopcem. Fee wiedziała. Anne Mueller wiedziała. Ale nie ja, mężczyzna. Nie zasłużyłem na to, by mi powiedziano. Tak myśli każda kobieta i kryje swoje tajemnice, mszcząc się a to, że Bóg nie uczynił jej na swoje podobieństwo. Vittorio wiedział, ale to kobieta w nim kazała mu milczeć. Słodka zemsta.

Powiedz no, Ralphie de Bricassart, otwórz usta, uczyni rękoma znak błogosławieństwa, rozpocznij śpiew za duszę zmarłego. Za twojego syna, którego kochałeś bardziej niż jego matkę. Tak, bardziej! Był bowiem tobą w doskonalszej formie.

– *In Nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti...*

Kaplica była wypełniona. Wszyscy, którzy mogli być obecni, byli tam. King, O'Rourke, Davies, Pugh, MacQueen, Gordon, Carmichael, Hopeton. I wszyscy Cleary'owie, ludzie z Droghedy. Nadzieje zniweczone, światło zgaszone. W wielkiej trumnie leżał ksiądz Dane O'Neill, obsypany różami. Dlaczego zawsze, gdy wracał do Droghedy, kwitły tu róże? Był październik, wiosna w pełni. Oczywiście, że kwitły.

– *Sanctus... Sanctus... Sanctus...*

Mój Danie, mój piękny synu. Tak jest lepiej. Nie chciałbym, byś doszedł do tego, do czego ja doszedłem. Nie wiem, czemu odmawiam modlitwy za ciebie. Nie potrzebujesz ich, nigdy nie potrzebowałeś. Czego ja szukałem po omacku, ty wiedziałaś instynktownie.

– *Ite, Missa est... Requiescant in pace...*

Przeszli przez trawnik, wzdłuż eukaliptusów, róż, sumaków, na cmentarz. Śpij, Danie, tylko wybrańcy Boga umierają młodo. Czemu ich żałujemy? Są przecież szczęśliwi, że odeszli tak szybko. Może to właśnie jest piekło, długi wyrok w ziemskiej niewoli. Może cierpimy nasze piekła żyjąc...

Dzień chylił się ku końcowi, żałobnicy odeszli, mieszkańcy Droghedy poruszali się po domu jak cienie, unikając siebie nawzajem. Kardynał Ralph spojrzął na Meggie i nie mógł spojrzeć po raz drugi. Jean i Boy Kingowie zawieźli Justynę na popołudniowy samolot do Sydney, w nocy miała połączenie do Londynu. Nie przypominał sobie, by usłyszał jej niski czarujący głos, by widział jej dziwne jasne oczy. Od czasu, gdy spotkała go z Meggie w Atenach, do wyjazdu z młodymi Kingami była jak nieobecna. Czemu nie zawiadomiła Rainera? Czemu nie chciała mieć go przy sobie? Przecież wiedziała, jak bardzo ją kocha. Dziwni byli ci ludzie z Droghedy. Unikali współczucia, woleli cierpieć w samotności.

Po nietkniętym obiedzie tylko Fee i Meggie siedziały z kardynałem w salonie. Milczeli, zegar na marmurowym kominku tykał głośno, a oczy na portrecie Mary Carson wyzywająco patrzyły na portret babki Fee. Fee i Meggie siedziały razem na sofie, lekko dotykając się ramionami. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w dawnych czasach były sobie tak bliskie. Ale nie mówiły nic, nie patrzyły na siebie, ani na niego.

Starał się zrozumieć, gdzie popełnił błąd, ale za wiele było błędów i w tym tkwił problem. Pycha, ambicja, pewien brak skrupułów. I rozkwitająca miłość do Meggie. Nie znał tylko owocu tej miłości. Czy sprawiłoby to jakąś różnicę, gdyby wiedział, że Dane jest jego synem? Czy mógłby kochać go jeszcze bardziej? Czy poszedłby inną drogą, gdyby wiedział, że ma syna? – Tak! – krzyczało serce. – Nie! – drwił jego umysł.

– Czynił sobie gorzkie wyrzuty. Był głupcem! Powinien był wiedzieć, że Meggie nie była w stanie wrócić do Luke’a. Powinien był od razu się domyślić, czym dzieckiem był Dane. Taka była z niego dumna! Nic więcej od ciebie mieć nie mogłam – tak powiedziała w Rzymie. A zatem, Meggie... W nim miałaś wszystko, co najlepsze we mnie. Słodki Boże, Ralph, jak mogłeś nie domyślić się, że on jest twój? Powinieneś był zobaczyć to, gdy przyjechał do ciebie jako dorosły mężczyzna, jeśli nie wcześniej. Ona na to czekała. Gdybyś zobaczył, padłaby przed tobą na kolana. Lecz ty byłeś ślepy. Nie chciałeś widzieć, kardynale de Bricassart. Chciałeś godności i zaszczytów bardziej niż jej, bardziej niż własnego syna!

Pokój wypełnił się cichymi okrzykami, szeptami, szmerami, a zegar bił w rytmie jego serca. I nagle coś się zmieniło. Czy to on zgubił rytm? Meggie i Fee rozpląwały się w jakiejś nierzeczywistej mgle, widział ich przestraszone twarze, lecz nie słyszał, co mówią do niego.

– Ach! – wykrzyknął zrozumiawszy.

Prawie nie czuł bólu, otoczyły go ramiona Meggie, odwrócił się, by spojrzeć w jej oczy. Starał się powiedzieć „Przebacz” i zobaczył, że przebaczyła mu już dawno. Wiedziała, że otrzymała od niego wszystko, co najlepsze. Chciał jeszcze powiedzieć coś serdecznego i mądrego, żeby pocieszyć ją na wieki, ale zrozumiał, że to też niepotrzebne. Ona umiała znieść wszystko. Więc zamknął oczy i jeszcze raz, ostatni raz, poczuł zapomnienie w Meggie.

Część siódma:

Justyna 1965-1969

## Rozdział dziewiętnasty

O śmierci kardynała de Bricassart Rainer dowiedział się z gazety, którą czytał w swoim biurze popijając poranną filiżankę kawy. Polityczne burze ostatnich paru dni nareszcie ucichły i Rainer z przyjemnością zajął się czytaniem prasy, myśląc też o bliskim spotkaniu z Justyną. Nie przejmował się jej milczeniem. To było dla niej typowe. Nie chciała się po prostu przyznać, jak bardzo jest z nim związana.

Zapomniał o Justynie, gdy przeczytał o śmierci kardynała. Dziesięć minut później siedział już za kierownicą mercedesa. Biedny stary Vittorio – będzie taki osamotniony. Rainer uznał, że dotrze szybciej do Watykanu własnym wozem niż samolotem, biorąc pod uwagę jazdę na lotnisko i czekanie na lot. Poza tym wolał działać pozytywnie i mieć nad sprawami kontrolę. Dla człowieka takiego jak Rainer było to niepomiarne ważne.

Kardynał Vittorio opowiedział całą historię, zbyt przejęty, by zastanawiać się, czemu Justyna nie poinformowała Rainera o śmierci Dane'a.

– Przyszedł do mnie i spytał, czy wiedziałem, że Dane był jego synem – mówił kardynał łagodnym głosem, głaszcząc delikatnymi dłońmi ciemnoszary grzbiet Nataszy.

– I co Wasza Eminencja na to?

– Powiedziałem, że się domyślałem. Cóż mogłem więcej powiedzieć? Ta jego twarz, ta twarz!

– Oczywiście, to go zabiło. Gdy widziałem go ostatnio, wyglądał źle, ale wyśmiał mnie, gdy błagałem, by zasięgnął porady lekarza.

– Bóg tak chciał. Myślę, że kardynał de Bricassart był jednym z najbardziej udręczonych ludzi, jakich znałem. W śmierci znalazł ukojenie, którego za życia nie doznał.

– A Dane, Vittorio! Taka tragedia.

– Sądzę, że to raczej piękne. W każdym razie tak wolę o tym myśleć. Trudno mi uwierzyć, by śmierć była Dane'owi niemiła, a już nie dziwię się wcale, że nasz Pan nie mógł ani chwili dłużej czekać, by zabrać go na swoje łono. Boleję, owszem, ale nie nad chłopcem. Raczej nad jego matką, która tak cierpi! I nad siostrą, wujami, babką. Nie, nad nim nie boleję. Ksiądz O'Neill żył w niemal całkowitej czystości ducha i ciała. Czymże śmierć mogła być dla niego, jak nie wrotami do wieczności? Dla nas, którzy pozostaliśmy, ta dogma nie jest taka łatwa.

Z hotelu Rainer wysłał telegram do Londynu. Nie zawarł w nim swojego gniewu, bólu, rozczarowania, napisał jedynie:

Muszę wracać do Bonn Stop W Londynie będę na weekend Stop Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś Stop Kocham Rain.

Na jego biurku w bostońskim biurze czekał już list od Justyny oraz gruba koperta, która nadeszła, jak poinformował go sekretarz, od adwokatów kardynała de Bricassart. Otworzył ją od razu i dowiedział się, że zgodnie z ostatnią wolą Ralphi de Bricassart miał zostać dyrektorem spółki Michar Limited i wziąć w zarząd Droghedę. Rozeźliło go to, ale i wzruszyło. Zrozumiał, że kardynał zmienił zdanie o jego osiągnięciach i uznał modlitwy z czasów wojny za wysłuchane. W jego ręce przekazał dobro Meggie O'Neill i jej rodziny.

Wrzucił kopertę do korespondencji oznaczonej jako ogólna i jawna i otworzył list od Justyny. Zaczynał się sucho, bez jakiegokolwiek nagłówka.

*Dzięki za telegram. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że nie widzieliśmy się przez ostatnie tygodnie. Nie chciałam cię widzieć i dziękowałam Bogu, że o niczym nie wiesz. Może trudno ci w to będzie uwierzyć, ale nie chcę, żebyś był przy mnie. Nie ma nic pociągającego w cierpieniu, a to, że byłbyś przy mnie, w żaden sposób nie zmniejszyłoby mojego bólu. Zaiste, można powiedzieć, że przekonałam się, jak mało cię kocham. Gdybym naprawdę cię kochała, zwróciłabym się do ciebie instynktownie, prawda? A ja raczej uciekam od ciebie.*



*Wolałabym więc, żebyśmy rozstali się na zawsze. Nic ci nie mogę ofiarować i niczego od ciebie nie oczekuję. Przekonałam się, co to znaczy być kimś przez dwadzieścia sześć lat. Nie zniosłabym, gdyby miało się to powtórzyć. Zresztą sam to powiedziałeś – małżeństwo albo rozstanie. Ja wybieram rozstanie. Matka mówiła mi, że stary kardynał umarł w kilka godzin po moim wyjeździe z Droghedy. To dziwne, że mama tak bardzo się przejęła jego śmiercią.*

*Wciąż nie pojmuję, co ona, Dane i ty widzieliście w nim. Ja nic nie widziałam. Uważałam go zawsze za okropnego lizusa i nie mam zamiaru zmieniać zdania tylko dlatego, że umarł.*

*To tyle. Wierz mi, Rain, jestem przekonana o słuszności mojego wyboru. Dbaj o siebie.*

Podpisała się jak zwykle wyraźnie nowiutkim czarnym flamastrem, który dostała od niego. Uznała go wtedy za odpowiednie narzędzie, bo był wystarczająco czarny, gruby i zdecydowany.

Rain dłuższą chwilę siedział nieruchomo, zanim przepuścił kartkę przez elektryczną krawarkę zamontowaną przy koszu na śmieci. Robił tak zawsze z korespondencją nie wymagającą odpowiedzi. Pomyślał rozżalony, że to niesprawiedliwe, żeby śmierć Dane'a zniszczyła to, co zaczynało się między nim a Justyną. Przecież czekał już tak długo.

W sobotę mimo wszystko poleciał do Londynu, nie po to jednak, by się z nią zobaczyć. Obejrzał ją na scenie w roli Desdemony. Była wspaniała! Teatr pomagał jej teraz znacznie bardziej, niż on by mógł, przynajmniej przez jakiś czas. Tak, tak, kochanie, wyrzuć to z siebie wszystko na scenie.

Scena była jedynym miejscem, które dawało jej spokój i zapomnienie. Powtarzała sobie wprawdzie, że czas zabliznia wszystkie rany, ale wcale w to nie wierzyła. Dopóki żył Dane, nie myślała o nim zbyt często, chyba, że spędzali razem czas. Kiedy dorosli, czas ten został niezwykle ograniczony, a ich powołania były tak różne, że niemal przeciwstawne. Jego odejście wytworzyło jednak w jej życiu lukę tak wielką, że z rozpaczą myślała, czym ją wypełnić.

Przeżywała wstrząs za każdym razem, gdy zdarzało się coś, o czym chciałaby opowiedzieć Dane'owi. To przypomnienie, że go nie ma, było tak bolesne zapewne dlatego, że zdarzało się często i przedłużało cierpienia. Może gdyby okoliczności jego śmierci nie były takie straszne, szybciej wzięłaby się w garść. Koszmar zdarzenia wciąż pozostawał niezatarty. Tęskniła za nim nie ukojona, myślami wciąż wracając do tego niewiarygodnego faktu, że Dane nie żyje i nigdy już nie wróci.

Gnębiło ją też przekonanie, że nie pomogła mu wystarczająco gdy żył. Wszyscy poza nią zdawali się sądzić, że Dane jest doskonały i że nie doświadcza tych samych kłopotów co inni. Jedynie ona wiedziała, jak wiele miał wątpliwości, jak bardzo dręczył się tym, że jest niegodny miłości, jak stale zastanawiał się, co ludzie widzą w nim poza ciałem i twarzą. Biedny Dane do końca nie zrozumiał, że ludzie kochali go za jego dobroć. Świadomość, że jest już za późno, by mu pomóc, była nie do zniesienia.

Żałowała też matki. Jeśli ją śmierć Dane'a tak dotknęła, to co dopiero musiała przeżywać mama. Sama myśl o tym powodowała chęć histerycznej ucieczki od wspomnień. Pamiętała, jak napuszeni i dumni byli wszyscy wujowie podczas ceremonii wyświęcenia Dane'a w Rzymie. Najgorsza ze wszystkiego była właśnie świadomość tej ogromnej pustki, jaką odczuwa jej matka i pozostali mieszkańcy Droghedy.

Justyno, bądź sprawiedliwa! Czy to rzeczywiście wszystko? Czyż nie ma jeszcze czegoś o wiele bardziej niepokojącego? Nie potrafiła odepchnąć od siebie myśli o Rainie i o swoim rzekomym porzuceniu Dane'a. Dla zaspokojenia własnych pragnień wysłała Dane'a samego do Grecji. Gdyby wtedy z nim pojechała, żyłby jeszcze. Inaczej nie może tego traktować. Dane zginął z powodu jej samolubnego zapatrzenia w Raina. Za późno już, by przywrócić życie bratu, ale jeśli rozstanie z Rainem w jakiś sposób okupi jej winę, sto samotność i niezaspokojenie są tego warte.

Tak mijały tygodnie, miesiące. Rok, dwa. Desdemona, Ofelia, Kleopatra. Od samego początku pochlebiała sobie, że zachowując się tak, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Zwracała szczególną uwagę na to, by jej kontakty z ludźmi, rozmowy i śmiech były całkiem naturalne. Jeśli cokolwiek się zmieniło, to to, że może teraz była nieco bardziej życzliwa, ponieważ odczuwała ludzkie cierpienie jak swoje własne. A poza tym była wciąż tą samą Justyną.

Dwukrotnie chciała pojechać do Droghedy w odwiedziny, ale za każdym razem znalazła w ostatniej chwili ogromnie ważny powód, żeby nie pojechać. Zdawała sobie sprawę, że prawdziwymi powodami było poczucie winy i tchórzostwo. Po prostu nie potrafiła znaleźć w sobie tyle siły, by spotkać się z matką. Wiedziała, że znów opowiadano by całą tę smutną historię, zapewne przy głośnym wybuchu żalości, którego dotąd udało się jej uniknąć. Mieszkańcy Droghedy, a szczególnie jej matka, musieli trwać w przekonaniu, że przynajmniej Justyna wyszła z tego bez szwanku. Lepiej zatem nie odwiedzać Droghedy, zdecydowanie lepiej.

Meggie miała ogromną ochotę osiodłać konia. Pojechałaby na przejażdżkę, gdyby kości tak jej nie bolały. Dzisiaj jednak sama myśl o tym była bolesna. Musiała odłożyć przejażdżkę na kiedy indziej, gdy artretyzm nie będzie jej tak okrutnie dokuczał.

Usłyszała samochód, a po chwili uderzenie mosiężnej kołatki w kształcie baraniej głowy na drzwiach frontowych. Potem szmer głosów i kroki.

– Meggie – powiedziała Fee stając w drzwiach werandy – mamy gościa. Może wejdiesz na chwilę?

Gościem był dystyngowany mężczyzna w średnim wieku, choć mógł być młodszy. Emanował z niego ten sam rodzaj wewnętrznej siły i pewności siebie, jak niegdyś Ralpa.

– Meggie, to jest pan Rainer Hartheim – powiedziała Fee, stając obok swego krzesła.

– Och! – Meggie mimowolnie krzyknęła, zdumiona wyglądem Raina, który kiedyś tyle zajmował miejsca w listach Justyny. Przypomniała sobie jednak o dobrym wychowaniu. – Panie Hartheim, proszę usiąść.

On z równym zdumieniem wpatrywał się w nią.

– Justyna nie jest wcale podobna do pani – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

– Tak, to prawda – usiadła naprzeciwko.

– Zostawię cię z panem Hartheimem, Meggie. Twierdzi, że ma do ciebie osobistą sprawę. Kiedy będziecie mieli ochotę na herbatę, zadzwoń – zakomenderowała Fee i wyszła.

– Pan jest oczywiście tym Niemcem, który przyjaźni się z Justyną? – zapytała Meggie nie wiedząc, jak zacząć.

– Tak. Czy mogę zapalić? – Wyjął papierośnicę.

– Proszę bardzo.

– A czy pani zapali, pani O’Neill?

– Dziękuję, nie palę. – Wyglądziła sukienkę. – Przyjechał pan z tak daleka, panie Hartheim, czy prowadzi pan interesy w Australii?

Uśmiechnął się, zastanawiając, co by powiedziała, gdyby dowiedziała się, że jest w zasadzie właścicielem Droghedy. Nie miał jednak zamiaru informować jej o tym, wolał bowiem, by mieszkańcy Droghedy sądzili, że ich losy leżą w rękach całkowicie obcej im osoby.

– Proszę im mówić Rainer – wymówił imię tak, jak to zwykłą robić Justyna. Wiedział jednak, że jeszcze wiele czasu upłynie, nim ta kobieta zacznie używać tego imienia spontanicznie. Meggie nie zwykłą szybko oswajać się z nieznanymi. – Nie, nie mam żadnych interesów w Australii, ale miałem jeden bardzo ważki powód, dla którego przyjechałem. Chciałem się z panią zobaczyć.

– Ze mną? – spytała zdumiona. Chcąc pokryć nagłe zmieszanie, zmieniła temat. – Moi bracia często pana wspominają. Był pan bardzo życzliwy podczas ich pobytu w Rzymie na

wyświęceniu Dane'a – wymawiała to imię bez przykrości, widać używała go często. – Mam nadzieję, że zostanie pan jakiś czas i spotka się z nimi.

– Z przyjemnością, pani O'Neill – zgodził się uprzejmie.

Rozmowa stawała się dla Meggie niespodziewanie trudna. Miała przed sobą nieznanego człowieka, który przybył dwanaście tysięcy mil tylko po to, żeby się z nią zobaczyć, i któremu wyraźnie nie spieszyło się, by wyjawić cel swojej wizyty. Sądziła, że go polubi, choć na razie nieco ją przerażał. W jej świecie nie było ludzi tego pokroju i zapewne dlatego czuła się niepewnie w jego obecności. Całkiem nowe wyobrażenie o córce powstało w jej myślach. Otóż Justyna czuła się swobodnie z takimi ludźmi jak Rainer Moerling Hartheim! Wreszcie pomyślała o Justynie jak o kobiecie.

Tymczasem Rainer myślał o Meggie, że nadal jest piękna, mimo starości i siwych włosów. Gdy tak siedziała, uprzejmie mu się przyglądając, wciąż nie mógł wyjść z podziwu, jak Justyna niepodobna jest do niej. Jakże musi być samotna! Ale nie współczuł jej tak, jak współczuł Justynie, wyraźnie bowiem pogodziła się z tym.

– Jak się czuje Justyna? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że nie wiem. Ostatni raz widziałem ją tuż przed śmiercią Dane'a.

Nie zdziwiła się.

– Ja też jej nie widziałam od pogrzebu – powiedziała i westchnęła. – Miałam nadzieję, że wróci kiedyś do domu, ale tak się chyba nie stanie.

Chciał ją pocieszyć, ale ona zdawała się nie słyszeć i mówiła dalej, bardziej do siebie niż do niego.

– Drogheda wydaje mi się teraz domem starców – powiedziała. – Potrzebujemy świeżej krwi, a tylko Justyna nam została.

– Mówi pani o Justynie, jakby była częścią majątku Droghedy – powiedział oschle. – Oświadczam pani, pani O'Neill, że tak nie jest.

– A kto panu dał prawo decydować, czym jest lub nie jest Justyna? – zapytała gniewnie. – W końcu sam pan powiedział, że widział ją przed śmiercią Dane'a, a to było dwa lata temu!

– Ma pani rację, minęły już całe dwa lata! – Opanował się, zdając sobie sprawę, co ona musi przeżywać. Dodał łagodniej: – Pani znosi to bardzo dobrze, pani O'Neill.

– Czyżby? – spytała starając się uśmiechnąć przez zaciśnięte usta i patrząc mu w oczy.

– Tak, dobrze to pani znosi – powtórzył.

– Skąd pan wie, co łączyło Dane'a i Ralpha? – spytała niepewnie.

– Domyśliłem się. Proszę się nie martwić, pani O'Neill, nikt inny nie wie o tym. Domyśliłem się, bo znałem kardynała dużo wcześniej, nim poznałem Dane'a. W Rzymie wszyscy sądzili, że kardynał był pani bratem, a wujem Dane'a. Dopiero Justyna wyprowadziła mnie z błędu.

– Justyna? Justyna? – krzyknęła Meggie.

Wyciągnął rękę, by przytrzymać jej dłoń uderzającą gwałtownie o kolano.

– Nie, nie, pani O'Neill. Justyna nie ma pojęcia o tym i modłę się, by się nie dowiedziała nigdy! To był lapsus, zupełnie niewinne przejęzyczenie z jej strony niech mi pani wierzy.

– Jest pan tego pewien?

– Tak, przysięgam.

– To dlaczego, na Boga, nie chce wrócić do domu? Dlaczego nie przyjedzie mnie odwiedzić? Dlaczego nie może spojrzeć mi w twarz?

Nie tylko słowa, ale także cierpienie w głosie odsłoniły przed nim to, co gnębiło matkę przez dwa lata nieobecności córki. Nagle jego własny cel przestał być tak ważny, miał przed sobą nowy – uśmierzyć obawy Meggie.

– To z mojej winy – powiedział zdecydowany tonem.

– Pana? – powtórzyła Meggie, nic nie rozumiejąc.

– Justyna zamierzała pojechać z Dane’em do Grecji i jest przekonana, że gdyby pojechała, Dane żyłby jeszcze.

– Ależ to bzdura! – powiedziała Meggie.

– Oczywiście, my wiemy, że to bzdura, lecz nie Justyna. Pani powinna ją o tym przekonać.

– Ja? Pan nic nie rozumie, panie Hartheim. Justyna nigdy w życiu mnie nie słuchała. A jeśli nawet kiedykolwiek miałam na nią wpływ, to teraz z pewnością go utraciłam. Ona nie chce mnie widzieć – powiedziała tonem człowieka przegranego, lecz nie zrozpaczonego. – Wpadłam tak samo jak moja matka – kontynuowała rzeczowo. – Drogheda jest moim życiem... Dom, książki... Tu jestem potrzebna, mam jeszcze jakiś cel w życiu. Tu są ludzie, którym jestem potrzebna. Moim dzieciom nigdy nie byłam potrzebna, wie pan o tym? Nigdy.

– To nieprawda, pani O’Neill. Gdyby tak było, Justyna mogłaby wrócić i spojrzeć pani w oczy bez obawy. Nie docenia pani miłości, jaką panią obdarza. Kiedy powiedziałem, że mnie należy winić za to, co się dzieje z Justyną, miałem na myśli, że została w Londynie przeze mnie, dla mnie. Ale cierpi z pani powodu, nie mojego.

Meggie znieruchomiała.

– Ona nie ma do tego prawa! Jeśli już musi, niech cierpi sama za siebie ale nie za mnie. Nigdy za mnie!

– Zatem wierzy pani, że ona nie ma pojęcia o kardynale i Danie?

Postawa Meggie zmieniła się, jakby przypomniał jej, że chodzi tu o inne sprawy.

– Tak – powiedziała. – Wierzę panu.

– Przyjechałem zobaczyć się z panią, Justyna bowiem potrzebuje pomocy, a nie umie o nią poprosić – stwierdził. – Musi pani przekonać ją, że powinna zająć się znów swoim życiem. Nie chodzi tu o życie w Droghedzie, lecz o jej własne życie, w którym nie ma miejsca na Droghedę. – Oparł się wygodniej, założył nogę na nogę i zapalił jeszcze jednego papierosa. – Justyna wdziaka włosienicę, ale nie z tych powodów, co trzeba. Pani prawdopodobnie jest jedyną osobą, która potrafiłaby jej to wytłumaczyć. Ale ostrzega panią: jeśli pani przyzna mi rację, Justyna nigdy nie wróci do domu, jeśli zaś sprawy pozostaną bez zmian, skończy się jej powrotem do Droghedy na stałe. Scena nie wystarczy komuś takiemu jak Justyna – kontynuował. – I ona wkrótce się o tym przekona. Wtedy wybierze ludzi – albo rodzinę i Droghedę, albo mnie – uśmiechnął się z głębokim zrozumieniem. – Lecz rodzina też Justynie nie wystarczy, pani O’Neill. Jeśli mnie wybierze, zachowa scenę, a w Droghedzie, niestety, tego nie będzie miała. – Patrzył na Meggie surowo jak na przeciwnika. – Przyjechałem, ponieważ chcę panią prosić o dopilnowanie, by Justyna wybrała mnie. Może się to wydać pani okrutne, ale potrzebuję Justyny znacznie bardziej niż wy w Droghedzie.

Meggie znów zeszywniała.

– Drogheda nie jest takim złym wyborem – powiedziała chłodno. – Mówi pan tak, jakby przyjazd do Droghedy oznaczał koniec życia, ale tak wcale nie jest. Mogłaby dalej występować. Nawet gdyby wyszła za męża za Boya Kinga, tak jak tego pragniemy od lat, jego dziad i ja, ich dzieci byłyby równie zadbane podczas jej nieobecności, jak w przypadku małżeństwa z panem. Tu ma dom! Zna i rozumie nasze życie. Gdyby je wybrała, z pewnością wiedziałaby, co to oznacza. Czy może pan to samo powiedzieć o życiu, które pan jej ofiaruje?

– Nie – odpowiedział flegmatycznie. – Ale Justyna nie umie żyć bez niespodzianek. W Droghedzie czeka ją stagnacja.

– Chce pan powiedzieć, że byłaby tu nieszczęśliwa?

– Nie, niezupełnie. Nie mam wątpliwości, że gdyby tu wróciła i wyszła za Boya Kinga... A kim jest ten Boy King, jeśli wolno spytać?

– To spadkobierca z sąsiedniej farmy, z Bugeli. Stary przyjaciel z lat szkolnych, który chciałby być kimś więcej niż przyjacielem. Dla jego dziada ważne są względy dynastyczne. Ja też to popieram, bo wydaje mi się, że Justyna właśnie tego potrzebuje.

– Rozumiem. A więc gdyby tu wróciła i wyszła za Boya Kinga, nauczyłaby się być

szczęśliwa? Szczęście jest jednak stanem relatywnym. Nie sądzę, by zaznała tu tyle satysfakcji, ile zaznałaby ze mną. Pani O'Neill, Justyna kocha mnie, a nie Boya Kinga.

– Ma dziwny sposób okazywania tego – zaśmiała się Meggie pociągając za sznur dzwonnka, aby poprosić o herbatę. – Ponadto, panie Hartheim, jak już powiedziałam, pan przecenia mój wpływ na Justynę. Justyna nigdy nie słuchała tego, co mówiłam, a więc tym bardziej niczego nie zrobi.

– Pani jest naiwna – odpowiedział. – Jeśli tylko pani zechce, to zrobi. Nie mogę wymagać więcej, proszę tylko, by pani zastanowiła się nad moją propozycją. Nie musi się pani śpieszyć, nie ma takiej potrzeby. Jestem cierpliwym człowiekiem.

Meggie uśmiechnęła się.

– To rzadkość – powiedziała.

Nie wrócił już do tej sprawy. Podczas swego tygodniowego pobytu zachowywał się jak każdy inny gość, chociaż Meggie nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż stara się pokazać od jak najlepszej strony. Jej braciom podobał się ogromnie. Jak tylko dowiedzieli się o jego przyjeździe, wrócili z pastwisk i pozostali w domu aż do jego wyjazdu.

Fee także polubiła go. Wzrok jej popsuł się do tego stopnia, że nie mogła już prowadzić ksiąg, ale daleka była od starczego uwiądnienia. Pani Smith umarła spokojnie we śnie poprzedniej zimy, a Minnie i Cat, choć już stare, nadal trzymały się doskonale. Fee nie przyjęła nowej gospodyni, oddała prowadzenie ksiąg Meggie, a sama przejęła obowiązki dawniej wypełniane przez panią Smith. Fee pierwsza zdała sobie sprawę, że Rainer stanowi ogniwo w poznaniu tej części życia Dane'a, o której nie mieli żadnego pojęcia. On z radością odpowiadał na pytania, kiedy zauważył, że wszyscy chętnie rozmawiali o Danie i z wielką przyjemnością słuchali nowych o nim opowieści.

– Meggie – pozornie uprzedzająco grzeczna – nie potrafiła poradzić sobie z tym, co Rainer jej powiedział, nie umiała przestać myśleć o Justynie i jej życiu. Już dawno straciła nadzieję, że Justyna kiedykolwiek powróci do domu, a on tylko to potwierdził, choć jednocześnie przyznał, że gdyby wróciła, zapewne byłaby szczęśliwa. Miała jeszcze jeden powód, by być mu wdzięczna: rozwiał jej obawy, że Justyna w jakiś sposób dowiedziała się o więzi łączącej Dane'a z Ralphem.

Jeśli chodzi o małżeństwo z Rainerem, Meggie nie bardzo wiedziała, co mogłaby zrobić, by popchnąć Justynę w kierunku, w którym najwidoczniej nie chciała iść. A może nie chciała wiedzieć? Polubiła go ogromnie, lecz jego szczęście nie mogło przecież przeważać nad dobrem córki, dobrem mieszkańców Droghedy i samej Droghedy. Musiała zdecydować, czy przyszłe szczęście Justyny zależało od Raina. Mimo jego przekonania, że Justyna go kocha, Meggie nie mogła sobie przypomnieć żadnej wypowiedzi, z której wynikałoby, iż jest on tym dla Justyny, kim Ralph był dla niej.

– Przypuszczam, że prędzej czy później zobaczy się pan z Justyną – powiedziała Meggie do Raina, gdy odwoziła go na lotnisko. – Wolałabym, by pan nie mówił jej o wizycie w Droghedzie.

– Jeśli pani sobie tego życzy – odpowiedział. – Chciałbym jednak, by pani spokojnie i bez pośpiechu przemyślała to, o czym mówiłem. – W chwili gdy prosił ją o to, miał wrażenie, że ona wyciągnęła z tej wizyty znacznie więcej aniżeli on.

Nadszedł kwiecień w dwa i pół roku po śmierci Dane'a. Justyna czuła nieodpartą chęć zobaczenia czegoś, co nie byłoby szeregiem domów i tłumem ponurych twarzy. W łagodny, słoneczny, wiosenny dzień centrum Londynu stało się nagle nie do zniesienia. Wsiadła więc do tramwaju i pojechała do ogrodów w Kew, zadowolona, że jest wtorek i nikogo tam nie będzie. Na szczęście nie występowała tego wieczoru, mogła więc chodzić alejkami do woli, nie martwiąc się, że się zmęczy.

Park ten znała doskonale. Dla każdego mieszkańca Droghedy Londyn ze wszystkimi jego

schludnymi klombami kwiatów był uroczym miejscem, ale ogrody w Kew były klasą same dla siebie. Dawniej bywała tu często od kwietnia do słońca października, każdy miesiąc bowiem mógł się pochwalić innymi kwiatami.

Połowa kwietnia była jej ulubionym okresem, wtedy bowiem kwitły drzewa, azalie, narcyzy. Znalazła miejsce, które na swój małe, intymny sposób mogło konkurować z najpiękniejszymi widokami świata, i usiadła na wilgotnej ziemi, podziwiając je jako jednoosobowa publiczność. Jak daleko wzrok sięgał, rozciągało się pole narcyzów, a mniej więcej w połowie odległości, wśród żółtych dzwonków, stał wieli kwitnący migdał, którego ciężkie od białego kwiecia gałęzie opadały ku ziemi wielkimi łukami. Obraz był tak piękny i tak skończony jak japoński pejzaż. Jaki spokój! Ostatnio niełatwo było jej odczuwać taki spokój.

W tym momencie, gdy z odchyloną głową usiłowała zapamiętać doskonale piękno migdałowego drzewa, zauważyła Rainera ostrożnie stąpającego między kępami narcyzów.

– Przeżyjesz sobie nerki – powiedział zdejmując czarny skórzany płaszcz i rozścielając go na ziemi podszewką do góry, żeby mogli na nim usiąść.

– Jak mnie tutaj znalazłeś? – spytała sadowiac się na kawałku czarnej satyny.

– Pani Kelly powiedziała mi, gdzie pojechałaś. Chodziłem tak długo, aż cię znalazłem.

– No i myślisz, że powitam cię z otwartymi ramionami?

– A nie powitasz?

– Odpowiesz pytaniem na pytanie. Wcale się nie cieszę. Myślałam, że pozbyłam się ciebie raz na zawsze.

– Trudno jest pozbyć się porządnego faceta. Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Przyszłaś już do siebie?

– Nie.

– Mogłem się tego spodziewać. Wiedziałem, że skoro raz na zawsze mnie odprawiłaś, duma nie pozwoli ci wyjść z propozycją pojednania. Ja zaś, kochanie, jestem wystarczająco mądry, by wiedzieć, że z dumą źle się śpi!

– Tylko nie myśl sobie, że wskoczysz mi do łóżka. Nie pozwolę na to, Rain, ostrzegam cię.

– Nie mam takiego zamiaru. Tamto minęło.

Szybkość, z jaką odpowiedział, zaskoczyła ją, ale przybrała minę pełną ulgi.

– Naprawdę?

– Gdybym cię jeszcze pragnął, to przecież nie wytrzymałbym tak długo bez ciebie. W ty względzie byłaś tylko przejściowym kaprysem. Nadal jednak uważam cię za przyjaciela i tęsknię a tobą jak za przyjacielem.

– Och, Rain, ja też!

– To dobrze. Mogę więc w dalszym ciągu uważać się za twójgo przyjaciela?

– Oczywiście.

Położył się na wznak i podłożył ręce pod głowę. Uśmiechnął się leniwie.

– Ile masz lat? Trzydzieści? W tym okropnym stroju wyglądasz jak licealistka. Justyno, potrzebujesz mnie choćby jako osobistego arbitra elegancji.

– Przyznaję, że kiedy mogłam się ciebie spodziewać za każdym rogiem, bardziej dbałam o swój wygląd. Jeśli chodzi o wiek, rzeczywiście mam trzydziestkę, ale i z ciebie żaden kurczaczek wiosenny! Masz co najmniej czterdziestkę. Co prawda, teraz nie wydaje się ta różnica taka widoczna. Straciłeś chyba na wadze. Chorowałeś, Rain?

– Nigdy nie byłem otyły, tylko potężny, a siedzenie za biurkiem nie buduje mięśni!

Justyna osunęła się na ziemię przysunęła twarz do twarzy Raina i uśmiechnęła się.

– Och, Rain, tak się cieszę, że znów cię widzę! Przy tobie nigdy nie wiem, czego się spodziewać.

– Biedaczka! Ale taka biedna to chyba nie jesteś?

– Biedna? – powtórzyła. – To dziwne, że kardynał zostawił mi aż tyle. Po połowie – mnie i Dane’owi, ale ja jestem jedyną spadkobierczynią Dane’a. – Twarz jej mimowolnie wykrzywił grymas. Szybko odwróciła głowę, udając, że przygląda się kwiatom. Odezwała się dopiero wtedy, gdy opanowała drżenie głosu. – Wiesz, Rain, wiele bym dała, by dowiedzieć się, co naprawdę łączyło kardynała z naszą rodziną. Czy był jedynie przyjacielem? Chyba kimś więcej, ale kim? Tego nie wiem, a chciałabym wiedzieć.

– O nie, wcale nie. – Wstał i podał jej rękę. – Chodź, zapraszam cię na obiad. Chodźmy tam, gdzie wścibscy dziennikarze od razu stwierdzą, że australijska aktorka z ognistą czupryną i pewien członek rządu niemieckiego znowu są razem.

Moja reputacja uwodziciela ucierpiała, odkąd mnie porzuciłaś.

– Uważaj, mój drogi przyjacielu, na to, co mówisz. Nie jestem już australijską aktorką z ognistą czupryną, lecz znaną brytyjską aktorką, bujną, wspaniałą, tycjanowską blondyną. A wszystko dzięki mojej nieśmiertelnej kreacji w „Kleopatrze”. Nie mów, że nie czytałeś recenzji nazywających mnie najbardziej egzotyczną Kleopatram od lat.

– Egzotyczną? – zapytał niedowierzająco.

– Tak, egzotyczną – potwierdziła stanowczo.

Rain był w Rzymie coraz rzadziej, ponieważ kardynał Vittorio już nie żył. Jeździł natomiast często do Londynu. Początkowo Justyna cieszyła się tak bardzo, że nie zastanawiała się nad charakterem ich związku, gdy jednak mijały miesiące, a on ni słowem, ni gestem nie powracał do dawnego układu, jej oburzenie przerodziło się w niepokój. Powtarzała sobie, że wcale nie chciała tego powrotu, że skończyła już z tymi rzeczami, nie potrzebuje ich i nie pragnie. Byłoby jej jednak przyjemnie, gdyby on jeszcze myślał o niej.

Czas mijał i wydawało się, że Rain już nigdy nie wróci. Nie wyglądał bowiem na człowieka ginącego z nie odwzajemnionej miłości i nie robił wrażenia, że chce wrócić do tamtego okresu ich życia. Szukał w niej przyjaciela, a jej to odpowiadało. Tylko... czy on naprawdę zapomniał? Nie, to niemożliwe! Jeśli tak jest, to niech go diabli wezmą!

Rozważania Justyny na tyle przenikały do jej świadomości, że Lady Makbet, którą grała w tym sezonie, nabrała interesującego wymiaru, dotąd nie spotykanego w jej interpretacjach.

List, który otrzymała od matki, zaniepokoił ją w niewytłumaczalny sposób. Matka rzadko ostatnio pisywała, a przychodzące listy były sztuczne i wymuszone. Ten ostatni różnił się jednak od poprzednich. Zawierał jakby dalekie echo starzenia się, podskórne zmęczenie, które wyzierało czasem pojedynczym słowem z czczej, pustej treści. Justynie nie podobał się ten list. Starość. Mama i starość!

Czy coś się stało w Droghedzie? Czy mama stara się ukryć coś poważnego? Może Nanna jest chora? Może jeden z wujów? Może, Boże broń, sama mama? Już trzy lata ich nie widziała, a w ciągu trzech lat wiele mogło się zdarzyć, nawet jeśli w jej życiu wszystko pozostawało bez zmian. Jej życie mogło być nudne i nieciekawe, ale nie musiało to odnosić się do innych.

Ten wieczór miała wolny. Dzień włókł się niemożliwie i nawet perspektywa kolacji z Rainem nie cieszyła jej jak zwykle. Ta przyjaźń staje się bezcelowa, jałowa, prowadzi donikąd – mówiła sobie Justyna, wbijając się w sukienkę w odcieniu pomarańczy, którego najbardziej nie znosił. Stary, konserwatywny gderał! Jeśli nie podoba mu się taka, jaka jest, to może ją zostawić. Poprawiając falbanki na nisko wykrojonym staniku, Justyna nagle spotkała swój wzrok w lustrze i zaśmiała się smutno. Właśnie takiego zachowania nie tolerowała u innych kobiet. To pewnie ze zmęczenia – pomyślała.

– Czemu tak często się ze mną widzisz? – zapytała bez ogródek, kiedy już siedzieli przy kolacji. – Czasami wydaje mi się, iż jestem tylko pretekstem dla twoich wizyt w Londynie.

– rzeczywiście, czasami jesteś pretekstem – przyznał spokojnie. – Ale lubię cię i nie sprawia mi przykrości przebywanie z tobą. – Patrzył na nią w zamyśleniu. – Dlaczego nic nie

mówisz? Martwisz się czymś?

– Nie, niezupełnie. Nic takiego. Mama i ja nie pisujemy do siebie zbyt często. Tak długo nie widziałyśmy się, że nie bardzo jest o czym pisać. Dziś jednak dostałam od niej list bardzo dziwny, zupełnie inny niż zwykle.

Przestraszył się. Meggie długo ociągała się podjęciem decyzji, lecz instynkt podpowiadał mu, że decyzja ta nie jest mu przychylna. List stanowił zapewne pierwszy krok na drodze do odzyskania córki, która powinna wrócić do Droghedy.

Sięgnął przez stolik i wziął Justynę za rękę. Pomyślał, że starsza, dojrzała wygląda jeszcze piękniej, mimo tej okropnej sukienki. Dzięki drobnym zmarszczkom jej twarzy psotnicy przybrała poważniejszy wygląd, odzwierciedlając silniej jej osobowość.

– Kochanie, twoja matka czuje się samotna – powiedział.

– Być może – odrzekła marszcząc brwi. – Wydaje mi się jednak, że jest w tym coś więcej. Przecież musiała czuć się samotna przez tyle lat, skąd więc ta nagła zmiana? Nie potrafię tego zrozumieć i dlatego tak mnie to gnębi.

– Starzeje się. Wydaje mi się, że zapominasz o tym. Możliwe, że zaczynają jej doskwierać sprawy, z którymi dawniej potrafiła sobie poradzić. – Zapatrzył się w przestrzeń, jakby myślał o czymś innym. – Justyno, trzy lata temu straciła syna. Czy sądzisz, że ból zmniejsza się wraz z upływem czasu? Myślę, że się powiększa. Jego nie ma, a po tylu latach sądzi zapewne, że i ciebie straciła. W końcu nie odwiedziłaś jej ani razu.

Zamknęła oczy.

– Pojadę, Rain, pojadę! Obiecuję, że pojadę i to wkrótce! Oczywiście masz rację. Ty zawsze masz rację. Nigdy nie przypuszczałam, że zatęsknię za Droghedą, ale ostatnio myślę o niej coraz częściej. Jakby mimo wszystko moje miejsce było tam.

Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się smutno.

– Bardzo mi przykro, kochanie, ale dziś właśnie jesteś pretekstem. Muszę cię prosić, byś sama wróciła do domu, ponieważ za niecałą godzinę mam spotkanie z bardzo ważnymi dżentelmenami w supertajnym miejscu, do którego musi mnie zawieźć moim własnym samochodem mój po trzykroć wspaniały Fritz.

– Mowa o płaszczu i szpadzie! – rzekła wesoło, choć w głębi ducha poczuła się urażona. – Teraz rozumie te wszystkie nagłe taksówki! Mnie można powierzyć taksówkarzowi, ale nie przyszłość Wspólnego Rynku! Ale żeby pokazać ci, jak mało potrzebne im są taksówki, pojadę do domu metrem. Jest całkiem wcześnie. – Podniosła rękę do Raina, przyłożyła do swego policzka i pocałowała. – Och, Rain, co ja bym bez ciebie zrobiła!

– Jestem twoim przyjacielem – odrzekł. – W końcu po to są przyjaciele, by nie można było się bez nich obejść.

Justyna wróciła do domu zamyślona. O tak osobistych sprawach dotąd nie rozmawiała z Rainem, ale z tego, co powiedział, wynikało, że i on sądzi, iż matka czuje się samotna i stara i że powinna wrócić do domu. Powiedział: odwiedzić dom, ale nie ogła wyzbyć się myśli, że chodziło mu o pozostanie w domu. Cokolwiek czuł do niej kiedyś teraz to już się skończyło, skończyło nieodwracalnie.

Czemu więc pojawił się ponownie w jej życiu dziewięć miesięcy temu? Współczuł jej? A może uważał, że ma w stosunku do niej jakiś dług? Bardzo lubił Dane'a i kto wie, o czym rozmawiali podczas długich wizyt w Rzymie, kiedy jej nie było? Może Dane poprosił go, by opiekował się nią i to on właśnie czyni? Odczekał stosowny czas, by upewnić się, że go nie wyrzuci za drzwi, i pojawił się z powrotem w jej życiu, by wypełnić obietnicę daną Dane'owi. Tak, na pewno o to chodzi. Z pewnością już jej nie kocha. Dawna fascynacja minęła. W gruncie rzeczy to ona potraktowała go okropnie i może winić tylko siebie.

Leżała bezsennie, usiłując czytać jakiś scenariusz, ale ogarniająca ją rozpacz nie pozwalała stłumić złych myśli. W końcu, gdy brudny londyński świt przekradł się przez okna, siadła za biurkiem. W oddali słyszała pomruk silników samochodowych, w powietrzu czuć było



wilgoć, chłód i spaliny. Myśl o Droghedzie stała się nagle czymś wspaniałym. Zatęskniła za świeżym, czystym powietrzem, za ciszą przerywaną tylko odgłosami natury.

Wzięła jeden ze swych czarnych flamastrów i zaczęła pisać list do matki.

*Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie byłam w domu od śmierci Dane'a. Cokolwiek jednak sądzisz, przypuszczam, że ucieszysz się z wiadomości, że zamierzam naprawić ten błąd.*

*Tak, mam zamiar wrócić do domu na stałe. Mamo, miałaś rację, przyszedł czas, że zatęskniłam za Droghedą. Postawiłam na swoim, ale teraz odkryłam, że nie ma to dla mnie takiego znaczenia. Czy mam do końca żyć tylko sceną? Czy jest coś w moim życiu innego? Pragnę bezpieczeństwa, czegoś stałego i trwałego, więc wracam do Droghedy. Drogheda jest tym wszystkim. Mam dość pustych marzeń. Kto wie, może wyjdę za tego Boya Kinga, jeśli on jeszcze mnie zechce? Może zrobię coś pożytecznego w moim życiu, na przykład urodzę dużo, dużo małych Australijczyków. Mamo, jestem zmęczona, taka zmęczona, że nie wiem, co mówię a tak bardzo bym chciała wyrazić to wszystko, co czuję.*

*Spróbuję innym razem. Już nie gram Lady Makbet, a nie zdecydowałam jeszcze, co będę robić w następnym sezonie. Zatem nie sprawię nikomu kłopotu, jeśli rozstanę się z aktorstwem. W Londynie jest pełno aktorek, i Clyde z pewnością znajdzie kogoś na moje miejsce.*

*Pewnie decydowałabym się jeszcze dłużej, gdyby nie Rain. To niezwykle spostrzegawczy facet. Nigdy ciebie nie poznał, ale lepiej rozumie niż ja. Mówi się, że z boku lepiej widać, co się dzieje na boisku. Jeśli chodzi o niego, to prawda. Mam go już dość. Wciąż nadzoruje moje życie z wysokości swego Olimpu. Zdaje się, że uważa, iż jest winny Dane'owi jakąś przysługę czy spełnienie przysięgi, i wciąż się pojawia ku mojemu utrapieniu. Jeśli będę bezpieczna w Droghedzie, jego dług czy obietnica przestaną odgrywać rolę, prawda? Powinien być mi wdzięczny za te wszystkie podróże samolotowe, których mu zaoszczędzę.*

*Jak tylko wszystko zorganizuję, napiszę, kiedy macie się mnie spodziewać. Pamiętaj, że na swój dziwny sposób naprawdę cię kocham.*

Podpisała się bez zwykłego jej zawijasa, włożyła kartki do koperty i wysłała.

Natychmiast zajęła się wyjazdem z Anglii. Clyde zdenerwował się do tego stopnia, że zwymyślał ją gwałtownie. Potem jednak zmienił się – i mimo że jeszcze nieo nadąsany – pogodził się z jej decyzją. Nie miała żadnych trudności ze sprzedażą mieszkania, ponieważ tego typu apartamenty były poszukiwane. Musiała odłożyć słuchawkę, bo tylu było chętnych. Pani Kelly, która sprzątała u niej, od kiedy po raz pierwszy przyjechała do Londynu, kręciła się wśród wiór i skrzyń, żaląc się na swój los i ukradkowo kładąc z powrotem słuchawkę na widełki w nadziei, że zadzwoni ktoś, kto przekona Justynę, by pozostała.

I ten ktoś zadzwonił, ale nie miał zwyczaju przekonywać Justyny. Rain nic nie wiedział o jej wyjeździe. Chciał, by pełniła honory pani domu na przyjęciu, które miał zamiar wydać u siebie na Park Lane.

– Jak to u ciebie na Park Lane? – pisnęła Justyna zdumiona.

– Wiesz, wraz z rosnącą rolą Anglii w EWG spędzam tutaj tyle czasu, że postanowiłem mieć jakiś punkt zaczepienia i wynająłem dom na Park Lane – wytłumaczył.

– Na Boga, Rain, ale jesteś tajemniczy! Od kiedy go masz?

– Od miesiąca.

– I nic mi nie powiedziałeś?

– Ależ, kochanie, nie gniewaj się! Bądź moją panią domu, a obejrzysz każdy kąt.

– Razem z pięcioma milionami gości?! Rain, boisz się być ze mną sam na sam? Czy może mi nie ufasz?

– Nie będziesz gościem. Będziesz moją panią domu, a to zupełnie co innego. Zrobisz to dla mnie?

Wierzchem dłoni otarła łzy i zgodziła się opryskliwie.

Było przyjemniej, niż się spodziewał. Dom podobał jej się, a Rain był w tak dobrym nastroju, że Justyna w końcu sama poczuła się świetnie. Wziął ją pod rękę i przed przybyciem pierwszych gości oprowadził po wszystkich kątach. Podczas wieczoru zachowywał się bez zarzutu, traktując ją wobec gości z bezceremonialną zażyłością, dzięki której czuła się potrzebna. Jego goście byli ważnymi politykami, podejmującymi z pewnością w swej pracy ważne decyzje, a przy tym zwyczajnymi ludźmi, co jej zdaniem pogarszało tylko sytuację.

– Nie przeszkadzałyby mi tak bardzo, gdyby choć jeden z nich zachowywał się jak wybraniec – powiedziała później, gdy gości już nie było, zadowolona, że ma go tylko dla siebie. – No wiesz, jak Napoleon albo Churchill. Moim zdaniem polityk powinien zachowywać się jak mąż opatrnościowy. Czy ty uważasz siebie za męża opatrnościowego?

Wzdrygnął się.

– Mogłabyś nie zadawać takich pytań Niemcowi. Nie, Justyno, nie uważam się. Politycy nie powinni uważać się za mężów opatrnościowych. Niektórym to się przydaje, ale olbrzymia większość ludzi tego typu stwarza sobie i swoim państwom nie kończące się problemy.

Nie chciała sprzeczać się z nim, ale mogła teraz niepostrzeżenie zmienić temat.

– Te żony bardzo się różnią między sobą, prawda? – spytała niewinnie. – Większość z nich prezentowała się znacznie gorzej ode mnie, nawet jeśli tobie nie odpowiada ostry róż mojej sukni. Pani Jakjejtam nie była najgorsza, pani Ktoto po prostu zlewała się z tapetą a pani Lepkipuch była nie do zniesienia. Jak jej mąż z nią wytrzymuje? Mężczyźni są takimi głupcami, gdy idzie o wybór żony!

– Justyno! Kiedy wreszcie nauczysz się zapamiętywać nazwiska tych ludzi? Całe szczęście, że dałaś mi kosza swego czasu, bo byłabyś fatalną żoną dla polityka. Słyszałem, jak się zacinałaś, gdy nie mogłaś sobie przypomnieć, z kim rozmawiasz. Wielu mężczyzn z okropnymi żonami osiągnęło sukces, wielu zaś z doskonałymi żonami niczego nie osiągnęło. W gruncie rzeczy to nie ma znaczenia, bo liczy się wartość człowieka. Niewielu jest takich, którzy żenią się z powodów czysto politycznych.

Skłoniła mu się po hindusku, kryjąc twarz za dłońmi, po czym usiadła na dywanie.

– Och, nie wygłupiaj się, Justyno!

W odpowiedzi podwinęła nogi i oparła się plecami o ścianę. Pogładziła Nataszę. Odkryła po swoim przybyciu, że Rain wziął kotkę zmarłego kardynała Vittorio.

– Czy mówiłam ci już, że wracam do Droghedy na zawsze? – spytała nagle.

Wydymował właśnie papierosa z papierośnicy. Jego duże dłonie nie zdrząły ani nie zastygły w bezruchu, spokojnie kończył wykonywaną czynność.

– Wiesz dobrze, że jeszcze mi nie mówiłaś – odrzekł.

– Więc mówię ci teraz.

– Kiedy podjęłaś tę decyzję?

– Pięć dni temu. wyjeżdżam pod koniec tygodnia. Nie mogę się doczekać.

– Aha.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– A co mogę powiedzieć poza tym, że życzę ci szczęścia? – mówił z takim opanowaniem, że poczuła niepokój.

– Dzięki więc! – powiedziała lekko. – Cieszysz się, że nie będę zwracać ci głowy?

– Nie zwracasz mi głowy, Justyno – odpowiedział i zapytał:

– Pod koniec tygodnia, tak? Nie tracisz czasu.

– A jaki sens w odwlekaniu?

– A twoja kariera?

– Mam dość mojej kariery. Zresztą po Lady Makbet nic już nie zostało.

– Justyno, kiedy ty wreszcie spoważniejesz? Mam ochotę potrząsnąć tobą, gdy opowiadasz

takie studenckie brednie! Dlaczego nie powiesz po prostu, że nie widzisz już w teatrze nic, co by cię mogło zainteresować, i że tęsknisz do domu?

– No, dobrze, dobrze! Możesz to rozumieć, jak chcesz! Żartowałam, jak zwykle. Przepraszam, jeśli cię obraziłam! – Wstała. – Cholera, gdzie są moje buty? I płaszcz?

Pojawił się Fritz z płaszczem i odwiózł ją do domu. Rain nie pojechał, wymawiając się pilnymi sprawami. Siedział jednak beczynnie wpatrzony w ogień.

– No, mam nadzieję, że zrobiliśmy właściwą rzecz – powiedziała Meggie do matki.

Fee popatrzyła na nią uważnie i przytaknęła.

– Och, jestem o tym przekonana. Justyna już taka jest, że nie potrafi podjąć decyzji, musimy więc to zrobić za nią. Nie mamy wyboru.

– Nie jestem pewna, czy powinnam. Sądzę, że wiem, czego ona naprawdę chce, ale nawet gdybym jej powiedziała, wyparłaby się.

– To duma Clearych – rzekła Fee z lekkim uśmiechem. – Pojawia się w nich zupełnie nieoczekiwanie.

– To nie wszystko duma Clearych! Zawsze wydawało mi się, że jest w tym odrobina Armstrongów.

Fee potrząsnęła głową.

– O nie, co robiłam, to robiłam, ale duma nie miała nic z tym wspólnego. To właśnie jest zadanie starości, Meggie. Możemy zastanowić się przed śmiercią, dlaczego zrobiliśmy to, co zrobiliśmy.

– Oczywiście, jeśli skleroza jest rodzajem łaski dla tych, którzy nie umieliby żyć z myślami o przeszłości. musisz jeszcze trochę poczekać, nim stwierdzisz to na pewno. Jeszcze ze dwadzieścia lat.

– Jeszcze dwadzieścia lat? – Meggie powtórzyła przerażona. – Tak długo?

– Cóż, mogłaś się postarać, by te dwadzieścia lat nie upływały w takiej samotności – powiedziała Fee nie przerywając roboty na drutach.

– Tak, mogłam. Ale czy warto było, mam czy warto? – Dotknęła listu Justyny główką jednego ze starych drutów, z nutą wątpliwości w głosie. – Wahałam się tak długo. Od czasu wizyty Rainera siedziałam tu i miałam nadzieję, że nie będę musiała nic robić, że nie będę musiała podejmować tej decyzji. A jednak to on miał rację. Wyszło na to, że musiałam.

– Przynajmniej mogłabyś przyznać, że i ja do tego się przyczyniłam – zaprotestowała Fee. – Kiedy wreszcie przełknęłaś na tyle dumę, by mi o tym powiedzieć.

– To prawda, pomogłaś – przyznała Meggie łagodnie.

Stary zegar tykał. Obie pary rąk nadal poruszały starymi rogowymi drutami.

– mam, powiedz mi – spytała nagle Meggie – dlaczego tak się załamałaś przy Danie, a nie przy tacie czy Franku, czy Stu?

– Załamałam się? – ręce Fee zatrzymały się i odłożyły druty. – Co masz na myśli?

– Jakby cię to zabiło.

– Za każdym razem było tak samo, Meggie. Dawniej jednak byłam młodsza i miałam więcej siły, by to ukryć. Miałam też więcej powodów. Tak jak ty teraz. Ale Ralph wiedział, co czuję, kiedy tato i Stu zginęli. Byłaś za młoda, by to zauważyć – uśmiechnęła się. – Uwielbiałam Ralpa. Był kimś... szczególnym. Taki podobny do Dane'a.

– Tak, to prawda. Nigdy nie przypuszczałam, że to zauważyłaś., to znaczy ich charakter. Śmieszne, jesteś dla mnie jak najczarniejsza Afryka. Niezbadana. O tylu rzeczach nie mam pojęcia.

– Całe szczęście! – zaśmiała się Fee. – Jeśli jesteś w stanie zrobić to teraz dla Justyny, Meggie, myślę, że zyskasz więcej niż ja kiedykolwiek. Ja nie miałam ochoty skorzystać z rady Ralpa i zająć się tobą. Nie chciałam nic prócz wspomnień. Ty nie masz wyboru. Ty masz tylko wspomnienia.

– Wspomnienia potrafią być pociechą, kiedy uśmierzy się ból. Nie sądzisz? Miałam Dane'a przez dwadzieścia sześć lat i nauczyłam się wierzyć, że tak jest lepiej, że zaoszczędzono mu jakiegoś straszliwego cierpienia, którego być może nie umiałby znieść. Tak jak Frank, choć niezupełnie tak samo. Są straszniejsze rzeczy od śmierci, obie to wiemy.

– Nie czujesz się oszukana choć trochę? – spytała Fee.

– Początkowo tak czułam, ale ze względu na nich nauczyłam się nie mieć żalu.

– Kiedy odejdziemy, nikt nie pozostanie – powiedziała Fee cicho. – Drogheda przestanie istnieć. Na pewno wspomną ją w podręcznikach historii i jakiś poważny młody człowiek przyjedzie do Gilly rozmawiać ze wszystkimi, którzy jeszcze pamiętają, aby napisać książkę o Droghedzie, ostatek z wielkich farm Nowej Południowej Walii. Nikt jednak z czytelników nie dowie się, jak było naprawdę. Nie dowiedzą się, bo musieliby tu żyć i być częścią tego wszystkiego.

– Tak – powiedziała Meggie. – Musieliby być częścią tego wszystkiego.

Pożegnać się z Rainem listownie, gdy szarpał ją żal, było łatwo, w pewnym sensie nawet przyjemnie, w okrutny sposób oddawała wtedy cios – sama jestem w agonii, więc i ty bądź. Lecz tym razem Rain nie pozwolił na takie załatwienie sprawy. Mieli się spotkać na kolacji w ich ulubionej restauracji. Nie zaproponował domu na Park Lane, czym rozczarował ją, ale nie zdziwił. Z pewnością nie chciał ryzykować.

Tym razem postarała się, by swoim wyglądem sprawić mu przyjemność. Diablątko, które zwykle popychało ją ku pomarańczowym falbankom, znikło gdzieś. Ponieważ Rain lubił proste stroje, włożyła długą suknię z jedwabnego trykotu w kolorze burgunda, z małym wycięciem pod szyją i długimi ciasnymi rękawami. Szyję ozdobiła dużą obrożą ze skręconego złota, wysadzaną perłami i granatami, na ręce włożyła dwie bransolety. Zrobiła nieco mocniejszy makijaż, by ukryć ślady depresji. Tak było dobrze, jeżeli nie będzie się zanadto przyglądał.

Nie przyglądał się, a przynajmniej nie skomentował zmęczenia, nie wspominał nawet o trudach pakowania. Było to do niego niepodobne.

– Nie chciał jej pomóc w stworzeniu takiej atmosfery, by ten ostatni wspólny wieczór mogli wspominać później z listach z przyjemnością i nostalgią. Gdyby tylko potrafiła przekonać się, że jest po prostu zdenerwowany jej wyjazdem, poczułaby się lepiej. Nie potrafiła jednak. Jego nastrój był inny. Sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby siedział przy stoliku z papierową kukłą, jednowymiarową i pragnącą ulecieć na skrzydłach wiatru daleko poza jej pole widzenia. Mogło się zdawać, że on już się pożegnał, a to spotkanie było zbyteczne.

– Czy dostałaś jeszcze jeden list od matki? – spytał grzecznie.

– Nie, ale szczerze mówiąc, nie spodziewam się żadnego. Najprawdopodobniej nie wie, co napisać w tej sytuacji.

– Czy chcesz, by Fritz odwiózł cię na lotnisko?

– Dzięki, łapię taksówkę – odpowiedziała niegrzecznie. – Nie chcę pozbawiać cię jego usług.

– Mam spotkania zaplanowane na cały dzień, więc zapewniam cię, że nie sprawisz mi tym kłopotu.

– Powiedziałaś już, że wezmę taksówkę!

Uniósł brwi.

– Nie musisz krzyczeć, Justyno. Będzie tak, jak chcesz.

Pragnęła, by ta przygnębiająca kolacja skończyła się już! Odkryła, że przypatruje się jego dłoniom usiłując przypomnieć sobie, jak ją dotykały, ale nie mogła. Już nie nazywał jej czule „kochanie” – jak dawniej. Dlaczego życie nie może być schludne i dobrze urządzone? Dlaczego zdarzają się takie sprawy jak śmierć Dane'a? Może dlatego, że pomyślała o Danie. poczuła nagle, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Położyła ręce na oparciu.

– Czy moglibyśmy już wyjść? – spytała. – Strasznie rozbolała mnie głowa.

Na skrzyżowaniu High Road z jej uliczką Rain pomógł Justynie wysiąść z samochodu i wziął grzecznie za łokieć. Dotyk jego był całkiem bezosobowy. W lodowatej londyńskiej mżawce przeszli powoli po bruku, a ich kroki odbiły się echem dokoła. Żalonym, samotnym echem.

– Tak więc, Justyno, przyszło nam się pożegnać – powiedział.

– Na jakiś czas – odpowiedziała siląc się na wesołość. – Ale przecież nie na zawsze. Będę tu przyjeżdżała od czasu do czasu, mam też nadzieję, że znajdziesz czas, by wpaść do Droghedy.

Pokręcił głową.

– Nie, Justyno, to jest nasze pożegnanie. Sądzę, że nie mamy już sobie nic do zaoferowania.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem ci już potrzebna – rzuciła starając się zaśmiać naprawdę. – W porządku, Rain! Nie musisz mnie oszczędzać, poradzę sobie z tym!

Wziął jej dłoń i pocałował, wyprostował się, uśmiechnął i odszedł.

Na wycieraczkę leżał list od matki.